

MISTRZOWIE SF

GREG BEAR

WIECZNOŚĆ




ANTENA

GREG BEAR

WIECZNOŚĆ

(PRZEŁOŻYŁ : PAWEŁ WIĘCKOWSKI)

SCAN-DAL

Dla Dawida McClintocka - przyjaciela, współwielbiciela
Olafa Stapledona i, przede wszystkim, księgarza.

Podziękowania

Karen Andersen po raz kolejny służyła mi nieocenioną pomocą w sprawach językowych i historycznych. Pomogła mi stworzyć Oikoumene w niniejszej kontynuacji. Adrienne Martine Barnes udostępniła mi wiele cennych materiałów badawczych; na własne ryzyko pominąłem jej bezpośrednie uwagi dotyczące architektury na Rodos, aby pokazać głębokie historyczne zmiany na tej wyspie. Brian Thomsen, sławny wydawca, uwierzył, zaufał i zaryzykował, a także dzielnie pracował, aby moja proza była wolna od potknięć. Nie wińcie tych wspaniałych ludzi za nic; wszystkie błędy w tej książce popełniłem ja, lub, być może, mój komputer.

Dopiero gdy przestrzeń zwinie się jak kawałek skóry,
nastąpi koniec cierpienia, z wyjątkiem poznania Boga.
Śvetaśvatara Upanisad, VI 20

Na końcu zostaje tylko okrucieństwo i śmierć ponad łądami. W ani jednym promieniu światła, czy ziarnku piasku nie znajdujesz pocieszenia, gdyż wszędzie jest mrok, a chłodne spojrzenie boskich oczu, obojętnych pod ciężkimi powiekami, ogarnia wszystko z jednakową pogardą. Zbawienie jest tylko w twojej wewnętrznej sile; musisz żyć tak jak drzewo lub jak karaluchy i pchły, które bujnie mnożą się na łądach i rujną Ziemię. I żyjesz tak, a świadomość tego życia jest jak żądło. Jesz, cokolwiek wpadnie ci w ręce, a jeśli okaże się, że był to kiedyś brat lub siostra - niech tak będzie; Bóg nie dba o to. Nikt o to nie dba. Cudzołożysz, i nikogo nie obchodzi, czy cudzołożysz z kobietą czy mężczyzną, bo gdy wszyscy są głodni, wszyscy cudzołożą, nawet ci, którzy idą do prostytutek. A choroby roznoszone są, gdy wszyscy cudzołożą, bo zarazki muszą żyć, i szerzą się poprzez łądy, i rujną Ziemię.

Niektórzy mówią, że sami wstąpimy z powrotem do nieba. Mówią też, że powinniśmy byli umrzeć, umrzeć za karę. Lecz nie tak miało się stać. Za sprawą kaprysu czasu i fanaberii historii, aniołowie przybywają z Kamienia, by przejść nad łądami i ofiarować pocieszenie, aby siać zboża i zbierać nasze pożywienie, a potem podać nam pług. Dziwisz się temu i nie przeklinasz aniołów w obłądnie swojej winy; ponieważ są pełni chwały jak sen, a ty nie wierzysz szczerze.

Służą twojej chorobie i z czasem przyłączasz się do nich, aby służyć innym. Medycyna staje się religią; pomoc jedynym przykazaniem; uzdrawianie najwyższym darem Boga, jaki można sobie wyobrazić.

Przynoszą z Kamienia cuda. Mieszkają z nami, ale nie są jednymi z nas, i są tacy, którzy narzekają, ale nikt nie zwraca na nich uwagi, tak, jak nie zwraca się uwagi na śmieci. Narzekają na podziały i niezadowolenie, bowiem nigdy nie jesteśmy szczęśliwi i nigdy zadowoleni. Lecz aniołowie tego nie słuchają.

A potem w Ziemi Świętej wskazując na wschód, w Ziemi Księgi i w Ludziach Księgi powstaje bunt. Gdyż ich kraje nie zostały spalone i wciąż w rodzinnej ziemi znajdują siłę, i są niewinni, i znają prawo Drzewa i Pchły. Ponieważ są Wybrani przez Boga, walczą z aniołami, którzy dla nich są diabłami. Walczą i zostają pokonani cudami i uspokojeni. I Ludzie Księgi śpią, śniąc pokój, budują i pracują, lecz nie walczą. Tak dzieje się w Kraju, w którym ludzkość po raz pierwszy otworzyła oczy.

A następnie z kraju, na samym krańcu Serca Ciemności, pogrążonym w złu podobnym do osadu na dnie czarnej butli, z tego kraju przychodzą mówiący po angielsku i afrykanersku w swoich pięknych mundurach, gnając przed sobą niewolnicze armie, aby plądrować wszystkie nietknięte jeszcze Południowe Kraje Ziemi. Walczą i są pokonani przez cuda i zostają uspokojeni. I śpią śniąc pokój, budując i pracując, lecz nie walcząc. Tak dzieje się u spodu afrykańskiej amfory.

Światło i wiedza rozbłyskują ponownie nad ziemią, gdy siła powraca do ziemi i do ciała. Wszystko to zawdzięczamy aniołom. Nawet jeśli są one tylko ludźmi, tylko naszymi dziećmi, które wróciły odziane w światło, czyż ma to wpływ na naszą radość i wdzięczność?

Zostaliśmy wydobyti z Prawa Drzewa i Pchły i przywrócono nam nasze człowieczeństwo.

Gershom Raphael,
Księga Śmierci, Sura 4, Księga I.

Uzdrowiona Ziemia, Niezależne Terytorium Nowej Zelandii, A.D.

Na cmentarzu New Murchison Station było tylko trzydzieści grobów. Otaczały go łąki pełne wąskich strumieni, którymi spływała deszczówka. Wiał zimny wiatr, ale nawet on nie mógł zagłuszyć ich nieprzerwanego niskiego szeptu. Szeleściły żdźbła traw poruszane wiatrem. Wokół doliny, ponad szarymi chmurami srożyły się ośnieżone szczyty gór. Słońce, które było tylko o godzinę ponad Pasmem Dwu Kciuków na wschodzie, świeciło jasno, choć nie dawało ciepła. Pomimo wiatru Garry Lanier pocił się.

Wraz z innymi dźwigał na ramieniu trumnę. Minęli bramę z białych palików i skręcili ku świeżo wykopanemu grobowi, zaznaczonemu niezgrabną kupą czarnej ziemi. Jego twarz zastygła jak maska, by ukryć wysiłek i nagłe ataki bólu.

Trumnę niosło sześciu przyjaciół zmarłego. Była ona tylko pięknie wykonanym, prostym sosnowym pudłem, lecz Lawrence Heineman ważył dobre dziewięćdziesiąt kilo, gdy umierał. Wdowa, Lenora Carrolson, szła dwa kroki za nimi z uniesioną twarzą i oczyma zagadkowo wpatrzonymi w przestrzeń tuż powyżej krawędzi trumny. Jej niegdyś szaroblond włosy były teraz srebrzyście białe.

Lawrence, gdy żył, wyglądał dużo młodziej niż Lenora - bardzo krucha i ulotna, jak zjawa, przy swych przeszło dziewięćdziesięciu latach. Otrzymał nowe ciało po ataku serca przed trzydziestu czterema laty. Nie umarł z powodu starości czy chorób. Zabiły go spadające skały w górskim obozowisku, dwadzieścia kilometrów stąd.

Położyli go na ziemi i wyciągnęli czarne grube liny. Trumna pochyliła się, a potem zaskrzypiała. Lanier wyobraził sobie, że Heineman uznał swój grób za niespokojne łóżko, a potem oddalił swoją spontaniczną fantazję - nie należy żartować ze śmierci.

Ksiądz Nowego Kościoła Rzymskiego przemawiał po łacinie. Lanier pierwszy rzucił łopatę wilgotnego mułu w czarny otwór. Proch na proch. "Ziemia jest tu wilgotna. Trumna zbutwieje." Potarł swoje ramię, gdy stanął obok Karen, która od prawie czterech dziesięcioleci była jego żoną. Przebiegała wzrokiem twarze sąsiadów, szukając czegoś znajomego, co mogłoby złagodzić jej poczucie wyobcowania. Lanier próbował patrzeć na żałobników jej oczyma i spostrzegał tylko smutek i nerwową pokorę. Dotknął jej łokcia, ale nie dodało jej to otuchy. Karen czuła się nie na swoim miejscu. Kochała Lenorę Carrolson jak matkę, a jednak nie rozmawiała z nią od dwu lat.

Hexamon, który daleko nad ich głowami pracował niestrudzenie, nie przysłał żadnego przedstawiciela. Biorąc pod uwagę, co Larry pod koniec życia sądził o Hexamonie, taki gest byłby niewłaściwy.

Jak wszystko się zmieniło...

Podziały. Separacje. Katastrofy.

Nie wszystko, co zrobili w ramach Uzdrowienia, pomogło usunąć różnice między ludźmi. Kiedyś tak wiele spodziewali się po Uzdrowieniu. Karen wciąż miała wielkie nadzieje, wciąż pracowała nad różnorodnymi projektami. Ludzie wokół nie dzielali na ogół tych nadziei.

Ona wciąż służyła Wierze, ufając przyszłości i wysiłkom Hexamonu.

Lanier stracił Wiarę dwadzieścia lat temu.

Teraz pochowali ważną część przeszłości w wilgotnej ziemi, bez nadziei na drugie zmartwychwstanie. Heineman nie spodziewał się, że zginie w wypadku, lecz mimo to wybrał swoją

śmierć. Lanier dokonał podobnego wyboru. Wiedział, że pewnego dnia ziemia pochłonie go także, i choć bał się tego, uważał to za właściwe zakończenia. Umrze. Nie będzie drugiej szansy. Podobnie jak Heineman i Lenora, przez pewien czas korzystał z możliwości, jakie stwarzał Hexamon, ale potem zaczął się wahać i zbuntował się.

Karen nie podziela tych wątpliwości. Gdyby to na nią spadła skała, nie byłaby, tak jak teraz Larry, martwa. Zmagazynowana w implancie, oczekiwałaby na właściwy moment, by zmartwychwstać w nowym ciele, specjalnie wyhodowanym dla niej w jednej z gwiazdnych stacji. Wkrótce przywróconoby jej młodość i nie starzałaby się bardziej niżby sobie tego życzyła, ani też jej ciało nie mogłoby się zmieniać wbrew jej woli. To różniło ją od ludzi wokół i od jej męża.

Podobnie jak Karen, ich córka Andia nosiła kiedyś implant. Lanier nie protestował, choć czasem się tego wstydził. Obserwowanie, jak rośnie i zmienia się było wyjątkowym doświadczeniem. Zdał sobie sprawę, że łatwiej by mu było zaakceptować własną śmierć niż śmierć dziecka. Nie sprzeciwił się planom Karen, a Hexamon pobłogosławił dziecko jednej ze swych najwierniejszych sług i wyposażył je w implant. Lanier sam nie korzystał z tego cudu techniki, gdyż nie był on i nie mógł być dostępny dla wszystkich Ziemi.

Złośliwy los pokrzyżował plany Karen i przechytrzył inżynierów Hexamonu. Dwadzieścia lat później samolot którym leciała Andia, rozbił się nad wschodnim Pacyfikiem, a jej ciała nigdy nie odnaleziono. Możliwość powrotu córki do życia spoczywały w mule na dnie jakiejś ogromnej głębiny, jak mała marmurowa kulka, której nawet rozwinięta technologia Hexamonu nie potrafiła odnaleźć.

Otarł łzy z oczu i nadał twarzy oficjalny wygląd, by pozdrowić księdza, pobożnego młodego hipokrytę, którego nigdy nie lubił. "Dobre wino przybywa w dziwnym kielichu", powiedział sobie kiedyś. "Posiadł mądrość, której mu zazdrozczę."

Gdy rozpoczęli współpracę z Hexamonem, byli zachwyceni jego możliwościami. Heineman chętnie przyjął drugie ciało, a Lenora poddała się kuracji odmładzającej, by dorównać swemu mężowi. Potem zaprzestała kuracji, lecz teraz wyglądała na, co najwyżej, dobrze zachowaną siedemdziesiątkę...

Większość Rodowitych Ziemi nie miała dostępu do implantów. Nawet Ziemi Hexamon nie mógł zaopatrzyć każdego w konieczne urządzenia, a gdyby nawet było to możliwe, ziemskie kultury nie były przygotowane nawet do częściowej nieśmiertelności.

Lanier nie zgodził się na implant, choć przyjął medycynę Hexamonu. Nie wiedział do dziś, czy była to hipokryzja. Taka pomoc medyczna była dostępna dla większości, lecz nie dla wszystkich Rodowitych Mieszkańców, rozrzuconych po zrujnowanej Ziemi. Hexamon wykorzystywał swoje zasoby do granic możliwości, lecz przecież nie były one nieskończone.

Lanier tłumaczył sobie, że do wykonania pracy, którą się zajmował, potrzebne były zdrowie i sprawność fizyczna, a ponieważ pracował w ciężkich warunkach - odwiedzał wymarłe kraje, żył pośród śmierci, chorób i promieniowania - musiał korzystać z przywilejów hexamońskiej medycyny.

Starał się odgadnąć reakcję Karen. Taka strata. Wszyscy ci ludzie, odpadający, poddający się... Sądziła, że zachowują się nieodpowiedzialnie. Być może tak było, jednak tak jak on i Karen poświęcili oni znaczną część swego życia Uzdrowieniu i Wierze. W ciężkim trudzie wypracowali swoje przekonania, choć w jej oczach były one i tak nieodpowiedzialne.

Ich dług wobec stacji orbitalnych był niemożliwy do oszacowania. Lecz dług wdzięczności nie spleca się miłością i lojalnością.

Lanier towarzyszył żałobnikom do małego kościółka odległego o kilkaset metrów. Karen pozostała z tyłu, przy grobach. Płakała, lecz nie potrafił jej pocieszyć.

Potrząsnął głową tylko raz, gwałtownie i popatrzył w niebo.

Nikt nie przypuszczał, że tak się wszystko potoczy.

On sam z trudem mógł w to uwierzyć.

Gdy trzy młode kobiety rozkładały kanapki i poncz w pokoju pogrzebowym przy kościele, Lanier czekał, aż jego żona przyłączy się do stypy. Dwu i trzyosobowe grupy zbierały się w pokoju by, pomimo skrzępowania, wspólnie przystąpić do składania kondolencji. Wdowa przyjmowała je wszystkie z odległym uśmiechem. "Straciła swoją pierwszą rodzinę w Śmierci", przypomniał sobie. Ona i Larry, gdy odeszli na emeryturę z Uzdrawiania dziesięć lat temu, zachowywali się jak młodzieńcy. Chodzili z plecakiem po Wyspie Południowej, rozwijali najróżniejsze zainteresowania, czasem urządzali długie wycieczki piesze po Australii - raz popłynęli nawet na Borneo. Wyglądali na beztróskich, a Lanier zazdrościł im tego.

- Twoja żona ciężko to przeżyła - powiedział młody mężczyzna o czerwonej twarzy imieniem Fermont, podchodząc do samotnego Laniera. Fermont kierował ponownie nowo otwartą Irishmen Creek Station. Jego półdzikie merynosy można było dawniej spotkać wzdłuż całej drogi do Twizel, a on sam nie cieszył się opinią najlepszego obywatela. Zaprojektował sobie znak firmowy z nowozelandzką papugą, co było dość dziwne, jak na człowieka utrzymującego się z hodowli owiec. Mówiono, że kiedyś wyznał: "Nie jestem mniej wolny niż moje owce. Idę, gdzie chcę, a one robią to samo."

- Wszyscy go kochaliśmy - powiedział Lanier. Nie wiedział, dlaczego miałyby się nagle otworzyć przed tym prawie obcym człowiekiem o czerwonej twarzy, lecz wpatrując się w drzwi w oczekiwaniu na Karen, powiedział - Był przystojnym mężczyzną, choć prostym. Znał swoje granice. Ja...

Fremont podniósł krzaczaste brwi.

- Byliśmy razem na Kamieniu - powiedział Lanier.

- Tak słyszałem. Byliście zmieszani z aniołami.

Lanier potrząsnął głową. - Nienawidził tego.

- Zrobił dobrą robotę tu i gdzie indziej - powiedział Fremont. "Każdy jest szlachetny na pogrzebie." Karen weszła przez drzwi. Fremont, który nie mógł mieć więcej niż trzydzieści pięć lat, spojrzał w jej kierunku i odwrócił się tyłem do Laniera, a jego oczy wyrażały zaciekawienie i namysł. Lanier porównywał siebie z tym młodym i pełnym wigoru mężczyzną: garbił się, miał całkowicie siwe włosy i ręce duże, brązowe i guzowate.

Karen nie wyglądała na więcej niż Fremont.

Ziemiński Hexamon, Orbita Ziemska, Axis Euclid

- Porozmawiajmy - zaproponowała Suli Ram Kikura, wyłączając piktor na swoim kołnierzyku i siadając swobodnie na krześle. Olmy stał przy oknie w jej mieszkaniu - prawdziwym oknie w wewnętrznej ścianie Axis Euclid, które wychodziło na cylindryczną przestrzeń, niegdyś otaczającą centralną osobliwość Drogi. Teraz odsłaniała ona astronautów ze skrzydłami jak u nietoperzy pływających we mgle, ruchome ogrody rozrywki, obywateli poruszających się po groblach utworzonych przez bladofioletowe pola - i mały łuk ciemności z lewej strony, okołoziemską przestrzeń widoczną poza wewnętrzną ścianą.

Kolory i treść przywiodły mu na myśl francuskie malarstwo z początków XX wieku: oto scena parkowa niespodziewanie pozbawiona grawitacji, przechadzające się pary ortodoksyjnych naderytów z dziećmi. Widok zmieniał się nieustannie, gdyż oś obracała się wokół swego wydrążonego środka, przynosząc wciąż nowe obrazy z życia Hexamońskiej społeczności. Olmy czuł, że już do niej nie należy.

- Słucham - powiedział nie patrząc na nią.

- Nie odwiedziłeś Tapiego od miesiący. - Tapi był ich synem, stworzonym z ich zmieszanych psychik w pamięci Euclid City. Takie poczucie wróciło do łask dopiero dziesięć lat temu. Przedtem, gdy ortodoksyjni naderyci władali sferami euklidejskimi, na porządku dnia były narodziny naturalne i narodziny ex utero - wraz z piekłem wielowiekowej tradycji Haxamonu. Stąd też dzieci bawiące się w Parku Przepływów za oknem Ram Kikury.

Olmy zmrużył oczy w poczuciu winy z powodu unikania kontaktów z synem. Sprawa ta zawsze szybko wpływała w rozmowie z Suli Ram Kikurą. - Ma się dobrze.

- Potrzebuje nas obojga. Twój reprezentant nie zastąpi ojca. Przygotowuje się do egzaminu wstępnego za kilka miesięcy i potrzebuje...

- Tak, tak. - Olmy prawie żałował, że w ogóle się na niego zdecydowali. Ciężar odpowiedzialności był zbyt duży, szczególnie teraz, gdy tyle sił pochłaniały mu badania. Po prostu nie miał czasu.

- Nie wiem, czy mam być wściekła na ciebie, czy nie - powiedziała. Napotkałeś coś trudnego. Podejrzewam, że kilka lat temu mogłabym zgadnąć, co to jest... - Jej głos był głęboki i równy, dobrze nad nim panowała, jednak nie potrafiła ukryć niepokoju i irytacji z powodu jego uporów. - Cenię cię na tyle, by spytać, co cię gnębi. "Cenię." Najpierw byli kochankami przez tak wiele dziesięcioleci, że trudno by je dokładnie zliczyć. ("Siedemdziesiąt cztery lata," przypomniała nieproszona pamięć implantu.) Uczestniczyli w najbardziej widowiskowym okresie historii Hexamonu. Nigdy poważnie nie zdobywał żadnej kobiety, poza Ram Kikurą. Zawsze wiedział, że dokądkolwiek pójdzie, z kimkolwiek nawiąże przelotny romans, zawsze potem wróci do niej. Była jego dopełnieniem - drugą połową, ani naderytą, ani geszelem w swej polityce, obrońcą przez całe życie, mistrzynią niepowodzeń, niedostrzegającą i niedostrzeganą. Z żadną inną nie stworzyłby Tapiego.

- Studiowałem. To wszystko.

- Ale nie powiesz mi, co studiowałeś. Cokolwiek by to nie było, zmieniłeś się.

- Po prostu patrzę przed siebie.

- Może wiesz o czymś, do czego nie jestem upoważniona? Wracasz z emerytur? Podróż na Ziemię...

Nie odpowiedział nic, więc wycofała się zaciskając mocno usta. - W porządku. Tajemnica. Coś związanego z ponownym otwarciem.

- Nikt czegoś takiego poważnie nie planuje - odparł Olmy, a jego głos zdradził lekkie rozdrażnienie, niestosowne u pięćsetletniego mężczyzny. Tylko Ram Kikura mogła przebić jego zbroję i wywołać taką reakcję.

- Nawet Korzeniowski się z tobą nie zgadza.

- Ze mną? Nigdy nie powiedziałem, że popieram ponowne otwarcie.

- To absurdalne - powiedziała. Teraz już oboje zapuścili sondy pod zbroję. - Porzucić Ziemię z powodu ograniczonych zasobów...

- To nawet mniej prawdopodobne - powiedział miękko.

- ... i ponownie otworzyć Droę. To kłóci się ze wszystkim, co robiliśmy przez ostatnie czterdzieści lat.

- Nigdy nie powiedziałem, że tego pragnę - powtórzył.

Jej pełne pogardy spojrzenie zaszokowało go. Obcość między nimi nigdy nie była tak wielka, by jedno czuło intelektualną pogardę dla drugiego. Ich związek był zawsze mieszaniną namiętności i godności, nawet w okresie najgorętszych kłótni.

- Nikt tego nie chce, ale to byłoby podniecające, prawda? Mieć znów zadanie do wykonania, misję, wrócić do naszej młodości i lat największej potęgi. Znów nawiązać handel z Talsitem. Takie cuda w zanadrzu!

Olmy uniósł lekko jedno ramię potwierdzając, iż było w tym trochę prawdy.

- Nasza praca tutaj nie jest całkiem skończona. Musimy odzyskać całą naszą historię. To mnóstwo pracy.

- Nigdy nie sądziłem, że nasz rodzaj jest powściągliwy - zauważył Olmy.

- Czujesz zew obowiązku, prawda? Przygotowujesz się do tego, co według ciebie się zdarzy. - Suli Ram Kikura wyprostowała się i wstała, chwytając go za ramię bardziej w gniewie niż z miłością. - Czy nigdy nie myśleliśmy podobnie? Czy nasza miłość była tylko przyciąganiem się przeciwieństw? Nie zgadzasz się ze mną, że Rodowici Mieszkańcy mają prawo do indywidualności...

- Wszystko inne zniszczyłoby Uzdrawienie. - To, że powróciła do tego tematu po trzydziestu ośmiu latach, a on znalazł odpowiedź natychmiast, dowodziło, że stary spór jeszcze nie dogasi.

- A zatem nie dogadaliśmy się - stanęła na wprost niego.

Jako obrończyni Ziemi w latach po Odłączeniu i w początkowym okresie Uzdrawienia, Ram Kikura sprzeciwiała się wysiłkom Hexamonu, by zastosować wobec Rodowitych Mieszkańców talsit i inne rodzaje terapii umysłowych. Cytowała ówczesne prawo ziemskie i oddała sprawę do sądu Hexamonu argumentując, że Rodowici Mieszkańcy mają prawo nie poddawać się ani okresowym badaniom zdrowia psychicznego, ani korygującej terapii.

Ostatecznie jej sprzeciw został oddalony na mocy specjalnego prawa zwanego Aktem o Uzdrawieniu.

Tak postanowiono trzydzieści osiem lat wcześniej. Teraz prawie czterdzieści procent Ziemi poddano jakiemuś rodzajowi terapii. Kampania lecznicza została przeprowadzona stanowczo. W niektórych wypadkach przekroczono nieco uprawnień, ale osiągnięto sukces. Choroby umysłowe i zachowania niefunkcjonalne zostały niemal całkowicie wykorzenione.

Ram Kikura zajęła się kolejnymi zagadnieniami, kolejnymi problemami. Pozostali wprawdzie kochankami, lecz ich stosunki były napięte od tamtego czasu.

Łącząca ich pępowina była bardzo mocna. Same nieporozumienia, nawet takie jak te, nie mogły

jej zerwać. Ram Kikura nie rozpaczałyby ani nie okazałyby słabości typowych dla Rodowitych Mieszkańców, zaś Olmy pozbył się takich możliwości przed wiekami. Jej złość była wystarczająco wymowna nawet bez łez. Widział w tym wyjątkowy charakter obywatela Hexamonu, kontrolowane a jednak wyrażone uczucia, smutek, a przede wszystkim - zmartwienie.

- Zmieniłeś się przez ostatnie cztery lata - powiedziała. - Nie umiem tego określić... ale cokolwiek robisz, do czego się nie przygotowujesz, zawsze kurczy się ta twoja część, którą kocham.

Jego oczy zwężyły się.

- Nie będziesz o tym rozmawiać. Nawet ze mną. Potrząsnął wolno głową czując, jak jego wnętrze osiąga kolejny stopień uwiadu, wycofuje się na kolejne pozycje.

- Gdzie jest mój Olmy? - zastanawiała się Ram Kikura. - Co z nim zrobiłeś.

- Ser Olmy! Pański powrót napełnia nas radością. Jak udała się podróż? Prezydent Kies Farren Siliom stał na szerokiej przezroczystej platformie, a błękitny krąg Ziemi wchodził w pole widzenia poniżej niego w miarę jak obracał się Axis Euclid. Pomiędzy pokojem konferencyjnym a otwartą przestrzenią znajdowało się pięć tysięcy metrów kwadratowych jonowanego szkła oraz dwie warstwy pola trakcyjnego. Prezydent stał pośrodku otwartej pustki.

Strój Silioma - białe spodnie z afrykańskiej bawełny i czarna koszula bez rękawów z lnu Thistledown - podkreślał, że spoczywała na nim odpowiedzialność za dwa światy: Uzdrawioną Ziemię, nad której wschodnią półkulą, u jego stóp, rozpoczynał się poranek, i stacje orbitalne: Axis Euclid i Thoreau oraz asteroidalny statek gwiazdny Thistledown.

Olmy stał bokiem do pustej przestrzeni za zewnętrzną powłoką kosmicznego globu. Ziemia wyszła już z pola widzenia. Oddał oficjalny pokłon Farren Siliomowi po czym powiedział głośno: - Podróż miałem spokojną.

Przez trzy dni cierpliwie pisał listy - także podczas kłopotliwej wizyty u Suli Ram Kikury - zanim zdecydowano się go wysłuchać. Niezliczoną ilość razy czekał już na ministrów i pomniejszych urzędników. Zdał sobie sprawę, że z upływem wieków wytworzyła się w nim typowa dla starych żołnierzy postawa wyższości wobec przełożonych i pełnej szacunku protekcjonalności wobec urzędowej hierarchii.

- A pański syn?

- Nie widziałem go od pewnego czasu, panie prezydencie. Wiem, że ma się dobrze.

- Cały rocznik dzieci przystępuje wkrótce do egzaminów wstępnych - powiedział Farren Siliom. - Wszyscy będą potrzebowali ciał i zawodów, jeśli zdadzą tak dobrze jak, z pewnością, zda pański syn. To kolejne obciążenia dla naszych ograniczonych zasobów. - Tak. - Zaprosiłem moich dwu współpracowników, by uczestniczyli w części pańskiego wystąpienia - oświadczył prezydent składając ręce za plecami.

Dwa wyznaczone duchy - wyprojektowani reprezentanci osobowości przez pewien czas niezależni od oryginałów - pojawiły się obok prezydenta. Olmy rozpoznał jednego z nich, przywódcę neogeszelów w Axis Euclid, Toberta Thomsona Tikka, jednego z trzydziestu senatorów Euklideskich w Nexus. Olmy prowadził dochodzenie w sprawie Tikka w początkowej fazie misji, choć nigdy nie spotkał senatora osobiście. Reprezentant Tikka wyglądał nieco bardziej elegancko i muskularnie niż oryginał. Był to sposób pokazywania się zdobywający popularność wśród bardziej radykalnych polityków w Nexus.

Pojawianie się częściowych osobowości nie było czymś nowym. Przez trzydzieści lat po Oddzieleniu, separacji Thistledown od Drogi, ortodoksyjni naderyci mieli władzę w Hexamonie i takie manifestacje rozwiniętej technologii były zarezerwowane na specjalne okazje. Teraz ich użycie było na porządku dziennym. Przedstawiciel neogeszelów, taki jak Tikk, nie miał nic przeciwko

rozsyłaniu swoich reprezentantów po Hexamonie, nawet z błahych powodów.

- Pan Olmy zna już senatora Tikka. Nie sędzę, aby miał pan okazję spotkać senatora Rasa Mishineya, który jest senatorem Australii i Nowej Zelandii. W tej chwili jest w Melbourne.

- Proszę wybaczyć drobne spóźnienie, panie Olmy - powiedział Mishiney.

- To drobiazg - odparł Olmy. Przesłuchanie było czystą formalnością, gdyż większość jego raportów była zanotowana ze wszelkimi szczegółami i grafikami. Tym bardziej zaskoczyło go, że Farren Siliom zaprosił świadków. Dobry przywódca wie, kiedy dopuścić przeciwnika - lub przeciwników - do wysokich funkcji. Olmy wiedział niewiele o Mishineyu.

- Proszę mi pozwolić jeszcze raz przeprosić za zakłócenie panu zasłużonego odpoczynku emerytalnego. - Światło ziemskie zalało prezydenta. Cała stacja obróciła się i Ziemia znów przesuwała się pod nimi. - Wypełniał pan swoje obowiązki przez stulecia. Uznaliśmy, że najlepiej skorzystać z pomocy kogoś z pańskim doświadczeniem i wiedzą. Problemy, z którymi się teraz borykamy, mają oczywiście charakter historyczny...

- Problemu kultury, być może - Tikk wszedł mu w słowo. Olmy uznał, że to dość zuchwałe, gdy reprezentant osoby przerywa prezydentowi - to był właśnie styl neogeszeli.

- Zakładam, że czcigodni goście znają zadanie, które mi pan wyznaczył - powiedział Olmy, kłaniając się duchom. "Ale nie całe zadanie." Prezydent powstał. Księżyc prześlizgnął się pod nimi - malutki platynowy sierp. Wszyscy czterej stali w pobliżu środka platformy, sylwetki gości dyskretnie migotały, zdradzając ich niekompletną naturę. - Mam nadzieję, że to zadanie jest mniej żmudne niż te, dzięki którym zdobył pan sławę.

- Absolutnie nie żmudne, panie prezydencie. Obawiałem się, że utracę łączność z istotą Hexamonu.

Prezydent uśmiechnął się. Nawet Olmy nie mógł sobie wyobrazić starego konia bojowego poświęcającego się studiom w domowym zaciszu.

- Wysłałem pana Olmy'ego z misją do Uzdrowionej Ziemi, aby bezstronnie zbadał, jak układają się nasze wzajemne stosunki. To było konieczne, zważywszy na cztery zamachy na urzędników Hexamonu i ziemskich przywódców. My w Hexamonie nie jesteśmy przyzwyczajeni do tak... skrajnych postaw.

- To mogą być ostatnie pozostałości politycznej przeszłości Ziemi, ale mogą też wskazywać na napięcia, których nie jesteśmy świadomi - skutek naszego „zaciskania pasa” w stacjach orbitalnych.

- Poprosiłem go, by przygotował sprawozdanie z postępów Uzdrowienia na Ziemi. Niektórzy sądzą, że zostało zakończone i nie ma już nic więcej do zrobienia. Ja nie jestem o tym przekonany. Ile czasu i ile wysiłku trzeba poświęcić, by przywrócić pełnię zdrowia na Ziemi?

- Uzdrowienie postępuje tak dobrze, jak tego oczekiwaliśmy, panie prezydencie. - Olmy świadomie zmienił ton głosu i styl. - Jak może potwierdzić senator Australii i Nowej Zelandii, nawet potężna technologia nie może skompensować braku zasobów, szczególnie gdy pragniemy dokonać takiego przedsięwzięcia w ciągu zaledwie kilku dekad. Nie możemy skrócić czasu, który w naturalny sposób jest potrzebny, by ziemskie rany się zagoiły. Oceniam, że około połowa zadania została wykonana, jeśli przyjąć, że celem ostatecznym jest przywrócenie warunków gospodarczych sprzed nadejścia Śmierci.

- Czy to nie zależy od celów, jakie sobie stawiamy na Ziemi? - zapytał Ras Mishiney. - Jeśli pragniemy podnieść Ziemiaków do poziomu porównywalnego ze stacjami orbitalnymi czy Thistledown... - Nie potrzebował kończyć zdania.

- Mogłoby to zająć całe stulecie albo i dłużej - powiedział Olmy. - Nie ma powszechnej zgody co do tego, czy Rodowici Mieszkańcy chcą tak gwałtownego postępu. Niektórzy, bez wątpienia,

przeciwstawiają się temu otwarciu.

- Jak układają się teraz nasze stosunki z Ziemią?

- Można by je znacznie poprawić. Wciąż istnieją obszary, gdzie napotykamy silny i zdecydowany polityczny opór, na przykład Południowa Afryka i Malezja.

Ras Mishiney uśmiechnął się ironicznie. Próba inwazji Południowej Afryki na Australię była wciąż bolesnym wspomnieniem. Był to jeden z największych kryzysów podczas czterech dekad Uzdrawienia.

- Jednak opór ma charakter wyłącznie polityczny, nie militarny, i nie jest zorganizowany. Południowa Afryka została ujarzmiona po klęsce Yoortrekera, a działania Malezji są niezorganizowane. Nie są w tej chwili dokuczliwi.

- Nasze małe „święte plagi” wykonały swoją pracę? Olmy był zaskoczony. Użycie środków psychobiologicznych na Ziemi miało być ściśle tajne. Tylko kilku najbardziej zaufanych Rodowitych Mieszkańców wiedziało o nich. Czy Ras Mishiney był jednym z nich? Czy Farren Siliom ufał Tikkowi tak bardzo, że mógł o tym wspomnieć przypadkowo?

- Tak.

- A jednak miał pan wyrzuty sumienia z powodu ich masowego zastosowania?

- Zawsze uważałem, że były konieczne.

- Nawet najmniejszych wątpliwości?

Olmy poczuł się tak, jak gdyby się z nim bawiono. Nie sprawiało mu to przyjemności. - Jeśli chodzi panu o sprzeciw dawnej obrończyni Ziemi, Suli Ram Kikury... niekoniecznie dzielimy te same poglądy polityczne, nawet jeśli dzielimy łóżko.

- To są minione sprawy. Proszę wybaczyć, że przerwałem. Niech pan kontynuuje, ser Olmy.

- Wciąż istnieje silne podskórne napięcie pomiędzy Ziemianami a rządzącymi partiami w stacjach orbitalnych.

- To dla mnie bolesna zagadka - powiedział Farren Siliom.

- Nie jestem pewien, czy da się to przezwyciężyć. Tak często są nam niechętni. Odebraliśmy im ich młodość...

- Wyciągnęliśmy ich ze Śmierci! - prezydent przerwał ostro. Duch Ras Mishiney a uśmiechnął się blado.

- Uniemożliwiliśmy im samodzielny rozwój i odzyskanie zdrowia o własnych siłach. Ziemiński Hexamon, który zbudował i wystrzelił Thistledown, powstał z tego nieszczęścia niezależnie. Niektórzy Rodowity Mieszkańcy prawdopodobnie czują, że pomogliśmy zbyt wiele i narzuciliśmy im własny styl życia.

Farren Siliom zgodził się bez entuzjazmu. Olmy dostrzegł uszczywienie postawy hexamońskich administratorów wobec Rodowitych Mieszkańców w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Oni sami zaś, w znacznej części nieokrzesani, wciąż przerażeni Śmiercią, pozbawieni politycznych i kierowniczych umiejętności, które nagromadziły stuletnie doświadczenia Drogi - poczuli niechęć do stanowczej, choć łagodnej ręki ich potężnego potomka.

- Ziemiński senat jest spokojny i chętnie współpracuje - powiedział Olmy unikając spojrzenia Ras Mishineya. - Najwięcej niezadowolonych - poza obszarami, o których już mówiliśmy - dostrzegam w Chinach i Południowowschodniej Azji.

- Gdzie nauka i technika odrodziły się najpierw po Śmierci, w naszej własnej historii... silni i uparci ludzie. Jak bardzo Rodowity Mieszkańcy czują się urażeni naszą obecnością?

- Z pewnością nie na tyle, by zainicjować ogólnoziemski sprzeciw, panie prezydencie. To jest niechęć, ale nie wściekła nienawiść.

- A co z Geraldem Brookiem w Anglii?
- Spotkałem go. Nie jest groźny.
- Niepokoi mnie. Ma w Europie zwolenników.
- Co najwyżej dwa tysiące spośród dziesięciu milionów uzdrowionej ludności. Jest hałaśliwy, ale brak mu siły. Czuje głęboką wdzięczność za to, co Hexamon zrobił dla Ziemi... drażnią go tylko ci administratorzy, którzy traktują ziemian jak dzieci. "Jest ich zbyt wielu," pomyślał.
- Drażnią ich moi administratorzy. - Prezydent postąpił krok do przodu. Olmy obserwował go ironicznie. Politycy z pewnością zmienili się od czasu jego młodości - nawet od czasu Odłączenia. Przestrzeganie etykiety było już sztuką przeszłości. - A ruchy religijne?
- Są tak silne jak zawsze.
- Mm. - Farren Siliom potrząsnął głową, jakby smakując złe wiadomości, by podsycić tłącą się irytację.
- Są, co najmniej, trzydzieści dwie grupy religijne, które nie chcą widzieć pańskich administratorów w roli duchowych przywódców...
- Nie oczekujemy, aby uznawali nas jako duchowych przywódców - odparł Farren Siliom.
- Niektórzy urzędnicy próbowali już wielokrotnie narzucić Rodowitym Mieszkańcom rządu Dobrego Człowieka - przypomniał mu Olmy. - Nawet wobec współczesnych czcigodnemu Naderowi... - Ile to już lat temu pewien fanatyczny ortodoksyjny naderyta zalecił stosowanie nielegalnych środków psychobiologicznych, aby nawracać niewiernych na religię Gwiazdy, Losu i Pneumy? Piętnaście? Olmy i Ram Kikura pomogli zatrzymać tę inicjatywę, zanim jeszcze dotarła na tajne posiedzenie izby Nexus. Olmy niemal z dnia na dzień dał się potem przekonać do tej radykalnej idei.
- Musieliśmy stawiać czoła tym heretykom - powiedział Farren Siliom.
- Być może za mało stanowczo. Wielu z nich wciąż ma duże wpływy i kontynuuje swoje działania. W każdym razie żaden z tych ruchów nie popiera otwartego buntu.
- Obywatelskie nieposłuszeństwo?
- To jest prawo zagwarantowane w Hexamonie - odrzekł Olmy.
- Z którego korzystano bardzo rzadko w ostatnich dziesięcioleciach - Farren Siliom nie ustępował.
- A jeśli chodzi o Odnowione Przedsięwzięcia?
- Nie są groźne.
- Nie? - Prezydent wydawał się prawie rozczarowany.
- Nie. Ich cześć dla Hexamonu jest szczerą, cokolwiek byśmy nie powiedzieli o ich pozostałych przekonaniach. Poza tym ich przywódczyni zmarła trzy tygodnie temu w dawnym terytorium Nevady.
- Naturalną śmiercią, panie prezydencie - dodał Tikk. - To ważne rozróżnienie. Odrzuciła propozycję przedłużenia życia lub zmagazynowania jej danych w implanicie...
- Odmówiła - uzupełnił Olmy - gdyż możliwości te nie były dostępne dla jej uczniów.
- Nasze zasoby nie są tak wielkie, by zapewnić każdemu obywatelowi Ziemskiego Hexamonu nieśmiertelność - powiedział Farren Siliom. - Zresztą nie byłiby do tego społecznie przygotowani.
- To prawda - przyznał Olmy. - A jednak... nigdy nie przeciwstawiali się planom Hexamonu poza ich własnym terytorium.
- Czy spotkał się pan z Senatorem Kanazawą na Hawajach? - zapytał Ras Mishiney z pewnym niesmakiem. Olmy nagle zrozumiał, dlaczego senator brał udział w spotkaniu - ponieważ całym sercem był zaangażowany po stronie stacji orbitalnych.
- Nie - odpowiedział Olmy. - Nie sądziłem, że jest tak skłonny do współpracy z Hexamonem.

- Zgromadził dużo władzy w swoim ręku w ciągu ostatnich kilku lat. Szczególnie w rejonie Pacyfiku.

- Jest kompetentnym politykiem i administratorem - powiedział Farren Siliom, powstrzymując błyskawicznie senatora. - To nie nasz obowiązek utrzymać władzę na zawsze. Jesteśmy lekarzami i nauczycielami, a nie tyranami. Czy jest jeszcze coś ważnego, panie Olmy?

- Było, lecz Olmy wiedział doskonale, że nie będą o tym rozmawiać w obecności duchów.

- Nie, panie prezydencie. Wszystkie szczegóły są urzędowo zarejestrowane.

- Panowie - rzekł prezydent unosząc ramiona i otwierając dłonie ku nim. - Czy są jakieś pytania do pana Olmy'ego?

- Tylko jedno - powiedział reprezentant Tikka. - Jakie jest pana stanowisko w kwestii ponownego otwarcia Drogi?

Olmy uśmiechnął się.

- Moje poglądy w tej sprawie są całkowicie nieistotne, panie Tikk.

- Mój oryginał jest bardzo ciekaw poglądów ludzi, którzy tak dobrze pamiętają tamtą Drogę. - Tikk urodził się dopiero po Oddzieleniu. Był jednym z najmłodszych przedstawicieli neogesze Axis Euclid.

- Pan Olmy ma prawo zachować swoją opinię dla siebie - powiedział Farron Siliom.

Tikk przeprosił bez widocznej skruchy.

- Dziękuję, panie prezydencie - powiedział duch Mishineya. - Cenię pańską współpracę z parlamentem ziemskim. Oczekuję z niecierpliwością szczegółów pana raportu, panie Olmy.

Goście zniknęli pozostawiając ich samych ponad bezdenną pustką, opuszczoną przez Ziemię i Księżyc. Olmy spojrzał w dół i spostrzegł błyskające światło pośród gwiazd: Thistledown, pomyślał, a jego bank danych szybko dokonał obliczeń, które potwierdziły to przypuszczenie.

- Ostatnie pytanie, panie Olmy, zanim zakończymy nasze spotkanie. Jeśli stronnictwo neogeszełków nakłoni Hexamon do ponownego otwarcia Drogi, czy będziemy dysponowali wystarczającymi środkami, by móc nadal wspierać Ziemię tak jak dotąd.

- Nie, panie prezydencie. Jeśli ponowne otwarcie się powiedzie, główne projekty rehabilitujące ulegną przynajmniej znacznemu opóźnieniu.

- Już i tak bardzo nadwyrężyliśmy nasze zasoby, czyż nie? Bardziej niż chce tego Hexamon. A mimo to niektórzy ziemianie - między innymi Mishiney - którzy są przekonani, że ponowne otwarcie przyniesie korzyść nam wszystkim. - Prezydent potrząsnął głową a jego piktor przedstawił symbol osądu i symbol skrajnej głupoty: człowieka ostrzającego groteskowo długi miecz. Ukazany symbol, choć pozbawiony wojennej wymowy, miał zabarwienie, które zaskoczyło Olmy'ego. "Z kim wojna?"

- Musimy nauczyć się przystosowywać i żyć w danych nam okolicznościach. Jestem o tym głęboko przekonany - powiedział Farren Siliom. - Lecz moje wpływy nie są nieograniczone. Zbyt wielu naszych ludzi tęskni coraz bardziej za domem. Czy może pan to sobie wyobrazić? Nawet ja. Byłem jednym z tych podżegaczy, którzy popierali Rosena Gardnera i domagali się powrotu na Ziemię, o której myśleliśmy, że jest naszym prawdziwym domem - ale nikt obecny w Drodze nigdy nie był na Ziemi! Wyobrażamy sobie, że jesteśmy bardzo wyrafinowani, a jednak nasze najgłębsze uczucia są irracjonalne i niestałe. Może lepszy talsit coś by tu pomógł, prawda?

Olmy uśmiechnął się bez przekonania.

Ramiona prezydenta gwałtownie opadły. Z wysiłkiem uniósł je ponownie. - Powinniśmy nauczyć się żyć bez tych luksusów. Dobry Człowiek nigdy nie korzystał z talsitu. - Podszedł do krawędzi platformy jakby chcąc uniknąć otchłani u ich stóp. Ziemia ponownie wchodziła w pole widzenia. - Czy neogeszełowie mają zwolenników na Ziemi? Oprócz ludzi pokroju Mishineya?

- Nie. Oni nie zwracają uwagi na Ziemię, panie prezydencie.

- Ostatnia rzecz, jakiej bym się spodziewał po takich marzycielach. To polityczne źródło, którego nie dostrzegają - i będą tego żałować. Nie sądzą chyba, że Ziemia nie będzie miała prawa głosu w sprawie takiej decyzji! A na Thistledown?

- Wciąż prowadzą otwartą kampanię. Nie znalazłem oznak wywrotowej działalności.

- Oto chwiejna równowaga, którą człowiek na moim stanowisku musi utrzymać, rozgrywając przeciw sobie liczne ugrupowania. Wiem, że czas mojego urzędowania tutaj jest ograniczony. Nie potrafię ukrywać swoich poglądów, a nie są to poglądy łatwe dziś do utrzymania. Od trzech lat zwalczam plany ponownego otwarcia. Nie umrę. Ale nie mogę pozbyć się myśli, że nic dobrego z tego nie wyjdzie. Nie możesz wrócić do domu. Szczególnie jeśli nie wiesz, gdzie ten dom jest. Żyjemy w trudnych czasach. Niedobory, znużenie. Czasem ponowne otwarcie wydaje mi się nieuchronne... Ale jeszcze nie teraz! Nie wcześniej niż zakończymy nasze zadanie na Ziemi. - Farren Siliom spojrział na Olmy'ego, a jego oczy wyrażały niemal błaganie. - Obawiam się, że jestem tak ciekawski jak senator Tikk. Jaki jest pański pogląd w sprawie Drogi?

Olmy delikatnie potrząsnął głową. - Jestem gotów żyć bez niej, panie prezydencie.

- Jednak wkrótce nie będzie pan w stanie odnawiać swojego ciała... Czy niedobory są już bardzo dotkliwe?

- Tak - przyznał Olmy.

- Powierzy się pan pamięci miejskiej dobrowolnie?

- Albo śmierci - powiedział Olmy. - Ale to jeszcze daleka przyszłość.

- Tęskni pan za przygodami, możliwościami?

- Staram się nie martwić o przyszłość - odrzekł Olmy. Od dawna wiedział, kiedy należy być otwartym, a kiedy nie.

- Był pan zagadką przez wszystkie stulecia pańskiej służby. O tym świadczą raporty. Nie będą nalegał. Zależy mi tylko na zwięzłej ocenie - co może nas czekać, gdybyśmy znów otwarli Drogę?

Olmy nie odpowiedział przez chwilę. Prezydent chyba wiedział o wiele więcej o jego niedawnych badaniach, niż było mu to na rękę. - Droga może być opanowana przez jartów.

- Otóż właśnie. Neogeszelowie w swym entuzjazmie nie dostrzegają takiej ewentualności. Ja muszę o tym myśleć. Wiem o pańskich badaniach. Mam nadzieję, że kieruje się pan rozważą.

- Co ma pan na myśli?

- Przeszukuje pan pamięć miejską i biblioteki na Thistledown. Mam swoich własnych informatorów, panie Olmy. Podejrzewam, że ma pan dostęp do informacji bezpośrednio związanych z ponownym otwarciem. Studiuje pan od lat, jak sędzę, a ktoś prywatnie to finansuje. - Farren Siliom spojrział na niego przenikliwie, a potem stanął tyłem do balustrady i zaczął stukać w nią dłońią. - Oficjalnie, zwalnam pana z wszelkich dalszych obowiązków. Prywatnie, namawiam pana do kontynuowania badań.

Olmy zgodził się.

- Dziękuję panu za pańską pracę. Gdyby miał pan jakieś dalsze istotne uwagi, proszę mnie koniecznie powiadomić. Pańskie opinie są niezwykle cenne, choć być może nie jest pan przekonany, że ich potrzebujemy.

Olmy opuścił platformę. Ziemia pojawiła się ponownie w polu widzenia. Przypominała o nieustającej odpowiedzialności, była obcym domem, symbolem bólu i triumfu, klęski i odrodzenia.

3.

Gaia, Wyspa Rodos, Wielka Aleksandryjska Oikoumene

Rok Aleksandra 2331 - 2342

Rita Berenika Vaskayza wzrastała dzika na wybrzeżu koło starożytnego portu Lindos aż do siódmego roku życia. Rodzice oddali ją na wychowanie słońcu i morzu ucząc tylko tego, czego sama chciała się nauczyć.

Była brązowym stworzeniem o nagich kończynach i wielkich oczach, nieuchwytnym pośród brązowych, białych i połączanych murów, kolumn i stopni opuszczonego akropolu. Z jasnego przedsionka sanktuarium Athene Lindia, gdzie pod kruszącymi się ścianami wyrastały palmy, spoglądała w bezkres morza, śledząc nieustający pochód fal ku skalistemu brzegowi.

Czasami wkradała się do szopy, w której umieszczono gigantyczną rzeźbę Athene. Potężna bogini stała pogodnie w mroku, podobna do azjatki w promiennej mosiężnej koronie, z kamienną tarczą dużych rozmiarów. Niewielu mieszkańców Lindos przychodziło tutaj. Obawiali się, że miejsce jest nawiedzone przez duchy perskich obrońców zmarłych przed wiekami, zmasakrowanych, gdy Oikoumene przejmowała władzę na wyspie. Czasami pojawiali się turyści z Aigyptos lub głównego ładu, ale nie zdarzało się to często. Morze Środkowe nie było już dobrym miejscem do wypoczynków.

Rolnicy i pasterze Lindos uważali ją za Artemidę i wierzyli, że przynosi im szczęście. W miasteczku witały ją serdeczne uśmiechy znajomych twarzy.

Na siódme urodziny matka, Berenika, zabrała ją na Rodos. Nie zapamiętała wiele z największego na wyspie miasta, poza ogromnym Kolos Neos ze spiżu, wzniesionym cztery stulecia temu. Obecnie brakowało mu jednego ramienia, a z drugiego pozostała tylko połowa.

Matka, kobieta o rudych włosach i, jak córka, dużych oczach, poprowadziła ją do domu z bielonej cegły i kamienia, w którym mieściła się siedziba didaskalosa Akademii pierwszego stopnia, nadzorującego edukację dzieci. Rita stała przed nim samotnie w nagrzanym słońcem pokoju egzaminacyjnym, z gołymi stopami, w prostym białym ubraniu i odpowiadała na proste lecz ważne pytania. Była to wprawdzie tylko formalność, jeśli wziąć pod uwagę, że to jej babka założyła Akademeia Hypateia, a jednak ważna formalność.

Później matka powiedziała jej, że została przyjęta do szkoły podstawowej a lekcje rozpocznie, gdy ukończy dziewięć lat.

Berenika zabrała Ritę z powrotem na Lindos, gdzie życie dziewczynki toczyło się jak dawniej, choć więcej było w nim książek i lekcji do przygotowania, a mniej szaleńczych zabaw z wiatrem i wodą.

Nie odwiedzili sophe w czasie podróży. Była chora i choć niektórzy mówili, że umiera, wróciła do zdrowia po dwu miesiącach. Wszystko to niewiele znaczyło dla małej Rity, która prawie nie знаła swojej babki - widziała ją zaledwie dwukrotnie w życiu.

Gdy rozpoczęło się lato, po którym Rita miała oficjalnie rozpocząć naukę szkolną, babka wezwała ją na Rodos, by zamieszkała u niej przez pewien czas. Sophe prowadziła pustelnicze życie. Wielu mieszkańców Rodos uważało ją za boginię. Pochodzenie i historie narosłe wokół niej zdawały się za tym przemawiać. Rita nie miała wyrobionego zdania. To, co słyszała od rodziców i innych

mieszkańców Lindos, wzajemnie sobie przeczyło i wprowadzało tylko zamieszanie.

Matka Rity była głęboko poruszona tym wyróżnieniem, jakim Patrikia nie obdarowała żadnego ze swych pozostałych wnucząt. Ojciec, Rhamon, przyjął to ze spokojem i godnością. Taki właśnie był w dniach poprzedzających śmierć sophe i walkę stronnictw w Akademii. Oboje zawieźli córkę na Rodos konnym zaprzęgiem tą samą, wysadzaną orzechami i oliwkami drogą, co dwa lata wcześniej.

Dom Patrikii stał na skalistym półwyspie z widokiem na Wielki Port Morski. Był to mały budynek z kamienia i gipsu, w stylu późno perskim, z czterema pokojami i osobną pracownią nad niskim klifem, ponad plażą. Gdy wspinali się ścieżką prowadzącą przez ogród warzywny, Rita przyglądała się antycznej Fortecy Kamybses po drugiej stronie portu, która wznosiła się jak wielka kamienna filizanka na końcu szerokiego mola. Forteca została opuszczona siedemdziesiąt lat temu, a teraz była odnawiana przez Oikoumene. Robotnicy wspinający się na grube popękane ściany wydawali się drobni jak myszy. Kolos Neos strzegł wejścia do portu kilkadziesiąt metrów przed fortecą. Wciąż bez ramion, stał z godnością na własnym kamiennym bloku otoczonym wodą.

- Czy ona jest czarownicą? - Rita zapytała Rhamona przed drzwiami. - Csss - ostrzegła Berenika, kładąc palec na wargach Rity.

- Nie jest czarownicą - odparł z uśmiechem. - Jest moją matką.

Rita pomyślała, że byłoby miło, gdyby służący otworzył drzwi, lecz sophe nie miała służących. Patrikia Vaskayza, we własnej osobie, stanęła uśmiechnięta w drzwiach. Była wysuszoną i chudą jak kij siwą kobietą o brązowej skórze, a jej przebiegłe, głęboko osadzone oczy były otoczone twardymi zmarszczkami. Nawet w letnim upale wiatr od wzgórz był chłodny i Patrikia miała na sobie sięgającą do ziemi, czarną suknię.

Gdy dotknęła policzka Rity suchą opuszką palca, dziewczynka pomyślała: "Jest zrobiona z drewna." Lecz dłoń sophe była miękka i pachniała słodko. Zza pleców wydobyła wieniec kwiatów i włożyła Ricie na szyję. - To stara tradycja z Hawajów - wyjaśniła.

Berenika stała z pochyloną głową przyciskając ręce do boków. Rita spostrzegła lęk matki i odczuła dezaprobatę. Sophe była stara i bardzo koścista, lecz nie przerażająca. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Rita musnęła wianek na szyi i spojrzała na ojca, który dodał jej otuchy uśmiechem.

- Zjemy lunch - powiedziała Patrikia głosem silnym i głębokim jak u mężczyzny.

Poszła wolno w stronę kuchni, odmierzając starannie każdy krok, a stopy w rannych pantoflach szurały po nierównej, czarnej podłodze wyłożonej kafelkami. Jej ręce dotknęły oparcia krzesła, jakby witała przyjaciela, potem stuknęła w brzeg starej żelaznej miednicy, a wreszcie pogładziła krawędź bielonego drewnianego stołu, na którym piętrzyły się owoce i sery. - Po tym jak mój syn i synowa pojechali do domu - mili ludzie, ale trochę się narzucają - możemy naprawdę porozmawiać. Sophe posłała Ricie krótkie spojrzenie, a ta - wbrew sobie - skinęła konspiracyjnie głową na znak zgody.

Wiele czasu w ciągu następnych dwu tygodni spędziły razem. Patrikia opowiadała, a Rita słuchała, choć wiele opowieści знаła już wcześniej od swojego ojca. Ziemia Patrikii różniła się od Gai, na której wzrastała Rita; historia toczyła się tutaj inaczej.

Pewnego mglistego dnia, gdy wiatr ustał a morze wydawało się pogrążone we śnie pod szklaną pokrywą, babka prowadziła swą wnuczkę do pobliskiego gaju pomarańczowego, przewiesiwszy przez ramię koszyk na owoce. - W Kalifornii były kiedyś wszędzie gaje pomarańczowe, pełne pięknych owoców, o wiele większych niż te. - Patrikia uniosła w cienkich silnych palcach czerwony owoc wielkości śliwki. - Gaje prawie zupełnie znikły zanim byłam w twoim wieku. Zbyt wielu ludzi chciało tam mieszkać. Nie wystarczyło miejsca dla owoców.

- Czy Kalifornia jest tam czy tutaj, babciu? - zapytała Rita.

- Tam. Na Ziemi - odpowiedziała Patrikia. - Tutaj nie ma takiej nazwy. - Przerwała i zamyśliła

się patrząc w niebo. - Nie wiem, co się teraz dzieje w miejscu, gdzie w tym świecie byłaby Kalifornia... Sądzę, że jest tam część zachodniej pustyni Nea Karkhedon.

- Pełno tam czerwono skorych z łukami i strzałami - podpowiedziała Rita.

- Być może, być może.

Po kolacji w kuchni, Rita słuchała z uwagą sophe w upragnionym chłodzie letniego wieczoru, przy oliwnej lampce, która migotała i dymiała na plecionym stoliku pomiędzy nimi, gdy piły gorącą herbatę. - Twoja prababka, a moja matka, odwiedza mnie od czasu do czasu...

- Czy jest w tym drugim świecie?

Patrikia uśmiechnęła się i skinęła głową, a jej pełną zmarszczek twarz oświetliło złotopomarańczowe światło. - To jej nie powstrzymuje. Przychodzi, gdy śpię, i mówi, że jesteś bardzo inteligentną dziewczyną, cudownym dzieckiem. Jest dumna, że nosisz jej nazwisko. - Patrikia pochyliła się do przodu. - Twoja prababka jest dumna z ciebie. Ale nie pozwól, byśmy cię przygniotły tymi pochwałami, moja droga. Masz dość czasu, by się bawić i marzyć, zanim dorośniesz i nadejdzie twój dzień.

- Jaki dzień, babciu?

Patrikia uśmiechnęła się tajemniczo i spojrzała ku horyzontowi. Aphrodite błyszczała i migotała ponad wodą, jak dziura w czarnym, jedwabnym abażurze.

* * *

Gdy Rita powróciła do domu Patrikii dwa lata później, nie była już dzikim dzieckiem starającym się zachowywać uprzejmie w obecności niemożliwie starej babki. Była rozmiłowaną w nauce, elegancko ubraną młodą dziewczyną, która lada chwila miała stać się kobietą. Patrikia natomiast nie zmieniła się. Rita miała wrażenie, że jest jak dobrze zakonserwowany owoc albo aigipska mumia, która będzie istnieć wiecznie.

Tym razem rozmawiały więcej na temat historii. Rita wiedziała całkiem sporo o przeszłości Gai, ale nie dokładnie to, czego Oikoumene chciała ją nauczyć. Akademeia Hypateia wykorzystywała na swoją korzyść odległość między Rodos i Aleksandrią. Przed dziesięcioleciem Imperiał Hypselotes Kleopatra XXI pozostawiła sophe dużo więcej swobody w sprawach programu nauczania niż daliby jej królewscy doradcy.

W wieku jedenastu lat Ricie nie była już obca polityka, jednak matematyka i nauki ścisłe bardziej przykuwały jej uwagę.

Podczas długich wieczorów spędzonych na ganku, gdy dzień dogasał nad fioletowoszaroczerwonym horyzontem, Patrikia opowiadała Ricie o tym, jak Ziemia prawie doprowadziła do swojej zagłady. I o tym, jak z gwiazd przybył Kamień, wydrążony jak tykwa lub jakiś egzotyczny minerał, zbudowany przez dzieci Ziemi z przyszłości. Ritę zaintrygowała subtelność geometrii, dzięki której tak wielki obiekt mógł być cofnięty w czasie do innego, bardzo podobnego wszechświata. Lecz jej głowę wypełniły złote pszczoły, gdy Patrikia opisywała korytarz, Drogę, dzieci Ziemi podróżujące na Kamieniu...

Spała niespokojnie i śniła o tym miejscu w kształcie niekończącej się, wydrążonej rynny, z dziurami kąpiącymi na nieskończenie wiele światów...

Gdy uprawiały ogród, pielily chwasty i tępiły insekty, sadyły barykady z czosnku wokół wrażliwych młodych kwiatów, Patrikia opowiadała Ricie historię swojego przybycia na Gaię. Była młoda, miała sześćdziesiąt lat, gdy pozwolono jej szukać przejścia do Drogi, dzięki któremu mogła przedostać się na Ziemię wolną od wojen jądrowych, aby jej rodzina mogła żyć dalej.

Jednak pomyliła się w obliczeniach i przybyła na Gaię.

- Najpierw zostałam wynalazcą - powiedziała. - Wymyślałam rzeczy, które znałam z Ziemi. Dałam im bikiykos. Narzędzia rolnicze. Rzeczy, które pamiętałam. - Zamachała rękoma odpędzając coś od siebie. - To trwało tylko kilka lat. Zaczęłam pracować dla Mouseionu, a ludzie zaczęli wierzyć w moje historie. Niektórzy uważali mnie za coś więcej niż człowieka, czym - potrząsnęła stanowczo głową - nie jestem. Umrę, moja droga, i to prawdopodobnie już wkrótce.

Po pięciu latach pobytu na Gai Patrikia została wezwana przez Ptolemaiiosa XXXIV Nikephorosa. Stary władca długo ją wypytywał, zbadał urządzenia, które ze sobą przywiozła i uchroniła przed zniszczeniem, w końcu uznał ją za prawdziwy cud. - Oświadczył, że najwyraźniej nie jestem boginią ani demonem i włączył mnie do swego dworu. To był trudny czas. Popełniłam błąd i opisałam im ziemskie uzbrojenie. Domagali się, bym pomogła im zbudować większe bomby. Odmówiłam. Nikephoros zagroził, że wtrąci mnie do więzienia - bardzo mu wtedy zagrażały armie z pustyni libijskiej. Chciał się ich pozbyć jednym uderzeniem. Powtarzałam mu wciąż od nowa, co bomby przyniosły Ziemi, ale nie chciał słuchać. Spędziłam miesiąc w więzieniu w Aleksandrei, a gdy mnie uwolnił, wysłał na Rodos z poleceniem, abym założyła tu akademię. Zmarł pięć lat później, gdy Hypateion działał już całkiem sprawnie. Miałam do czynienia z jego synem... miły chłopiec, raczej słaby. Potem przyszła jego córka... najpierw oczywiście jej matka - silna, zdecydowana kobieta, lecz inteligentna, a potem sama Imperiał Hypselotes, gdy osiągnęła odpowiedni wiek...

- Podoba ci się tutaj? - zapytała Rita, poprawiając szeroki słomkowy kapelusz. Patrikia wydeła pomarszczone wargi i potrząsnęła głową ponuro, nie potwierdzając ani nie zaprzeczając.

- To mój świat i zarazem nie mój - powiedziała. - Gdybym mogła, wróciłabym do siebie.

- Mogłabyś?

Patrikia pokiwała głową w stronę jasnego nieba. - Być może. Ale nie ma wielkich szans. Pewnego razu inna brama powstała na Gai i z poparciem królowej spędziłam lata poszukując jej. Była jak duch na bagnach. Znikała, pojawiała się gdzie indziej, znikała znowu. Nie ma jej już od dziewiętnastu lat.

- Czy mogłabyś wrócić nią na Ziemię, gdybyś ją znalazła?

- Nie - powiedziała Sophie. - Prawdopodobnie dostałabym się do Drogi. Jednak stamtąd mogłabym może wrócić do domu.

Rita posmutniała, słysząc jak głos starej kobiety załamał się na ostatnim słowie, zaś czarne, kocie oczy w głębokim cieniu jej kapelusza zamknęły się, a następnie zastygły półotwarte w wyrazie nieskończonego zmęczenia. Sophie wzdrygnęła się i spojrzała badawczo na swoją wnuczkę. Chciałabyś pouczyć się czegoś ciekawego z geometrii?

Rita ożywiła się. - Tak.

* * *

Leżała w półśnie na łóżku w prostym bielonym pokoju, słuchając fal, które rozkołysane przez sztorm rozbiły się kilkadziesiąt metrów od niej. Donośne uderzenia pięści Posejdona o skały łączyły się we śnie ze stukotem podków potężnego konia. Księżyc napełnił pokój zimnym światłem. Rita lekko rozchyliła oczy, czując czyjaś obecność w pokoju. Cień człowieka niosącego coś na rękę pojawił się w smudze światła. Dziewczynka poruszyła się na skórzanym łóżku, lecz było jej zbyt wygodnie, by chciała się całkiem obudzić.

Cień podszedł bliżej. Był to cień Patrikii.

Rita zamknęła oczy, ale za chwilę znów patrzyła przez szparki w powiekach. Z pewnością nie

bała się sophe, ale co ona robiła w jej pokoju w środku nocy? Patrikia chwyciła rękę wnuczki suchymi silnymi palcami i położyła ją na czymś metalicznym, twardym i gładkim, nieznanym lecz przyjemnym w dotyku. Rita wymamrotała niewyraźne pytanie.

- Będiesz zapamiętana i rozpoznana - wyszeptała Patrikia. - Dotknij to, a będzie twoje w przyszłości, gdy dorośniesz. Moje dziecko, słuchaj, co on mówi. Powie ci, gdzie i kiedy. Ja jestem już za stara. Znajdź dla mnie drogę do domu.

Cień wyszedł z jej pokoju, a blask księżyca zbladł. Pokój pogrążył się w ciemności. Rita zamknęła oczy i po chwili był już ranek.

Tego dnia Patrikia zaczęła uczyć Ritę dwu języków, których nie używano na Gai - angielskiego i greckiego.

Sophe umarła w obecności trzech tylko żyjących synów, w pustym pokoju, gdzie pięć lat wcześniej spała jej wnuczka. Teraz już młoda kobieta, rozpoczynająca naukę na trzecim poziomie w Hypateionie, Rita nie umiała dokładnie określić, co czuła. Była średniego wzrostu, jej nogi były niezgrabnie długie i chude, miała wiotką sylwetkę i twarz o chłopięcym wdzięku pod szopą ceglasto brązowych włosów. Łuki brwi wyginały się kpiarsko nad zielonymi oczyma. "Jaka jej część pochodziła od Patrikii? Co otrzymała od sophe?" Ojciec był powolnym, rozważnym mężczyzną. Zmartwiony prowadził orszak żałobny przez rozpaloną słońcem, skalną drogę do portu handlowego, skąd ciało sophe miało być wyprawione łodzią w morze. Za nim szli jego dwaj bracia, wujowie Rity, nauczyciele języka w Hypateion. Szli również wszyscy wykładowcy czterech szkół, ubrani w szare i białe stroje. Rita podążała trochę z boku za swoim ojcem, powtarzając sobie: "Spełnię jej oczekiwania".

Studiowała fizykę i matematykę. Te właśnie uzdolnienia otrzymała od sophe.

Rok po pogrzebie, gdy wiosną zazieleniły się ogrody, a winnice i gaje oliwkowe okryły się kwieciami, ojciec zabrał Ritę do tajemnej groty, położonej dziesięć stadionów za Lindos, niedaleko od miejsca, gdzie się urodziła. Nie udzielił jej żadnych wyjaśnień. Była dorosłą kobietą, a przynajmniej tak jej się wydawało. Miała już kochankę i nie godziła się, by jej rozkazywano i prowadzono ją do tajemniczych miejsc, o których nic ani nie wiedziała, ani wiedzieć nie chciała. Lecz ojciec nalegał, a ona nie chciała mu się sprzeciwić.

Wejścia do jaskini broniły grube i wąskie łukowate drzwi ze stali, stare i zardzewiałe, osadzone na dobrze naoliwionych zawiasach. Gdzieś wysoko odbywały się manewry odrzutowej eskadry Oikoumene, stacjonującej najprawdopodobniej na aerodromoi na pustyni Kilikia albo loudaia. Pięć białych pręg, niczym ślad pięciu palców, rozdrapywało łagodny błękit nieba.

Ojciec otworzył drzwi ciężkim kluczem i dziesięcioma obrotami cyfrowej tarczy ukrytej w zamykanym schowku. Pierwszy zagłębił się w chłodnej ciemności, pomiędzy beczułkami wina i oliwy z oliwek oraz zapasami jedzenia hermetycznie zamkniętymi w stalowych skrzyniach, przez kolejne drzwi przeszedł do wąskiego tunelu. Dopiero gdy ciemność stała się nieprzenikniona, Rhamon nacisnął czarny guzik i zapalił światło.

Znajdowali się w niskiej, szerokiej jaskini wypełnionej łagodnym powietrzem pachnącym suchą skałą. W żółtym świetle pojedynczej żarówki ojciec podszedł do zbitej z desek, opasłej komody i wyciągnął głęboką szufladę. Drewno wydawało ciężkie i smutne odgłosy, które odbijały się od twardych ścian. W szufladzie leżało kilka pięknych drewnianych pudełek, jedno z nich wielkości walizki. Wyjął je, podszedł do córki i, uklękawszy, zdjął wieko.

Wewnątrz, na aksamitnej poduszce ukształtowanej tak, by pomieścić przedmiot co najmniej trzykrotnie większy, leżała rzecz nie większa, niż jej dwie złożone dłonie. Przypominała kierownicę jednego z bikykloi sophe, lecz dużo grubszą, z wyrzeźbionym na środku siodełkiem wycelowanym w

przestrzeń.

- Należy do ciebie. Jesteś za to odpowiedzialna - powiedział, unosząc ręce, jak gdyby nie chciał już więcej dotykać pudełka. - Ocaliła go dla ciebie. Uważała, że jesteś zdolna do kontynuowania pracy. Jej zadania. Żaden z synów nie nadawał się do tego. Według niej byliśmy odpowiedni aby administrować, a nie szukać przygód. Nigdy nie protestowałem... te sprawy budziły we mnie lęk. - Powstał i cofnął się, a jego cień odpłynął od pudełka i jego zawartości. Przedmiot, przypominający rzeźbę, lśnił białym i perłowym blaskiem.

- Co to jest? - zapytała.

- To jeden z jej Przedmiotów - odpowiedział. - Nazywała go obojczykiem.

Sophe, podczas swojej cudownej podróży do tego świata, zabrała z Drogi trzy przedmioty. Nigdy nie wyjaśniono Ricie ich mocy. Patrikia powiedziała jej, do czego niektóre z nich służą, ale nie wytłumaczyła, jak działają. Ojciec wydobył pozostałe pudełka, położył na wyschniętej podłodze jaskini i otworzył.

- To był jej teukhos - powiedział wskazując płaską poduszeczkę z metalu i szkła, nieco większą niż dłoń. Z czcią dotknął czterech błyszczących kostek leżących obok. - To była jej osobista biblioteka. W tych kostkach są setki książek. Część z nich stała się składnikiem świętej doktryny Hypateionu. Część dotyczy Ziemi. Są napisane w językach, których tutaj przeważnie nie znamy. Podejrzewam, że nauczyła cię niektórych z nich. - Jego głos nie wyrażał żalu, lecz rezygnację, a może nawet ulgę. Lepiej, że jego córka, niż on sam. Otworzył trzecie pudełko. - To utrzymywało ją przy życiu, gdy przybyła tutaj. Pozwalało oddychać. Teraz wszystko należy do ciebie.

- Pochyliwszy się nad największym pudełkiem, sięgnęła po siodełkowaty przedmiot. Jeszcze zanim jej palce dotknęły powierzchni, zrozumiała, że był to klucz, który otwierał przejścia znajdujące się w Drodze. Był przyjazny i ciepły, znała go i on znał ją.

Rita zamknęła oczy i zobaczyła Gaię, cały świat odwzorowany z niewiarygodną dokładnością na globusie. Globus wirował przed nią i powiększał się, ściągając ją na stopy Nordyckiej Rhusi, Mongole! i Chin Ch'ingu, krajów pozostających poza sferą wpływów Aleksandryjskiej Oikoumene. Tam, w grząskim dole ponad rozlanym błotnistym strumieniem, ujrzała płonący czerwony krzyż.

Zmrużyła oczy, przerażona i blada utkwiała wzrok w obojczyku. Był trzykrotnie większy niż poprzednio dokładnie pasował do zagłębienia w aksamitnej poduszce.

- Co się dzieje? - zapytał ojciec.

Potrząsnęła głową. - Nie chcę tych rzeczy. - Pobiegnęła do wylotu jaskini i dalej na słońce. Niespodziewanie poczuła nienawiść do swojej babki. - Jak mogłaś mi to zrobić? - pytała. - Byłaś szalona. - Przykucnęła w skalnej rozpadlinie podciągając kolana pod brodę. - Stara szalona kobieta.

Przypominała sobie cień w mroku - gdy była dziewczynką - i kopała kamień, aż na pięcie pojawił się siniak. Miesiące spędzone samotnie z babką, wysłuchane historie, rozmyślenia o baśniowym świecie... nigdy nie sądziła, że naprawdę istnieje, równie realny jak Rodos i morze. Świat Patrikii był bardziej odległy niż sny.

Babka nigdy nie kłamała, nigdy nawet nie ubarwiała prawdy. Była zawsze prostolinijna, traktowała ją jak dorosłą, wszystko wyjaśniała starannie i odpowiadała na pytania bez wykrętów, jak często czyniła to dorośli.

Dlaczego miałyby nie mówić prawdy o Drodze?

Gdy o zmierzchu gałęzie, które widziała wysoko nad głową, zatarły się, opuściła skalną kryjówkę i wolno poszła w dół zbocza ku jaskini. Ojciec siedział przy wejściu trzymając długi zielony kij w poprzek kolan. Nie przyszło jej nawet do głowy, by chciał uderzyć. Kij służył do zabawy i kontemplacji. "Dobry, troskliwy ojciec", pomyślała. Życie nie było dla niego łatwe. Spory

o sukcesję w Akademii stawały się nieprzyjemne. Nie potrzebował dalszych zmartwień.

Wstał, odrzucił kij i wytarł dłonie o spodnie ze wzrokiem wbitym w ziemię. Podeszła do niego i objęła gwałtownie. Następnie wrócili do jaskini, zebrali Przedmioty do pudełek i obładowani ponieśli je w dół zbocza do bielonego domu, w którym urodziła się Rita.

Ziemiński Hexamon, Axis Euclid

Podróż do miejskiej pamięci Axis Euclid nie trwała długo. Olmy wybrał połączenie o niskiej częstotliwości i wysłał swój całkowity duplikat do bufora matrycy oczekując dostępu do głównego przedszkola. Ciało zdawało się być pogrążone we śnie, lecz naprawdę jego szczątkowa osobowość w trzech implantach przetwarzała dane zarejestrowane podczas wystąpienia ambasadora Talsitu, szukając w jego zachowaniu wskazówek, które pomogłyby odkryć prawdziwą psychologię Talsitu. Nie miał czasu na odpoczynek. Wiedział to, ale także i czuł - jak swędzenie - wewnętrzny przymus, niecierpliwość trudną do opanowania.

Jedynym bliskim mu mężczyzną, oprócz Korzeniowskiego, był jego syn Tapi. Znał wiele dzieci w przedszkolu miejskiej pamięci, dla których czasem był wychowawcą, czasem sędzią. Niewielu było tak wartościowych jak Tapi. Olmy był przekonany, że jego opinia jest obiektywna. W ciągu pięciu lat edukacji w miejskiej pamięci chłopak osiągnął rzadki w przedszkolu poziom wyrafinowania. Olmy nie wątpił, że syn bez żadnych trudności zasłuży na wcielenie, a jednak egzaminy nie były łatwe.

Czuł się dotknięty, gdy Ram Kikura nalegała, by odwiedził Tapięgo. Lecz gdyby nie ona, możliwe że wybrałby pracę, rezygnując z tej odrobiny luksusu... Rola ojca nie była łatwa.

Zabrali się za tworzenie Tapięgo siedem lat temu, dwa po oficjalnym przejściu Olmy'ego na emeryturę. Konflikty pomiędzy stacjami orbitalnymi a Rodowitymi Mieszkańcami Ziemi nie wydawały się szczególnie silne ani niebezpieczne. Uzdrawienie było w toku i oboje zgadzali się, że to właściwy moment na stworzenie i wychowanie dziecka. Wspólnie zaplanowali psychikę chłopca, na przekór modzie ortodoksyjnych naderytów, którzy nie planowali szczegółów i nalegali na fizyczny poród. Ram Kikura, z kobiecym rozsądkiem, który zaskoczył Olmy'ego, powiedziała: - Ludzie nie stają się ojcem i matką pod wpływem kilku godzin bólu i fizycznych niedoskonałości przedsięwzięcia...

Sięgnęli do wielkich filozoficznych traktatów o życiu psychicznym i posłużyli się klasycznymi wzornikami projektowymi dla aspektów nierodzicielskich, których Olmy (a właściwie jego przeszukiwacz) nie znalazł w bibliotece trzeciej komory na Thistledown. Pracowali w pamięci miejskiej przez osiem dni (prawie rok w czasie przyspieszonym), zestawili rodzicielskie tajemnice, wybrali duże fragmenty swojej pamięci, które będą aktywne w określonych momentach życia dziecka, pokryli wzorniki z największą starannością, by stworzyć psychikę, którą nazwali Tapi. Imię pochodziło od Tapięgo Salingera, pisarza z XXII wieku, którego oboje podziwiali.

Niektóre dzieci poczęte w miejskiej pamięci miały aż sześcioro rodziców. Tapi był dwurodzicowy, ze skłonnością do płci męskiej. Urodził się, gdy nadano mu aktywny status, sześć lat temu, w obecności obojga rodziców, jako jedno z trzydziściorga dzieci, które tego roku ożywiono miejskiej pamięci. Miał wówczas ciało sześciolatniego chłopca o polinezyjskich rysach - gdy Ram Kikura była młoda, Polinezyjczyków i etiopskich Murzynów uważano za najpiękniejszych przedstawicieli rasy ludzkiej - i był wyjątkowo niesforny. Ram Kikura zaczęła nawet nazywać go Robin, zamiast Tapi, lecz gdy nieco dojrzał i spoważniał (choć nigdy nie stracił do końca frywolności Robina Goodfellow) wrócili do pierwotnego imienia. Przez pierwszy rok życia syna Ram Kikura i Olmy poświęcali mu wiele uwagi, opuszczając pamięć miejską zmuszeni tylko najpilniejszymi obowiązkami. Skonstruowali kilka imaginacyjnych przestrzeni życiowych, dzięki

czemu Tapi rozwijał się równocześnie w kilku symulowanych obszarach.

Cudem miejskiej pamięci była elastyczność rzeczywistości psychicznej. Wzorniki tej pamięci, wraz z zasobami dostępnymi w bibliotekach Hexamonu, umożliwiły zbudowanie symulowanego środowiska w ciągu zaledwie kilku chwil. Tapi miał dostęp do mądrości wszystkich epok, zapisanej i zinterpretowanej przez największych uczonych i artystów Hexamonu.

Wkrótce rozpoczęły się kłopoty, nie z nim, lecz z Hexamonem. Zmieniły się polityczne nastroje i zaczęto nawet wspominać o ponownym otwarciu Drogi. Neogeszelowie urosli w siłę i zaczęli występować przeciw politycznym planom naderytów. Olmy poczuł, że zimny powiew historii budzi go do działania...

Z upływem lat spędzał z Tapim coraz mniej czasu, powierzając obowiązki ojcowskie utrzymywanemu w stałej gotowości reprezentantowi osobowości. Ram Kikura także miała mniej czasu, jednak wciąż spotykała się z Tapim. Mały nigdy nie czuł się tym urażony, jego rozwój nie uległ spowolnieniu, ale Olmy'ego często ogarniał żal.

Bufor zasygnalizował wolny dostęp i oryginał Olmy'ego został przesłany bezpośrednio do przedszkola miejskiej pamięci. Tapi czekał na niego w samodzielnie zaprojektowanym ciele młodego mężczyzny, które odpowiadało stanowi, jaki osiągnąłby jako naturalny syn swych rodziców - miał zaprojektowane przez Olmy'ego oczy, usta, nos i wysokie kości policzkowe Ram Kikury. Objęli się na powitanie. Taka elektryczna konkatencja pól psychicznych i fizycznych mogłaby w dawnych czasach uchodzić za nazbyt krępującą i poufałą, ale w miejskiej pamięci było to zupełnie normalne. Olmy oceniał postępy swojego syna na podstawie tego uścisku, zaś Tapi otrzymywał dawkę ojcowskiej aprobaty.

Symboliczne gesty i deklaracje nie były potrzebne w pamięci miejskiej, niemniej czasem się do nich uciekano. Bezpośrednia komunikacja między umysłami wymagała więcej wysiłku i czasu, posługiwano się nią tylko wówczas, gdy precyzyjne porozumienie było niezbędne.

- Bardzo się cieszę, że przyszedłeś, ojcie - powiedział Tapi. - Twoi reprezentanci byli już mną znudzeni.

- To chyba niemożliwe - odpowiedział Olmy.

- Wciąż testowałem, jak bardzo są do ciebie podobni.

- I byli?

- Tak, ale to je denerwowało...

- Powinieneś zawsze traktować ich z szacunkiem. Roznoszą plotki, pamiętaj o tym.

- Nie zaglądałeś jeszcze do ich pamięci?

- Jeszcze nie. Chciałem sam wyrobić sobie zdanie.

Tapi wyprojektował mgiełkę cielesnych planów i czekał na pochwałę Olmy'ego. Ciało młodzieńca byłoby samodzielne, lecz nie miało jeszcze oparcia w zasobach Talsitu i brakowało mu środków konserwacji. Jego projekt nie mógłby istnieć długo bez remontów i odżywiania, ale na razie wyglądał lepiej niż projekt Olmy'ego. W każdym razie był bardziej praktyczny. - Co o tym sądzisz?

- Bardzo dobre. Czy uzyskałeś aprobatę rady?

- Tymczasową.

- Na pewno ją otrzymasz. To elegancka adaptacja - powiedział Olmy szczerze. Niemal żałował, że nie może postarać się o ponowne wcielenie i wypróbować ten pomysł. Jednak i on korzystał z części zapasowych Talsitu od tak dawna...

- Czy myślisz, że znów otworzą Drogę?

Olmy posłał mu psychiczny odpowiednik grymasu. - Nie galopuj tak - ostrzegł. - Mam tylko

kilka godzin pamięciowego czasu i nie chciałbym ich spędzić rozprawiając o polityce. Chciałbym, aby mój syn nauczył mnie wszystkiego, czego sam się dowiedział.

Tapi był pełen entuzjazmu. - Cudowne rzeczy, tato. Czy studiowałeś kiedyś struktury Mersauvina?

Olmy studiował je, ale bardzo pobieżnie, bo wydały mu się dość nudne. Ukrył to przed synem.

- Odkryłem ważne współzależności - kontynuował Tapi. - Najpierw wydawało mi się, że to nudne abstrakcje, a potem zastosowałem je w analizie syntetycznych sytuacji i doszedłem do niewiarygodnych wniosków. Dzięki nim możliwe jest bardzo złożone modelowanie przyszłych zdarzeń. Zachowują się jak samoadaptujące algorytmy społecznego skalowania i planowania... modelują nawet indywidualne interakcje.

Tapi przeniósł ich do prywatnego bufora. - Ozdobiłem to sam - powiedział. - Nikt, jak dotąd, nie jest w stanie tego skasować. Uważam to za komplement ze strony moich kolegów w przedszkolu...

Było tak z pewnością. Wystrój prywatnego bufora w przedszkolu był zazwyczaj równie ulotny i nietrwały jak lód w ognisku. Praca Tapiego - układ testów psychicznych i wyrazistych algorytmów - przewyższała złożonością i kompletnością wszystko, co mógł zrobić Olmy.

- Wprowadziłem nieco zmian do moich formalnych lekcji - kontynuował Tapi - zastosowałem struktury Mersauvina do wydarzeń zewnętrznych.

- O! I czego się dowiedziałeś?

Młody człowiek pokazał zygzakowatą i pozbawioną ciągłości krzywą. - Wiele przerw. Hexamon znajduje się w stanie silnego napięcia. Nie jesteśmy już szczęśliwym społeczeństwem. Byliśmy nim wtedy, gdy była Droga. Porównałem obecne niezadowolenie z psychologicznym profilem nostalgii, występującej na wcześniejszych etapach u naturalnie urodzonych człowiekowatych. Małe naśladuje duże. Algorytm pokazuje, że Hexamon pragnie powrotu do Drogi. Moi nauczyciele nie ocenili mnie za to wysoko, muszą to powiedzieć z przykrością. Mówią, że wnioskowaniu brakuje dyscypliny.

- Sądysz więc, że wszyscy chcemy wrócić do łona?

Tapi uśmiechnął się i potwierdził po chwili wahania. - Nie nazwałbym tego tak brzydko.

Olmy studiował poszarpany wykres, czując dumę pomieszaną ze znajomym, ssącym niepokojem. - To bardzo dobre. I nie jest to tylko rodzicielski komplement.

- Sądysz, że to prawda.

- W pewnych granicach.

- Być może... postępuję głupio, ale sądziłem, że jest to prognoza o dużej mocy. Dlatego podjąłem decyzję w sprawie mojego głównego zawodu. Przechodzę przeszkolenie obrońcy Hexamonu.

Olmy spojrział na wizerunek syna z dumą i silniejszym jeszcze uczuciem smutku. - Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

- Studiowałem twoją historię, tato. Jest godna najwyższego podziwu. Ale myślę, że mógłbym poprawić ten wzór. - Wizerunek Tapiego rozblęsnął pełnymi entuzjazmu barwami i niespodziewanie przybrał czerń wojsk obronnych. - Będę się starał zająć wyższe stanowisko pod koniec mojej kariery w ciągu jednego lub dwu stuleci aktywnej służby. Ciekaw jestem, dlaczego nigdy nie starałeś się zająć kierowniczych pozycji.

- Gdybyś studiował swojego ojca dość uważnie, dowiedziałbyś się.

- Dawne zwyczaje. Tradycyjna dyscyplina. Kto raz został żołnierzem, będzie nim zawsze. Najlepsza i najzaszczytniejsza służba.

Olmy skinął głową. To były szlachetne uczucia.

- Ale twoje umiejętności... w ostatnich latach czułeś coraz mniej szacunku dla przełożonych. Tłumaczysz sobie, że to z powodu upadku ich umiejętności... Sądzę jednak, że to może być twoje stłumione i zakamuflowane pragnienie, by wpływać na bieg historii. "Oto mój syn. Szybki i zawsze trafia." - Zostawiać przy tobie częściowych reprezentantów, to jak kazać owcom pilnować lwa.

- Dziękuję ci.

- Twoje rachuby są słuszne, ale gdy zaczniesz piąć się wzwyż, będziesz musiał stłumić i zakamuflować pewność siebie. Droga do kierowniczych stanowisk przez formacje obrony jest najtrudniejsza.

- Tak, ojcze. To mnie nauczy dyscypliny i panowania nad sobą. "Albo ukształtuje ci charakter, którego nie będziesz miał ochoty zmienić" - pomyślał Olmy.

- Czy popierasz ponowne otwarcie Drogi? "Nie da się przed tym uciec, nawet w przedszkolu." Przestrzegam praw i wykonuje polecenia. Tapi uśmiechnął się. - Tęskniłem za tobą, ojcze. Nawet poprawna reprezentacja nie błyszczy jak oryginał.

- Muszę... się usprawiedliwić - powiedział Olmy. - Za przeszłe i przyszłe uczynki. Będę bardzo zajęty od tej chwili, nawet bardziej niż w przeszłości.

- Pracujesz dla wojsk obrony?

- Nie. To sprawy osobiste, ale nie będę się mógł z tobą spotykać częściej niż w ciągu ostatnich kilku lat... a może nawet rzadziej. Chcę, abyś wiedział, że jestem z ciebie dumny. Wysoko cenię twój rozwój i dojrzałość. Wraz z matką jesteście z tego bardzo zadowoleni.

- Dumni z własnego odbicia - powiedział Tapi, osłabiając siłę jego komplementów.

- Wcale nie - sprzeciwił się Olmy. - Jesteś bardziej złożony i zorganizowany niż ktorekolwiek z nas. Jesteś najlepszą częścią nas obojga. Moja nieobecność nie świadczy o dezaprobachie... i nie jest moim wyborem.

Tapi słuchał i uśmiechał się.

- Moja zgoda na twoje wcielenie jest urzędowo zarejestrowana - powiedział Olmy. - Przyjąłem w Haxamonie odpowiedzialność za Twoje czyny. Matka zrobiła to samo.

Tapi nagle spowaźniał. - Dziękuję za zaufanie.

- Nie jesteś już naszym tworem - powiedział Olmy, zgodnie z dawno ustanowionym rytuałem. - Teraz sam siebie tworzysz. Doradzam ci karierę oficerską w siłach obronnych. Spróbuję cię odwiedzać... - "Uczciwość będzie najlepszym rozwiązaniem." - Lecz odwiedziny z pewnością nie będą częste.

- Nie przyniosę ci wstydu - powiedział Tapi.

- Nie wątpię. - Olmy spojrział na dekorację. - Teraz chciałbym się przyjrzeć strukturom Mersauvina. Sprzątnijmy tu trochę i zobaczymy, jak doszedłeś do swoich wniosków.

Tapi zabrał się ochoczo do pracy.

Olmy opuścił Axis Euclid sześć godzin później wraz z dwoma innymi pasażerami lecącymi promem na Thistledown. Nie miał ochoty na rozmowę. Pozostali dwaj byli zajęci sobą i nie zwracali na niego uwagi.

Ziemia

Lanier usiadł na brzegu łóżka, aby włożyć buty. Gdy pochylony wiązał sznurowadła, na jego twarzy pojawił się lekki grymas. Była dziewiąta rano i nad górami przeszła właśnie burza, oblewając je potokami deszczu i chłoszcząc wiatrem od morza. W sypialni panował jeszcze przyjemny chłód, oddech Laniera zamieniał się w parę. Sprawdzał, czy równo zasznurował buty i czy nie uwierały w kostkach. Nagle znowu zmarszczył się, gdyż wróciło do niego niespodziewane, bolesne wspomnienie.

Zakładając marynarkę przyglądał się przez okno żywopłotom i wysokim paprociom na stromym zielonym zboczu. Znał dobrze szlak przez te wzgórza. Nie szedł nim od lat, ale dzisiejszy dzień zapowiadał się wyśmienicie i Lanier chciał odnowić dawną znajomość. Nie szukał już młodości, nie zależało mu na niej. Chciał tylko oderwać się od myśli, które ostatnio stały się szczególnie gorzkie.

Minęły trzy miesiące od pogrzebu Heinemana.

Karen nie pożegnała się przed służbowym wyjazdem do Christchurch. Pojechała nową pięciokołową ciężarówką hexamońską, bo drogi po ostatnich deszczach stały się wyboiste, a stary pojazd nie nadawał się do użytku w terenie, w którym z trudem można było podróżować na koniu. Kiedyś zasłabnie w tym domu, rozmyślał, a gdy po pół godziny, lub nawet później, przyjedzie wreszcie pogotowie, będzie już martwy, jak Heineman.

W każdym razie jest to jeden z możliwych sposobów, by pozbyć się przykrych wspomnień.

- Dzwony, dzwony, dzwony - zaśpiewał miękko, lecz głos zaczął chrypnąć od zimna. Zakasłał - nie był chory, lecz stary. Zdrowie na razie jeszcze mu dopisywało. Prawdopodobnie wiele jeszcze lat przejdzie, zanim centralna pamięć uruchomi program, który, jak bibuła, wchłonie ostatecznie jego troski.

Widział, jak niewiele udało mu się dokonać przez lata służby. Ziemia po czterech dziesięcioleciach była wciąż otwartą raną. Zmierzała ku uzdrowieniu, to pewne, ale wciąż nosiła na sobie ślady przypominające o śmierci i ludzkiej głupocie.

Dlaczego przeszłość narzucała się tak dotkliwie właśnie teraz? Aby pozwolić mu oderwać się od rozczarowania, jakie niosła pogłębiająca się obcość Karen? Po pogrzebie była jak z kamienia. "Dwadzieścia dziewięć lat temu. Miasteczko bez nazwy, zagubione w lasach południowoschodniej Kanady, zimna i zasypana śniegiem pułapka dla trzystu mężczyzn, kobiet i dzieci. Mężczyźni wyłaniali się z niskich baraków. Lanier nigdy nie sądził, że można być tak wycieńczonym. Wyszli na spotkanie przybyszów z nieba. Lanier i jego towarzysze, dwoje operatorów z Hexamonu, byli, rzecz jasna, dobrze odżywieni i wyglądali zdrowo. Przeszli śmiało przez pokryte śniegiem pole do najbliższego baraku i zwrócili się do mężczyzn po angielsku i francusku.

- Gdzie są wasze kobiety? Wasze dzieci?

Mężczyźni wpatrywali się w nich oczyma wytrzeszczonymi z głodu, a zarazem nieziemsko pięknymi. Ich twarze były białe a włosy siwe. Jeden z nich, ślaniając się na nogach i wyciągając wychudzone ramiona, podszedł do Laniera i objął go ze wszystkich sił. Był to uścisk chorego dziecka. Lanier, starając się opanować łzy, podtrzymał mężczyznę, którego poźółkłe oczy wyrażały podziw, a może tylko ulgę i radość.

Rozległ się strzał i operatorka upadła w śnieg, a z jej piersi trysnęła krew. - Nie! Nie! - krzyknął inny mężczyzna, lecz kolejne strzały odrywały korę z drzew, rozbryzgiwały śnieg, odbijały się z

brzękiem od kadłuba pojazdu. Mężczyzna w średnim wieku, z gęstą czarną brodą, nieco mniej wynędzniały niż pozostali, trzymał w ręku strzelbę, która prezentowała się lepiej niż on sam. Stojąc pośrodku opustoszałej drogi przeklinał: - Jedenaście lat! Jedenaście! Gdzie byliście, bogowie, przez te straszne jedenaście lat?

Operator, którego nazwiska Lanier nie pamiętał, powalił mężczyznę na ziemię gorącym błyskiem kulistego piorunu. Była to jedyna broń, jaką posiadali. Lanier stanął nad raną operatorką i ocenił jej stan. Zdawał sobie sprawę, że nie przetrwa, jeśli nie wydobędzie z jej szyi marmurowej kostki, w której zmagazynowano dane o jej osobowości. Pochylił się, zbadał puls i pozwolił jej wejść w pierwszą fazę śmierci.

Nie zwracając uwagi na otoczenie, wyjął z kieszeni składany skalpel i rozciął szyję kobiety tuż poniżej czaszki. Następnie wymacał palcami czarny marmur, wydobył go i umieścił w małej plastikowej torebce, tak, jak go uczono.

W tym czasie mężczyźni z miasteczka wolno i metodycznie zadeptywali na śmierć szaleńca, który przed chwilą strzelał. Operator starał się ich odciągnąć, lecz mimo że byli bardzo osłabieni, było ich wielu.

Ten, który objął Laniera, zachował spokój podczas całego zajścia. Przerażony zamachem upadł na kolana i błagał Laniera, aby nie niszczył ich miasta.

Kobiety i dzieci, które wyłoniły się z baraków, bardziej przypominały umarłych niż żywych. Mieszkańcy tego prowizorycznego miasta przetrwali jedenaście zim, z których dwie pierwsze były wyjątkowo ciężkie, ale mieli nie przetrwać tej ostatniej. "Moja żona jest młoda i pełna życia. Ja jestem stary. Podejmujemy decyzję i płacimy za to".

Zatrzymał się na chwilę w holu i zaciskając oczy, próbował uwolnić umysł od oblepiającej go mgły. Wełniana zadymka, jak nazywał to jego dziadek. Właściwa nazwa w Nowej Zelandii. Tym razem wełna była pełna cierni. "Nie uratowaliśmy wszystkich. Nawet nie wszystkich silnych i zdrowych. Śmierć była zbyt potężna, nawet dla aniołów, którzy z niebios spieszyli na pomoc."

Nie martwił się tym przez lata i tym bardziej irytowało go, że wspomnienia wróciły właśnie teraz, jak blade echo poczucia winy, do której się nie poczuwał. "Wykonywałem swoją pracę. Poświęciłem uzdrowieniu trzydzieści lat życia."

Tak samo jak Karen, ale ona nie wyglądała jak znoszony łachman.

Podniósł kij i otworzył drzwi. Szare chmury wciąż przepływały na niebie. Gdyby mógł zachorować na zapalenie płuc, "przyjaciela starego człowieka", pewnie by spróbował to zrobić. Ale pośród dobrodziejstw, jakimi Ziemi Hexamon obdarował Rodowitych Ziemiaków, była także odporność na większość chorób. Środki, którymi dysponowano, były wystarczające. Każdy człowiek na ziemi został zaopatrzony w organizm, który chronił jego ciało przed infekcjami.

Przechodząc przez ganek, dostrzegł kątem oka swoje odbicie w szybie wykonanej ze specjalnego przeciwburzowego szkła. Silną twarz przecinały głębokie zmarszczki wyginające się wokół ust. Bruzdy po obu stronach nosa, smutne oczy i opadające powieki nadawały mu wygląd bardzo doświadczonego człowieka. Z satysfakcją ale i przewrotnym niesmakiem zdał sobie sprawę, że wygląda młodziej niż się czuje.

Lanier żałował swojego postanowienia, by nie odpoczywać zanim nie dojdzie do pierwszego słupa trakcji. Już przy drugim zakręcie szlaku obejmował rękoma drżące kolana i ciężko oddychał ocierając pot z czoła. Od wielu lat nie wędrował ani nawet nie uprawiał gimnastyki i chociaż naprawdę miał już dość życia, nie zamierzał przemęczyć się na pierwszej wycieczce w górach. Cuda hexamońskiej medycyny działały tylko w tym zakresie, na jaki wyraził zgodę, to znaczy pozwalały mu utrzymać siły właściwe dla jego wieku, chroniły przed chorobami i promieniowaniem, którego bał

się panicznie.

Stał na skraju trzystumetrowej przepaści i spoglądał w dolinę, powoli odzyskując oddech. W dole stado owiec - być może należały do Fremonta, młodego właściciela Irishman Creek Station - skubało trawę na zielonożółtej łące. Nad nim ciężkie od deszczu białoszare chmury wędrowały po błękitnym niebie. Tam właśnie szybował orzeł, pierwszy, jakiego widział w tym sezonie. Wiatr na tej wysokości był zimny i przenikliwy nawet mimo wrześniejszej wiosny. W górach, powyżej tysiąca metrów, widać było łąty śniegu poprzecinane włóknami szkarłatnego grzyba, który pasterze nazywali krwią Chrystusa.

W końcu zdecydował się usiąść na kamieniu. Bolały go łydki. Obawiał się skurczu. Po raz pierwszy od miesiący, a może lat, poczuł, że naprawdę żyje i nie jest to bez sensu.

Wiatr wezwał go po imieniu. Zaskoczony obejrzał się szukając innego piechura lub pasterza na szlaku, jednak w pobliżu nie było nikogo. Musiał się przestyszeć. Wyjął z plecaka kanapkę z owczym serem, odpakował i zaczął jeść.

Ponownie usłyszał swoje imię, tym razem wyraźniej i głośniejsze. Wstał i przyjrzał się uważnie ścieżce. Stamtąd go wołano, był tego pewien. Zawinał kanapkę w papier i przeszedł kilkadziesiąt metrów w górę szlaku, mijając drugi zakręt. Drobne kamienie chrzęściły pod nogami, kilka razy but ześlizgnął się z kępki wilgotnej trawy. Ponad wszelką wątpliwość był na szlaku sam.

Szedł śpiewając, by nie gubić rytmu. Co pewien czas zatrzymywał się, by uspokoić oddech i nasycić się świeżym powietrzem, oczyścić nim umysł z pajęczyn narosłych przez miesiące spędzone w zamkniętych pokojach. Należało wyjaśnić zagadkę.

Współczuł swoim ludzkim braciom, zarazem zaczynał ich nienawidzić. W zmaganiach ze Śmiercią często przegrywali w sposób, który pogarszał jeszcze ich los. Ludzie, którzy zaznali wielu cierpień, stracili dom, rodzinę, miasto, naród, reagowali okrucieństwem wobec innych. Ostatnio jego ulubioną lekturą był dwudziestowieczny filozof i nowelista, Artur Koestler, który głosił, że ludzka natura ma nieuleczalną skazę. Lanier nie miał w tej sprawie wielu wątpliwości.

Widział wielu ludzi, których psychikę po wnikliwych badaniach poddano gruntownej kuracji. Przepędzano ich demony i uczono, jak radzić sobie z rzeczywistością. Lanier nie angażował się w spory wokół takiego leczenia. Minęło wiele lat Uzdrawienia, a on wciąż nie był zdecydowany, czy je aprobuje. Czy ludzie są tak słabymi, źle zaprojektowanymi maszynami, że nie potrafią leczyć się sami? Nie mogą nawet postawić sobie diagnozy? Wszystko na to wskazywało. Stał się pesymistą, może nawet cynikiem, ale jakaś jego część nienawidziła cynizmu. A zatem, co było do okazania, nie był swoim wielbicielem.

Ciężkie chmury przesuwwały się po niebie. W ich środku tworzył się okrągły otwór, przez który przeświecało słońce. Lanier znów usiadł na głazie przy szlaku i mrużąc oczy przypatrywał się lśniącemu krążkowi światła pełnącemu przez dolinę. Był tak pełen ciepła i hipnotyzującej mocy, że gdyby Lanier zdołał uspokoić swój umysł, słoneczna plama mogłaby odpowiedzieć na wszystkie pytania. Był śpiący, bezwolny, gotów odłożyć na później wszystkie ciężące mu sprawy, położyć się i pozwolić, aby słońce roztopiło go jak ciepłe masło.

Kilkaset metrów w górę szlaku pojawił się mężczyzna ubrany na czarno i szaro. Wspierając się na kijku zbliżał się do Laniera. Czy to jego głos przyniósł wiatr? Lanier nie był pewien, czy potrzebował towarzystwa. Wszystko w porządku, jeśli mężczyzna był pasterzem, dobrze czuł się wśród prostych wieśniaków. Gorzej, jeśli to ktoś z Christchurch...

Może nie zwróci na niego uwagi.

- Witam - pozdrowił go nieznajomy, a jego buty zachręściły na żwirze za plecami Laniera. Odwrócił się. Jego rozmówca stał na skraju nadciągającej chmury. Miał krótko obcięte ciemne

włosy, niecałe sześć stóp wzrostu i szerokie ramiona. Przypominał młodego byka.

- Dzień dobry - odpowiedział Lanier.

- Czekałem na pana, aby sprowadził mnie pan na dół - powiedział mężczyzna takim tonem, jak gdyby od dawna byli znajomymi. Lanier rozpoznał jego miękką wymowę: miał rosyjski akcent.

- Czy my się znamy? - zapytał.

- Być może. - mężczyzna uśmiechnął się. - Zналиśmy się niezbyt długo, wiele lat temu. - Pamięć Laniera odmówiła odpowiedzi, gdzie się widzieli. Zagadki irytowały go.

- Przykro mi, ale nie pamiętam. - Odwrócił się.

- Byliśmy kiedyś wrogami - powiedział mężczyzna. Rozmowa najwyraźniej sprawiała mu przyjemność. Nie zbliżał się jednak, trzymając kij przed sobą. Lanier spojrzał na niego przez ramię. Nie był odpowiednio ubrany i nie miał plecaka. Nie mógł być w górach długo.

- Jest pan jednym z Rosjan, którzy najechali Thistledown? - zapytał Lanier. Mimo młodego wieku rozmówcy - nie wyglądał na więcej niż czterdzieści lat - pytanie nie musiało być głupie.

Mógł przejść kurację odmładzającą gdzieś na stacji orbitalnej lub w Ziemi Hexamonie.

- Tak.

- Co pana tu sprowadziło?

- Muszę zrobić coś ważnego. Potrzebuję pańskiej pomocy. Lanier wyciągnął rękę. - Jestem na emeryturze. - Przybysz pomógł mu wstać. - To było dawno temu. Jak pan się nazywa?

- Przykro mi, że pan nic nie pamięta - jego głos zdradzał rozdrażnienie. - Mirski. Paweł Mirski.

Lanier roześmiał się. - Dobry pomysł - powiedział. - Mirski jest teraz po drugiej stronie nieba. Pojechał z geszelami i Droga pochłonięła go. Ale cenię pański dowcip.

- To nie dowcip, przyjacielu.

Lanier przyjrzał się rozmówcy. O Boże, on rzeczywiście przypominał Mirskiego.

- Czy Patriota Vasquez powróciła do domu? - zapytał mężczyzna.

- Któż to może wiedzieć? Nie mam siły na zgadywanki. Dlaczego pana to interesuje? - Laniera zaskoczyła jego własna porywczność.

- Chciałbym ją odnaleźć.

- Marne szansę.

- Z pańską pomocą.

- Pański żart jest w obrzydliwym stylu.

- Garry, to nie żart. Wróciłem. - Podszedł bliżej. Podobieństwo do Mirskiego było niesamowite. - Czekałem tu na górze, aż pan nadejdzie i rozpozna mnie. Muszę skontaktować się z odpowiednimi ludźmi. Odegrał pan ważną rolę w Uzdrawieniu, prawda?

- Tak - odpowiedział Lanier. - Mógłby pan być jego bratem. "Identycznym bliźniakiem." - Powinien mnie pan zabrać na Thistledown. Muszę porozmawiać z Korzeniowskim i Olmym. Wciąż jeszcze żyją, prawda?

Konrad Korzeniowski zaprojektował Drogę. Kiedyś była podłączona do siódmej wewnętrznej komory asteroidalnego pojazdu kosmicznego Thistledown. Thistledown i dwie sekcje Axis City wciąż znajdowały się na orbicie okołozemskiej o promieniu dziesięciu tysięcy kilometrów, ale jedna "czapa" na biegunie była usunięta i siódma komora została odsłonięta. Czterdzieści lat temu odcięto Thistledown od końca drogi, by umożliwić naderytom z Axis City ucieczkę. Droga na chwilę otworzyła się ku pustej przestrzeni, a potem natychmiast się zamknęła, pozbawiając ten wszechświat na zawsze dostępu do swojej nieskończoności. Ci, którzy jak Paweł Mirski postanowili pozostać wewnątrz, byli teraz bardziej niedostępni niż dusze zmarłych - jeśli zmarli w ogóle mają dusze.

Lanier wymamrotał coś niezrozumiałego i zakasłał zasłaniając usta ręką. Poczul mrowienie na

szy. - Chryste Panie - powiedział do swojej ręki. - Co się tu dzieje?

- Dużo podróżowałem w przestrzeni i czasie - powiedział mężczyzna. - I mogę opowiedzieć bardzo dziwną historię.

- Czy jest pan duchem? - Tylko dawnej zadawano takie pytania. Nie miał na myśli ciucha w sensie hexamońskim. Zaczerwienił się.

- Nie. Uścisnął mi pan rękę. Jestem z krwi i kości... w pewnym sensie.

- Jak pan tu wrócił?

- Bynajmniej nie najkrótszą drogą. - Uśmiechnął się szeroko, lecz niepewnie. Położył kij na trawie obok Laniera i usiadł. Mirski, jeśli to rzeczywiście był on, w co Lanier nie bardzo chciał uwierzyć, popatrzył na dolinę, którą przemierzały owce i cienie chmur, i powiedział:

- Muszę rozmawiać z Korzeniowskim i Olmym. Czy może mnie pan do nich zaprowadzić?

- Dlaczego nie poszedł pan od razu do nich? - zapytał Lanier. - Fatygował się pan aż tutaj. Po co?

- W pewnym sensie jest pan dla mnie nawet ważniejszy niż oni. Musimy się wszyscy spotkać i porozmawiać. Jak dawno pan ich widział?

- Wiele lat temu - przyznał Lanier.

- Zbliża się kryzys rządowy - Mirski spojrzał na Laniera. Jego twarz była spokojna i poważna. - Droga ma zostać ponownie otwarta.

Lanier nie zareagował. Docierały do niego pogłoski, ale nic więcej. Ciągle trwał w postanowieniu, by nie mieszać się do hexamońskiej polityki.

- To niepoważne - powiedział.

- Wręcz przeciwnie - odparł rzeczowo Mirski. - Ani fizycznie, ani politycznie. Ten rodzaj technologii jest jak narkotyk. Nawet najszlachetniejsi ludzie mogą kiedyś zmienić poglądy. Czy zorganizuje pan spotkanie?

Lanier zgarbił się. Czuł się pokonany, zbyt słaby, by znaleźć odpowiednie słowa i bronić swojego spokoju. - Mam radiostację w domu - powiedział - tam w dolinie. - Wyprostował się. - Będzie pan musiał udowodnić, że to pan.

- Rozumiem - powiedział Mirski.

Thistledown

Olmy siedział w komorze, która nie została jeszcze zasiedlona, przy komputerze połączonym z biblioteką osobistą w Aleksandrii. Podłączył swój komputer dopiero przed kilkoma dniami - w mieszkaniu, w którym spędził dzieciństwo i w którym zostały ukryte zdemontowane, cząstkowe osobowości Korzeniowskiego. Było to wszystko, co zostało po wielkim Inżynierze, gdy przed wiekami padł ofiarą zamachu. Olmy odnalazł je i wraz z Patnią Vasquez ponownie zmontował. W ten sposób doprowadził do ponownego ożywienia Korzeniowskiego.

Na ekranie komputera, zdawać by się mogło ukrytego przed całym światem w tym odludnym miejscu, pojawiła się wiadomość od dawnego znajomego Olmy'ego. Hexamoński symbol komunikował (w wolnym przekładzie): "Mam coś dla ciebie. Ważne dla dalszej pracy."

Wiadomości towarzyszyły współrzędne porzuconej stacji w piątej komorze i data spotkania. "Bądź sam" nakazywał inny symbol. U dołu widniał podpis Feora Mar Kellena.

Mar Kellen był starym żołnierzem i członkiem policji strzegącej bram. Był, mniej więcej w wieku Olmy'ego. Urodził się podczas drugiej wojny jartowskiej, największego powstania przeciw Drodze przed Odłączeniem, kiedy jartowie zostali odrzuceni kilka bilionów kilometrów w głąb Drogi. Wojny z nimi trwały czterdzieści lat i zrujnowały setki tysięcy kilometrów Drogi. Zdobyte tereny zostały ufortyfikowane, a bramy otwarto ku niezamieszkałym światom, bogatym w złoża naturalne. Czerpano stamtąd surowce dla Axis City, a potem zaopatrywano nimi atmosferę i glebę, które pokryły część powierzchni Drogi.

Tamte lata były przerażające i wspaniałe zarazem, czas śmierci i tworzenia. Hexamon wyszedł z nich silniejszy, przygotowany do panowania nad szlakami łączącymi bramy do różnych światów. W kilku przypadkach Hexamon rozpoczął handel z dawnymi partnerami jartów. W ten sposób ustanowił silne więzi handlowe z tajemniczym Talsitem. Tam właśnie dowiedziano się, jak nazywali się wrogowie Hexamonu, w tym stopniu, w jakim dało się to przetłumaczyć na ludzki język.

Jartowie nie zostali oczywiście pokonani. Odepchnięto ich tylko i trzymano w odpowiedniej odległości przy pomocy potężnych fortec.

Mary Kellen przeżył ostatnie dwadzieścia lat wojen i służył w fortecy za punktem 1.9 ex. Nawet jednak tak wysunięta pozycja nie była dla niego wystarczająco atrakcyjna. Wstąpił do policji broniącej bram i tam spotkał Olmy'ego.

Nie widzieli się od kilku stuleci. Olmy za zdziwieniem odkrył, że Mar Kellen jest na Thistledown. Uważał go raczej za kogoś, kto mógł przyłączyć się do geszelów i zabiegać o otwarcie Drogi.

Potajemne spotkanie zirytowało go. Dawno już przestał lubić intrygi, szczególnie te, których nie dawało się uniknąć. Ale Mar Kellen dał mu do zrozumienia, że ma coś ważnego, a cokolwiek można by powiedzieć o jego dziwactwach, nigdy nie był oszustem.

Piąta komora na Thistledown była najbardziej mroczna, wręcz ponura, podobna do piwnicy. Przebiegało tędy wiele linii kolejowych do szóstej, a kiedyś także siódmej komory, lecz tylko jedna nadal miała tu przystanek i to nie regularny, ale na żądanie. Niewiele ograniczeń nałożono na podróż do jedynej niezamieszkałej komory na Thistledown, więc co miesiąc kilku miłośników wspinaczki górskiej lub spływu tratwą po rzece, odwiedzało tę groźną okolicę. Pod pokrytym chmurami niebem, ponad przepaściami wznosiły się fantastyczne szaroczarnopomarańczowe szczyty, rezultat

dziesiątków lat wydobywania asteroidalnych minerałów. Rzeki i strumienie wypełniała rdzawa woda, gęsta od rozpuszczonych minerałów, którą pić mogły bez obawy jedynie osoby wyposażone w chelatowe implanty, mogące neutralizować związki metali.

Piąta komora miała przeciętnie czterdzieści kilometrów szerokości. Gdy Thistledown rozpoczął swoją podróż, miała trzydzieści osiem kilometrów szerokości. Wydobywane materiały służyły do budowy i uzupełniania strat, które powstawały w wyniku nieuchronnych wycieków z asteroidalnego systemu przetwarzania zasobów. Komora była zdalnie patrolowana i nikt nie mieszkał w niej na stałe.

Olmy wszedł do pustego pociągu jadącego z czwartej komory i skrzyżowawszy ramiona na piersi obserwował monotonną czerń za oknem, gdy pociąg zagłębił się w skałę pomiędzy komorami.

Propozycja, jaką złożył mu Mar Kellen, była tak niespodziewana, że nie starał się nawet zgadywać, co mogło z niej wynikać.

Olmy nie tracił przedwcześnie czasu na rozwikłanie tej łamigłówki. Zamiast tego rozważał, jak niewiele informacji dotyczących kultury Talsitu zdobyto i zgromadzono w bibliotekach Axis City i Thistledown. Badał często te zbiory w przeszłości, a ostatnio ponownie się w nie zagłębił w nadziei, że znajdzie tam odpowiedź na kilka kłopotliwych pytań.

Podróż nie była długa i wkrótce ściany tunelu ustąpiły niewiarygodnym i groźnym zwałom czarnych chmur, przez które przebijały snopy czerwonego, zielonego i szaroniebieskiego światła. Ponieważ pociąg wynurzył się z wyloty tunelu na zakręcie, okna po prawej stronie były odchylone w górę o prawie trzydzieści stopni.

Pobył w tym pustkowiu przynosił mu zawsze swoistą, pełną grozy ulgę.

Pociąg powoli zwalniał, w miarę jak wzdłuż potrójnych torów zbliżał się do przykrytej kopułą stacji, położonej pomiędzy postrzępionymi zboczami niklu i czerwonego żelaza. Kamienny peron za kopułą był mokry od deszczu. Nieopodal woda spadała z łoskotem do brązowego jeziora, jednego z wielu, którymi usiana była ta komora.

Mar Kellen oczekiwał go wewnątrz opuszczonej stacji. Siedział na kamiennej ławce, która przypominała raczej podstawę dla jakiejś maszyny, niż miejsce dla człowieka. Na zewnątrz zagrzmiało. Olmy rzadko słyszał tu ten dźwięk, choć, co prawda, nieczęsto bywał w piątej komorze wówczas, gdy pioruny były zjawiskiem powszechnym. Mar Kellen uniósł dwa staromodne parasole na znak powitania. Posługując się kilkoma biograficznymi piktami, które wyprojektował w kierunku Olmy'ego, zasygnalizował swoją ufność i chęć rozmowy, równocześnie niechęć do odpowiadania na pytania. Olmy odpowiedział podobnie, choć jeszcze bardziej dwuznacznie i zwięźle. W dalszej rozmowie posługiwali się zarówno piktami, jak i zwykłą mową.

- Baczenie obserwowałem przebieg pana kariery, ser Olmy, o tyle, na ile była publicznie znana. Jest pan sławnym człowiekiem i przynosi pan zaszczyt naderytom. - Dziękuję. Przykro mi, lecz ja nie śledziłem równie uważnie pańskich losów, ser Mar Kellen.

- Miło mi to słyszeć. Starałem się żyć na uboczu, nie zostać odnotowanym w pamięci miejskiej i nie stać się łajdakiem. - Skonstruował pikt przedstawiający wolnego duchem szelmę, bez zbędnych szczegółów, sugerujący, że nie jest postacią, którą spotykały wyłącznie sukcesy. Oboje roześmiali się, choć śmiech Olmy'ego był nieco wymuszony.

- Mam nadzieję, że nie dowiedział się pan zbyt wiele o mnie - kontynuował Olmy.

- Nie. Pan również ukrywał się przed opinią publiczną, choć część pańskiego życia przeszła do historii. Odkryłem również, może to nieuprzejmość, czym się pan obecnie zajmuje.

- O?

- Podejrzewa pan, że możemy wkrótce zmierzyć się z jakimś innym, niż ludzie, przeciwnikiem.

Być może nawet z jartami.

Olmy nic nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się kwaśno. Jego prywatne poszukiwania stały się publiczną tajemnicą, w każdym razie wiedzą o nich wszyscy, dla których może to być ważne. Unikanie rozgłosu przez Mar Kellena stało się bardziej zrozumiałe; nie trafił do pamięci, ale był, mimo to, rzadkim fenomenem - prawdziwym szelmą. Olmy odpowiedział żółtym, półokrągłym piktem, wyrażającym zainteresowanie i pełną uwagę.

- Natknąłem się na coś, co może się panu przydać. Pozostałość sprzed wielu stuleci. Jak zapiski Inżyniera.

- Tutaj? - zapytał Olmy.

Stary żołnierz skinął poważnie głową. - Czy możemy zawrzeć umowę, na wypadek, gdyby to pana zainteresowało? A jestem pewien, że zainteresuje.

- Nie jestem bogatym człowiekiem. Ani nawet szczególnie wpływowym.

- Rozumiem, ser Olmy. Lecz cieszy się pan nadal poparciem Hexamonu. Może mnie pan zaopatrzyć we wszystko, czego potrzebuję. Myślę o kontaktach i przywilejach, bo nie jestem przecież głupcem spragnionym ziemskiego złota.

Olmy przyjrzał mu się uważnie i zbadał styl piklowania. Mar Kellen był szczery i, jak się wydawało, nie wciągał go w pułapkę.

- Jestem na emeryturze - powiedział Olmy. - Moje powiązania nie są tak wielkie, jak kiedyś. Jednak w granicach obecnych możliwości...

- Całkowicie wystarczających, by zaspokoić moje potrzeby.

- Jeśli rzeczywiście ma pan coś, co mogę wykorzystać - zgadzam się.

Na chwilę na twarzy Mar Kellena pojawił się podstępny uśmiech. - Zgoda. Chodźmy więc. - Wręczył Olmy'emu parasol i pokazał, jak go otworzyć. - Ten należał do Beni. Przyda się panu. Ochroni nasze stare kości.

Olmy rozłożył parasol i trzymając nad głową ruszył za Mar Kellenem. Oddalali się od stacji wąską ścieżką, wykutą w pochyłym skalnym zboczu w wąwozie, powyżej strumienia z czerwoną wodą. Światło z trudem przedostawało się tutaj przez deszczowe chmury. Okolica tonęła w głębokim cieniu, prawie tak mrocznym jak noc na Ziemi. Mar Kellen włączył latarkę i wskazał Olmy'emu drogę podchodzącą w górę zbocza. W snopie światła zamajaczył otwór w skale. - W środku jest ciepło i jasno. Chodźmy dalej. Jeszcze tylko kilka minut.

- Odkryłem to, gdy pracowałem nad projektem zaludnienia Thistledown - powiedział Mar Kellen. - Rutynowa praca dla dżentelmena na emeryturze. Wymazali to ze wszystkich map zasobów oprócz jednej, a tę właśnie przeoczono... Nie miało to większego znaczenia dla projektu, dlatego nikogo o tym nie zawiadomiłem. Ale powiedziałem o tym Beni, współpracowała ze mną - po tym nagłym wyznaniu zatrzymał się na zboczu spoglądając na Olmy'ego przez ramię. - Tylko trzydziestoletnia. Urodzona po Odłączeniu. Niech pan sobie wyobrazi: stary koń wojenny spotyka młodą damę... prawdziwą damę. Ze starej naderyckiej rodziny. Kochała przygodę bardziej niż ja i miała dużo więcej entuzjazmu. Chciała to zbadać, więc zbadaliśmy. Przyszliśmy i odkryliśmy.

Wykonał zamaszty skok do otworu. Olmy zrobił to samo, z większym wdziękiem, choć mniej teatralnie. W gładkiej, czarnej ścianie w głębi jaskini odbijał się drobny punkcik światła. Mar Kellen w bolesnym geście zacisnął dłoń, a jego twarz zastygła w nagłym grymasie. - Gdy to odkryliśmy, wyglądało właśnie tak. Znałem takie urządzenia. Ściana bezpieczeństwa. Wtedy nabrałem entuzjazmu: wystarczy poznać szyfr i brama będzie otwarta. Ale to nie było proste. Musiałem skruszyć trzydzieści zakodowanych bloków, posługując się metodami wynalezionymi dopiero w zeszłym stuleciu. Matematyka stała się moją zmorą - pogładził czarną ścianę, spoglądając z ukosa na

Olmy'ego - ale opanowałem ją. Kiedyś, dawno temu, to miejsce było bardzo bezpieczne...

Posłał w kierunku ściany krótką serię symbolicznych piktów a ta najpierw zszarzała, a potem zwyczajnie znikła. Dalej był dobrze oświetlony tunel.

- Gdy już byliśmy w środku, spodziewaliśmy się, że spotkamy mnóstwo groźnych zabezpieczeń. Szukaliśmy i znajdowaliśmy jedno po drugim - więcej niż potrzeba, aby cokolwiek zabezpieczyć. Większość automatycznie się wyłączyła po upływie pięciu stuleci. Najwyraźniej nikt o tym miejscu nie wiedział, nawet prezydent. Tak mi się wydaje, choć oczywiście mogę się mylić - znów podstępny uśmiech pojawił się na jego twarzy.

Zbliżyli się do szerokiego, łukowatego wejścia. Mechaniczny głos w starym stylu - co najmniej tak stary, jak podobne głosy w Aleksandrii - zażądał podania tożsamości.

Mar Kellen wyrecytował ciąg liczb oraz przyłożył dłoń do starodawnego identyfikatora obok matowych drzwi. - Przeprogramowałem go na moje dane - wyjaśnił. Drzwi drgnęły i otworzyły się powoli. Wewnątrz znajdowało się puste, pogrążone w półmroku pomieszczenie. Mar Kellen zaprosił Olmy'ego skinieniem i poprowadził go przez korytarz do małego pokoju o gładkich białych ścianach, pozbawionego mebli i ozdób.

Stał pośrodku pokoju krzyżując ręce na piersi, nie rzucając cienia. Olmy zatrzymał się w drzwiach. - Przez ten pokój prowadzi droga do wielkiej tajemnicy - powiedział Mar Kellen - która dla nikogo nie ma praktycznej wartości... przynajmniej nie teraz. Kiedyś musiała być użyteczna. Może ją wykorzystano, choć nikt z nas o tym nie słyszał. Może uznano, że jest zbyt groźna. Proszę, proszę wejść.

Mar Kellen uniósł rękę, wyprostował jeden palec i wskazał Olmy'emu coś na podłodze. - W dół, proszę. - Podłoga zniknęła. Pokój stał się szybem windy. Opadali szybko nie czując tego, a wokół narastała ciemność. Co kilka sekund mijali czerwone światelka sygnalizujące kolejne poziomy. Trwało to kilka minut.

Olmy nigdy nie słyszał o niezamieszkałych tunelach, które sięgałyby w głąb asteroidu dalej niż na dwa kilometry. Musieli już być co najmniej dwa razy głębiej.

- Coraz bardziej intrygujące, prawda? - powiedział Mar Kellen. - Ukryte bardzo głęboko, bardzo starannie zabezpieczone. Cóż to może być?

- Jak głęboko jesteśmy?

- Sześć kilometrów w skale asteroidu - odpowiedział Mar Kellen. - Niższe poziomy mają swoje własne zasilanie. Nic o tym nie ma w raportach poszczególnych komór.

- Nielegalny przepływ danych - zgadywał Olmy. Słyszał o takich wypadkach. Policja i politycy, którzy obawiali się utracić łaski Hexamonu w minionych stuleciach, z niezwykłą starannością organizowali supertajne sposoby przekazywania i przechowywania danych. Nigdy jednak czegoś takiego nie wykrył.

- Prawie dobrze, ser Olmy, lecz nie nielegalny, tylko pozalegalny. Prawodawcy kazali wybudować ten schron, a czy prawodawca może zrobić coś nielegalnego?

Olmy nie odpowiedział. Nawet w wysoce etycznym świecie hexamońskich polityków truizmem było, że żaden rząd nie przetrwałby, gdyby chciał rygorystycznie przestrzegać wprowadzanych przez siebie praw.

Biały kwadrat w dole rósł i po chwili stał się podłogą. Mar Kellen poprowadził go przez krótki korytarz ku mrocznej sześcienną celi, nie większej, niż trzy metry w każdym kierunku.

- To jest terminal dostępu do pamięci - powiedział, siadając na metalowym stołku przed pozbawionym przycisków blatem, wystającym ze ściany na wysokości brzucha. - Manipulowałem przy tym i odkryłem coś strasznego.

- Dotknął blatu ręką i blade różowe światelka pojawiły się w dwu miejscach. - Dostęp, ogólny kod przycisków. Nazywam się Davina Taur Ingel.

To nazwisko mogło należeć do poprzednika, prawdopodobnie kobiety, dawnego premiera Nieskończonego Hexamonu, Ilyina Taur Ingela. Mar Kellen obsługiwał urządzenie z widoczną wprawą.

- To był trudny etap. Systemy zabezpieczające już nie działały, ale dostępu bronił labirynt wbudowany w strukturę pamięci. Tajemniczy pozalegalni ludzie, którzy to wybudowali, byli bardzo ostrożni. Gdyby nie labirynt, mógłbym to panu dać za darmo, po prostu przyjaciel daje coś ważnego przyjacielowi. Lecz nie byłem sam, gdy to odkryłem. Była ze mną Beni...

Olmy wyczuł gwałtowną zmianę w uczuciach Mar Kellena. Stary żołnierz przeżywał smutek, złość, a w końcu mroczne poczucie triumfu. Był szczery, ale czy nie szalony?

Zachęcił Olmy'ego, by podszedł do blatu i łagodnie ułożył jego dłoń poniżej zielonego światła.

- Proszę się nie niepokoić. Wystarczy mieć w pogotowiu osobiste bariery. Może pan sam to obsługiwać. Mnie się to z trudem udawało, ale zostaliśmy zaskoczeni.

Mar Kellen powiedział: - Gość Ingel korzysta z dostępu.

Głowa Olmy'ego odskoczyła do tyłu, a wszystkie mięśnie naprężyły się. Docierały do niego z blatu impulsy, które nie były przeznaczone dla ludzkich organizmów. Zobaczył strzępy obrazów, nawet nie zniekształcone, a po prostu niezrozumiałe. Usłyszał głos bardziej obcy niż głos Franta... czy nawet kuriera z Talsitu. "Badanie czasu. Badanie obowiązku. Nieaktywny od nieokreślonego czasu."

Z dużym wysiłkiem oderwał rękę od blatu.

Twarz Mar Kellena rozjaśniła się entuzjazmem. Stary żołnierz był szczery, ale jednocześnie nieodpowiedzialny. Pod wpływem przeżyć doznał szoku, a może nawet uszkodzenia psychiki, a jednak aż do tej chwili udało mu się to ukryć przed Olmym. Mar Kellen zaśmiał się i głęboko odetchnął, by po chwili całkiem się uspokoić. - To zabiło Beni gdy odkryliśmy tajemnicę labiryntu. Jej połączenia nerwowe zostały uszkodzone, jej implant rozregulował się. Nie można było wykorzystać pamięci miejskiej, choć jej ciało było nietknięte, żywe. Zabiłem to, co z niej zostało i sam zatarłem wszystkie ślady. Dlatego musiałem pana wezwać. - jego twarz była blada i bez wyrazu - z powodu jej straty i bólu. Jak pan myśli, co tutaj zmagazynowano?

- Nie mam pojęcia - odparł Olmy.

- Mam pewną teorię. Jeśli jest słuszna - wysunął podbródek i uśmiechnął się przebiegle. - Musieli go schwytać dawno temu. Zmagazynowali jego osobowość, lub jej odpowiednik, w tym tajnym buforze pamięci... A potem o nim zapomnieli. Czekał przez całe stulecia uśpiony, aż Beni i ja natknęliśmy się na niego. Czy wierzy pan, że mamy przed sobą jarta? Ile byłoby warte dla Hexamonu życie wewnętrzne jarta, gdyby to była prawda?

Olmy potrząsnął głową, zbyt osłupiały, by znaleźć jakąś odpowiedź.

- Proszę spojrzeć. Odkryłem to dopiero, gdy jej już nie było. Gdy my... - podszedł do ściany naprzeciw drzwi. Ta rozdzieliła się na pięć segmentów w kształcie liter L, które rozsunały się bezszelestnie. Weszli do małej ciemnej izby. Poczuli nieustanny ruch chłodnego powietrza.

- Pokaż się, ty draniu. - Krąg światła zapalił się nad ich głowami. Blok przezroczystego kryształu leżał pośrodku ośmiobocznego pomieszczenia. Wewnątrz znajdował się potwór, który nie przypominał niczego, z czym Olmy spotkał się kiedykolwiek. Miał ogromną niebieskoszarą głowę w kształcie młota, którą przecinały trzy poziome bruzdy. Z najwyższej wystawały trzy lśniące, białe tuby zakończone na czarno - czyżby oczy? - a z dwu niższych długie i czarne kity włosów. Poniżej ogromnej głowy - wielkości mniej więcej ludzkiego tułowia - znajdował się długi, gładki zielony korpus. Rozwidlające się blad różowe macki, każda gruba, jak nadgarstki Olmy'ego i długa, jak jego

ręce, ciągnęły się wzdłuż grzbietu. Dalej, ku tyłowi, za mackami, wyrastała szczecina złożona z krótkich czerwonych wąsów czy też czułek. Stwór miał na końcu gruby uniesiony ogon, zakończony fioletowym rogiem. Najdziwniejsze były błyszczące odnóża - siedem par kończyn po obu stronach ciała, wyglądających jak tyczki albo długie zaostrome kolce, a nie nogi. Poniżej głowy, a może nawet z niej, wyrastały dwa zestawy ramion wyposażonych w wiele stawów; jedno było wyposażone w zakończenia przypominające ręce, inne miały półprzezroczyste macki.

Mimo, że przez wiele lat miał do czynienia z istotami odmiennymi od ludzi, Olmy poczuł dreszcz obrzydzenia. Gdy podszedł bliżej, z ulgą stwierdził, że potwór był martwy. Jego ciało zakonserwowano, by uchronić je przed zepsuciem. Było coś niegodnego i chaotycznego w tym niezgrabnym olbrzymie.

- Piękny, prawda? - Mar Kellen obchodził blok dookoła. Potwór miał od głowy do uniesionego ogona około czterech metrów. - Przodkowie, którzy nas bronili, może ludzie, których znamy... którzy nas uczyli... złapali jarta, oto i on. Ale dlaczego trzymali to w tajemnicy? To byłaby niewiarygodna sensacja...

Olmy wiedział, o co mu chodziło. Broń, jaką posiadały obie strony sprawiała, że bitwy odbywały się rzadko i kończyły kataklizmami. Jartowie nigdy nie przystąpili do rozmów dyplomatycznych; po kilku dekadach przestano im je proponować. Żadna strona nie wiedziała, jak wyglądają wrogowie. Obie zastawiały pułapki i oszukiwały, dlatego nie wierzone żadnym informacjom. Gdyby złapano jarta - nawet martwego lub umierającego - i zrozumiano choć trochę z jego myśli...

To byłaby sensacja. Więc dlaczego wszystko zatajono, i to na wiele stuleci? Co zmuszało do takiej ostrożności?

Mar Kellen wzruszył ramionami, a jego piktor wyświetlił przypadkowy, wyrwany z kontekstu symbol na suficie. - Pod warunkiem, że nie jest sfalszowany. Może to nieudana symulacja.... - uderzył palcami w konsolę. - Jednak podejrzewam, że jest prawdziwy. Nasze symulacje nie były wiele warte. Wprawdzie nigdy nie spotkaliśmy jartów osobiście. Nikomu się to nie udało, jak nam mówiono, i nikt nie powrócił, by o tym opowiedzieć. Ale to... trzymano przed nami w tajemnicy. Cokolwiek to jest, ma swoją wartość, ser Olmy.

Stary żołnierz wskazał palcem na białą płytkę po jednej stronie bloku. - Są inne sposoby, aby to sprawdzić. Wypróbowałem je, gdy zmarła Beni. Nie dotykałem bezpośredniego połączenia przez miesiąc. Ale to jest mniej niebezpieczne. Pokazuje to bydlę w działaniu - naśladuje czynności umysłowe. Przypuszczam, że eksperci mogli te znaki odczytać. Ja nie umiem.

Olmy obserwował płytkę. Ponad nią utworzył się świetlisty cylinder. Jak geometryczny kwiat, zakwitł i wytworzył wokół siebie mgiełkę wirujących linii. Linie tańczyły hipnotyczny taniec. Dolna część cylindra rozchyliła się i rozbłysła nieruchomą mozaiką kolorów: czarne obok szarego, czerwone z zielonym, białe obok zielonego, czerwone na czarnym...

- Jak dotąd, banalne, co? - zapytał stary żołnierz.

Olmy spojrzał na niego, potem znów na kolorowy cylinder. Nie mógł pojąć, co to wszystko znaczyło. - Czy to jest diagram jego umysłu?

- To jest Jar - powiedział Mar Kellen poruszony. - Nie może być inaczej. To jest jego umysł i jego wspomnienia. Przyglądałem się temu godzinami. Czasami mówiłem sobie: "To właśnie zabiło Beni..." Potem musiałem odejść, aby nie oszaleć.

Olmy zafascynowany studiował wzór. Oto uchwycił krawędź osobowości jarta; zbyt mało, by określić, czy to oryginał czy może jakaś jego reprezentacja, czy był sprawny czy uszkodzony, czy pamięć była aktywna czy bierna. A jednak to niepowtarzalna okazja - i niezgłębiona tajemnica.

Czuł, jak jego ciało opanowywało hormonalne wzburzenie.

- Aż ciarki przechodzą, prawda? - zapytał. - Zbyt wiele tajemnic.

- Rzeczywiście. - Zbliżył się do zakonserwowanego ciała, pozwalając, by jego umysł i procesor implantu zgłębiały ten problem. - Nikomu pan tego nie pokazywał?

Mar Kellen potrząsnął głową. - Nie miałem kontaktu z nikim. Beni... - jego półprzymknięte oczy i pomarszczona twarz tonęły w bólu - ...leczyła mnie. Pomagała mi powrócić.

Olmy odwrócił się, by nie patrzeć na udręczonego człowieka.

Wybierał niebezpieczeństwo tak często, że nie mógłby tego zliczyć. Z przewrotną regularnością wystawiał swoją odwagę na próbę. Nawet spokojny Talsit, który dostarczał mu rozrywki przez ostanie cztery lata, nie uspił jego żądy przygody. Był spragniony nie tyle niebezpieczeństwa, co nowych doświadczeń. W ciągu ostatnich dziesięcioleci nie wydarzyło się wiele ciekawych rzeczy. Ziemia także go już znużyła, z jej morzem potrzeb i nieszczęścia.

Lecz nigdy dotąd nie czuł takiego strachu, jak teraz. Cokolwiek znajduje się buforze pamięci - prawie na pewno jest to osobowość jarta, jeśli sugestie Mar Kellena są słuszne - miało dość siły, by zabić Beni i poważnie zaszkodzić jej towarzyszowi.

- Proszę mi nie dziękować - powiedział Mar Kellen, a jego twarz była poważna. - Teraz, gdy panu to pokazałem, jestem... - Jego piktor wyrysował szereg czerwonożółtych symboli osobistych, które nie miały dla Olmy'ego żadnego znaczenia, choć rozpoznał w nich formę starych naderyckich modlitw. - Niczego nie chcę, naprawdę. Nie dbam o żadne korzyści. W ogóle niewiele już mnie obchodzi. Zabiłem ją wprowadzając tutaj.

Olmy przerwał jego wyznania. - Odkrył pan coś niezmiernie ważnego - powiedział. - Nie jestem pewien, co to jest, ale...

- Ja nie jestem już ciekaw. Jeśli to ważne, zostawiam to panu. Naprawdę żyję już zbyt długo - powiedział miękko Mar Kellen, na którego twarz padało teraz wielokolorowe światło. Wolno zamrugał oczyma, a potem obliznął wargi i spojrzał na Olmy'ego. - A pan nie?

Gaia, Bliska Aleksandreia, Rok Aleksandrosa 2345

Rita stała na tylnym pokładzie promu parowego loannes, przemierzającego wody między Rodos a Aleksandreia. Aby ochronić się przed zimowym chłodem, miała na sobie brązową czapkę Akademeii i wełnianą suknię w kolorze masła. Wpatrywała się w szeroki spieniony ślad ciągnący się za promem. Towarzyszyła jej samotna mewa, siedząca w odległości kilku metrów na dębowej balustradzie. Ciemne, szare chmury wisiały nad spokojnym oceanem, barwiąc go na ponury kolor żelaza. Z tyłu, na zakrytym głównym pokładzie przycupnęły ciężarówki z Rodos, Kos i Knidos.

W wieku dwudziestu jeden lat czuła się już naprawdę dojrzała, choć młodzieńcze poczucie humoru i pragnienie zabawy jeszcze jej nie opuściły. Świetnie zdawała sobie sprawę, jak bardzo ma ochotę błaznować i wygłupiać się. Żałowała, że nie ma na to zbyt wiele czasu.

Jej włosy, jak w dzieciństwie, miały nadal lśniący rudobrązowy odcień, ale były krótko obcięte. Wesole oczy i postawa pozostały prawie niezmienione. Była nadal średniego wzrostu, lecz jej ramiona stały się nieco szersze. Po ojcu odziedziczyła siłę fizyczną oraz smukłe dłonie i długie nogi.

Rita odwiedziła dotąd Aleksandreię tylko dwa razy; nie miała wtedy jeszcze dziesięciu lat. Jej matka, Berenika, była zdania, że jedyne dziecko powinno pozostać jak najbliżej Hypateionu, z dala od kosmopolitycznych pokus głównego miasta, Oikoumene.

Berenika, zachłanna uczennica Patrikii, wyszła za Rhamona, najmłodszego syna Sophie. Można sądzić, że uczyniła to bardziej z poczucia obowiązku, niż z miłości. Kochała córkę namiętnie i widziała w niej młodzieńczy wizerunek Patrikii. Jednak fizycznie Rita była bardziej podobna do matki, niż do babki.

Jej własna matka nie żyła już od roku, Patrikia od ponad dziewięciu lat, ojciec wciąż był uwikłany w spory o władzę w Akademei - rywalizował ze stronnictwem teokratycznym, którym Patrikia otwarcie pogardzała. Zaś Rita płynęła do miejsca, gdzie mogła zrobić ze swoich talentów i wiedzy najlepszy użytek. Jeśli Akademeia upadnie, przynajmniej ona będzie gdzie indziej i być może założy nowy Hypateion.

Te drobne zmartwienia były w tej chwili najważniejsze. Dawały jej poczucie nieomal komfortu i bezpieczeństwa w porównaniu z głównym problemem.

Przez sześćdziesiąt lat Patrikia szukała nieuchwytnego połączenia z miejscem, które nazywała Drogą. To dziwne miejsce okazało się naprawdę nieuchwytnie. Pojawiało się w różnych miejscach świata, jednak tylko na tak długo, by kusić, ale nie dać się zlokalizować. Patrikia zmarła nie znalazwszy go.

Rita wiedziała dokładnie, gdzie znajduje się brama. Nie przemieszczała się od trzech lat. Ta świadomość nie dawała spokoju. Dziewczyna przyjęła wyznaczoną rolę, ale jej nie polubiła.

Wiedza o bramie pozbawiła ją własnego życia. Była przekonana, że babka włożyła na jej barki ciężar nie do udźwignięcia i pozostawiła samą.

Być może Patrikia była już nieco szalona na rok przed śmiercią. Tak czy inaczej, obarczyła swoją wnuczkę ogromną odpowiedzialnością.

Wszystko inne - jej prośba o prawo studiowania w Mouseionie, jej życie osobiste, wszystko - zostało podporządkowane tej wiedzy.

Nie powiedziała o tym nawet ojcu.

Rita marzyła o spokojnym życiu i patrząc na fale, i ptaka gładzącego swoje skrzydła zdawała sobie sprawę, że jej marzenie zapewne się nie spełni, w każdym razie nie w tym świecie. Nawet - pomijając jej misję - życie w Akademii stawało się trudne. Wszystko, co znała i kochała, zostało za niebieskoczarnym morzem, które przepłynęła.

Przewoziła obojczyk i maszynę do podtrzymywania życia w dużym zamkniętym kufrze. W mniejszej walizce wiozła elektroniczną tabliczkę babki do czytania i pisania. Zostawiła je w kabine pod opieką Lugotorixa, Kelta, którego dano jej do ochrony. Sophe czuła obrzydzenie wobec wszelkiego uzbrojenia i sztuki wojennej, i zgodnie z tą tradycją Lugotorix nie był uzbrojony, lecz nie był przez to mniej groźny. Rhamon, mimo całej sympatii dla pacyfistycznej filozofii Hypateionu, był człowiekiem praktycznym, a czasem zaskakująco zaradnym i dobrze zorientowanym w sprawach świata doczesnego. Usługi Lugotorixa były opłacane czymś bardziej wartościowym niż pieniądze; jego dwaj bracia studiowali w Akademii. Z takim wykształceniem będą mogli przełamać uprzedzenia, z powodu których Keltowie cierpieli od czasu nieudanego powstania sprzed trzech stuleci.

Rita była w ciągłym, choć nie krępującym kontakcie z obojczykiem. Gdyby coś się z nim stało, wiedziałyby natychmiast, i umiałyby go znaleźć, dokądkolwiek by go zabrano. Mało kto odważyłby się na kradzież, gdy pilnował go Lugotorix, lecz nawet ten keltycki strażnik nie wiedział, czym się opiekuje.

W stosownym czasie Rita poprosi Królową Kleopatę o audiencję i pokaże jej te przedmioty jako dowód.

Nie miała ochoty zastanawiać się, co może potem nastąpić.

Gdy miała już dość morskiego powietrza - było gęste od dymu i popiołu, roznoszonego przez niespokojny wiatr - wróciła do małej dusznej kabiny i odesłała spokojnego czarnowłosego Kelta, aby odpoczął. Zdjęła ciepłe ubranie i założyła prostą hinduską koszulę nocną w bawełny. Wpełzła pomiędzy cienkie koce na koi, zapaliła słabą elektroniczną lampkę i wyjęła z walizki mały drewniany teukhos, pudełko na książki z tabliczką babki i sześcianami muzyki i literatury, a także jej dziennikami.

Nic podobnego do tabliczki nie istniało na Ziemi, choć matematycy i mekhanikoi z Oikoumene obiecywali stworzyć w ciągu kilku lat wielkie elektroniczne maszyny obliczeniowe. Podczas kilku spotkań, tuż przed swoją śmiercią, Patrikia zapoznała niektórych z nich z teorią budowy takich maszyn.

Rita znów poczuła, jak wielka jest jej odpowiedzialności za te przedmioty. W dosłownym sensie wiozła ze sobą los Akademii na Rodos; przedmioty były bowiem dowodem, że Patrikia mówiła prawdę. Gdyby zaginęły, na przykład w razie katastrofy i zatonięcia promu, nie byłoby żadnego świadectwa i z czasem opowieści Patrikii uznano by za mit lub, co gorsze, za kłamstwo. Jednak Rhamon polecił jej, by nie zważając na niebezpieczeństwo, gdziekolwiek nie pójdzie, miała Przedmioty zawsze przy sobie.

Przeczytała notatki babki, wiele razy porównując historię Ziemi i Gai. Czerpała z nich i z tabliczki taką pociechę, jaką mogłyby jej dać znajome baśnie i opowieści o wrózkach.

Współczesna Ziemia, według opisu babki, była miejscem fantastycznym, niewiarygodnym i przerażającym - była światem, który użył swego geniuszu i swego szaleństwa, by dokonać samospalenia.

Jeden z sześcianów zawierał kompletną historię Ziemi. Rita przeczytała ją tak dokładnie, że znała ją równie dobrze jak losy swojej własnej planety. Wiedziała, że na Ziemi Megas Aleksandros próbował podbić Hindustan i tylko częściowo mu się powiodło, podobnie jak na Gai. Lecz na Ziemi

Aleksandros nie wpadł do spienionej rzeki Hydasps, gdy jego prom wywrócił się, i nie zachorował na zapalenie płuc, które zmusiło go do pozostania w łóżku przez cały miesiąc, po czym wrócił do zdrowia i dożył późnego wieku w dobrej kondycji. Na Ziemi Wielki Władca Świata musiał wycofać swoje oddziały, rozchorował się w innych okolicznościach i umarł młodo w Babilón... Wtedy też nastąpiło rozdzielenie jej dwu światów.

Rita często myślała, by napisać fantastyczne powieści o tej drugiej Ziemi, które jej babka nazwałaby romansami. Może kiedyś to zrobi. Zanim zajęła się studiowaniem fizyki i matematyki bardzo lubiła literaturę.

Kto jednak mógłby wyobrazić sobie Oikoumene podzieloną między lojalnych Spadkobierców? Wojny między Spadkobiercami, przekształcenie imperium Aleksandrosa w wojujące ze sobą królestwa, Egipt zdominowany przez dynastię Ptolemaiosa, Syrię pod panowaniem Seleukidów i wreszcie, wraz ze wzrostem potęgi Latine, całe Środkowe Pontos opanowane przez Romanów...

Roma w świecie Rity była małym niespokojnym miastem w rozdartej konfliktami Italii - i nie nadawała się na spadkobiercę Hellas! Ale na Ziemi Roma powstała i zniszczyła Karkhedon - Cartago w języku łacińskim - kończąc historię handlowego imperium na półtora wieku przed narodzinami mało znanego Mesjasza z loudei, zwanego Jeshouą lub Jezusem. Karkhedon nigdy nie skolonizowała Nowego Świata, a Nea Karkhedon nie zbuntowała się przeciw ojczystemu krajowi i nie zapanowała nad Oceanem Atlantyckim, stając się, wraz z Libianami i Nordyckimi Rhussami, jednym z wrogów Oikoumene...

Na Gai Ptolemaios Six Sóter Trzeci pokonał szczepy Latynów, w tym także Romanów, w R.A. 84, i tym samym zadbał, by Oikoumene została wynagrodzona trwałym zwierzchnictwem nad Aigyptos i Azją.

Na Gai były elektrownie jądrowe, wielkie eksperymentalne zakłady zbudowane w Kyenaike na zachód od Nilos. Były samoloty odrzutowe i nawet rakiety umieszczające satelity, ale nie ludzi, na orbicie. Lecz nie było bomb atomowych, nie było broni międzykontynentalnej, która może niszczyć całe kraje, nie było statków kosmicznych wyposażonych w promienie śmierci. Wiele tych cudów stanowiło tajemną wiedzę przechowywaną w Akademiei; Patrikia otrzymała surową lekcję podczas spotkań z dziadkiem Kleopatry.

Gaia mimo swych problemów wydawała się Ricie znacznie bezpieczniejszym i radosnym miejscem. Po cóż zatem szukać Ziemi? Po co narażać się na kłopoty?

Nie była pewna. Kiedyś może zrozumie ten przymus i obudzi się w niej poczucie lojalności. Na razie robiła to, co przeznaczył jej los i czego oczekiwała od niej babka, mimo, że nigdy nie wyraziła tego słowami.

Rita wybrała odpowiedni fragment tekstu zapisanego na tabliczce i zaczęła po raz setny chyba czytać opis Drogi. Był to świat jeszcze bardziej baśniowy i dziwny niż Ziemia. Kto w Oikoumene, a nawet na całym świecie zrozumie i uwierzy w te rzeczy? Może zmyśliła je Patrikia, może wyśniła w koszmarnych snach? Ludzie bez ludzkiej postaci, człowiek, który kilka razy przeżył swoją śmierć, kosmos w kształcie niewiarygodnie długiej rynny...

Po pewnym czasie zasnęła. Gdy zadzwoniono na obiad, przebrała się w wełnianą suknię i pozostawiła kabinę pod opieką Lugotorixa. Jadła sama, nabierając jadło z cebra przygotowanego przez kuchnię okrętową.

Na obiad, do ciasnej kantyny ponad głównym pokładem, zeszli także inni pasażerowie, głównie Tyrianie i loudańczycy. Rita nie zwracała uwagi na wyuzdane spojrzenia tyriańskich kupców ubranych w bogate stroje.

Będzie jej brakowało Hypateionu wraz z jego równością płci.

Niebo nad Aleksandrią było czyste, jak niemal zawsze.

O świcie prom, wyrzucając tumany dymu, przepłynął obok latarni morskiej Pharos, wysokiej na czterysta łokci. Rita, mimo zimna, stała na rufie wraz ze swymi tobołkami. Pharos był jednym z czterech tego rodzaju kolosów, najwyższym z nich wszystkich. Zbudowano go z żelaza, kamienia i betonu sto sześćdziesiąt lat temu. Poranne światło zabarwiło na różowo budynki na niskich wzgórzach Aleksandrii, ale ich zacienione części były ciemnozielone. Marmurowe i granitowe pałace na półwyspie Lokhias lśniły pomarańczowym blaskiem ponad szaroniebieską powierzchnią Królewskiego Portu. Wielki keson wbity w dno portu na północ od półwyspu, który powstrzymywał wody odbite od pałacu, wyglądał jak szpila z kości słoniowej, do której przywiązano brzeg usypany z kamieni.

Najsławniejsze z miast świata, centrum kultury ludzkiej, a przynajmniej kultury Oikoumene, wydawało się Ricie niemal nierealne.

Prom przybił do nabrzeża portu i ciężkie samochody zaczęły zjeżdżać po długim stalowym jezorze. Tłusty dym i para przedostawały się na pokład dla podróżnych, gdzie Rita i Kelt taszczyli swoje torby.

Przeciskając się pomiędzy biznesmenami z Aithiopii, wystrojonymi w oficjalne pióra i ozdoby, oraz nachalnymi handlarzami z Aigyplos, którzy nawoływali się ochrypłym głosem, Rita i jej towarzysz wydostali się spokojnie z nabrzeża. Rozglądała się, czy ktoś nie wyszedł im na spotkanie. Nie była pewna, kogo się spodziewać, jeśli Kleopatra nie była obojętna na pamięć jej babki. Obok falochronu, w wąskim przejściu zarezerwowanym dla taksówek i konnych wozów dostrzegła czarny zniszczony samochód z włączonym silnikiem. Kierowca palił ogromnej długości cygaro, zaś o otwarte drzwi oparta była tabliczka, na której napisano kredą "YASKAYZAMOUSEION".

- Myślę, że czeka na nas - powiedziała. Nie było to szczególnie wytworne powitanie. Nie było żadnej ochrony - w każdym razie nikogo nie widziała.

Czuła się sielsko i niewinnie, gdy podchodziła do samochodu. Wielkie miasto istniało teraz namacalnie i wyczuwalnie - otaczały ją zapachy oleju opałowego, chmury słodkiej pary, końskiego łajna, brudne tłumy podróżujących kupców. Mogła zostać pochłonięta, przeżuta i wypluta, i nikt nie zwróciłby na to uwagi. Po raz pierwszy poczuła, jak bardzo jest słaba. Jej babce nigdy nie brakowało pewności siebie. Jak walczyłaby o swoją pozycję w tym ogromnym, przytłaczającym tłumie?

Gdy Rita i Lugotorix przedstawili się kierowcy, ten zgasił cygaro o powypalane obicie drzwi, schował niedopałek do kieszeni spodni i wspiął się na wysokie przednie siedzenie. Wsiedli do samochodu. Sycząc i szarpiąc stary wehikuł powiózł ich wzdłuż szerokiego bulwaru między dwoma rzędami arkad. Skręciwszy w lewo przejechali pod wysokim, marmurowym łukiem i znaleźli się na terenie Mouseionu, wielkiej Biblioteki i Uniwersytetu Aleksandrii.

* * *

- Jest bardzo przystojną młodą kobietą - powiedział bibliofylaks Mouseionu poprawiając stołek przed królową. - Z wyglądu bardziej przypomina matkę niż babkę, lecz jej nauczyciele zapewniali mnie, że dorównuje Sophie Patrikii. Przybyła do portu w towarzystwie służącego, ogromnego osiłka z północy, jak donieśli moi wywiadowcy, i będzie w swoim tymczasowym domu w ciągu godziny.

Kleopatra Dwudziesta Pierwsza umieściła swoje krótkie pulchne ciało na nieoficjalnym tronie. Jej nos i jedno oko były zeszpecone przez różową bliznę, która przecinała jej jasną twarz biegnąc od lewej skroni do prawego policzka. Niewiele zostało z jej młodzieńczej piękności, którą dwadzieścia

lat temu podziwiali hasysyni Libii podczas jej wizyty w Ophirystanie. Nie interesowali ją już kochankowie - tamtego ohydneho dnia straciła swoich trzech ukochanych małżonków - więc nie dbała o wygląd. Była wdzięczna losowi, że zachowała zdrowie i przenikliwy umysł.

Dzień był suchy i upalny. Promienie słońca przedostały się właśnie na marmurową, wewnętrzną werandę królewskiego domu i oświetliły palce królewskiej stopy z nieumalowanymi, lecz starannie zadbanymi paznokciami. - Pozwalałam tej sophe na wiele - powiedziała. Na mocy dekretu jej dziada Patrikia Luisa Vaskayza mogła założyć akademeię na Rodos. Uczelnię tę nazywano Hypateionem na cześć kobiety matematyka, o której jednak w Aleksandrii nie słyszano i przez następne pięćdziesiąt lat występowała wraz z Mouseion Kallimakhosa o fundusze na badania naukowe, często odbierając tej drugiej królewskie dotacje. Choć dokonano tam wielu cennych i użytecznych odkryć, każdy, kto obracał się w kręgu Akademei wiedział, że dla sophe najważniejsze było poszukiwanie drogi, by powrócić do domu. Większość uważała ją za, co najmniej, szaloną.

- Wasza Wysokość wyraża królewską opinię.

- Bądź ze mną szczery, Kallimakhosie. Twarz bibliofylaksa przybrała kwaśny wyraz. - Wasza Wysokość pobłażała jej kosztem innych, o wiele bardziej wartościowych uczonych, których propozycje były bardziej użyteczne.

Uśmiechnęła się. W ustach bibliofylaksa brzmiało to mniej prawdziwie. - Nikt w Mouseionie nie zrobił tak wiele dla matematyki i rachunkowości, a także dla cybernetyki - dodała, wymawiając to słowo tak jak sophe. Zanurzyła stopę w smudze światła, jakby to była woda. Prosta barwa słońca, ciepła i pełna Boga, i suchy chłodny wiatr od morza pozwoliły jej na chwilę zapomnieć o rzeczywistości. Zamknęła oczy. - Nawet królowa ma swoje słabości - wymamrotała.

Kallimakhos zachował pełne szacunku milczenie, choć mógł powiedzieć o wiele więcej. Dwa tygodnie temu League, mekhanikoi na Oikoumene, złożył w pałacu propozycję dotyczącą budowy nowej broni. Zbuntowany rząd Nea Karkhedon, po drugiej stronie Atlantyku, dwadzieścia razy w zeszłym roku zaatakował trasy handlowe Oikoumene na południowej półkuli. Buntownicy dziesięć lat temu wypowiedzieli wszystkie umowy z Karkhedonem i zaczęli szukać sprzymierzeńców pośród wyspiarskich potęg, takich jak HiberneiaPridden i Angleia. Bibliofylaks miał nadzieję, że wszystkie inwestycje obronne oznaczają nowe korzystne kontrakty dla Mouseionu. Zamiast o nich jednak, rozmawiał o wnuczce sophe Patrikii. Sophe i jej rodzina zatruwały mu życie przez całe trzydzieści lat urzędowania, podobnie jak jego poprzednikowi przez wiele dziesięcioleci.

Kleopatra posłała mu współczujący macierzyński uśmiech i potrząsnęła głową. - Musisz wprowadzić ją do Mouseionu. Należy ją traktować na równi z jej ojcem.

- Który w ogóle nie dorównuje jej matce - dodał Kallimakhos.

- I należy jej pozwolić kontynuować badania.

- Proszę wybaczyć zdziwienie, lecz dlaczego nie mogła pozostać w Hypateionie na Rodos? Z pewnością mogłaby tam podtrzymywać tradycję zapoczątkowaną przez jej babkę.

- Napisała w swojej prośbie, że potrzebuje pomocy twojego mekhanikosa Zeusa Ammóna Demetriososa. Demetrios, którego wezwałam na prywatną audiencję, zgodził się. Mam nadzieję, że cię to nie uraziło, drogi Kallimakhosie.

Wiedziała, że było inaczej, lecz spodziewała się, że puści to w niepamięć. Odnosił zbyt wiele korzyści z kontaktów z Jej Wysokością, by przejmować się tak drobnymi sprawami jak Vaskayza i jej rodzina. - Tak się stanie - odparł bibliofylaks i pokłonił się jej, dotykając podłogi kołnierzem togi uczonego.

Nad głowami usłyszeli krzyk podobny do tego, jaki wydają jastrzębie, a potem fundamenty pałacu zdrząły, zaś z oddali dobiegły ich odgłosy niewielkiego wybuchu. Kallimakhos zerwał się na

równe nogi. Wstała również królowa i oboje skierowali się w stronę zewnętrznej werandy. Wychyliwszy się przez balustradę zobaczyli słup dymu unoszący się nad Brukheionem, dokładnie pośrodku żydowskiej dzielnicy. - Znów Libianie - powiedziała królowa. Blizna na jej twarzy poczerwieniała, lecz jej głos był spokojny. - Czy mamy jakieś wiadomości z Karkhedon?

- Nie wiem, Wasza Wysokość. Nie jestem szczególnie uprzywilejowany jeśli chodzi o te informacje. - Żydowska milicja będzie tym rozdrażniona, a przecież i tak wiadomo, że nie darzą Kleopatry sympatią; bibliofylaks zastanawiał się, jaką korzyść mógłby odnieść z tego zamachu.

Kleopatra odwróciła się powoli i wróciła na wewnętrzną werandę, gdzie podniosła słuchawkę ozdobnego złotego telefonu. Skinieniem głowy oddaliła bibliofylaksa.

Godzinę później, po konferencji z generałami i naczelnikiem Służby Bezpieczeństwa Oikoumene, wysłała szwadron bombowców z Kanopos, aby zbombardowały Tunis, zbuntowane miasto Libian.

Następnie wróciła do swoich prywatnych pokoi i usiadła wygodnie prostując nogi na wełnianym dywanie. Z zamkniętymi oczyma próbowała ukoić wściekłość.

Nie miała wiele czasu na swoje zachcianki, lecz jej słowo było rozkazem w Mouseionie, choć w nie zawsze posłusznym Boule było już inaczej. Rita Berenika Vaskayza...

Kleopatra nie wierzyła, że połączenie z innym światem zostanie kiedykolwiek odnalezione. Jednak nawet w czasach wewnętrznych konfliktów i zewnętrznych zagrożeń, największych za jej pamięci, nie chciała odmawiać sobie drobnych niemądrych zachcianek.

Ziemia

Połowa domu Laniera pochodziła sprzed stulecia. Zbudowana z kamienia i nieheblowanych desek, opierała się na kamiennej piwniczce i fundamentach wkopanych głęboko w pokryte drzewami zbocze góry. Druga połowa, którą Lanier dobudował czterdzieści lat temu, miała nowoczesny wygląd. Biała i surowa, starannie zaprojektowana i wygodna wewnątrz. Mieściła się w niej kuchnia i pomieszczenia na sprzęt, potrzebny do pracy. Sprzęt ten, to mała konsola i procesor, dzięki któremu mógł połączyć się z każdym miejscem na Ziemi i sprawdzić, co się tam dzieje. Mógł też utrzymywać łączność z Ziemiem Hexamonem poprzez Christchurch i stacje orbitalne. Nie robił tego od sześciu miesięcy.

Wspięli się po stopniach na wzgórze - Laniera rozboleły mięśnie nóg - i stali na szerokim ganku, podczas gdy otwierał drzwi domu. Nie widział, czy Karen wróciła już do domu. Często, gdy wykonywała swoje misje, zatrzymywała się na noc w którejś z pobliskich osad. Nie martwiło go zbyt, że mogła mieć kochanka lub nawet kilku, choć czułby się dotknięty, gdyby poszła do łóżka z Fremontem. Nie miał żadnych dowodów na to, a zresztą nigdy nie ulegał tego rodzaju zazdrości, gdyż seks był jedną z jego słabszych namiętności.

Nie było jej w domu. Poczul ulgę, bo wyjaśnianie, kim jest jego gość, byłoby bardzo kłopotliwe. A mimo to, gdy chodził po pustym domu, poczul piekący żal. Stracili tak wiele w ciągu ostatnich lat, prawie wszystko, co przynosiło ulgę i pociechę w okrutnych czasach Uzdrawienia.

- Proszę wejść - zaprosił gościa. Mirski, czy ktokolwiek to był (Lanier był nadal nieufny i zdążył już wymyślić własne wyjaśnienie całej sprawy, nie mniej niewiarygodne), wytarł buty o wycieraczkę na ganku i wszedł, przyglądając się z uśmiechem antycznemu wyposażeniu domu.

- Piękny dom - powiedział z uznaniem. - Od kiedy pan tu mieszka?

- Od przerwy między misjami w dwa tysiące siódmym...

- I tak samemu?

- Z żoną. Mieliśmy córkę, ale nie żyje.

- Nie byłem w normalnym domu od... - Mirski uniósł brwi i potrząsnął głową. - Czy może pan połączyć się stąd z Olmym i Korzeniowskim?

Lanier wzruszył ramionami i kiwnął głową. - Z mojego gabinetu, z drugiej strony domu.

Lanier zawahał się przed zamkniętymi drzwiami gabinetu i spojrzał na mężczyznę. Był coraz bardziej przekonany, że facet przypomina Mirskiego, lecz nim nie jest, bo nie może być. Ktoś stworzył jego kopię, choć Lanier nie umiał sobie wyobrazić w jakim celu. Jak miał to wszystko wyjaśnić Olmy'emu, Korzeniowskiemu czy komukolwiek innemu? Najlepiej jeśli zobaczą go sami.

- Proszę wejść. - Weszli do gabinetu, w którym unosił się delikatny zapach kurzu i starego powietrza.

Stąd, po przejściu na emeryturę, udzielał porad swoim następcom. Karen chciała, by oboje wypełniali wszystkie dawne obowiązki, ale odmówił; miał tego dosyć. Być może wówczas pojawiło się w ich związku pęknięcie. Kiedy zaczął manipulować przy konsoli i projektorze pod ścianą, nawiedziły go inne nieprzyjemne wspomnienia. Dowiadywał się tą drogą o nieszczęściach i zamęcie, kierował misjami, które diagnozowały i leczyły koszmarnie okaleczonych ludzi.

Mirski rozejrzał się po pokoju. - Pańska własna stacja na Ziemi. Ważna nawet teraz?

Lanier znów wzruszył ramionami, jakby chcąc wszystko z siebie zrzucić. Usiadł i uruchomił

konsolę. Utworzył się pikot otwierający, który następnie rozwinął się w żywy obraz Ziemi widzianej z Kamienia, otoczonej zwojami DNA. Uprzejmy sztuczny głos zapytał: Czym mogę służyć?

- Chcę rozmawiać z Olmym. Albo z Konradem Korzeniowskim. Lub z oboma naraz.

- Połączenie służbowe czy osobiste?

- Osobiste - odpowiedział Lanier.

Pojawił się początkowy pikot w kształcie sferycznego motka splecionych kolorowych nitok.

- Czy chce pan ich spotkać osobiście? - Lanier zwrócił się do Mirskiego, który przytaknął.

Lanier znów spojrział na ekran. Podejrżane. Któż jednak chciałby zorganizować zamach? Takie rzeczy przydarzały się politykom Ziemijskiego Hexamonu, ale dawno temu i nie były częste. Rodowici Mieszkańcy nie dysponowali odpowiednią technologią, by tworzyć fizyczne kopie. Im bardziej komplikowały się jego domysły, tym więcej prawdopodobieństwa zyskiwała hipoteza, że to naprawdę Mirski.

- Pan Olmy odmówił rozmowy - powiadomiła go konsola. - Połączyliśmy się z Konradem Korzeniowskim.

Wizerunek Korzeniowskiego pojawił się w gabinecie, wyprojektowany dwa metry obok Laniera. Legendarny Inżynier, który wycofał się z prac przy Uzdrawianiu i poświęcił się badaniom podstawowym, spojrział na Laniera, uśmiechnął się krótko i zainteresował Mirskim. Obraz lekko zadrżał, zapewne z powodu zakłóceń energetycznych lub interferencji z innym światem, następnie ustabilizował się i zdawał się tak materialny jak wszystko inne w pokoju. - Garry. Nie widzieliśmy się od lat. Jak się ma Karen? A pan?

- Wszystko w porządku. Panie Korzeniowski, ten człowiek domagał się rozmowy z panem. -

Lanier odchrząknął - Twierdzi, że jest...

- Jest ładnie podobny do generała Pawła Mirskiego, prawda? - zapytał Korzeniowski.

- Nie sądziłem, że panowie się znacie - odpowiedział Lanier.

- Nie spotkaliśmy się osobiście. Ale studiowałem raporty wiele razy od tamtego czasu. Czy pan jest Mirskim?

- Tak jest. Jestem szczęśliwy, że mogłem spotkać tak znakomitą osobę i cieszę się, że znajduję pana w dobrym zdrowiu.

- Czy to Paweł Mirski, Garry? - zapytał Korzeniowski.

- Nie wiem, jak by to mogło się stać, panie Konradzie.

- Skąd przyszedł?

- Nie wiem. Spotkałem go na zboczu góry, koło mojego domu...

Mirski słuchał uprzejmie nie komentując.

Korzeniowski na chwilę się zamyślił. "Wciąż ma w sobie coś z Patricii Luisy Vasquez", pomyślał Lanier. "Widać to w jego oczach." - Czy może go pan zabrać na Thistledown, do pierwszej komory, w ciągu dwu dni? - zapytał Laniera Inżynier.

Lanier poczuł głęboki niepokój zmieszany z irytacją i dobrze znanym podekscytowaniem. Tak dawno nie zajmował się niczym ważnym...

- Myślę, że to da się zrobić - powiedział.

- Czy zdrowie panu dopisuje? - zapytał Korzeniowski z odcieniem troski w głosie. Nikt poza Rodowitymi Mieszkańcami i najbardziej fanatycznymi ortodoksyjnymi naderytami nie odrzucał wszystkich metod przedłużania życia i poprawy zdrowia. Lanier, według wszelkich dzisiejszych standardów, był kompromitujące wynędzniały.

- Czuję się dobrze - odpowiedział krótko, czując ból w nogach, a teraz również i w plecach.

- A zatem spotkamy się wkrótce na Thistledown. Mam nadzieję, że podróż, choć długa, nie

będzie zbyt męcząca. Panie Mirski, muszę powiedzieć, że pańskie przybycie nie jest dla mnie całkowitym zaskoczeniem. - Obraz rozplątał się.

Mirski uchwycił zdziwione spojrzenie Laniera. - Wielki fachowiec - powiedział. - Czy wyruszymy wkrótce?

Lanier odwrócił się do konsoli i wydał konieczne polecenia. Wciąż był wpływowym człowiekiem i lubił się o tym przekonywać.

Sytuacja rozwijała się. Lanier był nadal zbity z tropu a jednocześnie bardzo zaintrygowany.

Thistledown

Olmy towarzyszył Mar Kellenowi do pierwszej komory, gdzie pomógł mu zarezerwować miejsce na promie lecącym na Ziemię. Po wyjawieniu sekretu Kellena wyraźnie ogarnął mistyczny spokój. Gdy szli w kierunku windy w tunelu średnicowym, uśmiechał się blado i potrząsał głową, wodząc oczyma po ziemi i szurając obcasami o kamienny chodnik.

- Przede wszystkim potrzebuje kilku tygodni, by przemyśleć całą sprawę. Mogę to z powodzeniem zrobić w moim świecie rodzinnym. Beni nie była całkiem ortodoksyjna, ale na pewno by jej się spodobało, że chcę tam jechać. Mówiła, że jest tam pięknie...

- Niech Gwiazda, Los i Pneuma będą łaskawe - powiedział Olmy.

- Błogosławieństwo? Między nami, starymi, cynicznymi żołnierzami?

Olmy skinął głową. - Czasami dodaje otuchy.

- Bajki o wrózkach po tym wszystkim, co widzieliśmy i robiliśmy. - Mar Kellen spojrzął na lampę, mrużąc oczy. - Może będzie pan potrzebował teraz otuchy. Jest mi prawie przykro, po tym, co zrobiłem. Sądziłem, że tylko pan może sobie z tym dać radę. Lecz może źle zrobiłem.

- Zrobił pan dobrze - uspokoił go Olmy, choć sam nie był do końca pewien.

- Zdobędę dla pana jakąś górę - obiecał Mar Kellen. - Prawdziwą, a nie taką jak w piątej komorze, zrobioną przez maszynę. Wysoką, z dużymi lodowcami i przepaściami. Wyższą niż wszystko tutaj, na Thistledown. - Mrugnął porozumiewawczo. - Do zobaczenia.

Olmy przyglądał się, jak wsiadał do windy. Nagle nabrał przekonania - może była to intuicja, a może przechwycił subtelny pikt z umysłu Mar Kellena - że stary żołnierz powędruje na odludzie, daleko w góry, gdzie będzie spokojny, że nikt go nigdy nie znajdzie.

Wrócił do swojego starego mieszkania, aby odpocząć i zastanowić się. Usiadł przy terminalu i połączył się kolejno z różnymi oficjalnymi (i tajnymi zarazem) programami badawczymi w obszernej pamięci Thistledown.

Gdy upewnił się, że połączenia są bezpieczne - zastosował szczególne środki ostrożności, aby urządzenia Farrena Silioma nie mogły go zlokalizować - połączył się ze swym wypróbowanym sprzymierzeńcem, wywiadowcą, którego sam zbudował, wykorzystując wspomnienia krótkowłosego teriera. Wywiadowca, jak się okazało, wykonywał swoją pracę sumiennie i z przyjemnością, jeśli można tak powiedzieć o czymś, co przecież nie posiadało kompletnej psychiki.

Olmy zlecił wywiadowcy zadanie: znaleźć w raportach na Thistledown i innych ciałach orbitalnych wszystkie wzmianki o jarcie zmagazynowanym w pamięci. Wiele ośrodków, w których przechowywano raporty na Thistledown, już nie działało, niektóre były ukryte. Na szczęście wywiadowca potrafił odczytać najbardziej niedostępne bufory pamięci, jeśli tylko zachowały się dawne łańcuchy informacyjne.

Olmy usiadł wygodnie naprzeciw terminalu i splótł dłonie. Na jego twarzy malowało się pełne cierpliwości zainteresowanie, gdy śledził niemal przypadkowo produkowane przez terminal pikty - dowód, że wywiadowca przystąpił do przeglądania danych. Zanośiło się na długie poszukiwanie.

Olmy ustalił, że wszczepiona pamięć Mar Kellena była przestarzała i miała minimalną dopuszczalną pojemność. Beni, jako "nie całkiem ortodoksyjna" naderytka, miała tylko wymaganą przez prawo rezerwową kopię pamięci. Zmagazynowana osobowość jarta w jakiś sposób spowodowała śmierć kobiety i zniszczyła zawartość jej pamięci, a Mar Kellena doprowadziła na

granicę choroby psychicznej - wszystko w ciągu niecałej sekundy.

Było to wprawdzie mało prawdopodobne, lecz nie niemożliwe, że ukryte za ochronnym labiryntem dane jarta przechowywane były w postaci łatwej do odczytania i przesłania. Konsola umożliwiała ich przekazywanie organizmom ludzkim lub implantom, nie miała jednak wyjścia, do którego można by podłączyć jakiś zewnętrzny bufor i skopiować dane. Olmy mógł się postarać i zbudować taki interfejs... Ale dlaczego go nie poszukać? Może gdzieś już jest gotowy.

Gwałtowny przekaz danych do nieprzygotowanego i nie wspomaganego umysłu mógł, przynajmniej w teorii, śmiertelnie uszkodzić psychikę. Lecz jaka maszyna lub obwód ochronny mogły dopuścić do uszkodzenia osoby, która nieprzygotowana przyszła odczytywać dane? Najwyraźniej pojawienie się takiej nieprzygotowanej osoby w ogóle nie było brane pod uwagę... Tylko eksperci.

Przygotowani eksperci.

Jeśli utajnienie miało być całkowite, można sobie wyobrazić zastosowanie urządzeń niszczących umysły nieproszonych gości, lecz Olmy nigdy, w całej historii Thistledown i Drogi, nie zetknął się z przypadkiem stosowania przez agencje Hexamonu tak drastycznych środków.

Być może, pojawienie się Beni, na które urządzenie nie było przygotowane, spowodowało jakieś zwarcie w systemie zabezpieczającym. Gdy Mar Kellen chwilę później podłączył się do drugiego interfejsu - nie zdając sobie sprawy, co stało się z Beni - system ochronny wymierzył słabszy cios, który zachwiał jego równowagę, ale go nie zabił.

Zbyt wiele tajemnic i znaków zapytania...

W czasie wszystkich swoich wypraw zachowywał się z najwyższą roztropnością, jaka była możliwa, biorąc pod uwagę czas, jakim dysponował aby wypełnić zadanie. Mimo to dwa razy został zabity...

Podejmował ryzyko chętnie, choć nigdy nie szukał go celowo. Jeśli była bezpieczna i łatwa droga do celu, do którego zmierzał, zawsze z niej korzystał.

Teraz był bliski porzucenia tej zasady. Nie pójdzie do władz Hexamonu i nie poinformuje ich o odkryciu Mar Kellena. To byłoby bezpieczne rozwiązanie i, teoretycznie rzecz ujmując, wypełniłby swój obowiązek. Wybrał inną drogę. Nie powiedział nikomu ani słowa i zaczął rozważać inne możliwości, a wszystkie wydawały mu się szaleństwem.

Olmy wystarczająco znał historię, by wiedzieć, że główne wydarzenia w dziejach ludzkości nie były wynikiem racjonalnych postanowień, lecz prób na chybił trafił i czegoś pokrewnego instynktowi.

Aby zrobić z tajemnicy jak najlepszy użytek w czasie, jaki mógł na to przeznaczyć, musiał działać sam. Zwrócenie się do władz Hexamonu pociągnęłoby za sobą opóźnienia, konieczność powołania komitetu prowadzącego śledztwo, biurokratyczny taniec wokół cennego znaleziska, które łatwo mogłoby się okazać kłopotliwym rupieciem. Podejrzał, a obliczenia Tapiego to potwierdzały, że informacje, które znaleźli, będą gwałtownie potrzebne już w ciągu roku.

Całkowita rozwaga była niemożliwa, a nawet niewskazana. Tym bardziej, że na razie ryzykował tylko jednym - sobą.

Ponownie przedostał się do piątej komory, tym razem wykorzystując mały prywatny prom, który kursował tunelem średnicowym. Wspiął się ścieżką, którą pokazał mu Mar Kellen, zgodnie z jego instrukcją przedostał się przez połyskującą ścianę i zjechał w głąb wiekowej skorupy asteroidu.

W krypcie jarta czekał na niego nieruchomy diagram umysłu potwora.

Obraz zmienił się nieco od czasu, gdy uruchomił go Mar Kellen. Olmy zaczął przyglądać się zakonserwowanemu ciału jarta. Zawsze sobie wyobrażał, że jart jest właśnie tak ohydny - i tak

dziwny. Dziwniejszy niż wszystko, z czym zetknął się w Drodze, a były tam istoty, które z trudem można nazwać “żywymi”, gdyby nie ich życie psychiczne. Jak mogły chodzić na ostro zakończonych tyczkach? Jak się odżywiały? Nie były ani szybkie, ani zwinne. Do czego służyły czułki i wąsy? Jak wątłe ciało mogło utrzymywać tak wielką głowę?

Olmy siedział w ciasnej izbie i starał się zdusić stary lęk przed bardzo małymi pomieszczeniami. Nie było tu krzeseł, więc usiadł na podłodze i oparł się o ścianę. “Skąd się wziął?” To pytanie było równie trudne jak kolejne: “Kto go tu sprowadził? Jak go złapał? Dlaczego jart dał się złapać i przekazał swoją osobowość do pamięci?” Wstał i przeciągnął się. Ciało było wciąż młode i sprawne, umysł wyposażony w wystarczająco dużą implantową pamięć, by pomieścić kilka osobowości poza jego własną. Nie używał wolnej przestrzeni pamięci od czasu, gdy transportował Korzeniowskiego przed jego ponownym wcieleniem cztery dekady temu. Wciąż mógł korzystać z tych możliwości. Niewielu ludzi na Thistledown, czy gdziekolwiek indziej miało podobne możliwości fizyczne i psychiczne.

Gdyby miał kilka tygodni czasu, rozwikłałby zagadkę ukrytego pokoju i odkrył, jak posługiwać się aparaturą. Ale dlaczego miałby to robić?

Z tego samego powodu, dla którego przez ostatnich kilka lat studiował wszystkie źródła dotyczące psychologii istot kosmicznych. Ziemski Hexamon po dekadach zajmowania się innymi problemami, nie był ani strategicznie, ani taktycznie przygotowany do otwarcia Drogi.

A jednak, ponad wszelką wątpliwość, to nastąpi. Olmy czuł na sobie znajomą presję - presję historii.

Jeśli potrafi dać fachowe rady, Hexamon może przewyciężyć własną głupotę. Spośród wszystkich istot, które mogli spotkać w Drodze, jartowie byli najstraszniejsi. Nawet schwytani, uwięzieni, niemi przez stulecia, mogli wciąż zabijać.

Olmy za wszelką cenę musiał dotrzeć do zawartych tu informacji.

Uśmiechnął się szeroko, gdy zdał sobie sprawę, że wszystkie wywody służyły tylko ukryciu przed sobą prostej prawdy. Nie ufał obecnym przywódcom Hexamonu. Traktowali przeszłość protekcjonalnie, nie próbując jej zrozumieć. Głęboko zakorzenione poczucie żołnierskiej wyższości wreszcie zatriumfowało w nim nad wiarą w słuszość postawy dowódców.

- Sam zaczynam być łobuzem - powiadomił jarta ze skrucą. - A niech to wszyscy diabli...

Gaia

Aleksandreia była teraz znacznie brudniejsza niż ta, którą pamiętała z poprzednich wizyt. Można by rzec, że chciała się ukryć pod płaszczem dymu i sadzy przed nękającymi ją problemami. Baśniowe marmurowe groble były mocno podniszczone. Oleisty nalot pokrywał wiele pomników.

Przedstawiciel bibliofylaksa, dyrektor i archiwariusz Mouseionu szybko zabrał Ritę i jej bagaż z ulicy przed słynną Wschodnią Stołą Mouseionu. Potem uparł się, by pojechała rozklekotanym samochodem, zamiast iść piechotą. Segment dla kobiet był dwupiętrowym budynkiem z cegieł i kamienia, stojącym w zakurzonej i pozbawionej drzew narożniku gruntów Mouseionu. Rita prawie załamała się, gdy go zobaczyła, a Lugotorix gwizdnięciem okazał swoją pogardę.

Wjechali na pełen kurzu dziedziniec. Starsza kobieta w czarnym szalu, która bez większego przekonania zamiatała kurz i piach przed drzwiami wejściowymi, ledwie na nich spojrzała. Drzwi otworzyły się i wyszła młoda, stateczna blondynka w wieku Rity z ramionami uniesionymi nad głowę na znak powitania.

- Witamy! Witamy! - zapiszczała i opuściła ręce, by unieść brązową suknię ponad dywan kurzu.

- Czy jesteś z Rodos? Z Hypateionu?

Rita uśmiechnęła się i skinęła głową. Samochód zatrzymał się ze zgrzytem i kierowca wysiadł, by pomóc Keltowi ustawić bagaż przy krawężniku. - Nie możesz tu zostać - kobieta zwróciła się do Kelta. - Tu nie może być mężczyzn.

- To mój strażnik - powiedziała Rita.

- Moja droga, nikt z nas nie ma tu strażników. Będzie musiał zamieszkać gdzie indziej. Ty jesteś Riii... ta Berenika Vaskayza?

- Tak.

Kobieta objęła ją energicznie. - Jestem Jorea Yallos, z Galatii. Będę twoim przewodnikiem w tym domu. Studiujesz matematykę.

- Tak.

- To fascynujące. Studiuję hodowlę zwierząt w szkole rolniczej. Polecono mi, abym pokazała ci twoje nowe mieszkanie i odpowiadała na pytania.

Rita czuła się coraz gorzej, gdy Yallos zaprowadziła ją na najwyższe piętro i pobiegła przed nią wzdłuż ciemnego korytarza. - Cieszymy się, że przyjechałaś. Przykro nam, że nie możemy zrobić dla ciebie więcej. Latem te pokoje stygną szybciej w nocy. Zimą nie są najlepsze. Jednak w ciągu dnia panuje tu przyjemne ciepło. - Wydobyła długi żelazny klucz i włożyła do kłódki, następnie schowała oba te przedmioty do kieszeni i pchnęła drzwi. Otworzyły się, zawadzając o popękana podłogę.

- Czy jesteś córką Izis? - Zapytała Yallos.

Rita weszła do pokoju. Z dwoma małymi oknami wysoko pod sufitem i skórzanym łóżem w rogu, wyglądał jak klasztorna cela. Nocnik i miska stały na rozchwianym stojaku za drzwiami. Chropowate, drewniane biurko ustawiono pod wyblakłym freskiem przedstawiającym Izis z Konopie.

- Nie - zdobyła się na odpowiedź.

- Szkoda. Dorca, dziewczyna, która mieszkała tu przed tobą, bardzo pomocna, była zachwycona Izis. Możesz to przemałować bez zgody rady kobiet.

- Nawet o tym nie myślę - odparła Rita. Dała znak Lugotorixowi, by wniósł jej bagaż. Łagodnie

postawił je na podłodze i stanął z dala od podejrzliwej Yallos.

- To Kelt, prawda?

- Z Parisioi - potwierdziła Rita.

- W Galatii pełno jest Keltów - powiedziała Yallos. - Ja wywodzę się Nabateów i Hellenów.

Rita skinęła uprzejmie głową.

- Mamy zebrania grupy o pierwszej godzinie po zmroku. Jeśli chciałabyś przyjść, zapraszamy.

Powiedz mi, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. My kobiety musimy się trzymać razem. Nikt się tu nami specjalnie nie przejmuje. Kallimakhos i jego ludzie. Nie pasujemy do jego kontraktów obronnych. - Yallos stanęła w drzwiach. - Twój Kelt musi iść teraz ze mną. Załatwię mu pokój w starych łaźniach. Nocują tam dozorczy.

Lugotorix odwrócił oczy od Yallos, której najwidoczniej nie cierpiał, i spojrzał na Ritę. - Idź - powiedziała. - dam sobie radę. - Nie była tego jednak pewna. Tęskniła za domem i czuła się tu obco. Kelt wzruszył ramionami i poszedł za młodą kobietą. Rita nagle przypomniała sobie o czymś i wybiegła za nimi na korytarz. - Czy mogę dostać klucz i kłódkę?

- Zamki są zakazane - odpowiedziała Yallos.

- Muszę mieć zamek - Rita nalegała, zirytowana i niespokojna o Przedmioty.

- Przyjdź na zebranie rady. Przedyskutujemy to. A... jeśli nie jesteś siostrą Izis, kim jesteś?

Odpowiedziała zaskakująco szybko: - Należę do sanktuarium Athene Lindia.

- Yallos zmrużyła oczy. - Poganka?

- Pochodzę z Rodos - odparła Rita. - Moje urodzenie daje mi do tego prawo.

- Aha.

Zamknęła drzwi i spojrzała na nędzną celę. Oto jak została przyjęta w Mouseion. Cień jej babki nie sięgał widać aż tutaj. Czy to zasługa królowej? A może Kleopatra nie wiedziała nawet o jej przybyciu.

Usiadła na chwilę, drżąc w posępnym mroku. Pojedyncza żarówka nad łóżkiem oświetlała słabym światłem jeden róg pokoju i niewiele więcej. Było już południe i pokój zaczynał się ogrzewać. Czy może narazić Przedmioty, nie wspominając już o własnym bezpieczeństwie? Ile będzie musiała zaryzykować, zanim osiągnie swój cel, jeśli to w ogóle nastąpi?

Podważając okiennicę, która zaklinowała się w jednym z okien, wyłamała sobie paznokiec. Przekląła pod nosem, choć cieszyła się ze swego pierwszego sukcesu - wąska struga światła padła na podłogę.

Rita starła kurz i piasek z biurka, zamiotła podłogę wystrzępioną szczotką i zaczęła rozpakowywać walizkę. Jak powiedziała nowa koleżanka, na popołudnie wyznaczono jej spotkanie z bibliofylaksem.

Nie było to wydarzenie, którego oczekiwała z niecierpliwością.

Ziemia

Rosjanin - przynajmniej na razie wygodnie było tak o nim myśleć - stał z Lanierem na ganku czekając, aż światła promu kosmicznego zaczną mrugać. Na nocnym niebie lśniły skupiska aluminiowych okruchów. Powietrze oczyściło się od czasu Śmierci, a dzięki naturalnym mechanizmom regeneracji, większość śladów pożogi zniknęła z atmosfery. Na planecie nie było wielu źródeł zanieczyszczeń, nawet związanych z Uzdrawieniem, bo technika Hexamonu była bezpieczna dla środowiska.

Pierwsze światła, jakie zobaczyli, pojawiły się jednak nie na niebie, lecz na drodze wspinającej się pod górę w kierunku domu Laniera. - To moja żona - powiedział spostrzegając pytające spojrzenie Rosjanina i wydał wargi. Miał nadzieję, że zdoła wyprawić go w podróż przed jej przybyciem.

Samochód terenowy, wzorowany na pojazdach pierwszych badaczy Kamienia, wjechał na zwirowy podjazd przed domem i stanął, a elektryczny silnik zamilkł gwałtownie. Karen z rozmachem otworzyła drzwi i wyskoczyła w snop światła, które automatycznie zapaliło się nad bramą. Gdy zobaczyła Laniera, pomachała do niego. Poczł się starszy na sam jej widok.

W czasie ich wspólnego życia spostrzegł, jedną czy dwie dekady temu, że żona się starzeje. "Będziemy się starzeć razem." Potem była terapia, ta, którą on odrzucił. Teraz wyglądała jak wysportowana czterdziestolatka.

- Byłam w mieście - krzyknęła po chińsku wyciągając zapasowy kombinezon sportowy z bagażnika. - Montujemy krąg towarzyski, więc... - Zobaczyła Rosjanina i zatrzymała się na schodach ganku, zagryzając dolną wargę. Spojrzała przez ramię na podjazd - nie było innego samochodu. Potem zerknęła pytająco na Laniera, podnosząc jedną brew.

- To nasz gość. Ma na imię Paweł - powiedział.

- Nie znamy się - Rosjanin postąpił krok do przodu wyciągając rękę. - Jestem Paweł Mirski. Karen uśmiechnęła się uprzejmie, czuła jednak niepokój.

- Jak się czujesz? - zapytała i znów spojrzała na męża, który szybko przeniósł wzrok na Mirskiego.

- W porządku. Nazywa się Paweł Mirski - powtórzył Lanier nieco teatralnie.

- Już wiem. Czy to nie on był rosyjskim komendantem Kamienia? Odleciał w głąb Drogi... prawda? - Patrzyła na męża oskarżycielsko. "Co to wszystko znaczy?" Widziała zdjęcie Mirskiego w raportach. Ktoś prowadził tu grę. Rozpoznała go. - Wygląda pan jak on.

- Mam nadzieję, że nie sprawiam kłopotu - zaniepokoił się Rosjanin.

- To jego syn, sobowtór? - zapytała Laniera.

Potrząsnął głową.

Stała na najwyższym stopniu ze złączonymi rękoma. - Czy jesteś pewien, że wszystko jest w porządku? Żartujesz ze mnie? - Weszła na podest i spytała po chińsku: - Kim on jest?

Lanier odpowiedział w tym samym języku: - Albo to on, albo doskonała imitacja. Zabieram go na spotkanie z Korzeniowskim.

Karen podeszła do Rosjanina i, wciąż zagryzając dolną wargę, przyglądała mu się uważnie. - Skąd pan przybył?

Rosjanin spojrzał na nich. - Jeszcze tego nie wyjaśniłem - powiedział. - Lepiej z tym poczekać.

- Nie może pan być Mirskim - powiedziała Karen. - Jeśli próbuje pan nabrać męża... Wszystko, co dotąd słyszeliśmy, okazałoby się kłamstwem.

To dziwne, ale Lanier nie wziął tego pod uwagę. Przecież nie widział osobiście, jak Mirski oddalał się Droga.

- To nie były kłamstwa - odparł Mirski. - Miło mi poznać państwa. Zawsze uważałem pani męża za wspaniałego mężczyznę, prawdziwego przywódcę, trzeźwo oceniającego rzeczywistość. Gratuluję wam obojgu.

- Dlaczego? - Zapytał Lanier.

- Ponieważ trafiliście na siebie - wyjaśnił Rosjanin.

- Dziękuję - odparła Karen ostro. - Czy poczęstowałaś czymś gościa, Garry? - Trzymała strój sportowy pod pachą. Jej nieufność przerodziła się w złość.

- Zaraz przyleci prom - odpowiedział. - Coś przekąsiliśmy i napiliśmy się piwa.

Rosjanin uśmiechnął się na wspomnienie piwa. Widać było, że czuje się wyśmienicie.

Karen zniknęła w kuchni, skąd wkrótce zaczęły dobiegać odgłosy porządków, po chwili pojawiła się w oknie między kuchnią a gankiem, aby podjąć przerwana rozmowę: - Zamierzamy zgromadzić dwadzieścia lub trzydzieści lokalnych osobistości oraz studentów nauk politycznych z Christchurch i wysłać ich do Axis Thoreau. To będzie coś w rodzaju konferencji. Odbędzie się w pamięci miejskiej. Chcemy ustanowić kontakty między ludźmi. Bez takich zabiegów trwałoby to latami. Będą się potem czuli jedną rodziną, jeśli nam się uda. Pomyśl, gdyby wszyscy politycy byli naprawdę rodziną... To byłoby wspaniałe. - Mówiła już innym tonem, nie zwracając uwagi na nierozwikłaną zagadkę.

Lanier poczuł się nagle wyczerpany. Zaprzagnął położyć się na tapczanie przed kominkiem i zamknąć oczy.

- Jest prom - powiedział Rosjanin wskazując ręką. Snop białego światła sunął przez dolinę, po chwili pojazd zawisł nisko nad drzewami. Karen pojawiła się na ganku z napiętą twarzą, wpatrzona w męża.

- Co ty robisz, do diabła? - jej głos wyrażał rozkaz. - Dokąd się wybierasz?

- Na Kamień. - Wszystko stawało się coraz mniej realne. - Nie wiem, kiedy wrócimy.

- Nie powinieneś lecieć sam, a ja nie mogę lecieć z tobą - powiedziała. - Muszę być jutro w Christchurch. - Spojrzała na Laniera. Karen nie była głupia, ale przechodziła trudny okres, przedstawiała się na inny rodzaj działalności. Zdawała sobie świetnie sprawę, że dzieje się coś dziwnego i że może się to okazać bardzo ważne. - Może wyjaśnisz mi to wszystko potem?

- Spróbuję - powiedział Lanier.

- Przykro mi z powodu tego zamieszania - powiedział spokojnie Rosjanin.

- Niech się pan nie odzywa! - krzyknęła Karen. - Jest pan po prostu przeklętym duchem.

Słyszając to Lanier uśmiechnął się. Położył Karen dłoń na ramieniu - aby ją uspokoić i żeby nic więcej nie mówiła. "Gesty wychodzą dobrze," pomyślał. "Szkoda, że uczucia nie."

* * *

Odjeżdżali, zamknięci w białym wnętrzu promu, lecąc ponad pogrążoną w mroku Ziemią. Pośród przestworzy, widząc, jak nad horyzontem gwiazdy zderzają się z górami, Lanier poczuł się wolny. Nie latał od kilku lat, niemal zapomniał, jak to smakuje. Jednak gdy prom podniósł dziób pionowo i obrazy widziane przez przezroczysty kadłub zmieniły się, zachwyty ustąpił przerażeniu.

Przestrzeń.

Jak przyjemnie jest lecieć nad Ziemią, unikając wielkich zadań. Lot jest jak cudowny sen, ponad twardą rzeczywistością czuwania, poniżej wielkiego mroku śmierci...

Na sąsiednim siedzeniu Rosjanin patrzył prosto przed siebie, nie troszcząc się o widoki, jakby widział je już tyle razy, że przestały cokolwiek dla niego znaczyć. Nie wyglądał na zamyślonego. Nie wyglądał na zatroskanego. Nie można było odgadnąć, co myśli o tym wszystkim i jak się czuje przed spotkaniem z Korzeniowskim i przed powrotem na Kamień.

Jeśli to Mirski, powrót na Thistledown powinien bardzo poruszyć jego uczucia. Ostatni raz lądował na Kamieniu, pośród wiązek laserowych promieni i wybuchów pocisków, wraz z rosyjską armią. Zaraz potem zaczęła się Śmierć.

Spokojny lot nie uspokoił Laniera i nie osłabił jego poczucia nierealności. “Jeśli to Mirski, gdzie był od tamtego czasu - co widział?”

Gaia

Mouseion rozrósł się bardzo od czasów antycznych. Zajął część Brukheion - dzielnicy Helleńskiej - i część Neapolis, a jeden z budynków - szkołę medyczną - umieszczono w dzielnicy aigipskiej. Budynek szkoły, Erasistrateion, stykał się z mniejszą i, nie tak znaną, Biblioteką Studiów Krajowych Oikoumene, niegdyś zwaną Sarpeionem. Uniwersytet, centrum badawcze i biblioteka, obejmujące łącznie siedem budynków wokół pierwotnej biblioteki, zajmowały kwartał o boku czterech stadionów w środku miasta. Pomędzy starymi budynkami z marmuru, granitu i wapnia porozrzucane były nowe gmachy z żelaza i szkła - ośrodki badań naukowych i mechaniki. Na szczycie stromego wzgórza, gdzie dawniej znajdował się Panteion, uniwersytet umieścił pięć wieków temu ogromne, kamienne obserwatorium astronomiczne. Teraz było bardziej reliktem zamierzchłej epoki, niż ośrodkiem badań astronomicznych, lecz nadal wyglądało majestatycznie i robiło wrażenie.

Ritę bolała szyja od ciągłego rozglądania się. Powóz toczył się, zwalniając i przyspieszając, po nierówno wybrukowanych ulicach, pomiędzy bujnymi drzewami i palmami daktylowymi. Słońce, które właśnie zaczynało zachodzić, zalewało miasto pomarańczowym światłem, tak samo, jak poprzedniego dnia, gdy Rita wpływała do Wielkiego Portu. Smuzka dymu unosiła się nad kominem obok budynku nauk ścisłych. Studenci w białopomarańczowych strojach, głównie mężczyźni, przyglądali się jej ciekawie. Odwzajemniała ich spojrzenia ze spokojem i otwartością, jednak była bardzo niespokojna. Nie podobało się jej to miejsce i martwiła się tym. Była przecież w centrum kultury i nauki zachodniego świata. Mogła się wiele nauczyć w Aleksandrii - gdyby jej celem była tylko nauka.

Najstarszym budynkiem Mouseionu, zachowanym w niezmiennym stanie, była główna biblioteka, w której dziś mieściły się biura i akademiki. Kiedyś była wypielęgnowana i pięknie zdobiona, teraz, nieco podniszczona, nadal prezentowała się wspaniale. Trzypiętrowy budynek z marmuru i onyksu ozdabiały złote liście i groteskowe ornamenty pamiętające Drugą Okupację podczas Trzeciego Powstania Parsy. Płyty z marmuru dodano pięćdziesiąt lat temu, gdy naprawiano uszkodzone ściany. Od tamtego czasu żadna z Libijskich rakiet nie spadła na teren Mouseionu.

Droga prowadziła pod łukiem na dziedziniec lśniący płytami z onyksu i granitu, ułożonymi w szachownicę. W rogach umieszczono egzotyczne rośliny z Aitiopii i Wielkiego Morza Południowego, centralne zaś miejsce zajęła kamienna fontanna w kształcie lwa Araskid Parsy.

Powóz zatrzymał się i Rita wysiadła. Z szerokim uśmiechem, rozjaśniającym wąską brązową twarz, podszedł do niej młody niski mężczyzna. Ubrany był w czarną tunikę i teutońskie getry, modny tutaj strój na codzień. - Miło mi powitać wnuczkę sophe Patrikii - powiedział kłaniając się lekko i unosząc dłoń ku czołu jakby salutując. - Nazywam się Seleukos, pochodzę z Nikkei koło Hippo. Jestem asystentem bibliofylaksa. Witamy w Bibliotece.

- Dziękuję - powiedziała. Mężczyzna skłonił się raz jeszcze i dał znak, by poszła za nim. Rita zamknęła na chwilę oczy, sprawdzając stan obojczyka - nikt go nie poruszył ani się do niego nie zbliżał - a potem podążyła za przewodnikiem.

Parterowe biuro bibliofylaksa nie było duże. Trzej sekretarze byli zajęci pracą przy trójkącie zestawionym z biurka w rogu pokoju, pod otwartym oknem. Obok stał regał zawalony pod sufit stertami papieru. Na drewnianym stojaku warczał i trzeszczał duży elektryczny grafomekhanos. Bibliofylaks pracował za czteroczęściowym, ręcznie rzeźbionym, parawanem z cedru przy

największym oknie pokoju. Przewodnik wprowadził ją uprzejmie za parawan.

Bibliofylaks uniósł ogoloną głowę i przyjrzał się jej bacznie, z uśmiechem tak bladym, że prawie niewidocznym. Wstał i przesunął dłonią po głowie. Rita zrobiła to samo, po czym zajęła wskazane jej wiklinowe krzesło.

- Mam nadzieję, że jest pani zadowolona z pokoju? - zapytał. Skinęła głową, gdyż nie lubiła skarżyć się na drobiazgi. - To zaszczyt gościć panią tutaj. - Wyciągnął segregator i wydobyl z niego długi dokument. Był to opis jej studiów w Akademii oraz ocena wyników. - Jest pani wybitną studentką, szczególnie w zakresie matematyki i fizyki. I wybrała pani podobny zestaw przedmiotów tutaj. Nasi profesorowie mogą dużo więcej nauczyć. Jesteśmy większą instytucją, niż Akademia, przyciągamy nauczycieli z całej Oikoumene, a nawet spoza niej.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zacznie się nauka.

- Jedna rzecz mnie interesuje. Jeszcze przed pani przybyciem dotarła do nas niecodzienna prośba - powiedział bibliofylaks. - Prosiła pani o przydzielenie do pracowni mekhanikosa Zeusa Ammóna Demetriososa, co już jest dość niezwykle, a także o osobistą audiencję u Imperiał Hypselothes. Jaki ma być cel tego spotkania?

Zanim Rita odpowiedziała, bibliofylaks podniósł rękę i oświadczył: - Interesuje nas to, ponieważ musimy dbać o pomyślność wszystkich naszych studentów w Mouseionie.

Odczekała chwilę i powiedziała: - Przywożę osobistą wiadomość od mojej babki.

- Ona nie żyje - stwierdził bibliofylaks z udaną obojętnością.

- Za pośrednictwem mojego ojca. Sophe była przekonana, że ta wiadomość zainteresuje królową. - Przerwała, zaciskając usta. Czowała, że bibliofylaks jest przeciwny spotkaniu, a nawet, że emanuje z niego coś w rodzaju zawodowej nienawiści. - To osobista wiadomość.

- Oczywiście. - Na twarzy pojawił się cierpki grymas. Przeglądając dalej papiery, powiedział:

- Zapoznałem się z pani planem studiów, jest w porządku. Będzie pani studiować piąty poziom matematyki, trzeci fizyki oraz drugi z teorii kierowania miastem. Czy poradzi sobie pani z takim obciążeniem?

- Poradziłam sobie z podobnym obciążeniem w Akademii.

- Profesorowie w Mouseionie nie będą zważać na pani pochodzenie. Mogą panią traktować mniej wyrozumiale.

- Nie byłam traktowana wyrozumiale na Rodos - odparła Rita, starając się opanować irytację. Chciała zaśmiać mu się w twarz, zdjęć pantofle i pokazać mu swoje podeszwy - jednak zachowała spokój, mimo że jej żołądek się skręcał.

- Nie jestem tego pewien - powiedział bibliofylaks. Spojrzenie jego czarnych małych oczu sprowokowały jej kolejną prośbę.

- Mam pewien problem ~ powiedziała patrząc wprost na niego.

- Tak?

- Mój służący. Ma mnie chronić, to zalecenie mojego ojca, a mimo to zostaliśmy rozdzieleni...

- Regulamin Mouseionu nie dopuszcza ani służących, ani ochrony. Nawet dla rodziny królewskiej.

Tak się składało, że nikt z rodziny królewskiej nie studiował akurat w Mouseionie. Królowa nie miała dzieci, a pozostali członkowie rodziny przenieśli się w większości na Kypros, gdzie czuli się bezpieczniejsi.

- Może pani zawsze korzystać z pomocy mojego biura - bibliofylaks zakończył nagle rozmowę, zamknął akta i schował je do małego plecionego koszyka w lewym rogu biurka. Uśmiechnął się, podniósł rękę nad głowę, dając znak, że spotkanie dobiegło końca.

Po powrocie do pokoju przez godzinę siedziała na zimnym łóżku, próbując odzyskać spokój. Nikt nie dotykał Przedmiotów, ale czy mogła liczyć, że długo będą tu bezpieczne? Nie ufała bibliofylaksowi. Jediną nadzieją była królowa, która być może, będzie ją chronić. Rita spodziewała się, że wkrótce zostanie wezwana na audiencję.

Podejrzewała, że gdy podzieli się z królową swoją wiedzą i przekona ją do swoich racji, wkrótce przestanie studiować w Mouseionie. Straci prawo do stypendiów i studiów. Zniechęcona poszła na spotkanie rady kobiet. Miała przynajmniej nadzieję, że otrzyma z powrotem kłódkę. “Czy mam tu samych wrogów?” zastanawiała się.

Thistledown

Wylot tunelu średnicowego na południowym biegunie Thistledown znajdował się pośrodku wielkiego obniżenia terenu. Biegun przeciwległy - zwany "północnym" wyłącznie z powodu położenia, gdyż Thistledown nie posiadał pola magnetycznego - był obecnie poszarpanym kraterem, przez który siódma komora otwierała się na lodowaty wszechświat. Przy pomocy ciężkiego sprzętu ekipy Hexamonu dawno już usunęły z siódmej komory gruzy pozostałe po Odłączeniu, dzięki czemu może być wykorzystywana jako kosmodrom. Kiedyś w przyszłości stacje orbitalne będą wymagały gruntownego remontu, wówczas lądowiska w siódmej komorze okażą się niezastąpione.

Dla małych pojazdów, jak prom, którym lecieli Lanier i Rosjanin, lądowanie od strony bieguna południowego było korzystniejsze.

Lanier nie zauważył, że prom pograżył się w ciemności. Wciąż był zatopiony w myślach. Czuł mdłości i był wściekły z powodu ciągłego niepokoju, którego nie mógł się pozbyć. Zacisnął powieki, potem nagle je rozwarł, gdy prom przycumował do obrotowego wewnętrznego doku.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Rosjanin.

Pierwsza komora nie zmieniła się wiele. Nawet rotacje asteroidu nie miały na nią większego wpływu. Co prawda, kiedyś w samym środku komory była mała piaszczysta pustynia. Kiedy wysiedli z windy, poczuli chłodny wiatr wiejący nieprzerwanie od południowej czapy, której czarna bryła wznosiła się za nimi. Wzdłuż osi iskrzyły się białe światła tuby plazmowej, zawieszanej dwadzieścia kilometrów ponad dnem "doliny", gdzie stali.

Komora ciągnęła się płasko kilkanaście kilometrów w każdą stronę, potem jej dno stopniowo zakręcało ku górze, a wreszcie wznosiło się pionowo, aby wysoko nad tubą plazmową jego krawędzie mogły się zetknąć. Po wielu latach - ile to już lat minęło od jego ostatniej wizyty, dziesięć, dwanaście? - rozmiary wewnętrznych komór na Thistledown wciąż robiły na Lanierze wrażenie. Pamiętał, jak się tu czuł w tych strasznych miesiącach bezpośrednio przed Śmiercią, przytłoczony nadmiarem obowiązków, intrygami na Ziemi i na Kamieniu, tajemnicą i przeczuciami. Czuł się jak Ukamienowany.

Nagłe wspomnienie nie dodało mu otuchy. Czy ludzie stworzyli takie miejsca, aby poczuć się karłami? Tak właśnie się czuł - drobny, pokonany. Ukamienowany raz jeszcze.

Wysoki mężczyzna, który ich powitał, był asystentem Korzeniowskiego. - Nazywam się Svard. Pan Korzeniowski żałuje, że nie mógł przybyć osobiście. - Spojrzał na Rosjanina badawczo, a potem poprowadził ich do traktora. - Inżynier mieszka w osiedlu badawczym w głębi doliny i zaprasza panów do siebie.

Wsiedli na traktor. Pojazd dla ośmiu pasażerów, którym pokonywali piaszczystą drogę, nie miał opon ani kół. Wyprodukowany na Thistledown, lśniący i piękny, z zewnątrz pokryty białą masą perłową, wewnątrz miękki i elegancki, reagował na komendy wydane przy pomocy piktów i głosu.

Svard nosił piktora ukryty w niskim kołnierzyku. Lanier nigdy nie nauczył się do końca sztuki piktowania. - Mam nadzieję, że mieli panowie ciekawą podróż - powiedział Svard. Lanier wykonał nieokreślony ruch głową. Traktor płynął miękko i zwinnie ponad zaroślami, białymi łachami piasku i brązowymi płatami ziemi.

- Czym zajmuje się teraz pan Korzeniowski? - zapytał Lanier. - Nie rozmawiałem z nim od pewnego czasu.

- Prowadzi badania - odparł Svard.
- Dla Hexamonu? - pytał dalej.
- Częściowo. Głównie, aby zaspokoić własną ciekawość.
- Kto za to płaci?

Svard uśmiechnął się przez ramię. - Doprawdy, panie Lanier. Powinien pan wiedzieć, że ser Korzeniowski ma - jak to się dawniej nazywało? - cart blanche na wydatki w rozsądnych granicach i może dysponować zarówno pieniędzmi, jak i innymi zasobami. Przywilej ten otrzymał przed śmiercią i nic się nie zmieniło po jego ponownym wcieleniu.

- Rozumiem - powiedział Lanier.

Na wprost ujrzeni zespół niskich budynków, których zaokrąglone ściany dobrze komponowały się z piaskiem. Powietrze ponad nimi drżało jak fatamorgana. Z powodu upału, zastanawiał się Lanier, czy może czegoś innego? Mrużąc oczy wpatrywał się w przezroczysty dziób traktora i próbował odgadnąć, co tak błyszczący.

Traktor zwolnił kilkadziesiąt metrów od południowego skraju budynków i opadł na piasek z cichym świstem. Gdy drzwi otworzyły się Mirski wyskoczył pierwszy, Lanier za nim obserwując uważnie zachowanie Rosjanina. Ten ogarnął wzrokiem dolinę, zerknął na tubę plazmową. "Zna dobrze Kamień", myślał Lanier. "Był tutaj wcześniej. To nie są dla niego miłe wspomnienia."

Svard, który pochylał się, by wysiąść, wyprostował się teraz i mrugał oczyma. - Tędy proszę. Ser Korzeniowski jest w prywatnym mieszkaniu.

Lanier rozkoszował się sprężystością swoich kroków. W każdej komorze panowało przyciąganie równe sześciu dziesiątym przyciągania ziemskiego. Była to jedna z nielicznych rzeczy na Thistledown, które cenił. Wiele dziesiątków lat temu, jeszcze przed Śmiercią, trenował akrobacje na drążkach... Przypomniało mu to świetną kondycję, jaką kiedyś mógł się poszczycić. Na studiach z zamiłowaniem wykonywał ćwiczenia gimnastyczne.

O sto metrów od głównych budynków z piasku wyrastała niska, biała kopuła. Svard poprowadził ich żwirową alejką do drzwi i przesłał do czytnika powitalny pikt. Po chwili przed każdym z nich pojawił się zielony symbol otwartej dłoni. - Chce, abyśmy weszli natychmiast - powiedział Svard. Kwadratowe drzwi w ścianie zwinęły się na bok, a z wnętrza wyszedł Konrad Korzeniowski ubrany w prosty granatowy kaftan.

Lanier nie widział go osobiście od ponad trzydziestu lat. Mało się zmienił przez ten czas, nadal był szczupły, miał okrągłą głowę z kępą siwych włosów w kolorze pieprzu, ostry, długi nos i przenikliwe, ciemne oczy. Te oczy nie były już tak nawiedzone jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy. Korzeniowski, który wchłonał część osobowości Patricii Vasquez - tę, której nie udawało się sztucznie wytworzyć - miał w sobie trudną do określenia cechę, właściwą tylko matematykom. Sam jego widok wystarczał, by Lanier zaczął się bać. Patricia była wciąż obecna w jego charakterze, może nawet wyraźniej niż kiedyś. "Jak on się czuje, nosząc w sobie jej część?"

Na Ziemi przed nadejściem Śmierci przeszczepy serca były powszechne, zanim udoskonalono protezy. "Jak czuje się człowiek z przeszczepem z kawałka czyjejś duszy?"

- Miło znów pana widzieć, ser Lanier - powiedział Korzeniowski podając mu rękę. Prawie nie spojrzał na Mirskiego, którego nie traktował nawet jak gościa. Być może był on dla niego tylko trudną do wyjaśnienia zagadką. Zaprosił ich, by weszli i usiedli. Całe mieszkanie było zapchane stojącymi w nieładzie białymi i szarymi cylindrami różnych rozmiarów, na których poukładane były kawałki czegoś, co przypominało białe ciasto chlebowe. Odłożył kilka z nich na bok - gdy brał je do ręki, wydłużały się z cichym sykiem - i wydał polecenie podłódze, która natychmiast uformowała kilka krzesel. Rosjanin usiadł i skrzyżował ramiona. Wyglądał na spokojnego. Ślady niepokoju, które

pojawiły się na jego twarzy przed wejściem, znikły całkowicie.

Svard pożegnał się, przesyłając szybko kilka pikarów Inżynierowi i wyszedł. Korzeniowski skrzyżował ramiona, naśladując Mirskiego i stanął pomiędzy Lanierem i Rosjaninem. Jego twarz przybrała surowy i zirytowany wyraz.

- Mamy tu prawdziwą tajemnicę, ser Lanier - powiedział spoglądając na Rosjanina. - Czy to autentyczny Paweł Mirski czy udana imitacja? - Spojrzał bacznie na Laniera. - Jak pan sądzi?

- Nie wiem - odparł Lanier.

- Co podpowiada panu intuicja?

Lanier przez chwilę nie odpowiadał zaskoczony. - Naprawdę trudno mi powiedzieć. Moje domysły toną we mgle niemożliwości.

- Wiem z całą pewnością, że Paweł Mirski poleciał w głąb Drogi wraz z połową Axis City, kiedy Droga zamknęła się za nim. Wiem też, kto z nim był. Od tamtego czasu nie otwarto żadnej bramy na Ziemię. Jeśli to jest Paweł Mirski, powrócił tu kanałem, o którym nie mamy pojęcia.

Rosjanin poprawił się na krześle, ułożył dłonie na kolanach i przytaknął, zadowolony, że się o nim mówi.

- Wygląda na usatysfakcjonowanego - zauważył Korzeniowski pocierając demonstracyjnie podbródek. - Kot udający kanarka. Mam nadzieję, że wybaczy nam ten egzamin wstępny. Urządzenia mówią, że nie jest duchem i ma ludzkie cechy aż do struktury atomów. Nie jest projekcją w żadnej znanej nam postaci. - Korzeniowski przedstawiał te obserwacje takim tonem, jak gdyby wyliczał oczywiste fakty tylko po to, by nie zaprzętać sobie nimi więcej głowy. - Ma strukturę genetyczną Mirskiego, zgodną z tym, co mówią zachowane raporty medyczne w trzeciej komorze. Czy jest pan generałem Pawłem Mirskim?

Rosjanin spojrzał na nich. - Najprostsza odpowiedź brzmi: tak. Jest też najbliższa prawdzie.

- Czy przybywa pan tu z własnej woli?

- Z pewnymi zastrzeżeniami, tak.

- Jak pan się tutaj dostał?

- To bardziej skomplikowane - odpowiedział Rosjanin.

- Czy mamy dość czasu, by to usłyszeć, ser Lanier?

- Ja mam - odpowiedział Lanier.

- Chciałbym, aby ser Olmy był tutaj także - powiedział Mirski.

- Niestety, ser Olmy nie zareagował na wiadomość, jaką otrzymał. Podejrzewam, że jest na Thistledown, ale nie wiem gdzie. Wysłałem swojego reprezentanta, by go odszukał i przedstawił całą sprawę. Możliwe, że pojawi się tutaj. Chciałbym usłyszeć pańską historię jak najprędzej. - Korzeniowski usiadł, umieścił jeden ze swoich kawałków białego ciasta między kolanami i zaczął go ugniatać w dłoniach.

Mirski patrzył przez moment w podłogę, po czym westchnął. - Zacznę. Mówienie słowami byłoby bolesne i nieporadne. Czy mogę użyć jednego z pana projektorów?

- Oczywiście. - Korzeniowski przy pomocy wiązki napędowej przyciągnął najbliższy z projektorów. - Czy będzie potrzebny interfejs?

- Myślę, że nie - odparł Mirski. - Potrafię więcej, niż to się na pierwszy rzut oka wydaje. - Pojedynczym kablem dotknął końcówki w kształcie kropli. - Proszę wybaczyć, jeśli nie odślonię się całkowicie przed pańskim urządzeniem.

- Zupełnie zrozumiałe - zgodził się Korzeniowski z absurdalną serdecznością. - Proszę zaczynać.

Wnętrze mieszkania znikło, pojawiło się coś, czego Lanier w pierwszej chwili nie mógł

rozpoznać - skondensowany obraz Drogi, Axis City, pierwsze dni Mirskiego w lesie Central City, podróż przez Droge, przyspieszenie i pęd...

Wyświetlana informacja rozwijała się i oślepiała. Obecna chwila przestała istnieć. Mirski opowiadał historię na swój własny sposób, Korzeniowski i Lanier stali się jej uczestnikami. "Nazwijcie to ucieczką lub największą dezercją wszystkich czasów. Odwrót przed potworną przeszłością, własną śmiercią i śmiercią własnego narodu, niemal zagładą całej planety. Jeśli można nazwać "ucieczką" lot połowy miasta, wypełnionego dziesiątkami milionów dusz i kilkunastoma milionami cielesnych bytów ludzkich, w głąb nieskończonego, czasoprzestrzennego tunelu, przez rozszalałe serce gwiazdy, wzdłuż rozciągniętego węzła, pępowiny niemożliwości...

Tunel, jak ogromny tasiemiec zwinięty w jelitach realnego wszechświata, z porami otwierającymi się na inne wszechświaty, równie realne, lecz nie nasze, inne czasy, też realne... Pory wypalone po naszym przelocie, tunel zmieniał się pod naszym wpływem, wypaczał i rozciągał od chwili powstania, z góry wiedząc o naszej ucieczce; jak to wyjaśnić normalnym ludziom?

Nie da się wyjaśnić.

Musiałem się zmienić, by to zrozumieć. I zmieniłem się. Wiele razy w ciągu dziesięcioleci lotu. Stałem się wieloma 126 ludźmi i, czasem, jeden ze mnie nie znał drugiego, zanim się nie zetknęliśmy i nie wymieniliśmy plotek. Nie byłem też Rosjaninem Mirskim - nie byłem nim prawdopodobnie już od czasu zamachu na bibliotekę Thistledown - lecz mieszkańcem okolic Geszel w Axis Nader i Central City. Obywatelem nowego świata, przystosowującym się do nieprawdopodobnego środowiska. Nie byliśmy już władcami naszego świata, jak kiedyś Axis City...

Obserwowałem, jak ludzie, którzy przybyli ze mną z Ziemi, ewoluują, podobnie jak ja, i w końcu blakną i znikają - umierają w jedyny możliwy sposób, jaki pozostawiono nieśmiertelnym, zapominają o sobie i są zapomniani przez innych. Pozostali żyli i łączyli się ze sobą.

Wydawało nam się, że podróż trwała całe wieki. Czas to sprawa względna, i daleko mniej istotna niż zazwyczaj myśleliśmy w młodości. Czas był elastyczny, lecz zawsze obecny, wypaczony i poskręcany w trudne do rozpoznanie formy.

Żyłem wielokrotnie w różnych czasach: w czasie miasta oddalającego się w głąb drogi z relatywistycznymi prędkościami, w moim czasie wysokiej prędkości w pamięci miejskiej, w czasie bezpośredniego kontaktu z towarzyszami podróży, jak teraz z panami. Czas zwijał się i napręzał jak sprężyna. Gdyby cały mój czas rozprostować, żyłbym według waszej skali dziesięć tysięcy lat...

Dawno już minęliśmy w Drodze miejsca, skąd można by osiągnąć ostatnie chwile tego wszechświata. Gdybyśmy otworzyli tam jakąś bramę - nie było to zresztą możliwe - byłibyśmy świadkami śmierci wszystkiego, co kiedykolwiek znaliśmy, z czym się zetknęliśmy... A wciąż pędziliśmy dalej.

Droga otwarła się na ogromny, poskręcany tunel. Dalsza podróż stała się niezrozumiała z geodezyjnego punktu widzenia. Nie było już prądu, który nas niosł. Generatory nie miały źródła energii, więc próbowały ją czerpać z bardzo cienkiej atmosfery cząstek elementarnych i z zabłąkanych atomów wewnątrz Drogi. Gwałtownie zwolniliśmy pęd. Przez dziesięć naszych lat rozwijaliśmy prędkość niższą od relatywistycznej.

Droga stawała się szersza wokół nas. Przyglądaliśmy się temu i z niepokojem próbowaliśmy odgadnąć, co nas czeka... Wielki pęcherz czasoprzestrzeni, przykrywający Droge, choć nie kończący jej, skończony, lecz nie ograniczony...

Wtargnęliśmy do jaja nowego wszechświata. Nie mogliśmy przetrwać w nim jako przedmioty materialne. Mogliśmy zostać rozpuszczeni przez plazmę potencjalnej masy i energii, jak sól w wodzie, ale nauczyliśmy się radzić sobie z tą sytuacją.

Całe miasto, wszyscy obywatele pracowali nad samoprzekształceniem. Spodziewaliśmy się śmierci w każdej chwili, byliśmy dziećmi na wprost hutniczego pieca. Była jednak jeszcze inna możliwość, choć bardzo nikła...

Mogliśmy przystosować się do kosmicznego jaja, żyć w nim i wpływać na kształt wszechświata, który miał się z niego wyłonić. Jajo odłączyłoby się od Drogi, unosiłoby się w superprzestrzeni, a my bylibyśmy jak poczwarki, które przemienia się kiedyś w motyla i ożyją.

Czy to nieskromne, że planowaliśmy stać się bogami? Nie mieliśmy wyboru. Dotarliśmy do kresu Drogi, jeśli to można nazwać kresem, i nie mieliśmy żadnej drogi powrotu. Musieliśmy stworzyć własny wszechświat.

Aby to osiągnąć, musieliśmy porzucić wszystkie materialne cechy. Musieliśmy sięgnąć fundamentów czasu i przestrzeni, poniżej poziomu materii i energii, poniżej plazmy.

Obserwowałem, jak moi towarzysze stawali się światłem na ścianach, zamieniali się w wielkie różowe okna osobowości, które pęczniały i rozmazywały się na murach miasta, wykorzystując jego materię jako tymczasowe ograniczenie, by nie zniknąć zupełnie. Światło każdego z nas mieszało się ze światłem wszystkich. Byliśmy pijani jednością. To była orgia o niewiarygodnych rozmiarach. Wszystkie pozostałości naszego człowieczeństwa destylowały się w ogromną zjednoczoną seksualność. Prawie zapomnieliśmy o naszym celu. Mogliśmy zostać oszołomieni, zanurzając się w rozpoznaniu, przyjemności i miłości i wpaść jak ćma do pieca... Na szczęście opamiętaliśmy się i zrobiliśmy następny krok.

Staliśmy się bardzo kruchą i delikatną tkanką myśli snującą się po ruinach miasta. Rozpostarliśmy ją w poprzek wiatru cząstek w Drodze, który był teraz dużo gorętszy z powodu bliskości kosmicznego jaja. Sztywnieliśmy, gęstnieliśmy i ostatecznie znaleźliśmy się na poziomie poniżej światła i energii.

Dostaliśmy się do pieca, rozkwitaliśmy, narzuciliśmy swoją wolę, nadaliśmy mu pęd do rozwoju zamieniając ruiny miasta w energię, zaburzyliśmy równowagę. Nieograniczone jajo zaczęło puchnąć i stygnąć, jego plazma gęstniała i przybierała kształt...

Staliśmy się twórcami świata. W pierwszej chwili chcieliśmy po prostu odtworzyć rodzinny wszechświat, stworzyć gwiazdy, galaktyki, zacząć wszystko od początku. Jednak wkrótce okazało się to niemożliwe. Ten wszechświat miał o wiele więcej ograniczeń. Jego korzenie nie sięgały superprzestrzeni, lecz docierały tylko do Drogi. Będzie mniejszy, prostszy, mniej ambitny. Mimo to, mogliśmy zrobić z niego fascynujące miejsce, wszechświat, który pomieści wszystkie nasze twórcze możliwości... gdybyśmy byli uważni.

Być bogiem, to coś trudniejszego niż nam się wydawało. Na początku założyliśmy, że nasza świadoma, połączona wola, będzie kształtować wszechświat i kierować nim. Koncentrowaliśmy wolę, budowaliśmy, kierowaliśmy; nie umiem powiedzieć jak, bo w tym ciele, w jakim mnie widzicie, nie pamiętam tego, a gdybym nawet pamiętał nie mógłbym tego wtłoczyć w nasz system myśli i mowy.

Przez pewien czas wszystko szło dobrze. Cieszyliśmy się z naszych sukcesów. Byliśmy jak dzieci na boisku szkolnym. Wszechświat stawał się piękny. Zaczęliśmy tworzyć istoty żyjące i myślące, aby mieć towarzystwo i, być może, obdarzyć je kiedyś naszymi osobowościami. Wciąż tęskniliśmy do materialnego kształtu. Nasze pochodzenie nie pozwalało o sobie zapomnieć.

Nagle wszystko zaczęło iść źle. Wszechświat popękał, zaczął się psuć, gnić. Jego krawędzie zapadły się i zaczęły pochłaniać i przekształcać porządek, jaki stworzyliśmy. Popełniliśmy błąd w obliczeniach. Pojedyncza wola nie może stworzyć stabilnego wszechświata. Musi istnieć kontrast i konflikt.

Zrozpaczeni, próbowaliśmy podzielić się na skłócone stronnictwa i naprawić błąd. Ale było już o wiele za późno.

Bóg, którym się staliśmy, poniósł klęskę.

Mieliśmy wkrótce zginać, rozplynać się w strzępach naszej porażki. Wtedy usłyszeliśmy inny głos. Był mniej egzaltowany i ekstatyczny niż nasz i dochodził z oddali. Był bardziej doświadczony, zróżnicowany i praktyczny. Najpierw sądziliśmy, że to głos innego boga lub bogów, ale było to tylko nasza ignorancja. Niezależnie od wszelkiej wiedzy, byliśmy strasznie naiwni.

Usłyszeliśmy głos naszych potomków, który dobiegał z krańca wszechświata. Zostaliśmy dostrzeżeni przez inteligentne istoty, które rozwinęły się i zestarzały w świecie, z którego i my pochodziliśmy. Odkryły naszą klęskę i pułapkę, w którą wpadliśmy. Nie były bardziej materialne ani bardziej indywidualne niż my, ale miały praktyczną i silniejszą inteligencję. Stały się Skończonym Umysłem, zjednoczonym i spójnym, choć zbudowanym z wielu skupisk pojedynczych umysłów.

Uratowały nas. Zostaliśmy wyciągnięci przez wiaźadło na skraju Drogi - połączenie między Drogą a piecem-jajem nigdy nie zostało całkowicie odcięte.

Nasi wybawcy nie kierowali się czystą wspaniałomyślnością. Mieli swój cel.

Czy powinno się opisywać uczucia pokonanych bogów. Byliśmy przygnębieni i zawstydzeni. Porównywaliśmy się z matrycą ich myśli i odkrywaliśmy z przerażeniem, że jesteśmy wobec nich dziećmi, albo gorzej nawet - niemowlętami. Młodym winem, które chciało uchodzić za szlachetny trunek. Staliśmy się octem.

Wybaczono nam, uleczono nas i przywrócono równowagę. Zaproszono do wspólnoty myślicieli, jedynej i oddzielnej, która znajdowała się na krańcu starego wszechświata. Poznaliśmy wiele tajemnic.

Zostałem odtworzony na podstawie mojej matrycy - indywidualny i oddzielny. To przeżycie było gorsze niż śmierć, zapewniam, gorsze niż utrata rodziny, miasta, świata. Cierpiałem i po pewnym czasie postradałem zmysły, więc odtworzyli mnie ponownie, w nieco udoskonalonej postaci. W końcu, po wielu próbach, udało się i wysłali mnie tutaj.

Przynoszę wiadomość i prośbę, jeśli to można nazwać prośbą. Spadkobiercy wszystkich inteligentnych istot mają swoje ograniczenia ale i obowiązki. Muszą doprowadzić wszechświat do chwalebego końca, pięknego zwieńczenia całej historii, lecz ich zasoby nie są nieograniczone.

Jestem kimś więcej niż to się wydaje, ale o wiele mniejszym niż oni. I muszę nakłonić panów do czegoś.

Nazwałem Drogę wielkim tasiemcem wijącym się w jelitach wszechświata. Sięga daleko poza wszechświat, jak wszyscy wiemy. Wszechświat nie może umrzeć godnie z takim młodym, sztucznym i obcym tworem w sobie. Może tylko umrzeć byle jak, a tego właśnie nasi potomkowie nie chcą.”

Lanier wyłonił się z projekcji i wbił wzrok w Mirskiego. W jego umyśle uporczywie utrzymywał się pewien przerażający obraz. Próbował zobaczyć go wyraźnie, lecz udało mu się tylko uchwycić mgliste wyobrażenie galaktyk, które wybrano z innego czasu, by złożyć w ofierze.

Galaktyki umierają, aby zaopatrzyć w energię jakieś przedsięwzięcie Skończonego Umysłu.

Czuł pulsujący łomot w głowie i ogarnęły go mdłości, jak po przejeździe. Z jękiem osunął się na kolana.

Korzeniowski położył mu rękę na ramieniu.

- Podzielam pańskie wzburzenie - powiedział Inżynier spokojnie. Lanier spojrział na Mirskiego, który właśnie wyłączał projektor.

- Kim u licha pan jest? - zapytał słabym głosem.

Mirski nie odpowiedział. - Musicie otworzyć Drogę ponownie i zniszczyć ją od tego końca.

Jeśli tego nie zrobimy, zdradzimy nasze dzieci na drugim końcu czasu. Dla nich Droga jest niestrawnym włosem, przeszkodą. Jesteśmy za to odpowiedzialni.

Gaia

Wieczorem czwartego dnia pobytu w Aleksandrei, Rita siedziała sama w swoim pokoju, pozwalając sobie na chwilę smutku i tęsknoty za domem. Była zmęczona siedmiogodzinną wędrówką po labiryncie budynku. Właśnie wróciła z jadalni, gdzie zjadła mdławą potrawę zrobioną nie wiadomo z czego, jak większość tutejszych posiłków. Poczula się tak biedna i bezsilna, że ogarnął ją płacz. Po kilku minutach opanowała się jednak i usiadłszy na twardym łóżku, zaczęła rozmyślać nad swoją sytuacją.

Nie miała jeszcze żadnej wiadomości od Kleopatry.

Nie spotkała się również z mekhanikosem Demetriošem, którego wyznaczono na jej didaskalosa. Yallos poinformowała kiedyś Ritę - był to jeden z tych rzadkich wypadków, gdy powiedziała coś istotnego - że powinna spotkać się ze swoim didaskalosem w ciągu tygodnia, w przeciwnym razie ucierpi jej pozycja w akademickim współzawodnictwie. Czuła się zagubiona. Jeszcze przed odjazdem z Rodos umówiła się z mekhanikosem. Zapytany o to jego drażliwy asystent powiedział: - Wezwano go na konferencję na Kretę. Wróci w ciągu miesiąca.

Od zniewag gorsze było poczucie zagubienia i wyobcowanie. Nikogo tu nie znała i nikt się nią nie interesował. Kobiety - z wyjątkiem Yallos, której Rita wyjątkowo nie lubiła - nie zwracały na nią uwagi lub traktowały ją lekceważąco. Yallos uznała się za prywatnego doradcę Rity i, z miną proroka oświecającego prostaków, udzielała jej pouczeń.

Kobiety w zniszczonej noclegowni uważały ją za "dziewczynę z wyspy", prostą i gburowatą. Co gorsza, mimo że pochodziła ze znanej rodziny, nie przyznano jej w Mouseionie żadnych przywilejów. Jej pozycja społeczna była zagadką. Stała się więc obiektem pogardliwych spojrzeń. Słyszała szeptem wypowiedane plotki, że Kelt był jej "kochankiem z wyspy".

Była to, jej zdaniem, zawiść.

Nie mogła swobodnie wychodzić z Mouseionu i spacerować po ulicach Aleksandrei. Wiedziała dobrze, co mogło się przytrafić niewinnej "dziewczynie z wyspy". Nie miała też ochoty na przechadzki z krzepkim i małomównym Keltiem, choć w przyszłości jego towarzystwo mogło okazać się pożądane, by wydostać się z Mouseionu.

Nie widziała oceanu od czasu opuszczenia nabrzeża w Wielkim Porcie.

Rita zatęskniła za Rodos, za falami rozbijającymi się radośnie o skaliste wybrzeże, za zapachem zielonych gajów oliwnych, za oślepiającą gonitwą chmur na błękitnym, jak lapis, niebie. Bardzo tęskniła za towarzystwem ludzi z Rodos, prostych i mądrych słońcem, jak głosiło miejscowe powiedzenie; najbardziej tęskniła za dziećmi plaży.

Być może była po prostu "dziewczyną z wyspy".

O każdej niemal porze dnia, o zmierzchu, a czasem nawet po zmroku, na skalistych i piaszczystych plażach Rodos można było spotkać kilkoro biegających młodych ludzi, opalonych i nagich, czasem w koszulach nocnych i przepaskach na biodrach. Należeli do plemienia Avar Altais z południa wyspy, inni mieszkali w starych ruderach dla uchodźców na Lindos. Mieli śniadą cerę, wschodnie oczy, okrągłe głowy, usta pełne przekleństw. Łowili ryby dzidami w bajorkach, jakie zostawały po odpływie, lub z wykrywaczami metali na ramieniu, szukali monet, ukrytych skarbów i zasypanych wraków. Gdy była młoda, wymykała się ukradkiem ze swego pokoju i biegała z nimi, śmiała się, uczyła języka, ich przekleństw i ich rozpalonego słońcem entuzjazmu. Matka nazywała ich

“barbarzyńcami”; stare słowo, którego się już prawie nie używa. Większość obywateli Oikoumene było, jej zdaniem, barbarzyńcami.

Gdy Ricie urosły piersi, a ramiona chłopców na plaży stały się szerokie, coś nowego pojawiło się w ich kontaktach - szorstkość. Była niemal zachwycona obelgami, które na nią spadały, trochę jak żartem, trochę jak rykiem ludożerców spragnionych jej mięsa. Gdyby ją mniej pilnowano, gdyby była nieco bardziej skora do uciech i nie tak starannie chroniona kodeksem zachowań Hypateionu - jeden z nich mógł stać się jej pierwszym kochankiem. Wielka Matka wie, jak wiele pocałunków jej skradziono.

Pamięta wciąż ich żarty, wyrosłe ze stuleci walk i rozpacz, nie uładzone w klimacie tolerancji panującej na Rodos. Były to okrutne, dzikie żarty o nagłej śmierci krzyżującej czyjeś plany, opowieści o rozłączonych rodzinach, zaginionych krewnych, o zwierzętach, których nie znano na Rodos.

Kiedyś rozmawiała z chłopcem o rok od niej młodszym. Opowiedział jej dzieje swojej rodziny na przestrzeni niezliczonych stuleci, splątane z losami innych rodzin, innych plemion, może nawet innych narodów. Ona zaś starała się to porównać z fragmentami historii, które знаła; z przymierzem Oikoumene i Rous, z Parsa i wyginięciem plemienia Step. W zamian opowiedziała oficjalną historię swojej rodziny, której wysłuchał z niezwykłą uprzejmością i uwagą. Gdy skończyła, powiedział: - Tak właśnie mówią zwycięzcy. - Zerwał się na równe nogi, zaryczał na nią jak osioł i pognał plażą, z wprawą skacząc po nagrzanym słońcem kamieniach.

Z ciężkim westchnięciem otworzyła oczy, rozstając się ze słonecznym niebem i biegnącym w oddali chłopcem. Podniosła elektroniczny teukhos, który odziedziczyła po babce, włączyła go i w bloku pamięci zaczęła przeszukiwać katalog ksiąg. Po chwili zdała sobie sprawę, że ktoś może wejść i szybko wyłączyła ekran. Obejrzała liche drzwi i zastawiła je trzcinowym krzesłem - to było wszystko, co mogła zrobić. Od swego przybycia ani razu nie słuchała kostek muzycznych. Gdyby ktoś je odkrył, byłby co najmniej mocno zaskoczony, a wszystko mogłoby się skończyć nawet katastrofą. Mouseion mógłby skonfiskować Przedmioty. Mogłoby ją oskarżyć o najdziwniejsze przestępstwa, a może jeszcze coś gorszego?

Rita nienawidziła tego obcego, trudnego i ekskluzywnego Mouseionu, z całym labiryntem jego starożytnych zabudowań...

Czuła się nie na miejscu pośród obytych z życiem miejskim studentów, którzy przybyli tu z całej Gai. Ze zdziwieniem spostrzegła młodego mężczyznę ubranego w osobliwy skórzany strój z frędzlami, jaki noszono kiedyś w Nea Karkhedonia, której mieszkańców pokonano sto lat wcześniej. Ich przodkowie byli zaprzysięgłymi wrogami Oikoumene. Jakie zabiegi dyplomatyczne umożliwiły im wstęp do Mouseionu? Widziała nawet studentów ubranych w koszule i skórzane spódnice plemion latyńskich. Nie miała nic przeciw nim, bo Rodos było wystarczająco od nich wszystkich odległe; jednak znając historię wyspy zdawała sobie sprawę, że nikt nie jest całkowicie odizolowany od takich konfliktów.

Rita zaciągnęła stare zasłony z muszelek i, czując się nieco bezpieczniej, wróciła na łóżko. Włączyła ekran i przeglądała dalej spis. Znała już nazwy wszystkich dwustu siedmiu zawartych tu ksiąg, większość z nich już przeglądała.

Tym razem jej uwagę przyciągnął tytuł, którego nigdy wcześniej nie widziała. Mogłaby przysiąc, że został niedawno dodany. Brzmiał prosto: “PRZECZYTAJ TERAZ”.

Karta wprowadzająca poinformowała ją, że tekst miał trzysta stron, około stu tysięcy słów i był spisany w języku helleńskim, a nie angielskim, jak pozostałe księgi w kostce. Cursor migał obok notki u dołu karty: “Zawartość i pozywa katalogowa ukryta do 25 4 49”.

To było dwa dni temu.

Rita wyświetliła pierwszą stronę tekstu.

“Droga Wnuczko!

Nosisz imię mojej matki. Czy jest to tylko podszept mojej kapryśnej wyobraźni, że kiedyś ją spotkasz? Gdy byłaś młodsza, sądziłaś zapewne, że jestem szaloną starą kobietą, choć, jak mi się wydaje, kochałaś mnie. Dziś masz ten przyrząd i mogę rozmawiać z Tobą, choć nigdy naprawdę nie odeszłam do domu. Niektórzy mówią, nawet tutaj, że śmierć to odejście do domu.

Wyobraź sobie świat, o którym Ci mówiłam i o którym czytałaś w księgach, jeśli jesteś moją wnuczką, a na pewno jesteś. Przeczytałaś księgi i wiesz, że niczego nie zmyśliłam. Wszystko jest prawdą. Było miejsce zwane Ziemią. Nie wzięłam się z powietrza.

Ta tabliczka i kilka bloków, które przywiozłam tu ze sobą przed laty, były moim jedynym oparciem, gdy sama traciłam wiarę. Dziś ty jesteś odpowiedzialna za moje poszukiwania. Lecz wszystko jest powiązane, nawet tak odległe rzeczy, jak moja Ziemia i Twoja Gaia. Moje marzenia mogą być ważne dla ciebie i całej Gai. Jeśli jest gdzieś brama. “A kiedyś będzie na pewno.” Przybyli i odeszli na obojczyku jak demony. Kto może śmiać się ze starej kobiety?

Pewnego dnia zostawię Ci coś do czytania, pojawi się to określonego dnia na ekranie.”

Nie udało się nakłonić maszyny, by wyświetliła dalszy ciąg tekstu. Najwidoczniej polecono jej, by wyświetlała kawałek po kawałku, w oznaczonym czasie. Rita wyłączyła tabliczkę i zaczęła trzeć oczy dłońmi. Nie ucieknie przed Patriką. Jej życie nie należy wyłącznie do niej.

Lecz jeśli była kiedyś jakaś brama...

I jest! Kto może zaprzeczyć, że są maszyny, które mówią bezpośrednio do jej umysłu, lub że istnieją setki ksiązek, których jej babka nie mogła wymyślić, a tym bardziej napisać.

Gdyby brama była realna, ciężar, jaki spoczywał na jej barkach, nie wynikałby tylko z odpowiedzialności wobec babki. Wszyscy ludzie na Gai mieliby w nim swój udział.

Rita zaczynała sobie wyobrażać, jak wielkie skutki dla Gai przyniosłoby odkrycie bramy. Nie wszystkie byłyby korzystne. Nastąpiłyby zmiany, być może ogromne...

Thistledown City

Wywiadowca połączył się z terminalem bibliotecznym Olmy'ego i przy pomocy białoczarnego piktu uśmiechniętego teriera zawiadamiał, że zakończył poszukiwania. Olmy włączył dmuchawę, aby pochwycić nędzne pozostałości z chmury pseudo--talsitu, dźwignął się z tapczanu i stanął przed terminalem w kształcie łyzy, przyglądając się skompresowanym wynikom poszukiwań. "Nie ma żadnych danych w Axis Euclid, Thoreau, Nader i Central City, żadnych kopii dokumentów bibliotecznycy. Wszystkie dokumenty sklasyfikowane w bibliotece Thistledown; ograniczenia dostępu wygasły, lecz nie ma śladów korzystania z tekstów od czasu Odłączenia. Ostatni raz przeglądane zdalnie z Axis City, nie ma identyfikatora, prawdopodobnie istota bezcielesna z pamięci miejskiej. Trzydzieści dwa dokumenty zawierają wzmianki o magazynie w Piątej Komorze." Zgodnie z prawem, wszystkie zabezpieczające utajnienia w bibliotekach i pamięci miejskiej były likwidowane po stu latach, jeśli nie było prośby i zgody na przedłużenie. Olmy zapytał wywiadowcę, ile prośb o przedłużenie złożono dla tych dokumentów. Odpowiedź brzmiała "Cztery".

Dokumenty miały ponad czterysta lat.

- Autorzy dokumentów - wydał polecenie. "Dane o autorach usunięto."

To bardzo dziwne. Tylko prezydent lub premier mógł polecić usunięcie danych o autorach lub pochodzeniu tekstów w bibliotece lub miejskiej pamięci, i to wyłącznie z ważnych powodów. Anonimowość nie była aprobowana w historii Hexamonu. Zbyt wielu twórców Śmierci uniknęło w ten sposób odpowiedzialności przed i po katastrofie.

- Opis dokumentów. "Wszystkie są krótkimi sprawozdaniami; spisane słowami."

Czas nadszedł. Olmy był zaskoczony, że tak niechętnie zabierał się do odkrywania prawdy. Mogła się okazać gorsza niż sobie wyobrażał.

- Pokaż mi dokumenty w kolejności chronologicznej - powiedział.

Prawda była gorsza.

Gdy skończył i zmagazynował dane w swojej implantowej pamięci, by powrócić do nich w wolnej chwili, wynagrodził wywiadowcę za jego wysiłki - pozwolił mu skorzystać z symulowanej łąki na Ziemi - i ponownie wypuścił chmurę pseudo-talsitu do swojego pokoju.

Po przejrzaniu dokumentów zrozumiał, że jego zadanie jest niezwykle skomplikowane. Nie było w nich całej historii jarta. Dokumenty były bowiem tylko dodatkiem, fragmentem większej całości, którą pospiesznie i niezbyt starannie usunięto. Domyślając się i czytając między wierszami Olmy sformułował swoje domysły.

Żywy jart został schwytyany jakieś pięćset lat temu w nieznanymi okolicznościach. Zmarł zanim przewieziono go na Thistledown. Jego ciało zakonserwowano, a psychikę zmagazynowano w pamięci komputerowej. Ponieważ nie wiedziano wiele o jartach, operacja zakończyła się tylko częściowym powodzeniem. Nikt nie wiedział, czy psychika nadal funkcjonuje i ile w niej zostało z psychiki żywego potwora. Nawet ciało było podejrzane. Niektórzy badacze sądzili, że organizm jarta, podobnie jak człowieka, potrafi przystosować się do otoczenia zmieniając formę biologiczną i kod genetyczny. Studiowano jego fizjologię, lecz niewiele się dowiedziano. Nie przekazano go do instytutów wojskowych ani innych ośrodków badawczych.

Początkowo badania zmagazynowanej psychiki prowadzono z zachowaniem środków bezpieczeństwa, lecz bez ścisłej tajemnicy. Uczestniczyło w nich dziesięciu lub piętnastu uczonych.

Dziewięciu zmarło w czasie pracy, w tym dwu nieodwracalnie - ich implanty uległy uszkodzeniu. Osobiste kontakty z psychiką potwora zostały wówczas całkowicie zabronione, a wszystkie badania ustały.

Nawet w tamtych czasach pośrednie badania psychiki były wysoko postawione. Trudno uwierzyć, że jarta, cały czy we fragmencie, mógł w takich okolicznościach wyrządzić krzywdę badającym go ludziom. A jednak Beni została zabita, a Mar Kellen doznał szoku, który pozostawił trwałe skutki...

Olmy rozpoznał w sobie kolejną zmianę hormonalną. Gdyby nie był tak czujny i napięty, wskazywałaby ona na stan zwany "lękiem".

Przez stulecia obowiązywało w badaniach cybernetycznych prawo: "Dla każdego programu istnieje taki system, że dany program nie zna swojego systemu". Innymi słowy program, nawet bardzo skomplikowany, jak ludzka psychika, może nie wiedzieć, w jakim systemie został uruchomiony, jeśli system mu tego nie podpowie. Program wie tylko, jak wiele operacji może w tym systemie wykonać.

Jednak w ostatnim stuleciu naukowcy Hexamonu, kierowani przez błyskotliwy umysł Dorii Fer Taylor, sformułowali algorytm, dzięki któremu program może dokładnie określić swój system. Odtąd zmagazynowana psychika może odkryć, że została zmagazynowana. Olmy, na przykład, mógłby w każdej sytuacji ustalić, czy jego psychika działa w implancie czy w organicznym mózgu.

Teoretycznie algorytm taki, po jego pełnym zastosowaniu, miał umożliwić programowi lub psychice wprowadzenie zmian do natury systemu, w takim stopniu, w jakim zmiana systemu była w ogóle możliwa. Ponieważ w pamięci miejskiej istnieli niszczyciele, taka informacja mogłaby spowodować katastrofalne skutki. Niszczyciele, a nawet jeden tylko, mogli zniszczyć pamięć wraz z całą zawartością. Ludzie nie byli dość zdyscyplinowani, by dać im taką moc. Badania zostały utajnione. Olmy dowiedział się o nich pracując w policji, gdy premier polecił mu zbadać, czy jakakolwiek psychika ludzka bądź inna w jakiegokolwiek pamięci odkryła taki algorytm samodzielnie. Nie wykrył nic podobnego.

Olmy przeglądał najgłębsze poziomy implantowej pamięci szukając algorytmu Taylor. Często wpychał tam takie rzeczy, gdyż miał do siebie zaufanie, że będą tam bezpieczne, a bardzo lubił gromadzić ciekawostki. Wciąż były do jego dyspozycji. Usunąłby je, gdyby kiedyś zapragnął zmagazynować się w pamięci miejskiej. "Mało prawdopodobne", pomyślał.

Sądząc z tego, co spotkało Beni i Mar Kellena oraz poprzednie ofiary jarta, potwór potrafił posługiwać się tym algorytmem. Ludzie natomiast nie podejrzewali wtedy nawet jego istnienia.

Psychikę jarta umieszczono w całkowitej izolacji w piątej komorze i poddano badaniom, które trwały kilkadziesiąt lat, nie więcej jednak niż sto. Następnie zapomniano o nim, lecz go nie zniszczono. Był zbyt cenny, by go wyrzucić, a jednocześnie zbyt groźny, by kontynuować badania...

Jego badacze najprawdopodobniej trafili do pamięci miejskiej w przewidzianym czasie. Większość pochodziła z Geszel. Ponad wszelką wątpliwość wszyscy postanowili odlecieć w głąb Drogi podczas Odłączenia. To tłumaczy, dlaczego w ciągu ostatnich czterystu lat nie wznowiono badań. Nie wiadomo tylko, dlaczego nic nie robiono przez dwanaście lat przed Odłączeniem.

Wywołał pełną listę dat i zaczął studiować informacje o dostępie do dokumentów. "Po co sprawdzać statyczne pliki, jeśli nie po to, by zobaczyć, kto jeszcze z nich korzystał?"

Z dokumentów korzystano kilkakrotnie, za każdym razem mniej więcej sto pięćdziesiąt lat temu. Nazwisko użytkownika zostało wymazane. Pomysłowa sztuczka, nie gwarantująca jednak całkowitej anonimowości. Olmy sprawdził ilość wymazanych znaków. Za każdym razem brakowało piętnastu. Najprawdopodobniej jedna i ta sama osoba sięgała do dokumentów półtora wieku temu, ciekawa, czy szkielet i jego dusza były wciąż ukryte i bezpieczne.

Oczywiście, ktoś mógł przypadkowo natknąć się na ochronne drzwi w piątej komorze lub dowiedzieć się o nich, jak niedawno Mar Kellen. Lecz Mar Kellen posłużył się wynalezioną niedawno techniką łamania kodu. Najprawdopodobniej nikt w Ziemskim Hexamonie poza Mar Kellenem i Olmym nie wiedział o schwytanym jarcie.

Mar Kellen postanowił usunąć się z życia publicznego.

Pozostał Olmy.

Gaia

Konferencja Boule debatująca nad ostatnim atakiem Libii na Brukheion nie przyniosła oszałamiających rezultatów. Żydowska milicja, stacjonująca wokół delty Nilos, dała już wyraz swemu niezadowoleniu, organizując demonstrację, która niemal przerodziła się w bunt. Posiedzenie Boule było odpowiedzią na te zajścia. Kleopatra, otoczona przez chmarę doradców, wyłoniła się z sali obrad i stanęła w świetle lamp błyskowych ekipy telewizyjnej. Była wystarczająco zmęczona, by nienawidzić oślepiających świateł i kamer, ale rozsądek i poczucie obowiązku kazało jej się uśmiechnąć.

Jej pozycja, jako królowej, była dość chwiejna. Od dawna żałowała, że wywalczyła dla dynastii Ptolemeuszy w ciągu ostatnich trzydziestu lat tak wielką władzę; byli dość silni, by winiono ich za wszelkie nieszczęścia, lecz zbyt słabi, by im zapobiec. Nie mogła zignorować Boule i przejąć pełni władzy militarnej; jednak obarczono ją odpowiedzialnością za niepowodzenia policji wojskowej Boule. Krążyły plotki o spisku a ona niemal pragnęła, by się sprawdziły.

Nastrój królowej nie poprawił się, gdy szpieg z Mouseionu doniósł, jak jest traktowana Rita Berenika Vaskayza.

Jej Imperiał Hypselotes dawno nauczyła się czerpać korzyści z każdego zdarzenia. Od ponad dziesięciu lat podejrzewała, że cele Mouseionu coraz bardziej różnią się od jej własnych, lecz nie na tyle, by doszło do otwartej wojny. Akademeia Hypateia na Rodos spędzała sen z powiek bibliofylaksa. Kleopatra miała nadzieję, że sprowadzenie wnuczki Patrikii do Mouseionu wywoła ciekawą reakcję. Jeśli przywiozła lepsze wiadomości niż Patrikia... Niech tak będzie.

Tak czy inaczej, Rita było pożyteczną osobą, lecz doniesienia szpiega rozwścieczyły ją. Słuchała raportu, siedząc na niskim stołku, w prywatnym gabinecie. Jej blizna stawała się coraz bielsza, a mięśnie szczęki napinały się. Nigdy nie spodziewała się, że bibliofylaks Kallimakhos tak dalece zadrwi z jej autorytetu.

Rita wybrała sobie na didaskalosa młodego profesora fizyki i inżynierii Demetriososa, zaś Kallimakhos udzielił mu, wbrew woli uczonego, długiego urlopu na badania w innym ośrodku. (Szpieg ustalił, że Demetrios był zdolnym matematykiem, obiecującym wynalazcą i bardzo chciał pracować z wnuczką sophe Patrikii). Następnie Kallimakhos potraktował Ritę obelżywie, pozbawiając uprzywilejowanego statusu gościa i zabraniając jej mieszkania z Keltem, przez co naraził ją na niebezpieczeństwo...

Rita Vaskayza, zakomunikował szpieg z zawodowym uznaniem w głosie, zносиła upokorzenia z godnością. - Czy jest królewską ulubienicą? - zapytał.

- Czy musisz to wiedzieć? - odparła chłodno Kleopatra.

- Nie, moja pani. Jeśli jednak jest ulubienicą, wybierasz, pani, ciekawe kobiety, by obdarzać je względami.

Kleopatra zignorowała tę poufałość. - Trzeba zacząć działać - powiedziała. Gestem odprawiła szpiega i wezwała swego sekretarza. Gdy pojawił się w drzwiach poleciła mu: - Sprowadź tu jutro Ritę Berenikę Vaskayza. Potraktuj ją wyjątkowo dobrze. - Chrząknęła i wpatrując się w sufit obmyślała kolejne posunięcia. Jakaś drobna przyjemność, która nie zaszkodzi poważnym planom. - Wyślij urzędników podatkowych do Mouseionu. Niech zbadają, czy wszyscy administratorzy i

nauczyciele - oczywiście tylko ci, którzy są na miejscu - nie zalegają z dziesięciną i królewskimi podatkami. Z wyjątkiem Kallimakhosa. Powiadom go, że chcę go zobaczyć w przyszłym tygodniu. I dopilnuj, by wszystkie honoraria i dotacje z funduszy królewskich opóźniły się o trzy tygodnie.

- Tak, moja pani. - Sekretarz złożył dłonie przed sobą i kłaniając się wycofał się z pokoju.

Kleopatra zamknęła oczy, starając się ostudzić gniew. Coraz bardziej tęskniła do katastrofy, która położyłaby kres intrygom i całemu temu politycznemu bagnu, w którym tonęło jej życie. Nie posiadała władzy absolutnej, lecz nie była też tak słaba, by pozwolono jej żyć spokojnie. Musiała wciąż prowadzić grę z żywiołami, jak żeglarz na wzburzonym jeziorze Mareotis.

- Przynieś mi coś cudownego dla odmiany, Rito Vaskayza - wymamrotała. - Coś godnego twej babki.

Wielki korytarz rozbrzmiewał głosami kobiet w różnych językach - helleńskim, aramejskim, aithiopskim, hebru. Dziś zaczynały się zajęcia, ale Rita, pozbawiona didaskalosa, miała tylko lekcje wspólne dla wszystkich studentów - orientację, języki, których zupełnie nie potrzebowała, i historię Mouseionu. O drugiej rano - czas liczono od świtu - gdy korytarz stopniowo pustoszał, siedziała w ciasnym pokoju i zastanawiała się, jaki sens miał jej przyjazd do Aleksandrei.

Gdy usłyszała kroki dwu osób zbliżających się do drzwi, ogarnął ją niepokój. Zapukano mocno we framugę i męski głos zapytał: - Rita Berenika Vaskayza?

- Tak - odpowiedziała, zrywając się na równe nogi.

- Czekam tu wraz z Keltem - powiedział mężczyzna uprzejmie po helleńsku. - Jej Imperiał Hypselotes poleca ci przybyć dziś o szóstej.

Rita stanęła w otwartych drzwiach, na wprost wysokiego otyłego Aigipcjanina w królewskiej liberii. Za jego plecami stał Lugotorix, który skłonił głowę, a Rita odpowiedziała mrugnięciem. - Teraz?

- Teraz - potwierdził Aigipcjanin.

Lugotorix pomógł jej zabrać walizki z cennymi Przedmiotami. Ojciec, za namową matki, polecił jej zachować daleko idącą ostrożność. "Najlepiej nie zbliżać się do Hypselotes wprost", radziła matka. "Szczególnie po niepowodzeniu ze znikającą bramą." Na brukowanej kamieniami drodze czekał na nią duży elegancki samochód. Trzej Aigipcjanie w liberiiach pomogli jej włożyć walizki do bagażnika. Kelt usiadł przy kierowcy a strażnicy stanęli na błotnikach. Przy akompaniamencie klaksonu samochód opuścił teren Mouseionu i skierował się w stronę pałacu.

Gdy przejeżdżali przez główną bramę spojrziała wstecz, intuicja podpowiedziała jej, że krótki pobyt w Mouseionie dobiega końca.

Thistledown

Kiedyś, gdy nie miał jeszcze trzydziestu lat, żył spokojnie, a wszystkie wydarzenia dawały się bez trudu zrozumieć i wytłumaczyć. Potem Garry Lanier musiał nauczyć się, że świat co chwila wygląda inaczej i wciąż od nowa trzeba szukać dla siebie miejsca. Od kiedy przybył na Kamień, odkrywał niewyobrażalne prawdy tak często, że jak sądził, nic go już nie zaskoczy.

Leżał na łóżku, które przygotował dla niego Svard, asystent Korzeniowskiego. Leżąc na plecach w ciemności, przykryty prześcieradłem, oddychał głęboko i rozkoszował się myślą, że nie jest tak znudzony i zmęczony życiem.

Stał się wcieleniem bóstwa, żywym symbolem sił, których nawet Korzeniowski nie mógł pojąć do końca.

- Jezus - wyszeptał Lanier prawie bezwiednie. To imię straciło wiele ze swej mocy w ciągu ostatnich dekad. Cuda, na których opierało się Chrześcijaństwo, powtarzano niemal co tydzień w Ziemijskim Hexamonie. Technika zajęła miejsce religii.

Lecz kim był Mirski, którego powrót wydawał się niemożliwy nawet w Hexamonie? Czy cuda zatoczyły koło i wróciły do sfery religijnej?

To, co Mirski pokazał... Kombinacja prostych obrazów, słów i niezrozumiałych dźwięków, które przesłał do ich umysłów... Żołądek Laniera wciąż skręcał się na wspomnienie tego spektaklu.

Co myślałaby o tym Karen, mniej związana z zachodnim punktem widzenia. Urodziła się w Chinach, dokąd jej rodzice uciekli z przyczyn politycznych z Anglii. Miała większą zdolność rozumienia cudów, gdyż inna była jej postawa wobec rzeczywistości. Nigdy nie była tak zaskoczona cywilizacją i przyszłością jak Lanier. Ze spokojem i pragmatyzmem przyjmowała nieuchronne i niepodważalne fakty.

Lanier tarł zamknięte oczy i przewracał się z boku na bok, próbując zasnąć. Będąc z dala od Karen poczuł, jak bardzo za nią tęsknił. Nawet w ciągu ostatnich lat, zabarwionych ukrytą goryczą, coś ich jednak łączyło - poczucie związku z przeszłością.

Czy może był po prostu zbyt stary, by bez oporów przyjmować zmiany? Czy pomógłby mu pseudo-talsit albo zastrzyk młodszej energii, który oczyściłby mentalne kanały?

Zaklął po nosem i zaczął wstawać z łóżka, lecz uświadomił sobie, że nie ma dokąd pójść - w całym mieszkaniu nie było miejsca, gdzie nie byłby obserwowany. Tymczasem potrzebował przede wszystkim samotności, ciemności, w której nikt by go nie niepokoił. Czuł się jak przewożone zwierzę, które kurczowo wczepiło się w pręty klatki. Obawiał się, że za drzwiami może czekać kolejna porcja rzeczy zagadkowych i niesamowitych.

Gdy Lanier usiłował zasnąć, Korzeniowski umawiał się na spotkanie z prezydentem i kilkoma innymi osobistościami. Z dużym prawdopodobieństwem będzie na nim obecna Judith Hoffman, przełożona Laniera sprzed czterech dekad.

Nie miał z nią kontaktu od lat. Nie zdziwił się, że przeszła kurację odmładzających przeszczepów i pseudo-talsitu. Jednak całkowicie go zaskoczyła wiadomość, że przewodniczyła frakcji dążącej do ponownego otwarcia Drogi.

Pociągi na Thistledown były równie sprawne jak dawniej. Wyglądały jak lśniące stonogi, które z prędkością kilkuset kilometrów na godzinę prześlizgują się przez wąskie tunele. Lanier siedział wraz z Mirskim na wprost Korzeniowskiego i, podobnie jak oni, milczał.

Po rewelacjach Mirskiego ogarnęło ich kosmiczne onieśmielenie, nie pozostawiające wiele miejsca na towarzyskie pogawędki o niczym. Mirski przyjmował to milczenie ze stoickim spokojem. Wpatrywał się w ciemność za oknem i mrużył oczy, gdy zalewało ich światło mijanych miast.

Metropolię trzeciej komory, Thistledown City, zbudowano już po wystrzeleniu asteroidy, korzystając z doświadczeń zdobytych przy budowie Aleksandrii w drugiej komorze. Ogromne wieże wznosiły się na pięć kilometrów ponad dno doliny. Napowietrzne konstrukcje sięgały poza horyzont komory. Lśniące megapleksy, każdy o pojemności porównywalnej ze średniej wielkości miastem na Ziemi przed wojną, umocowano tak dyskretnie, że zdawało się, iż za chwilę runą z hukiem. Większość zabudowy miasta była dla nieuprzedzonego gościa architektonicznym koszmarem, grożącym w każdej chwili zawaleniem.

Jednak miasto było dobrze zaprojektowane. Wstrząsy wywołane Odłączeniem nie spowodowały większych szkód, wiele budynków w ogóle nie ucierpiało.

- Jest naprawdę piękne - przerwał ciszę Mirski. Pochylił się naprzód potrzęsając z entuzjazmem głową i śmiejąc się jak dziecko.

- To wielki komplement w ustach człowieka, który dotarł do kresu czasu - zauważył Korzeniowski. "Nie zachowuje się jak bóstwo", pomyślał Lanier.

Po Odłączeniu, Thistledown City zostało zajęte przez mieszkańców stacji orbitalnych. Próba sprowadzenia Rodowitych Mieszkańców na asteroid i osiedlenia ich tutaj została poniechana, gdyż imigranci czuli się tu bardzo nieszczęśliwi. Większość z nich wróciła na Ziemię, gdzie nie czuli się przytłoczeni nadnaturalnymi wytworami techniki. Lanier doskonale ich rozumiał.

Teraz miasto było zasiedlone w jednej piątej. W niektórych dzielnicach było tłoczno, w innych, mniej zaludnionych, zdarzało się, że w jednym budynku mieszkały dwie rodziny, a czasem nawet tylko jedna. Gdyby kiedykolwiek udało się namówić większą liczbę Ziemiaków do przeprowadzki, miejsce dla nich było przygotowane.

Wszystkie parki były odnowione, inaczej niż w Aleksandrii, gdzie prace nad ich rekonstrukcją jeszcze trwały. W niektórych zasadzono rośliny z Ziemi. Specjaliści od ochrony środowiska w ogrodach zoologicznych, zbudowanych dwadzieścia lat temu, pracowali nad stworzeniem warunków, w których dzikie zwierzęta mogłyby się rozmnażać. Biblioteki drugiej i trzeciej komory zawierały wyczerpującą informację na temat kodu genetycznego wszystkich gatunków zwierząt, jakie żyły na Ziemi w chwili wystrzelenia Thistledown; wiele gatunków wyginęło w pierwszych latach po Śmierci. Teraz można je było odtworzyć.

Nexus Ziemińskiego Hexamonu znajdował się w środku ogromnych lasów tropikalnych. Rozległa, półprzezroczysta kopuła w kolorze czystego nieba o zmierzchu, przykrywała znaczną część lasu i komorę, w której obradował Nexus. Pod kopułą sztuczne światło było zmieniane w światło słoneczne i chmury.

Nexus nie miał dziś swojej sesji. Komora spotkań, okrągła arena wokół centralnej sceny, była prawie pusta.

Judith Hoffman siedziała tuż przy schodach prowadzących na główną scenę. Gdy Lanier, Mirski i Korzeniowski schodzili ku scenie, odwróciła się ku nim, unosząc brwi. Zmierzyła Mirskiego i Korzeniowskiego surowym spojrzeniem, a potem uśmiechnęła się do Laniera. Podszedł do niej pierwszy i objęli się na powitanie, podczas gdy dwaj jego towarzysze czekali dwa kroki w tyle.

- To cudowne, że znów się spotykamy, Garry - powiedziała.

- Tyle lat... - Uśmiechnął się szeroko, czując, jak w jej obecności przybywa mu sił i pewności siebie. Spozstrzegł, że pozwoliła sobie trochę się zestarzeć, lecz i tak wyglądała dwadzieścia lat młodziej od niego. Jej włosy miały kolor stali, a zmęczona twarz wyrażała pełne godności

zatroskanie.

Świadomie odrzucała nowoczesną modę panującą w Thistledown City, gdzie strój składał się zarówno z odzieży, jak i iluzji. Ubrana była w męski szary garnitur, który, oprócz nieco fantazyjnie skrojonych klap, pozbawiony był wszelkich ozdób. Nosiła przy sobie piktor umieszczony w naszyjniku i łupkową tabliczkę do pisania, model sprzed czterdziestu lat, równie archaiczny, jak gęsie pióra na Ziemi.

- Jak się miewa Karen? Czy dalej rywalizujecie z Lenorą i Larrym?

- Karen ma się dobrze. Może się tu pojawi. Pracuje z Suli Ram Kikurą w programie społecznym. - Przełknął ślinę. - Lenora jest chyba w Oregonie. Larry zmarł kilka miesięcy temu.

Hoffman była zaskoczona. - Nie wiedziałam.. Mój boże. Oto chrześcijanin. - Serdecznie uściśnęła mu dłoń. - Będzie mi go brakowało. Byłam tu z dala od was wszystkich. Brakowało mi was, ale tu jest strasznie dużo pracy. - Trzej pozostali przedstawiciele podeszli od strony sceny:

Dawid Par Jordan, asystent i adwokat prezydenta, był niskim mężczyzną o białych włosach pochodzącym z Thistledown; superwizor szóstej komory, Deorda Ti Negranes, wysoki żeński homorf ubrany na czarno oraz Eula Mason, silna kobieta o rysach jastrzębia, ortodoksyjna, choć nie skrajnie, naderytka posiadająca dużą władzę w niższym Nexus.

Mirski przyglądał się im wszystkim z uprzejmą obojętnością, jak aktor, który czeka, aby wezwano go na scenę. Hoffman uściśnęła rękę Korzeniowskiemu i po krótkiej wymianie uprzejmości zajęła się Mirskim. Stojąc przed nim, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, zapytała: - Garry, czy ten pan jest tym, za kogo się podaje?

Lanier wiedział, że jego werdykt będzie miał znaczenie. - Nie byłem pewien z początku, ale teraz sądzę, że tak.

- Witam pana, ser Mirski. To przyjemność spotkać pana ponownie - powiedziała Hoffman. - W okolicznościach spokojniejszych i zdecydowanie bardziej tajemniczych. - Z pewnym wahaniem podała mu rękę. Mirski ujął ją za koniec palców i ukłonił się. "Rycerskość z krańców czasu", pomyślał Lanier. "Co dalej?"

- Rzeczywiście, ser Hoffman - odpowiedział. - Wiele się zmieniło.

Gdy wszyscy skierowali się do zespołu budynków poniżej areny, gdzie miało się odbyć spotkanie, zaczęto sobie przedstawiać przybyłych. Laniera rozbawiła sztuczność społecznych zachowań, szczególnie widoczna, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności. Konwenans może zamienić każdą sytuację w banał i, być może, to jego cel najważniejszy - sprowadzić wielkie wydarzenia do ludzkiej skali.

Korzeniowski wyraźnie unikał rozmowy o Mirskim i szczegółach jego propozycji.

- Chcieliśmy przedstawić prezydentowi i izbom Nexus sprawę ważną i skomplikowaną - rozpoczął Korzeniowski, gdy usiedli przy małym stole.

- Mam pytanie i chciałam je zadać jak najszybciej - powiedziała z powagą Eula Mason. - Nie wiem zbyt wiele o panu Mirskim. Jest Rodowitym Mieszkańcem, Ziemianinem i ma rosyjskich przodków. Nie wyjaśnił pan, dlaczego ma tak wielkie znaczenie w całej sprawie. Skąd przybył?

- Z bardzo odległych miejsc w czasie i przestrzeni - powiedział Inżynier. - Przywiózł niepokojące wiadomości i może je potwierdzić teraz. Ostrzegam państwa, że nigdy nie spotkaliśmy się z takimi świadectwami, nawet w pamięci miejskiej.

- Mam zwyczaj omijać pamięć miejską z daleka - powiedziała Mason. - Mam dla pana wiele szacunku, lecz nie znoszę tajemnic, a także marnowania mojego czasu.

Mason nie była nastawiona przyjaźnie wobec Korzeniowskiego, zapewne dlatego, że uważała go za zwolennika otwarcia Drogi.

Nie zrobiło to wrażenia na Korzeniowskim. - Zaprosiłem państwa tutaj ponieważ okoliczności są niecodzienne i chciałbym przeprowadzić coś w rodzaju próby generalnej przed spotkaniem z całym Nexus.

- Czy będzie potrzebna aspiryna? - Hoffman zapytała szeptem Laniera.

- Prawdopodobnie - powiedział Lanier.

Homorficzny wygląd Negranes, zdaniem Laniera, zaprojektowano nieco zbyt ekscentrycznie. Twarz była zbyt mała w stosunku do głowy, a ciało miało złe proporcje - nogi były zbyt długie, uda zbyt obfite, palce u rąk również za długie, a klatka piersiowa wielka jak u mężczyzny. Jednak zachowywała się po królewsku, znała swoje miejsce i w tym pokoju, i na Thistledown. - Czy te odkrycia przemawiają przeciw otwarciu Drogi, panie Inżynierze?

- Być może dzięki nim osiągniemy kompromis - oświadczył Korzeniowski. "To brzmi bardziej optymistycznie", pomyślał Lanier.

Mason spojrzała na niego podejrzliwie kątem oka. Najwidoczniej w jej kręgu nie ufano Korzeniowskiemu. Trudno się temu dziwić, skoro to on był przede wszystkim projektantem Drogi.

- A więc zaczynajmy - powiedział Par Jordan.

- Tym razem nie skorzystam z projektora - powiedział Mirski. - Oszczędzę panów Korzeniowskiego i Laniera... Już raz odchorowali moją opowieść.

Gdy prezentacja dobiegła końca, Hoffman oparła ręce na stole i westchnęła, Lanier łagodnie rozcierał szyję i kark. - Mój Boże - wykrzyknęła stłumionym głosem. Par Jordan i Negranes byli osłupieni.

Mason wstała. Ręce jej drżały. - To jest farsa - powiedziała zwracając się do Korzeniowskiego. - Jestem zaskoczona, że uwierzył pan w te sztuczki. Nie jest pan już człowiekiem, któremu ufał mój ojciec...

- Eula - powiedział Korzeniowski patrząc na nią lodowatym wzrokiem - niech pani usiądzie. To nie są sztuczki. Wie pani o tym równie dobrze jak ja.

- Więc co to jest? - zapytała drżącym głosem. - Nic z tego nie rozumiem.

- Owszem, rozumie pani. To całkiem jasne, choć zaskakujące.

- Czego oni od nas chcą? - kontynuowała. Korzeniowski uniósł rękę i gestem poprosił o cierpliwość. Mason zdobyła się na tyle cierpliwości, by usiąść sztywno na krześle.

- Czy mają państwo jakieś pytania - Korzeniowski zwrócił się do Negranes i Par Jordana.

Par Jordan był najmniej z nich wszystkich poruszony. - Czy prezydent ma to zobaczyć? Mam na myśli - przeżyć bezpośrednio? - zapytał.

- Cały Nexus musi podjąć decyzję - podkreślił Mirski. - I to jak najszybciej. - Wszyscy spojrzeli na niego jak na niespodziewanego gościa lub może ogromnego owada. Widać było, że niechętnie zwracają się do niego bezpośrednio.

- Ser Korzeniowski, to nie będzie proste. Zgadzam się z reakcją pani Mason...

Mason z zadowoleniem uderzyła w stół otwartą dłonią.

Negranes podniosła rękę. - Nigdy nie czułam się tak, jak teraz - powiedziała. - Jesteśmy zupełnie mali i bez znaczenia. Czy wszystkie wysiłki są daremne i za jakiś czas nie będzie po nas śladu i wszystko zostanie zapomniane?

- Nie zapomniane - powiedział Mirski. - Nie jesteście zapomniani. Ja tu jestem.

- Dlaczego pan? - zapytała Negranes. - Dlaczego nie ktoś bardziej znany z Hexamonu?

- Zgłosiłem się na ochotnika, w pewnym sensie. Złożyłem się w ofierze - odparł Mirski.

Hoffman utkwiała w Korzeniowskim swe jasnobrzazowe oczy. - Nie zgadzaliśmy się w tej sprawie od dawna. Jestem pewna, że Garry zdziwił się słysząc, że popieram ponowne otwarcie

Drogi. Jak się pan czuje po tym wszystkim? Czy zmienił pan zdanie?

Korzeniowski przez chwilę nie odpowiadał. Następnie, z opadającą intonacją, na dźwięk której Lanier podskoczył - była to dobrze mu znana intonacja Patricii Vasquez - powiedział: - Zawsze zdawałem sobie sprawę, że to nieuniknione. Nigdy nie gustowałem w rzeczach nieuniknionych. Teraz także nie myślę o tym z radością. Zaprojektowałem Drogę i zostałem za to ukarany. Zginąłem w zamachu, ale gdy przywrócono mnie do życia odkryłem, że ludzkość posuwa się naprzód. Wiele zyskaliśmy, a nie straciliśmy. Wpadliśmy w pułapkę własnego sukcesu.

Byłem pewien, że powrót na Ziemię będzie lekarstwem na nasze problemy, ale Droga działa jak narkotyk. Sięgaliśmy po niego zbyt często i teraz nie potrafimy już żyć bez niego. Przynajmniej dopóki istnieje możliwość ponownego otwarcia Drogi.

- To brzmi dwuznacznie - powiedział Mason.

- Droga powinna być otwarta. A potem zniszczona. Rozwiązanie zaproponowane przez pana Mirskiego jest jedynym możliwym.

- Otwarta - powtórzyła Mason potrząsając głową. - A więc jednak.

- Spoczywa na nas wielka odpowiedzialność - kontynuował Inżynier. - Musimy zlikwidować Drogę. W przeciwnym razie pokrzyżujemy plany istot, których nawet nie potrafimy zrozumieć, tak bardzo nas przerastają.

- Pomyślmy o tym - powiedziała Mason. - Jeśli my doprowadzimy do ponownego otwarcia, oni nie pozwolą nam niczego zdemontować. - Wskazała głową na Negranes i Hoffman.

Hoffman, która wciąż jeszcze była blada jak ściana, spojrział na Laniera. - Nexus musi to koniecznie obejrzeć. Jestem przekonana, że to jest Mirski i to mi w zupełności wystarcza.

Par Jordan wstał. - Przedstawię całą sprawę prezydentowi.

- Jakie jest pańskie stanowisko? - zapytał Mirski.

- Sądzę, że nie wolno nam niczego ukrywać przed izbami Nexus. Nie mamy żadnych powodów. Lecz... po prostu nie wiem, co o tym myśleć. - Wziął głęboki oddech. - Trudno w to uwierzyć.

Lanier nagle zapragnął, by ponownie przeżyć chwilę, gdy podczas wędrówki spotkał nieznanego na szlaku.

Gdyby miał tę szansę, uciekłby przed nim tak szybko, jak tylko zmęczone nogi by mu pozwoliły.

Gaia, Aleksandreia, Półwysep Lokhias

Kleopatra XXI powitała młodą kobietę serdecznie w bawialni, w swym prywatnym mieszkaniu. Włosy królowej były przyprószone siwizną, a oczy matowe. Blizna na policzku, którą powszechnie uważano za oznakę bohaterstwa, była czerwona i nabiegła krwią. Królowa wyglądała na wyczerpaną.

Kelta nie wpuszczono do królewskich pomieszczeń. Ricie było go trochę żal - zawsze czekał gdzieś z dala, zamiast wypełniać swój podstawowy obowiązek chronienia Jej.

- Nie przyjęto cię dobrze w Mouseionie - zaczęła Kleopatra, siadając przy ozdobionym różami kwarcytowym stole naprzeciw swej rozmówczyni. - Proszę cię o wybaczenie i wyrozumiałość.

Rita skinęła głową. Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć, więc uznała, że najlepiej będzie, jeśli pozwoli mówić królowej. Kleopatra wydawała się poirytowana i niespokojna.

- Spodziewałam się, że poprosisz o audiencję, i cieszę się, że tak się stało - kontynuowała królowa. - Obawiam się, że twoja babka sądziła, iż przestałam jej wierzyć. - Królowa uśmiechnęła się blado. - Być może tak się stało. W świecie pełnym rozczarowań nietrudno jest stracić wiarę. Lecz nigdy nie wątpiłam w jej słowa. "Potrzebowałam" wierzyć w jej opowieści. Czy łatwo to zrozumieć?

Rita zdała sobie sprawę, że jej milczenie może być zrozumiane jako wyraz zmieszania podczas pierwszego w życiu spotkania z koronowaną głową. Jednak, co dziwne, nie była wcale zdenerwowana. - Tak. Rozumiem.

- Mówiono mi, że nie byłaś bardzo blisko swej babki, w każdym razie nie przez całe życie.

- To prawda, moja pani.

Kleopatra machnięciem ręki skwitowała oficjalne zachowanie Rity i, wpatrując się w nią zmęczonymi oczyma, pytała dalej. - Powierzyła ci jakieś zadanie?

- Tak.

- Jakie? - Gestem rąk zachęciła ją do większej otwartości.

- Powierzyła mi opiekę na Przedmiotami - wyznała Rita.

- Obojczyk?

- Tak, Królowo.

- Czy znów przyniesie nam rozczarowanie?

- Pokazuje nową bramę. Wasza Wysokość, która nie przemieszcza się od trzech lat.

- Gdzie?

- Na stepach Nordyckiej Rhusi, na zachód od morza Kaspijskiego.

Królowa zastanowiła się przez chwilę. Jej blizna rozjaśniła się. - Nie będzie łatwo się tam dostać. Czy ktoś jeszcze o tym wie?

- O nikim takim nie słyszałam. Królowo.

- Czy wiesz, dokąd ona prowadzi?

Rita potrząsnęła głową.

- Czy nic... bardziej przekonującego na ten temat nie wiadomo?

- W jakim sensie. Królowo?

Rita nie potrafiła zwracać się do królowej w inny sposób, choć bardzo jej na tym zależało.

Mówienie bez ciągłego podkreślania szacunku i dystansu wydawało się jej prawie świętokradztwem.

- Biorę pod uwagę bezpieczeństwo. Mogę wysłać ekspedycję, ale to dość kłopotliwe przedsięwzięcie z dyplomatycznego punktu widzenia - jeśli zostaną złapani, bo nie da się tego zrobić oficjalnie, uzyskując zgodę Nordyckiej Rhusi. Jeśli ma się więc okazać, że wszystko to na nic, a dziura prowadzi donikąd...

- Nie mogę niczego zagwarantować, Królowo.

Kleopatra smutno potrząsnęła głową, by po chwili znów się uśmiechnąć. - Twoja babka też nie mogła. - Odetchnęła głęboko. - Obie macie wiele szczęścia przy takiej królowej jak ja. Ktoś bardziej inteligentny, bardziej pragmatyczny, w ogóle nie chciałby o tym rozmawiać.

Rita skinęła z powagą głową, spodziewając się najgorszego.

- Czy masz jakiś pomysł, co może leżeć po drugiej stronie bramy?

- Możemy przedostać się przez nią do Drogi.

- Do wielkiego akweduktu światów, według Patrikii.

- Tak, Królowo.

Kleopatra wstała i z zaciśniętymi szczękami, trzymając palce przy skroni, zapytała: - Czego potrzebuje taka wyprawa? Czy ty oczekiwałabyś więcej niż kiedyś Patrikia?

- Nie sędzę, Hypselotes.

- To nie jest wielki wydatek. Czy Przedmioty działają sprawnie? Czy mekhanikoi na Rodos dobrze o nie dbali?

- Nie trzeba się nimi zajmować, Królowo, wystarczy zmieniać baterie. Są nadal sprawne.

- Czy możesz pokierować ekspedycją?

- Takie było życzenie mojej babki.

- Jesteś jeszcze bardzo młoda.

Rita nie zaprzeczyła.

Kleopatra obeszła stół wolno kręcąc głową. Zatrzymała się za plecami Rity i położyła dłonie na oparciu jej krzesła. - To polityczne szaleństwo. Ryzykujemy konfrontację z Rhusinami i burzę w Boule, gdy tajemnica się wyda... Moja pozycja nie jest godna pozazdroszczenia, młoda damo. Jakaś część mnie jest poirytowana, a nawet wściekła z powodu twojej obecności tutaj i tej prośby. Ale inna część... która zawsze była przychylna twojej babce...

Rita przełknęła ślinę i napięła mięśnie, aby powstrzymać głowę od ciągłego przytakiwania.

- Ukaralam już Mouseion za to, że tak cię potraktowali. W pewnym sensie poparłam już twoje starania. Lecz nie jest mi łatwo w pełni ulec własnym pragnieniom. Pragnę, byś znalazła coś niezwykłego... nawet niebezpiecznego, coś cudownie niebezpiecznego i nowego. Coś całkowicie różnego od niskich pogroźek i wysokich intryg, które wypełniają życie tutaj. - Pochyliła się nad Rita i, patrząc na nią z bardzo bliska, zapytała: Jakie zabezpieczenie możesz zaproponować?

- Zabezpieczenie, Królowo?

- Osobiste gwarancje.

- Żadne - odparła Rita, a jej serce zadrżało.

- Żadne w ogóle?

Rita odpowiedziała bardzo łagodnie, pełna nienawiści do siebie, niepokoju i niepewności: - Tylko moje życie, Hypselotes.

Kleopatra zaśmiała się. Wyprostowała się i chwyciwszy Ritę za rękę podniosła ją z krzesła, jak gdyby miały zatańczyć. - Jest w tobie, mimo wszystko, coś z dużej dziewczynki - powiedziała. - Czy możesz mi pokazać?

Rita pozwoliła sobie na jedno skinięcie głową.

- Zatem przynieś tutaj obojczyk i pokaż mi, tak jak robiła to twoja babka. Zawsze sprawiało mi to przyjemność.

Thistledown, Piąta Komora

Po trwającym trzydzieści jeden dni śledztwie Olmy podjął decyzję. Psychika jarta nie może być badana w bezpieczny sposób. Olmy wiedział za mało o systemie, w którym ją zmagazynowano, natomiast jart wyraźnie wiedział o nim wszystko.

Stał w drugim pokoju naprężając mięśnie szczęki. Kolorowy obraz psychiki nie zmienił się w istotny sposób od czasu, gdy Olmy zobaczył go po raz pierwszy. Łagodny, niezmienny, ponadczasowy, mógł wkrótce obudzić się i zacząć realizować swoje cele.

Olmy nigdy nie znalazł się w sytuacji, w której jego wewnętrzna istota byłaby narażona na uszkodzenie. Obawiał się nawet łączenia osobowości przez kochanków i przyjaciół, co zdarzało się już w czasach wojen z jartami. Ilekroć korzystał z rozrywek dostępnych w pamięci miejskiej, zawsze starannie chronił swoją psychikę przed ingerencją z zewnątrz.

Uważał to za słabość odtworzoną z części osobowości Korzeniowskiego. Na szczęście porozszczepiana psychika Inżyniera mogła wpłynąć tylko na jego myśli, ale nie na głębsze pokłady jaźni.

W pewnym sensie nie znosił intymnych kontaktów z ludźmi. Wysoko cenił swoją osobność. Nigdy nie uznał maksymy starego poety, że być samotnym, to być w złym towarzystwie. Olmy dobrze rozumiał swoją niechęć do bliskości; nie chciał poznać siebie do końca i nie chciał pozwolić na to innym. Cel, jakim było badanie swojej psychiki, nie wydawał mu się tak ponętny, jak innym.

Lecz by poznać jarta, najlepiej byłoby umieścić go w jakimś osobnym implancie wewnątrz siebie. Obawiał się, że jart może zapanować nad każdym urządzeniem, w którym zostanie zmagazynowany. Wewnątrz natomiast, mógłby go kontrolować cały czas, a w razie niebezpieczeństwa przenieść go do implantu pracującego w innym systemie. Miał trzy duże implanty pamięciowe. Jeden z nich miał tylko pięćdziesiąt lat, a dwa dodatkowe zamontował sobie, aby przenosić fragmenty osobowości Inżyniera; wszystkie miały konstrukcję Talsitu. Każdy mógł być dowolnie zmieniany, wyizolowany, badany z zewnątrz, a szansa niepożądanego wycieku informacji była znikoma.

Plan trzeba było przeprowadzić, nie było innego wyjścia.

Olmy po prostu chciał uniknąć tej oczywistości.

Jak wiele chciał poświęcić dla Ziemskiego Hexamonu? Swoją mentalność, swoją duszę? Gdyby jart zdołał w jakiś sposób pokonać wewnętrzne bariery i jak kwas przeżreć zapory, a potem przechytrzyć jego psychikę, o wiele więcej mogłoby zostać stracone.

Jart pozwolił się złapać.

Był koniem trojańskim.

Tego Olmy był pewien.

I był bliski wpuszczenia go za bramy swojej bezcennej cytadeli, własnego umysłu.

Gdyby zawiodły środki bezpieczeństwa, jart mógłby dokonać tego, co planował od początku. Stałby się szpiegiem, sabotażystą w ludzkiej postaci, wewnątrz Hexamonu. Zdobyłby władzę nad wszystkimi pamięciami Olmy'ego lub nawet, w najgorszym wypadku, przekonałby jego zniewoloną psychikę, że działa z własnej woli.

Implant hormonalny zapewniał jego ciału względną równowagę, ale nagle paroksyzmy strachu nie dały się wyeliminować. Olmy nigdy dotąd nie czuł takiego niepokoju o sukces swego

przedsięwzięcia.

Wrócił do pierwszego pokoju, tego, w którym zginęła Beni, i otworzył mały pojemnik ze sprzętem. Do panelu operacyjnego przymocował wentyl do przekazywania danych. Przy pomocy przewodów połączył jego gładką, okrągłą powierzchnię z opaską, która mogła przesuwac się wokół podstawy jego czaszki.

Przekaz danych mógł potrwać kilka godzin; sprzęt był bardzo stary. Wentyl miał za zadanie blokować każdą podejrzaną porcję danych. "Zaraz staniesz się bombą", powiedział do siebie. "Wyjątkowo niebezpieczny drań."

W pokoju panowała cisza, którą mąciło tylko dyskretne brzęczenie wentyla. Olmy myślał o krajobrazie piątej komory sześć kilometrów powyżej i o masie, z której zbudowany był Thistledown, jeszcze starszej niż wszystkie te urządzenia. Czuł ciężar historii i ciężar odpowiedzialności, który dźwigał przez większość swojego życia.

Gdyby miał umrzeć teraz, paść ofiarą nieznanego procesu lub niespodziewanej zmiany w ciele, wypełniłby swoje obowiązki wobec Hexamonu. Nie żałowałby, że przestaje istnieć. Korzeniowski, lub może ktoś inny, pokierowałiby Hexamonem w tym trudnym okresie.

Ponownie zbadał połączenia. Były bez zarzutu. Najpierw jednak musiał zadbać o bezpieczeństwo całego przedsięwzięcia. Zainstalował silne pole siłowe blisko drzwi, ustawiając dwa węzły po obu ich stronach. Węzły będą korzystać z ukrytych źródeł zasilania w pokoju. Jeśli naciśnie odpowiedni przycisk, zagwiżdże, mrugnie okiem zgodnie z kodem, pole uruchomi się... Nie było sposobu, by je wyłączyć lub uszkodzić, bo węzły znajdowały się w obrębie własnego pola.

On sam nie będzie mógł uciec. Nic wewnątrz niego nie będzie mogło uciec. Umrą w tym pokoju obaj.

Jeśli zajdzie taka potrzeba, Olmy zostanie w pokoju przez wiele tygodni, by przekonać się, że proces się powiodł. Zastawił na siebie wiele innych pułapek - w Aleksandrii, w piątej komorze koło stacji kolejowej, w trzeciej komorze. Jeśli coś się nie powiedzie w odludnym grobowcu jarta, wystarczy, że zbliży się do którejś z nich i uruchomi pole, a potem czeka go śmierć, chyba że ktoś go wcześniej odnajdzie.

Nikt jednak nie wiedział o jego planach ani o pułapkach.

Oprócz tego istniały pułapki w jego umyśle... Wnyki zastawione przez tę samą wewnętrzną część psychiki, która miała nadzorować psychikę jarta.

Jeśli Olmy straci kontrolę nad wszystkim i nie trafi sam do pułapki, psychika wpadnie w wewnętrzne wnyki, które natychmiast odpalą mały ładunek wybuchowy umieszczony w klatce piersiowej.

Zadowolony, że wszystko jest w porządku, podłączył raz jeszcze przewody i usiadł na podłodze naprzeciw wentyla w pozycji lotosu. Wyjął z torby buteleczkę z płynem odżywczym i podrzucił ją w powietrzu, mówiąc: - Beni. Mar Kellen. Bezimienni badacze. Niech Gwiazda, Los i Pneuma mają was w opiece. - Wypił zawartość buteleczki i odłożył ją na bok.

Potem sięgnął do wentyla i uruchomił go.

Dane zaczęły przepływać.

Gaia, Aleksandreia, Półwysep Lokhias

Wieczorem, po spotkaniu, Rita i królowa zasiadły razem do obiadu. W sali Ptolemeusza Opiekuna jadły jesiotra, soczewicę i owoce, siedząc przy marmurowym stole, podczas gdy służący stali za ich plecami. Za oknem słońce zachodziło ponad antyczną stolicą.

Kleopatra wyjaśniała niezwykle menu, gdy podawano kolejne potrawy. - To jest królewska ryba, przywieziona dopiero co z Farsy. To bezcenna ryba, garniowana własną ikłą. Soczewica to powszednia potrawa, bardzo zdrowa, podana z praśnym chlebem z kukurydzy z Południowego Kontynentu. Owoce to dar Gai dla biednych i bogatych. Mogą je jeść prości ludzie i władcy. - Podczas obiadu nie rozmawiały o bramie ani innych bieżących sprawach. - Podjęliśmy już dość decyzji dzisiaj - zawyrokowała Kleopatra.

Po obiedzie siwy szambelan o pomarszczonej, suchej twarzy zaprowadził Ritę do pomieszczenia bez okien na jednym z najniższych pięter królewskiego mieszkania, w północnym skrzydle pałacu.

- Czy ufasz mu? - zapytał szambelan tuż przed jej drzwiami, wskazując Lugotorixa.

- Tak - powiedziała Rita.

Szambelan przyjrzał mu się mrużąc oczy. - Skoro tak mówisz. - Na znak dany ręką zbliżył się służący czekający przy końcu korytarza. Gdy szambelan wymamrotał kilka słów po aigipsku, których Rita nie zrozumiała, służący pognął przed siebie co tchu. Po krótkiej chwili, którą wszyscy troje spędzili w kłopotliwym milczeniu, pojawił się tęgi mężczyzna o surowym wyrazie twarzy w skórzanym fartuchu i naramiennikach. Przyniósł ze sobą ioudajski pistolet maszynowy i kamizelkę kuloodporną.

- To pałacowy zbrojmistrz - wyjaśnił szambelan. Wziął broń z rąk zbrojmistrza i wręczył ją Keltowi, który przyjął dar z widocznym podziwem. Potem zbrojmistrz na polecenie szambelana wyjaśnił po helleńsku, jak się posługiwać bronią.

- Nosisz ochronną kamizelkę, a ona nie - powiedział - ponieważ powinieneś zawsze być między nią a napastnikiem. - Kelt przytaknął z uśmiechem.

Następny gest szambelana sprowadził dwu potężnych Aitiopczyków z drugiego końca korytarza. Kelt odruchowo uniósł broń, ale szambelan karcąco dotknął lufy palcem i pokręcił głową. - To ceremonia - wyjaśnił. - Musisz wstąpić do pałacowej gwardii.

Kelt przeszedł od razu inicjację i dokonał ceremonii mieszania krwi z Aitiopczykami. Sądząc z jego zaskoczonego wyrazu twarzy, ceremonia zrobiła na nim duże wrażenie. Rita okazywała mniej entuzjazmu; była zmęczona i zastanawiała się, dlaczego kazano jej uczestniczyć w tym wszystkim.

Wniesiono przenośne łóżko i ustawiono przed drzwiami jej sypialni. Szambelan dał znak i zbrojmistrz oraz dwaj gwardziści odeszli.

- Czy będzie ci tu wygodnie? - spytała Rita stojąc w drzwiach. Lugotorix dotknął łóżka ręką i wzdrygnął się.

- Jest zbyt miękkie, pani, ale nie stanie mi się tu krzywda.

- Co o tym wszystkim myślisz? - zapytała zniżając głos.

Kelt zastanowił się przez chwilę, marszcząc krzaczaste ciemnoblonde brwi. - Czy pojedziemy razem, czy zostanę tutaj?

- Pojedziesz ze mną. Mam nadzieję.

- A więc wszystko w porządku. - Wyraźnie nie miał ochoty mówić więcej. Rita zamknęła drzwi i obeszła pokój dookoła, starając się nie czuć uwięzioną. Wymyślne freski namalowane nad boazerią nie były w stanie powiększyć pokoju. Przedstawiały łowców hipopotamów i krokodyli nad jeziorem Mareotis i były bez wątpienia bardzo stare, pozbawione linearnej perspektywy - mogły mieć dwa tysiące lat. Rita podejrzewała, że mogłaby namalować takie same, choć nigdy nie studiowała rysunku zbyt gruntownie.

Przyjrzała się pięknym meblom zrobionym z hebanu, kości słoniowej, połyskującego srebra i mosiądzu, a potem spoczęła na materacu z piór. Nad nią rozciągał się jedwabny baldachim umocowany do sufitu. "Cóż, u diabła, ja tu robię?"

Zęby szczęknęły jej ze zmęczenia i zdenerwowania. Nagle przypomniała sobie o tabliczce, której nie oglądała od kilku dni. Czy może jest tam nowa wiadomość od babki? Wyjęła przyrząd z walizki i włączyła ekran.

"Moja droga wnuczko!

Jeśli spotkałaś królową, wiesz, że to bardzo bystra kobieta, twarda i umiejąca narzucić swoją wolę w niespokojnej Oikoumene. Jednak zginie niebawem - w sensie politycznym, zanim jeszcze jej ciało umrze. Oikoumene dostanie się pod rządy arystokratów, ludzi precyzyjnych i pozbawionych sentymentów. Już teraz oburzają ich jej nieprzewidywalne decyzje, oparte na intuicji a nie na kalkulacji. Dlatego musisz znaleźć i zbadać bramę, zanim królowa umrze lub zostanie pozbawiona tronu. Ona jest naszą ostatnią szansą. Żaden rozsądny polityk nie zgodzi się na taką wyprawę. Przed wszystkim żaden rozsądny człowiek nie uwierzy w istnienie bramy. Kleopatra wierzy, ponieważ bardzo potrzebny jest jej dreszcz emocji i niesamowitości, posmak wielkich wydarzeń w jej życiu wypełnionym przyziemnymi intrygami. Raz już ją rozczarowałam, ale pragnienie niezwykłości nadal jest w niej żywe. Nigdy nie bądź wobec niej arogancka. Ćwicz swą wrodzoną rozwagę. I strzeż się pokus pałacu. To niebezpieczne miejsce. Kleopatra żyje tam jak skorpion pośród węży."

Rita pomyślała o szambelanie, zbrojmistrzu, Aitiopczykach, o ceremonii, której była świadkiem. Nadal nie wydawało jej się to sensowne. Wyłączyła tabliczkę z głęboką wdzięcznością dla Sophie za jej przezorność. Lecz zęby wciąż jej drżały i trudno jej było zasnąć.

Przygotowywanie do wyprawy rozpoczęło następnego ranka w pełnej tajemnicy. Tempo prac było oszałamiające. Przez następne dwa dni królowa i jej doradcy ścigali się z czasem. Rita szybko została wtajemniczona w powody pośpiechu i dyskrecji.

Kleopatra miała kiedyś władzę nad wszelkimi pracami badawczymi i odkrywczymi w Oikoumene. Było to przed wieloma dziesięciolecciami, a korzenie jej królewskiej władzy sięgały czasów młodości, gdy otrzymała odpowiednie prerogatywy - nawet zanim jeszcze zmalowały wpływy Boule, a ona sama zapewniła Dynastii Ptolemejskiej potęgę i osłabiała zarazem arystokratów Aleksandrii i Kanopii.

- Twoja babka naraziła mnie na duże wydatki, gdy brama zmieniała miejsce i zniknęła - powiedziała Kleopatra uśmiechając się kwaśno. Otrząsnęła się i wykonała gest, jakby chciała odpędzić przeszłość. - Lecz arystoi mieli ostatnio całkiem sporo kłopotów. Rewolta farmerów i klerków, niepowodzenie spisku na Kypros... Ukrywają się od kilku miesięcy i dzięki temu mogą swobodnie oddychać. Pod warunkiem, że robię to w tajemnicy. Ale tajemnice nie trwają długo w Aleksandrii. Muszę wyekwipować wyprawę i wysłać w drogę w ciągu pięciu, może sześciu dni. W przeciwnym razie jest wysoce prawdopodobne, że Królewski Kanclerz Boule zdoła ją zatrzymać.

Kleopatra przedstawiła Ritę swemu zaufanemu doradcy, Oresiasowi. Był badaczem i ekspertem do spraw Nordyckiej Rhusi, a poza tym był szczerze oddany królowej. Oresias był wysoki i chudy, w

średnim wieku, miał siwe włosy i wydawał się bardzo silny. Przed wiekami mógłby być jednym z generałów Aleksandrosa. Z jego pomocą Rita, nie tracąc czasu, przygotowała listę rzeczy i ludzi potrzebnych podczas wyprawy. Z powodów może głębszych, niż tylko kaprys, umieściła na niej Demetriosa, którego wciąż nie zdążyła jeszcze poznać. Uznała, że towarzystwo innego matematyka sprawi jej przyjemność.

Oresias porozumiał się z kolejnym zaufanym doradcą, Jamalem Attą, niskim czarnowłosym generałem Sił Bezpieczeństwa Oikoumene, obecnie w stanie spoczynku. Jamal Atta miał berberyjskich przodków, lecz ubierał się w strój dawnych żołnierzy perskich. Obaj doradcy zastanawiali się, jakie trudności i niebezpieczeństwa mogą ich spotkać po wkroczeniu na nieprzyjazny teren.

Rita myślała o długiej podróży do Nordyckiej Rhusi bez niepokoju. Oresias rozłożył przed nią mapę na stole do kart w królewskiej sali gier. Gdy jego pokryty bliznami palec wędrował prawdopodobną trasą ich podróży, zastanawiał się, jakie motywy naprawdę kierowały królową. Czy intencje Patrikii i Kleopatry były szczerze?

Wyprawa była politycznym ryzykiem. Będę musieli kluczyć między licznymi strażnicami ustawionymi na przygranicznych terenach Nordyckiej Rhusi, pomiędzy Baktrą a Magyar Pontos. Sprzymierzone z Rhusią republiki Hunnoi i Uighurs, które znajdowały się na trasie wędrówki, znane były z dzielnych i bezlitosnych wojowników. Wkroczenie na ich teren mogło spowodować odwet w postaci ataku na terytorium Oikoumene lub nawet małą wojnę graniczną. Jamal Atta wspomniał o tym mimochodem, komentując plany Oresiasa.

Wyprawa będzie wyposażona w ioudajskie pojazdy podobne do pszczoły, poruszające się nad ziemią dzięki odrzutowym turbinom wyprodukowanym w Syrii. Atta trzymał w ręku kilka fotografii takiego pojazdu. Na szczycie znajdowało się lśniące wirujące ostrze, a osłony z przodu przypominały oczy owada.

- Nie umiem powiedzieć, jak bardzo okażą się wytrzymałe - oświadczył Atta niskim głosem przypominającym głos żaby, a jego twarz była bardziej wydłużona i ciemniejsza niż zwykle. - Możemy wziąć dwa z magazynów tajnej policji pałacowej. Mają zasięg pięciuset parasangów. Jeden parasang to, mniej więcej, trzysta szonów - długości liny. - Rita powiedziała, że zna się na wojskowych i perskich miarach. Jamal Atta uniósł brwi, wydał policzki i kontynuował: - Z bronią nie będziemy mieć problemów, nawet jeśli nie weźmiemy jej z pałacowej zbrojowni ani z fabryki broni w Memphis. Czarny rynek rozwija się bujnie w delcie. Chciałbym teraz dowiedzieć się, po co właściwie się tam wybieramy. Co zamierzamy zrobić, jeśli dotrzemy do celu naszych poszukiwań? - Atta i Oresias zostali wprowadzeni w niektóre szczegóły przedsięwzięcia, choć nie we wszystkie.

Rita wpatrywała się w mapę rozłożoną na stole. - Spróbujemy skorzystać z bramy - powiedziała.

- Dokąd nas ono zaprowadzi?

- Do miejsca zwanego Drogą. - Opisała im Drogę, lecz nie wydawali się przekonani i po chwili Atta zadał następne pytanie.

- Jeśli my możemy tam żyć, możemy spotkać tam i inne istoty. Czy będą z nami walczyć?

- Nie wiem - odparła Rita. - Mogą powitać nas przyjaźnie.

- Kim będą?

- Być może ludźmi, którzy stworzyli Drogę.

Atta był pełen obaw i wątpliwości. - Kimkolwiek by nie byli, będę bronić się przed obcymi na swoim terytorium. To wszystko nie wydaje mi się dobrze obmyślane. Narażamy się na duże niebezpieczeństwo. Czułbym się znacznie lepiej, mając ze sobą swoją armię.

- Oresias, przysłuchujący się z boku, zauważył: - Armia nie wchodzi w grę. Jeśli tak młoda dama gotowa jest wyruszyć na wyprawę, czy doświadczony strateg może się wahać?
- Atta uniósł ręce ku górze. - Macie rację, mogę się wahać. Lecz to Imperiał Hypselotes wydaje rozkazy. - Wpatrując się uważnie w Ritę, pytał dalej: - Jaką broń mogą mieć mieszkańcy Drogi?
- Na pewno nie będziemy mogli się przed nią ukryć - odpowiedziała Rita.
 - Co to znaczy?
 - Wiem od mojej babki, że możemy tylko marzyć, by mieć taką broń za sto lub tysiąc lat.
 - Czy to bogowie? - zapytał Atta ponuro.
 - Stary klerkhos na wsi myślałby, że to bogowie - powiedziała Rita. Po chwili zaczerwieniła się, bo zdała sobie sprawę, że posłużyła się przeciw strategowi taktyką królowej.
 - A co ma myśleć stary żołnierz, który ma nadzieję na zasłużoną emeryturę? - Atta nie poddawał się. - Stary żołnierz, który widział prawie wszystko na świecie, od Nea Karkhedon po afrykańskie kresy.
 - Nie widzieliśmy nic podobnego do Drogi - powiedziała Rita wpatrując się w niego nieruchomymi oczyma. Atta nie podjął tego wyzwania i zwrócił się do Oresiasa.
 - To cudowne - powiedział. - Jej Imperiał Hypselotes pragnie, abyśmy skończyli życie zjedzeni przez potwory albo spałem na popiół przez bogów.
 - Albo spotykając przyjaciół - dokończyła Rita, rozzłoszczona cynizmem stratega. - Przyjaciele mogą pomóc Oikoumene odzyskać utraconą chwałę.
 - Skarb w paszczy lwa - powiedział Oresias.
 - Chciałbym jednak dowiedzieć się czegoś więcej na temat ich mocnych i słabych stron... jeśli mają jakieś słabe strony - nalegał łagodnie Atta. - Mamy tylko kilka godzin, aby podjąć ostateczne decyzje. Stary koń potrzebuje pomocy, by udźwignąć ten ciężar.
 - Nigdy nie widziałam Drogi. Tylko o niej słyszałam - powiedziała Rita i nagle znów zaczęła się bać.
 - Proszę spróbować sobie przypomnieć. Każdy szczegół jest na wagę złota.

Thistledown, Piąta Komora

Jart spoczywał spokojnie w umyśle Olmy'ego, zapewne nieświadomy zachodzących zmian. Olmy leżał w drugim pokoju z zamkniętymi oczyma, sondując delikatnie swego nowego towarzysza. Był jak chirurg, który szuka najlepszego miejsca, by przeciąć skórę śpiącej, lecz nadal niebezpiecznej bestii.

Czuł wokół siebie masywne skały asteroidu, które nie zmieniły się od miliardów lat, niewrażliwe na upływ czasu, pierwotne, zbudowane ze związków węgla i wody, dzięki którym ludzie mogli tu przetrwać stulecia.

Spojrzał na pustą tablicę, na której pojawiały się wzory reprezentujące psychikę jarta. Teraz była pusta. Wszystkie informacje zostały już przekazane do implantu Olmy'ego.

Zaraz po rozpoczęciu sondowania Olmy odkrył, że jart wyposażony był w rodzaj warstwy komunikacyjnej czy interfejsu, który służył do tłumaczenia jego pojęć na pojęcia ludzkie i odwrotnie. Zapewne sam wytworzył sobie tę warstwę, odpowiadając na poczynania dawnych badaczy lub też, co mniej prawdopodobne, oni ją zainstalowali. Bez tej warstwy Olmy nie odebrałby żadnego zrozumiałego komunikatu, gdy Mar Kellen po raz pierwszy połączył go z systemem. Narzędzie przekładu było niedoskonałe, ale wystarczająco dobre, aby zacząć badania.

Upewniwszy się, że komunikacja jest możliwa, Olmy raz jeszcze sprawdził wszystkie zabezpieczenia. Umieścił jarta w jednym ze swoich implantów, częściowego reprezentanta swojej osoby w innym, a następnie oddzielił je od siebie wzmocnionymi barierami. Jego reprezentant prowadził wstępne badanie i donosił o osiągniętych wynikach.

Superszybkie operacje wykonywane przez implanty umożliwiły zakończenie wstępnych prac w ciągu dziesięciu minut od przekazania jarta. Reprezentant ocenił, że psychika jarta jest nieuszkodzona, to znaczy że jej podstawowe czynności przebiegają zgodnie z regułami inteligentnych zachowań. Nie uległy one fragmentacji. Czynności mniej istotne nie były tak dobrze zorganizowane, ale reprezentant postanowił chwilowo powstrzymać się od wydawania opinii.

Nigdy nie należy zakładać, że jakaś część bomby jest bezużyteczna, zanim nie zbada się i nie pozna mechanizmu działania całości.

W ciągu pierwszej godziny reprezentant Olmy'ego zlokalizował ślady doświadczeń w pamięci jarta. Pierwsze próby ich ożywienia zaniepokoiły stwór. Fragmenty jego psychiki nagle się obudziły z wielowiekowego snu i ponownie wygenerowały niespokojną kakofoniczną wiadomość: "Polecenie niejasne. Obecność arbitra poleceń. Niezdolny do zlokalizowania (jaźni?). Obrzydzenie."

Potem, na szczęście, jart znów zapadł w sen.

Odkryte wspomnienia nie były ani jasne, ani łatwe do przetłumaczenia. Narządy zmysłów jarta różniły się znacznie od ludzkich odpowiedników. Oczy były wrażliwe zarówno na światło, jak i na dźwięk. Łączyły oba rodzaje sygnałów w jednolite doznanie. Nie to było jednak głównym powodem trudności; algorytm odczytywania danych zmysłowych znany był od ponad stulecia. Zastanawiało go i niepokoiło zarazem (a dokładniej - jego reprezentanta), że osobiste doznania podlegały ogólnokulturowemu warunkowaniu. Prywatny punkt widzenia jarta był prawie zupełnie bez znaczenia. Wiele dowodów przemawiało za tym, że zachowywał się bardziej jak zdalnie sterowany czujnik, niż jak obdarzona własną wolą osoba.

Z drugiej strony, inne świadectwa zdawały się temu przeczyć. Jart miał silną, niezależną

procedurę motywacyjną, która w terminologii ludzkiej nazywałaby się ego. Były z nią skojarzone ogromne ilości społecznych i hierarchicznych reakcji, które zazębiały się z jego własną motywacją. Miał silną wolę, lecz w pewnych sytuacjach, gdy znajdował się w swym społecznym środowisku, stawał się skrajnie uległy i posłuszny, niemal pozbawiony woli. Nie dostrzegał przy tym żadnej sprzeczności między tymi stanami.

Nie było różnicy między posłuszeństwem a kierowaniem się własną wolą, choć Olmy nie miał wątpliwości, że jartowie nie byli wyposażeni w zbiorowy umysł; w każdym razie nie ten. Być może, miał wbudowaną symulację struktury społecznej, rodzaj urządzenia kontrolującego, czyli sumienie.

Przez pewien czas Olmy, który otrzymywał informacje przez pojedyncze łącze ze swoim reprezentantem, zastanawiał się, czy jest możliwe, by zmagazynował w sobie kilka odrębnych osobowości. Taka sprzeczność w czynnościach jednej psychiki była niedorzecznością.

Reprezentantowi udało się w końcu odnaleźć ciąg wspomnień, który mógł być przetłumaczony na ludzki język.

Jak można się było spodziewać, najbardziej wyraziste dotyczyły momentu schwytania potwora. Olmy zobaczył Drogę - płaską i pozbawioną kolorów - z wieloma jaskrawymi obiektami na pierwszym planie, uchwyconymi z niezwykłą dokładnością. Szczegóły zmieniały się tak często, że zaczynał wątpić, czy jego reprezentant nie popełnia błędów przy tłumaczeniu. Ten, przewidując jego reakcję, zapewnił, że błędów nie ma.

Jart spostrzegał świat z wielu niezależnych punktów widzenia, lecz nie tak, jak Picasso w okresie kubistycznym. Przetwarzał dane spostrzeżeniowe za pomocą różnych procedur.

Olmy zorientował się, a jego reprezentant potwierdził to domniemanie, że jart posługiwał się interpreterami sensorycznymi wytworzonymi przez inne gatunki i dostosowanymi do swej struktury pojęciowej. Dzięki temu posiadał wiele wizualnych "mózgów".

Gdy go chwymano, korzystał kolejno z różnych interpreterów, starając się odkryć, jakie widzenie świata było najbliższe jego wrogom, czyli ludziom.

Czy to wyjaśniało zagadkę ego i procedur motywacyjnych? Czy jart rzeczywiście wchłonął psychiki innych gatunków i posługiwał się nimi jak użytecznymi narzędziami?

Jak wiele inteligentnych istot i całych kultur pokonali jartowie? I co się z nimi potem stało?

Olmy przez całą godzinę starał się zrozumieć znaczenie wspomnień wizualnych. W końcu udało mu się odtworzyć w miarę przejrzystą historię jego schwytania.

Pierwszy poziom interpretacji (być może naturalny sposób widzenia jarta): "Wszystko jest czarne jak smoła i zimne, brak dźwięków. Pierwszy plan wypełniają gorące, hałaśliwe i szybko poruszające się przedmioty. To maszyny, ale jartowie nie budują takich (tu następuje obraz siania i wzrostu, podobny do rozwoju wirusa)."

Drugi poziom interpretacji sensorycznej (obcy?): "Tło wypełniają szczegóły, ostre, rozpraszające; pierwszy plan jest nieważny, pominięty. Ta procedura w ogóle nie widzi maszyn, a nawet bliskich obiektów."

(Czy ta procedura, zastanawiał się, została zaprojektowana w celu wzmocnienia lub uzupełnienia pozostałych? Nie mogła odgrywać ważnej roli w ramach całości.) Olmy bez trudu rozpoznał Drogę. Pola trakcyjne przecinały ogromne obszary, ozdabiając je fioletowymi i czerwonymi pasmami. "Niektóre pola rozpadają się na strzępy pod naporem penetrujących wiązek promieniowania. Wiązki przecinają się - jak poprzednio, procedura nie dostrzega maszyn."

(Dziwny defekt, myślał, spostrzeganie przypomina myślenie, a mimo to gatunek, od którego "pożyczono" sposób widzenia, nie miał pojęcia o technice.)

Trzeci poziom (podobny do pierwszego): "Zachowanie przedmiotów na pierwszym planie jest

dokładnie rozumiane na poziomie abstrakcji. Każda maszyna jest dokładnie opisana i nakreślona.”

Olmy rozpoznał wyprodukowane przez ludzi zbrojne penetratory (bezzałogowe, jeśli nie liczyć częściowych reprezentantów) i automatyczne niszczyciele, małe i wielkie, wszystkie jednakowo wstrętne i czarne, kipiące energią zabójczych pól. Wzdrygnął się. Zawsze nienawidził takiej broni. Była prosta, bezpośrednia i nic nie mogło się jej przeciwstawić. Automaty niszczyły wszystko, co znalazło się w zasięgu ich rażenia, rozbijały na atomy, zamieniały na promienie ciepłe i promienie gamma.

Jart spotkał się z nimi - i mimo to, przetrwał. Był na pierwszej linii w tym starciu, gdziekolwiek i kiedykolwiek miało ono miejsce; tam, gdzie ludzie wysyłali tylko automaty i reprezentantów osobowości.

Czy ten jart jest naturalnym organizmem czy sztucznym? Ludzie, którzy go schwytali, podejrzewali, że jego wygląd może nie być typowy dla całego gatunku. Dlaczego więc uwierzyli w jego psychikę?

Olmy skupił się na historii pojmania. Gdy pojawiło się więcej wspomnień, uporządkował je w kolejne zdarzenia. “Jart w małym pojeździe przenika pola trakcyjne, jak wałka przedostaje się przez ścianę trzciny. Powyżej fragment Drogi...” Najprawdopodobniej milion kilometrów spornego terytorium w 1.9 ex 9... “Jart i broń ludzi rozpoczynają zażartą bitwę. Sytuacja patowa, która utrzymuje się przez dłuższy czas. “

(Olmy nie wiedział, jak jartowie mierzyli czas.) “Pojazd jarta spotyka i niszczy liczne maszyny ziemian, przemierzając jałowe obszary Drogi. Spotyka niszczyciele, ale w jakiś sposób udaje mu się uniknąć starcia. Teraz jest już poza terytorium impasu, na terenach należących do ludzi, gdzie będzie próbował zniszczyć jakieś centrum dowodzenia - pojazd latający lub uzbrojoną fortecę. Ale oto zbliża się chmura penetratorów i pojazdów, których Olmy nie umiał rozpoznać. Jart zostaje schwytany w grubą warstwę pola trakcyjnego, które zgniata powierzchnię jego pojazdu. Maszyny rozpoznawcze i badawcze zamykają miejsce starcia w kokonie trakcyjnym. Schwytany spoczywa w środku, jak w kołysce. Światło ciemnieje na powierzchni ochronnej bariery w miarę, jak generatory jarta zaczynają słabnąć. Roboty, jak gigantyczne karaluchy, przenikają do wnętrza kokonu i neutralizują środowisko, wydobywając go spomiędzy urządzeń pojazdu. Jego ciało jest poważnie uszkodzone. Inny pojazd, prawie tak duży jak latające fortece, porusza się po powierzchni Drogi.”

...i tutaj obrazy rozmazują się i zanikają.

Olmy otworzył oczy. Misja jarta była beznadziejna; nigdy nie słyszał o organicznych formach, które znajdowałyby się w odpowiednikach penetratorów produkowanych przez jartów. Cała akcja była bardziej niż podejrzana - bez precedensu, dziwaczna.

Ludzie jednak połknęli przynętę i mieli nadzieję, a może nawet wierzyli, że wreszcie pojмали jarta.

Może tak właśnie było. Jartowie chcieli zrezygnować z korzyści, jakie dawała im niewiedza przeciwnika, i wysłali prawdziwego jarta, który jak koń trojański, miał spowodować zagładę miasta. Jeśli jednak tak było, dlaczego zabijał poprzednich badaczy od razu? Dlaczego otworzył brzuch konia, zanim zapadła noc i mieszkańcy Troi zasnęli?

Olmy zamknął oczy i starał się przypomnieć sobie ostatnie obrazy, jakie przesłał mu jego reprezentant. Były bardzo chaotyczne i trudno zrozumiałe.

Wraz z nimi dotarł do niego żrący zastrzyk substancji korozyjnej. Wycofał się natychmiast z jej zasięgu i przesłał całą sekwencję do trzeciego implantu, gdzie natychmiast ją odizolował od reszty swej psychiki.

Potem wyczyścił trzeci implant ze wszystkich danych.

Jart już nie spał.

Olmy czekał, aż jego reprezentant w drugim implancie dokona samoanalizy. Gdy nadeszła wiadomość, pierwszy ciąg znaków był poważnie uszkodzony. Reprezentant został zdemaskowany i zaatakowany.

Jart walczył. Środki ostrożności omal nie okazały się niewystarczające.

Ustawił kolejne barykady wokół odosobnionych implantów i przygotował kolejnego reprezentanta. Wysyłanie reprezentantów do nieznanego piekła było jak wysyłanie siebie - reprezentanci byli kopiami fragmentów własnej osobowości. Wewnątrz zaczęła się hormonalna burza; Olmy musiał zwalczać mdły, klaustrofobiczny lęk, który prawie opanował jego peryferyjne narządy.

Nie minęły jeszcze dwie godziny od przesłania jarta do jego umysłu.

Badanie nieuchronnie przerodzi się w starcie dwu inteligencji. Po wyczyszczeniu drugiego implantu i wysłaniu kolejnego reprezentanta Olmy czekał na wynik nowej serii testów. Mentalność jarta nie próbowała już dodawać bomb korozyjnych do danych ani niszczyć reprezentanta.

Obaj znali swoje możliwości.

Mimo ataku na pierwszego reprezentanta - Olmy był na taką ewentualność przygotowany - jart nie potrafił jeszcze uszkodzić podstawowego systemu implantów, w których był zmagazynowany. Olmy wierzył, że przeciwnik jeszcze go nie rozumiał, choć zapewne zorientował się, że sytuacja się zmieniła.

Środki ochronne okazały się wystarczające. Zadowolony ze swoich osiągnięć postanowił opuścić podziemny pokój i prowadzić dalej badania w czwartej komorze.

Ciasne pomieszczenie i zamknięcie między skalnymi zwałami kilometrowej grubości wywarły na nim przytłaczające wrażenie. Jednak nie był jeszcze gotów, by powrócić pomiędzy ludzi. Przed podjęciem takiego ryzyka trzeba było wykonać wiele testów.

Jeśli jart się obudził, znaczyło to, że nadszedł odpowiedni czas, by skonfrontować go z jakimś większym fragmentem ludzkiej rzeczywistości.

Gaia, Aleksandreia

Rita stała wewnątrz skalnego garażu wśród członków królewskiej wyprawy. Trzymała obojczyk w obu rękach i, zamknawszy oczy, koncentrowała się na wirującym globie. Kontynenty wirowały w jej umyśle, widziała dokładnie ich rzeźbę, choć wiele kształtów było dla niej zagadką. Niektóre fragmenty pojawiały się z niezwykłą wyrazistością, jakby dla podkreślenia swej wagi, inne były ledwie zarysowane lub tylko zaznaczone przerywanymi liniami. Obojczyk nie wyjawiał znaczenia tych różnic. Niektóre kontynenty i oceany były zabarwione na żółto lub czerwono. Dostrzegła ujście Nilos w Kanopii, a potem jej wewnętrzny zmysł wzroku uchwycił bramę. Na powierzchni globu zaznaczona była czerwonym krzyżem, który płonął na tle barwnego krajobrazu i zielonych traw. Krzyż o rozchylonych ramionach miał prowadzić do bramy, której istnienie wydawało się nieprawdopodobne.

Otworzyła oczy.

- Wciąż jest tam, gdzie przedtem - powiedziała. Oresias stanął przy niej. Z wahaniem ujęła go za rękę i poprowadziła ją do obojczyka. - Proszę zamknąć oczy - poleciła. Gdy opuścił powieki poczuła, że obraz wirującego globu wlewa się do jego umysłu. Oresias najpierw zeszytniał, zaskoczony niespodziewanym zjawiskiem, potem jednak pozwolił sobie na odprężenie. Po kilku sekundach otworzył oczy.

- Potwierdzam to - oświadczył. - Znamy nasz cel.

Kleopatra siedziała na przenośnym tronie umieszczonym na kamiennej platformie. Wszyscy odwrócili się ku niej. Wstała i uniosła dłoń ku górze. - Krew wojowników Aleksandrosa Jednoczącego, Aleksandrosa Zdobywcy, płynie w moich żyłach - uśmiechnęła się w szczególny sposób, który Rita widziała wielokrotnie. - Choć, co prawda, jest rozcieńczona krwią perską i nordycką. Niektórzy będą nazywać to królewskim kaprysem, pokrętnym pragnieniem starej królowej. Lecz czyż nie czujecie doniosłości tego dnia? Wasze odkrycia, których dokonacie daleko poza krajem i z którymi powrócicie, mogą przywrócić Oikoumene dawną świetność, rozpocząć okres ładu i dobrobytu, zamiast upadku i walk. Może szukamy talizmanu, asyryjskiego penisu lub neitycznych zaklęć. A może jesteśmy głupcami? Wierzę, że to znajdziecie i żałuję, że nie mogę dzielić z wami trudów i niebezpieczeństw wyprawy. - Mówiła tak przekonująco, że nikt, jak się Ricie wydawało, nie wątpił w jej słowa.

- Idźcie z bogami i duchami na przekór śmierci. Niech Apollo oświecła wam drogę. Kocham was, moje drogie dzieci, i zazdroszczę wam.

Na pociągłej i ponurej twarzy Jamala Atty załśniły łzy. Oresias zasalutował, unosząc dłoń z szeroko rozstawionymi palcami - było to pozdrowienie Aleksandrosa, stary znak przyjaźni. - Wrócimy, Moja Królowo - zawołał.

- Wrócimy - zawtórowali mu pozostali członkowie wyprawy.

Kleopatra skinęła głową i przyklękła przed nimi.

Rita poczuła rękę Oresiasa na ramieniu. Poprowadził ją do napędzanego parą ambulansu, przystosowanego do przewozu ciężkich ładunków i otworzył drzwi kabiny dla kierowcy. Siedem takich ambulansów miało przewieźć ekwipunek wyprawy z pałacowego garażu do aerodromu na zachodniej pustyni, za starą nekropolią. - Może to warte większego zachodu - zamruczał pod nosem, lecz raczej jak przyjaciel, niż oskarżyciel.

Jamal Atta wraz z wysokim czarnowłosym mężczyzną o czerstwej cerze wspięli się do ambulansu Rity i zajęli wyznaczone miejsca. Gdy pojazdy zaczęły toczyć się w kierunku wyjścia z garażu, doradca wojskowy przedstawił młodego człowieka. - Oto pani zaginiony didaskalos, jeśli dobrze pamiętam sytuację - powiedział Atta. - Właśnie powrócił z wygnania, na które wysłał go Kallimakhos. Demetriosie, oto pańska cierpliwa i nieustraszona studentka, Rita Berenika Vaskayza. Prosiła o pański udział w wyprawie.

Demetrios zwrócił ku Ricie swą dobrotliwą twarz. W jego uśmiechu mieszała się nieśmiałość i pewność siebie, co zaniepokoiło Ritę. - To zaszczyt dla mnie powiedział.

- Dla mnie również. Mam nadzieję... że udział w wyprawie nie był przyczyną wielkich kłopotów. W końcu ja jestem ich powodem.

- Nieco irytacji, nic więcej - odparł Demetrios. - Wciąż nie wiem, do czego mogę się przydać. Wyprawa będzie długa, a królowa powiedziała mi tylko, że będę potrzebny. Nie wiem, do czego.

- Jest pan mekhanikosem pełnym śmiałych pomysłów - wyjaśnił Oresias. - Jej Imperiał Hyselotes spodziewa się, że znajdziemy tam prawdziwe cuda, które będzie pan umiał wyjaśnić, jeśli panna Vaskayza nie będzie umiała.

- Mówiliśmy o cudach. Przyznam się, że niewiele z tego rozumiem. Szukamy, jak sądzę, bramy, przez którą sophe przybyła do tego świata?

- Być może - powiedziała Rita.

- To byłby cud nad cuda, czyż nie tak? - Potrząsnął głową i zerknął na pudło zawierające obojczyk. - Czy to jeden z Przedmiotów?

Rita przytaknęła. Demetrios miał rysy tubylca z Nea Karkhedon, choć jego skóra miała jaśniejszy oliwkowy odcień. Miał zapewne, domieszkę krwi latyńskiej, a może aigipskiej.

- Proszę wybaczyć moją ciekawość - powiedział. - Mekhanikoi w mojej pracowni uczyli mnie o Przedmiotach sophe od dawna. Widzieć jeden z nich... - Wydawało się, że będzie chciał ich dotknąć, lecz Oresias dyskretnie potrząsnął głową.

- Miło mi panią poznać - Demetrios zakończył rozmowę uśmiechając się do Rity. Przyjrzała się pobieżnie pozostałym mężczyznom w ambulansie. Była jedyną kobietą w tym pojeździe. W wyprawie, oprócz niej, brały udział tylko dwie inne kobiety. Miała nadzieję, że będzie ich więcej, lecz nawet pod rządami Kleopatry stosunek do kobiet był w Aleksandrii inny niż na Rodos.

Ambulansy przejechały o świcie krętymi drogami przez Brukheion i Neapolis, mijając kilku straganiarzy i rybaków idących pieszo lub jadących na osłach. Powietrze było suche i rześkie, czystsze niż przez ostatnich kilka dni. To był dobry znak. Aleksandria była sławna z czystego powietrza, dopóki nie zanieczyściły go fabryki wybudowane w delcie.

Przejechali przez Neapolis i dzielnicę aigipską - gdzie droga prowadziła ponad cuchnącymi slumsami po wiadukcie wspartym na betonowych filarach - i wjechali na teren starej nekropolii, pokryty nagrobkami z wapienia, czerwono-szarego granitu i marmuru. Nie próbowano ich zatrzymać na rogatkach - królowa wciąż cieszyła się autorytetem wśród policji.

Słońce było już wysoko, gdy przejeżdżali przez miasto umarłych. Wiele stuleci temu biedacy wprowadzili się do nekropolii. Osiedlali się przy grobach rodzin, tworząc jedyną w swoim rodzaju wspólnotę ludzi wykolejonych i agresywnych. Policji udało się osiągnąć tylko tyle, że nekropolia nie rozszerzyła się na Neapolis. Dzielnica aigipska między nimi pełniła rolę bufora. Na szczęście kawalkada pojazdów nie napotkała żadnych przeszkód jadąc wyboistymi drogami pomiędzy grobami.

Królowa zdołała swoimi wpływami zapewnić im bezpieczeństwo także tutaj.

Za ostatnimi skupiskami grobów zaczynała się wojskowa autostrada. Na tle piasków i traw wydawała się fatamorganą. Pojazdy podążyły w kierunku aerodromu odległego o dalszych dziesięć

szonów. Gdy dojechali, pora nie była już zbyt wczesna. Rita czuła zapach nafty i ropy w powietrzu. Słysząc było ciągły warkot myśliwców i bombowców, które wyruszały patrolować libijską granicę. Nie widziała jednak wiele przez plastikowe okna ambulansu, gdyż byli odwróceny tyłem do aerodromu.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Oresias, wstając i prostując kolana. Demetrios stanął obok niego, wciąż niepewny swojej roli.

Ambulansy zatrzymały się na podjeździe przed czworokątnym budynkiem. Gdy wysiedli, Rita zobaczyła po prawej stronie długi rząd myśliwców, które składały się prawie wyłącznie ze skrzydeł, i spiczasto zakończonych bombowców ze znakami prowincji loudei i syryjskiej Antiokhei. Za nimi ciągnęła się zachodnia pustynia, jakby wstęga kremu ponad białymi pasami betonu i czarnymi - asfaltu. Jakiś myśliwiec przejechał z wyciem po pasie startowym niewiele ponad sto stóp od ambulansów. Rita przełożyła pudło z obojczykiem do drugiej ręki i zasłoniła sobie ucho dłonią.

Gdy obeszła ambulansy dookoła, zobaczyła dwa śmigłowce przycupnięte na pasie startowym. Były pokryte maskującą mozaiką brązowych, czarnych i białych plam. W porównaniu z myśliwcami wydawały się brzydkie i niezgrabne. Ich długie poziome śmigła opadały na końcach, a kadłuby zakończone były na przedzie małymi kabinami, w których z trudem mógł się zmieścić pilot. Kilku mężczyzn w białoczerwonych kombinezonach lotniczych stało obok nich obserwując wyładunek sprzętu z ambulansów.

Kelt i mały oddział gwardii pałacowej, którzy mieli zapewnić Ricie bezpieczeństwo, właśnie wysiadali z jednego z ambulansów.

Rita stłumiła nagle pragnienie, by cisnąć obojczyk na ziemię i uciec przed siebie na pustynię.

Świszczący wiatr pędził małe chmury piasku po asfalcie, rozsypując ziarenka u jej stóp. Spojrzała na błyszczące słońce osłaniając oczy dłonią.

Dzień nadawał się doskonale by rozpocząć lot. Obawiała się, że może być inaczej. W myślach wróciła na chwilę do sanktuarium Athene Lindia, jego kamiennych stopni rozgrzanych upalnym słońcem i błękitnej wody w kolorze lapisu.

- Czas wsiadać - powiedział Oresias. - Demetriosie, proszę towarzyszyć swojej studentce.

Demetrios podał jej rękę, lecz Rita nie przyjęła tego gestu i poszła przodem, a jej chód i postawa wyrażały najwyższe zdecydowanie.

- Nasza maszyna stoi po prawej - pouczył Oresias.

Oslonił oczy i spojrzał w kierunku niskich budynków pośród piaszczystych wzgórz po drugiej stronie lotniska. - Czy ktoś ma nas powitać? - zapytał. Rita podążyła wzrokiem za jego palcem. Z odległości pół parasangu zbliżała się kolumna samochodów.

- Nie - powiedział Atta w napięciu. - Mamy tę część lotniska dla siebie.

- Więc lepiej się pospieszmy.

Demetrios szedł zaraz za nią, jak osobisty strażnik. Gwardia pałacowa i Kelt przyłączyli się do nich przed wejściem do śmigłowca. Atta co chwila przeklinał pod nosem, spoglądając na przemian na ludzi, na stopy ekwipunku, który trzeba było jeszcze zapakować i na zbliżające się samochody.

Oresias zapukał w plastikową kabinę i kybernetes otworzył małe okienko. - Niech ta maszyna wystartuje pierwsza, jeśli będzie trzeba uciekać. Przede wszystkim ona musi być bezpieczna, jeśli mają nas zatrzymać

- Ktoś wzywa nas przez radio - powiedział kybernetes.

- Kontakt radiowy nie był przewidziany - odpowiedział ostro Oresias.

- A więc chyba nie spodziewają się odpowiedzi - zauważył spokojnie kybernetes. - Wszyscy muszą wsiąść na dwie minuty przed startem. Muszę mieć czas na rozpędzenie śmigieł. - Zniknął za

zatrzaśniętym oknem.

Rita zajęła miejsce wewnątrz wąskiego kadłub u. Była to mała ławeczka wyściełana poduszką, oparta na dwóch metalowych drążkach. Demetrios podał jej pudło z tabliczką i pomógł umieścić obojczyk na siatce przymocowanej do ściany nad głową. Ryk silnika nad nimi był nie do wytrzymania. Ktoś z załogi wręczył im ochronne słuchawki i polecił zapiąć pasy.

Na zewnątrz kończono w pośpiechu pakowanie sprzętu do drugiego śmigłowca. Kierowcy ambulansów wrócili do pojazdów i kierowali się w stronę wojskowej autostrady. Rita zastanawiała się, co by się stało, gdyby ich złapano. Dlaczego sprawy znów się skomplikowały? I czy rzeczywiście się skomplikowały?

Położyła dłonie na słuchawkach i zamknęła oczy. Nigdy przedtem nie leciała samolotem.

Gdy Oresias dotknął jej ramienia, uniosła powieki. "Lecimy", powiedział samymi ruchami warg. Spojrzała w kwadratowe okienko pomiędzy nimi i zobaczyła oddalające się kadłuby samolotów na płycie lotniska. Huk i wibracje były tak wielkie, że ciało jej drżało jak galareta. Bardzo potrzebowała iść do toalety. Zacisnęła zęby.

Dwa śmigłowce leciały wolno nad betonowymi pasami w kierunku północy nabierając wysokości i prędkości. Nie widziała, co robili żołnierze z samochodów, które pewnie już dojechały do miejsca startu. Miała nadzieję, że nie strzelali.

Demetrios siedzący obok Kelta uśmiechnął się, choć twarz miał szarą i napiętą. Rita zamknęła ponownie oczy.

Wiedziała, że nigdy już nie zobaczy Rodos ani Rhamon, ani sanktuarium Athene Lindia. Była tego pewna.

Po raz pierwszy dostrzegła podobieństwo między podróżą babki a jej własną. Była również młoda, tylko kilka lat starsza od Rity. Nie odleciała po prostu z domu, lecz rakiety uniosły ją w przestrzeń, daleko od Gai - od Ziemi.

Kto był odpowiedzialny? Co mogła zrobić, by uniknąć nieszczęścia? Rita modliła się, przypominając sobie spokój, z jakim siadywała w cieniu sanktuarium Athene, i na chwilę powróciła tam znowu, do posągu Athene, który wznosił się nad nią w drewnianym baraku.

Nagle śmigłowiec przechylił się gwałtownie i Rita zobaczyła przez okno lśniąca taflę oceanu - wprost pod nią, kilkaset a może kilka tysięcy stóp w dole.

- Zakręcamy na wschód - Oresias krzyknął jej do ucha. - Udało nam się uciec nikt nas nie śledzi.

- Do czego będziemy wracać? - krzyknął Atta. Nawet mimo hałasu dało się usłyszeć w jego głosie głębokie niezadowolenie i obawę. Machał ręką i potarł skronie czubkami palców. - Co się zepsuło?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Zgodnie z planem lecieli z wyłączonym radiem, trzymając się w odległości kilku parasangów od brzegu.

Napięcie w pęcherzu stało się zbyt silne. Rita pochyliła się do przodu dając Oresiasowi znak, by zdjął słuchawki i powiedziała coś cichym głosem. Nie usłyszał jej.

- Muszę iść do toalety - krzyknęła. Podróżnik uniósł brwi i wskazał tył kabiny, gdzie jeden z członków załogi właśnie siusiał do metalowego kanistra. - Jest zasłonka.

Rita skinęła głową. Nie była zbyt zakłopotana - jak można się było spodziewać po gynardos - tak Patrikia nazywała urwisów. Gdy skończyła, zgodnie z instrukcją na kanistrze, wylała zawartość przez dziurę w podłodze. Z pewnością rozpyli się ponad oceanem, jak jej osobisty deszcz.

Z czasem przyzwyczała się do hałasu. Jadła orzechy i suszone owoce z pudełka, popijała rozcieńczonym winem. Jeden z lotników podał wszystkim torebkę z olejem z oliwek, mówiąc: - Na zdrowie. Pijcie do dna.

Rita upewniła się, że obojczyk spoczywał bezpiecznie nad jej głową. Wmawiała sobie, że wyprawa się rozpoczęła i nie czas na żale, lecz właśnie teraz była rozzalona.

Po godzinie nastrój zaczął się zmieniać. Przyzwyczała się do kołysania i ciągłych podskoków, na które żywo reagował jej żołądek. Podniecał ją widok z okna na czyste, bezchmurne masy powietrza nad brzegiem i dalej, na mglisty smog ponad deltą. Słuchała, jak Oresias i Atta planują dalszą trasę z kybernetesem. Z tyłu, i nieco na prawo, leciał drugi śmigłowiec.

Kelt i członkowie gwardii pałacowej przyjmowali wszystko ze stoickim spokojem. Rita podejrzewała, że toczyła się między nimi rywalizacja, kto pierwszy podda się i zacznie się bać.

Demetrios nie był już szary na twarzy, choć i nie bardziej szczęśliwy. Zapukała w jedną z jego słuchawek aby odsłonił ucho.

- Zróbmy konkurs - powiedziała przekornie.

- Jaki konkurs? - odkrzyknął.

- Kto pierwszy będzie wystraszony, zemdlony albo przygnębiony, przegrywa. - Uśmiechnęła się do Kelta, który odpowiedział tym samym. - Gramy?

- Gramy - odparł Demetrios z uśmiechem. - Ja już przegrałem - dodał ponuro.

- Zaczynamy od nowa. Trzeba się wziąć w garść.

Atta spojrział na nich z nieskrywaną dezaprobatą.

- Gdzie jesteśmy - zapytała go Rita, pochylając się ku trzem naradzającym się mężczyznom. Jej radość i odwaga zdawały się nie mieć granic.

- Na zachód od Gazy - powiedział Oresias. - Mamy dobre tempo. Poruszamy się po szlaku Aleksandrosa. Zatrzymamy się w Damasce, aby nabrać paliwa, potem w Bagdade, a potem w Raki, poniżej Morza Kaspijskiego, gdzie będzie nam towarzyszył latający tankowiec. Zatankujemy w powietrzu nad Republiką Hunnos i w ciągu dwu godzin osiągniemy step. Mam nadzieję, że sprzymierzone z nami prowincje wypełnią obietnice złożone królowej.

Dźwięk silników oznaczał teraz dla Rity bezpieczeństwo. Zdrzemnęła się przez godzinę i przyśniły jej piaszczyste krainy. Obudziła się, gdy przelecieli na loudeią i zbliżali do Damaske. W dole, piaszczyste i skalne łańcuchy górskie wyglądały jak wypieki z ciasta świeżo wyjęte z pieca. Karawany poruszające się po ziemi potrzebowałyby tygodni na przebycie pustyni i gór, umierając z pragnienia byłyby skazane na szukanie wody w dawnych studniach... To dopiero były romantyczne historie.

Pokonywanie przestrzeni, jak robią to boskie ptaki, było nierzeczywistym doświadczeniem.

Na pustyni przypominającej ciasto na podwieczorek, pojawiła się w oddali zielona kępka, rozlana na piasku jak farba. Rita wyczuła Damaske, zanim jeszcze mogła go dojrzeć. Był to zapach wody, życia i zieleni, który kazał jej podnieść głowę i węszyć, szukając czegoś więcej. Demetrios i Oresias zajęci byli planowaniem trasy; mekhanikos starał się nadrobić zaległości. Rita zastanowiła się, jakby się czuła, gdyby jechała na czyjś rozkaz, tak jak on. "Ależ ja też dostałam polecenie", przypomniała sobie. "Moja babka wybrała mnie." Uwolniła się z krępujących pasów i wyjrzała przez oko.

Damaske uznawało się za najstarsze miasto świata. Wykopaliska w Jerychu w ubiegłym wieku poddały to twierdzenie w wątpliwość, ale Jerycho było dużo mniejszą wspólnotą, niewiele większą od osady. Damaske było słusznie uważane za miasto tysiąclecia. Było największym ośrodkiem handlowym w Syrii, otoczonym ogrodami i polami. W żydowskiej i horiańskiej dzielnicy wznosiły się zikkuraty ze szkła, stali i kamienia. Nad południową, częścią miasta górowała potężna perska forteca. Na południe od niej znajdował się międzynarodowy, cywilny aerodrom El Zarra.

Atta wrócił z kabiny kybernetesa i powiedział, że wkrótce będą lądować na przedmieściu El

Zarra, by nabrać paliwa. - Mam nadzieję, że zdobędę tam jakieś wiadomości. Jeśli z kimś uda mi się dogadać - dodał ponurym głosem.

Śmigłowce zniżyły lot i zbliżyły się do aerodromu tuż nad czubkami drzew. Rita poczuła daktyle i dym palonego wielbłądziego nawozu; mimo zdenerwowania uśmiechnęła się. Nigdy nie była w miejscu podobnym do tego. Jeśli przeżyje, będzie kobietą, która zwiedziła świat.

Śmigłowiec wylądował w rogu aerodromu niedaleko kilku cystern z paliwem. Zmęczeni i zakurzeni mężczyźni zbliżyli się do nich ciągnąc długie węże w kolorze piasku. Poczekali, aż śmigła przestaną się obracać i zbliżyli się do kadłubów. Oresias z rozmachem otworzył drzwi i zeskoczył na ziemię, za nim podążali Atta, gwardziści i Demetrios. Kelt wziął głęboki oddech i potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić złe sny.

Atta rozmawiał z najbliższym stojącym pracownikiem naziemnym, który dość niechętnie odpowiadał na pytania, zajęty przymocowywaniem węża i pompowaniem paliwa. Atta przespacerował się kawałek dalej i z większym powodzeniem rozpoczął pogawędkę z kierowcą cysterny. Gdy wrócił, wyglądał na jeszcze bardziej przygnębionego, niż w czasie lotu.

Rita stała obok mekhanikosa i przysłuchiwała się jego relacji. - Nie ma łączności z Aleksandrią. Dostaniemy paliwo, ale nie mapy lotnicze stepów. Pracownik Syryjskiego Centrum Kartograficznego, który miał je przygotować, w ogóle się nie pojawił.

- Co to znaczy - nie ma łączności? - zapytał Oresias.

- Właśnie to. Nie ma łączności radiowej ani telefonicznej. Żadnej, według kierowcy. On sam jest oficerem. Rozmawiał z pilotami lądującymi na aerodromie. W Aleksandrii zawieszono wszystkie loty. Tylko my wylecieliśmy stamtąd dzisiaj.

Oresias tarł rękę palcami drugiej i wyłamywał palce. - Coś złego się wydarzyło.

Demetrios zmrużył szelmowsko oczy. - Ale co...

- Zostaliśmy zlekceważeni - powiedział Atta. - Dostajemy paliwo, ale władza w Damasce ograniczyła pomoc. To znaczy, że prośba królowej liczy się tu mniej niż dawniej...

Skóra na nadgarstku Oresiasa była już czerwona od tarcia. - Cios wymierzony w pałac?

Atta rozłożył ręce, nie chcąc zgadywać. - Mamy misję do wypełnienia. Ale dzieje się coś złego. Musiało się zacząć tuż przed wyjazdem. Nie możemy nawiązać łączności, podróż do miasta zajęłaby, co najmniej, godzinę. Tyle samo wysłanie depeszy z aerodromu. - Wzruszył ramionami. - Musimy lecieć dalej.

Rita wpatrywała się w przysadzisty zikkurat w oddali. Nie bała się, choć powinna. Atmosfera przeplatającego się znużenia i podniecenia trzymał ją w napięciu jak narkotyk.

- Sprawdźmy na obojczyku, czy nasz cel się nie przemieścił - powiedział łagodnie Oresias, gdy wrócili na pokład.

Zdjęła pudło z siatki, otworzyła je i dotknęła lśniącego rurki palcem. Jaskrawo świecący świat zawirował przed nią. Krzyż znajdował się w tym samym miejscu.

- Bez zmian - potwierdziła. Oresias przypiął się pasami do siedzenia i oparł się wygodnie zamykając oczy.

Po kilku minutach paliwo było zatankowane i śmigłowce stały gotowe do lotu. Atta wrócił na pokład ostatni i ze złością zatrzęsł drzwi. - A gdzie latający tankowiec? - mruczał pod nosem. - A co z naszym powrotem?

Thistledown

Olmy odbył godzinny marsz do stacji kolejowej w piątej komorze, a następnie udał się pociągiem do komory czwartej. Pojazd minął rozległe rozlewisko połyskującej, srebrnej wody i dowiózł go stacji wypoczynkowej na Wyspie Północnej, w pobliżu północnej czapy. Starając się unikać innych wędrowców wynajął traktor, przejechał nim dziesięć kilometrów do miejsca, gdzie rozpoczął się szlak i wszedł w gęstym iglasty las.

W implantowej pamięci, odizolowanej od pierwotnej osobowości, nowo utworzony reprezentant ostrożnie badał osobowość jarta.

Trzy godziny później stał pod tysiącletnią sekwoją. Od strony osi asteroidu napływała delikatna mgła, a stopy zapadały się w igliwiu.

Odosobnienie i pogrążenie w abstrakcji, które odczuwał dawniej, gdy studiował psychiki pozaludzkie, były niczym w porównaniu z obecnym poczuciem wewnętrznej obcości. Myślał o Tapim, który pewnie teraz przygotowuje się do egzaminu. Nie zobaczą się zbyt szybko; jeśli w ogóle kiedyś to nastąpi. Myślał też o Suli Ram Kikurze. Ich drogi może nigdy się nie skrzyżują.

Czuł grubość sekwoi, twardość jej kory i zastanawiał się, czy powinien czuć pokrewieństwo ze starym drzewem. W gruncie rzeczy nie czuł pokrewieństwa z niczym, nawet z ludźmi, i to go niepokoiło. Zachodziła możliwość, że wszczepione regulatory nie działają dobrze i równowaga jego umysłu uległa zachwianiu. Aby się upewnić, poddał testowi swój podstawowy umysł i regulatory implantu.

Wynik nie świadczył o niczym niepokojącym.

Wyłącznie silny stres i niebezpieczeństwo.

Wszystkie drzewa przetrwały zaburzenia rotacji po Odłączeniu. Nie zniszczyła ich nieważkość, utrzymująca się przez jakiś czas, ani powodzie, zmiany klimatu, lata opuszczenia; były teraz w świetnym stanie. Dlaczego ich przykład nie dodawał mu otuchy? “Dlaczego w ogóle nic nie odczuwam?”

W przewidzianym czasie nadszedł raport z głębi psychiki. Reprezentant nadesłał wiadomość, że penetracja kulturowych i osobistych wspomnień jarta zakończyła się sukcesem. Ponadto reprezentant i jart wymienili “uprzejme pozdrowienia”.

Olmy usiadł wygodnie pod drzewem i odetchnął głęboko. Dialog został nawiązany o wiele wcześniej, niż się spodziewał. Jart widział w tej chwili jakąś korzyść ze współpracy. Być może wkrótce uda się dowiedzieć, w jakim stopniu badana osobowość jest autentyczna, a w jakim jest sztucznym wytworem; jart z pewnością nie ułatwi tego zadania, podając dobrowolnie tę informację. Ostatecznie jednak może uniemożliwić jakąkolwiek komunikację... i Olmy wciąż nie miał pojęcia, jak wygląda psychika potwora, do czego jest zdolna, a do czego nie.

Gdy reprezentant przesłał wyniki poszukiwań, Olmy usiadł z zamkniętymi oczyma i zobaczył jednocześnie starodawny las i... “Wielki pojazd jarta w kształcie pryzmy poruszający się majestatycznie ponad skolonizowanym fragmentem Drogi” (ponownie z wielu punktów widzenia, lecz mniej rozbieżnych niż poprzednio), wirujące chmury maszyn i pojazdów towarzyszących, podobnych do mgły, które poruszają się pomiędzy pojazdem i szerokimi zakrzywionymi rampami u podłoża Drogi.”

Przeglądając ponownie wspomnienia Olmy ze zdziwieniem dostrzegł odwrócony obraz jakiejś

planety. Starał się to bezskutecznie zinterpretować. Zdawało się, że bramy w Drodze, nadzorowane przez jartów, nie były okrągłe, lecz miały kształt podłużnych rozcięć długich na kilka kilometrów. Oczywiście, nadal istniała możliwość, że wszystkie obrazy były sfabrykowane w celu wprowadzenia badacza w błąd. Należało zapytać Korzeniowskiego, czy możliwe są wydłużone bramy w Drodze. Nawet jeśli odpowiedź będzie twierdząca, szczegóły wspomnień mogły być zniekształcone...

Inne wspomnienie: “Łączenie się z innymi organizmami” (jartów? podległych im istot?) W gęstym zielonym płynie, małe srebrne robaki pływają między nimi, czasem owijając się wokół osobników lub wczepiając w fałdy ciała. Niektóre podobne były do jarta z piątej komory, inne były płaskimi, białymi dywanami w cętki z falującymi frędzlami i przemieszczały się w płynie. Były też trójnożne rozgwiazdy symetryczne z giętkimi czułkami i palcami na końcach każdego ramienia i grubymi, bezkształtnymi wypustkami wyrastającymi z bezbarwnych tub...” Wszystkie wydawały się pochodzić z odległego, przypominającego senny koszmar morza u dołu Drogi i zachowywały się w niezrozumiały sposób.

Pozostało jeszcze wiele innych obrazów do przejrzania, lecz Olmy był przytłoczony dotychczasowymi przeżyciami i odłożył to na później. Zmagazynował je w pamięci i zajął się wymianą “uprzejmych pozdrowień”.

Reprezentant: (Odtwarza wspomnienia z pojmania jarta i sygnał jego przebudzenia.)

Jart: Jestem poza zasięgiem obowiązku? Gdzie jest etykieta wykonawcy obowiązku?

Reprezentant: Jesteś “poza zasięgiem” czegokolwiek.

Jart: Jaki jest status ojca\brata? Czy to komunikat od nadzoru komendantów?

Reprezentant: “Status ojca\brata” nieznany. Nie ma nadzoru komendantów. Jesteś schwyty i poddany badaniu.

Jart: Uznaję osobisty status jeńca.

Reprezentant wystąpił następnie długą listę pytań, które były teraz przetwarzane. Przynajmniej na razie jakieś złudzenie postępu badań.

Reprezentant przesłał następną wiadomość:

Jart: Współpraca i przekazanie informacji o statusie? Zastąpienie nadzoru komendantów i dyspozycji?

To brzmiało jak rodzaj poddania. Olmy zaznaczył frazy “wykonawca obowiązku”, “nadzór komendantów” i “zasięg obowiązku”, zastanawiając się, czy odnosiły się do poziomów społeczeństwa jartów. Reprezentant zaakceptował warunki podane przez jarta do dalszych wyjaśnień. Granice i metody powstawały teraz za wzniesionymi barykadami, które nieprędko znikną.

Olmy zanurzył rękę w igliwiu i zapatrzył się w gałęzie starego drzewa. Wszystkie mechanizmy obronne były w pogotowiu. Nie można było wykluczyć, że jart przygotowuje jakiś podstęp.

Z niejasnych przyczyn Olmy nie sądził, by wszystko było aż tak proste. Jartowi nie udało się zabić go ani natychmiast podporządkować, więc zmienił taktykę. Olmy nie miał pojęcia, dokąd miało to doprowadzić.

Ale szczegółowe badanie już się rozpoczęło.

Gaia

Bagdade stopniowo podnosił się z min pod panowaniem mezopotamskich Nekhemitów. Dwadzieścia lat temu wyruszyli oni na podbój zachodu i pustoszyli miasta, zorganizowani w zmechanizowane hordy, gdy Oikoumene była zajęta jedną z niekończących się wojen z libijskimi najeźdźcami. Nekhemici nie potrafili zapanować nad własnymi, wyczerpanymi, lecz mimo to bardzo sprawnymi wojskami, te zaś pobożnie mordowały w imieniu swego wymagającego boga bez twarzy. Następnie zwrócili się do Kleopatry, jednej z nielicznych królowych na Gai, z prośbą, by została "narzeczoną Nekhema". Prośba była absurdalna, a ponadto tak korzystna, że nie można było jej odrzucić. Od tamtego czasu Jej imperiał Hypselotes była obiektem kultu w Bagdade, a pieniądze i pomoc techniczna z Oikoumene płynęły do starożytnego miasta. W zamian za to Nekhemici strzegli granic z Republiką Hunnos i Nordycką Rhusią.

Jamal Atta nie spodziewał się tu większych kłopotów. Rzeczywiście, gdy po trzech godzinach lotu wylądowali na aerodromie w Bagdade, odziani na czerwono mechanicy w turbanach zaopatrzyli ich w paliwo oraz mapy terytoriów kazakhskich, kirghiskich i uzbekskich w Nordyckiej Rhusi. Gdy startowali, Kelt pochylał się i podniósł z podłogi drobny przedmiot. Była to mała plastikowa statuetka Kleopatry połączonej węzłem małżeńskim z Nekhemem, którą wrzucono do śmigłowca wraz z dostarczonymi zapasami.

Kelt oddał Ricie znalezisko. Obracała je w palcach, zamyśliwszy się nad surowym pięknem statuetki. Pozbawieni wdzięku i wiedzy, złośliwi i okrutni, a jednocześnie uczciwi i pełni życia Nekhemici, mogą kiedyś stać się władcami środkowych ziem starego świata. Miała nadzieję, że do tego czasu przestaną czcić Nekhema. Był wyjątkowo wstrętnym bogiem.

Opuścili Bagdade i gdy nad terytorium Nekhów dostali się w pomyślny prąd powietrza, po dwu godzinach dolecieli do Raki, starego kraju, należącego do Oikoumene. Raki była odosobnionym miastem na spokojnej wyspie, której granice były mocno bronione. Gdy wylądowali, Oresias dowiedział się od wojskowego na płycie lotniska, że nadal nie ma żadnych wiadomości z Aleksandrei. Samoloty, które miały im towarzyszyć - tankowiec i transportowiec - były gotowe do odlotu.

Rozpoczęli lot nad obcym terytorium, pełnym niebezpieczeństw i zagadek. Półtora tysiąclecia wcześniej Persowie i mieszkańcy Oikoumene zostali odepchnięci na zachód, a następnie przyparci do morza Pridenejskiego i Środkowego przez najazd Alanów i Hunnów. Te wędrowne ludy, wraz z podległymi im szczepami teutońskimi, stały się narodem najbardziej ruchliwych wojowników w historii. Powstało imperium rozciągające się od brzegów Gallei i Kimbrii do chińskiego muru, największe w dziejach świata i najmniej stabilne. W ciągu pięćdziesięciu lat imperium znikło jak sen z krwi i dymów, a Skytia i Nordycka Rhuś zajęły ich tereny. Alanowie i Awarowie usadowili się ostatecznie na zachód od morza kaspijskiego, a Hunnowie - na wschód. Przez tysiąc lat tereny te znajdowały się w stanie ciągłego wrzenia, lecz nie zmieniały swych granic. Dopiero najazd aigejskich Turkmenów, piratów i podpalaczy z Hellady, spowodował radykalne zmiany.

Turkmenowie tworzyli swoją własną enklawę prowadząc piracki styl życia na morzu Kaspijskim. Osiedli na niewielkim górskim obszarze pomiędzy republikami altaickimi, nad którymi właśnie przelatywały śmigłowce. Turkmenowie z nikim się nie liczyli i nie uznawali żadnej władzy nad sobą. Nie utrzymywali z nikim kontaktów i zwalczali wszelkie wpływy z zewnątrz. Nie mieliby

litości dla schwytanych, gdyby udało im się zmusić śmigłowce do lądowania. Na szczęście ich technika była zbyt prymitywna, aby zmusić śmigłowce do lądowania.

Rita spojrzała na setki mil nagich gór w dole i poczuła się jeszcze bardziej samotna. Uświadomiła sobie różnorodność ludzkiej kultury i historii, wielość postaw i sprzeczności przekonań. Były tak trudne do opisanego, jak ta płatanina skalistych przełęczy i szczytów pod nią. Znaczyło to, że albo nie ma jednej wspólnej prawdy dla wszystkich, albo że ludzie pozabijają się próbując ją znaleźć... Obie ewentualności były przygnębiające.

Podniecenie podróżą, jakie odczuwała kilka godzin temu, zmieniło się w mroczny niepokój. Była zmęczona, sen w śmigłowcu, pośród ryku odrzutowych silników nie dawał odpoczynku. Bolał ją żołądek; była głodna lecz wiedziała, że nie powinna jeść już niczego więcej. Lot dłużył się niemiłosiernie...

Zatankowali w powietrzu w pobliżu północnowschodniej granicy Turkmenii. Cała ta operacja była bardzo ciekawa i Rita żałowała, że tak niewiele było widać przez boczne okna. Następnie tankowiec odłączył od nich i zawrócił do Raki. Dalej eskortował ich tylko duży transportowiec. Rita, choć zaniepokojona, musiała przyznać, że wyprawa posuwała się bez przeszkód.

Wbrew woli zaczęła znów myśleć o domu. Nigdy nie myślała o Oikoumene jako o czymś odległym. Zawsze tam była i Oikoumene była czymś nieśmiertelnie obecnym. Za jej życia nie wydarzyła się żadna katastrofa, która mogłaby zmienić znacząco jej świat. A przecież pokój na Rodos panował tylko przez osiemdziesiąt lat. Jako dziecko pływała w ogromnych rozpadlinach na wzgórzach, które powstały podczas bombardowań tak dawnych, że nikt już ich nie pamiętał. Lecz jeśli teraz królowa była w niebezpieczeństwie...

Wszystko w Oikoumene mogło się zmienić. Możliwe że nie będzie domu, do którego mogłaby bezpiecznie powrócić. Rita wierciła się na swoim siedzeniu myśląc o wojnie, rewolucji i śmierci.

Góry w dole ustąpiły miejsca równinie w kolorze ochry, niskim krągłym wzgórzom i skalistym półwyspom. Po pewnym czasie na tym tle zaczęły pojawiać się soczyste zielone łąki, z których formowały się wstęgi wzdłuż koryt strumieni. - Minęliśmy wschodnie krańce terytorium Hunnów i Alanów - obwieścił Oresias, który właśnie wrócił z przedniej kabiny.

Od dwudziestu minut niżali lot i byli teraz nisko nad ziemią. Atta wydawał się wyjątkowo przygnębiony i zagubiony. Potrząsał głową i z desperacją uderzał rękoma w kolana oczekując, że lada chwila zostaną dostrzeżeni przez Uzbeków i Kazachów. Nikt się jednak nie pojawił. Albo nikt ich nie zauważył, albo obraz na radarze był tak mały, że nikt się nim nie zainteresował.

- Jedna godzina - powiedział Oresias. Silniki monotonnie buczały, a wiatr świstał w szczelinach kadłuba. Rita próbowała spać, lecz udało się jej tylko zamknąć oczy. Błogosławione zapomnienie nie chciało spłynąć na jej umysł. Była obolała od napięcia i ciągłej walki z niewygodną pozycją. Mężczyźni siedzieli w ciszy, z ponurymi twarzami i ze stoickim spokojem kołysali się w przód i w tył, gdy śmigłowiec manewrował lub wpadał w powietrzne dziury.

Jak to możliwe, że była tak zmęczona i jednocześnie tak niespokojna? Mogła umrzeć i nie czuć niepokoju. Wyobrażała sobie śmierć w postaci wielkiego czarnego węża z trupią główką i zębami. Czy mógł rozwinąć się i dopaść zmarzniętą ofiarę? Czy zjedanie bezbronnych nie było wbrew zasadom śmierci?

Wyglądanie przez okno. Mrużenie oczu. Sięganie po kanister i wylewanie na zewnątrz, podlewanie stepu. Siadanie, zapinanie pasów.

- Jak daleko jeszcze? - zapytał Oresias pochylając się ku niej. Udało jej się zasnąć na chwilę i przyśniły się jej latające węże. Przetarła oczy i ujęła obojczyk w ręce. Wirujący glob był teraz dużo większy, a jego powierzchnia przesuwiała się wolniej. Pojawiło się na niej dużo niezrozumiałych,

abstrakcyjnych symboli, które niepokojąco migotały. Potem znalazła się w wilgotnym dole, nad którym pulsował czerwony krzyż.

- Usiądę z przodu - powiedziała. Przeszła do kabiny kybernetesa, a jego asystent ustąpił jej miejsca. Wpatrywała się w obszary traw w dole i mocno trzymała w rękach obojczyk, wyczuwając jego podpowiedzi. - Teraz niżej - poleciła.

- Jak bardzo? - zapytał kybernetes.

- Zwalniamy i schodzimy do stu stóp... a może niżej.

Spojrzała na Oresiasa. Za nim stał Demetrios, który wcisnął się do kabiny i szerokimi oczyma przyglądał się całej operacji. Był wciąż bardzo blady.

- Pięćdziesiąt stóp - powiedział Oresias. - Czy będziemy to widzieli? - zapytał Ritę?

- Nie wiem. Może nie być duże... ale będę wiedziała, kiedy tam się znajdziemy.

Oba śmigłowce traciły szybkość i wysokość, podczas gdy transportowiec dokonywał akrobacji nad równiną wciąż zawracając i przelatując nad nimi co kilka minut. Rita skoncentrowała uwagę na prerii, porównując krajobraz z obrazem w obojczyku. Jak się wkrótce okazało, nie było to wcale potrzebne.

- Tutaj - powiedziała. - Stajemy tutaj. - Obojczyk po prostu powiedział jej, w sposób, którego nie umiała wyjaśnić, gdzie był cel podróży. Śmigłowiec poleciał za daleko i musiał zawrócić. Po minucie obie maszyny znalazły się dokładnie nad poszukiwanym miejscem. Mogła je teraz rozpoznać - pokryty trawą dół w pobliżu łożyska potoku, wilgotny i błotnisty. Nie dostrzegła w nim bramy, ale obojczyk upewnił ją, że tam się znajduje.

- Lądujemy - Oresias wydał polecenie kybernetesowi, który porozumiał się z pilotem drugiego śmigłowca. Po chwili obie maszyny wylądowały na trawie.

- Wyłączcie silniki - polecił Atta, gdy pojawił się w kabinie za Oresiasem. - Potrzebna jest cisza. Przylecieliśmy tu jak horda pijanych demonów. Nie ma sensu powiększać zamieszania.

- Czy jest miejsce na transportowiec? - Zapytał Oresias. Przez moment była zmieszana - skąd miała to wiedzieć? - ale przypomniała sobie, że może zapytać obojczyk. Pokazał jej uproszczony obraz okolicy i pomógł znaleźć kawałek płaskiego, w miarę równego terenu, na tyle długiego, by mógł na nim wylądować samolot. - Kilkaset stóp na północny wschód - powiedziała. - Jest tam dość równo, choć pewnie będzie trochę dziur...

- Z którego kierunku? - pytał Oresias.

- Powinni lądować od południa. Zobaczą miejsce bez problemów, jest szerokie.

- Życzymy im szczęścia - powiedział Oresias do kybernetesa, który przekazywał informację do samolotu. - Czy można bezpiecznie stąd wyjść?

- Nie widzę przeszkód - odpowiedziała Rita, choć wewnątrz drżała z niepokoju. Niepokoiła się, dlaczego nie widzi bramy. Wiedziała tylko, gdzie powinna się znajdować. "Być może nic tam nie ma."

Gdy otwarto drzwi, chłodne rześkie powietrze dostało się do dusznego wnętrza śmigłowca. Trawa pachniała jak w stajni. I jeszcze jakiś zapach, zapewne wilgotnej ziemi.

Od horyzontu do horyzontu ciągnął się step. Był nabrzmiaty pewnością siebie, obojętny na przybyszy, na wszystkich ludzi w ogóle, pochłonięty jedynie swą własną obfitą żywnością. Należał do najbardziej wartościowych rejonów Gai, gdzie wody było pod dostatkiem. Na zachodzie słońce pochylało się już nad horyzontem. Bezchmurne niebo było przejrzyste i krystaliczne, a kilka jasnych gwiazd, lub może planet rozrzuconych w bezmiarze przestrzeni, było jak krople barwnego makijażu Aphrodite.

Transportowiec wylądował w odległości kilku stadionów z hukiem silników, który na tym

odludziu był niemal profanacją.

Wszyscy członkowie wyprawy zebrali się pod nieruchomymi śmigłami latających pojazdów i zagłądali nieufnie do wielkiego dołu. Przybyli do celu bez większych trudności. Sądząc z wyrazów twarzy wszyscy spodziewali się, że w każdej chwili mogą wystąpić problemy. Atta wciąż spoglądał w stronę horyzontu, a podniesiona brew podkreślała jego nieufność.

Kelt stanął obok Rity, trzymając broń w pogotowiu. Pozostali gwardziści, którzy przyszli chwilę później, stali w skupieniu. Ptaki, te nieśmiałe i ciekawskie pierzaste kulki, chroniły się w trawie.

Rita uniosła obojczyk. - To tutaj - powiedziała przełykając ślinę. - Zejdę i obejrzę to. Nikt niech nie idzie za mną... oprócz niego. - Wskazała Kelta. Byłby głęboko dotknięty, gdyby kazała mu pozostać z dala od niebezpieczeństwa.

Demetrios wystąpił krok do przodu, wciąż blady po torturach wielogodzinnego lotu. - Chcę także tam zejść - powiedział. - Mam wydać opinię o tym, co zobaczę... Jestem bezużyteczny, gdy zostaję z tyłu.

Rita była zbyt zmęczona i zaniepokojona, by protestować. - A więc Demetrios i Lugotorix - zdecydowała w nadziei, że już żaden więcej bohater nie zgłosi się na ochotnika. Nie zgłosił się. Oresias i Atta stali na krawędzi dołu z założonymi rękoma, otoczeni przez załogi śmigłowców, gdy Rita i dwaj mężczyźni schodzili po pochyłych ścianach zagłębienia ku błotnistemu łożysku strumienia.

Rita mimowolnie uniosła obojczyk i trzymała go w wyciągniętych rękach przed sobą. Widziała teraz bramę jako czerwone koło w wizjerze obojczyka, zaledwie kilka stóp przed sobą. - Czy jest zamknięta? - zapytał Demetrios.

Rita wskazała ręką. - Dokładnie tam. - W końcu zobaczyła ją na własne oczy. Wyglądała jak ledwo widoczna soczewka, unosząca się w powietrzu jakieś osiem stóp nad ziemią, nieco ciemniejsza niż niebo. Wydawała się nieruchoma i przerażająca.

Obojczyk powiedział jej coś, co zrozumiała z najwyższym trudem, musiała nawet poprosić, aby powtórzył. Bez słów powiadomił ją, że ta brama jest niekompletna, podtrzymywana niewielką ilością energii. Służyła do przeprowadzania badań i pobierania próbek. Była zbyt mała, by mogło się w nią zmieścić coś większego niż dłoń. W tej chwili była zresztą zamknięta.

Przekazała to Demetriosowi. Obeszli bramę dookoła wyciągając szyje, by widzieć ją z bliska. Kelt podążał za nimi z bronią w pogotowiu. "Czy mogę sama otworzyć bramę?" zapytała Rita. Obojczyk odpowiedział, że to możliwe, iż brama zostanie poszerzona od tej strony, ale takie działanie bez wątpienia zwróciłoby uwagę kogoś lub czegoś pilnującego bramy z tamtej strony, cokolwiek by to mogło być. "Czy wiesz, kto otworzył bramę?" "Nie", powiedział obojczyk. "Bramy na tym etapie rozwoju są bardzo podobne."

Zwróciła się do Atty i Oresiasa, i wyjaśniła: - Jest zbyt mała, aby nią przejść. Jeśli spróbuję ją powiększyć, ludzie po drugiej stronie dowiedzą się o tym.

Oresias pomyślał chwilę a potem zaczął naradzać się półgłosem z Attą. - Zastanowimy się przez noc - postanowili w końcu. - Teraz chodźmy do śmigłowca. Musimy rozbić obozowisko.

Słońce właśnie zaszło za horyzontem i niebo nad stepem szybko ciemniało. Rita mrużąc oczy spojrziała raz jeszcze w soczewkę bramy. Przez chwilę zobaczyła w niej zniekształconą gwiazdę.

Skinęła na Demetriosia: - Chodźmy. Śmigłowce przykryto kamuflującą siatką, dzięki której wyglądały jak trawiaste pagórki. Nie było to najlepsze ukrycie, ponieważ teren wokół był wyjątkowo płaski, ale lepsze to, niż pozostawienie ich bez żadnej zasłony. Oresias i Atta spotkali się z cybernetesem pilotującym transportowiec w czasie, gdy stawiano cztery duże namioty. Rita słuchała o planach na następny dzień, siedząc na koi ustawionej na grubych kępach trawy. Muchy i ćmy

bzykały wokół lampy w rogu namiotu. Była tak wyczerpana, że oczy same się jej zamykały, a mimo to czuła, że nie zaśnie szybko. Demetrios przyniósł sobie miskę zupy z proszku i saczył ją, wciąż pytając przyciszonym głosem: “Dlaczego tutaj? Dlaczego otwierać bramę tutaj?” Kto mógłby podążać za Patrikią do tej Gai i kto chciałby.

Od dwu dni nie było nowej wiadomości od sophe na tabliczce. Tego wieczoru, gdy włączyła ekran, zobaczyła znów słowa babki. Mimo wszystko nie była czarownicą ani wróżką; wciąż doradzała, jak się zachować w Aleksandrei, w świecie, który pod każdym względem nie istniał już dla jej wnuczki. Po przeczytaniu długiej i bezużytecznej informacji Rita zamknęła oczy z poczuciem ulgi. Przez pewien czas czuła się tak, jak gdyby Patrikia przyglądała się jej z ukrycia, kontrolując posunięcia. Teraz nie miała wątpliwości, że sophe odeszła na zawsze.

W skrajnym wyczerpaniu Rita wyłączyła tabliczkę, schowała ją do torby z cielecej skóry i zgasła lampę naftową. W pozostałej części namiotu panował spokój. Na zewnątrz wiatr, który poruszał trawy za dnia, uciszył się i cały step pogrążył się w bezruchu. Byli sami pośród bezkresnej pustki.

Thistledown City

Lanier potrzebował jakiejś rozrywki, zaczął więc zmieniać wystrój gościnnego mieszkania, w którym go zakwaterowano pod kopułą Nexus. Chodził po eleganckim apartamencie zatrzymując się to tu, to tam i wydawał instrukcje ukrytym mikrofonom. - Styl polinezyjski - powiedział w jadalni, która do tej pory była wyposażona w skromne klasycystyczne meble pełne ostrych kantów. Automatyczny dekorator odszukał w swojej pamięci odpowiedni wzór i po chwili Lanier znajdował się w sali oświetlonej pochodniami i ogniskami, wyłożonej brązowym i białym drewnem. Ściany były zbudowane z palmowych pni i uszczelnione plecionką z trawy i palmowych liści.

- Bardzo ładnie - pochwalił. Czuł, że kiedyś mieszkali w tych apartamentach wielcy przywódcy - senatorowie, ministrowie, a nawet prezydenci. Po katastrofie w Drodze opustoszały i nie były wykorzystywane przez wiele lat, teraz zaś korzystano z nich tylko podczas oficjalnych wizyt.

Korzeniowski wyszedł, aby przygotować spotkanie całego Nexus. Mirski był w swoim apartamencie, podobnym do tego. Lanier nie miał nic do roboty i żadnego towarzystwa, poza własnymi myślami. Czuł się jak piąte koło u wozu. Był już stary i nie było to bez znaczenia. Nigdy nie mógł odnaleźć się w takich sytuacjach. Nie podzielił się z nikim swoimi wątpliwościami i to go jeszcze bardziej martwiło. Urzędowy pies, który w nim mieszkał, w końcu postanowił zainteresować się kością, jaką wepchnięto mu do pyska. Nie chciał jej. Chciał odpocząć, a nie łamać sobie głowę i narażać się na stres. No cóż, chciał czegoś zdecydowanie innego niż los mu przeznaczył.

Garry Lanier zdał sobie sprawę, że najchętniej byłby już martwy, choć nie starał się myśleć o tym zbyt dużo.

Jego oczy stały się nieco szersze. Usiadł na schodach prowadzących do jadalni (były wyrzeźbione w wulkanicznej skale - na polecenie automatycznego dekoratora). Serce zaczęło bić nierytmicznie. Zawsze pragnął ukrywać swoje uczucia przed sobą i nigdy dotąd nie uświadomił sobie tych właśnie marzeń.

Koniec życia i wszystkich doznań. Przyzwolenie na ostateczny odpoczynek. Pewność, że żadne przyszełe postępy medycyny i techniki nie zakłócą mroku i spokoju.

Lanier przeżył wiele niezwykłych rzeczy, z których nie wszystkie mógł sobie przypomnieć. Znaczne obszary pamięci były zniekształcone z powodu zwykłego niezrozumienia. Mógł przez wieki studiować przeżycia i wspomnienia, a byłby tylko niewiele mądrzejszy. Lepiej nie tracić czasu i zadbać o wygodę.

Mimo to pragnienie ostatecznego spokoju zaskoczyło go. Tarł zapadnięte policzki długimi i wciąż silnymi palcami i powtarzał swoje wewnętrzne odkrycie smakując gorycz. Gdziekolwiek się znalazł, nigdy nie zdarzyło mu się uciekać. I nagle okazało się, że najbardziej marzy o ucieczce.

Heineman nie chciał uciec. Zaakceptował swoją śmiertelność, ale pragnął cieszyć się życiem do końca. Przeżył równie wiele bólu co Lanier, a może nawet więcej. Duch Lenory Carrolson pozostał nieuszkodzony; wciąż była pełna energii i nie straciła celu z oczu. A Karen kochała życie tak bardzo, że nie chciała słyszeć o śmierci i odsuwała ją od siebie przy pomocy całej dostępnej technologii Hexamonu.

Nic dziwnego, że ich drogi rozeszły się. Karen nie została ogłuszona wydarzeniami, których była świadkiem, choć widziała tyle co Lanier. Rozpaczała nad śmiercią córki nie mniej niż on, tym bardziej, że żal mieszał się z niewygasłą nadzieją... że pewnego dnia odnajdą jej implant i przywrócą

do życia. Więc dlaczego on się tak załamał?

Głośnik oznajmił, że gość czeka przed głównym wejściem. Lanier westchnął ciężko. Miał nadzieję, że przetrawi trochę swój problem, zanim spotka się z ludźmi. Stało się inaczej. Nie mógł udać, że go nie ma, ani odprawić gościa. - Dobrze - powiedział. Podszedł do głównego wejścia. Był to stalowy most, długi na pięć metrów i szeroki na dwa, zawieszony w wydrążonej kuli z kosmicznych kryształów.

Kawałek kryształu usunął się na bok na drugim końcu kuli. Paweł Mirski stanął na moście. Na jego twarzy malował się zatroskany uśmiech.

- Czy nie przeszkadzam?

- Nie - odparł Lanier, zaskoczony, że gość z innego czasu wygląda tak normalnie i masywnie.

“Dlaczego nie mógłby przyjść ubrany jak bóg? Z piorunem, lub dwoma, we włosach...”

- Nie śpiam jak inni i znudziło mnie poszukiwanie informacji. Potrzebuję towarzystwa. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciw temu.

Lanier skinął głową bez przekonania. “Oczywiście, że się nudzi. Nawet ogromne biblioteki Kamienia są dla niego dziecinadą.”

- Nie przeprosiłem za zakłócenie spokoju, prawda?

- Ależ tak - powiedział Lanier. “Czy jego pamięć może być niedoskonała?”

- Być może. - Uśmiechnął się raz jeszcze i przeszedł most mijając Laniera. - To luksusowe i przestronne mieszkania, ale chyba nie są wiele lepsze od domów normalnych ludzi? Technika zrównała przywódców i rządzonych.

- Są zbyt bogate, jak na mój gust.

- Zgadza się - potwierdził Mirski i przeszli przez rotundę, gdzie witano gości, pod dachem kopuły, na którym przedstawione były niebiosy ponad północnym biegunem Thistledown. Księżyc był właśnie w pełni i rzucał cień na podłogę pod ich stopami. - To ładnie wygląda, prawda?

Był teraz jak dziecko. Spontaniczny, skory do zabaw, niechętnie kontrolujący swoje zachowanie.

Lanier podążył za Mirskim do małego pokoju, w którym przyjmowano nieoficjalnych gości. Rosjanin wybrał stylowe i neutralne krzesło - neutralne, gdyż nie posiadało poduszek energetycznych i żadnych innych pól siłowych. Usiadł wygodnie na poduszce sprzed stu lat, która zachowała miękkość i elastyczność, i potrząsnął głową drwiąco, a zarazem ze smutkiem. - Opuszczałem to miejsce w takim zamieszaniu - powiedział. - Straciłem znaczną część osobowości, a w każdym razie tak mi się wydawało. Wszystko mi się pogmatwało. Ale jedną rzecz pamiętam wyraźnie.

Lanier chrząknął. Trudno mu było wytrzymać badawcze spojrzenie Mirskiego.

- Mój podziw dla pana. Jest pan obdarzony niezwykłą siłą. Uczestniczył pan we wszystkim od początku i nie załamał się pan.

Lanier wolną potrzęsął głową. Nie oświadczył stanowczo, że jego równowaga została zachwiana. - To były ciężkie czasy.

- Najgorsze. Z trudem mogę uwierzyć, że przybyłem z tak odległych czasów, z tak odmiennych światów. Lecz dziś wieczorem bardzo chciałem porozmawiać, przede wszystkim z panem. Jesteśmy dość różni, ale dostrzegam między nami pewne ważne podobieństwa.

- Nawet teraz?

Mirski spojrzał na niego bardzo uprzejmie. - Nie widzę w pana oczach wielkiego entuzjazmu. Obawiam się, że doszedł pan do końca sznura.

Lanier roześmiał się. - Tak - powiedział. - To wielka prawda - dodał bardzo łagodnie.

- Wie pan, że kiedy człowiek dochodzi do końca sznura, spada.

- A dokładniej, wiesz się - powiedział Lanier. - Tak brzmi to powiedzenie.

- Ale pies, gdy dochodzi do końca sznura, odgryza go... i jest wolny.

- Stara rosyjska mądrość?

- Nie całkiem - powiedział wciąż bardzo uprzejmie Mirski. Patrzył trochę na Laniera, a trochę obok niego. Przypominał rodzaj puddingu, w który można się wygodnie zanurzyć, by wieść życie waniliowe i senne. Nastrój zwierzeń wisiał w powietrzu.

Lanier usiadł naprzeciw niego próbując ożywić energię, jaką miał w młodości. Chciał choć trochę dorównać siedzącemu na wprost niego bogu. Niezbyt rozsądny pomysł, ale...

- W porządku - powiedział. - Jestem zmęczony. Żyłem zbyt długo. Pan był u kresu wszechświata, przeżył go pan w pewnym sensie i nie jest pan ani zmęczony, ani znudzony.

- Tak, lecz byłem zmęczony i znudzony w sposób, którego dokładnie nie umiem teraz określić. Wyczerpany klęską. Nas, którzy popędziliśmy w głąb drogi, kosztowało to... w każdym razie bardzo dużo. Byliśmy przerażeni. Spotkało nas coś, co mogę określić jedynie jako utratę ego. I samo to wystarczyłoby, by doprowadzić nas do zagłady. Gdy się mieszka w nicości, utrata własnego ja jest jak utrata całej krwi. Pozbawiliśmy się sił życiowych. - Mirski oparł dłonie na udach i przyglądał się rozwartym palcom, jakby szukając brudu pod paznokciami. Z zaskakującą nieśmiałością zapytał: - Czy jest pan ciekaw, co się ze mną dzieje? Kim jestem teraz?

- Wszyscy jesteście ciekawi - powiedział Lanier bardzo łagodnie, jakby bojąc się zranić Mirskiego, który wciąż był czarująco uprzejmy.

- Wróciłem do mojej starej osobowości, w ogólnym zarysie. Czasem nie panuję nad zachowaniem, chwilami muszę robić rzeczy, których moje dawne ja nie rozumie.

Lanier słuchał z podniesioną brwią i nie całkiem rozumiał. Mirski kontynuował swój staranny wywód.

- Lecz przyszedłem porozmawiać o panu. Chciałbym wyjaśnić, dlaczego właśnie z panem. Jestem pana dłużnikiem. Przez cały ten czas nie mogłem spłacić długu. Gdy zmieniałem swą postać, czasem dług przestawał być ważny, bo cała moja przeszłość przestawała się liczyć, jak podręczniki szkolne rzucone na strych po rozdaniu świadectw. Ale kiedy dowiedziałem się, że wrócę do dawnej osobowości, przypominałem sobie o nim.

- Nie wiem nic o żadnym długu. - Lanier czuł narastające napięcie. Nie dążył do zwierzeń, ale coś w nim chciało wybuchnąć. Chciał złapać się za głowę, aby nagle nie rozpaść się na części.

- Bardzo prosty dług. Muszę panu podziękować.

Nieproszone, niechciane łzy napłynęły Lanierowi do oczu.

- Postąpił pan szlachetnie. Zrobił pan swoje nie prosząc o podziękowanie. Dzięki panu przetrwałem i mogłem odbyć długą podróż, by teraz powrócić. W każdej sytuacji może tkwić okrucieństwo, dobroci czy wrażliwości. Pan był tym okrucieństwem na Kamieniu.

Lanier odrzucił głowę do tyłu. Łzy płynęły mu strumieniami po policzkach. Gdyby taka możliwość tkwiła w jego charakterze, zacząłby rozpaczliwie szlochać. Powstrzymał się, lecz mimo to, ulga była wielka.

- Zwyczajne podziękowanie - powtórzył Mirski.

To niewiarygodne, lecz przez cały czas, gdy pracował przy odbudowie świata, nie pamiętał, by ktoś mu podziękował. Nawet Karen o tym nie pomyślała, choć była tak blisko i znała jego potrzeby. Poświęcił życie i czas ludziom, którzy byli pod jego opieką, lecz zapewne jego sposób bycia, pełen pewności siebie i niezależności sprawił, że nikt nie pomyślał o podziękowaniach. Być może nie znalazł się w sytuacji, w której podziękowania byłyby możliwe. Ulga, jakiej doznał, podobna była do uwolnienia starej sprężyny, która naprężona tłumiała jego siły życiowe.

Uniósł głowę, by spojrzeć na twarz Rosjanina. Był zakłopotany i wdzięczny zarazem. - Byłem

pańskim wrogiem - udało mu się wyjąkać. Dotknął twarzy i ze zdziwieniem poczuł starą skórę, miękką i plastyczną. Mirski cmoknął, co jak na boga było dziwnym zachowaniem.

- Szlachetni przeciwnicy są błogosławieństwem trudnym do przecenienia - powiedział wstając.

- Zakłóciłem pański spokój. Pójdę już.

- Nie - powiedział Lanier podnosząc rękę. - Proszę zostać. Muszę z panem porozmawiać. - Strach i zawiść, wzbudzone przez tego człowieka, na chwilę zmieniły się w pewien rodzaj miłości. Obudziły się w nim uczucia, których od kilku dekad nie doznawał. Wraz z nimi powrócił niepokój, niemal pełna bólu troska o Karen. Co teraz robiła? Także i z nią musiał porozmawiać. Jego skóra... tak stara!

- Powspominamy? Teraz jest na to dość czasu, później może się to nie powtórzyć.

Mirski skinął głową i usiadł, pochylając się ku przodowi, z łokciami opartymi na kolanach i złączonymi dłońmi. Jego uprzejmość znikła.

- Może obaj potrzebujemy odświeżyć wspomnienia - powiedział Lanier. - Chciałem panu opowiedzieć, jak bardzo czuję się zmęczony, lecz nie jestem zbyt zmęczony właśnie teraz.

Mirski nonszalancko machnął ręką. - Starzy wojownicy zawsze lubią ponarzekać.

Lanier spojrzał na niego zdziwiony.

- Proszę mi powiedzieć, co stało się po naszym odlocie, po naszej klęsce - kontynuował Mirski.

- Najpierw ja chciałbym zadać pytanie... tysiąc pytań.

- Nie mogę odpowiedzieć na tysiąc pytań - zaproponował Mirski.

- A więc jedno lub dwa.

Mirski sceptycznie skinął głową.

- W pańskiej prezentacji... było tyle potęgi kosmicznych istot. Opowiadał pan nam, że niszczą całe galaktyki, zamieniają je w energię. Martwe galaktyki?

Mirski uśmiechnął się. - Mądre pytanie. Tak. Poronione, jeśli tak można powiedzieć... Ogromne, przepelnione nadmiarem energii, wypalające się bez czyjegokolwiek wpływu, lub szybko zapadające się w zimne gwiazdy, które tkwią w ich środku... Może pan to nazwać czarnymi dziurami. Nie ma w nich życia, a żaden ład w nich nie ocala. Umysł Ostateczny przyspiesza i kontroluje ich śmierć.

Lanier bezmyślnie przytakiwał, nagle złapał się na tym i oblizał suche wargi. - Jeśli mają taką siłę, dlaczego po prostu nas nie zmuszą? Nie wyślą jakiegoś rodzaju armii lub czegoś silniejszego?

- To niedelikatne. Nie w ten sposób.

- A jeśli pan nas nie przekona?

Mirski wzruszył ramionami. - Nawet wówczas.

- Co się stanie... pomiędzy teraz a końcem czasu? - A więc jednak. Zaczął interesować się przyszłością i aż go to zdziwiło.

- Pamiętam tylko to, co mi jest potrzebne. A nawet gdybym pamiętał więcej, nie wolno by mi było mówić... nie wszystko.

- Ile czasu minie... do końca.

- Czas nie ma takiego znaczenia w tej części historii - powiedział Mirski. - Można to porównać, z bardzo małą dokładnością, do siedemdziesięciu pięciu miliardów lat. To nie wprowadzi pana w błąd.

Lanier zamrugał, słysząc tę liczbę.

Mirski potrząsnął głową ze smutkiem. - Przykro mi. Nie chcę pana urazić, lecz na razie nic więcej już nie powiem. Może później... dużo później, gdy ludzie przystąpią do wspólnoty...

Laniera przeszedł dreszcz. Przytaknął raz jeszcze. - W porządku - powiedział. - Ale wciąż jestem ciekaw. Inni będą z pewnością jeszcze bardziej ciekawi. Dokładnie ci, których musi pan

przekonać.

Mirski zgodził się niechętnie, a twarz miał przy tym skrzywioną. - Teraz ja mam pytanie. Czy możemy porozmawiać, co stało się po oderwaniu obszaru Geszel.

- Zaczynając od jakiego momentu?

- Od powrotu na Ziemię.

Lanier zamyślił się, przypominał sobie początek historii i zaczął opowiadać, choć potrzeba zwierzeń i wspomnień dawno mu już przeszła.

Gaia

Ptaki śpiewały i coś jeszcze wisiało w powietrzu - coś elektryzującego. Rita odrzuciła koc i słuchała, jak mężczyźni chodzili po namiocie i marudzili. Przetarła oczy. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo była wyczerpana i napięta - do granic wytrzymałości. Przez chwilę jeszcze rozkoszowała się wygodą łóżka, nie zwracając uwagi na podszepty intuicji. Potem coś eksplodowało nieopodal namiotu. Rita natychmiast zerwała się na równe nogi. Powietrze wypełniło dudnienie, a w ściany namiotu zaczął z ogromną siłą uderzać wiatr. Kilka osób krzychało, pytając się o coś i wydając rozkazy. Demetrios podniósł płachtę przy wejściu do namiotu. Rita była tylko w bieliźnie, więc nieco zakłopotany przyglądał jej się przez chwilę, zanim powiedział niemal surowo: - Burza. Za chwilę zaleje nas woda.

- Właśnie tego potrzebowaliśmy! - Rita szybko założyła spodnie, choć wcale jej nie przeszkadzało, że ktoś ją widział w bieliźnie. Było to nawet podniecające, gdy patrzył na nią, jak się jej wydawało, z uznaniem, zanim spuścił wzrok...

- To tylko ubarwia sytuację - przyznała odwracając się. Założyła koszulę, zapięła kurtkę na zamek błyskawiczny, pochyliła się, by założyć i zasznurować buty. Po chwili była zupełnie ubrana. Przebiegła obok Demetrios, przeskoczyła żołnierza i kybernetesa, pochylonych nad ziemią przy wyjściu, i już była na zewnątrz.

Oresias i Atta stali na krawędzi parowu. Oresias opierał ręce na biodrach, Atta mówił do słuchawki przenośnego radia, które stojący obok żołnierz trzymał na plecach. "Czy już jest łączność?" Rita zadała sobie pytanie. Demetrios wyszedł z namiotu za nią właśnie w chwili, gdy pierwsze, ogromne krople deszczu zaczęły rozbijać się o ich głowy i ubrania. Atta podniósł ręce i pochylił głowę - tego było już naprawdę za wiele.

Nawałnica przyduśiła oba śmigłowce do ziemi; ich śmigła wygięły się tak bardzo, że końcami dotykały trawy. Żołnierze stali w otworze luku i palili papierosy, przyglądając się bez większego zainteresowania narastającej burzy. Oresias oddał żołnierzowi słuchawkę i, zarzuciwszy sobie kurtkę na głowę, biegł ku namiotom. Na południu pojawiły się błyskawice, które rozświetliły zwały chmur nad stepem zimnym blaskiem.

- W Aleksandrei wydarzyła się katastrofa - informował Oresias przekrzykując kolejne grzmoty. Wepchnął Ritę i Demetrios z powrotem do namiotu i zrzucił z głowy przemoczoną kurtkę. Dłonią wycisnął z włosów strumień wody i przetarł oczy, by wreszcie coś zobaczyć. Atta pozostał na zewnątrz. Stał samotnie pośród burzy, podnosił ramiona i wymachiwał nimi, na przemian krzychał i szeptał coś, czego nie mogli usłyszeć.

- Chce, aby trafił go piorun. Może tak byłoby lepiej dla nas wszystkich - powiedział Oresias. - Wybuchł bunt. Stronictwo Mouseionu, jak sądzę... i Żydzi. Oblegają Lokhias, a pałac jest zamknięty. Żołnierze lojalni wobec królowej zbombardowali Mouseion...

- Nie! - krzyknęła Rita, jakby chciała odwołać wydany rozkaz.

Oresias skrzywił się pod wpływem nagłego bólu. - Mogliśmy zgadnąć po tym, jak nas traktowano w Bagdade i Damasce. Nic nas nie będzie chroniło podczas podróży powrotnej. Spodziewam się, że posterunki graniczne pomiędzy republiką Hunnos i Rhusią zostały już zalarmowane. Chyba nas jeszcze nie zlokalizowali, ale zrobią to z pewnością, jeśli będziemy dalej używać radia.

Lugotorix stał obok Rity marszcząc czoło. Był gotów bronić jej w każdej sytuacji.

- Co teraz robimy? - zapytał Demetrios, zaniepokojony, lecz nie wystraszony.

- Mamy misję do wypełnienia - przypomniał Oresias. - Mamy dwie godziny zanim będziemy musieli wracać. Trzeba wyładować transportowiec. - Wydał rozkazy kilku żołnierzom, aby zajęli się rozładunkiem. - Kontynuowanie prac bez pośpiechu nie jest już możliwe, ale powinniśmy przyrzeć się bramie. Musimy zdobyć jak najwięcej wiadomości, a potem ratować własne głowy zanim Kirghizi, Tatarzy kazachscy lub władcy Rhusi się nami zainteresują.

Atta, który przestał błagać pioruny i pomstować, pojawił się w namiocie. - Piorun uderzył w bramę - powiedział z trudem łapiąc oddech. - Świeci jak latarnia. - Jednocześnie on i Oresias spojrzeli na Ritę.

- Moja kolej, prawda? - zapytała.

- Przyniosę Przedmioty - powiedział Lugotorix. Spojrzała na Kelta znikającego w przejściu namiotu z pewnym zdziwieniem. "Wszyscy sądzą, że powinnam. Nie znoszę myśli, że muszę coś zrobić. Moja natura się buntuje."

A może po prostu się bała.

- Czy piorun może uderzyć w obojczyk? - zapytał Oresias.

- Nie wiem - powiedziała cicho.

- Co?

- Nie wiem! - krzyknęła. Demetrios przytaknął flegmatycznie. Odwróciła się od niego z niesmakiem, który kontrastował z jej wcześniejszym zainteresowaniem. "On nie może mi pomóc. Nikt nie może. Jestem w pułapce."

Lugotorix wrócił z wielkim pudłem. Otworzył je kluczem i wyjął obojczyk. Trzymał go nisko przed Ritą. "Chce mnie uspokoić." Kelt poprawił pistolet maszynowy na ramieniu i przestępował z nogi na nogę. Oresias uśmiechnął się i odchylił drzwi namiotu.

Bez chwili wahania, aby nikt nie pomyślał, że się boi, czując obrzydzenie do wszystkiego, a przede wszystkim do swoich myśli - poprzedniego dnia była zachwycona przeżywaną przygodą - Rita ruszyła śmiało w ulewny deszcz.

Zatrzymała się przed namiotem mrużąc oczy. - Tędy - powiedział Demetrios wskazując kierunek do błotnistego parowu za ścianą wilgoci.

- Wkrótce będzie powódź - Rita krzyknęła przez ramię. Mężczyźni idący za nią byli zgarbieni. Wszyscy z wyjątkiem Kelta, który dumnie szedł przez burzę, wielki jak drzewo. Włosy przykleiły mu się do twarzy, zmrużył oczy, a w rozchylonych grymasem wargach widać było zęby.

Na dnie dołu było już po kostki płynącej wody. Rita ześlizgnęła się z pochyłej ściany ściskając pod pachą obojczyk i stanęła w błocie tuż obok soczewki bramy. Widziała ją przed sobą, pojawiła się także w jej umyśle za sprawą obojczyka. Była nienaruszona.

Obojczyk pokazał, jak daleko sięga burza. Pokazały się też nowe nieznane symbole, które zbiegały się w jednym punkcie w chmurach i świeciły na zielono...

Właśnie błyskawica rozjaśniła ponownie trawiastą okolicę.

Obojczyk wciąż ją informował o stanie bramy. "Jaka szkoda, że babka nie powiedziała mi o wszystkim", pomyślała. "Może nie wiedziała."

- Jest wciąż tutaj. Nie się nie zmieniło - krzyknęła do mężczyzn. Tylko Lugotorix zszedł z nią do parowu. Demetrios zatrzymał się w pół drogi, jak sądziła raczej z szacunku dla niej, jako osoby kierującej, niż ze strachu.

- Czy potrzebna jest pomoc? - zapytał wyciągając do niej ręce.

- Nie wiem - zawołała. - Nigdy tego wcześniej nie robiłam. "Co muszę zrobić, aby powiększyć

bramę?” - zapytała swojego mechanicznego przewodnika. Założyła, że po to tu przyjechali i nie ma czasu do stracenia. Nie umiała sobie wyobrazić, kto lub co mogło czekać na nich po drugiej stronie: ludożercy czy bogowie.

Wciąż była dzieckiem Rodos, choć mogła udawać kogoś znacznie bardziej skomplikowanego. Nie otrzymała takiego wychowania jak jej babka.

Obojczyk przekazał jej instrukcję w sposób nieuchwytny dla jej świadomego umysłu. Jej dłonie nagle zacisnęły się aż do bólu. Kilka skurczów targnęło mięśniami. Nowy sposób przekazywania wiadomości wstrząsnął jej systemem nerwowym, po chwili wiedziała już wszystko. Poczowała mdłości i zmęczenie, które szybko ustąpiły.

Zaskoczona strzepnęła z powiek kilka kropel wody. Deszcz przestał padać. Czy zemdląca i nie zauważyła tego? Obejrzała się i zobaczyła za sobą Lugotorixa, który patrzył ponad jej głowę. Demetrios w połowie zbocza, Atta, Oresias i żołnierze na krawędzi - wszyscy wpatrywali się w bramę.

Rita spojrzała ku górze.

Soczewka uniosła się i powiększyła, była jakby bardziej płaska. Lśniła dziwnym blaskiem w promieniach porannego słońca, które pojawiło się w szparze między chmurami. Uniosła obojczyk. “Brama się zmieniła. Co się stało?” “Powiększyliśmy ją”, odpowiedział obojczyk. “Taki był rozkaz.” “Czy mogę przejść?” “To nie jest wskazane”, powiedział obojczyk. “Dlaczego?” “Nie wiemy, co jest po drugiej stronie.”

Rita uznała, że to bardzo rozsądne stanowisko, ale nie mieli zbyt wiele czasu. “Nie możemy się jakoś przekonać?” “Nie.” “Ale brama jest otwarta?” “Tak.” “Czy ktoś może wyjść z tamtej strony?” “Tak.”

Zaczynało do niej docierać, co naprawdę zrobiła. Stała pod soczewką podziwiając jej tajemnicze piękno. Soczewka była podobna do wielkiej kropli deszczu wiszącej w powietrzu lub do oka wielkiej ryby.

Wody wciąż przybywało, sięgała już powyżej kostki. Żdźbła traw pokrywała błotnista piana. Rita spostrzegła to z irytacją. Może lepiej byłoby wspiąć się na górę, unikając powodzi. Stała obok Demetriosia trzymając obojczyk na wysokości kolan i ciężko oddychając. - Brama jest otwarta - powiedziała spokojnie. Spojrzał przelotnie na Attę i Oresiasa, potem znów na nią.

- Czy mamy im powiedzieć?

- Oczywiście - odpowiedziała. - Jest otwarta - krzyknęła patrząc w tył przez ramię. - Otworzyłam ją przy pomocy obojczyka.

Atta skinął głową pogrążony w myślach. Oresias uśmiechnął się. - Czy możemy wejść?

- Obojczyk mówi, że tak, ale odradza to. Nie wiadomo, co jest po tamtej stronie.

Oresias zszedł po zboczu. - Przylecieliśmy zbadać tę sprawę - przypomniał. - Niezależnie od zdarzeń w Aleksandrei, to jest nasza misja. Pani jest zbyt cenna, by wejść do środka. I potrzebujemy Atty, aby dowodził pilotami i żołnierzami w razie jakiejś katastrofy. Niestety możemy się jej spodziewać.

- Chętnie tam wejdę - powiedział mekhanikos, a oczy mu błyszczały.

- Nie. - Oresias podniósł rękę i potrząsnął głową. - Pan nie zobowiązał się ryzykować życiem. Ale ja tak.

Lugotorix przyglądał się im uważnie, przenosząc wzrok z osoby na osobę.

- Przynieście drugi Przedmiot - Oresias rozkazał żołnierzom. Jeden z nich pobiegł wykonać polecenie.

- Nie umiem się nim posługiwać - powiedziała Rita. - Babka nie nauczyła mnie.

- To był błąd - powiedział Oresias gotów stawić czoła nowemu wyzwaniu. - Zobaczymy, czy jest sprawny i czy możemy go użyć. Jeśli nie...

- Ja jestem odpowiedzialna za wszystkie Przedmioty - zauważyła Rita.

- A ja jestem odpowiedzialny za panią - odrzekł Oresias. - Jeśli nie uda się go uruchomić, możemy przynajmniej włożyć do bramy jedno z naszych zwierząt. Jeśli wróci żywe, ja pójdę za nim. - Lekko dotknął ramienia Rity. - Nie jestem głupcem, nie chcę zginąć. Zachowamy ostrożność.

Żołnierz zniósł do dołu ciężką walizkę z drugim Przedmiotem. Rita podniosła wieko i z pomocą żołnierza wydobyła dwa aparaty przymocowane do skórzanego pasa. - Jest bardzo stary - powiedziała.

Oresias uniósł ramiona, aby mogła opasać go i przymocować urządzenia. - Jak można je uruchomić.

Rita pomyślała przez chwilę, potem dotknęła jednej ze skrzynek ręką. Przyrząd nie skomunikował się z jej umysłem. Był mniej skomplikowany niż obojczyk. "Co zrobiłaby babka?" zapytała w duchu. "Porozmawiałaby z nim."

- Włącz się - powiedziała po helleńsku. - Chronź tego mężczyźnę. - Nic się nie stało. Zastanowiła się i postanowiła przemówić po angielsku. Mimo starań babki, władała tym językiem bardzo słabo. - Włącz się - powiedziała. - Chronź go.

I znów nie było odpowiedzi.

Ritę ogarnęła złość na własną niewiedzę. "Dlaczego babka nie nauczyła mnie, jak się z nim obchodzić?" Być może pod koniec życia jej inteligencja osłabła. - Nic więcej nie przychodzi mi do głowy... - powiedziała. - Chyba, że będzie działać, gdy ja go założę.

Oresias stanowczo pokręcił głową. - Jeśli Jej Imperiał Hypselotes wciąż jest na tronie, kazałaby mi ściąć głowę za narazanie pani na niebezpieczeństwo. - Polecił, by najpierw przynieść królika.

- Ja pójdę - Lugotorix szepnął Ricie do ucha. Potrząsnęła przecząco głową. Wszystko się skomplikowało. Byli amatorami, nikt z nich, a nawet ona sama, nie zdawali sobie sprawy, jak ważne rzeczy się działy i jak niebezpieczne - być może, dla całego świata.

Przyniesiono królika w plecionej klatce. Wyglądał jak mała kępka futra i ruszał różowym nosem. Klatka została zawieszona na długim drewnianym kiju. Woda przestała się już podnosić, więc Oresias uchwycił jeden koniec kija i wszedł do strumienia na dnie parowu. Kołysząc się podszedł do soczewki. - Gdzie mam to włożyć? - zapytał.

Rita mimowolnie uśmiechnęła się. - Do środka.

Lugotorix też się cicho roześmiał. Rzadko się zdarzało, by coś go śmieszyło.

Oresias uniósł kij i kilkoma ruchami wprowadził klatkę do środka błyszczącej soczewki. - W ten sposób? - zapytał. Klatka i królik zniknęli jak rekwizyty magicznej sztuki.

- Tak - odpowiedziała Rita cicho. W jej głosie wyczuwalny był lęk. Próbowała sobie wyobrazić, jak Patrikia wypada z soczewki i ląduje w kanale melioracyjnym...

- Zostawię go tam na kilka sekund - powiedział Oresias. Kij drżał w jego ręku.

Rita usłyszała niski dudniący odgłos z północy. Jamal Atta wyjrzał z parowu i natychmiast się cofnął. - Tatarzy, Kirghizi! - krzyczał. - Całe setki!

Twarz Oresiasa zbieleła, lecz nie wypuścił kija z ręki. - Gdzie?

Lugotorix jednym susem znalazł się na krawędzi parowu. Rita jednocześnie chciała asystować Oresiasowi przy badaniu bramy i pobiec za Lugotorixem. Żołnierze krzyczeli w pobliżu śmigłowców. Dudnienie narastało.

- Konnica i piechota! - Krzyczał Lugotorix z góry. - Są coraz bliżej, najwyżej kilka stadionów.

- Jaka chorągiew? - zapytał Oresias trzymając kurczowo kij. Był tak zmęczony, że cała górna połowa jego korpusu drżała. Soczewka wisiała nad ziemią nieporuszona. Wchłonęła klatkę jak niewidzialne drzwi, które połykają koniec liny iluzjonisty.

- Nie mają chorągwi - powiedział Jamal Atta. - To Kirghizi. Musimy uciekać.

Oresias z wysiłkiem wyrwał klatkę z wnętrza bramy. Rita zobaczyła szaroczerwony strzęp pomiędzy wiklinowymi ścianami, gdy Oresias cisnął kij ponad strumieniem na błotnisty brzeg dołu. Oboje wpatrywali się w królika. Trudno było nazwać go jeszcze zwierzęciem.

- Co mu się stało? - spytała Rita.

- Wygląda jakby eksplodował, albo coś rozerwało go na kawałki - powiedział Oresias. Wskazał na drewnianą klatkę, która była nietknięta. Trochę krwi wyciekło z niej na trawę. Zdjął klatkę z kija i zapakował do gumowej torby. Lugotorix zszedł, by podać jej rękę. - Musimy iść - powiedział stanowczo. W rękę trzymał pistolet maszynowy. Rita nie opierała się.

Zatrzymali się na skraju dołu, by zorientować się w sytuacji. Żołnierze biegli przez trawy do śmigłowców niosąc zapasy sprzętu. Jeden z nich potknął się i upadł z krzykiem. Rita wystraszyła się, że został postrzelony, ale po chwili wstał i podniósł upuszczone skrzynki. Na północy zobaczyła tyralierę jeźdźców zbliżającą się ku nim na koniach, aż po kłęby zanurzonych w trawie. Błoto tryskało spod kopyt, a jeźdźcy śpiewali, a właściwie wyli jakąś hałaśliwą pieśń. Niektórzy wymachiwali mieczami i strzelbami w powietrzu. Zza wzgórz wyłonił się mały wielopłatowiec i zaczął wykonywać akrobacje nad ziemią, brzęcząc jak ogromna wałka. Przeleciał nad jeźdźcami, wbił się w wysoko w powietrze, a potem pikując skierował się wprost na śmigłowce. Kybernetes i obserwator na tylnym siedzeniu starali się przyjrzeć przybyszom. Rita wyraźnie dostrzegła długi czarny teleskop w rękę obserwatora. W chwilę później Lugotorix wziął ją na ręce i pobiegł co tchu do śmigłowca. Oresias próbował biec z nimi. Za nimi biegł Atta, wymachując rękami, w rozwianej pelerynie. Dopędził żołnierzy dźwigających coraz to nowe pudła z transportowca.

- Rzućcie to! Szybko do śmigłowca! - rozkazał. Lecz było już za późno. Konie pędziły już przez obóz. Niektóre wpadały do dołu, nie dostrzegając jednak soczewki, i wydostawały się z drugiego jego końca. Z ich nozdrzy wydobywała się para, a z pysków ciekła piana.

Jeźdźcy mieli czarne getry, ciemnoszare spodnie i luźne karmazynowe tuniki, przewiązane w talii sznurem. Na głowie nosili skórzane kapelusze, które zwisały nad uszami. Otoczyli namioty wymachując strzelbami, śmiejąc się i krzycząc. Żołnierze uciekli między trawy, niektórzy na kolanach, inni stali wyprostowani szeroko otwierając oczy, skuleni, zbyt wystraszeni, by podnieść broń i walczyć.

Stanowili zdecydowaną mniejszość. Co gorsza, zaczęło znowu padać.

Lugotorix umieścił Ritę w śmigłowcu i wskoczył za nią. Tam wepchnął ją za pierwszą przegrodę, a sam stanął obok wejścia chowając za plecami pistolet gotów do strzału. Inni żołnierze schowali się w samolocie, niektórzy wpełzli pod kadłub, chroniąc się przed galopującymi kopytami. Jeźdźców było co najmniej trzystu.

Drugi śmigłowiec uruchomił silnik. Rita przyczołgała się do niskiego okna po przeciwnej stronie. Śmigła zaczęło obracać się ociężale tuż nad trawą. Jeźdźcy, którzy otoczyli śmigłowiec, celowali w kabinę kybernetesa i wskazywali drugą ręką ziemię. Oresias i Demetrios także wyglądali już przez okno. - Nie pozwolą nikomu z nas odlecieć - powiedział Oresias. Jamal Atta maszerował z godnością pomiędzy czterema jeźdźcami na wierzgających koniach, rozglądając się na wszystkie strony. "Pokazuje, że się nie boi", pomyślała Rita. Atta skierował się ku startującej maszynie. Śmigła nabierały szybkości i prostowały się, a trawa wokół falowała. Jeźdźcy nie odstępowali go na krok, nie opuszczali też karabinów. Atta krzyczał coś do kybernetesa, ale nie mogli usłyszeć, o co mu

chodziło.

- Chce, aby zatrzymali silnik - zgadywał Oresias.

Demetrios usiadł przy sąsiednim oknie. - Co się stało z królikiem? - zapytał.

- Nie żyje - powiedział Oresias z goryczą. - Szczęście nas nie opuszcza w czasie tej wyprawy.

- Jak umarł? - nalegał Demetrios.

- Jakby coś go zjadło, a potem wypluło - odpowiedział Oresias ze złością. - My zresztą też możemy być za chwilę martwi.

Otoczony przez konnicę Jamal Atta rozmawiał z muskularnym Kirghizem w czarnej wełnianej kurcie, który nasiąkł wodą i wydawał się jeszcze większy niż byłby normalnie, i wciąż wywijał mieczem przed nosem Atty. Atta nie zwracał na to uwagi, zachowując podziwu godny spokój, mimo że był przemoczony do suchej nitki, a włosy przykleiły mu się do twarzy. Silnik drugiego śmigłowca powoli zaczął cichnąć, a śmigło obracało się coraz wolniej.

- Poddaje się - powiedział Oresias. - Nie ma wyboru.

Rita wciąż trzymała obojczyk mocno w obu dłoniach, choć od kilku minut nie zajmowała się nim wcale. Oderwała wzrok od okna i rozluźniła kurczowo zaciśnięte ręce. Zajęła się ponownie informacjami płynącymi z urządzenia. Widziała bramę, którą nadal reprezentował czerwony krzyż, i wodną mgłę wokół dołu. Jeźdźcy nie byli dla obojczyka istotni - nie dostrzegła symboli, które miałyby ich reprezentować. Coś jednak działo się z czerwonym krzyżem. Otaczały go teraz trzy czerwone kręgi. Dzielily się na trzy równe sekcje i obracały wokół krzyża. "Co to znaczy?" "Brama wciąż się powiększa" - odpowiedział obojczyk. "Jak?" "Kieruje tym ktoś z drugiej strony."

Rita zadrżała. Do tej pory nie bała się naprawdę, była najwyżej zaskoczona, podniecona, zaciekawiona. - Ale narozrabialiśmy - zamruczała pod nosem. Po raz kolejny pomodliła się do Athene Lindia i zamknęła oczy żałując, że Patrikia nie może jej teraz nic doradzić.

Trzech jeźdźców pojawiło się przed wejściem do śmigłowca. Krzyczeli, machali rękoma i wymachiwali mieczami. Oresias wyszedł na zewnątrz i stanął przed nimi wyciągając przed siebie ręce na znak, że jest nieuzbrojony. Ich przywódca, łysy, z długimi cienkimi wąsami, zachęcił go, by się zbliżył.

- Czy mówisz po helleńsku? - zapytał jeździec.

- Tak - odpowiedział Oresias.

- Nasz strategos chce z tobą porozmawiać - nazywasz się Oresias?

Tak.

- Dowodzisz wspólnie z arabiosem Jamalem Attą?

- Tak.

- Co tu robicie? - Łysy jeździec pochylił się do przodu, a na jego twarzy malowało się najwyższe zaciekawienie. Potem nagle wyprostował się i potrząsnął energicznie mieczem. - Nie. Powiesz strategosowi razem z arabiosem, obaj razem.

Trzech jeźdźców poprowadziło Oresiasa przez trawę do miejsca, gdzie Atta rozmawiał z mężczyzną w wełnianej kurcie.

Rita wciąż nie spuszczała oka z obojczyka i odbierała od niego informacje. Okręgi wokół krzyża symbolizującego bramę rozmazały się, co oznaczało, że brama posiada teraz dużo energii. Energia ta stale się powiększała. Rita nie mogła zobaczyć dołu ani bramy bezpośrednio.

- Coś się dzieje? - zapytał Demetrios. Klęczał obok niej, a z jego włosów sączyła się deszczówka. Oboje przypominali zmokłe koty. Demetrios wyciągnął rękę, a ona podała mu obojczyk. Uchwycił go koncentrując się na przekazywanej przez niego informacji. Po chwili jego oczy rozwarły się szeroko.

- Mój Boże - wykrzyknął. - To koszmar.

- Wydaje mi się, że Tatarzy nie spostrzegli nic niepokojącego - powiedziała Rita. - Ale brama jest coraz większa.

- Dlaczego?

- Coś się przez nią przeciska - wyjaśniła.

- Może jacyś ludzie podobni do Sophie - powiedział Lugotorix. Położył pistolet za sobą, gdzie nie było go widać, choć łatwo można było po niego sięgnąć. Obawiał się, że będą przeszukiwani.

Rita potrząsnęła przecząco głową. Była rozgrzana, może nawet w gorączce. "To nie są ludzie" - powiedział obojczyk. "Ludzie inaczej posługują się bramą."

Demetrios utkwił w Ricie pytające spojrzenie. Usłyszał wiadomość, ale nie rozumiał jej. "Jak szybko?" zapytała Rita. "Brama jest otwarta. Nie wiadomo, kiedy przez nią przejdą."

Thistledown, Czwarta Komora

Olmy nie miał czasu, by zastanawiać się, dlaczego Jart ma chęć z nim współpracować; z trudem dawał sobie radę z odbieraniem informacji, które napływały do jego świadomości. Kryło się w tym pewne ryzyko. Jart wraz z zalewem informacji mógł przemycić wirusy lub substancje korodujące, a on w pośpiechu mógłby tego nie zauważyć wystarczająco wcześnie. Jednak trzeba było podjąć to ryzyko.

Wymiana informacji nie była jednostronna. Reprezentant Olmy'ego przekazywał Jartowi niektóre dane na temat ludzi.

Ciało Olmy ego znajdowało się na skale, ponad wąskim strumieniem wpadającym do małego stawu. Światło z asteroidalnego nieba igrało na pokrytej kwiatowym pyłkiem powierzchni wody. Umysł penetrował labirynt społecznej hierarchii Jartów. Był teraz przekonany, że Jart przekazywał informacje dokładne i prawdziwe. Były zbyt przekonujące, całkowicie zgodne z tym wszystkim, co ludzie wiedzieli o swoich wrogach w Drodze.

Schwytany Jart był zmodyfikowanym wykonawcą. Wykonawcy wypełniali rozkazy przekazywane przez wykonawców obowiązku, o różnej strukturze psychiki i kształcie. Wykonawcę można było porównać do posłusznego robotnika, choć jego cele były czasem bardzo złożone. Wykonawca obowiązku planował szczegóły każdego zadania. Decydował, komu ma być powierzone wykonanie pracy i kto zostanie w tym celu wydobyty z pamięci, w której przechowywano nieaktywnych wykonawców. Jeśli wykonanie zadania wymagało przybrania fizycznego kształtu, przydzielano odpowiednie ciało, które mogło być albo tworem mechanicznym, albo biologicznym, albo mieszanką obu typów.

Olmy otrzymał także opis innego rodzaju ciał, lecz nie mógł zrozumieć przekładu, który mówił o formie matematycznej i był bez wątpienia niekompletny.

Jart nie starał się ukrywać żadnych informacji.

Ponad wykonawcami obowiązku, w hierarchii społecznej, znajdowali się komendanci. Komendanci decydowali o polityce i przewidywali rozwój wypadków przy pomocy intensywnie wykorzystywanych metod symulacji i modelowania. Komendantami byli zawsze Jartowie rozwijający się naturalnie w organicznych ciałach, których sztucznie nie udoskonalano. Byli śmiertelni i pozwalano im umrzeć na starość. Nie magazynowano ich w pamięci i nie mogli być odtworzeni. Olmy dziwił się, dlaczego tak ważnej grupie społecznej nie umożliwiono poszerzenia swoich naturalnych możliwości, które pod wieloma względami były bardzo rozwinięte. Zanotował, by reprezentant zapytał o to Jarta.

Ponad komendantami znajdował się nadzór komendantów. W pierwszej chwili Olmy nie mógł zrozumieć, na czym miała polegać jego rola. Członkowie tej grupy nie poruszali się, nie posiadali ciał i przebywali cały czas w pamięci, która jednak różniła się od pamięci dla wykonawców obowiązku. Przeciętny Jart nadzorca - jeśli można ich w ogóle nazwać Jartami - miał tylko zdolność do czystego rozumowania, ściśle dostosowaną do wykonywanych zadań. Najprawdopodobniej zbierał informacje z różnych źródeł, badał je, oceniał osiągnięte cele i skuteczność działania oraz formułował zalecenia dla komendantów.

W całej cybernetycznej technologii Jartów, na ile Olmy zdołał się zorientować, nie było w ogóle sztucznych programów. Przetwarzanie danych odbywało się w psychikach, które żyły kiedyś w

naturalnych ciałach. Nie można było wykluczyć, że istniały gdzieś jeszcze żywe jarty pozbawione już dawnych ciał, które pamiętały czasy sprzed najazdu na Drogę, może nawet ich pierwotny świat.

Jeśli w ogóle istniał jakiś ich pierwotny świat...

Jartowie mogli nie należeć do jednego gatunku, lecz być zlepkiem wielu gatunków, kombinacją bytów i kultur.

Tylko komendanci mogli rozmnażać się w naturalny sposób. Olmy nie otrzymał żadnych informacji na temat ich wyglądu. Uznał teraz, że badanie fizjologii jarta miało wobec tego wszystkiego znacznie mniejsze znaczenie niż ludzie dotychczas sądzili.

Jartowie znacznie skuteczniej niż ludzie pokonali swoje naturalne ograniczenia i udoskonalali, a może nawet tworzyli swój gatunek metodami cybernetycznymi.

Olmy zdał sobie również sprawę, że jeśli Nieskończony Hexamon będzie nadal się rozwijał, ludzie mogą dojść do stworzenia społeczeństwa pod wieloma względami podobnego do jartów. Już mogli to zrobić. Neogeszelowie wywierali presję, by Ziemiński Hexamon powrócił do dawnych obyczajów.

Czy wolność i indywidualność były w ogóle cenione w tej kulturze? Kolejna notatka, kolejne pytanie.

Żadna z odebranych informacji nie zawierała wzmianki o strategicznym znaczeniu. Nie dowiedział się niczego o działalności jartów w Drodze, o ich handlu (jeśli go z kimś prowadzili) i ich ostatecznych celach (jeśli jakieś mieli). Uznał, że nie należy się ich domagać, dopóki nie będzie gotów powiedzieć jartowi czegoś podobnego o ludziach w Drodze.

Wymiana informacji była rodzajem tańca. Kroki były najpierw niezdarne, a potem nagle stały się szybkie i gwałtowne. Wkrótce mogło się zacząć dreptanie w miejscu.

Na razie współpraca układała się znakomicie. Olmy podejrzewał, że nie potrwa to długo. Jart wypełniał swoją misję, choć zapewne podejrzewał, że upłynęło wiele czasu.

A więc, przede wszystkim, czujność.

Ziemia

Prom kosmiczny wystartował z lądowiska Christchurch tak łagodnie, że nikt z pasażerów tego nie odczuł. Karen Farley Lanier zamknęła na chwilę oczy wsłuchując się w okrzyki delegatów. Wielu z nich leciało po raz pierwszy w życiu, a pozostali też nie mieli zbyt wielkiej wprawy w podróżowaniu. Za siedem godzin wylądują na Kamieniu - na Thistledown, poprawiła się. Tylko Rodowici Mieszkańcy nazywali orbitalny asteroid Kamieniem.

Karen była wciąż bardzo drobną kobietą, choć jej włosy nieco posiwiały. Wyglądała dojrzałe, ale nikt nie dałby jej więcej niż czterdzieści lat. Sześćdziesiąt osiem nie przysłoby nikomu do głowy. Była dumna ze swojego wyglądu, który uważała za jeden z sukcesów w walce ze Śmiercią. Skoro ona mogła zachować siłę i młodość, czuła to podświadomie, Ziemia również odzyska swe siły. Czasem oskarżała się o próżność, lecz cóż miałyby być przedmiotem tej próżności, czy może jej celem? Komu miała ona służyć? Mąż nie zwracał uwagi na jej wygląd, od pięciu lat nie usłyszała od niego ani jednego komplementu. Nie uprawiali miłości od trzech lat, nie miała też czasu ani ochoty na romanse.

Życie uczyniło z niej osobę samowystarczalną, emocjonalnie podobną do homorfa Olmy'ego.

Atmosfera na promie była nasycona podnieceniem. Delegaci siedzieli przy oknach z szeroko otwartymi oczyma. Po półtorej godzinie widoki gwiazd i Ziemi znudziły się trochę i zaczęli interesować się sobą nawzajem. Karen przyglądała się wnętrzu kabiny. Było obszerne i tonęło w półmroku. Jak na większości promów Hexamonu, meble przypominały miękkie ciasto chlebowe białego koloru. Kanapy rozstawione były swobodnie, by łatwo było z nich korzystać, i przybierały kształt osoby, która na nich siedziała. Wszędzie tam, gdzie delegaci czytali małe kawałki papieru (jakże to archaiczne w tym pomieszczeniu!), pojawiały się światła, zaś tam, gdzie spali, zapadał mrok.

Prom był jednym z większych, mógł bez trudu pomieścić kilkuset pasażerów. W tej chwili było ich tylko czterdziestu pięciu, głównie mężczyzn i kobiet zebranych z całej Ziemi. Miał to być wielki eksperyment. Tworzenie wielkiej rodziny na Ziemi, pokonywanie barier nieufności. Uczestnicy mieli wytworzyć między sobą więź, dostrzec wspólne problemy, zacząć patrzeć na innych jak na pomocników, a nie konkurentów.

Pierwsze spotkanie w Christchurch poszło dość gładko. Karen nawiązała z nimi życzliwy kontakt, mimo swego wysokiego stanowiska Naczelnego Koordynatora Ziemi, i została przez większość z nich zaakceptowana jako członek grupy.

Kilku delegatów starało się z nią zaprzyjaźnić czy choćby nawiązać bliższe kontakty, aby zająć w grupie bardziej uprzywilejowane miejsce. Jednym z nich była Chinka w średnim wieku, której kraina, położona niedaleko rodzinnej prowincji Karen, zetknęła się z Ziemskim Hexamonem dopiero przed kilku laty. Innym był dumny Ukrainiec z wieloma bliznami na twarzy, reprezentujący grupę Niezależnych, którzy jeszcze dwadzieścia lat po Śmierci nie dopuszczali do swych miast i osad ratowników. Trzecim był mieszkaniec miasta Meksyk, które przetrwało liczne bombardowania, lecz potem zostało całkowicie zniszczone przez radioaktywne promieniowanie. Zasiedlono je ponownie latynosami z Południowej Ameryki i uchodźcami z nadgranicznych miast...

Karen doceniała ich zaufanie, ale starała się ich zniechęcić. Nie szukała współpracowników, którzy zarządzaliby innymi. Zależało jej tylko na sukcesie. Była to okazja jedyna w swoim rodzaju i

nie wolno było jej zmarnować.

Na ich twarzach odcisnęły piętno wszystkie cierpienia Ziemi, mimo że część z nich urodziła się po Śmierci. Tylko bardzo niewielu poddano terapii pseudo-talsitu, która pomagała im utrzymać psychiczną równowagę i w pełni wykorzystywać zdolności umysłowe nawet w najgorszych czasach. Inni byli po prostu bardzo odporni. Zostali osobiście wybrani przez socjologów Hexamonu, którzy przez cztery lata szukali odpowiednich ludzi do tego zadania. "Należą do najlepszego gatunku" - powiedziała o nich Suli Ram Kikura, koordynatorka programu. "Są silni i naturalni, i nikt nie usiłował ich dotychczas zmieniać."

Większość z nich, to lokalni przywódcy, którzy zdobyli władzę bez pomocy Hexamonu. Czuli się ze sobą swobodnie, choć spotkali się po raz pierwszy. Ich kraje nie graniczyły ze sobą ani nie handlowały, nie było więc wzajemnych uprzedzeń i animozji. Jeśli powiodą się plany Hexamonu, za dziesięć lat powstanie nowa struktura społeczna, i mieszkańcy tych krajów nawiążą ze sobą kontakty. Karen miała nadzieję, że dzięki wizycie na Kamieniu kontakty te będą dojrzsze, bardziej odpowiedzialne i twórcze. Garstka delegatów stanie się ziarnem, które zakiełkuje na całej Ziemi.

Ser Ram Kikura wielokrotnie krytykowała politykę psychologiczną Hexamonu i jego praktykę mieszania osobowości. Ten eksperyment miał pomóc Ziemianom rozwijać się w zgodzie z ich naturą i stanąć na nogach o własnych siłach.

Część Ziemian przewidywała, że Hexamon nie będzie trwał wiecznie w obecnej postaci. Zbyt szczupłe zapasy materiałów potrzebnych, by podtrzymywać życie społeczne na Kamieniu, zmiany postaw, problemy z własnymi przodkami na uratowanej Ziemi - to wszystko miało wpływ na losy Hexamonu.

Jeśli Ziemia miała przetrwać, trzeba było pracować nad jej niezależnością.

Karen mówiła po chińsku, angielsku, francusku, rosyjsku i hiszpańsku. Dwu ostatnich języków nauczyła się błyskawicznie dzięki urządzeniom Hexamonu. To wystarczało, by mogła bezpośrednio porozumiewać się z większością delegatów. Ci nieliczni, którzy mówili innymi językami, na przykład takimi, które rozwinęły się dopiero po Śmierci, znali na szczęście jeszcze jakiś drugi, powszechnie używany język. Nie było tłumaczy ani tłumaczących maszyn, które zakłócałyby intymną atmosferę. Delegaci uczyli się polegać na sobie. Nie minie tydzień, a będą mówić nawzajem swoimi językami, których uczą się w trzeciej komorze, a także wieloma innymi.

Po raz pierwszy od wielu lat Karen czuła głęboką satysfakcję ze swojej pracy. Przeszła równie dużo jak Garry w ciągu ostatnich czterech dekad. Podróżowała po spustoszonej Ziemi, widziała śmierć i zniszczenie, niekończącą się walkę. Więcej niż mogła znieść. Straciła córkę. A jednak poradziła sobie. Walczyła z bólem inaczej niż Lanier. Nie pogrążyła się w poczuciu winy, ale odrzucała je, izolowała od niego swoją osobowość, aż w końcu wykonywała swoją pracę jak zawodowa pielęgniarka, która pomaga cierpiącym, ale nie nasiąka ich cierpieniem. Jej sukces nie był całkowity, pozostało w niej wiele ran, nie pogrążyła się jednak we wszechogarniającej rozpacz.

Zmusiła się, by przestać o tym myśleć. Była trochę zaskoczona, że wspomnienia tamtych wydarzeń wróciły do niej tak niespodziewanie. Już dawno nauczyła się tłumić niewygodne myśli. Dzięki temu mogła nie zajmować się kłopotami z mężem, gdy byli z dala od siebie, i poświęcać całą energię zadaniom, które wykonywała. Ich ostatnie spotkanie... Garry był zdenerwowany, może przestraszony, choć nie dawał tego po sobie poznać... Eskortował człowieka, który nie miał prawa być na Ziemi... Myśli znów powędrowały ku małżonkowi.

Na chwilę przestała słuchać rozmowy delegatów siedzących koło niej i wyjrzała przez okno. Czy Garry był na Kamieniu? Z tym dziwnym Rosjaninem, który na pewno nie istniał? Trzymała się uparcie własnego rozwiązania zagadki, które przyszło jej do głowy zaraz w pierwszej chwili. Ktoś

starał się nabrać jej męża. Mirski nigdy nie odleciał w głąb Drogi. Lecz im więcej o tym myślała - a trudno jej było nie myśleć, skoro nie miała akurat nic ciekawszego do roboty - tym bardziej wszystko wydawało się jej nieprawdopodobne.

Ogarnęła ją złość. Coś wisiało w powietrzu. Coś doniosłego. Powrót Mirskiego był jej bardzo nie na rękę, gdyż obawiała się, że Garry jeszcze bardziej poświęci się pracy. Kontakt z kosmicznymi tajemnicami też pewnie nie wyjdzie mu na dobre. Zamiast łagodzić ból, może go jeszcze wzmóc.

Marszcząc brwi odwróciła się od gwiazd migocących za oknem. W przeciwieństwie do Laniera, Karen nie cierpiała z powodu zmian, jakie następowały w jej życiu. Lubiła nowości - loty kosmiczne, Kamień, hexamońskie udogodnienia. Lecz to, że Mirski wrócił, nie mieściło się jej w głowie. Chciała zrozumieć, jak to możliwe, i nie mogła. Odpowiedź umykała jej, jak ryba, którą chce się złapać gołymi rękoma.

- Ser Lanier - chińska delegatka uśmiechnęła się szeroko i usiadła obok Karen na kanapce. Była niska i pulchna, może dziesięć lat młodsza od Karen. Jej twarz pokrywały gęste kręgi zmarszczek. - Wyglądasz na zmartwioną. Czy to z powodu konferencji?

- Nie - odpowiedziała Karen uśmiechając się. - Kłopoty osobiste.

- Twój umysł powinien odpocząć - doradzała delegatka. - Wszystko będzie dobrze. Jesteśmy przyjaciółmi. Nawet ci, o których się martwiłam na początku.

- Wiem - powiedziała Karen. - To nic, naprawdę. Nie zwracaj na to uwagi. - "Znów mi to zrobił," pomyślała o mężu. "Nie mogę się od niego uwolnić." Zamknęła oczy i zmusiła się, by zasnąć.

Thistledown

Reprezentant Korzeniowskiego odszukał Olmy'ego w lesie, w czwartej komorze, dwa dni po jego przybyciu. Umieszczony w tubie w kształcie krzyża, reprezentant przeszukiwał komorę promieniami podczerwonymi i odkrył siedemset pięćdziesięciu ludzi. Przeważnie chodzili w grupach, po trzy osoby lub więcej, tylko siedemdziesięciu wędrowało samotnie. Spośród nich tylko dwu, w ciągu pół dnia obserwacji, wyraźnie unikało towarzystwa. Analizując ich widmo cieplne udało się ustalić, który mógł być samowystarczalnym homorfem.

W każdych innych warunkach takie poszukiwanie, rażąco naruszające prawo do prywatności, byłoby niedopuszczalne. Jednak Korzeniowski wiedział, jak ważne jest spotkanie Olmy'ego i Mirskiego. Olmy musiał koniecznie pojawić się podczas debaty Nexus nad ponownym otwarciem Drogi. Inżynier nie mógł już sprzeciwiać się temu projektowi. Argumenty Mirskiego były przekonujące, choć brzmiały dziwacznie. Czy można odrzucić prośbę bogów, nawet jeśli mieszkają na drugim końcu czasu?

Reprezentant nie musiał się nad tym zastanawiać. Szybował ponad dnem doliny, wypatrując obozowiska Olmy'ego, a gdy je odnalazł wyświetlił piktorom obraz Korzeniowskiego wraz z informacją o jego statusie.

Olmy zobaczył, że Korzeniowski wychodzi z lasu i mrużąc kocie oczy, z uśmiechem na twarzy, podchodzi się przywitać. - Dzień dobry, ser Olmy - powiedział reprezentant Inżyniera.

Olmy powstrzymał informacje nadchodzące od jarta i ogarnęła go całkiem ludzka irytacja. - Zadał pan sobie wiele trudu - wyświetlił swoim piktorom.

- Zdarzyło się coś wyjątkowego - poinformował go reprezentant. - Jest pan proszony o przybycie do trzeciej komory.

Olmy stanął przy namiocie w zakłopotaniu. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

- Zostanie podjęta decyzja dotyczące Drogi. Mój oryginał prosi pana o przybycie.

- Czy wzywa mnie Nexus?

- Nie jest to oficjalne wezwanie. Czy pamięta pan Pawła Mirskiego?

- Nigdy się nie spotkaliśmy - odparł Olmy. - Ale wiem, kto to jest.

- Wrócił - powiedział reprezentant podając kilka szczegółów za pomocą piktora.

Twarz Olmy'ego wykrzywił nagły grymas bólu. Wzdrygnął się, a potem jego ramiona obwisły, a całe napięcie odeszło. Odłożył na później sprawę jarta i skoncentrował się na swoim stosunku do Korzeniowskiego, który kiedyś był jego nauczycielem. Powrót Mirskiego był rzeczą dziwną, zastanawiającą, a jednocześnie ekscytującą. Nawet gdyby wzywał go ktoś inny niż Korzeniowski, ta wiadomość była wystarczającą zachętą, aby opuścić las i pożegnać się na jakiś czas z samotnymi rozmyślaniami.

Wydarzenia następowały po sobie szybciej, niż się tego spodziewał.

- Czy zdążę wyjść stąd pieszo? - zapytał uśmiechając się. Nie opuściło go poczucie humoru. Poczuł, jak bardzo brakowało mu ludzkiego towarzystwa, kogoś, kto mógłby to docenić. Gość odwzajemnił uśmiech. - Nieco szybszy środek transportu przybędzie za chwilę.

- Synu marnotrawny - wykrzyknął Korzeniowski, obejmując Olmy'ego w korytarzu sali posiedzeń Nexus. - Przepraszam, że wysłałem reprezentanta, by pana odszukał. Założyłem, że chciał się pan ukryć i zadanie nie będzie łatwe.

Olmy zawstydził się. Stał przed swoim nauczycielem i nie chciał powiedzieć, co robił. Wciąż musiał kontrolować, co robił jart w przydzielonym mu implancie. - Gdzie jest Mirski? - zapytał, aby skierować rozmowę na inny temat.

- Z Garrym Lanierem. Nexus spotyka się za dwie godziny. Mirski będzie przemawiał do obu izb. Chce porozmawiać najpierw z panem.

- Czy jest realny?

- Nie mniej niż ja - odrzekł Korzeniowski.

- To mnie właśnie niepokoi - Olmy zmusił się do uśmiechu.

- Opowiada zdumiewające historie. - Korzeniowski nie miał ochoty na żarty. Spoglądał na stalową ścianę, w której wewnątrz korytarza odbijało się niewyraźnie, jakby za mgłą. - Narobiliśmy sporo kłopotu.

- Gdzie?

- Na końcu czasu - wyjaśnił Korzeniowski. - Pamiętam, że zastanawiałem się nad tym przed kilkoma stuleciami, gdy projektowałem Drogę. Wtedy wydawało mi się to mało prawdopodobne. Nie sądziłem, że moje dzieło może mieć taki wpływ na wszechświat... Ale ten pomysł przyszedł mi do głowy. Nie mogłem wykluczyć, że ktoś wróci z przyszłości jak duch.

- I oto wrócił.

Korzeniowski skinął głową. - Nikogo nie oskarża. Jest szczęśliwy, że wrócił. Cieszy się prawie jak dziecko. Mimo to, boję się go trochę. Spoczywa na nas teraz wielka odpowiedzialność. - Korzeniowski utkwił w Olmy swe uważne spojrzenie. - Czy odmówiłbyś prośby o pomoc? Olmy machinalnie potrząsnął głową. Zawdzięczał tak wiele Inżynierowi, że nigdy tego nie spłaci. Nawet przywrócenie kogoś do życia nie byłoby wystarczającym zadośćuczynieniem. Korzeniowski ukształtował jego życie, stworzył mu możliwości, których on sam nigdy by nie zdobył. Dlatego niepokoił się, czy jego własne plany dadzą się pogodzić z zamierzeniami Korzeniowskiego. - Zawsze możesz na mnie liczyć.

- W najbliższych miesiącach, a może nawet dziś, jeśli Mirski przekona Nexus równie skutecznie jak nas, zamierzam poprzeć ponowne otwarcie Drogi - oznajmił Korzeniowski.

Ironiczny uśmiech przemknął przez twarz Olmy'ego.

- Tak, wiem - łagodnie zgodził się Inżynier. - Kiedyś nasze poglądy w tej sprawie się różniły.

Nikt go nie rozumiał, nawet jego nauczyciel. Olmy nie chciał tracić czasu na wyjaśnienia. Jednak nie mógł się powstrzymać, by dyskretnie nie zwrócić Korzeniowskiemu uwagi. Choćby po to, by nie zagubić właściwej perspektywy.

- Wydaje mi się, że nie jest pan z tego powodu całkowicie nieszczęśliwy?

- To wyzwanie i przygoda - odrzekł Korzeniowski - a także mądrość. Zawsze dążyłem do mądrości. Który z nas chce bardziej powrotu potwora?

- Który z nas naprawdę nie boi się skutków tego otwarcia? - zapytał Olmy.

Lanier i Mirski wyłonili się z windy i podeszli do nich. Mirski szedł pierwszy uśmiechając się i z daleka wyciągając do Olmy'ego rękę. - Nie znamy się - oznajmił. Olmy uścisnął jego dłoń - była ciepła i ludzka.

- Jest pan wykonawcą naszych obowiązków - zaczął Mirski. Olmy nie zdołał ukryć reakcji, jaką wywołały niespodziewane słowa. Mirski zamilkł patrząc uważnie na swego rozmówcę. "Na kogo on patrzy?" zastanawiał się gorączkowo Olmy. - Czy zna pan sprawę?

Po chwili wahania Olmy zdobył się na wymijającą odpowiedź: - Częściowo.

Nie mógł nie rozumieć. - Tak.

- Przygotowywał się pan do tego?

Mirski potwierdził skinieniem. - Oczekiwałem tego pytania. Jestem gotów przedstawić świadectwa - zapewnił. - Pragnę jak najprędzej skłonić Hexamon do rozpoczęcia działań. - Odszedł na bok tak nagle, że wszyscy poczuli się zaskoczeni.

Olmy zwrócił się do Laniera, gdy Rosjanin przechodził obok drzwi do sali obrad: - Jak zdrowie? I jak się czuje żona? - zapytał.

- Właśnie przybyła na Thistledown - wtrącił Korzeniowski. - Pracuje razem z ser Ram Kikurą.

- Czy Nexus mnie wysłucha? - zapytał Mirski zbliżając się do nich. - Jestem zdenerwowany. Czy uwierzy pan w to?

- Nie - odpowiedział Korzeniowski z lekką ironią w głosie.

Mirski zwrócił się nagle do Olmy'ego. - Pan jest przekonany, że jartowie czekają w Drodze, by z nami walczyć - powiedział. - I podejrzewa pan, że będą tam jeszcze inni. Pan wie, że kiedyś sprzymierzeńcem jartów był Talsit - obawia się pan, że to się może powtórzyć. Pracuje pan nad tym, prawda? O to pana właśnie podejrzewam! - powiedział poważnie patrząc Olmy'emu prosto w oczy. Olmy potwierdził.

- Czy to ten sam Mirski? - Olmy zapytał Laniera, gdy Mirski znów zaczął spacerować po korytarzu.

- Tak i nie - odparł Lanier. - Nie jest człowiekiem.

Korzeniowski przyjrzał się Lanierowi. - Pan to wie, czy tylko przypuszcza?

Lanier zacisnął usta. - Nie może być człowiekiem. Po takich przeżyciach. Nie powiedział nam jeszcze wszystkiego. Nie wiem, dlaczego.

- Czy on już wie, jaką podejmiemy decyzję? - zaciekał się Olmy.

- Nie. Myślę, że nie. - Lanier rozmarzył się. - Nigdy nikogo podobnego nie spotkałem. Zazdroszczę mu.

- Może powinniśmy powstrzymać się od ocen - chłodno zauważył Korzeniowski. - Mając anioła w pobliżu.

Mirski podszedł raz jeszcze. - Zdenerwowany! Nie byłem zdenerwowany od... od bardzo dawna! To wzruszające.

Korzeniowski był coraz bardziej poirytowany. - Czy pan się dobrze czuje? - zapytał ostro.

- Przepraszam? - Mirski stanął przed nim zakłopotany.

- My... Ja jestem zmuszony podjąć decyzję, której obawiam się od czterdziestu lat! Jeśli będziemy musieli walczyć z jartami, może dojść do katastrofy. Możemy stracić wszystko. - Grymas wykrzywił mu twarz. - Także Ziemię.

- Bardziej się o to martwię, niż pan podejrzewa - powiedział poważnie Mirski. - A stawką jest coś więcej, niż tylko Ziemia.

Nie udobruchało to Korzeniowskiego. - Jeśli jest pan aniołem, zapewne nie musi się pan troszczyć o własną skórę tak bardzo jak my.

- Aniołem? Czy pan się na mnie obraził? - zapytał Mirski bardzo uprzejmie.

- Jestem zdenerwowany tą sytuacją! - powiedział Korzeniowski chowając głowę w ramionach. - Przepraszam za ten wybuch. - Spojrzał na Olmy'ego, który ze skrzyżowanymi ramionami przysłuchiwał się wymianie zdań. - Każdy z nas przeżywa trudne emocje. Ser Olmy chciałby powrócić do swoich badań i nie bać się, że coś się stanie z Hexamonem. Mnie fascynuje perspektywa ponownego otwarcia Drogi. Ta moja część, która pamięta Patrikię Vasquez...

Lanier niemal podskoczył, gdy Korzeniowski zmierzył go niespodziewanie wzrokiem.

- Ta część niecierpliwi się najbardziej. Ale nasze pragnienia nie zawsze służą dobru Hexamonu, ser Mirski. Pańska opowieść była bardzo przekonująca... Po prostu zirytowała mnie pańska

beztroska. - Korzeniowski spojrział pod nogi i nabrał powietrza w płuca.

Mirski nie odezwał się.

- W gruncie rzeczy - wtrącił Olmy - i tak naciskanoby na Hexamon, by otworzył Droge, nawet i bez pańskiego udziału.

- Dziękuję za tę lekcję - powiedział cicho Mirski. - Brak mi odpowiedniej perspektywy. Muszę przekonywać Nexus bardzo ostrożnie. - Rozpostarł ramiona i przyjrzał się sobie. Był wciąż ubrany w strój wędrowca. - Znów mieć ograniczenia! Myśleć mózgiem. To wspaniałe być znów w ciele. Dzika, pijana ślepotą... mięsiste tempo.

Symbol Ziemskiego Hexamonu - Ziemia otoczona łańcuchami DNA - pojawił się przy drzwiach. Reprezentant premiera Drisa Sandysa zmaterializował się obok symbolu.

Mirski, prostując ramiona i uśmiechając się, przeszedł pierwszy przez drzwi. Lanier został z tyłu przepuszczając Korzeniowskiego i Olmy'ego. Gdy prowadzono go na właściwe miejsce, przypominał sobie poprzedni raz, gdy zeznawał przed zgromadzeniem Nexus w Axis City. Dziś nie wydawało mu się to odległą przeszłością. Ziemia była wtedy dotkliwie poraniona, prawie umierająca.

Mirski stał cierpliwie na podeście dla świadków przed prezydenckim podium. Na podeście, obok prezydenta Farrena Silioma, siedział poseł Lanier, który właśnie włączył piktor na oparciu fotela. Zdawał sobie sprawę, że ponownie przeżyje rozstrój nerwowy, ale ciekawość była silniejsza.

Pewien ortodoksyjny naderyta za nim uśmiechnął się uprzejmie i zasygnalizował piktozem, że ciekaw jest wieku Laniera.

- Jestem z Ziemi - padła odpowiedź.

- Rozumiem - powiedział naderyta. - Czy wie pan coś o dzisiejszym wystąpieniu?

- Nie chcę zdradzić niespodzianki przed czasem - odparł Lanier konspiracyjnie. - To będzie nie lada przeżycie.

Gaia

Kirgiz w czarnej wełnianej kurcie przewodniczył posiedzeniu sądu w jednym z namiotów. Siedział po turecku pośrodku kręgu złożonego z pięciu swoich pomocników oraz Oresiasa, Jamala Atty, Demetriososa i Lugotorixa. Rita stała wraz z innymi na zewnątrz kręgu, z rękoma związanymi mocnym sznurem. Najwidoczniej nie wiedzano jak potraktować kobietę, która znalazła się na wojennej wyprawie. Nie wierzono, by mogła być kimś ważnym. Nikt nie starał się wyprowadzić przybyłych z błędu.

Tłumacz zbliżył się jeńców. Był niski i muskularny. Miał na sobie mundur uszyty według mody panującej obecnie na Rhusi. Kołnierze ozdabiała muszle, getry ciasno opinały nogi, a buty miały elastyczne podeszwy. Potężny Kirgiz o byczym wyrazie twarzy przemawiał, a tłumacz przekładał jego słowa na helleński.

- Jestem Batur Czingiz. Rządzę tym terenem w imieniu moich władców z Azowskiej Rhusi. Jesteście najeźdźcami. Chcę znać cel waszego przybycia, aby powiadomić przez radio mojego króla.

- Jesteśmy ekspedycją naukową - zaczął wyjaśnienia Oresias.

Tłumacz uśmiechnął się pod nosem, zanim przetłumaczył tę odpowiedź. Batur również się roześmiał, odsłaniając przy tym żółte zęby.

- Nie jestem głupi. Gdyby chodziło o to, poprosilibyście naszych naukowców, zamiast ryzykować własne życie.

- Sprawa była bardzo pilna - kontynuował Oresias.

- A co powie ten czarny, arabios ?

Jamal Atta skinął głową. - Zgadzam się.

- Zgadzasz się ze mną czy z białoskórym dowódcą?

- Jesteśmy wyprawą naukową.

- Pewnie uciekacie z pałacu. Stchórzyliście i chcecie się ukryć na naszym ogromnym stepie.

- Wiemy bardzo mało o rewolucji.

- My też otrzymaliśmy wiadomość dopiero kilka godzin temu. - Kirgiz uniósł ramiona i zadzierając głowę przyglądał się im ponad swoim podbródkiem. - Nie jesteśmy prostakami. Ani barbarzyńcami - dodał tłumacz. - Mamy radio i kontaktujemy się ze światem. Czasem nawet kąpiemy się, gdy nie ma suszy. Uzbroiliśmy kraj.

- Mamy wiele szacunku dla dzielnych żołnierzy kirghiskich. - Oświadczył Atta patrząc na Oresiasa. - Jesteśmy intruzami i pokornie prosimy o łaskę. Jesteśmy pewni, że pod bożym niebem i nad diabelskimi trawami, wielki jeździec Batur Czingiz nie odmówi nam tego. - Oresias zmrużył oczy, lecz nie protestował przeciw dyplomatycznym zabiegom Atty.

- Cieszę mnie twoje mądre słowa. Ale łaska nie zależy ode mnie. Jestem żołnierzem, a nie wodzem. Dość na razie. Czy możecie powiedzieć więcej, zanim zapytam przełożonych, co z wami zrobić?

Rita zadrżała. Odebrano jej obojczyk, gdy została wyciągnięta ze śmigłowca. Nie wiedziała, co działo się z bramą. Nadchodziła noc. Przede wszystkim chciała być jak najdalej stąd, daleko od sprawy, w którą wciągnęła ją babka i Jej Imperiał Hypselotes.

Była przerażona. W ciągu ostatnich godzin zrozumiała kilka rzeczy, na które dotychczas starała się nie zwracać uwagi. Nie była nieśmiertelna. Ci ludzie mogli ją łatwo zabić. Lugotorix nie był w

stanie jej obronić, choć w razie potrzeby gotów byłby umrzeć pierwszy.

Sama doprowadziła do tego. Nie będzie jej łatwo oskarżyć o wszystko ojca i Patrikę. Sama zgodziła się tu przylecieć. Wprawdzie nie mogła przewidzieć, co postanowi Kleopatra, gdy zobaczy instrumenty Patriki, ale...

Zadrzała raz jeszcze.

Żołnierze wyprowadzili ich z namiotu i zagnali do tymczasowego więzienia, zrobionego z płótna namiotowego zaciągniętego na kijki i drewniane paliki. Prowizoryczna zagroda nie miała dachu, więc hulał po niej zimny wiatr. - To już koniec - powiedział Atta, gdy skończono strażnicy zamykali za nimi ogrodzenie.

Więzienie było bardzo prowizoryczne, ale zastraszeni jeńcy nie mieli odwagi nawet dotykać płótna. Strażnicy przy pomocy gestów dali im do zrozumienia, że będą strzelać, jeśli tylko ktoś spróbuje wyrzucić tkaninę. Czuli, że po drugiej stronie są strzelby gotowe do strzału.

Rita usiadła na kamieniach obejmując kolana rękoma i opierając na nich twarz. Przez wiele godzin bala się i teraz bolała ją całe dno. Chciała się wysuszyć, ale nikt nie pomyślał jeszcze o urządzeniu latryny, a ona sama była zbyt zdenerwowana i zmęczona, by się za to zabrać. Zanosilo się na to, że będzie musiała i o to zatroszczyć się sama.

Spojrzała na gwiazdy, które nigdy jeszcze nie wyglądały tak żałośnie i poczuła, jak chłód przenika w głąb jej ciała. "O niczym nie wiedzą i o nic się nie troszczą." Bogowie nic tu nie znaczyli. Jak daleko sięgała władza Athene? Poza Gaią nie miała chyba żadnego znaczenia.

Modlitwa nie przyniosła jej pociechy, a strach przed rychłą śmiercią z dala od Rodos nie ustępował.

- A niech to wszyscy diabli, muszę się wysikać - powiedziała głośno. Jama Atta popatrzył na nią z góry, marszcząc brwi.

- Ja też - powiedział. - Musimy...

Nagle Rita dostrzegła coś fascynującego - nad stepem w całkowitej ciszy przesuwała się fosforyzująca zielona linia.

... zrobię ogrodzenie tam w rogu - kontynuował Atta.

Linia minęła ich zagrodę. Nie można było ustalić, jak daleko od ziemi się poruszała. Po chwili pojawiła się następna poprzeczna linia. Skrzyżowały się nad ogrodzeniem, a więc były pewnie niezbyt daleko.

Coś działo się w bramie.

Linie oddaliły się. Zza ogrodzenia dobiegały odgłosy rozmów, szurania butami i szelest trawy - nie było w nich nic niezwykłego. Obóz pogrążony był prawie zupełnie w ciemności. Rita czuła zapach błota, ludzkiego ciała i wilgotnego stepu.

Bezwolnie podeszła za Attą w róg ogrodzonego terenu, gdzie postanowiono urządzić latrynę. Zdjęła spodnie i załatwiła swoją potrzebę. Kilku mężczyzn patrzyło w jej kierunku mimo mroku, starając się dostrzec choć kawałek obnażonego ciała. Wychodząc z zaznaczonego obszaru starała się patrzeć wprost na nich. Stali pochyleni, ze zwieszonymi głowami, a sierp księżycy i gwiazdy oświetlały ich twarze lodowatym blaskiem.

Tak się to wszystko skończyło. W głębi serca miała nadzieję, że coś wyjdzie z bramy. To była ich jedyna szansa na uniknięcie wyroku.

Czy zielone linie były prawdziwe, czy może się jej to przywidziało?

Przez kilka minut nasłuchiwała z rękoma wciśniętymi do kieszeni. Zimno pozbawiło ją całej energii, miała ścierpiętą twarz. Wiatr wydymał płótno. Obawiając się, że strażnicy mogą strzelić, cofnęła się odruchowo. Zaczął padać deszcz, a ciemna chmura przesłoniła księżyc. Z trudem widziała

swoje ręce.

Kolejne krople spadały na jej głowę. Wytężyła uwagę i nasłuchiwała odgłosów zza ogrodzenia. Nie było słycać żadnych głośów. Ani koni, ani kroków. Tylko deszcz uderzający o płótno i świst wiatru.

Księżyc wyłonił się na chwilę. Lugotorix stał obok niej. Był ogromny i ubłocony. Bez słowa, dotykając tylko jej ramienia kazał jej spojrzeć na lewo. Za ogrodzeniem wznosił się świetlisty miecz, tak szeroki jak rozpostarte ramiona. Jego krawędzie falowały, jak gdyby był zanurzony w wodzie. Gładko wygiął się w jedną stronę i zniknął. "Śmierć", pomyślała. "Wygląda jak śmierć."

- Kirghizi? - zapytał Kelt cicho. Nikt inny nie spostrzegł dziwnego zjawiska.

- Nie - odpowiedziała.

- Tak myślałem - mrucał Kelt pod nosem. Rita zaczęła szukać Oresiasa i Atty korzystając ze światła księżyca, który znów na moment się pojawił. Zanim ich znalazła, księżyc schował się za chmurą.

Ze wszystkich stron dobiegły ją ohydne odgłosy rozdierania, łamania, szarpania. Krzyknęła i wyciągnęła rękę do Lugotorixa, ale jego już nie było. Jakaś siła darła płótno ogrodzenia na strzępy. Zerwała się wichura. Poczwała rzędy gwoździ przebijające jej plecy. Chciała krzyceć, ale była jak sparaliżowana, nie mogła nabrać powietrza w płuca. Jakimś cudem nie upadła, coś utrzymywało ją na nogach. Obok Lugotorix skowyczał jak pies - nigdy nie wyobrażała sobie, że może wydawać takie dźwięki. Stała z odrzuconą głową, otwartymi ustami, oparta o lodowatą pustkę, a nad nią znów pojawiły się zielone linie.

Uniosła się w górę. Pod nią trawa stała się ostra i metaliczna. Obóz pokrywały falujące stalowe ostrza o drżących krawędziach, zakończone płaskimi osłonami. Rita zeszywniała. Nie mogła krzyceć, poruszać się, ani oddychać. Widziała wszystko dookoła, ale stopniowo czuła, że przestaje myśleć.

Przez długi czas była przytomna, a jednocześnie miała wrażenie, że jest martwa.

Gaia

Obojczyk pojawił się w jej rękach i pocieszył ją. Poznał ją i na chwilę to wystarczyło. Potem wycofał się i bardzo za nim tęskniła.

* * *

Natychmiast, a jednocześnie później, zrozumiała wiadomość, jaką jej przekazał obojczyk. Brama była w pełni uruchomiona i miała "komercyjną szerokość". Były także inne bramy. Wcale jej to nie uspokoiło.

Lugotorix stał nagi pomiędzy ogromnymi ostrzami podobnymi do węży, a jego ramion i ud dotykały fosforyzujące zielone punkty. "Czy masz z nim związek?"

Tak. "Czy go potrzebujesz?"

Tak. "A innych?"

Pomyślała o Demetriosie i Oresiasie.

Zostali uratowani.

Była ciekawa, co stało się z pozostałymi.

Nie podobało się jej, że zajmowano się głównie nią.

Na pewien czas została zwielokrotniona i niektóre jej dusze doznawały przykrych uczuć. Nic więcej nie pamiętała. Jej ciało nie zostało uszkodzone ani zranione.

Pozbawiono ją prywatności.

Zapytano, czy Athene otworzyła bramę na Gai, albo Isis albo Astarte. Rita zaprzeczyła. Nie wierzyła, że tacy bogowie naprawdę istnieją. To wzbudziło zainteresowanie. "Czy bogowie zostali wymyśleni, aby pocieszać cię, gdy boisz się śmierci?"

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. "To nie ty zbudowałaś obojczyk?" Nie oczekiwano odpowiedzi. To było oczywiste. "Skąd go masz?" Powiedziała im.

Uwierzono jej.

Zainteresowano się losami sophe.

Umarła, poinformowała Rita. "Pochodzisz z niej."

Znów nie czekano na odpowiedź.

Przez chwilę czuła przykrości gorsze od bólu.

Upływ czasu był wspaniałym przeżyciem.

Nic nie pamiętając stała pod błękitnym niebem na marmurach, ponad spienionym morzem.

Obraz odchodził i powracał. Była znów młoda. Stała w sanktuarium Athene Lindia. Pamiętała wszystko, co stało się potem. Młody mężczyzna stał obok niej. Niewyraźnie przystojny, z nieokreśloną twarzą. Miał na sobie białą koszulę i spodnie z rozciętymi nogawkami. Wyglądał jak rybak, choć nim nie był. Nie był jej kochankiem. Nie był też przyjacielem.

- Czy jest ci przyjemnie? - zapytał obchodząc ją dookoła. - Powiedz prawdę.

- Nie jest źle.

- Mam nadzieję, że wybaczysz naszą inwazję. Mieliśmy mało okazji, by pracować z twoim gatunkiem. Źle cię potraktowano.

Niczego nie wybaczyła. Była zbyt zagubiona, aby zajmować się takimi szczegółami.

- Czy chciałabyś mnie jakoś nazwać?

- To bez znaczenia. I tak będziesz obcy.

- Czy wolałabyś, żebyśmy tu zostali? Rozsądnie byłoby powiedzieć: tak. Skinęła głową.

Cieszyło ją słońce, które grzało jej twarz, a chłodny spokój świątyni dodawał otuchy. Nie wierzyła, że naprawdę tu się znajduje. "Jestem Ritą", powtarzała sobie. "Żyję. Może przeszłam przez bramę. Może babka przybyła z piekieł Hadesu."

Thistledown City

Tylko on sam i jego prawnicy wiedzieli, dlaczego prezydent nie zamieszkał w oficjalnych apartamentach pod kopułą Nexus. Zamiast tego wybrał małe, skromnie urządzone mieszkanie w piątym budynku Centrum Podróży przylegającym do arboretum, odległym o pięć kilometrów od kopuły. Cztery godziny po wystąpieniu Mirskiego Farren Siliom przyjął Korzeniowskiego, Mirskiego, Olmy'ego i Laniera. Był szorstki i jak się wydawało z trudem powstrzymywał gniew.

- Proszę mi wybaczyć bezpośredniość - wysłał pikt do Korzeniowskiego. - Nigdy w czasie istnienia Drogi, ani potem na Ziemi, nie widziałem takiego wyrazu twarzy u obywatela Hexamonu.

Korzeniowski skłonił się dyskretnie, a jego twarz skamieniała. - Poparłem tę prośbę niechętnie i pod naciskiem - wyjaśnił. - To powinno być oczywiste.

- Jestem pewien, że cały Nexus potrzebuje sesji terapeutycznej talsitu - wykrzyknął Farren Siliom pocierając nos. Prezydent zerknął na Laniera, skwitował jego obecność mrugnięciem powiek i zajął się Mirskim. - Hexamon uważa się za rozwinięte społeczeństwo, mimo ograniczeń, jakie sobie narzuciliśmy... Ale trudno mi uwierzyć, że nasze osiągnięcia miały aż takie skutki.

- Trafił pan w samo sedno - powiedział Mirski.

- Tak właśnie pan twierdzi. Nie jesteśmy naiwni. Dobrze pamiętam, jak Olmy nabrał geszelów jakiś czas temu, kiedy sprowadziliśmy tu Inżyniera. Wyświadczył tym wielką przysługę naderytom. Czy teraz też szykuje się jakiś podstęp?

- Nikt nie może wątpić, że moja historia jest prawdziwa - zapewnił Mirski.

- To nie jest takie oczywiste dla człowieka, który od dziesięciu lat zwalcza projekty otwarcia Drogi. Lanier przełknął ślinę. - Czy mogę usiąść?

- Ależ oczywiście - zreflektował się prezydent. - W zdenerwowaniu zapomniałem o roli gospodarza. - Farren Siliom wydał polecenie, uformowało się krzesło dla Laniera. Po krótkiej pauzie stworzył krzesła dla pozostałych. - Rozmowa trochę potrwa - powiedział do Korzeniowskiego.

- Jestem, w zasadzie, człowiekiem praktycznym - ciągnął prezydent. - Na tyle, na ile mogę sobie pozwolić jako polityk, który rządzi krajem marzycieli i idealistów. Tak przynajmniej Hexamon sam siebie ocenia od kilku stuleci. A przy tym stoimy mocno na nogach i umiemy skutecznie działać. Sprostaliśmy wyzwaniu, jakim była Droga. Ale zostaliśmy niemal pokonani przez jartów, którzy od tamtej chwili mieli dość czasu, aby udoskonalić swoją sztukę wojenną. Wszyscy sądzimy, że opanowali całą Drogę, czyż się mylę?

Tylko Lanier nie przytaknął. Czuł się karłem wśród olbrzymów, jak piąte koło u wozu i nie śmiał w ogóle reagować.

- Czy rozumie pan trudną sytuację, w jakiej się znalazłem? - Farren Siliom zapytał Korzeniowskiego.

- Tak, panie prezydencie.

- Zatem proszę mi pomóc. Argumenty Mirskiego przekonały pana, lecz proszę przysiąc na Dobrego Człowieka, Gwiazdy, Los i Pneme, że nie jest pan zamieszany w spisek mający na celu otwarcie Drogi. I że nie sfabrykował pan tych dowodów.

Korzeniowski patrzył na prezydenta przez kilka sekund, a jego oczy wyrażały pogardę i urazę. Potem oświadczył: - Przysięgam.

- Przykro mi, że zażądałem tego, ser Korzeniowski. Muszę być całkowicie pewien. Czy nie

wiedział pan o powrocie ser Mirskiego wcześniej?

- Przeczuwałem, że coś takiego może się zdarzyć. Mogę powiedzieć, że wydawało mi się to nawet nieuniknione. Ale nie wiedziałem o tym wcześniej.

- Czy Droga mogła spowodować takie szkody?

- Nie szkody, panie prezydencie - wtrącił Mirski. - Przeszkody.

- Wszystko jedno. Czy jest pan o tym przekonany? - Patrzył natarczywie na Korzeniowskiego.

- Tak.

- Cieszy się pan wielkim autorytetem pośród polityków Hexamonu. Lecz musimy zbadać pańskie motywy w tej sprawie. Spędził pan wiele lat projektując wyposażenie szóstej komory i Drogi. Może pan być dumny. Nikt nie może zaprzeczyć, że pański wpływ na historię Thistledown był ogromny. To byłoby zrozumiałe, że po ponownym wcieleniu i po Odłączeniu czuje się pan nieco zapomniany, może niedoceniony. Osobiście nie podejrzewam pana o sprzyjanie neogeszelom. - Prezydent trochę się uspokoił. Zacierając ręce usiadł między nimi. - Jeśli otworzymy Drogę, czy będziemy musieli walczyć z jartami, ser Olmy?

- Obawiam się, że tak. "Otóż właśnie", pomyślał Lanier.

- Jeśli nie otworzymy Drogi, ser Mirski, i nie zniszczymy jej od naszego końca, czy pokrzyżuje to plany naszych czcigodnych potomków?

- Potomków wszystkich inteligentnych istot we wszechświecie, panie prezydencie. Tak.

Farren Siliom oparł się wygodnie i zamknął oczy. - Mogę odtworzyć część pańskiego wystąpienia. Jestem pewien, że inni robią teraz to samo. - Skrzywił się. - Głosowanie nad tym wnioskiem będzie skomplikowane. Nigdy nie robiliśmy referendum całego Hexamonu. Czy dostrzega pan wielkość problemu?

Mirski potrząsnął głową.

- Wyliczę wszystkie kłopoty. Głosowanie na Thistledown i w innych ciałach orbitalnych przebiega inaczej niż na Ziemi. Większość obywateli Ziemi głosuje osobiście. Przygotowanie głosowania zajęłoby wiele miesięcy. Nie jesteśmy do tego gotowi.

Obywatele kosmosu delegują swoich reprezentantów i umieszczają ich w mens publica, w pamięci miejskiej. Reprezentanci łączą się w jednorodną całość, zgodnie z procedurą opisaną w konstytucji i mogą w ciągu kilku sekund oddać głos w dowolnej sprawie. Konstytucja daje im jednak więcej czasu do namysłu. Obywatele mogą aktualizować swoich reprezentantów raz dziennie, jeśli zmienili poglądy w tym czasie. Reprezentanci nie mogą sami zmieniać poglądów.

To tylko problemy proceduralne. Są też inne. Jeśli otworzymy Drogę tylko po to, by ją zniszczyć, zdenerwujemy przeciwników otwarcia i konfliktu z jartami. Nie zadowolimy także obywateli, którzy chcieliby korzystać z możliwości Drogi przez następne lata. Próba zniszczenia Drogi spotka się ze sprzeciwem ze strony jartów i na pewno wybuchnie wojna. Jartowie mają do stracenia znacznie więcej niż my, jeśli rzeczywiście osiedlili się w Drodze na stałe. Czy mam rację, ser Olmy?

- Tak.

Farren Siliom skrzyżował ręce na piersi. - Nie wiem, jak obywatele ziemscy zapatrują się na ten problem. A nawet, czy w ogóle mają jakieś zdanie. Większość rodowitych mieszkańców ma bardzo mgliste pojęcie o Drodze. Nie mają dostępu do pamięci miejskiej ani do wielkich bibliotek. Dlatego podejrzewają, że neogeszelowie będą chcieli skorzystać z praw Uzdrawienia i pozbawić Ziemi prawa głosu w tej kwestii... To byłoby wyjątkowo nietaktowne.

- Senatorowie z Ziemi będą walczyć o równouprawnienie - powiedział Lanier.

- Prawa Uzdrawienia nie są od pewnego czasu stosowane, ale nadal obowiązują. - Farren

Siliom uniósł rękę. - Z moich obserwacji wynika, że zwolenników otwarcia jest mniej więcej tyle samo, co przeciwników. Walka będzie ostra, będą się tworzyć frakcje i grupy nacisku... może nawet neogeszelowie zdominują Nexus. Neogeszelowie zmuszą mnie do wykonywania ich poleceń, a może nawet do rezygnacji. Wtedy będą chcieli stworzyć nowy rząd. Te problemy oczywiście nie dotyczą panów. Ale to wasza inicjatywa je spowodowała i nie mogę powiedzieć, że jestem wam wdzięczny. Nie wiem też, czy głosowanie potoczy się po waszej myśli. Kłopotów będzie dużo, dużo trudnych decyzji. Wypuściliście demona z butelki...

Farren Siliom wstał i przesłał piktorem zapytanie do nadzoru mieszkania. - Jeśli możecie zostać jeszcze chwilę, dołączy do nas pewien Ziemianin. Ser Mirski powinien go pamiętać. Wspólnie walczyliście podczas inwazji wojsk sowieckich na Thistledown, przed Odłączeniem... przed Śmiercią. Powrócił na ziemię po Odłączeniu i mieszka w prowincji zwanej Anatolią.

Mirski w skupieniu skinął głową. Lanier próbował przypomnieć sobie Rosjan, którzy przeżyli i współpracowali z Mirskim. Zobaczył kilka twarzy, odszukał w pamięci kilka nazwisk. Zdecydowany Białoziński, pewny siebie i spokojny Wielogórski, starszy inżynier Pritikin.

Nadzór mieszkania odpowiedział i Farren Siliom polecił otworzyć drzwi. - Panowie, oto ser Wiktor Garabedian - oświadczył patrząc na nich wyczekująco. "Ma nadzieję, że on zdemaskuje Mirskiego", pomyślał Lanier.

Garabedian wszedł do pokoju. Był siwy, szczupły i trochę się garbił. Ręce miał pokryte brzydkimi bliznami, oczy miał zmęczone. Lanier nie miał wątpliwości co do jego stanu. "Leczone talsitem uszkodzenia popromienne... zapewne próbował wrócić do Związku Radzieckiego." Garabedian rozejrzał się po pokoju. Nie spodziewał się chyba spotkania. Gdy spostrzegł Mirskiego, na jego twarzy pojawił się ironiczny uśmiech. Mirski stał osłupiały.

- Towarzysz generał - odezwał się Garabedian.

Mirski wstał i zbliżył się do starego mężczyzny. Przez chwilę stali na odległość wyciągniętej ręki, a potem Mirski nagle objął Garabediana. - Co się z tobą działo, Wiktor? - zapytał po rosyjsku.

- To długa historia. Spodziewałem się spotkać kogoś równie starego. Nie powiedziano mi, że się nie zmieniłeś. Ser Lanier, rozpoznaję go.

- Potrzebowaliśmy kilku godzin, by odszukać Garabediana - wyjaśnił Farren Siliom.

- Staram się mieszkać jak najbliżej Armenii - Garabedian tłumaczył Mirskiemu. - Moja ojczyzna będzie oczyszczona za kilka lat i wtedy będę mógł wrócić. Pracowałem jako policjant w Sowieckich Siłach Uzdrawienia... Walczyłem w Wyzwoleniu Armenii przeciw Hexamonowi... To nie była wielka wojna. Przypominaliśmy dzieci, które chcą pokonać nauczycieli i lekarzy kijami. Kiedy wojna się skończyła, zostałem rolnikiem. A gdzie ty byłeś, towarzyszu generale?

Mirski popatrzył wokół ze łzami w oczach. - Przyjaciele, muszę porozmawiać z Wiktorem.

- Chcą, abym zadał ci kilka pytań - uprzedził Garabedian.

- Dobrze, ale na osobności. Garry, pan pójdzie razem z nami, dobrze? Potrzebne jest nam miejsce. - Spojrzał na prezydenta.

- Możecie skorzystać z mojej pracowni - zaproponował Farren Siliom. - Oczywiście wasza rozmowa zostanie nagrana.

Lanier śledził zmiany na twarzy Mirskiego. Nie była już tak spokojna jak dawniej. Zaczął przypominać wojowniczego jastrzębia, jak wtedy, gdy Lanier spotkał go po raz pierwszy na Kamieniu.

- Chciałbym porozmawiać z ser Lanierem przez chwilę, potem dołączy do panów - powiedział Korzeniowski.

Dwaj Rosjanie opuścili pokój za prezydentem, który wskazywał im drogę.

- Ser Lanier? - zapytał Korzeniowski.
- To Mirski - odparł Lanier bez wahania.
- Żadnych wątpliwości?
- Żadnych.
- A, ten dodatkowy test?
- To dla prezydenta - wyjaśnił Lanier. - Ostateczne potwierdzenie.
- Nieufność prezydenta nie ma granic - spokojnie podsumował Olmy. - Podobnie jak jego troska o własną wygodę.

Prezydent wprowadził Laniera do cylindrycznego pomieszczenia i dalej do swej pracowni. Lanier stanął za Mirskim i Garabedianem. W środku pracowni stał mały okrągły stół i kilka krzeseł wokół niego. Pokój pachniał śniegiem i sosnami - zapewne pozostałość poprzedniego wystroju.

Garabedian, ściskając czapkę w białoróżowych dłoniach, przyglądał się bacznie dawnemu towarzyszowi. W jego oczach była pustka, którą na chwilę ożywiło zdumienie.

- Wiktor był ze mną, gdy oddziały szybkiego reagowania zaatakowały Kartofla - Thistledown - zakomunikował Mirski. - Był ze mną, gdy się poddawaliśmy. W trudnych czasach, jakie potem nastąpiły, był moim doradcą. Po raz ostatni widziałem go, gdy postanowiłem polecieć do stacji kosmicznych geszelów. Dużo razem przeżyliśmy.

Garabedian nadal wpatrywał się w Mirskiego szeroko otwartymi oczyma. Potem zwrócił się do Laniera. - Sir - powiedział łamaną angielszczyzną - pan nie został młody. Inni zostali. Ale towarzysz generał Mirski...

- Nie jestem już generałem - sprostował Mirski.

- ...nie zmienił się w ogóle, z wyjątkiem... - Garabedian zmrużył oczy, patrząc znów na Mirskiego i dokończył po rosyjsku. - Gdy cię zastrzelono, zmieniłeś się. Stałeś się bardziej stanowczy.

- Odbyłem potem długą podróż.

- Ludzie, którzy mnie tu sprowadzili... rzadko ich widzimy w Armenii. Przerwali nasze wojny, wyleczyli nas i naprawili nasz sprzęt. Byliśmy jak dzieci. Bardzo ich nienawidziłem. Chcieliśmy być niezależni, sami.

- Rozumiem - powiedział Mirski.

- Tym razem nie prosili mnie... Pawle. - Z pewnym wysiłkiem wypowiedział to imię. - Przyszli i powiedzieli, że jestem potrzebny. Powiedzieli, że jestem świadkiem. Byli jak dawniej policja. - Podniósł głos. - Dlaczego traktują nas jak dzieci? Tyle wycierpieliśmy. Tyłu z nas umarło!

- Jak cierpiełeś? Powiedz mi, Wiktorze?

Twarz Mirskiego znów stała się uprzejma i łagodna. Lanier zaniepokojony zacisnął szczęki. Mirski położył rękę na ramieniu Garabediana. - Opowiedz.

- Nic nie jest jak dawniej - zaczął Garabedian. - I nigdy nie będzie. To źle i dobrze. Wszystko się w moim życiu skomplikowało, bo zobaczyłem Thistledown, a potem mu siałem wrócić do osiedli moich przodków. Walczyliśmy z Hexamonem i przegraliśmy...

- Tak?

Garabedian uniósł dłonie. - Wróciliśmy do zatrutego kraju. Ziemia była jak wąż i kąsała nas. Zostaliśmy uratowani przez anioły z Hexamonu. Przepraszali, że nie mają dość nowych ciał dla nas. Nie mogłem wrócić do domu. Mój kraj był zniszczony. Przeniosłem się do Armenii... nazywają ją teraz Północną Anatolią. Nie ma już narodów ani stronnictw. Tylko obywatele. Uprawiałem ziemię, założyłem rodzinę. Zginęli w trzęsieniu ziemi.

Lanier znów poczuł się winny. Zrobiło mu się niedobrze. "Nie mogliśmy uratować wszystkich."

- Hodowałem konie. Wstąpiłem do armeńskiej spółdzielni, aby bronić się przed Turkami. Potem zawarliśmy z nimi pokój i walczyliśmy z emigrantami z Iranu, którzy hodowali opium. Hexamon interweniował. Dał ludziom coś takiego, że opium przestało być potrzebne.

Mirski spojrzał na Laniera.

- Pewien rodzaj ciał odpornościowych... - wyjaśnił Lanier. Nie wiedział zbyt wiele o tym epizodzie Uzdrawienia. Mirski skinął głową.

- Mów dalej.

- To trwało długo, Pawle. Cierpiałem i widziałem, jak inni umierali. Ale zapomniałem o tym. Widzę, że jesteś wciąż młody. Czy to rzeczywiście ty?

- Nie - zaprzeczył Mirski. - Nie jestem tym samym człowiekiem. Żyłem dużo dłużej niż ty. Widziałem wiele zwycięstw i porażek.

Garabedian uśmiechnął się blado. - Pamiętam Sośnickiego. To był dobry człowiek. Często myślę sobie, że przydałby się w Armenii. Ja, Armeńczyk, myślę tak o Rosjaninie. Wszystko stało na głowie, Pawle. Nienawidziłem Turków, a teraz mam żonę Turczynkę. Jest drobna, śniada i ma długie włosy. Nie pochodzi z miasta, jak moja pierwsza żona. Urodziła mi piękną córkę. Jestem plantatorem. Hoduję specjalne rośliny dla Hexamonu.

Lanier pomyślał o frantach uprawiających ziemię w Timbl, swojej ojczyźnie. Hodowali biologicznie zmienione zboża, które potem wysyłali do Drogi.

- Czy tego właśnie chciałeś? - zapytał Mirski.

Garabedian uśmiechnął się cierpko. - Dzięki temu mogę żyć. - Uchwycił dłoń Mirskiego i ścisnął ją. - Teraz ty opowiedz.

Mirski spojrzał na Laniera łagodnie. - Tym razem posłużę się słowami. Garry, musi pan już do nich wrócić. Wiktor, powiedz ser Lanierowi, czy jestem Pawłem Mirskim.

- Powiedziałeś, że nie jesteś dokładnie nim - odparł Garabedian. - Ale ja sądzę, że jesteś. Tak, ser Lanier. To jest Paweł.

- Proszę to powtórzyć prezydentowi.

- Zrobię to - zapewnił Lanier.

Mirski uśmiechnął się szeroko. - A teraz usiądź, Wiktorze. Będzie ci trudno uwierzyć, co przeżyłem...

Thistledown City

Niewiele debat Nexus odbywało się w czasie realnym. Korzeniowski i Mirski odpowiadali na pytania i wyjaśniali szczegóły w przeznaczonym dla posiedzeń Nexus fragmencie pamięci miejskiej. Lanier przysłuchiwał się debacie. Wielogodzinne spory i interpelacje odbywały się w ciągu sekund.

Debata była niemal tak wyczerpująca, jakby odbywała się w czasie normalnej sesji. Z wyjątkiem najbardziej ortodoksyjnych naderytów, brali w niej udział wszyscy, przede wszystkim geszelowie i neogeszelowie. Trwała trzy dni, choć wydawało się, że od jej rozpoczęcia minęło kilka miesięcy. Przedyskutowano wszystkie aspekty ponownego otwarcia Drogi, nie zaniehbując żadnego niuansu.

Padaly tak niewiarygodne propozycje, że Lanier był coraz bardziej osłupiały. Znaleźli się podżegacze - jeśli można tak nazwać członków Nexus - którzy namawiali do otwarcia Drogi i wypędzenia z niej jartów, choćby na jakiś czas, nie biorąc pod uwagę, że ci wróciliby lepiej uzbrojeni i przygotowani do dalszej walki. Inni nie kryli pogardy dla całego planu. Jeszcze inni, powołując się na kolegów Korzeniowskiego, znajdujących się od dawna w pamięci miejskiej twierdzili, że można Drogę zniszczyć od zewnątrz, nie otwierając jej przedtem.

Sugestia taka miała dwie konsekwencje. Po pierwsze, niszcząc Drogę z zewnątrz, nie trzeba by narażać się na niebezpieczeństwo walki z jartami. Po drugie, gdyby otwarto Drogę, aby pokonać jartów i potem dalej ją eksploatować, pozostałaby możliwość, że to właśnie oni zniszczą ją od zewnątrz. Mirski, demonstrując dalsze zaskakujące możliwości swojego umysłu, udowodnił przy pomocy niezwykle skomplikowanych równań, że taka ewentualność jest mało prawdopodobna. Nawet Korzeniowski był pod wrażeniem tego dowodu.

Rosjanin był w swoim żywiole podczas debaty. Poziom dyskusji był na ogół zbyt wysoki, aby Lanier mógł coś zrozumieć, mimo że specjalnie, po raz pierwszy, skorzystał ze sztucznych metod powiększania możliwości umysłowych.

Jednak Lanierowi udało się wyczuć coś, co umknęło uwadze senatorów. Nawet przeciwnicy otwarcia mówili o Drodze z głębokim szacunkiem. To był ich świat. Większość z nich tam się urodziła i, aż do Odłączenia, nie znała innego świata. Dyskusja szybko skoncentrowała się wokół pytania, co zrobić po otwarciu Drogi, gdyż, jak się okazało, przeciwnicy otwarcia byli w zdecydowanej mniejszości.

Następnie zwołano sesję fizyczną, aby wysłuchać, co Nexus zaleca Hexamonowi. Ponadto należało zdecydować, czy sprawa zostanie przekazana całemu Hexamonowi do zatwierdzenia, czy też decyzja zostanie podjęta przez mens publica na Thistledown. Można było również przeprowadzić kampanię edukacyjną na Ziemi i odłożyć decyzję do jej zakończenia. Mogłoby to zająć cała lata.

Lanier wszedł do izby Nexus sam, gdyż Mirski, Korzeniowski i Olmy uczestniczyli w poprzedzającej to spotkanie rozmowie z prezydentem. Sala była pusta, jeśli nie liczyć dwóch senatorów, którzy wyświetlali do siebie komunikaty piktorami. Stał w przejściu dziwnie spokojny. Nadal nie czuł spokoju, ale od czasu rozmowy z Mirskim opuścił go dręczący niepokój, poczucie wyczerpania, spowijający jego umysł mrok.

Poprzednie godziny spędził podróżując pociągami po trzeciej komorze. Był w głównej bibliotece, gdzie kiedyś uczył się rosyjskiego i gdzie został zastrzelony, a potem zmartwychwstał Mirski. Bibliotekę otwarto ponownie trzydzieści pięć lat temu. Była teraz ruchliwym centrum

naukowym, w którym ciągle przebywało kilkuset naukowców. Zbudowaną ją, mniej więcej, w tym samym czasie, co kopułę Nexus. Kiedyś budowle trzeciej komory wydawały mu się monumentalne, obce i przerażające - zawierały dane o śmierci Ziemi zanim się ona jeszcze dokonała. Teraz, choć wciąż przeogromne, były znajome i nie budziły niechęci.

Jego stosunek do stacji kosmicznej się zmienił. Mógłby zamieszkać na Thistledown i zostać tu przez kilka lat, choć kiedyś taka myśl budziła w nim opór. Osłabione przyciąganie asteroidu dobrze mu robiło. Lubił się tu gimnastykować. Korzystny wpływ ćwiczeń odkrył już w czasie, gdy nadzorował badania Kamienia. Patrząc na swoje dłonie skrzywił się z bólu, pomyślał, jak wiele rzeczy mu się wymknęło w życiu...

Nadal sprzeciwiał się idei odmłodzenia. Chciał porozmawiać z Karen i ustalić, czy z ich związku jeszcze coś pozostało.

Ale nie przerwie jej zjazdu. To dla niej zbyt ważne. Poza tym, dopóki debata nie była zakończona, nie należało chyba rozmawiać z osobami postronnymi.

Senatorowie zajęli miejsca w sali prawie bez słowa. Coś niewysłownego dało się wyczuć w powietrzu. To historia, pomyślał Lanier. Za chwilę podejmą decyzje, które zmienią losy świata. Losy wielu światów były w zasięgu ręki.

Mirski i Korzeniowski stanęli obok niego. Pierwszy uśmiechnął się do niego i usiadł obok. Drugi skinął im głową i zszedł dalej, aby usiąść obok sześciu osób zajmujących się obecnie maszynami szóstej komory.

Prezydent i premier Dris Sandys weszli jako ostatni i zajęli miejsca obok trybuny mówcy.

Premier oświadczył: - W mens Nexus odbyło się głosowanie nad propozycją ser Mirskiego, Korzeniowskiego, Olmy'ego i Laniera.

Laniera zaskoczyło, że wymieniono go pomiędzy inicjatorami debaty. Poczul podniecenie i dumę.

- Teraz w fizycznym plebiscycie potwierdzimy wynik głosowania.

Lanier rozejrzał się po sali. Nie wiedział, jak będzie wyglądać głosowanie. Czy każdy będzie wyświetlał odpowiedź piktorem, a sala rozjarzy się jak świąteczna choinka?

- Zalecenia Nexus sformułowane w mens Nexus muszą być potwierdzone głosem. Każdy głos zostanie rozpoznany i zarejestrowany przez sekretarza komory. Głosować będziemy jednocześnie. Czy członkowie Nexus postanawiają, by rozpocząć proces otwierania Drogi? Głosujemy mówiąc: tak lub nie.

Salę wypełniła wrzawa, mieszanina wielu "tak" i "nie". Lanierowi wydawało się, że przeważały "nie," ale była to zapewne sprawa zmęczonych nerwów. Premier spojrzął na sekretarza, a ten podniósł prawą rękę.

- Propozycja otwarcia została przyjęta. Czy Nexus decyduje otworzyć Drogę po to, by ją całkowicie zniszczyć, tak jak sugeruje pan Mirski?

Głosy ponownie zmieszały się pod kopułą.

- Propozycja została odrzucona. Droga pozostanie otwarta. Czy Nexus postanawia stworzyć siły zbrojne, które będą strzegły Drogi w imieniu Nieskończonego Hexamonu i jego sprzymierzeńców?

Głosy odezwały się głośniejsz niż poprzednio. Lanier znów nie wiedział, czy więcej było "tak" czy "nie". Niektórzy senatorowie nie odezwali się.

- Propozycja została przyjęta. Czy Nexus postanawia poddać wnioski pod głosowanie całego Ziemskiego Hexamonu, włącznie z mens publica i ludźmi z Ziemi?

Wrzawa trwała tym razem krótko.

- Propozycja została odrzucona. Czy Nexus postanawia, że głosować będzie tylko mens publica

siedmiu komór na Thistledown oraz dwu stacji orbitalnych.

Lanier zamknął oczy. A więc jednak. Znów widział przed sobą biegnący w nieskończoność tunel Drogi. Może któregoś dnia dowie się, co stało się z Patnią Luisą Vasquez.

- Propozycja została przyjęta. Decyzje będą podjęte tylko głosami mens publica ciał kosmicznych. Panie sekretarzu, czy głosowanie w mens Nexus jest ważne?

- Tak, panie premierze.

- A zatem, zalecenia zostały sformułowane i głosowanie może się rozpocząć. Doradcy Nexus zostaną wysłani do trzech ciał orbitalnych jutro o tej porze. Okres jednego tygodnia zostanie przeznaczony na indywidualny namysł i zbieranie informacji. Informacje, które otrzyma Nexus, będą dostępne dla wszystkich uprawnionych do głosowania. W ciągu jednej doby po zakończeniu tygodnia wszyscy głosujący udzielą pełnomocnictw swoim duchom w mens publica. Głosowanie rozpocznie się po upływie następnej doby. Decyzja obywateli Hexamonu zostanie ratyfikowana przez Nexus w ciągu tygodnia, a jego postanowienie będzie obowiązywać prezydenta i ministrów. Zgodnie z prawem, prezydent może opóźnić całą procedurę o miesiąc, jednak pan prezydent poinformował mnie, że nie skorzysta z tego prawa. Spotkanie jest zakończone. Dziękuję wszystkim uczestnikom.

Teraz dopiero wybuchła prawdziwa wrzawa, istne pandemonium. Senatorowie wyświetlali piktorami jaskrawe komunikaty, niektórzy obejmowali się, inni stali skupieni i zatroskani. Grupa konserwatywnie ubranych, ortodoksyjnych naderytów podeszła do podium, aby spotkać się z prezydentem.

Mirski pocierał nos. - Źle się stało - powiedział spokojnie. - Otworzyłem skrzynię, z której wydostały się wichry.

- Co pan teraz zrobi? - zapytał Lanier.

- Muszę to przemyśleć. Jak mogłem ich nie przekonać?

- Podczas podróży zapomniał pan, jacy są ludzie - podsunął Lanier.

- Najwyraźniej. Co dokładnie ma pan na myśli?

- Jesteśmy obrzydliwą bandą drani. Przyszedł pan jak bóg. Może senatorowie nie chcieli, by ktoś im dyktował, co mają robić. Tak jak wielu ludzi na Ziemi nie chciało, by ich ratowano bez pytania o zgodę. Może po prostu nie uwierzyli panu.

Mirski zmarszczył czoło. - Moje siły nie są wielkie. Przybyłem, by zapoczątkować pewien proces, ale nie przeprowadzić go samodzielnie i bez poparcia innych. Nie udało mi się i to może spowodować wiele kłopotów w przyszłości.

Lanier poczuł, że budzą się w nim stare instynkty. - Niech pan użyje judo - zaproponował. - Otwarcie Drogi wyzwoli ogromną energię społeczną.

- Energię społeczną? - Mirski spojrzał z zaciekawieniem na Laniera.

- Niepokoje społeczne. - Być może nie był piątym kołem u wozu. Nowy plan rodził się w jego głowie.

- Tak?

- Może powinniśmy porozumieć się z Olmym i Ram Kikurą.

- Wymyślił pan coś ciekawego.

- Być może. Muszę porozmawiać z żoną. Ziemia została pozbawiona prawa głosu. Ziemianie już dawniej byli rozgoryczeni, teraz może dojść do wybuchu. - Coraz bardziej podobał mu się ten pomysł. Szyja bolała go od napięcia. Rozcierał ją wolno dłonią.

- A więc do dzieła, mój przyjacielu. Bóg chyli przed tobą czoło - powiedział Mirski, wyciągając do Laniera rękę. Lanier uściśnął ją. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, potem objęli się.

Pamięć Thistledown City

Dolina Shangri-La leżała poniżej bram pałacu. Otoczona górami lśniła w słonecznym blasku. Karen patrzyła na nią z wysokości balkonu, na którego kamiennej balustradzie oparła dłonie.

Zorganizowany przez nią zjazd omal nie rozpadł się pierwszego dnia.

Delegaci zaczęli walczyć ze sobą już w mieście trzeciej komory, gdy zaczęto im przydzielać mieszkania w ogromnym Dziewiątym Centrum Podróży. Kobieta z Północnej Dakoty zaprotestowała, gdyż jej mieszkanie było zbyt luksusowe. - Moi przyjaciele na Ziemi mieszkają w drewnianych szopach. Nie mogę mieszkać jak królowa.

Suli Ram Kikura zaproponowała w swej naiwności, że mieszkanie łatwo będzie urządzić bardzo skromnie, wręcz po spartańsku. Obywatelka Północnej Dakoty zareagowała oburzeniem: - Fałszywy szłas nie przesłoni prawdy o luksusach pałacu - odpowiedziała z pogardą.

Zbudowano dla niej chatę w pobliskim parku. Zamontowanie odpowiedniego piktora i budowa baraku kosztowały oczywiście więcej niż krótki pobyt w luksusowym apartamencie. Nikt jednak nie krytykował upartej kobiety. Potraktowano to jako trening wzajemnego zrozumienia i tolerancji.

Potem zaczęto dyskutować, w jakich wnętrzach będą się odbywały spotkania. Pewien delegat z Indii oświadczył, że nie spodziewa się trwałych rezultatów spotkania, jeśli odbędzie się ono w sztucznej scenerii, pozbawionej więzi z rzeczywistością. Zażądał wewnątrz przypominających dziewiętnastowieczny pałac mogola. Gdy nikt go nie poparł, zagroził, że opuści konferencję.

Teraz był już z powrotem na Ziemi.

Z początku wszystko wydawało się proste, ale potem chmury zaczęły się gromadzić jedna za drugą.

Pozostali delegaci uzgodnili w końcu, że tłem ich spotkania będzie kopia Shangri-La Jamesa Hiltona - oryginał stworzono dla wczasowiczów na Thistledown kilka stuleci wcześniej. W ciągu kilku następnych godzin rozpoczęto kolejne spory. Dwoje delegatów poczuło silne wzajemne zainteresowanie i poskarżyło się, że w obecnym otoczeniu nie są możliwe kontakty erotyczne.

- Nie po to tu jesteśmy - próbowała wyjaśnić Karen. Oni nie ustępowali. Karen uparła się i wytłumaczyła, że wnętrza zmieniono w ten sposób, aby uniemożliwić kontakty erotyczne. Mogłyby zniszczyć starannie zaplanowaną atmosferę psychologiczną. Dwoje delegatów niechętnie zrezygnowało ze swych roszczeń. Nadal nie ustawały narzekania na inne drobiazgi.

Karen zdała sobie sprawę, że wraz z Suli Ram Kikurą były zbyt wielkimi optymistkami. Zawstydziała się. Znała ludzi dobrze, jak mogła być tak naiwna? Zaraziła się optymizmem Ram Kikury i nieświadomie postępowała wbrew własnym opiniom, lekceważyła swoje obawy... Mimo wszystko miała nadzieję, że ludzie będą rozsądni i wszystko potoczy się dobrze.

Ale nawet ci wybrani, którzy mieli najlepsze postawy i najlepsze wyniki, byli tylko ludźmi. Wydobyli ze środowiska, w którym się sprawdzili, stali się dziećmi.

Idealne środowisko pamięci miejskiej było zbyt kuszące dla Ziemian i z tego powodu nie nadawało się do realizacji planów Karen i Ram Kikury.

Poza tym coś jeszcze wisiało w powietrzu, nawet w Shangri-La - trudne do określenia napięcie, które stało na drodze ich celów i uniemożliwiało sukces.

Suli Ram Kikura pojawiła się na balkonie i położyła rękę na jej ramieniu. - Najwyższy czas, abyś trochę odpoczęła.

Karen roześmiała się. - To miejsce jest idealne do odpoczynku. Po to je stworzyliśmy.

- Tak. Ale dla ciebie nie jest dobre.

- Więc kim jesteście? Dzikimi kwiatami, które więdną w cieplarni?

Ram Kikura zmarszczyła brwi. Fizycznie nie zmieniła się bardzo od kiedy Karen ją poznała, cztery dekady temu. Wciąż była atrakcyjną, energiczną blondynką o miłej powierzchowności. - Nigdy nie uważałam Thistledown na cieplarnię.

- To Shangri-La dla tych ludzi, nawet gdy nie korzystają z pamięci miejskiej. Powinam była wiedzieć.

- Jesteś zmęczona.

- Jestem głupia, do diabła.

- Nie miałam racji. To nie twój błąd.

- Wierzyłam, że masz rację, że przywieziemy ich tutaj i będą współpracować. Polubią się. To był cudowny pomysł. Jak to możliwe, że tak szybko wszystko się popsło. Przecież im wyjaśnialiśmy... Zachowują się jak dzieci.

Ram Kikura uśmiechnęła się ponuro. - Lepiej od nas wiedzą, czego chcą. Chciałyśmy ich zmusić do współpracy. Patrzyliśmy na nich jak rodzice na bawiące się dzieci i chciałyśmy, aby szybciej rosły.

- To nie w porządku... - Karen przerwała zaskoczona, że porównanie delegatów do dzieci zdenerwowało ją. Czuli głęboki związek z Ziemianami... była jedną z nich. - Wielu z nich przeszło przez piekło.

- Może potraktowali spotkanie jak wakacje - zgadywała Ram Kikura. - A my byliśmy pilotami wycieczki. Zbyt dużo rozkazywałyśmy.

Nie chcąc tego Karen roześmiała się. "Jest mistrzem, choć nie pozbawionym naiwności." -
Więc co zrobimy?

- Mam dość siły, by spróbować jeszcze raz. Ale ty, droga Karen, jesteś wyczerpana.

- Niewątpliwie. Chciałabym ich kopnąć.

- Więc musisz odpocząć. Jesteśmy tu od dziesięciu realnych godzin. Wróc do swojego mieszkania.

- Z powrotem do ciała. Koniec marzeń.

- Dokładnie. Koniec koszmaru. I naprawdę odpocznij. Nie korzystaj ze sztucznych środków uspokajających. Pozwól sobie na naturalny spokój.

- Tu nie ma nic poza spokojem - powiedział Karen zadumana. Gwiazdy nad nimi były tak wyraźne, jak na Ziemi. Noc pachniała jaśminem i bzami.

- Pójdiesz? - zapytała Ram Kikura?

Karen skinęła głową.

- Więc idź od razu. Zawiadomię cię, jeśli coś się poprawi. W przeciwnym razie skończę ten cały cyrk i wyślę ich z powrotem do ich ciał. Przewieziemy ich na Ziemię i zaczniemy planować wszystko od początku. - Uniosła brwi i spojrzała Karen prosto w oczy. - Zgoda?

- Zgoda. Jak... mam wrócić?

- Rubinowe pantofle, moja droga. Zapamiętaj ten kod.

Karen spojrzała na swoje stopy. Zamiast butów były odziane w rubinowe domowe pantofle. Zestawiła stopy razem. - Nigdzie nie jest tak dobrze jak w domu - powiedziała. Ram Kikura zniknęła.

Realną godzinę później Karen założyła luźne kimono w swoim mieszkaniu. Otrzymała je w prezencie od kilku ocalonych Ziemian z Japonii. Położyła się na kanapie z kieliszkiem chardonnay w dłoni i słuchała kwartetu Haydna, tym razem bez, wykonanych piktorem, dodatkowych efektów. Pokój

wyglądał jak weranda na świeżym powietrzu ponad tropikalną plażą na wyspie. Daleko za oszalałymi błękitnym oceanem wznosił się wulkan, a smuga dymu mieszała się białymi chmurami na niebie. Siedząc na krześle czuła ciepły powiew od morza.

Mogła nigdy nie opuszczać pamięci miejskiej - złudzenie było całkowite. Mąciła je tylko świadomość, że to tylko jej ciało było oszukiwane i pobudzane, podczas gdy umysł zachował jasność. Jedno z wielu dziwnych rozróżnień, które miały duże znaczenie na Thistledown. "Wszyscy jesteśmy dziećmi!", pomyślała pociągając wino ze szklanki i podziwiając daleki widok wulkanu. "Może Garry miał rację, że nie chciał w tym brać udziału i pozwolił ciału zestarzeć się. Może wszyscy jesteśmy już wypaleni po czterdziestu latach, a tylko on jest dość uczciwy, by się przyznać."

Odezwał się nadzorca pokoju. Wyciągnęła się na krześle i powiedziała ociężale: - Tak?

- Dwu mężczyzn chce się z panią widzieć, ser Lanier. Pani mąż i Paweł Mirski.

Mimowolnie zadrżała. "Rozmawiać z dwoma diabłami." - Zlikwiduj wyspę i stwórz typowe wnętrze - poleciła automatycznemu dekoratorowi. Weranda, plaża i wulkan zniknęły. Zastąpił je mały, skromnie urządzonej pokój w klasycznym stylu Hexamonu. - W porządku.

Garry pojawił się pośrodku pokoju. - Cześć, Karen.

- Jak się masz? - Objęła chłodny kieliszek z winem. Jednocześnie cieszyła się z jego wizyty i była poirytowana. Ich niesnaski ciągnęły się od tak dawna, że nie chciała pokazać mu, co czuje. To była jej broń.

- W porządku. Myślałem o tobie.

- Zastanawiałam się, co teraz robisz - powiedziała, starając się nadać głosowi miękkie brzmienie.

- Od pewnego czasu chcę z tobą porozmawiać, ale nie chciałem ci przeszkadzać w pracy.

- Ależ proszę - powiedziała naśladując amerykańskie aktorki z początku dwudziestego wieku - zimne i pewne siebie, pożądane i niedostępne. Nie mogła, niestety, skorzystać z pomocy piktora.

- Musimy porozmawiać z Suli Ram Kikurą.

- Jest wciąż w pamięci miejskiej. Próbuje powstrzymać kurczaki, by się nie zadziobały.

- Jakież problemy?

- Nie wszystko poszło dobrze, Garry. - Na chwilę oderwała od niego wzrok i zdała sobie sprawę, że trzyma palec w kieliszku. Szybko odstawiła go na stół. - Odpoczywam. Co z Mirskim? Co się dzieje? - No właśnie. Ciekawość zwyciężyła.

- Czy śledziłaś obrady Nexus?

Potrząsnęła głową.

- Szykują się spore kłopoty. - Wyjaśnił sytuację.

Nadszedł czas, by zmienić biegi. To nie było już spotkanie prywatne. Mimo to zmiana nie następowała łatwo. - To zupełnie nie jest styl Nexus. Nie pytając Ziemi o zdanie?

- Mirski opowiedział niewiarygodne rzeczy - powiedział Lanier. - Bardzo mi się nie podoba stanowisko Nexus. Otwarcie Drogi i pozostawienie jej, to bardzo zły pomysł.

- Suli nie słyszała tej historii?

- Nie.

Myślała szybko, zapominając na jakiś czas o konfliktach delegatów. Znów stali się prawie zespołem, który wspólnie rozwiązuje problemy. Jej mąż zmienił się niespodziewanie. Czy to zasługa Mirskiego? - W porządku. Poszukam jej w pamięci miejskiej i powiem, że to ważne. Potem ustalimy termin spotkania. Gdzie jesteście?

- W mieszkaniach pod kopułą Nexus.

- Mirski... czy to on?

- Tak.

Jasna odpowiedź nie pozostawiała miejsca na wątpliwość. Znała Laniera dobrze i wiedziała, że musiał mieć podstawy, by być pewnym. Ze zdziwieniem odkryła, że wciąż ma zaufanie do ocen męża w takich sprawach... a może także w innych. Dlaczego to ją zdziwiło? Nie chciała tracić go na zawsze. Ich spory nie wynikały z braku zaufania i wrogości.

- Więc to poważny problem - powiedziała z odcieniem namysłu w głosie.

- Tak sędzę. Ale Karen... Nie chcę, aby przytłumił nasze prywatne problemy.

Zaczerwieniła się. - Co masz na myśli?

- Musimy porozmawiać także o innych sprawach.

- O?

- Kiedy będzie na to czas.

- Dobrze - powiedziała sucho.

- Kocham cię - zakończył Lanier i jego obraz znikł.

Ostatnie zdanie odebrało jej oddech. Musiała walczyć, by powstrzymać łzy. Od lat nie słyszała takich słów.

- A niech go diabli - powiedziała.

Rita

Zanim wspomnienia o schwytaniu zostały zatarte przez fałszywe słońce na Rodos, Rita zdążyła zapytać młodzieńca: - Gdzie są moi przyjaciele.

- Uratowani - padła odpowiedź. Chciała jeszcze o nich pytać, ale nie mogła. Jej myśli zostały ograniczone. Z bolesną świadomością, że znajduje się w nienaturalnym miejscu, zmuszała się, by myśleć, "Nie jestem wolna". Poczowała dreszcz przerażenia. To nie byli ludzie jej babki. Sophie powiedziałaaby jej o tych niebezpieczeństwach.

A zatem, kto ją schwytał?

Nie rozumiała, jak to możliwe. Jak można być gdzieś i jednocześnie tam nie być. To nie był zwariowany sen. Czuła się inaczej niż we śnie. Cokolwiek to było, nie zależało od niej, nie miała na to wpływu.

Znów była na Rodos, w kamiennym domu Patrikii. Spacerowała po chłodnej posadzce, zaglądała do kuchni, cały czas zdając sobie sprawę, że chcą się czegoś od niej dowiedzieć o Sophie, a ona chce to ukryć. Chcą, aby im pokazała. Starła się o niej nie myśleć. Jak długo będzie mogła? Jej strażnicy wyglądali na bardzo mocnych.

Postanowiła nie zwracać uwagi na młodzieńca. Nie starał się odpowiadać na jej pytania. Nie mogła sprawdzić, czy powiedział jej choć trochę prawdy.

Nagła złość i niepokój zaciemniły jej wizję i pokój Patrikii zaczął znikać. Kiedy znów się pojawił, Przedmioty leżały na podłodze. Obojczyk był wyjęty z drewnianej skrzynki.

- To jest urządzenie do przechodzenia z Drogi do innych światów. Zwróciłaś naszą uwagę używając go przy bramie.

Rita spojrzała na młodzieńca przez ramię. Jego twarz była wciąż nieruchoma.

- Skąd go masz?

- Przecież już wiesz.

- Skąd miała go twoja babka?

Rita zamknęła oczy. Widziała przed sobą obojczyk i czuła kłopotliwe pytanie.

- Nie zamierzamy cię torturować - uspokajał młodzieniec. - Potrzebujemy informacji, aby umożliwić ci dalszą podróż.

- Chcę wrócić do domu - powiedziała miękko. - Do mojego prawdziwego domu.

- Nie zrobiłaś tego urządzenia. Ani twoja babka go nie zrobiła. Nie ma na nie nazwy w twoim świecie. Jesteśmy ciekawi, jak do niej trafił. Czy miałaś kiedyś kontakt z Drogą? Kiedyś dawno?

- Moja babka miała. Już ci mówiłam. "Co naprawdę im mówiłam? I ile razy?"

- Tak. Wierzmy ci.

- Więc nie zadawaj mi w kółko tych samych pytań! - zaatakowała młodzieńca, a złość ściemniła obrazy. Miała wrażenie, że za każdym razem, gdy się denerwowała, dowiadywali o niej czegoś nowego. A przecież nie starała się niczego przed nimi ukryć. Założyła, że nie sposób ukryć myśli przed nimi, skoro potrafili wytworzyć tak silne złudzenia. "Powinnam umierać ze strachu."

- Nie masz powodu, aby się niepokoić. Nie umarłaś, nie jesteś też ranna.

Twarz młodzieńca nagle stała się wyrazista, jakby wyłoniła się spoza zasłony jej niewiedzy. Miał regularne rysy, czarne oczy, czarne włosy i niewielką brodę. Mógł być chłopakiem z plaży na Rodos. - Przyjąłem ten wygląd, bo nie jesteś przyzwyczajona do naszego.

- Nie jesteście ludźmi?

- Nie. Przybieramy różne kształty, inaczej niż ludzie. Jesteśmy jednakowi, choć... różni. -

Uśmiechnął się. - Więc zgódź się na taki właśnie kształt. Przynajmniej na razie.

Widocznie zmienił taktykę, albo przynajmniej nauczył się, jak należy oszukiwać, aby się udało.

Rita odwróciła się od niego i przestała myśleć o Przedmiotach. - Zostaw mnie samą. Chcę wrócić do domu.

- Nie będą przed tobą ukrywał prawdy. Twój dom zmienia się teraz. Potem będzie sprawniej funkcjonował.

Rita spojrzała na swoje ręce. Nie mogła zadrzeć, ale mogła bardziej się zdenerwować.

Powstrzymała się. - Nie rozumiem.

- Złożyliśmy Ziemi pewne propozycje. Myślę, że już czas, abyśmy się przedstawili. Czy jesteś na to przygotowana.

- Ja...

- Pozwól mi wyjaśnić. To jest rodzaj ruchomego snu, stworzonego przez naszych badaczy, aby łagodnie przygotować cię do nowego życia. Właśnie przybyłem, aby z tobą rozmawiać. Jestem wyższym urzędnikiem i prowadzę badania, rodzaj przesłuchań. Przedtem rozmawiałeś z niższym urzędnikiem. Lepiej znam ludzi niż on. Czy to jest jasne?

- Na razie tak.

- Jesteś w tym stanie od kilku lat, według waszego czasu. Ponieważ nie możesz nam zaszkodzić, a poza tym mamy już wystarczająco dużo informacji, nie ma potrzeby i dalej cię izolować. Dlatego postanowiłem cię obudzić. Gdy) będziesz gotowa, będziesz mogła używać prawdziwego ciała i znajdziesz się w prawdziwym otoczeniu. Rozumiesz?

- Nie chcę tego - zaprotestowała. "Od lat?" Potrzebowała dłuższej chwili, by to zrozumieć. Mroczna, lodowata rozpacz rozlała się po jej duszy. Mogła równie dobrze być martwa od chwili rozpoczęcia wyprawy lub opuszczenia Rodos. Wraz z Patrikią otworzyły puszkę Pandory, z której wydostają się kolejne nieszczęścia. Niestety, nie wiadomo jeszcze jakie. "Od lat?" "Jestem zbyt młoda, aby wiedzieć. Patrikią też nie wiedziała. Czy świat już nie istnieje?"

W kilku miejscach poczuła ukłucia bólu. Złudzenie Rodos i domu Patriki oddaliło się. Otworzyła oczy i odkryła, że leży na twardej, ciepłej powierzchni pod kwadratową lampą koloru bursztynu. Światło powoli gasło. Skóra ją bolała, jak od długiego opalania. Rzeczywiście, ramiona były zaczerwienione.

Cień, przypominający człowieka, stał tuż poza kręgiem światła. Otaczający ją mrok miał kolor oliwek - czy tak wygląda sen, gdy się kończy. A może zanim się zaczyna?

- Niedobrze mi - jęknęła.

- To zaraz minie - zapewnił cień.

- Czy jesteś jartem? - zapytała próbując usiąść. Nie zadawała tego pytania do tej pory, bo bała się usłyszeć odpowiedź. Teraz cień stał na wprost niej.

- Staram się zrozumieć, co to słowo znaczy. Możliwe, że jesteśmy jartami. Ale ani ty, ani twoja babka nie widziałyście nigdy jarta. Używacie tego słowa, ale nie macie nas na myśli. To słowo nie odnosi się do nas. Ludzie, którzy używali tego określenia, nie poznali go od nas. Usłyszeli je od kogoś innego. Mimo wszystko zapewne jesteśmy jartami.

- Mówiono, że walczyliście z ludźmi.

Postać w mroku nie odpowiedziała wprost. - Jesteśmy różni. Możemy dowolnie zmieniać kształt i modyfikować nasze funkcje.

Rita poczuła się lepiej fizycznie, choć psychika wciąż była udręczona. Rozpacz ustąpiła,

pojawiło się natomiast dziwne uczucie: było jej jednocześnie gorąco i zimno. Także i to wrażenie zaczęło słabnąć. Światło nad głową stało się cynamonowe. W głębi zaczęły się pojawiać inne światła, były blade i tworzyły uspokajającą aurę.

- Czy jestem na Ziemi?

- Jesteś wewnątrz tego, co nazywasz Drogą.

Zadrżała z wrażenia i powstrzymała oddech. Jego słowa znaczyły wiele i nic zarazem. Czy mogła im wierzyć? - Czy moi przyjaciele żyją?

- Są tutaj razem z tobą.

Uznała to za dwuznaczną odpowiedź.

- Ale czy żyją?

Postać zrobiła kilka kroków w jej stronę i znalazła się w kręgu światła. Rita cofnęła się odruchowo. Nie miała wątpliwości, że to nie sen, lecz prawdziwa istota. Jej twarz była męska, ale pozbawiona wyrazu. Pokryta gładką skórą, o skośnych oczach. Z pewnością Rita nie patrzyłaby na nią chętnie w tłumie. Nie była ani sympatyczna, ani przerażająca. Nieznana istota ubrana była w kurtkę i spodnie podobne do tych, które nosili żołnierze w śmigłowcu... kilka lat temu, jeśli to była prawda.

- Czy chciałabyś z nimi rozmawiać?

- Tak - odpowiedziała natychmiast. Dotknęła ręką twarzy - wszystko było jak dawniej, nie zmieniła się.

- Z wszystkimi? - zapytał ją.

Zastanowiła się chwilę. - Z Demetriosem i Oresiasem.

- Zostaw nam trochę czasu.

Thistledown

- Nie spodziewałam się, że cię znów spotkam - Suli Ram Kikura wysiała do Olmy'ego komunikat pikturem. Symbole były niebieskie i zielone. Olmy uśmiechnął się tajemniczo i podążył za Korzeniowskim i Mirskim do pomieszczenia, w którym spotykali się uczestnicy projektu Ram Kikury. Pokój miał przypominać wnętrza znane Ziemiom; urządzono go więc, jak pomieszczenia biurowe z połowy dwudziestego wieku. Głównymi meblami były metalowe i drewniane krzesła oraz długi, drewniany stół. Ściany były białe i pozbawione ozdób, a na jednej z nich wisiała tablica. - Proszę wybaczyć te skromne warunki - usprawiedliwiła się Ram Kikura, nie używając piktor.

- Coś mi to przypomina - powiedział Lanier spostrzegając, jak chłodno Ram Kikura powitała Olmy'ego. Ten nie przejął się tym zbytnio. Lanier przekonał się wkrótce, że Olmy'ego trudno było zbić z tropu. - Spędziłem wiele godzin w pokojach takich jak ten.

- Nasi goście z Ziemi są wciąż w pamięci miejskiej. Staramy się zapobiec całkowitej klęsce - wyjaśniła Ram Kikura. - Karen przyjdzie za kilka minut. Powiedziała mi, że Nexus podjął bulwersującą uchwałę. Droga ma zostać otwarta. - Mówiąc, unikała spojrzenia Olmy'ego.

Korzeniowski stanął za jednym z krzesel i przyglądał się jej z zaciekawieniem. - Tak - oświadczył mrugając oczyma. - Odbędzie się głosowanie nad uchwałą podjętą przez Nexus. Głosować będą tylko stacje kosmiczne i Hexamon.

- Wykluczyli Ziemię na podstawie Praw o Uzdrawieniu. Powinni dawno je zmienić. - Ram Kikura była bardziej przygnębiona, niż to się w pierwszej chwili wydawało. Ciężka praca zmieniła także i ją, choć wyglądała młodzieńczo. Od czterdziestu lat nie zmieniła swojego stylu. Olmy powoli obchodził stół. Kroczył dostojnie jak lew. - Przestudiowałaś historię ser Mirskiego?

Ram Kikura skinęła głową. - Tak dokładnie, jak to było potrzebne. Jest wstrętne.

Mirski otworzył oczy ze zdumienia. - Wstrętne?

- Brud. Świętokradztwo. Urodziłam się i wychowałam w Drodze, a jednak... - Wyglądała, jakby miała zwymiotować. - Otwieranie Drogi i korzystanie z niej to więcej niż głupota. To zło.

- Nie popadajmy w skrajności - odezwał się łagodnie Korzeniowski.

- Przepraszam pana Inżyniera - powiedziała Ram Kikura.

- Jesteś zbyt ostra - brzmiał prywatny komunikat Olmy'ego. Ram Kikura położyła na nim kamienne spojrzenie. - Przyszli tutaj poprosić cię o pomoc. Ja także po to tu jestem. Nie ma sensu nikogo obrażać, zanim się nie dowiesz, o co chodzi.

Komunikat przekazany został błyskawicznie. Lanier spostrzegł tylko, że Olmy użył piktor, ponieważ jednak nie stał między nimi, nie zrozumiał wiadomości. Zresztą, nie czuł się dość wyszkolony, by odczytywać symbole. Ram Kikura zgarbiła się i utkwiała wzrok w dywanie.

- Proszę o wybaczenie. Ser Olmy zwrócił mi uwagę. Jestem głęboko zaangażowana w tę sprawę. Widziałam, do czego doprowadziła Śmierć i wiem, czym kończy się ludzka zachłanność.

- Proszę pamiętać, że zawsze byłem przeciwnikiem ponownego otwarcia - zauważył Korzeniowski. - Ale naciski na Hexamon były ogromne. Powrót Ser Mirskiego...

- Proszę wybaczyć, Ser Korzeniowski - przerwał Mirski. - Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego pani uważa moją opowieść za wstrętne.

- Powiedział pan, że Droga blokuje wszechświat jak wąż - odpowiedziała Ram Kikura.

- Niezupełnie. Utrudnia realizację projektu naszych potomków. Ale oni nie uważają, że droga

jest "wstrętna". Patrzą na nią jak na cud. Tak mały świat, jak nasz, wciąż uzależniony od materii, był w stanie stworzyć taką rzecz. To jest prawie niewiarygodne. Twory podobne do Drogi znajdują się w innych wszechświatach, ale nie są zbudowane przez społeczności tak młode, jak ludzie. Dla nich Droga to coś równie dziwnego, jak dla nas piramidy czy Stonehenge. Gdyby mogli to zrobić, zachowaliby ją jako pomnik ludzkiej myśli. Ale to niemożliwe. Musi być zniszczona w określony sposób... zaczynając od tej strony.

Ram Kikura uspokoiła się. Przyglądała się Mirskiemu z wyraźnym zainteresowaniem. - Nie interesuje pana nasza polityka?

Mirski bębnił palcami w stół. Jego niecierpliwość zaintrygowała Laniera. - Polityka... nigdy nie jest obojętna dla tych, których dotyczy. Interesuje mnie tylko w tym stopniu, w jakim może przeszkodzić likwidacji Drogi.

Do sali weszła Karen i powitała wszystkich. Ucałowała też swojego męża. Pocałunek był krótki, ale szczery. Osobiste problemy nie powinny przesłonić doniosłości sytuacji. Lanier uściśnął jej dłoń.

- Mamy mało czasu - powiedział trzymając ją mocno za rękę. Zaciśnęła szczęki i rozejrzała się po sali. Szybko zorientowała się, że sprawa jest poważna.

Lanier nie wypuścił jej ręki. - Ser Korzeniowski?

- Droga może zostać otwarta w ciągu sześciu miesięcy. Obawiam się, że choć to opowieść Mirskiego rozpoczęła prace w Nexus, neogeszelowie wykorzystali sytuację na swoją korzyść. Nexus doradza otwarcie Drogi na zawsze. Nikt nie wątpi, że tak się stanie - jeśli tylko jartowie nie czekają tam na nas. Już zaczynają się starania, by zatwierdzić otwarcie próbnych bram. Niektóre połączyłyby nas z Talsitem. Jeśli rozpoczniemy handel z nimi, nigdy nie będziemy mieli ochoty, aby zlikwidować Drogę. Kupcy z Talsitu potrafią wyjątkowo skutecznie prowadzić swoje interesy. Zresztą Hexamon bardzo potrzebuje towarów, którymi handlują. Naciski są naprawdę silne... Ser Olmy?

- Nawet naderyci chcą korzystać ze środków przedłużających życie - dodał Olmy. - Za dziesięć lat miliony obywateli będą musiały porzucić swoje ciała i zamieszkać w pamięci miejskiej... lub umrzeć. Naderyci nie chcą mieszkać w nieskończoność w pamięci miejskiej. Nie odrzucają sztucznych środków podtrzymywania życia, ale nie znoszą życia w pamięci. To dla nich koszmar.

- Według mnie to hipokryzja - zauważył cierpko Lanier.

- Ależ oczywiście - zgodził się Korzeniowski. - W pamięci powstają teraz komitety złożone z duchów, które mają ustalić, czy jest możliwe, że jartowie zajęli całą Drogę. Jeśli uznają, że to prawdopodobne, mogą opóźnić otwarcie aż do chwili, gdy stworzony zostanie system obronny. A może nawet będą nalegać na przygotowanie ofensywy.

- Mój Boże - krzyknęła Karen. - A więc wojny z jartami zaczną się od nowa?

- Neogeszelowie są optymistami - chłodno stwierdził Korzeniowski.

- A jeśli jartowie rzeczywiście tam na nas czekają?

Korzeniowski skrzywił się. - Często się tego bałem w ciągu ostatnich dni. Mój duch jest w pamięci miejskiej i przysłuchuje się wszystkim debatom. Muszę bronić Hexamonu, jeśli dostanę taki rozkaz...

- Czy możemy się obronić w tej sytuacji? - zapytała Karen.

- To była tajemnica - odpowiedział Korzeniowski. - Ale nawet największa tajemnica może zostać ujawniona, jeśli rządzący uznają to za pożyteczne. Dysponujemy niezwykle potężną bronią na Thistledown. Trudno by ją było użyć wyłącznie do obrony - chyba że zamontowanobyją na fortcach w Drodze. Nikt nie niszczy potężnej broni, która kiedyś może się przydać... Jest ukryta w skorupie asteroidu. Jest trochę starodawna, ale ma ogromną siłę niszczącą.

Ram Kikura zakryła twarz dłonią i mamrotała modlitwę. - Gwiazdo, Losie i Pneumo. Nie wiedziałam. Ludziom mówiono, że...

- Wszyscy politycy kłamią... - zauważył Mirski - gdy wymaga tego polityka. Ludzie od nich tego oczekują. Lanier był blady. - Broń?

- Nadwyżki pozostałe po ostatniej wojnie z jartami, zmagazynowane w ukrytych komorach na Thistledown - wyjaśniał Olmy.

- I były tu przez cały czas? Kiedy tu wylądowaliśmy? - dopytywał się Lanier.

Olmy i Korzeniowski potwierdzili. Ram Kikura przyglądała się im ironicznie.

- A gdybyśmy je odkryli? - nie dokończył.

- Śmierć i tak się już wydarzyła - oświadczył Korzeniowski, poirytowany tym nagłym atakiem na niego. - Nawet jeśli jartowie są w Drodze, możemy zdobyć i utrzymać przyczółki - tak to się chyba nazywa.

- Jeśli nie rozwinęli swojej techniki i nie pozostawili nas w tyle - ponuro dodała Ram Kikura - To prawda. W każdym razie Nexus prosił mnie o pomoc w sprawach technicznych. Nie mogę odmówić. Korzy stałem z przywilejów badawczych od dawna i nie mogę teraz udawać, że się na niczym nie znam. Problem polega na tym, jak przekonać zbiorowy umysł Hexamonu...

- Rozmawiać ze wszystkimi delegatami - Ram Kikura nie wahała się ani przez chwilę. - Spotykać się bezpośrednio z obywatelami, także z Ziemianami.

- Bez Ziemi sprawa jest przegrana. Większość opowie się za uruchomieniem Drogi - powiedział Lanier. - Staraliśmy się wpłynąć na ich opinię. Ser Olmy się tym zajął.

- Wykluczili Ziemię, bo jest za głupia? - zapytała Karen.

- Zbyt prowincjonalna i zajęta swoimi problemami - odpowiedział Korzeniowski. - To oczywiście prawda... Ale nie ma tu ogólnej zasady. Można uświadomić im zagrożenie ze strony jartów. Nawet istnienie tajnej broni można wykorzystać jako argument, aby mens publica głosowała przeciw projektowi. Obawa Ser Ram Kikury, że technologia jartów jest bardziej rozwinięta niż nasza, może być kolejnym argumentem. Na razie powinniśmy wykorzystać możliwości prawne i zaatakować decyzję wykluczającą część Hexamonu z głosowania.

Mirski siedział na jednym z krzeseł w sali konferencyjnej. Splótł dłonie i założył je za głowę. - Delikatna robota - powiedział. - Garry to na pewno rozumie.

Karen spojrzała na męża.

Lanier postanowił naśladować bezpośredniość Rosjanina. - Paweł jest przekonany, że Drogę należy zniszczyć.

- A jeśli tego nie zrobią? - zapytała Ram Kikura.

- Tak musi się stać - powiedział Mirski z przekonaniem. - W ten lub inny sposób. Nie spodziewałem się takich trudności. Nawet mając lepszy umysł niż teraz. Jeśli mi się nie powiedzie, skutki będą opłakane...

- Czy to groźba? - zapytała Ram Kikura?

- Nie. To pewność.

- Jak bardzo opłakane?

- Nie wiem. Nie przygotowywałem się na tę ewentualność. W mojej obecnej postaci nie byłbym w stanie ich zrozumieć.

- Zbyt wiele niewiadomych - powiedział Korzeniowski ze smutkiem. - Ser Mirski, gdy wszyscy poznają pańską opowieść... ilu naszych obywateli uwierzy w nią, a ilu uzna ją za podstęp ortodoksyjnych naderytów, by podtrzymać nasz związek z Ziemią?

- Postaram się być bardziej przekonujący niż byłem dotychczas - odparł Rosjanin prostując

ramiona. - A czy pan mi wierzy? - Spojrzał na nich pytająco, unosząc wysoko brwi.

Karen nie widziała jeszcze jego wystąpienia, więc nie zabierała głosu. Korzeniowski, Olmy i Lanier bez wahania wyrazili swoją opinię. Ram Kikura, z pewnymi oporami, zgodziła się z nimi.

- Musimy ustalić strategię - powiedział Lanier. - Możemy opracować wystąpienie, które przedstawimy senatorom niechętnym decyzji Nexus. Mogą ją zaatakować. Ram Kikura przekaże sprawę prawnikom. Zaatakujemy z dwu stron.

- Lepiej będzie, jeśli zajmę się Ziemią - powiedziała Ram Kikura. - Za kilka dni odbędzie się spotkanie Rady Ziemińskiego Hexamonu. Muszę zawiadomić ich o wynikach naszej konferencji. Myślę, że nikt na tym nie straci, jeśli polecę z Karen na Ziemię. Jak wiele z tych informacji to oficjalna tajemnica?

- Wszystko - powiedział Korzeniowski. - Zanim Nexus nie ujawni swoich zaleceń, nikt nie powinien o tym mówić.

- To też nie jest całkiem zgodne z prawem - zamyśliła się Karen. - Neogeszelowie w Nexus stali się wpływową grupą. Dziwię się, że Farren Siliom z nimi współpracuje.

- Woli z nimi współpracować i utrzymać się przy władzy, niż oddać im swój urząd - skomentował Lanier.

Ram Kikura wyświetliła symbol, którego nie zrozumiał. - Będę starała się nie wspominać o tajnej broni. Inaczej musiałabym zająć się przepisami obronnymi, a na tym się nie znam.

- To dziwne, ale gdy byłem poza obecnym ciałem i miałem potężny umysł, wydawało mi się, że wszyscy rozsądni ludzie zgodzą się na moją propozycję - powiedział Mirski potrząsając głową. - Co za niespodzianka być znów człowiekiem.

Lanier uśmiechnął się. - Znów być tak tępym.

- Nie chodzi o tępotę - zaprzeczył Rosjanin. - Zaskakuje mnie przewrotność, pokrętność.

- Amen - zakończyła Karen patrząc na Ram Kikurę. - Ludzie są wszędzie tacy sami.

Droga

Półprzeźroczysty i nieszczęśliwy duch Demetrios pojawił się przed Ritą. Na jego bladej twarzy malowało się przerażenie. Nie spodziewał się niczego podobnego. Rita zrozumiała teraz, że na jej los nie mają wpływu żadni bogowie. Lub, co gorsza, są we władaniu złych bogów.

Towarzyszająca im istota powiedziała: - Wzorce jego umysłu zostały zachowane. Jego ciało jest również w magazynie. W tej chwili się nim nie posługuje. Jego myśli nie znajdują się w mózgu. Przepływają przez medium, w którym ty też kiedyś się znajdowałaś. - Strażnik stał obok i przyglądał się jej ruchom. - Martwisz się?

- Tak - odpowiedziała.

- Czy chcesz skończyć pokaz?

- Tak! Tak! - Wycofała się zaciskając pięści. Potem zaczęła histerycznie płakać. Demetrios wyciągnął ramię, ale nie zdołał nic powiedzieć, zanim zniknął.

W pomieszczeniu, które stało się jej więzieniem, usiadła na podłodze, ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem. Opuściły ją resztki odwagi. Zdała sobie sprawę, że jest na łasce istot, które ją schwytały. Mogły ją uspić. Byłaby zadowolona i nieświadoma, odpowiadałaby na ich pytania. Wydawałoby się jej, że jest w domu.

- Nie powinnaś się bać - uspokoił ją strażnik. - Spotkasz się z twoimi przyjaciółmi, nie tylko z ich obrazami. Oni wciąż myślą. Czują się dobrze pośród złudzeń. Tobie też było dobrze, zanim postanowiłaś wrócić do ciała.

Strażnik czekał cierpliwie, aż się uspokoi. Stopniowo przestawała szlochać i odzyskiwała panowanie nad sobą. Nie wiedziała, jak szybko upływał czas. - Oresias i inni... czy zginęli? - zapytała, gdy się uspokoiła.

- Śmierć ma dla nas inne znaczenie - wyjaśnił jej strażnik. - Niektórzy mają aktywne złudzenia, a inni są uspieni i nic nie przeżywają. Nikt nie umiera na zawsze.

- Czy będą mogła z nimi rozmawiać, jeśli zechcę?

- Tak. Wszyscy są do dyspozycji. To tylko kwestia czasu, kiedy mogą zostać sprowadzeni.

Uznała, że najlepiej będzie spróbować jeszcze raz, choć nie była pewna, czy potrafi nad sobą zapanować. - Czy możesz sprowadzić bardziej realnego Demetriosą? Ten mnie przestraszył... Wyglądał jak martwy. Jak duch.

Strażnik powtórzył kilka razy słowo "duch", uśmiechając się. - Mogliśmy go uformować tak, by wyglądał jak realny człowiek. Ale i tak byłoby to złudzenie. Czy chciałabyś spotkać takie złudzenie?

- Tak. Tak.

Demetrios pojawił się ponownie. Wyglądał solidnie, ale był bardzo zmęczony. Rita wstała i podeszła do niego. Pochyliła się ku niemu, jednak ręce trzymała sztywno wzdłuż ciała, a jej pięści były zaciśnięte. - Kim jesteś? - zapytała przez zaciśnięte zęby. Nie mogła opanować drżenia ciała.

- Jestem Demetrios, mekhanikos i didaskalos w Mouseionie w Aleksandrii - odpowiedziała postać. - Ty jesteś Rita Vaskayza? Czy jesteśmy martwi? - Ricie szczękały ze zdenerwowania zęby.

- M-myślę, że nie - odpowiedziała. - Zostaliśmy schwytani przez demony. Nie. - Zaciśnęła powieki i zastanawiała się, jak Patrikia zachowałaby się w tej sytuacji. - Zostaliśmy schwytani przez ludzi, którzy nie są ludźmi, lecz skomplikowanymi maszynami.

Demetrios zrobił krok w jej kierunku. Był niepewny, jakby szedł po lodzie. - Nie mogę cię

dotknąć. Powiniennem się bać, ale nie czuję strachu. Czy jestem martwy?

Rita potrząsnęła głową. - Nie wiem. On mówi, że wciąż żyjesz. To jest twój sen.

- On? - zapytał wskazując na strażnika. - Kim on jest?

- Należy do nich.

- Wygląda jak człowiek.

- Ale to nie człowiek.

Strażnik, nie zwracając uwagi na ducha, przyglądał się wyłącznie Ricie. Powiększało to tylko jej przerażenie.

- Czy nasi towarzysze żyją?

- On mówi, że tak.

- Co możemy zrobić?

Strażnik, który wciąż patrzył tylko na Ritę, powiedział: - Nic. Ucieczka jest niemożliwa. Jesteście traktowani z szacunkiem i nic złego was nie spotka.

- Czy go słyszysz? - zapytała Rita wskazując kciukiem strażnika. Najchętniej by go uderzyła, ale to przecież na nic by się nie zdało.

- Tak - powiedział Demetrios cicho. - Otworzyliśmy złą bramę, prawda?

- Mówi, że w Gai upłynęło już wiele lat.

Demetrios spoglądał na wszystkie strony mrużąc oczy. - Wydawało się, że to tylko kilka godzin. Czy mogą nas zabrać z powrotem do prawdziwej Gai?

- Możecie? - zapytała Rita.

- To jest możliwe - strażnik odpowiedział bez przekonania. - Po co chcecie tam wrócić? To nie jest już ten sam świat.

Demetrios nie zareagował. Ritę ogarnęły mdłości. Mogła sobie wyobrazić, co miał na myśli. To byli jartowie, a oni lubili grabić. Tak powiedzieli Patrikii ludzie z Drogi. "Jestem odpowiedzialna za zniszczenie mojego kraju." Bezwiednie uniosła dłonie na wysokość podbródka. - Demetriosie, tak się boję. Tym... ludziom chodzi tylko o informacje. O nic więcej.

- Wręcz przeciwnie - zaprotestował strażnik. - Jesteśmy bardzo zaangażowani w całą sprawę. Chcemy, aby było wam dobrze. Od czasu, gdy zajęliśmy waszą planetę, zmarło bardzo niewielu ludzi. Wielu z nich zostało zmagazynowanych. Niczego nie marnujemy. Dbamy o każdą myśl. Mamy uczonych i zachowujemy tyle, ile to możliwe.

- O czym mówisz? - zapytał Demetrios spokojnym, głębokim głosem. Rita pamiętała, jak sama czuła się w tym dziwnym śnie, gdzie nie było jeszcze strachu.

- Czy chcesz, abym rozmawiał z twoim towarzyszem? - zapytał Ritę strażnik.

Pytanie zaskoczyło ją. Domyśliła się, że spotkaniem rządzą reguły, których nie zna, i wyraziła zgodę.

- Naszym celem i obowiązkiem jest badanie i chronienie wszechświatów. Dbamy o rozwój naszego gatunku, gdyż mamy najwyższą inteligencję i najlepiej potrafimy służyć celom nauki. Nie jesteśmy okrutni. Okrucieństwo to pojęcie, które poznałem ucząc się waszego języka. Zadawanie bólu i niszczenie to marnotrawstwo. Nie możemy też pozwolić, by inne inteligentne istoty rozwinęły się do takiego stopnia, by mogły przeszkodzić postępowi wiedzy. By stawiać nam opór. Dlatego zachowujemy wiedzę, gdziekolwiek ją napotkamy na naszej drodze, i zwalczamy opór.

Demetrios przysłuchiwał się temu spokojnie z zaciekawioną miną. Nie wiedział wiele o historii Patrikii. Rita opowiedziała mu tylko drobny jej fragment, zanim jeźdźcy pojawili się na kirghiskim stepie.

- Chciałabym zobaczyć mój dom - oświadczyła zdecydowanie Rita. - Chciałabym tam pojechać

wraz z Demetriosem, Oresiasem i... Jamalem Attą.

- Tylko częściowo możemy spełnić twoją prośbę. Jamal Atta zabił się, zanim zdołaliśmy go schwycić. Nie zachowaliśmy wystarczającej części jego osobowości, aby go odtworzyć.

- Muszę tam pojechać. - Rita była zdecydowana zrealizować przynajmniej tę prośbę. Ogarnęło ją przerażenie. Czuła, że jeśli zacznie płakać, straci nad sobą kontrolę. Nie chciała, aby jej strażnik i Demetrios to widzieli.

- Zabierzemy cię tam. Czy chcesz być przytomna podczas podróży czy może wolisz obudzić się dopiero tam?

Demetrios patrzył na nią natarczywie. Nie wiedział, co powinna postanowić, ale było jasne, że jest najważniejszym więźniem.

- Chcę widzieć wszystko - oświadczyła.

- Będzie ci trudno wszystko zrozumieć. Czy mam ci towarzyszyć i wyjaśniać czy też wolisz otrzymać uzupełnienie psychiki, które będzie twoim wewnętrznym przewodnikiem.

Pochyliła głowę, nie rozumiejąc dokładnie, co miałyby wybrać. Może zresztą nie chciała rozumieć. "Czy mogę być czymś więcej, niż jestem?" Zapewne już się zmieniła. Ta myśl była nie do niesienia. - Dobrze - wydobył się z niej zduszony szept. - Pojedź z nami. Po prostu zabierz nas tam.

Została jej tylko jedna nadzieja - że jartowie to kłamcy.

Jeśli to wszystko była prawda, wołałaby umrzeć. I będzie się o to starać. Na pewno jej nie pozwolą. Byłoby to marnotrawstwo.

Thistledown City

Ram Kikura rozmyślała, jak to wygląda, gdy człowiek trafia pewnego dnia do pamięci miejskiej i ma tam pozostać na zawsze. Odcięty od realnego życia, pozostaje w świecie, który przypomina ten normalny, choć nie zmienia się. Może być niebem lub piekłem, choć trzeba to przyznać, piekłem bardzo komfortowym...

Ona sama urodziła się w pamięci, dostała ciało - to samo spotka wkrótce jej syna - a wszystkie te obawy były przedwczesne. Należało jej się przynajmniej jeszcze jedno ciało, a ponieważ jej życie było wolne od ryzyka, miała przed sobą wiele stuleci, zanim problem stanie się palący.

Jednak wciąż o tym rozmyślała, tak jak młody Ziemianin mógłby rozmyślać o śmierci. Różnica polegała na tym, że Ziemianin nie mógł sprawdzić, co będzie po śmierci. Ona mogła podróżować do pamięci, gdy tylko chciała. Korzystała z tej możliwości często, aby odwiedzać swego "nienarodzonego" syna. Wizyty rzadko trwały dłużej, niż pięć minut, według zewnętrznego czasu. W pamięci rozciągały się na całe miesiące. Ostatnim razem towarzyszyła Tapiemu w wakacyjnej podróży nad Amazonkę - sama zaprojektowała scenerię. Została zachowana i stanowi teren rekreacyjny pamięci - było to dla niej duże wyróżnienie.

Tym razem czasu będzie mniej. Musiała skontaktować się z pamięcią w Axis Euclid z odległego Thistledown. Zmniejszało to bogactwo dostępnych przeżyć.

Gdy odszukała przestrzeń Tapiego, jej syn był zajęty ograniczaniem swojej psychiki. Przygotowywał się do otrzymania ciała i pozbywał się niepotrzebnych rozgałęzień. Zgodnie z prawem nowe ciało nie mogło zawierać implantów, więc musiał zaprojektować swą podstawową osobowość tak, by była zgodna z możliwościami ludzkiego mózgu.

- To przykre - powiedział. - Tutaj jestem wolny. Tam będą się czuł skrępowany. Czy ten świat jest taki ułomny?

- Czasem tak.

- To dziwne, skoro otrzymanie ciała jest takim przywilejem...

Przyjrzała się, jakich ograniczeń dokonał w prywatnej przestrzeni i z czego zrezygnował. - Mądry wybór - pochwaliła. Uboczne podprocesory, modyfikacje osobowości przystosowane do abstrakcyjnych środowisk, próby seksualne inspirowane przez innych nienarodzonych - to wszystko zostało usunięte. Będzie mógł z tego korzystać kiedyś w przyszłości, ale nie zabierze ich ze sobą do ciała.

- Dużo mnie ubyło - zauważył ze smutkiem. W obecności Olmy'ego nie skarżył się nigdy, był optymistyczny i pewny siebie, nie dzielił się z nim wątpliwościami. Były zarezerwowane dla matki, która, w pewnym sensie, była z tego dumna.

- Nie było tam nic istotnego - zauważyła sucho.

- Mniej głosów będzie śpiewać. Teraz wyraźniej widzę, kim będę. Olmy się na to zgodzi, prawda?

- Czy widział się z tobą?

Tapi skinął głową. - Jakiś czas temu. Wyraził zgodę.

Ram Kikura zrezygnowała z uszczypliwego komentarza. - Potrafi ocenić wysoką jakość - powiedziała.

- Ojciec ma jakieś poważne kłopoty.

- Wszyscy je mamy.

- Może większe niż myślisz.

Przyjrzała się obecnemu obrazowi syna. Był już podobny do swego przyszłego ciała. - Czy powiedział coś... zaskakującego?

- Nie - odparł Tapi. Nie wyjawiał wszystkiego. Wiedział o sporach między rodzicami i nie chciał roznosić plotek.

- Martwię się o niego.

- Ja też.

- Czy powinnam się nim zająć bardziej?

- Nie wiem - powiedział szczerze Tapi. - Mówił bardzo niewiele.

Ram Kikura zabrała się do roboty, obejrzała wszystkie usunięte naddatki i objęła syna czule. - Wszystko w porządku. Myślę, że jesteś gotów.

- Twoja zgoda? - zapytał, a w jego głosie entuzjazm przeważał wątpliwości.

- Już ją zarejestrowałam. - Nie wypowiedziała starej formuły, jak zrobił to Olmy. Nie była taką tradycjonalistką.

- Czy już wiesz, gdzie chcesz się urodzić?

- Tak. Na Thistledown.

Olmy urodził się na asteroidzie, a ona w Axis City. Mimo to wiedziała, że Tapi nie chce jej lekceważyć.

Tapi skomponował przestrzeń osobistą od nowa i ukrył usunięte fragmenty. - Czy zaakceptujesz moje plany, gdy już się urodzę?

- Wtedy nie będą musiała niczego aprobować. Będziesz niezależny.

- Jednak zależy mi na twoim zdaniu.

- Moim zdaniem syn podobny jest do ojca. Udział Olmy'ego w tobie jest bardzo silny. Mój jest mniej widoczny. Ale jestem pewna, że oboje będziemy z ciebie dumni.

Tapi dosłownie rozblęsnął, wypełniając całą przestrzeń światłem. Objął ją ponownie. - Jesteś żołnierzem tak, jak ojciec - powiedziała. - Po prostu walczyście w innych bitwach.

Olmy bardzo się kontrolował, gdy był z innymi ludźmi, ale nie było to tak męczące, jak się obawiał. Gdy wreszcie został sam, odetchnął z ulgą. Dużo lepiej czuł się lesie w czwartej komorze.

Nie wrócił do mieszkania w Thistledown City. Zamieszkał na jakiś czas w mieszkaniu pod kopułą Nexus. Każdy mógł sprawdzić, co robi. Z pewnością nikt nie odkryje, że przechowuje w implancie jarta.

Ogarnęło go pragnienie, by położyć się na tapczanie i poświęcić badaniu informacji, które jego reprezentant przysyłał z odpowiedniego implantu. Nie poddał mu się i najpierw postanowił oczyścić nieco swój umysł. Rozpoczął taniec frantów relsoso, którego nauczył się ponad sto lat temu w ich ojczyźnie, Timbl. Wyciągał ramiona, podnosił nogi, wyginał tułów, krążąc od ściany do ściany pokoju. Frantowie byli bardziej subtelni i giętki niż ludzie, więc nie było to łatwe. Kilka podstawowych ruchów trzeba było uprościć. Jednak taniec spełnił swoje zadanie i Olmy poczuł się odprężony i silniejszy.

- Teraz mogę usiąść i wegetować - oświadczył głośno i usiadł po turecku pośrodku saloniku pełnego białych mebli.

Wymiana informacji z jartem przebiegała poprawnie, jak zawiadamiał reprezentant. Za kilka godzin więcej informacji popłynie na drugą stronę barykady.

Już teraz posiadał znaczną ilość danych. Ich przestudiowanie zajmie dłuższy czas. W implancie

nie było zbyt wiele miejsca, aby przetwarzać je szybciej. Jart i reprezentant Olmy'ego wypełniali tę przestrzeń szybko. Dlatego przeglądanie postępowało wolno, w naturalnym ludzkim rytmie. Dzięki temu mógł dostrzec wiele powiązań między informacjami, które inaczej uszłyby jego uwadze.

Olmy zamknął oczy i zagłębił się w poglądy filozoficzne jarta. Tłumaczenie jego pojęć na język ludzki było czasami trudne, a kiedy indziej pojęcia miały dokładne odpowiedniki. Zastanawiał się, jak wiele z tych informacji było jartowską propagandą, udostępnianą tylko po to, by go przekonać o słuszności ich polityki.

Polecił swemu reprezentantowi, by wysyłając informacje o kulturze i poglądach ludzi, zwracał także uwagę na ich walory propagandowe.

Jartowie byli niezmordowanymi zdobywcami, znacznie bardziej zdeterminowanymi niż ludzie. Ludziom zależało na wymianie towarów, jartowie chcieli dominować i narzucać swoje prawa. Nie lubili dzielić się władzą i robili to tylko w ostateczności. Handlowali z Talsitem zanim ludzie nie zajęli pierwszych kilku miliardów kilometrów Drogi. Talsit był znacznie starszą kulturą, bardziej tajemniczą i, niewątpliwie, bardziej rozwiniętą niż jartowie.

Dlaczego byli tacy zachłanni? Dlaczego chcieli rządzić podbitymi światami? “Polecenia ustanowił dawny komendant. Zbieraj i zachowuj, aby komendant następcy mógł wypełnić obowiązek. Wtedy wykonawcy i wszyscy inni znajdą spokój i staniemy się znów sobą, pozbawieni obowiązku do wypełnienia. Uwolnimy obraz zmęczonego materiału, czyli nasze myśli i istnienie. Dlaczego ludzie tego nie robią?”

Olmy starał się rozwikłać zagadkę tego fragmentu, jednego z ważniejszych w całym zbiorze danych. Przypominał tekst literacki, a może nawet religijny, ale mógł być równie dobrze jakimś przesłaniem, przy pomocy którego urabiano psychikę jartów.

Pojęcie “komendanta następcy” było szczególnie zagadkowe. Wskazywało na ewolucję jartów i ich przemianę. Zawierały wskazówkę, że jartowie mogli współpracować z innymi istotami i dzielić się odpowiedzialnością. Praca, którą wykonywali, przekraczała możliwości jednej cywilizacji, musiała być dokończona przez inną, może nawet przez wiele innych.

Zbieraj i zachowuj. To również było zaskakujące. Olmy badał wszystkie powiązania tego polecenia, przeszukiwał inne instrukcje. Jartowie zbierali i przetwarzali wytwory różnych kultur, ich myśli, organizmy i całe planety. Chronili je przed zniszczeniem, które uważali za największe zło. Przyroda, natura były złem, bo ulegały samozagładzie, gniły, rozpadały się. Jartowie walczyli z upływem czasu i starzeniem się, gromadzili wszystko, co wpadło im w ręce, aby w postaci ładnie zapakowanych i przewiązanych wstążką pakietów wręczyć... komendantowi następcy.

Olmy przeżywał jednocześnie fascynację i przerażenie. Zachłanność jartów wynikała nie z egoizmu, lecz z ideologii. Przymus gromadzenia wypływał z głębi ich kultury i nie miał nic wspólnego z osobistymi korzyściami. Nie wspomagał ani dobrobytu, ani postępu w ich kulturze. Jartowie uważali się za narzędzie, które realizowało cel ostateczny. Będą mogli odpocząć dopiero wtedy, gdy wszystko zostanie zakonserwowane i zapakowane, aż do ostatniej galaktyki (cóż za cel!). W nagrodę ich następcy przechowają także jartów. Ale co komendant następcy zrobi z tym magazynem paczuszek?

Zastanawianie się nad tym nie należało do jartów. Na pewno nie był do tego powołany wykonawca obowiązku.

Olmy znalazł spis zakazanych działań. Czasem wolno było zniszczyć przeciwnika w walce, by go potem zakonserwować - tak zwalczano ludzi, którzy przeszkadzali realizować ich cele w Drodze - ale zbędne niszczenie było ciężkim grzechem. W ich światopoglądzie nie było miejsca na okrucieństwo. Nie było ani radości ze zwycięstwa, ani nawet satysfakcji z drobnych sukcesów. Ideał

polegał na tym, by jart działał w imię celu ostatecznego i tylko o nim myślał. Satysfakcja pojawi się, gdy zbiory zostaną przekazane.

Wątpił, czy jakiegokolwiek żywe istoty mogą być tak zasadnicze. W każdym razie taki ideał mógł zawstydzić niejednego ziemskiego filozofa. Nie można było zmienić celu działania. Na tym polegało niezwykle piękno całego systemu. Jedyne dopuszczalne zmiany mogły polegać na przyspieszeniu procesu.

W historii ludzi nigdy nie udało się osiągnąć takiej konsekwencji. Niezmienne cele ciągle podlegały zmianom. Zawsze pojawiały się napięcia, które prowadziły do odrzucenia celów.

Nawet w filozofii Hexamonu były sprzeczności. Z jednej strony Gwiazda, Los i Pneuma, a z drugiej Dobry Człowiek z Naderu. Starano się utrzymać istniejące instytucje, a jednocześnie kłóciło się to z celami poszczególnych jednostek i grup.

Jartowie z łatwością wkomponowali wojny w swój obraz świata, ale udało im się wyeliminować niepotrzebne zniszczenia. Ludzie nigdy nie byli tak pomysłowi.

W uzyskanych informacjach nie było wzmianki o historii jartów, o ich prawdziwych losach. Schwytany potwór opowiadał tylko o ideałach, zamierzeniach, doktrynach. Olmy był karmiony ideałami, a nie faktami. Być może, realizacja ideałów pozostawiała nieco do życzenia.

Po zapoznaniu się z ich filozofią Olmy zajął się działalnością jartów w Drodze.

Kiedy po raz pierwszy dostali się do Drogi przez przypadkową bramę szybko zrozumieli zasady działania cudownego mechanizmu. Wydawało im się, że sami go stworzyli - Olmy nie odgadł, jak to było możliwe - lub że dostali go w prezencie od komendanta następcy, by lepiej wypełniać swoje zadanie. Droga nadawała się do tego doskonale. Szybko nauczyli się otwierać bramy w każdym miejscu wszechświata, a nawet odszukiwać inne wszechświaty. Mogli podróżować do kresu czasu, choć nie zachowały się ślady takiej podróży. Nie wysłali ekspedycji, którą możnaby porównać do podróży stacji geszelów po Odłączeniu. Być może uważali, że dopiero komendant następcy powinien odbyć tę podróż. Albo czekali do momentu, gdy ukończą swoją pracę.

Dzięki Drodze mogli pakować całe światy w błyskawicznym tempie.

Olmy z najwyższym trudem wyobrażał sobie realizację ich planów. Statyczny, uporządkowany wszechświat, pozbawiony energii i tajemnicy, niezmienny, podany jak na talerzu komendantowi następcy do degustacji.

Takie było logiczne zakończenie.

Czuł, że opór, jaki stawiał jartom, był usprawiedliwiony. Ich cel niewiele różnił się od śmierci. Jartowie nie radowali się, nie cierpieli, nie triumfowali i nie żalowali. Wypełniali swoje role jak maszyny...

Było to uproszczenie; obawiał się, czy nie nadmierne. Mimo to czuł do nich głębokie obrzydzenie. Stał wobec wroga, którego mógł zrozumieć, a mimo to, nadal go nienawidził.

Reprezentant powiadomił, że nadeszły nowe informacje.

Olmy otworzył oczy. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. Spakował posiadane informacje i oczyścił implant, by przyjąć następne.

Droga

Rita nie rozumiała tego wszystkiego, co widziała podczas podróży na Gaię. Leciwała przez całkowicie obcy świat. Strażnik towarzyszył jej cały czas.

Najpierw opuściła pokój, w którym się obudziła. Był bardzo mały i nie miał nic wspólnego z jaskinią, jaką sobie wyobrażała. Umieszczono ją w ochronnym bąblu, zrobionym z delikatnego cienkiego szkła. Stała w nim wraz ze strażnikiem na czarnej platformie o średnicy kilku metrów. "Wyglądają z mydła." Nie chciała ograniczać możliwości jej nowych władców.

- Gdzie są moi towarzysze? - zapytała. Obraz Demetriososa został w pokoju. Tutaj byli tylko we dwoje.

- Pojadą dużą krótszą drogą. Twoja podróż jest dość kosztowna, jeśli mogę użyć naszego pojęcia. Pochłania dużo energii. Dysponuję ograniczoną jej ilością.

Bąbel leciał zawieszony w ciemności. W oddali, na krawędzi ciemności lśnił biały trójkąt. Rósł i zbliżał się, a gdy stał się tak duży, jak jej wyciągnięta ręka, zatrzymał się. Przez chwilę nic się nie działo. Stali wpatrzni w światło przed nimi.

Rita zadrżała. Ogarnęła ją paniczna, zwierzęca chęć ucieczki. Marzyła o sile magicznej, która na przekór faktom uwolniłaby ją stąd. Ale nie spróbowała uciekać. Nie zastanawiając się zbyt nad niczym, spojrziała za siebie i dostrzegła ścianę pokrytą lśniąca czarną cieczą, nad którą unosiły się wszystkie barwy tęczy. Ściana rozciągała się we wszystkich kierunkach, była masywna i tajemnicza. Rita nie miała pojęcia, co może się wydarzyć. Cisza przerażała ją. Musiała zacząć mówić, aby nie krzyczeć.

- Nie wiem, jak masz na imię - powiedziała cicho. Strażnik zwrócił ku niej swoją gładką twarz i Rita zawstydziała się, że chce znać imię wroga. Nie mogła go nienawidzić, nie wiedziała przecież nawet, kim lub czym jest. Aby dowiedzieć się więcej, będzie musiała zadawać pytania, a te mogą odsłonić jej słabość.

- Czy chcesz, abym miał imię? - zapytał uprzejmie strażnik.

- Jak to? Więc nie masz swojego własnego imienia?

- Moi towarzysze zwracają się do mnie na wiele różnych sposobów. W tej formie tylko ty mnie widzisz, więc nikt nie nadał mi jeszcze imienia.

Nagle znów poczuła irytację. - Wybierz sobie imię, proszę. - powiedziała odwracając się od niego.

- A zatem, będę się nazywał Kimon. Czy to dobre imię?

W szkole jej paidagogos nazywał się Kimon, Był pulchny, sympatyczny, uprzejmy i wymagający, choć niezbyt inteligentny. Gdy była dziewczynką, lubiła go, a może nawet trochę więcej. Być może strażnik chciał to wykorzystać. "Ale może nie potrzebuje uciekać się do takich podstępów." - Nie - oświadczyła. - To nie twoje imię.

- A więc jakie imię powinienem nosić?

- Będę cię nazywała Typhon - powiedziała. Z Hesjodosa: straszna istota, która walczyła z Zeusem, syn Gai (stąd kształt przypominający człowieka) i Tartarosa; potwór nieskończonego zła... To imię będzie przypominać o niebezpieczeństwie.

Strażnik skinął głową. - A więc Typhon.

Niespodziewanie bąbel oddalił się od czarnej ściany. Nie mogła ocenić szybkości, z jaką

lecieli. Wewnątrz nie czuło się żadnego ruchu. Ciemność dookoła była wypełniona delikatną tęczą. Miriady promieni światła rozchodziły się od lśniącego trójkąta przed nimi we wszystkich kierunkach. Pochłaniała je czarna ściana. Trójkąt był coraz większy i jaśniejszy. Zbliżali się do czegoś, choć nie wiedziała, do czego.

Rita patrzyła jak zahipnotyzowana w światło. Perłowa biel wypełniła jej umysł. Czuła zarazem spokój i lęk. W takim świetle mógł się ukrywać jakiś bóg. "Jeden z tych, w których nie wierzę," pomyślała. "Są wciąż we mnie. Athene i Astarte, i Iziz, i Aser, i Aserapis, i Zeus... a teraz Typhon." Światło otoczyło ją, a mrok stał się otwartą paszczą. Spostrzegła, że oto wynurzyła się z trójkąta i popłynęła kanałem perłowego blasku. Czarna trójboczna paszcza oddalała się za nią. Otaczała ją cienka czerwona linia, pełna wdzięku i mocy trudnych do opisanego. Kolor zdawał się symbolizować godność, potęgę życia i gwałtowną siłę - wszystko to, jednocześnie.

- Gdzie jestem? - zapytała zduszonym głosem.

- Za nami jest naczynie. Jesteśmy w próżni, w tubie błyszczącego światła. Wydostaniemy się stąd za chwilę.

Nadal nie wiedziała, gdzie się znajduje. Miała ściśnięty żołądek. Tyle niespodzianek nie wychodziło jej na dobre. Jak zachowałyby się Sophie, gdyby zobaczyła tyle dziwnych rzeczy naraz. Kiedyś Gaia musiała wydać się dziwna Patrikii, może nawet straszna.

Potarła oczy pięściami. Zabolęły. Bolała ją szyja od ciągłego napięcia. Bolała ją głowa. A w koło tyle piękna... Wstydziała się, że jest taka słaba i obolała. "Nie reaguję właściwie. Może powinnam być wdzięczna, że jeszcze nie zwariowałam."

Blask był coraz jaśniejszy i nagle poczuła, mrowienie: wydostali się z perłowej tuby. Poniżej znajdowało się coś niezrozumiałego. Z wyglądu przypominało wielką bladozieloną mapę pokrytą brązowymi liniami i równomiernie wykropkowaną, ze stożkowatymi wieżyczkami umieszczonymi w pewnych odstępach.

Po chwili zaczęła widzieć rozumiejąc. Byli wewnątrz zakrzywionej przestrzeni przypominającej cylinder lub rurę ogromnych rozmiarów. Powierzchnię pokrywały wzory jak na kreteńskich tkaninach, rozbiegające się we wszystkich kierunkach - zielone, brązowe i białe. To było jak... Rita i szybko przestała myśleć, aby uniknąć porównania.

Wiedziała, gdzie jest. Patrikia opisywała wiele z tych rzeczy, choć nie mówiła o wzorach i kolorach. Ponad bąblem ciągnęła się wstęga tuby plazmowej oraz niezrozumiały obszar zwany jednostkowością.

Widziała Drogę.

Hawaje

Ziemski Senat był na wakacjach, senatorowie rozjechali się w różne strony. Wpływowy senator pozostał w Honolulu i Garry Lanier umówił się z nim na spotkanie.

Towarzyszyły mu Suli Ram Kikura i Karen. Razem mieli dokonać sabotażu.

Lanier znał Roberta Kanazawę, starszego senatora Pacyfiku, już od pięćdziesięciu lat. Spotkali się w marynarce. Potem Kanazawa służył na łodzi podwodnej, a Lanier został pilotem. Nie mieli ze sobą kontaktu aż do Uzdrawienia, kiedy to spotkali się ponownie na plenarnej sesji Nexus na Thistledown. Później ich drogi krzyżowały się co kilka lat, aż do chwili, gdy Lanier poszedł na emeryturę. Głęboko szanował Kanazawę. Przetrwał Śmierć na amerykańskiej łodzi podwodnej, w Kalifornii pracował nad przywróceniem cywilnej władzy. Był senatorem od dwudziestu lat.

Podczas Śmierci wciąż byli pod ostrzałem wojsk ze wschodu. Jednak z powodu kaprysu sowieckiego dowództwa, lub może awarii systemu raketowego, Peari Harbor zostało uderzone tylko dwoma głowicami. Na inne bazy spadło tylko po jednej głowicy, a na niektóre nie spadła żadna. Honolulu było poważnie zniszczone po ataku na Peari Harbor, ale miasto nie zniknęło z powierzchni ziemi.

Po Odłączeniu przedstawiciele Hexamonu, a wśród nich także Lanier, szukali miejsc, od których chcieli rozpocząć Uzdrawienie. Na prośbę wysp właśnie tutaj umieszczono centrum kierowania prac na środkowym Pacyfiku. Skażenie terenu było względnie niewielkie. Promieniowanie spadło po pięciu latach do nieszkodliwego poziomu, a pomoc medyczna Hexamonu mogła z powodzeniem usunąć wszelkie pozostałości walk.

Po dziesięciu latach odrodziła się roślinność w dżungli. Miasta odzyskały dawną świetność, rozkwitł handel między Nową Zelandią, Australią, Indochinami i Japonią. Hawaje stały się ważnym punktem na Pacyfiku, a pomoc Hexamonu była obfita.

Środki transportu i komunikacja hexamońska spowodowały, że każde miejsce było równie dobre z geograficznego punktu widzenia. Nie było więc przeszkód, aby właśnie na Hawajach umieścić Ziemski Senat. Wybrano miasto Oahu, znajdujące się tam, gdzie dawniej było Honolulu. Niektórzy uznali to za nagrodę i przywilej dla Hawajów, ale Nexus nie protestował. Uważał, nie bez racji, że niewielu Ziemian brałoby udział w Uzdrawieniu, gdyby nie spodziewali się jakiejś nagrody.

Kanazawa mieszkał w długim domu z drewna i kamienia, odległym o jakiś kilometr od brzegu morza. Lanier, Karen i Ram Kikura odbyli wędrowkę pod szumiącymi palmowymi liśćmi, poruszonymi wilgotnym wiatrem. Przed wejściem powitały ich urządzenia zabezpieczające stworzone przez Nexus - długa na metr rura umieszczona obok ganku.

- Cieszę się z ponownego spotkania. Ser Lanier - powiedział głos Kanazawy przetworzony przez system elektroniczny. - Jesteście oczekiwani. Proszę, wejdźcie i wybaczone bałagan. Senator przygotowuje się do sesji w następnym tygodniu, na której będzie bronić ustawy o handlu.

Weszli po kamiennych stopniach na ganek. Na czarnej, polerowanej podłodze stały plecione meble. Dokumenty i foldery leżały na stosach w różnych miejscach. Elektroniczne narzędzia przetwarzania danych wciąż były luksusem na Ziemi.

- Podoba mi się to - powiedziała Ram Kikura, oglądając wzorzystą polinezyjską tkaninę, którą były pokryte krzesła i sofa. - Realny przedmiot.

Kanazawa wyszedł ze swego gabinetu w głębi mieszkania ubrany w białoniebieską szatę z

japońskiej bawełny i lekkie pantofle. - Garry, Karen! Tak się cieszę, że was widzę. - Uśmiechnął się do Ram Kikury. - Jeśli się nie mylę, to obrończyni Ziemi, ser Suli Ram Kikura. - Podał jej rękę, a ona uściśnęła ją kłaniając się lekko. - Niepokoję się, że jesteście tu wszyscy razem, choć bardzo się cieszę z wizyty. Czy coś się stało? Coś ważnego w Nexus?

Zaprowadził ich na tylną werandę i kazał przynieść drinki mechanicznemu słuźacemu. Dziesięć lat temu zmarła jego druga żona i od tego czasu żył sam, wypełniając życie pracą. Zdobył opinię wybitnie zdolnego, ale niezwykle upartego polityka.

- Nexus na Thistledown wydał zalecenie - powiedział Lanier.

- Nic o tym nie wiem - Kanazawa pochylił głowę z ciekawości. Na lewym policzku miał dużą bliznę. W czasie służby na łodzi podwodnej Burleigh został poważnie oparzony. Inna blizna zaczynała się na jego prawej dłoni i biegła w górę ramienia ginąc w mroku rękawa. Trzy dni po rozpoczęciu Śmierci płynął wzdłuż wybrzeży Kalifornii, gdy atak nuklearny dosięgnął San Francisco.

- Znosi się na to, że Ziemia zostanie pozbawieni prawa głosu - kontynuował Lanier.

Twarz Kanazawy pozostała nieruchoma, ale głos mu zadrżał. - Dlaczego nie?

- Można wykluczyć Ziemię na mocy ustaw o Uzdrawieniu - wyjaśnił Lanier. - Niezdolni do podejmowania decyzji dotyczących rodzicielskiego Hexamonu. Dzięki zabiegom prawnym w pierwszych latach Uzdrawienia, Hexamon i ciała orbitalne zostały uznane za rodzicielskie ciało ustawodawcze.

Kanazawa skinął głową. - Nie korzystano z tego prawa od jedenastu lat, ale wciąż obowiązuje.

- To dotyczy nas wszystkich - powiedział Lanier. - To długa historia.

- Na pewno warto jej posłuchać. Proszę opowiedzieć.

Lanier opowiedział.

Thistledown

Korzeniowski przeszedł przez terminal szóstej komory i stanął obok Mirskiego pod przezroczystą taflą oddzielającą ich od nieba. Bóg z kresów czasu - wciąż tak o nim myślał - przyglądał się maszynom na drugim końcu komory. Chmury przesuwały się szybko nad nimi. Światło plazmowe w kolorach oświetlało szare, zielone i cętkowane powierzchnie. Korzeniowski ze zdziwieniem odkrył, że go uspokajało. Od dawna nie miał z tym nic wspólnego, a jednak wciąż odczuwał fascynację.

Podobnie jak Olmy, był przekonany, że Hexamon otworzy Drogę, nie zważając na przeszkody, jakie będzie musiał pokonać. Czy będą tego potem żałować?

- To wspaniałe - zachwycił się Mirski. - Wspaniałe osiągnięcie. - Uśmiechnął się do Inżyniera. - Gdy po raz pierwszy to zobaczyłem, nie mogłem oprzytomnieć z podziwu. Czułem się karłem. Nie poznawałem tego stopniowo, jak Lanier, który spędził dużo czasu na Kartoflu - tak nazywaliśmy Thistledown. Nie przybyliśmy z pokojową misją. To było niemożliwie obce, niepokojące i fascynujące. A jednak ser Ram Kikura nazywa to wstrętnym.

- Nie jest wielbicielek maszyn. Całe jej życie upłynęło wśród nich. Są dla niej czymś oczywistym. Często się zdarza naderytom, że nie dostrzegają swojego naturalnego środowiska. Nie cenią go, bo szukają ideałów, doskonałości. Jesteśmy mistyczną grupą: Gwiazda, Los i Pneuma leżą głęboko w nas.

- Ile czasu zajmie panu diagnoza?

- Trzy dni. Moi reprezentanci pracują w każdym miejscu komory. Wszystkie ważne części są w dobrym stanie.

- A broń? - dopytywał się Mirski.

Korzeniowski patrzył w niebo w skupieniu. Zaczął padać deszcz. Od stuleci ta sama woda obmywała trawę i maszyny w tej komorze, chłodziła je i czyściła. - Nie budowałem uzbrojenia. Nie znam się na tym. Spodziewam się, że też jest w dobrym stanie. Maszyny broniły Hexamonu przez wiele stuleci. Od nich zależało jego przetrwanie. Dlatego instynktownie budowano je dobrze. Miały przetrwać długo.

- Ile czasu zostało do otwarcia? - z niepokojem zapytał Mirski.

- Nic się nie zmieniło. Jeśli Lanierowi i Ram Kikurze nie uda się zbuntować Ziemi i oddalić głosowania zgodnie z zaleceniami Nexus, może to nastąpić za dwa tygodnie, może za miesiąc.

- Jeśli takie będzie polecenie, czy otworzy ją pan?

- Tak - powiedział bez wahania Korzeniowski. - Jak widać, tak chce Los.

- Mirski roześmiał się. Po raz pierwszy Korzeniowski usłyszał w głosie tego boga odciń, który nie był ludzki. Zmroziło go to na chwilę. - Naprawdę Los - powtórzył Mirski. - Spędziłem trochę czasu z bogami i wiem, że dla nich także los jest zagadką.

Hawaje

- To będzie dla mnie zaszczyt, jeśli zdecydujecie się zostać tutaj - powiedział Kanazawa. - Nie jest tu już tak wygodnie, jak bywało kiedyś, gdy żyła moja żona. Obsługują nas tylko automaty podarowane przez moich wyborców. Ale kuchnia jest dobra i myślę, że nie będziecie narzekać.

- To byłoby wspaniale - ucieszył się Lanier. - Wyjedziemy jutro rano do Oregonu, potem polecimy dalej, do Melbourne i z powrotem do Nowej Zelandii i Christchurch. Nie mamy wiele czasu.

Z werandy obserwowali wspaniały zachód słońca, znikającego za palmami i plażami. Zbocza Barber's Point były zalane czerwonym blaskiem, na pewno łagodniejszym niż pożary podczas Śmierci. Japoński cmentarz znajdował się poniżej domu senatora, zaraz za świeżo odmalowanym białym płotem. Suli Rana Kikura i Karen zaszły tam, aby obejrzeć wyrzeźbione w lawie nagrobki w kształcie pagody i krzyże.

- Niektórych rzeczy nie znajdzie się w Axis City - zauważył Lanier.

- Na przykład?

- Cmentarzy.

- Tutaj jest ich zbyt wiele - szybko odpowiedział Kanazawa. - Tam wiele spraw wygląda inaczej. Jesteśmy ściśle powiązani, a przecież wiele osób sądzi, że słabo się rozumiemy nawzajem. Chciałbym bać się mniej podróży kosmicznych. Leciałem tylko raz. To było wtedy, gdy się ostatni raz widzieliśmy. Tygodnie na Surleigh obrzydziły mi ciasne pomieszczenia. Gdy stanęliśmy na plaży Waimanalo i mogłem opuścić moją łódź podwodną, przysięgałem sobie, że nigdy nie dam się zamknąć w stalowej tubie. Nie zmieniłem zdania.

Lanier uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Pracowałeś z nimi, Garry. Byłeś jednym z pierwszych w tym piekle. Z pewnością wiesz, jakie są ich motywy.

- Mogę się domyślić.

- Dlaczego nagle uznali nas za słabych partnerów, z którymi można się nie liczyć, skoro to może mieć wpływ na całą ludzkość.

- Jesteśmy słabym partnerem, senatorze.

- Nie tak słabym, jak sądzą. I nie tak naiwnym. Możemy zrobić wiele dziwnych rzeczy przed śniadaniem.

- To chyba brzmiało: uwierz w sześć niemożliwych rzeczy przed śniadaniem

- Niemożliwe rzeczy! Mamy przed sobą człowieka, który umarł: zmartwychwstał, lub coś w tym rodzaju...

- Widziałem wielu takich - odparł Lanier. - Pomagałem wskrzeszać ludzi. Mirski, to coś znacznie bardziej zastanawiającego.

Kanazawa odwrócił się plecami do mroku zapadającego za oknami. Płomienie na zboczach Barber's Point dogasały. Zachody słońca nie były już tak widowiskowe, jak w ciągu pierwszych lat po Śmierci, ale na Hawajach wciąż wyglądały pięknie. - Dobrze. Może jesteśmy naiwni. A czy ona akceptuje takie rozwiązanie.

- Karen czy Ram Kikura?

- Ram Kikura.

- Myślę, że częściowo się na to zgadza, a częściowo budzi to jej sprzeciw... Chciałaby, abyśmy spełnili prośbę Mirskiego. Ale żałuje, że wrócił. Sądzi, że jest odpowiedzialny za całe zamieszanie, co oczywiście jest prawdą. Jednak i tak kiedyś by do tego doszło.

- Buntowanie Ziemi doprowadzi do tego, że ludzie znów będą się czuli skrzywdzeni, nawet jeśli nie zostaną przekonani - powiedział Kanazawa. - Mamy żal do naszych wybawicieli. Cierpimy, że ukradziono nam nasze dzieci.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem, senatorze. Śmierć wiele z nich zabrała.

- Nie. Twórcy Thistledown - oni przeżyli śmierć, wyrosli ponad nią, rozwinęli nową cywilizację. Wymyślili własne cuda, zdobyli przewagę, wyśleli w kosmos kolejne stacje. My tego nie umieliśmy zrobić. Potem przyszli do nas z tymi cudami jak rodzice z prezentami, obdarowali nas, a z czasem zmusili do przyjęcia cudownych darów. Odebrali nam prawo do własnych błędów...

- Dzięki Bogu - wtrącił Lanier. - Popelniliśmy ich dosyć w przeszłości.

- To niestety prawda, ale czy rozumiesz, o co mi chodzi - zapytał Kanazawa niemal płacząco. - Moi wyborcy czują się zagubieni, kiedy spotykają wybawicieli. Uważają ich za aniołów. Goście z ciał orbitalnych i asteroidu pojawiają się rzadko. Ludzie szanują i zarazem boją się ich. Żyjemy na Ziemi jak prostytutki z dalekiej prowincji.

- Jeśli tylko buty nie uwierają... - powiedział Lanier.

- Stałeś się cyniczny, Garry.

- Nie bez powodu, senatorze. - Lanier uśmiechnął się cierpko. - Ale rozumiem, o co ci chodzi. Mimo to musimy zdobyć się na wysiłek. Ziemia nie może pogрузić się w żalu, urazie czy zazdrości, jak pokonane Południe po wojnie secesyjnej. Może jakaś większa sprawa, taka, jak nasza właśnie, pomoże obudzić entuzjazm.

- Oni tego nie rozumieją, Garry - powiedział Kanazawa. - Nie mają pojęcia, co to wszystko znaczy. Nie mieli kontaktu z kosmosem. Dla nich to są bajki. To się nadaje na mit, a mity nie są ważne w polityce. Trzeba je przebrać, aby wyglądały po ziemsku.

Ram Kikura i Karen wróciły z cmentarza. Były bardzo poważne, a nawet ponure. - Śmiertelność nie jest jedyną cechą, która nas dzieli - powiedział Kanazawa z aluzją w głosie.

Roboty podały obiad. Czwooro znajomych siedziało przy stole i wszystkim, z wyjątkiem Ram Kikury, kręciło się trochę w głowach. Mieli za sobą męczący dzień, a w czasie obiadu wypili sporo rumu. Lanier od dawna nie nadużywał alkoholu i uczucie lekkiego zamroczenia powitał z radością. Wszystko wydawało się nieco prostsze. Patrzył na Karen życzliwie i nawet nie czuł się przy niej taki stary. Była naprawdę śliczną kobietą. Mimo młodego wyglądu, była bardzo rozsądna, a to tylko dodawało jej urody. Lanier nie potępiał młodości, po prostu nie chciał, by zdominowała jego system wartości.

Może pracując razem, zbliżą się do siebie, myślał. Wciąż myślał o niej ze znacznie większym ciepłem, niż ona o nim. Tutaj zachowywali się jak stare małżeństwo, które rozmawia z innymi, ale nie ze sobą.

Ram Kikura nie chciała skosztować rumu. - Słyszałam o alkoholu - powiedziała głosem pełnym rozwagi. - Narkotyczna trucizna.

- Czy na Thistledown panowała abstynencja podczas waszej podróży? - zapytał Kanazawa z niedowierzaniem.

- Nie, w każdym razie nie na początku - odpowiedziała. - Alkohol grał drugie skrzypce, jeśli takie wyrażenie jeszcze istnieje. Albo trzecie lub czwarte. Pierwsi podróżnicy byli bardziej zainteresowani bezpośrednią stymulacją umysłu. Przywieźliśmy ten problem z Ziemi. Stymulacje stały się z czasem coraz bardziej skomplikowane, a przy tym bezpieczniejsze. Leczyliśmy w ten

sposób osobowości uszkodzone chemicznie i neurologicznie... Alkohol nigdy nie stał się głównym zmartwieniem, ani głównym sposobem na wypoczynek... Pito dużo wina, pamiętam...

Wspominanie sprawiało jej przyjemność, tym bardziej, że odwlekało decyzję, czy napić się rumu. - Ale kiedy powstała Droga i pozbyliśmy się jartów - odepchnęliśmy ich ładny kawałek - rozpoczął się handel z innymi cywilizacjami. Otrzymywaliśmy talsit i inne substancje... Powstały nowe możliwości - wzmaganie, całkowita toksykacja, wzbogacenie, zmagazynowanie w pamięci. Alkohol i inne używki były jak organki w porównaniu z orkiestrą symfoniczną.

- Pierwotne sposoby wciąż mają swój urok - przerwał jej Kanazawa.

- Nie chcę zrobić z siebie idiotki - łagodnie zaprotestowała Ram Kikura. Umoczyła palec w kieliszku i zaczęła go wachać. - Estry i ketony. Bardzo silne.

- Niszczą mózg - ostrzegła Karen. Była już prawie pijana. - Potem trzeba pożyczyc inny.

- Alkohol - zaczęła Ram Kikura i zdała sobie sprawę, że zaczyna moralizować - wciąż jest poważnym problemem na Ziemi, prawda?

- To prawda - potwierdził Kanazawa. - Jest przyczyną wielu naszych nieszczęść.

- Nie znoszę tracić kontroli nad sobą.

- Karen pochyliła się do przodu. - Napij się. Naprawdę smakuje dobrze. Nie musisz wypić wszystkiego.

- Biochrony? - zapytał Kanazawa.

- Nie są już tak popularne, jak kiedyś - odpowiedział Lanier. - Symulowały pełne doświadczenie życiowe. Niektóre usuwały świadomość, że to fikcja. Można było prowadzić podwójne życie.

- O Boże - jęknął Kanazawa. Jego twarz wyrażała zdziwienie pomieszane z dezaprobatą. - To tak jak... Już wiem. Zdradzić samego siebie.

Zaczęto dyskutować, czy zdrada małżeńska w biochronie była równoważna złamaniu przysięgi małżeńskiej według dawnych norm ziemskich. Tymczasem Ram Kikura nie przestawała obracać kieliszka w palcach. Lanier widział, jak walczyła ze sobą. Zawsze czuła tęsknotę do przeszłości. Gdy spotkali się po raz pierwszy, wyświetliła piktorem amerykańską flagę nad ramieniem, aby pochwalić się dawnymi przodkami. Tutaj też było trochę wspomnień, które niejasno pamiętała. Przeżycia biochronowe nie były tak wyraziste jak realne doznania. Bez wyjątkowo dużych implantów, których nikt na ogół nie posiadał, nie mogły się z nimi równać.

- Dobrze - powiedziała prostując się i podnosząc kieliszek. - Za ludzi! - Wypiła więcej niż Lanier uważał za bezpieczne. Natychmiast zakrztusiła się, a oczy wyszły jej z orbit. Karen bez powodzenia waliła ją w plecy.

- Ah, Pneuma - stęknęła Ram Kikura, gdy już mogła coś powiedzieć. - Moje ciało tego nie chce.

- Trzeba zaczynać spokojniej - doradzał Kanazawa. - Jeśli to za mocne, mogę przynieść wino...

Ram Kikura machnęła ręką, zawstydzona niepowodzeniem. Otarła łzy i ponownie uniosła kieliszek. - Jakie były toasty? - zapytała nieco ochryłym głosem.

- Na drugą nogę - podsunął Lanier.

Tym razem Ram Kikura piła ostrożniej. - Gardło mi się zaciska.

- Nie rozumiem - dziwił się Kanazawa. - To bardzo dobry rum. Najlepszy w Oahu.

- Ma co najmniej trzy godziny - zażartował Lanier, a Kanazawa posłał mu ciężkie spojrzenie, pełne senatorskiej dezaprobaty.

- Z mojego okręgu.

- Pół świata jest twoim okręgiem. Nie pijesz przecież wszystkiego, co twoi wyborcy należą do butelek - protestowała Karen.

Ram Kikura siedziała przez chwilę spokojnie, badając skutki spożycia rumu. - Jeszcze się chyba nie upiłam. Mój implant rozkłada alkohol na cukier zanim zacznie działać.

- Jaka szkoda - powiedział Kanazawa.

- Mogę go inaczej nastroić... jeśli mam być mniej trzeźwa.

Kanazawa spojrzał wymownie na Laniera. Karen westchnęła. - Nie jesteś doświadczonym bywalcem przyjąć, moja droga.

Nocne niebo nad Hawajami przypomniało Lanierowi obraz Van Gogha "Gwiazdzista noc". Kanazawa wyniósł czerwony laser małej mocy do ogródka za domem. Wszyscy siedzieli na trawie, jedząc brazylijskie czekoladki i popijając aperitify.

- To moje prywatne planetarium - powiedział senator, próbując przykucnąć na trawie. Nagle zachwiał się, wyrzucił jedną nogę przed siebie, złapał równowagę w ostatniej chwili i usiadł na ziemi, podkurczając nogi. - Nie może się równać z lotem w przestrzeń, ale mnie to wystarcza.

Włączył laser i uniósł go. W wilgotnym morskim powietrzu czerwony promień było wyraźnie widać jeszcze kilkaset stóp nad ziemią. Niemal dotykał gwiazd. - Znam wszystkie konstelacje - powiedział z dumą. - Japońskie, chińskie i zachodnie. Nawet niektóre babilońskie.

- To piękne - powiedziała Ram Kikura, która pozwoliła sobie na więcej alkoholu niż to było konieczne, aby wywołać pierwsze efekty. Była rozluźniona, a oczy same się jej zamykały. - Niebo wyglądu tu bardziej po ludzku. Jest bardziej sympatyczne.

- Rozumiem cię - powiedziała Karen. Siedziała oparta plecami o Laniera, ich głowy dotykały się. - Gdy byłam dziewczynką, bałam się go. Było takie ogromne.

- Rozumiem cię - powiedziała Ram Kikura, naśladując ton Karen i uśmiechając się szeroko.

- Moje własne planetarium - powtórzył Kanazawa. - Mogę poruszać promieniem i nikt o tym nie wie. Ich problemy - przesunął laserem po całym nieboskłonie - nie dotyczą mnie. - Westchnął dramatycznie. - Cieszę się z naszego spotkania, Garry, Karen. I z tego, że spotkałem przedstawicielkę kosmosu na prywatnym przyjęciu. Jesteśmy tak odlegli od siebie, jak na rodziców i dzieci...

- Kto jest dzieckiem, a kto rodzicem? - zapytała Karen.

- Wy jesteście rodzicami - odpowiedziała Ram Kikura.

- I dziećmi także - Karen uderzyła głową w głowę Laniera, najpierw słabo, a potem mocniej, jakby chcąc zwrócić na siebie uwagę.

- Aj - odezwał się. - Co się stało?

- Nic, uderzam siebie, ty stary draniu. - Zachichotała. - Przepraszam, rumowe gadanie.

- Uderzaj dalej - zachęcił ją.

Ram Kikura splotła dłonie. - Chciałabym bardzo zobaczyć tłumy ziemskich dzieci.. Zdrowych i silnych. Uwielbiam patrzeć na dzieci Hexamonu przez okno mieszkania w Axis Euclid. Nie zdecydowaliście się na następne dziecko, Karen... Dlaczego?

- Byliśmy zbyt zajęci - odpowiedziała Karen zagryzając dolną wargę.

- Jak można nie mieć czasu na dziecko?

- Naturalne czy hexamońskie - zapytała Karen. Nie czuła bólu, ale wiedziała, że może w każdej chwili wrócić.

- Hexamońskie - odpowiedziała Ram Kikura. - Mój syn Tapi jest bardzo tradycyjny. - Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. - Wkrótce otrzyma ciało. Pójdzie w ślady ojca... Olmy'ego - dodała.

- Nie wiedziałem, że masz syna - zdziwił się Lanier.

- Ależ tak. Jestem z niego bardzo dumna. Ale nie urodziłam go w tradycyjny sposób. Dzieci są ważne, nawet jeśli są wychowywane w pamięci miejskiej a nie w ciele. Rosną jak kwiaty,

popołniają błędy.

- I umierają - dodał Lanier, nie otwierając oczu. Karen zeszywniała i odsunęła się od niego na kilka centymetrów. Natychmiast pożałował tych słów.

- Na Thistledown też są cmentarze - powiedział unikając spojrzenia Ram Kikury, która nie spuszczała z nich wzroku. - Widziałem je. Columbaria, dość pretensjonalne nagrobki. Wasi ludzie wiedzieli kiedyś, czym jest śmierć.

- Śmierć to błąd - powiedziała Ram Kikura, nieco zdenerwowana.

- Śmierć to dopełnienie - sprzeciwił się Lanier.

- Śmierć to strata i marnotrawstwo.

- Zgadza się z tym - odezwała się Karen uderzając w niego głową. - Więcej życia.

- Robert! - Lanier wycelował palcem w senatora. Kanazawa odpowiedział kierując na niego promyk lasera.

- Co, Garry?

- Ty rozstrzygnij. Jesteś naturalnym człowiekiem. Nie masz implantów, przeszedłeś tylko terapię popromienną. Została ci nawet blizna...

- Wątpliwe świadectwo odwagi... Pomaga mi utrzymać urząd.

- Czy śmierć jest dopełnieniem czy marnotrawstwem?

- Odbiegliśmy daleko od głównego tematu, czyż nie? - zapytał Kanazawa.

- Masz japońskich przodków. Czy Japończycy nie traktują śmierci inaczej? Honorowa śmierć. Śmierć we właściwym momencie.

- Czy masz w sobie krew amerykańskich Indian? - zapytał Kanazawa.

- Nie.

- Wygląda, jakbyś miał. Kiedy ludzie mają umrzeć, ich stosunek do śmierci się zmienia. Przebierają ją, tańczą z nią, kładą czarne szaty i boją się. Nie zgadzam się z Hexamonem w wielu sprawach, ale nie żałuję, że pozwolili nam wybierać. Te groby pochodzą z okresu bezpośrednio po Śmierci. Większość moich wyborców postanowiła żyć dłużej niż normalnie. Niektórzy chcą żyć zawsze. Śmierć nie jest błędem, może nawet być dopełnieniem, ale tylko wtedy, gdy to my wybieramy, nie ona.

- Oczywiście - krzyknęła Karen.

- Czy wybrałaś wieczne życie? - zapytał Lanier.

- Nie.

- Dlaczego?

- To sprawa osobista.

- Przepraszam - powiedziała Karen. - To nie jest przyjemny temat.

- Nie. To jest ważne - uspokoił ją Kanazawa. - Nie na tyle osobiste, abym nie mógł o tym mówić. Rumowe gadanie. Nie mogę zapomnieć pewnych rzeczy. Nieprzyjemnych wspomnień. Nie mogę używać talsitu czy pseudo-talsitu, nawet gdybym mógł je zdobyć. Wspomnienia są częścią mnie. Bez nich byłbym kim innym. Wciąż z nimi walczę. Rano budzę się, aby je spotkać. Czasem ciążą mi przez cały dzień. Wiesz, o czym mówię, Garry?

- Amen - powiedział Lanier.

- Gdy umrę, wspomnienia znikną. Ja też zniknę i ktoś lepszy przyjdzie może na moje miejsce. Będzie znał czas, który przeżyłem, ale będzie umiał wznieść się ponad to. To nie będzie marnotrawstwo. On przyjmie to, czego ja nie mogłem.

- Amen - wyszeptał Lanier.

- Zgódźmy się, że nie możemy się zgodzić - podsumowała Ram Kikura. - Jest pan cudownym

mężczyzną, senatorze. Pańska śmierć będzie wielką stratą.

Kanazawa skinął głową, dziękując za komplement.

- Nie możemy płakać - kontynuowała Ram Kikura. - Często czujemy to samo... ale my nie wznieśliśmy się ponad nie. Przekroczyliśmy je. Przyjeliśmy je i pozostaliśmy sobą. - Potrząsnęła energicznie głową. - Nie myślę jasno. Rumowe myśli, rumowe gadanie.

- Zbyt wiele śmierci widzieliśmy, by móc traktować pojedynczą śmierć obiektywnie. Karen, czy akceptujesz wiek swojego męża?

- Nie - powiedziała po namyśle.

- Nie nadażam za nią - powiedział Lanier, siląc się na dowcip.

Przestała patrzeć na gwiazdy i wbiła wzrok w ziemię. - Nie o to chodzi. Nie chcę cię stracić. Nie chcę też umrzeć razem z tobą.

- Przetnijmy ten wrzód, doktorze - znów zażartował Lanier.

- Zamknij się - odepchnęła się od niego i wstała. - Mówimy głupoty.

- Rumowe gadanie - powiedział Kanazawa ponownie kierując promień lasera w niebo. - In vino veritas.

- To szlachetne, ludzkie - powiedziała Ram Kikura.

Karen pobiegła do domu. Lanier wstał, strzepnął trawę ze spodni i poszedł za nią. Stał w drzwiach jej sypialni i patrzył, jak się rozbierała. - Pamiętam, jak pierwszy raz się kochaliśmy - powiedział. - W odrzutowcu. Lecąc w tubie plazmowej.

Z szelestem zdjęła biustonosz.

- Potrzebowałem wielu lat, aby cię należycie ocenić. Dopiero gdy się pobraliśmy, gdy pracowaliśmy razem...

- Proszę cię, przestań - Karen nie była poirytowana.

Stałaś się jak moja ręka - kontynuował. - Byłaś czymś oczywistym. Byliśmy jednym. Kochałem cię tak bardzo, że zapomniałem, iż nie jesteś mną.

- Było dużo pracy do zrobienia.

- To nie jest wytłumaczenie. Ty też chyba straciłaś mnie z oczu.

- Nie tylko ty masz wspomnienia - ostro przerwała Karen. - Wróciłam do Nunan. Pamiętasz? To moje miasto rodzinne. Zobaczyłam Śmierć, Garry, zniszczenie. Szkielety dzieci porzucone przy drodze. Leżały tam od miesięcy a może od lat. Od początku Śmierci, a może dopiero po niej. Rodzice porzucali dzieci, bo nie mogli ich wyżywić. Nie mogliśmy dotrzeć do każdego na czas. Nie tylko ty masz złe wspomnienia!

- Wiem - powiedział opierając się o framugę.

- Mogę sobie z nimi poradzić. Mogę cię kochać przez długi czas. Nie chcę, abyś odchodził. Nienawidzę tej myśli.

- Wiem.

- Więc wróć do mnie. Możesz wciąż być młody. Mamy przed sobą wieki. Możemy razem pracować.

- Mam inne plany. Chciałbym, abyś się na nie zgodziła.

- A ty zgódź się na mój... strach.

- Spróbuję. Będziemy pracować razem, Karen.

Zadrżała i usiadła na łóżku. On stał nadal w drzwiach. - A co z Mirskim? - zapytała. Jej twarz wyrażała ostrożną ciekawość. - Czy ześle na nas bogów? Czy to właśnie powiedział? On jest okropny, Garry.

- Mam nadzieję, że nie.

Złapała się za głowę. - To koszmar.

- Wizja - sprzeciwił się Lanier. - Poczekamy, zobaczymy.

- Przykro mi - powiedziała po prostu. - Czy pozwolisz mi na to?

Gdyby podszedł bliżej, odepchnęłaby go. Ale miał nadzieję, że kiedyś nadejdzie jeszcze czas, gdy będą razem. Rum szumiał mu w głowie. - Oczywiście - powiedział.

- Idę spać. - Położyła się na gościnnej kanapie i przykryła kocem.

Patrzył na nią przez chwilę. Potem zgasił światło i zamknął drzwi. Został sam w ciemnym przedpokoju. Z dala dobiegały go głosy Ram Kikury i senatora.

- Byłbym zaszczycony, gdybyśmy mogli dzielić łóżko tego wieczora - powiedział Kanazawa.

- Nie jestem nawet trochę pijana, ser Kanazawa - odparła Ram Kikura.

- Ani ja.

Ram Kikura milczała przez moment, potem powiedziała: - Będzie mi miło.

Lanier pomyślał o żonie w łóżku. Było między nimi zbyt wiele ścian. Poszedł na werandę i położył się na wiklinowej sofie, pod głowę podłożył starą, zniszczoną poduszkę.

Rano Lanier obudził się wcześniej i, jeszcze zanim Karen stała, wyszedł na spacer. Szedł wzdłuż plaży, gdy z odległości kilometra zobaczył Ram Kikurę, która obchodziła łuki fal na piasku. Nad nią szybowały mewy. Oboje zaczęli iść ku sobie, a gdy byli już blisko, Ram Kikura uśmiechnęła się.

- Czy źle się prowadzę? - zapytała zrównując z nim krok.

Lanier odwzajemnił jej uśmiech. - Nie gorzej niż inni.

- Przez całe życie, jako obrońca Ziemi, nie poszłam do łóżka z żadnym z nich - wyznała.

- Czy był wyjątkowy? - Ram Kikura posłała mu ciężkie spojrzenie.

- Pewne aspekty są zawsze takie same. - Przez pewien czas szli obok siebie w milczeniu, obserwując mewy i wymijając jęzory fal. - Ser Kanazawa jest wściekły - odezwała się w końcu Ram Kikura. - Nie daje tego po sobie poznać, ale postanowienie Nexus bardzo go zdenerwowało... Zamierza zwołać zebranie wszystkich senatorów Ziemi. Ja mam pomóc unieważnić głosowanie w mens publica. Mogę uzasadnić, że prawa Uzdrawienia nie powinny być stosowane w tej sytuacji.

- Czy wygrasz?

Schyliła się i podniosła szklany japoński pływak. - Ciekawe, od jak dawna tu jest - zapytała. - Czy jeszcze takie produkują?

- Nie wiem - odpowiedział Lanier. - Myślę, że tak. Czy wygrasz?

- Obawiam się, że nie. Hexamon zmienił się. - Przyjrzała się pływakowi. Gwiazdziste bąbelki unosiły się w zielonym szkle. Rzuciła go na piasek.

- Prezydent idzie z wiatrem - powiedział Lanier. - Kiedyś twierdził, że nie dopuści do ponownego otwarcia Drogi.

- To prawda. Ale nie może wiele zrobić, jeśli Nexus tak postanowi. Boję się, że jak kapitan tonącego statku, nie zawaha się odciąć Ziemię, aby ratować Hexamon.

- Ale jartowie...

- Raz ich pokonaliśmy, więc damy sobie radę i drugi - ucięła Ram Kikura.

- Mówisz to z taką dumą i pewnością - zdziwił się Lanier.

Zmarszczyła brwi. - Obrońca musi umieć wczuć się w argumenty przeciwnika. Jestem równie oburzona jak Kanazawa. - Pochyliła się i podniosła plastikową butelkę. - Myślisz, że to stare?

Lanier nie odpowiedział. Rozmyślał nad propozycją Mirskiego, którą Nexus tak niespodziewanie odrzucił. - Czy możliwy jest negatywny wynik głosowania?

- Nie wydaje mi się. Musielibyśmy przekonać Ziemię i wytłumaczyć całą sprawę. A na to potrzeba czasu.

- Więc po co tu jesteście? Myślałem, że to dobry pomysł. Że mamy jakąś szansę.

Ram Kikura skinęła głową. - Możemy siedzieć im na piętach i hamować pracę. Nadchodzi przyływ?

Przyływ już się skończył, jak się Lanierowi wydawało, ale zrozumiał, co miała na myśli.

- Co powiemy w Oregonie? - zapytał.

Zakręcili i zaczęli iść w stronę domu. Gdy weszli na ganek, wszyscy byli już na nogach, a roboty podawały śniadanie. Kanazawa i Ram Kikura byli uprzejmi, kordialni, ale nic poza tym.

Lanier zamyślił się. Wybuch młodzieńczego entuzjazmu miał już za sobą. Był przygnębiony, choć jednocześnie zdał sobie sprawę, że jest wciąż młody - popełnia młodzieńcze błędy i bywa naiwny. Wciąż walczy o przegraną sprawę. Dodało mu to siły.

Poza tym podejrzewał, że Mirski wraz z bogami, których reprezentował, są dość inteligentni, by przechytrzyć Hexamon.

Spakowali swoje rzeczy. Ram Kikura i Karen rozmawiały z senatorem, a Lanier nosił torby do promu. Gdy przeszedł przez drzwi promu, automatyczny pilot zaczął wyświetlać przed nim pikty.

- Mów po angielsku - polecił Lanier, który z niejasnych przyczyn nieco się zirytował.

- Nasz lot został odwołany - zakomunikował pilot. - Mamy czekać na przybycie kosmicznej policji.

Zaskoczony Lanier postawił torby na podłodze. - Dlaczego kosmicznej, a nie ziemskiej?

Pilot nie odpowiedział. Światła kontrolne przygasły.

- Czy jeszcze działasz? - zapytał Lanier. Nie było odpowiedzi. Rozejrzał się po słabo oświetlonym wnętrzu zaciskając pięści. Odwrócił się i wyszedł przed prom. Stał przed Karen.

- Obawiam się, że wysledzili nas. - Ram Kikura i Kanazawa wyszli z domu.

- Jakież kłopoty? - zapytał senator.

- Zbliża się kosmiczna policja - wyjaśnił Lanier.

Kanazawa spoważniał w mgnieniu oka. - Jeszcze ja mam tu coś do powiedzenia.

- Już chyba nie - powiedziała Ram Kikura. Kanazawa spojrzał na nią, jakby go uderzyła. - To bardzo poważne. Garry, czy...

Karen spojrzała w stronę morza. Znad Barbers's Point zbliżały się trzy śmigłowce. Ich białe kadłuby wyraźnie odcinały się od szarych porannych chmur. Zatrzymały się nad domem i powoli opadły na wysokość kilku metrów, rozpryskując kamyki przed bramą domu.

- Ser Lanier - odezwał się głos ze śmigłowca. - Proszę odpowiedzieć.

- Jestem Garry Lanier. - Stał z dala od innych. - Ser Lanier, pan i pana żona musicie wrócić do Nowej Zelandii. Wszyscy Ziemianie muszą wrócić do swoich rodzinnych krajów.

Ram Kikura podeszła do niego. - Czyj to rozkaz? Na mocy jakiego prawa? - I ściszym głosem dodała. - Nie ma takiego prawa.

- Zmieniony Akt o Uzdrowieniu. Bezpośrednia władza prezydenta. Proszę wrócić na prom. Kierunek lotu został zmieniony.

- Nie idźcie - powstrzymał ich Kanazawa. Spojrzał na śmigłowce i pogroził im pięścią. - Jestem senatorem! Żądam spotkania z prezydentem i premierem.

Śmigłowce nie odpowiedziały.

Nie wsiądę na prom - powiedziała Ram Kikura. - Zostaniemy wszyscy tutaj. Nie odważą się użyć siły.

- Garry, oni mówią że wszyscy Ziemianie muszą wrócić. Nawet ci, którzy mieszkają na stałe w stacjach kosmicznych? - Karen wyglądała ja małe, zawiedzione dziecko.

- Nie wiem - powiedział Lanier. - Senatorze, więcej z działamy na własnym terenie. Jeśli mamy

przebywać w areszcie domowym, lepiej być we własnym domu. - Zwrócił się do Ram Kikury: - Ty wrócisz na Thistledown, jak sądzę?

- Nic nie sądz - powiedziała sucho. - Wszystkie reguły zostały złamane. Nie spodziewałam się tego.

- Zrobili to. - Twarz Karen była czerwona. - Mają nas w ręku. "Nie jestem przekonany", pomyślał Lanier. "Walka dopiero się zaczyna, skoro muszą używać nieuczciwych metod." Śmigłowce nie poruszyły się. Zaczął padać drobny deszcz. Ram Kikura odsunęła mokre włosy z twarzy. - Nie powinniśmy tu stać jak nieposłuszne dzieci - powiedział Lanier. - Senatorze, dziękuję za wysłuchanie nas. Jeśli się jeszcze spotkamy...

- Proszę wsiąść na prom - rozległ się donośny głos.

Lanier wziął swoją żonę za rękę. - Do widzenia - powiedział do Kanazawy i Ram Kikury. - Powodzenia. Opowiedzcie o wszystkim Korzeniowskiemu i Olmy'emu.

Ram Kikura skinęła głową.

Weszli, a drzwi zamknęły się za nimi bezszelestnie.

Droga, Wydajna Gaia

Gęszcze zielonych linii pojawiał się, znikał i wciąż się odnawiał wokół bąbla, w którym podróżowała Rita. Co chwila kształtowały się nowe wzory. Zmieniały się tak szybko, że nie nadążała za nimi wzrokiem. Właśnie nowy labirynt linii pojawił się w dole, biorąc swój początek z pojedynczego promienia w pobliżu dyskowatej wieżyczki, ustawionej na dolnej powierzchni. Linie splotły się ponad bąblem, który zaczął gwałtownie opadać, choć wewnątrz niczego się nie czuło.

Rita poczuła, że mdleje. Bombardowało ją zbyt wiele bodźców, przyjmowała zbyt wiele informacji. - Jest mi niedobrze - powiedziała do Typhona. Strażnik chwycił ją za lewe ramię. Po raz pierwszy poczuła jego dotyk. Jego ręka była ciepła, ale nie dawała poczucia bezpieczeństwa. Było w niej coś odpychającego. Po chwili Rita upadła na kolana i straciła kontrolę nad sobą.

Oczekiwała, że Typhon coś zrobi - podtrzyma ją, lub poprawi jej stan swoimi metodami - ale on tylko stał, trzymając ją za rękę, aby nie upadła na plecy. Przez chwilę miała ochotę wstać, ale zrezygnowała i tylko zamknęła oczy uznając, że to będzie dla niej lepsze.

Po pewnym czasie przestało się jej kręcić w głowie i poczuła się lepiej. - Jeśli chce ci się pić, weź to. Otworzyła oczy i zobaczyła szklankę w jego wyciągniętej ręce. Ostrożnie przybliżyła ją do ust. Woda, po prostu zwykła woda. Była rozczarowana. Myślała, że dostanie może jakiś eliksir, który postawi ją na nogi. Było dla niej zagadką, skąd strażnik wziął szklankę... Wyobrażała sobie, jak otwiera drzwiczki w klatce piersiowej i wyjmuje stamtąd naczynie. A może wypluł wodę do szklanki. Znowu poczuła mdłości.

Podniosła się z wysiłkiem i szybko oddała niedopitą szklankę. Aby czymś się zająć i nie myśleć, ani nie obserwować kalejdoskopu barw za szybą, skupiła uwagę na strażniku. Co robi ze szklanką. Nie zrobił nic. Po prostu ją trzymał.

Drżąc wyrzwała na zewnątrz. Opadali coraz niżej ku dolnej powierzchni. Zielone linie kierowały ich lotem i prowadziły bąbel do białej wieży. Starła się ocenić jej wielkość - była przynajmniej tak wysoka, jak Pharos w Aleksandrii, ale dużo bardziej masywna. Ale proporcje w Drodze były zupełnie inne i mogła się mylić.

Zmusiła się, by odrzucić głowę do tyłu i spojrzeć w górę. Szyja zaprotestowała, z jej ust wydobył się krótki jęk. Daleko w górze lśnił świetlisty trójkąt - był ogromny i niezgrabny. Znajdował się w samym centrum wstęgi perłowego światła, jak czarny kryształ zawieszony w mlecznej wodzie.

W głębi Drogi jej uwagę przykuł świetlisty punkt. Osłoniła oczy, choć światło nie było jeszcze oślepiające, i śledziła jego ruchy. Punkt znajdował się we wstędze światła, ale bardzo daleko przed nimi. Zbliżał się z ogromną szybkością. Gdy był nad nimi, Rita poderwała głowę i zobaczyła kolejny tęczy trójkąt, który zbliżał się do pierwszego. Już miały się zderzyć, gdy nagle przeniknęły się bez żadnego oporu, by następnie błyskawicznie oddalić się od siebie.

Patrikia nigdy o czymś takim nie opowiadała.

- Cała zdrętwiałam - powiedziała Typhonowi, patrząc na niego z wyrzutem.

- To ty chciałaś to oglądać - przypomniał strażnik łagodnie. - Żadna z postaci, jakie przyjmuję nie korzysta często z tej drogi.

Zastanowiła się nad tym zdaniem i odkryła, że widok na zewnątrz mniej ją niepokoi, niż rozmowa z Typhonem. Znowu patrzyła przed siebie.

Zbliżyli się do białej wieży, ale Rita nie dostrzegła wejścia z żadnej strony. Mimo to dostali się

do środka. Bąbel przeniknął gładko przez ścianę, znalazł się w łukowatej przestrzeni, wypełnionej unoszącymi się polihedronami i po chwili wydostał się z niej przez następną ścianę. Pokonał zbroję zielonego światła i podążył wzdłuż zielonej łodygi w stronę ogromnej, idealnie przezroczystej soczewki. Za nią widać było zniekształcone kształty przypominające niebo, morze, wzgórza, chmury. Wszystkie w znajomych kolorach. Nagle ożyła w niej nadzieja, że koszmar zaraz się skończy.

- To jest brama na Gaię - wyjaśnił przewodnik. - Poprzednio brama była otwarta tutaj. Nasze bramy nie są tak ciasne, ale dawniej geometria była inna.

- Aha - powiedziała Rita. "Bezpłatna informacja, bez żadnego znaczenia..." Gdy zbliżali się do soczewkę, kolory zbladły, a potem wszystko wypełniła biel.

Bąbel uderzył w soczewkę i znalazł się po drugiej stronie. W dole zobaczyła brzeg, szary ocean pod chmurami i błękitne łaty tam, gdzie padało słońce.

Rita oddychała z trudem. - Gdzie jesteśmy?

- To jest twój świat - wyjaśnił Typhon.

Wiedziała to, tym razem to nie był sen. - Gdzie na Gai?

- Niedaleko od twojego domu - tak myślę, bo nigdy tu nie byłem.

- Chcę lecieć do... - Spojrzała w górę, z błękitnego nieba dochodził delikatny szum - to brama, przez którą przelecieli. - Czy możemy polecieć na Rodos?

Typhon zastanowił się przez moment. - To nie pochłonie wiele energii. Moja misja zbliża się do wyznaczonych limitów. Wkrótce muszą być rezultaty.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Ten kierunek śledztwa. Muszę przedstawić wyniki.

- Wiesz wszystko to, co i ja - powiedział Rita ze łzami w oczach. - Co mogę jeszcze zrobić?

- Zaprowadzić nas do twórców obojczyka. Dać jakąś wskazówkę. - Podniósł rękę, by powstrzymać jej sprzeciw. - Już rozumiem, że tego nie wiesz. Jest jednak pewna nadzieja, że twoje postępowanie może przypadkiem coś wyjaśnić. Inni mogą poszukiwać twórców obojczyka, a tylko ty umiesz go obsługiwać. Wciąż jesteś dla nas cenna.

- A moi towarzysze?

- Przybędą tutaj, jeśli tego pragniesz.

- Pragnę tego. Proszę.

Typhon uśmiechnął się. - Twoje zachowania cudownie maskują twój stan. Prostota, pod którą kryje się agresja. Przekazałem twoją prośbę, spotkamy ich na Rodos, jeśli nie przekroczymy limitu energii.

- Obawiam się, że nie mogę już stać. Jestem bardzo zmęczona.

Typhon zachęcił ją, by usiadła na platformie bąbla. - Nie pomyślę, że jesteś niezdarna.

Krzywiąc się nie tylko usiadła, ale nawet położyła na brzuchu i wyjrzała poza krawędź. - Czy lecimy na Rodos?

- Tak.

Zielona linia pojawiła się między chmurami i wijąc się prowadziła bąbla nad oceanem. Nie wiedziała, w jakim kierunku leciała ich klatka.

- Czy badałeś innych ludzi przede mną? - zapytała.

- Tak. Moje dusze badały dziesiątki ludzi z twojego świata, zanim zająłem się twoimi danymi.

- Czy wiesz o nas wszystko? - Czuła wyraźną złość. Miała nadzieję, że dotrze to do niego.

- Nie. Jest wiele subtelności, w których się gubię. Wiele zostało jeszcze do zbadania. Nie będę mógł badać cię do końca. Są ważniejsze zadania, a moje dusze są całkowicie wykorzystane.

- Wciąż to powtarzasz - powiedziała Rita zmęczonym głosem. - Moje dusze. Nie wiem, co masz

na myśli.

- Nie jestem jednostką. Jestem aktywnie przechowywany...

- Jak ziarno w worku? - zapytała Rita ironicznie.

- Jak pamięć w twoim umyśle - spokojnie dokończył Typhon. Znajduję się w szczelinie.

Możemy wzbudzać rezonans w szczelinie i magazynować ogromne ilości informacji - dosłownie całe światy informacji. Czy to jest dla ciebie jasne?

- Nie - przyznała. - Jak możesz być więcej niż jeden?

- Ponieważ moje wzory, moja dusza mogą być powielane w nieskończoność. Mogę łączyć się z innymi duszami o innych możliwościach i strukturach. Można tworzyć z nas różne kombinacje - i umieszczać je w maszynach, statkach, rzadziej w ciałach. Pracuję, gdy któraś z moich dusz jest uruchamiana.

- Czy uczono cię, jak obchodzić się z obcymi?

- W pewnym sensie. Badałem byty podobne do was, gdy walczyliśmy z ludźmi w Drodze. Byłem wtedy biologiczną jednostką, wyglądałem podobnie jak po urodzeniu, choć oczywiście byłem dorosły.

Babka powiedziała Ricie, że wie bardzo mało o wojnach z jartami. Mała dziewczynka nie rozumiała z tego dużo - dalekie cuda w bajkowej krainie. Żałowała, że nie słuchała wtedy z większą uwagą.

- Jaki był twój oryginalny kształt?

- Nie byłem w ogóle podobny do ludzi.

- Ale czy w ogóle miałeś jakiś określony kształt?

- Nie. Mój fragment miał pewien kształt. Potem połączyłem się z innymi. - Obracał wskazującym palcem w powietrzu, a Rita patrzyła na niego zakłopotana. "Moje pytania nie zbliżają mnie do prawdy, której szukam."

- Znów nic nie rozumiem. Wyjaśnij mi po kolei.

Typhon uklęknął przy niej, oparł łokcie na kolanach i złączył ręce. Wyglądał bardzo po ludzku. Czyżby jego twarz nabierała stopniowo więcej wyrazu?

- W twoim języku nie ma odpowiednich słów. Języki oparte na dźwiękach są nieodpowiednie.

- Nie rozmawiacie ze sobą.

- Nie używamy dźwięku, w każdym razie niebyt często.

- Czy zabiłbyś mnie, gdyby ci kazano?

- Nikt nie wyda takiego rozkazu. Nigdy nie niszczymy wzorów umysłu. To jest u nas zbrodnią, grzechem.

Dość tego na razie. Wyciągnęła się na brzuchu. Pod nimi ciągnął się błękitnozielony ocean. Był płytki, a z jego dna wyrastały skaliste wyspy, jak kępy drzew. Nie знаła tego miejsca.

Jednak musieli być blisko Rodos. "Blisko" mogło mieć inne znaczenie w ich języku. Mogli przecież podróżować Drogą i odwiedzać różne światy.

Pojawiało się coraz więcej wysp. Każda przykryta złotą czapą, jakby wymalowaną na skałach. Nie było roślin, ani łodzi na wodzie. Tylko chmury, cienie na morzu i złote wyspy.

- Czy mogę odetchnąć tym powietrzem.

- Nie - krótko odpowiedział Typhon.

- Dlaczego nie?

- Nie jest teraz zdrowe. Są w nim organizmy i maszyny, tak małe, że nie możesz ich zobaczyć. Podnoszą Gaię na wyższy stopień wydajności.

- Nikt tu nie mieszka?

Typhon spojrział ze współczuciem. - Nikt z ludzi.

Zrobiło jej się słabo. Czy przynieśli tu choroby, które zabiły wszystkich? Śmierć i profanacja.

- Nigdzie nie ma ludzi?

- Na Gai nie ma już ludzi. Zostali zmagazynowani i będą badani.

Przez chwilę zastanawiała się nad tym, co usłyszała. Potem zalała ją fala nienawiści, która przerwała wszelkie zapory. Odrzucił głowę do tyłu. Wezbrała w niej cała energia, a z jej gardła wydarł się rozpaczliwy krzyk. Z uniesionymi pięściami rzuciła się na Typhona. Nie próbował się bronić. Biła go z całych sił, nie słabymi kobiecymi dłońmi, lecz całą siłą zgłodzonego świata. Nigdy nie uczono ją, jak walczyć o siebie. Pięści miażdżyły twarz strażnika, kolana rozgniatyły jego ciało. Był obrzydliwie miękki, jak surowe ciasto. Ustępował przy każdym ciosie. Krzyczała coraz głośniejszym głosem z każdym ciosem. Ślina ciekła jej z ust, oczy same zamykały się. Walila na oślep, potem chwyciła za szyję, wbijając palce w pozorne ciało.

Typhon upadł na platformę. Miał zniekształconą twarz, rozbite i wgniecione oczy. Kopała go jeszcze przez chwilę, zanim wypełniła ją mroczna pustka. Patrzyła na niebo nad bąblem, a łzy płynęły jej po twarzy. Furia minęła, choć ręce i dłonie wciąż jeszcze drżały. Stopniowo opanowała się.

Popatrzyła na dół, na wyspy, które nie wydawały się już bliskie i ludzkie. Jak przerażony koń, ze źrenicami jak łebki od szpilek, rozszerzonymi nozdrzami, starała się ustać na nogach. Chwyciła poręcz i poczuła, że zaraz wymiotuje. Na pustym morzu ujrzała znajomy ciemnozielony kształt i po raz ostatni poczuła błysk radości - to była jej wyspa, Rodos. Poznałaby ją wszędzie. Bąbel nadal wiozł ją do domu.

Typhon odezwał się swoim dawnym, niezmiennym głosem: - Możliwe, że przekraczam limit energii.

Thistledown City

Prezydent Farren Siliom wszedł do pełnej sali obrad i skierował się w stronę podium. Olmy usiadł obok Korzeniowskiego i Mirskiego. Wraz z całym Nexus słuchali przemówienia prezydenta. Twarz Korzeniowskiego nie wyrażała wiele. Zdawał sobie sprawę, jak ważne jest to posiedzenie, ale nie można było zgadnąć, czy jest zadowolony, czy wręcz przeciwnie.

Mirski był, jak zwykle, uprzejmie uśmiechnięty, ale jego uprzejmość mogła być większym zagrożeniem dla Hexamonu niż spotkanie z jartami - tego przynajmniej obawiał się Olmy. Już od pewnego czasu wierzył bez zastrzeżeń w opowieść Rosjanina. Uważał go za człowieka - jeśli był to w ogóle człowiek - niezdolnego do kłamstwa. Prezydent również nie miał wątpliwości. Opinia Garabediana ostatecznie go przekonała. Teraz Nexus, a wraz z nim prezydent, choć z powodów czysto politycznych, zdecydował się na otwarcie Drogi. Skutki tej decyzji mogą fatalnie wpłynąć na relacje z Ziemią - trudno będzie zasypać przepaść, która właśnie powstaje.

Wszyscy rodowici Ziemiańscy zostali odesłani na Ziemię niezależnie od statusu, jaki im przyznano na stacjach kosmicznych. W Hexamonie zaczęły obowiązywać prawa stanu nadzwyczajnego, które nie były stosowane od czasu wojen z jartami. Przyznawały one prezydentowi nadzwyczajne uprawnienia. Miał teraz rok na realizację swoich planów. Potem będzie musiał odejść i nie będzie mógł piastować stanowisk politycznych.

Z niezwykłym uporem zabiegał o to, by głosowanie w mens publica odbyło się sprawnie i bez udziału Ziemiańskich. Jeśli wynik będzie negatywny, poda się do dymisji. Jeśli będzie pozytywny, szósta komora Thistledown będzie odbudowana i wyposażona, uruchomiony zostanie system obrony Hexamonu i w ciągu czterech miesięcy Droga będzie otwarta.

Korzeniowski otrzymał polecenie, by wykonać decyzję mens publica. Nie mógł odmówić. Olmy'emu wydawało się, że Inżynier jest zrezygnowany. Po takim poleceniu Korzeniowski pozbędzie się do końca maski, którą nosił od czterech dekad, a która komunikowała światu, że interesują go jedynie sprawy Uzdrawienia i Ziemijskiego Hexamonu. Nie będzie mógł pomijać milczeniem swoich genialnych umiejętności, ani poświęcać ich dla dobra Ziemiańskich...

Olmy nie wątpił, że Inżynier wypełni swoje zadanie skrupulatnie. Droga może zostać otwarta wcześniej, niż oczekuje tego prezydent.

Nie wiadomo, co robi Mirski. Najlepiej nie martwić się na zapas.

Tymczasem w implanicie Olmy'ego jart udostępniał coraz więcej informacji o sobie i swoim świecie. Była to już prawdziwa powódź danych. Na razie udawało mu się to opanować.

Zgodnie z porozumieniem, jakie zawarł z jartem reprezentant Olmy'ego, stwór będzie mógł korzystać z jego oczu i uszu. Będą mogli porozumiewać się znacznie skuteczniej.

Kryło się w tym pewne niebezpieczeństwo, ale nie było większe od niebezpieczeństw, których się nie ulękł, i które pokonał.

Nadszedł czas dużych zmian.

Ich tempo było wprost rewolucyjne. Wkrótce skutki Odłączenia mogą zostać usunięte.

Prezydent skończył wystąpienie. Koalicja neogeszeli nagrodziła go burzliwymi oklaskami, świadczącymi o pełnej aprobacie. Naderycy zachowali milczenie.

Korzeniowski zwrócił się do Mirskiego. - Mój przyjacielu, muszę wykonać tę pracę nawet mimo własnych oporów.

Mirski zachnął się, nie wiadomo, czy na znak przebaczenia czy raczej dezaprobaty. Spojrzał na Olmy'ego i puścił do niego oko.

Thistledown, Ciała Orbitalne, Ziemia

Korzeniowski uniósł porcję materii przypominającej białe ciasto wsłuchując się w cichy syk, jaki się z niej wydobył. Miał przed sobą rezultat nieudanych prób sprzed sześciu lat, kiedy to próbował zbudować bramę bez otwierania Drogi. Niepowodzenie przeszło niezauważone i było całkowite. Przy okazji stworzył nowy rodzaj materii. Bezwładny, pozbawiony jakichkolwiek wartościowych właściwości. Mimo to spędził ostatnie sześć lat na badaniach i poszukiwaniach...

Odłożył białą kluskę na podstawkę z czarnego kamienia i rozejrzał się wokół siebie. Musiał pożegnać się z laboratorium. Nie będzie go przez wiele miesięcy, a może nawet dłużej.

Ogłoszono wyniki głosowania w mens publica Hexamonu. Większością dwóch trzecich głosów - więcej niż wszyscy przypuszczali - uchwalono bezterminowe otwarcie Drogi.

Farren Siliom nie miał już wyboru.

Korzeniowski uruchomił robota wartownika i wydał kilka ostatnich poleceń swojemu reprezentantowi, który pozostanie w laboratorium. Jeśli przed jego powrotem ktoś go odwiedzi, zostanie powitany przez reprezentanta.

Przyjmował nowe zadanie z radością i ochotą. Miał w sobie ukrytą energię, która pchała go do pracy w szóstej komorze. Miało to jakiś związek z tajemnicą Patricii Luisy Vasquez, która powiązała fragmenty jego osobowości, w czasie przywracania do życia.

Korzeniowski zebrał kilka małych przyrządów i czasopism, schował do torby i polecił zamknięcie laboratorium. - Powodzenia - powiedział do robota, gdy przekraczał próg. Zatrzymał się na chwilę i zastanowił zanim wyszedł. Na ogół nie traktował maszyn jak ludzi. Dziś czuł się inaczej niż zwykle.

Wyszedł na pustkowie wypełnione ciągnącymi się daleko zaroślami i piaskami. Uruchomił traktor i wyruszył w kierunku stacji kolejowej drugiej komory.

Suli Ram Kikura wystąpiła swego ducha, aby wymusił na urzędnikach zwolnienie jej z aresztu w Axis Euclid. Prośba ducha została odrzucona przez Sąd Pamięci Miejskiej, gdyż zgodnie z prawami stanu wyjątkowego prośby powinny być dostarczane osobiście. Było to tak absurdalne, że nawet się nie zdenerwowała. Nie była zdolna do gniewu, ogarniało ją przygnębienie.

W swoim mieszkaniu rozmyślała nad kolejnymi krokami, które mogła podjąć. Nowy Hexamon nie był tak demokratyczny jak dawniej. Mimo to nie zabraniał przeciwstawiania się nowym decyzjom. Mogła krytykować chęć ponownego otwarcia Drogi, choć narażało ją to na śmieszność. Przez dekady Hexamon starał się sprawować władzę tam, gdzie mógł władać skutecznie, ale nie sięgał dalej, poza granice chaosu. Prezydent i premier, którzy dobrze odczytali społeczne nastroje, będą teraz starać się wypełniać swoje obowiązki nie robiąc jednak więcej, niż to niezbędne. Będą także demonstrować Hexamonowi wszystkie nieprzyjemne skutki tej decyzji tak, jakby chcieli ukarać kraj i jego ideologicznych przywódców za podjęcie kłopotliwej uchwały i obarczenie ich uciążliwymi obowiązkami.

Pozbawiono ją dostępu do pamięci miejskiej. Nie mogła rozmawiać z Tapim, mimo że właśnie teraz miał otrzymać ciało. Nie miała dostępu do Korzeniowskiego i Olmy'ego. Zachowywali się dobrze, jak jej powiedziano, i współpracowali przy realizacji projektu.

Odmówiła jakiegokolwiek współpracy. Miała swoje własne zasady i niech ją diabli wezmą, jeśli je kiedyś przekroczy.

Wiosna była piękna w Nowej Zelandii. Na łąkach pojawiły się owce. Lanier wyruszył na trawę ze swoim małym stadem czarnogłowych owiec. Karen pomagała mu czasem. Odcięta od pracy, zmuszona do pozostania w domu, czuła się bardzo źle.

Mieszkali razem, choć zachowywali wyczuwalny dystans. Lanier stracił cały entuzjizm, który obudził w nim Mirski. Nie myślał, co może się zdarzyć. Mało go to obchodziło.

Na swój sposób był kiedyś zauroczony Hexamonem i chciał z nim współpracować. Przez ostatnie lata obserwował, jak zmieniały się nastroje polityków. Dziś, pogrążony we własnych kłopotach Hexamon zdradził go, ten sam Hexamon, który kiedyś ratował Ziemię, zdradził ich wszystkich.

Uzdrowianie Ziemi jeszcze się nie zakończyło.

Być może nigdy nie zostanie dokończony, choć Hexamon zapewniał, że dołoży wszelkich starań... Wyjątkowo irytowały go nadawane systematyczne z orbity audycje, informujące Ziemiaków o postępach projektu otwarcia Drogi, wyjaśniające jego szczegóły...

Tylko od czasu do czasu wspominano o pracach uzdrawiających, postępujących coraz bardziej chaotycznie.

Lanier zmarniał na twarzy i znów poczuł się stary.

Siedział właśnie na ganku i wsłuchiwał się w nocny wiatr szeleszczący młodymi liśćmi na krzakach i trawami. Myśli plątały się, jak motek wełny, którym bawiły się koty. "Jestem tylko pojedynczym człowiekiem. Powinienem zwiędnąć, jak wszystko wędnie. Nie ma już dla mnie miejsca. Mam dosyć tego świata i nie zazdroszczę nowo narodzonemu."

Najgorsze było to, że przez chwilę znów poczuł radość i entuzjizm. Gdy był z Mirskim, miał wrażenie, że walczy o coś cennego. Wydawało mu się, że mają do czynienia z czymś mądrzejszym i silniejszym od zwykłych ludzi.

Ale Mirski gdzieś zniknął.

Nikt nie widział go od miesiący.

Lanier postanowił pójść spać aby, choć na jakiś czas, pozbyć się smutnych myśli. Oparł się o poręcz, naprężył plecy, ale nie mógł unieść ciała. Był jak przylepiony. Zaskoczyło go to i z ciekawością wychylił się, by zobaczyć, co go trzyma. Bez najmniejszego odgłosu coś wybuchło tuż obok. Kula ciemności dotknęła jego głowy. Ciemność zawirowała i zmieniła się w długi tunel. Lanier trzymał kurczowo poręcz fotela, ale nie mógł się wyprostować.

- O Boże - powiedział. Wargi miał zeszywniałe. Atrament rozlał się z tyłu głowy. Z rytmicznym trzaskiem drzwi zamykały się i odgradzały go od wszystkich wspomnień. Karen była daleko, był sam. Tak odszedł jego ojciec, był młodszy od niego, bez bólu nagle wycofał się. Nie myślał o sobie tak. O Boże.

Tunel rozszerzył się ku tęczącej nocy.

Thistledown

Siedem generatorów było ukrytych w odległości sześciu metrów od zewnętrznego obwodu siódmej komory, przy jej południowym krańcu. Były połączone próżniowodami z maszyną szóstą komory. Nie miały ruchomych części i nie korzystały z pól magnetycznych lub elektronicznych. Mechanizmy te były znacznie bardziej subtelne. Opracował je sam Korzeniowski korzystając z równań matematycznych, które sformułowała jeszcze Patrikia Luisa Vasquez, w końcu dwudziestego wieku.

Generatory wytwarzały napięcie czasoprzestrzenne, które napędzały Drogę. Nie używano ich od czterech dekad, ale wciąż były sprawne. Próżniowody przewodziły niematerialną energię w czystej postaci, która powstawała jako produkt uboczny wzajemnego oddziaływania wszechświatów.

W tunelu prowadzącym do siódmej komory pojawiła się kapsuła obserwacyjna, przypominająca pęcherzyk. Wypełniały ją urządzenia monitorujące, gigantyczne czerwone kule, najeżone srebrnymi i szarymi sześcianami wielkości ludzkiej głowy. Kołysały się w przód i w tył wewnątrz kapsuły i starannie unikały spotkania z ludźmi, jeśli zdarzyło im się trafić na nich podczas pracy.

Korzeniowski unosił się w tunelu poszukując jednostkowości Drogi. Jego szare włosy falowały na wietrze, wytwarzanym przez kapsułę badawczą. Obserwował rekonstrukcję południowego krańca siódmej komory. Ciągnęła się wiele kilometrów w każdą stronę tunelu. Tworzyły ją ogromne czarne kręgi symulatorów cząstek elementarnych i związanych z nimi zasobów trytu stabilizowanego gravitonem. Zostaną uruchomione dopiero po otwarciu Drogi. Mogą być użyte jako broń, gdyż potrafią oczyścić Drogę z każdej materii, jaka się w niej znajdzie, na przestrzeni setek kilometrów. W ten sposób Hexamon zdobędzie pierwsze przyczółki, jeśli będą mu potrzebne. Wkrótce zostaną zamontowane ochrony przed promieniami trakcyjnymi, które mogą powstać podczas walki i wrócić rykoszetem na Thistledown.

Przerażająca broń, przerażająca obrona...

Przerażający przeciwnicy.

W chwilach odpoczynku Korzeniowski pozwalał sobie na swobodną grę myśli. Poświęcał dwie godziny dziennie na przemyślenie tego, co zaszło, i wypracowanie właściwego stosunku do wydarzeń. W kapsule zostawał tylko w towarzystwie automatów.

Za dwa tygodnie generatory Drogi będą gotowe do użytku. Zostaną stworzone wirtualne wszechświaty minimalnych rozmiarów, tak niedostrzegalne, że można je uznać za abstrakcyjne. Ginąc będą rozświetlać nocne niebo nad Ziemią, gdyż cząstki i promienie tego rodzaju nie będą tolerowane przez naturalne środowisko.

Jeśli pierwsze testy wypadną dobrze, za trzy tygodnie Korzeniowski rozpocznie tworzenie torusa - zamkniętego w sobie i stabilnego wszechświata. Po zdemontowaniu torusa będą obserwować jego zanik. Przebieg tego procesu dostarczy wskazówek, gdzie należy szukać ponadprzestrzennego końca Drogi.

Przez następnych kilka miesięcy będą prowadzone poszukiwania tego końca. Powstanie tymczasowy wirtualny wszechświat, podobny wielkością i kształtem do Drogi, ale krótszy, skończony. Zostanie podłączony do końca Drogi po jego odnalezieniu i stworzy pomost między generatorami a ich samodzielnym już potomkiem - Drogą. "Ramon Rita Tiempos de Los Angeles."

Korzeniowski zamknął oczy i zmarszczył czoło. Nie mógł udawać, że nie rozpoznaje źródła

obcych komunikatów, które ciągle go niepokoiły. Kiedy tajemnica Patricii Vasquez została włączona do połączonych fragmentów jego osobowości, aby umożliwić stworzenie z nich samodzielnej całości, nie udało się oddzielić jej pamięci i energii. W teorii było to mało prawdopodobne. Ale Patriota była wówczas bardzo poruszona, a Korzeniowski mocno uszkodzony. Na pewno nie był podręcznikowym przypadkiem scalania osobowości.

Nie sprzeciwiał się tym impulsom. Na razie nie zmagaly się z jego wolą i nie wytwarzały zbędnego napięcia. Ale wkrótce trzeba będzie podsumować koszt tych ingerencji. Będzie musiał poddać się rekonstrukcji osobowości.

Na razie nie mógł podejmować takiego ryzyka. Był zbyt ważny dla planów Hexamonu. "Tam," powiedział do siebie po kilku minutach. "Spokój. Cisza. Integracja."

- Konrad - dobiegł głos od strony wejścia. Korzeniowski skrzywił się i odwrócił głowę. To był Olmy. Nie rozmawiali od tygodni. Inżynier wyciągnął do niego rękę i zwolnił swoją precesję.

Wymienili serdeczne powitanie posługując się piktorami i objęli się. Przy okazji niemal unieśli się nad podłogę, gdyż przyciąganie było tu znikome. - Mój przyjacielu - powiedział Korzeniowski.

- Przepraszam, że przeszkadzam - usprawiedliwił się Olmy.

- To prawda, ale mniejsza o to. Cieszę się z wizyty.

- Czy już pan wie?

- O czym? - zdziwił się Korzeniowski.

- Garry Lanier miał rozległy wylew w mózgu. Nie był zabezpieczony.

Korzeniowski zbladł. - Nie żyje?

- Niewiele brakowało. Karen odkryła to po kilku sekundach i natychmiast wezwała pomoc z Christchurch.

- Przeklęta duma Ziemi! - wykrzyknął Korzeniowski. Wyrażał nie tylko swój własny gniew.

- Pomoc przybyła po dziesięciu minutach. Żył, ale konieczna była rekonstrukcja, bo jego umysł był poważnie uszkodzony.

Korzeniowski zamknął oczy i pokiwał głową. Nie był zwolennikiem przymusowej pomocy medycznej, ale w tej sytuacji nie podejrzewał, by Hexamon zostawił Lanierowi wolną rękę. - To ich wina - powiedział z goryczą. - Wszyscy mamy w tym swój udział...

- Będzie dużo kłopotów - powiedział Olmy. - Jeśli Karen zgodzi się na rekonstrukcję, większość uszkodzeń zostanie naprawiona... Ale będzie musiał skorzystać z pomocy medycznej, którą zawsze odrzucał.

- Czy rozmawiał pan z Ram Kikurą?

Olmy zaprzeczył. - Jest w areszcie domowym i nie można się z nią porozumieć. Zresztą moje możliwości są ograniczone.

- Moje także - oświadczył Korzeniowski. - Ale mogę sięgnąć do ludzi wyżej postawionych.

- To dobrze. Obawiam się, że moja pozycja polityczna jest teraz trochę niejasna.

- Dlaczego?

- Odmówiłem przyjęcia stanowiska dowódcy w Siłach Obronnych.

- Jest pan świetnym kandydatem - zmartwił się Inżynier. - Dlaczego?

Olmy uśmiechnął się tajemniczo. Korzeniowski patrząc mu w oczy poczuł dla niego cień sympatii. "Nie jest sam." Ale nie wiedział, dlaczego to poczuł i co z tego wynikało.

- Wyjaśnię to później. Nie nadszedł jeszcze odpowiedni czas. Będzie mnie trudno odszukać przez jakiś czas. - Ostatnią informację przesłał piktorom, tak by tylko Korzeniowski mógł ją odczytać. - Jeśli chce mi pan coś powiedzieć, proszę...

Korzeniowski przyglądał mu się przez moment i przesłał pikt: - Będzie mi pana brakowało. Tak

samo jak Garry'ego czy Ram Kikury.

Olmy skinął głową za zrozumieniem. - Być może wkrótce spotkamy się wszyscy. Niech Gwiazda, Los i Pneuma nam pomogą. - Szybko oddalił się w kierunku tunelu.

Korzeniowski wrócił do kapsuły z maszyną i poszybował ponad siódmą komorą. "Nie da się teraz odpocząć", pomyślał i wrócił do pracy.

Ziemia

Lanier walczył na krawędzi studni. Za każdym razem, gdy rozluźniał uścisk, spodziewał się upadku, jednak coś go podtrzymywało. Nie mógł umrzeć. Nie chciał, by go ratowano. Dopóki żył, cierpiał z powodu kwaśnego smaku w ustach, a żołądek i jelita wypełniał mu ból. W chwilach przytomności próbował sobie przypomnieć, kim jest, i nie mógł.

Światło wybuchło wokół niego. Kąpał się w nadnaturalnym blasku. Czuł mrowienie w mózgu. Dotarły do niego pierwsze słowa: Zrobiliśmy wszystko, co było możliwe, bez rekonstrukcji.

Zastanowił się nad nimi. Były znajome, a jednak obce.

- Nie chciałby tego. "To Karen."

- Więc nic więcej nie możemy zrobić.

- Odzyskał świadomość, do pewnego stopnia. Prawdopodobnie słyszy nas.

- Czy może mówić?

- Nie wiem. Proszę spróbować.

- Garry? Czy mnie słyszysz? "Tak, dlaczego nie pozwolisz mi po prostu umrzeć, Karen..." praca do zrobienia.

- Garry? Jaka praca? "czy Uzdrawienie się skończyło"

- ... uzdrawienie skończyło...

- Garry, jesteś ciężko chory. Czy mnie słyszysz?

- Tak.

- Nie mogłam pozwolić ci tak umrzeć. Wezwałam pomoc medyczną Hexamonu z Christchurch. Zrobili wszystko, co potrafili.

Nic nie widział. Czy oczy miał zamknięte czy otwarte? Światłość przygasła.

- ... nie pozwól im.

- Na co?

- Nie pozwól im.

- Garry, powiedz mi, co mam robić.

Mówiła po chińsku. Była bardzo nieszczęśliwa. Przez niego.

- Co to jest rekonstrukcja?

Odezwał się inny głos, mówił po angielsku. - Ser Lanier, nie może pan wrócić do zdrowia bez rekonstrukcji. Umieściliśmy ruchomą sondę w pana mózgu i próbujemy naprawić uszkodzoną tkankę.

- Nie chcę nowego ciała.

- Pańskie ciało jest w porządku. To sprawa mózgu.

- Żadnych przywilejów.

- O co mu chodzi?

Karen wyjaśniła. - Nie chce korzystać z uprzywilejowanej pomocy medycznej.

- Ser Lanier, to jest rutynowa pomoc. To znaczy - głos zwrócił się do kogoś innego - że nie chce implantu?

- Nigdy nie chciał.

- Nie będziemy z tego korzystać. To zwykła pomoc medyczna. Nie odmawiał pan korzystania z pomocy medycznej. "Nie. Nigdy. Długie życie."

- Choć muszę powiedzieć, że gdyby pan przyszedł do nas do Christchurch na badanie,

moglibyśmy przewidzieć chorobę i zapobiec jej.

- Czy jesteście ze stacji orbitalnych? - zapytał wolno Lanier. Otworzył oczy, jednak nadal widział tylko mrok.

- Byłem tam przeszkolony. Ale pochodzę z Melbourne. Tam się urodziłem i wychowałem. Czy poznaje pan mój akcent?

Rzeczywiście. Mówił z silnym australijskim akcentem.

- Dobrze. - Czy miał jakiś wybór? Mimo wszystko chyba bał się śmierci? Myślał z trudem. Po prostu nie chciał zadawać Karen bólu.

Karen płakała. Głosy ucichły, a światło ustąpiło mrokowi. Zanim znów utracił przytomność usłyszał, jak głos z wyraźnym rosyjskim akcentem mówił: - Garry. Przychodzi pomoc. Trzymaj się mój przyjacielu.

Thistledown

Olmy postanowił zniknąć, gdy dowiedział się, że zamierzają zaproponować mu stanowisko kierownicze. Dowodzenie obroną Hexamonu i przechowywanie w implancie jarta było zbyt wielkim ryzykiem. Nie mógł narażać Hexamonu na konsekwencje swojej ewentualnej pomyłki.

Po rozmowie z Korzeniowskim powrócił do swego mieszkania pod kopułą Nexus. Zatarł wszystkie ślady, a potem zrobił to samo w swoim starym mieszkaniu w Aleksandrii. Następnie zamroził połączenie z biblioteką. Zawahał się. Przed całkowitym wycofaniem się z systemu komunikacji powinien zrobić jeszcze jedną rzecz. Wezwał swego ulubionego wywiadowcę i polecił mu zdobyć informacje na temat syna.

- Jest na Thistledown - oświadczył wywiadowca prawie natychmiast.

- Otrzymał ciało?

- Poród odbył się poprawnie, a teraz jego ciało uzyskuje potrzebne dane i uczy się zachowań.

Nie było przy nim ani Olmy'ego, ani Ram Kikury... Implant nie służył do tłumienia poczucia winy i żalu.

- Czy mogę z nim rozmawiać?

Wywiadowca szukał przez chwilę odpowiedzi. - Nie bezpośrednio. Ale ma bufor danych, do którego możesz mieć dostęp.

Olmy uśmiechnął się. - Więc skorzystajmy z tego.

Bufor zawierał tylko jedną informację. - Jestem przyjęty do sił obronnych. Pierwsza służba za kilka dni. Nasz wspólny sukces, tato.

Olmy przeczytał informację kilka razy i obejrzał towarzyszący jej pikł, który wyrażał miłość, szacunek i podziw. Bez wahania wyciągnął rękę i zanurzył w nim palce.

- Mam wiadomość dla mojego syna - oświadczył. - I prośbę.

Kiedy komunikat był już w buforze, Olmy dezaktywował wywiadowcę i wyłączył terminal.

Nadszedł czas, by się ukryć. Zapakował kilka źródeł danych, które mogą być potrzebne, i wysłał je do mieszkania robotników w tunelu napraw przy północnym krańcu, w trzeciej komorze. Na razie nie odkrył nic ważnego dla obrony Hexamonu. Dowiedział się wiele o społeczeństwie jartów, ale nic o ich technologii i sztuce wojennej. Było mało prawdopodobne, że jart dysponuje takimi informacjami. Byłoby głupotą, gdyby go w nie wyposażono. Mimo to Olmy chciał prowadzić badania jeszcze przez, co najmniej, kilka tygodni...

Badania jarta stały się pułapką, w którą wpadł, i którą sam na siebie zastawił. Wydobywał się z niej z największym trudem. Mógł poświęcić się odczytywaniu informacji od swojego reprezentanta i spędzić na tym całe miesiące, nie interesując się otwieraniem Drogi, wracając do zewnętrznego świata tylko, by coś zjeść i upewnić się, że świat jeszcze istnieje.

Nigdy nie miał okazji, by badać wroga tak dokładnie. W tak intymnej bliskości. Poznawanie przeciwnika jest jak przyglądanie się sobie w krzywym zwierciadle. Zmagając się ze słabością i siłą przeciwnika, badający mógł stać się jego negatywnym odbiciem.

Olmy nie czuł już pogardy czy niechęci do jarta. Czasem miał wrażenie, że go rozumie.

Wypracowali kompromisowy dialekt psychologiczny, dzięki któremu mogli naśladować wzajemnie swój sposób myślenia. Rozpoczęli wymianę osobistych informacji. Oczywiście, bardzo uważając, by nie powiedzieć za dużo. Olmy opowiedział jartowi o swoim wychowaniu, naturalnym

porodzie i konserwatywnej edukacji oraz o wygnaniu ortodoksyjnych naderytów z drugiej komory. Nie powiedział o ukrytych osobowościach Korzeniowskiego i trwającym stulecia spisku z tym związanym.

Od jarta dowiedział się następujących rzeczy: “Cywilizowana planeta to czarna planeta. Nie ma marnotrawstwa i nikt jej nie wykryje. Tam się ukrywamy i przygotowujemy do służby w Drodze. Jest wiele takich planet, gdzie wykonawcy przed i po służbie oczekują na polecenia. [Ja] poszedłem do służby z takiego świata, tak cudownie czarnego w porównaniu z gwiazdami. [Ja] nie wiem nic o naturalnym porodzie. [My] jesteśmy wzywani do służby przez wykonawców obowiązków od kiedy sięga [moja] pamięć. W chwili powstania jesteśmy wyposażeni w informacje potrzebne do wykonania [naszych] bieżących obowiązków. Ponowne przydziały owocują dalszą wiedzą. [My] nie zapominamy naszych dawnych prac, zachowujemy je w rezerwowej pamięci, bo mogą się jeszcze przydać.”

Olmy opowiedział jartowi o ludzkim dzieciństwie. O wykształceniu, rozrywkach, wybieraniu i otrzymywaniu implantów, o bibliotekach. Nie powiedział nic o Thistledown i wciąż śledził pole widzenia, aby przypadkiem jart nie dostrzegł zakrzywionych pomieszczeń stacji kosmicznej. Starał się stworzyć złudzenie, że także był urodzony i wychowany na planecie.

Miał nadzieję, że kiedyś wykryje podobne kłamstwa jarta. Ostatecznie to on dyktował warunki, jart był tylko więźniem. Może później, gdy będzie całkowicie panował nad sytuacją, pozwoli sobie na mówienie całej prawdy i tylko prawdy.

Na razie jednak odnosili się do siebie bez pełnego zaufania...

Na zewnątrz Hexamon realizował systematycznie swoje cele. Olmy czasem odszukiwał jakiś odległy terminal biblioteki i przysłuchiwał się oficjalnej propagandzie. Stawała się natrętna, co mogło świadczyć o kłopotach Hexamonu, który musiał za wszelką cenę bronić swoich decyzji przed możliwą krytyką. Być może sam przed sobą starał się ukryć wątpliwości lub stłumić poczucie winy z powodu podjętej akcji.

Olmy'emu nie dodało to otuchy. Zaczął poważnie obawiać się rozwoju wypadków i spodziewać się najgorszego. Zaczynały się sprawdzać jego podejrzenia i obawy. Rosła nieufność wobec obecnego kierownictwa Hexamonu.

Po głosowaniu w mens publica ustalono harmonogram otwarcia Drogi. Przygotowania sił obronnych było na ukończeniu. Droga mogła zostać przyłączona do Thistledown w ciągu miesiąca lub nawet mniej. Obywatele stacji orbitalnych byli pełni entuzjazmu i podenerwowani.

Ziemiemu Senatowi przyznano dodatkowe wakacje motywowane stanem wyjątkowym. Senatorowie rozjechali się i nie mieli ze sobą kontaktu. Podobnie zachowali się członkowie ziemskich rządów.

Ram Kikura była wciąż w areszcie domowym w Axis Euclid i nie można było się z nią skomunikować.

Gdy Olmy dowiedział się o tym, ogarnęła go rezygnacja. Zawsze istniała taka możliwość, a teraz była faktem. Otwarcie Drogi stało się obsesją Hexamonu i nic już nie stanie jej na przeszkodzie. Nawet honor i tysiącletnia tradycja były bezsilne.

Olmy zaczął powoli szanować jartów - mieli proste, jednoznacznie zaprogramowane umysły, wolne od hipokryzji i niezdolne do oszustw.

Wrócił do swoich badań.

Ziemia

- Czy Paweł Mirski jest tutaj? - zapytał Lanier, gdy Karen odwróciła się w jego stronę, by sprawdzić płynne pole pod nim. Wyprostowała się i spojrzała na niego zdziwiona. Pytanie lekko ją zirytowało.

- Nie. Musiało ci się wydawać.

Przełknął ślinę i skinął głową - tak pewnie było. - Jak długo spałem?

- To nie był sen. Byłeś reintegrowany. Ostatnie brakujące mikroby dodano do twojej krwi dwa dni temu. Omal nie umarłeś... - przewróciła go na bok. - Prawie dwa miesiące.

- Ach tak.

Stała obok i patrzyła na niego poważnie. - Prawie ci się udało.

Uśmiechnął się blado. - Niewiele pamiętam. Czy szukałem ciebie, gdy to się stało?

- Siedziałeś na fotelu na ganku. Było zimno. Ty... Znalazłam cię przewieszzonego przez poręcz. Czasem cię nienawidziłam. Czasem...

- Nie wiedziałem, że to się zbliża.

- Garry, twój ojciec.

- Ja to nie on.

- Zachowywałeś się tak, jakbyś chciał umrzeć.

- Może chciałem - powiedział cicho. - Ale na pewno nie chciałem się rozstać z tobą.

- Być może chciałeś, abym umarła z tobą. - Usiadła na brzegu łóżka, na skraju miękkiego fioletowego pola snu. - Nie jestem jeszcze gotowa.

- Nie.

- Wyglądasz tak staro, jakbyś był moim ojcem.

- Dziękuję.

Ujęła jego szczękę w dłonie i łagodnie obróciła mu głowę. Dotknęła bulwy u nasady szyi. - Założyli ci tymczasowy implant. Będziesz mógł go usunąć później, jeśli zechcesz. Ale teraz jesteś pod opieką Hexamonu.

- Dlaczego? Oszukali mnie... - Podniósł głowę i dotknął szyi palcami. "A więc to tu. Jestem zły... bardzo zły. Ale jednocześnie mnie to uspokaja."

- Hexamon chce, abyś żył. Senator Ras Mishiney został tymczasowym administratorem Nowej Zelandii i Pomocnej Australii... nakazał utrzymanie cię przy życiu za każdą cenę i założenie implantu niezależnie od twojej woli. Jesteś bohaterem, Garry. Jeśli umrzesz, co powiedzą Ziemiańskie?

- I pozwoliłaś im?

- Nic nie powiedzieli. Nie miałam wyboru. - Wargi zaczęły jej drżeć. - Powiedziałam im, że nie chcesz. Najpierw chcieli zrobić tylko to, co z tobą uzgodnili... potem przyjechał Ras Mishiney. Taka towarzyska wizyta, powiedział. - Wytarła dłonią wilgotny policzek. - Polecił założyć implant. Powiedział, że to konieczne, dopóki kryzys nie minie.

Lanier leżał za łóżku z zamkniętymi oczyma.

- Przykro mi, przepraszam.

- Myślałam, że nie żyjesz. - Wstała, a potem znów usiadła zakrywając twarz dłońmi. - Myślałam, że nigdy już się nie pogodzimy.

Dotknął jej ramienia, ale otrząsnęła się.

- Przykro mi - powtórzył i znów dotknął jej ramienia. Tym razem nie protestowała. - Byłem egoistyczny.

- Jesteś bardzo zasadniczy. Szanuję to, ale boję się o siebie.

- Człowiek zasadniczy może być egoistą.

Potrząsnęła głową i chwyciła go za dłonie. - Czułam się winna. Po tym wszystkim, co zrobiliśmy dla Ziemi...nie uczestniczymy w problemach Ziemi.

Spojrzał w okno sypialni. Była już noc. - Co się zdarzyło od tamtego czasu?

- Nie mówią nam wszystkiego. Myślę, że już niedaleko do otwarcia Drogi.

Spróbował wstać z łóżka, ale długa choroba pozbawiła go sił, więc po chwili zrezygnował. - Chciałbym rozmawiać z administratorem. Jeśli chcą mnie utrzymać przy życiu, może będą chcieli również ze mną rozmawiać.

- Nie będzie z nami rozmawiać. Z nikim z nas. To nie będzie rozmowa, usłyszysz stek frazesów. Zaczęłam ich nienawidzić, Garry. "Co to musiał być za szok", myślał Lanier siedząc znów na ganku. Otulały go koce, mimo że powietrze było ciepłe, bo było lato. Pory roku niezmiennie następowały po sobie, piękne i brzydkie zarazem. "Co za szok, spaść z doskonałego poziomu Drogi, racjonalnego i zaplanowanego, do zwykłej rzeczywistości, gdzie wszystko jest nędzne."

Wziął do ręki notes i przejrzał swoje zapiski. Niezadowolony skasował kilka mętnych akapitów i spróbował przypomnieć sobie tekst, który właśnie układał w myśli. "Nie potrzebują nas", napisał. "Potrzebują tylko Kamienia - Thistledown - i jego zasobów, a kiedy otworzą Drogę, będą mieli więcej niż potrzebują."

- Albo nawet więcej niż mogą udźwignąć - wymamrotał, przebierając palcami na klawiaturze.

Lanier uznał, że najwyższy już czas opisać wszystko, co mu się w życiu przytrafiło. Był odizolowany od bieżących wydarzeń, ale mógł opisywać przeszłe doświadczenia. Pamięć mu dopisywała po rekonstrukcji, była nawet lepsza niż przedtem. Cieszył się z tego, choć jednocześnie doświadczał wzmożonego poczucia winy. Nawet w areszcie mógł poświęcić się pisaniu pamiętników. Może podziela to jakoś na ludzi. Jeśli została w nim jeszcze jakaś mądrość. "Co za szok", kontynuował, "kiedy spostrzegam historię pełną ludzi, którzy nie mieli pojęcia o medycynie psychologicznej, ludzi, których wykrzywione i wypaczone, i zniekształcone" (wykasował "wykrzywione i wypaczone") "jak natura i okoliczności" (zdał sobie sprawę, że zapędził się w ślepy zaułek. Zaczął od nowa.) "...umysły tak uszkodzone, jak ciała ludzi z dawnych czasów, niedorozwinięte, skarłate, brzydkie, przywiązane do nijakich osobowości w złym stanie, uwielbiające wady i choroby, obawiające się standardów zdrowia psychicznego, które mogły ich upodobnić. Byli zbyt ograniczeni, by uznać, że jest tyle rodzajów zdrowego myślenia, ile jest rodzajów choroby. Wolność polegała na kontroli i korygowaniu, sądził nowo utworzony Ziemski Hexamon, ale jakie były jego cele! Podstępny i kłamstwa, skandaliczne wypaczanie prawdy. Taka była konieczność walki z szalejącą Śmiercią i z katastrofami. I tak, jak ja zostałem złamany kołem służby nieszczęściu, tak Hexamon zapragnął..."

Zatrzymał się. Czego pragnął? Powrotu do dawnej świetności? Do świata, który był znany i wygodny, choć pozbawiony filozoficznych celów i aspiracji. Decyzję o Odłączeniu podjęto w jednej chwili, w czasie Hexamonu, tak jak decyzję o otwarciu Drogi. Elegancki wykres historii Hexamonu nie był pozbawiony nagłych załamania. Gładka powierzchnia popękała pod wpływem nagłych kataklizmów.

To wszystko jest bardzo ludzkie i zrozumiałe, nawet po stuleciach stosowania talsitu i psychologicznej medycyny. Nawet zdrowa kultura, ze zdrowymi obywatelami nie jest całkowicie wolna od konfliktów i nieporozumień. Postęp polega na tym, że przebiegają mniej dramatycznie, nie

są tak destrukcyjne i przerażające.

Karen mówiła, że ich nienawidzi. Lanier nie podzielał jej uczucia. Mimo gniewu i rozczarowania wciąż ich podziwiał. Uznali wreszcie fakt, który był oczywisty od początku - że ludzie z przeszłości, Rodowicie Mieszkańcy, nie mogą połączyć się z ludźmi z przyszłości. W każdym razie nie w ciągu kilku dekad, ani w oparciu o ograniczone zasoby, którymi dysponował obecnie Hexamon.

Podejrzliwie obserwował biały punkcik przesuwany się po niebie ponad zielonymi wzgórzami na południu. Przeleciał nad drzewami i zniknął z pola widzenia. - Karen - zawołał. - Zbliżają się.

Karen pchnęła szklane drzwi i wyszła przed dom z tacą sadzonek w rękach. - Dostawa?

- Tak mi się wydaje - odpowiedział.

- To miło z ich strony. - Nie było goryczy w jej głosie. Pogodzili się już z myślą, że odsunięto ich na boczny tor. - Może wyprosimy jakieś wiadomości od pilota.

Mały prom zatrzymał się nad małym, kwadratowym lądowiskiem w ogrodzie. Pole trakcyjne sięgnęło ziemi, a z kabiny wysiadł młody neogeszelnik ubrany na czarno. Nigdy go wcześniej nie widzieli. Lanier zebrał koce, odrzucił je na fotel i wstał nie wypuszczając notatnika z ręki.

- Dzień dobry - powiedział młodzieniec. Było coś dziwnie znajomego w jego ruchach i wyglądzie. - Nazywam się Tapi Ram Olmy. Ser Lanier?

- Dzień dobry - odpowiedział Lanier. - Moja żona, Karen:

Młodzieniec uśmiechnął się. - Zgodnie z planem przywiozłem dostawy. - Znów się uśmiechnął, ale widać było, że nie czuje się swobodnie. - Proszę mi wybaczyć niezręczności. Dopiero się urodziłem. Zdałem egzaminy dopiero trzy miesiące temu. Realny świat jest... tak pełen życia.

- Proszę wejść - zaprosiła Karen.

- Dziękuję. - Gdy wchodził po schodach na ganek, wyjął z kieszeni kombinezonu srebrny czujnik. - Wasz dom jest monitorowany - powiedział. - Monitory są tylko na peryferiach.

- Nie obchodzi ich, co mówimy - powiedziała Karen zmęczonym głosem.

- To byłoby dobrze. Przywożę wiadomości od mojego ojca.

- Jest pan synem Suli Ram Kikury i Olmy'ego? - zapytał Lanier.

- Tak. Matka nie może się ze mną skontaktować. Boją się jej. Ale wkrótce będzie wolna. Mój ojciec ukrywa się, choć nikt go nie poszukuje. Nie wiem, dlaczego to robi. Przypuszczam, że będą was interesowały dokładne informacje o obecnej sytuacji, o Thistledown. - Młodzieniec wyglądał poważnie. - Mogę mieć z tego powodu nieprzyjemności. Ale mój ojciec też często ryzykował.

- Dobrze cię zaprojektowano - pochwalił Lanier, tłumacząc piktorowy komplement na angielski.

- Dziękuję. - Ram Olmy wręczył Lanierowi kilka staromodnych sześcianów pamięci. - Przeczytanie tego zajmie kilka tygodni. Nie ma piktorów, tylko czysty tekst. Mój ojciec przetłumaczył wszystkie symbole. Mogę to szybko streścić...

- Chętnie posłucham - zachęcił Lanier. - Proszę usiąść. - Wskazał mu krzesło. Ram Olmy usiadł, splatając dłonie przed sobą.

- Inżynier stworzy dziś w nocy pewną ilość wirtualnych wszechświatów. Będzie poszukiwał końca Drogi. Będzie można zobaczyć efekty uboczne na niebie. Szykuje się duże widowisko.

Lanier skinął głową, choć nie był pewny, czy akurat w tej chwili ma ochotę na widowiska.

- Siły obronne zostały postawione w stan pogotowia. Nie zostały jeszcze przetestowane, ale wkrótce to nastąpi. Przydzielono mnie do jednej z grup testujących.

- Powodzenia.

- Doceniam pańską ironię, ser Lanier. Jeśli wszystko się powiedzie, Droga zostanie przyłączona za tydzień, a pierwsze próbne otwarcie nastąpi za dwa tygodnie. Mam nadzieję, że uda mi się przy

tym być.

- To będzie wielka chwila.

Lanier nie usiadł, Karen stała obok niego. Ram Olmy podniósł wzrok. Miał spokojne oczy, choć jego ciało wciąż było napięte. Na chwilę położył ręce na poręczy krzesła. "Młody rewolwerowiec", pomyślał Lanier.

- Mam też wiadomość od Korzeniowskiego. Ser Mirski zniknął. Inżynier kazał mi powtórzyć, że bóg uciekł.

Lanier znów skinął głową, a potem zwrócił się do Karen. - Usiądźmy. To krępujące, kiedy stoimy. Przyciągnęli swoje krzesła. Karen zaproponowała poczęstunek, ale Ram Olmy podziękował.

- Jestem zbudowany trochę inaczej niż mój ojciec. Nie działam tak wydajnie, ale za to nie potrzebuję talsitu. - Wyprostował rękę, wyraźnie dumny ze swojego ciała.

Lanier uśmiechnął się. Tapi przypomniał mu Olmy'ego, a to wspomnienie było przyjemne. Karen nie dała się uwieść zmaterializowanemu urokowi Hexamonu.

- Wszyscy martwimy się, że jesteście tu odizolowani. Nie znam nikogo, kto popierałby w siłach obronnych obecne traktowanie Ziemi.

- Ale uważa pan, że to konieczne.

Ram Olmy popatrzył na nią przez dłuższą chwilę. - Nie, ser Lanier. Nie uważam. Zgodnie z przepisami stanu wyjątkowego za podejmowanie decyzji odpowiedzialny jest prezydent i Specjalny Komitet Nexus. Oni wydają rozkazy. Nieposłuszeństwo jest karane utratą ciała i ponownym zmagazynowaniem w pamięci. Trafiłbym tam, skąd przyszedłem.

- W jaki sposób pozwolono panu tu przylecieć?

- Zwyczajnie. Zgłosiłem się sam i nikt się nie sprzeciwił. Powiedziałem, że lecę do przyjaciół mojego ojca i Inżyniera, i że mogę przekazać wiadomość od Inżyniera.

- Nie są internowani?

- Nie. Mój ojciec ukrywa się, ale nie złamał prawa. Nie mogą zmusić go, by przyjął dowodzenie. To byłoby śmieszne.

- Dlaczego Olmy się ukrywa?

- Myślę, że wyraża w ten sposób swoją dezaprobatę, ale nie jestem pewien.

- Korzeniowski zgłosił się na ochotnika? - zapytała Karen wyraźnie zainteresowana.

- Nie jestem pewien, jakie były jego motywy. Czasem zachowuje się dziwnie, ale wykonuje swoją pracę dobrze. Tak przynajmniej słyszałem. Specjalny Komitet Nexus nie może kontrolować całego przepływu informacji. Na Thistledown pełno jest teraz plotek. Ja sam widuję go bardzo rzadko, informacje dostałem od jego ducha.

- Dziękujemy za nie - powiedział Lanier.

- To była przyjemność. Moi rodzice często was wspominali. Uważają was za bardzo szlachetnych Ziemiaków. Chciałem także powiedzieć... - Urwał nagle. - Muszę już wracać. Trzeba rozładować dostawę. Panuje przekonanie, że kiedy Droga zostanie otwarta, Hexamon będzie miał środki, aby zakończyć pracę na Ziemi. Oczekuję tego niecierpliwie i chcę się zgłosić do pracy w każdym projekcie, który będziecie realizować. To będzie dla mnie zaszczyt, a moi rodzice będą z tego dumni.

Lanier pokręcił głową bez przekonania. - To się nigdy nie skończy. Na pewno nie tak, jak chciałby tego Hexamon.

- Ostrzeżenie Mirskiego? - zapytał Ram Olmy.

- Być może. Nadużycie zaufania. Hexamon będzie musiał wiele naprawić.

Ram Olmy westchnął. - Wszyscy znamy jego opowieść. Nikt nie wie, co z tym zrobić. Specjalny

Komitet Nexus uważa to za oszustwo.

Lanier zaczerwienił się. - Musi pan mieć umysł ojca i matki, skoro zmieszali swoje osobowości. Co pan myśli o tym?

- Garry, jego pochłonęła przygoda - powiedziała Karen. Najwidoczniej młodzieniec wzbudził jej sympatię. - Nie dręcz go.

- Mirski to nie oszustwo - kontynuował Lanier. - Był tutaj i udało mu się przekonać Inżyniera, pańskiego ojca i matkę. Ja też jestem pewien, że to prawda. Także jego ostrzeżenia należy potraktować poważnie.

- Gdzie on może teraz być?

- Nie wiem.

- Chciałbym go spotkać, jeśli wróci.

- Otóż właśnie - jeśli wróci. A jeśli coś znacznie potężniejszego niż on zainteresuje się poczynaniami Hexamonu? - Lanier podniósł się z wysiłkiem, próbując ukryć, jak bardzo rozmowa go poruszyła. - Dziękujemy za wizytę. Proszę powtórzyć wszystkim, których to zainteresuje, że czujemy się dobrze. Ja wracam do zdrowia. Nie zmieniliśmy poglądów, a nawet staliśmy się bardziej bezkompromisowi. Proszę to przekazać swoim przełożonym w naszym imieniu.

- Dobrze, jeśli nadarzy się okazja. - Podziękował Karen za gościnę, uściśnął rękę Lanierowi i ukłonił się. - Do widzenia.

- Niech Gwiazda, Los i Pneuma będą z nami wszystkimi - powiedział Lanier.

Odprawdzili młodzieńca do frontowych drzwi i dalej do ogródka, gdzie ich duchy kończyły rozładowywanie przywiezionych towarów. Ram Olmy wsiadł do pojazdu i błyskawicznie uniósł się w powietrze. Poszybował na zachód za odchodzącym słońcem.

- Wygląda na dobrego człowieka - powiedział Lanier. - A jednak to jeden z nich. Duszą i ciałem.

- Bardziej podobny do ojca niż do matki.

Lanier ucałował Karen w czoło. Zmierzch stopniowo przechodził w noc. Spojrzał w górę i wzdrygnął się. - Ciekawe, jakich czarów dokona dziś w nocy stary mag?

- Przyniosę koce - zaproponowała Karen. - I grzejnik.

Lanier został na chwilę sam w ogródku. Nad nim pojawiały się kolejne gwiazdy, a on nie wiedział, czy lepiej jest żyć czy umrzeć. Może życie było czymś przerażającym? Na jego ramionach pojawiła się gęsia skórka. "To jest realne", pomyślał. "Już nie śpię." Wkrótce Korzeniowski, a z nim także Patricia Vasquez będą bawić się z duchami całego wszechświata. Albo wielu wszechświatów. Wróciła Karen i zaczęła przygotowywać miejsce na trawie.

- Nie chcę, aby to mnie ominęło. To wprawdzie dranie, ale nie brak im inteligencji. Lanier przytaknął zaciskając dłonie.

- Kocham cię - wyznał i łzy napłynęły mu do oczu.

Karen oparła mu głowę na ramieniu.

Wcześniej rano następnego dnia Lanier zapisał w notatniku: "Zobaczyliśmy świecący punkt. To był Thistledown. Był nisko nad horyzontem na zachodzie i świecił łagodnie. Noc była ciepła, więc moje stare kości nie dawały o sobie znać. Mój umysł jest wyjątkowo jasny, jaśniejszy niż kiedykolwiek. Karen leżała koło mnie. Niewielu ludzi, poza nami, spodziewało się niezwykłych zjawisk tej nocy. Ale nawet my nie wiedzieliśmy, co się naprawdę wydarzy.

Zawdzięczamy im tak wiele - tym nieustraszoną aniołom, naszym odległym dzieciom. Miałem ściśnięte gardło, gdy Kamień - Thistledown - zmienił swoje położenie o kilka stopni. Bałem się o nich. Co się stanie, jeśli popełnią błąd i zniszczą siebie? A jeśli bogowie Mirskiego z kresów czasu

postanowili interweniować? Co wówczas stanie się z nami?

Promienie światła zaczęły się rozchodzić promieniście od Kamienia i wkrótce pokryły trzy czwarte nieba, dosięgając punktów odległych o tysiące kilometrów od Ziemi, które rozbłysły kolorami tęczy. Nie wiem, czym były te punkty. Światło lasera odbija się tylko od gwiazdnego materialnego kurzu, a nie ma go aż tyle w pobliżu nas. Siedzieliśmy jak barbarzyńcy wpatrzeni w cuda techniki. Pokaz światel skończył się nagle i na niebie pozostały tylko gwiazdy i Kamień, który świecił jaśniej i wyżej, niż przedtem. Myślałem, że Korzeniowski zrobił próbę wielkiej rewii i to już wszystko, co dziś zobaczymy.

Po chwili z Kamienia rozwijać się zaczęła wspaniała fioletowoblękitna kurtyna, która po kilku sekundach wypełniła niebo od horyzontu do horyzontu. Na niej uformowały się czerwone plamy. Musieliśmy przyzwyczaić oczy do jej blasku, by dostrzec, że w każdej czerwonej plamie mieści się obraz półksiężyca. Sierpy były zwrócone w różnych kierunkach.

Kurtyna popękała i rozpadła się na strzępy, jak zgniła szmata, którą potargał prąd górskiego potoku. Na niebo wypełzły leniwe zielone ramiona, jakby macki ogromnej meduzy, które drżały i przeszukiwały przestrzeni. Były tak pełne organicznej brzydoty, że zapragnąłem odwrócić się i odejść. Byłem świadkiem nienaturalnego porodu, który nużał się we krwi i tajemnicy. Przestrzeń nie była przyzwyczajona do takich wysiłków; czuła się nieswojo.

Potem wszystkie kolory ściemniały, a na niebo znów powróciły gwiazdy - ostre i wyraźne na tle mroku. Nie widzieliśmy, co działo się dalej.”

Thistledown

Ukryty w kapsule obserwacyjnej Korzeniowski przyglądał się maszynom szóstej komory, a jego palce bez wytchnienia wydawały komendy małej kostce z niklowanego żelaza. Obok unosił się prezydent. Miał na sobie odświętną szatę, w której wyglądał jak chiński mandaryn. Przybył prosto ze specjalnej sesji Nexus, aby uczestniczyć w drugiej i trzeciej serii testów. Teraz obserwował, jak zachowuje się maszyna szóstej komory.

Nad trzecim obszarem unosiła się strużka dymu. Samoloty już krążyły nad uszkodzonym miejscem.

- Czy wie pan, co to jest? - dopytywał się Farren Siliom.

- Pożar w wewnętrznym kanale szóstej komory, gdyż każdy odrzut czasoprzestrzenny mógł wysadzić znaczne fragmenty urządzeń w dole komory. - To nie jest poważny problem.

- Czy wyniki testów są nadal pozytywne?

- Jak najbardziej - przyznał Korzeniowski.

- Ile potrzeba czasu na podłączenie Drogi?

- Dziewięć dni. - Korzeniowski pozwolił sobie na chwilę odpoczynku. - Urządzenia potrzebują czasu, aby odzyskać równowagę. Zakrzywione wirtualne wszechświaty muszą zaniknąć. Potem będzie można podłączyć Drogę.

Prezydent wyświetlił pikt symbolizujący pozbawioną entuzjazmu akceptację. - Ani ja, ani premier nie jesteśmy z tego powodu szczęśliwi. Wszyscy jesteśmy zmuszeni robić rzeczy, których wolelibyśmy uniknąć, prawda?

Korzeniowski spojrzał na niego mrużąc kocie oczy. "Wszystko przebiega w drakoński sposób. To twoja zemsta na Hexamonie", pomyślał. - Przynajmniej wrócimy do domu - odpowiedział krótko. - Wrócimy do świata, który być może nieroztropnie opuściliśmy.

Farren Siliom nie odpowiedział na tę samokrytykę. Korzeniowski był jednym z inspiratorów pierwszej podróży Hexamonu w czasie.

Sieć stała się zbyt splątana, by dało się z niej wyciągnąć pojedyncze włókna.

Thistledown

“Kim jest Paweł Mirski?”

Olmy przerwał ćwiczenia gimnastyczne, które wykonywał na podłodze swojego mieszkania i bez trudu podskoczył do drugiego poziomu barier. To pytanie ciągle do niego wracało, choć nie wiadomo kto je zadawał. Nie pochodziło od reprezentanta, nie było też przesłane przez żadne łącza. Nie było też echem, ani przypadkowym odbiciem pamięci.

Przez kilka minut stał wyprostowany pośrodku podłogi i zastanawiał się, kto tak bardzo interesuje się Mirskim i niepokoi go swoim pytaniem. Sprawdził wszystkie połączenia ze swoimi reprezentantami. Pytanie nie powtórzyło się, ale nie było to konieczne. Ktoś skorzystał z informacji w jego naturalnej pamięci.

A więc bariery zostały złamane, choć wydawały się nietknięte. Nie było żadnych śladów zniszczenia.

Pokój był wystarczająco ponury, aby nadawać się na grób. Przez chwilę Olmy rozważał możliwość zniszczenia swojego serca i implantów, ale zdał sobie sprawę, że to niemożliwe. Połączenia podtrzymujące wolę zostały przerwane. Mógł umrzeć tylko wówczas, gdyby uległy uszkodzeniu ukryte czujniki wewnątrz implantów. Gdzie podział się reprezentant? Czy wszystko jest stracone, czy rozszyfrowano jego tajemne zabezpieczenia? “Czy Paweł Mirski jest człowiekiem, tak jak ty, czy jest komendantem z innego świata?”

Olmy zablokował swoje myśli, mając wbrew wszelkim oznakom nadzieję, że jeszcze nie wszystko stracone. Nie miał pojęcia, co się stało, i jak wielkie było zniszczenie barier. “Znajduję mnóstwo ukrytych informacji, które uzupełniają brakujące kolory i formę”, kontynuował głos. Był bardzo podobny do własnego, wewnętrznego głosu. Świadczyło to o tym, że jego podrzędne osobowości - w terminologii psychologów Hexamonu: “funkcjonalni wykonawcy” - zostały przejęte.

Olmy czuł się jak kapitan statku, którego załoga została nagle, i zupełnie nieoczekiwanie, opanowana przez demony. Mostek kapitański był jeszcze wolny, ale pod pokładem wszystko stało już na głowie. “Nie jesteś ani komendantem, ani wykonawcą obowiązków. Czy jesteś nadzorem komendantów w tymczasowej formie fizycznej? Nie. Uważamy, że jesteś zwykłym wykonawcą, obdarzonym wyjątkowymi przywilejami. Nie. To jeszcze bardziej zadziwiające. Sam przyznałeś sobie te przywileje.”

Olmy zdał sobie sprawę, że popełnił kardynalne błędy. Wszystkie środki ostrożności zostały pokonane przez jarta. Nie docenił przeciwnika. “Ten Paweł Mirski. Nie znaleźliśmy nic podobnego do niego w naszej pamięci. Ani w żadnej innej pamięci, do której kiedykolwiek mieliśmy dostęp. Paweł Mirski jest jedyny i niepowtarzalny. Jaką wiadomość przekazał?”

Olmy wyobraził sobie, że dając jartowi dostęp do historii, która nie przedstawiała teraz większej wartości, odzyska na chwilę kontrolę nad sobą i będzie mógł się zabić. Przygotował i udostępnił streszczenie opowieści Mirskiego.

Jart nadal w pełni kontrolował sytuację. Olmy znajdował się w coraz głębszej rozpacz, ale w miarę, jak rosło jego przerażenie, nasilało się też zainteresowanie Mirskim. “Mirski nie należy do twojej rasy. Nie jest już człowiekiem, choć kiedyś nim był. Wrócił z wiadomością, ale nie wiesz, jak to się stało. Myśmy też go oczekiwali, ale to wam się pojawił. Być może dotrze także do nas.

Mirski jest wykonawcą, kurierem przysłanym przez komendanta następcę.”

Olmy spróbował zapanować nad paniką i odprężyć się. Wszystko wydarzyło się tak nagle i bez

żadnego ostrzeżenia, że musiało upłynąć trochę czasu, zanim pozbiierał myśli. Role się odwróciły. Teraz on był więźniem, a jart dyktował warunki. Jego osobowość była obezwładniona i zdekomponowana. Pozostawiono mu do dyspozycji tylko mały fragment umysłu - większość naturalnych wspomnień także została zablokowana przez jarta - i nie mógł jasno zrozumieć ostatniego zdania, jakie odebrał.

Dla jarta obecność Mirskiego miała duże znaczenie. "Twoje wysiłki są pouczające. Mogę wykonać szybciej każde przeszukiwanie pamięci, które podejmujesz." - Uznaję twoją kontrolę - powiedział Olmy. "Dobrze. Boisz się, co zrobię z twoim gatunkiem. Jego zniszczenie było moim podstawowym celem, ale teraz sytuacja się zmieniła. Pojawienie się kuriera od komendanta następcy jest o wiele ważniejsze, niż walka między naszymi cywilizacjami."

- Jak pokonałeś moje zabezpieczenia? "Przedwczesna ciekawość. Czy nie jesteś zafascynowany przybyciem kuriera Mirskiego?"

Olmy zdusił chęć krzyku. - Tak. Zafascynowany i zdziwiony. Ale jak pokonałeś bariery? "Nie rozumiesz do końca niektórych algorytmów. To, być może, defekt w rozwoju twojego gatunku. Panowałem nad sytuacją od dłuższego czasu..."

- Prowadziłeś ze mną grę? "Czy »amator«, który poniósł klęskę, zasługuje na większą uwagę? Nie osiągnąłeś poziomu, który szanujemy. Mimo to odwzajemnię szacunek, którym mnie obdarzyłeś."

Gdyby Olmy miał jasną świadomość sądziłby, że nigdy w swoim życiu nie upadł niżej. W obecnym stanie odczuwał jedynie odległą i trudną do zdefiniowania tajemnicę, jakby dusza wyzuta z ciała w jakimś przyszłym życiu unosiła się bezwolna i pozbawiona energii. "Wkrótce można będzie przekazać tę informację do nadzoru komendantów. Jeśli będziesz nam pomagał, możemy pozwolić ci na zintegrowanie fragmentów osobowości. Będziesz świadkiem tego zachwycającego procesu."

- Nie będę współpracował, jeśli będziesz się starał zaszkodzić mojemu narodowi. "Nie będziemy szkodzić ludziom, którzy ugościli kuriera. Zostałeś uznany i zgodnie z naszym prawem unikniesz zmagazynowania i zapakowania. Jesteście teraz wykonawcami pracującymi dla komendanta następcy."

Olmy starał się to przemyśleć. Ryzyko było zbyt wielkie, by mógł zaufać jartowi. Przecież przyznał, że pierwotnie zamierzał zniszczyć ludzi. - Co chcesz zrobić? "Musimy wrócić do Drogi. Nadzór komendantów powinien być poinformowany."

Olmy wiedział, że nie ma wyboru. Uległ przeważającej inteligencji przeciwnika. Mógł tylko zastanawiać się, kiedy jartowie pokonają całą ludzką cywilizację. A może tylko ciągle nie doceniał siebie? Byłby to wówczas jedynie drobny defekt jego charakteru.

Wydajna Gaja

Rita czuła się jak zwierzę w klatce. Nie chciała znać prawdy, była jednak coraz bliżej Rodos i wszystko miało wkrótce wyjść na jaw. Była zamknięta w pułapce bąbla wraz ze skurczonym zdeformowanym potworem, niesamowicie pobitą lalką, przypominającą człowieka. Czuła, jak stanął za nią, ale nie miała odwagi się odwrócić. Zaciskając dłonie na poręczy zamknęła oczy, a potem znów je otworzyła. Powiedziała do siebie: "Sama tego chciałaś. Zobaczyć swoją wyspę."

Jej siły były już na wyczerpaniu. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale zaraz musiała je zamknąć, by stłumić krzyk. Wychyliła się całym ciałem za barierkę, a potem odrzuciła głowę do tyłu, prostując palce. Nie czuła jeszcze w pełni narastającej w niej dzikiej rozpacz.

Widziała swoją ojczyznę, port handlowy na Rodos i długi pas ziemi, na końcu którego wznosiła się forteca Kambyzes, dalej był dom Patrikii i port wojenny. Miasto Rodos zniknęło, pozostało po nim tylko puste miejsce, pełne brudu i szarości. "Gdzie się podziało?" westchnęła.

Wyspa była najeżona kolumnami zakończonymi złotymi czapami. Od morza aż po góry ciągnęły się kolumny, jakby nagle ziścił się sen Kroisosa o złotych grzybach. - Dlaczego? - krzyknęła. - Co to jest?

Typhon odpowiedział stłumionym głosem. Nie zrozumiała go i nie miała ochoty na niego spoglądać.

Słońce zachodziło za nimi, gdy bąbel zbliżył się do domu Patrikii, który wciąż był otoczony płotem z metalowych węży, choć było ich mniej niż dawniej.

- Twoja świątynia też jest blisko. - Rita usłyszała głos zza pleców i poczuła obrzydliwe mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Były rzeczy gorsze niż śmierć, a jedną z nich była obecność tego potwora. Otarła twarz dłonią, odwróciła się i stanęła twarzą w twarz ze strażnikiem. - dlaczego te miejsca są nadal tutaj?

- Bo mają dla ciebie znaczenie - wyjaśnił Typhon. Właśnie ustawiał czubek swojej głowy na miejscu. Rita zdusiła w sobie ponowne pragnienie, by zacząć go bić. Postanowiła, że przynajmniej jedną rzecz musi uratować - swoją godność - i powstrzymała się.

- Cały ten świat ma dla mnie znaczenie. Przywróćcie go na swoje miejsce.

Typhon wydał z siebie dźwięk krztuszącego się małego psa i jego głos stał się wyraźny. - To niemożliwe. Prawie wyczerpaliśmy limit energii. Twój świat ma też swoje przeznaczenie. Stanie się swoim własnym magazynem. Jeśli ktoś będzie chciał studiować Gaię, po prostu przybędzie tutaj. Urządzimy piękny skansen. Tymczasem szkolimy tutaj młodych pracowników. Mogłabyś to nazwać świętym miejscem.

- Nikt nie przeżył?

- Prawie nikt nie umarł - oburzył się Typhon prostując ramię.

Rita przypomniała sobie, jak jego ciało bez oporu ustępowało pod ciosami i odwróciła się z obrzydzeniem, wpychając pięści do ust.

- Gdyby nie my, większość z nich by umarła. Teraz są zmagazynowani. To nie jest przykre. Byłem w takim stanie wielokrotnie. W przeciwieństwie do śmierci, zmagazynowanie nie jest ostateczne.

Potrząsnęła głową i przerwała jego opowieść, która i tak wydawała się zbiorem absurdów. - Gdzie są moi towarzysze? Powiedziałeś, że też tu będą.

- Są tutaj. - Babel unosił się ponad szarym i zwiędłym ogrodem Patrikii. Z drzew pomarańczowych zostały tylko zakurzone szkielety. Gdy podeszli do domu, wyłoniły się zza niego trzy inne bąble. Znajdowali się w nich Demetrios, Lugotorix i Oresias, każdy w innym. Podobnie jak Rita nie byli sami. Oresiasowi towarzyszyła stara kobieta, Lugotorixowi rudowłosego starszy mężczyzna, a Demetriosowi szczupły młodzieniec w stroju studenta. Wszyscy byli zapewne równie sztuczni, jak Typhon.

Lugotorix stał ze skrzyżowanymi ramionami i zamkniętymi oczyma. "Nie martwi go to, czego nie widzi."

Typhon nie odzywał się. Bąble krążyły wokół siebie po podwórzu. Lugotorix musiał wyczuć obecność Rity, bo otworzył oczy i jego twarz rozpromieniła się radością. Nie poddał się do końca. Demetrios skinął tylko głową, unikając jej spojrzenia. Oresias nie mógł nawet unieść głowy.

Klęska. Całkowita i ostateczna. Nie ma drogi powrotnej.

Co zrobiłaby Patrikia? Gdyby była tutaj, po utracie domu i obu światów... Rita nie miała wątpliwości, że stara Sophie po prostu położyłaby się i umarła. Ta sytuacja wykraczała poza ludzkie możliwości przeżywania.

Nie ma nadziei. - Cały świat jest martwy - powiedziała.

- Nie - poprawił ją Typhon.

- Zamknij się - krzyknęła. - Jest martwy.

Strażnik nie odważył się poprawić ją po raz drugi.

Próbowała rozmawiać z przyjaciółmi, ale nie słyszeli jej. Nagle odwróciła do ku Typhonowi. Na jego zmiażdżonej twarzy dostrzegła błysk triumfu. Trwał krótko, ale nie mogła się mylić. Spotykając się z ludźmi, nauczył się wyrażać radość, jak oni.

Była teraz pewna, że przywieziono ją tutaj przynajmniej częściowo po to, by uprzytomnić jej rozmiar klęski. Zwycięzcy urządzili defiladę jeńców.

Nie odwróciła się. Kolejne pobicie strażnika nie dałoby jej satysfakcji. Było oczywiste, że nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Opór także nie sprawiał jej radości. Była zbyt słaba, aby móc go pokonać, czy choćby wykorzystać jakąś jego słabość. A jednak musiała podjąć jakieś działania, odszukać nitkę, dzięki której mogłaby zacząć wychodzić z tego koszmaru. Inaczej, rzeczywiście, pozostało jej tylko położyć się i umrzeć.

Ale nie pozwolą jej umrzeć. Zostanie zmagazynowana. Pewnego dnia ludzie, którzy zbudowali Droge, zaczną walczyć z jartami - będą musieli to zrobić - i być może pokonają ich, odnajdą ją i jej towarzyszy, schowanych w pudełkach, zapamiętanych na dziwnych tabliczkach, i przywrócą do życia. Czy może mieć nadzieję? Nie wierzyła w to zbyt mocno.

Ale Patrikia chwyciłaby się każdej nitki.

Rita wybrała tę i obserwowała spokojne Typhona. Wiedziała, że przegrała i godziła się na to. - Wracajmy - oświadczyła nagle.

- Czy to nie ma dla ciebie znaczenia?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie chcesz odwiedzić świątyni?

- Nie.

- Czy chcesz umrzeć? - zapytał Typhon z zaciekawieniem, ale uprzejmie.

- Czy to propozycja?

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Więc wracajmy.

- Dobrze.

Wnętrze bąbla wypełniło się dymem jak żelatyną. Rita poczuła się nagle lekka. “Zmagazynuj mnie”, pomyślała. “Schowaj mnie.

Mój czas kiedyś nadejdzie.”

Pragnęła pogрузić się w niebycie, w zapomnieniu, byle tylko nikt jej tam nie niepokoił.

Ziemia, Thistledown

Lanier zaczął chodzić znów po górach. Wspinał się po zboczach, patrzył z góry na dolinę pokrytą jesienną trawą, na której pały się stada owiec. Mimo wszystko uważał się za szczęśliwego człowieka. Nie mógł ocalić całej ludzkości i obronić jej przed szaleństwem. Nie powstrzyma biegu historii.

Przestał czuć się odpowiedzialny za ludzkość i przyniosło mu to ulgę. Spędził większość życia pomagając innym. Teraz powinien uspokoić się i przygotować do następnego kroku.

Nawet implant, który mu wszczepiono, i nagłe uratowanie przed śmiercią nie zmieniły jego poglądów - nie wybierze nieśmiertelności. Kiedy nadejdzie czas - za dziesięć, czy pięćdziesiąt lat - będzie przygotowany.

Nie uważał swojej osobowości za szczególnie wartościową, w każdym razie nie na tyle, by chciał się narzucać światu przez następne stulecia. Nie była to ani pokora, ani zmęczenie; tak go, po prostu, wychowano.

Rozumiał, że Karen myśli inaczej. Nawet mimo tej różnicy, byli znacznie bliżej siebie niż dawniej. To mu na razie wystarczało.

Spacerowali pod czystym rozgwieżdżonym niebem. Thistledown był niewidoczny. - Chyba mnie nie obchodzi, co się dzieje tam w górze... albo w dole - powiedziała Karen, celując palcem w ziemię, tam, gdzie po drugiej stronie mógł znajdować się asteroid.

Lanier skinął głową. Poszli dalej oświetlając szlak latarnią, która wycinała z mroku krąg o promieniu kilku metrów. - Tu się spotkaliśmy - powiedział i zabrzmiało to głupio i niezręcznie, jak wspomnienie młodzieńca, a nie dojrzałego mężczyzny. Karen roześmiała się.

- Spędziliśmy ze sobą wiele udanych lat, Garry - powiedziała. I dodała, we właściwy dla siebie sposób: - Ale teraz ważniejsza jest przyszłość.

Nie odpowiedział. W pewnym sensie zmuszono go, by żył dalej. On sam nie chciał nadmiernie przedłużać swojej przyszłości... A jednak nie chciał umrzeć. Chciał tylko równości i sprawiedliwości, a w obecnej chwili nieśmiertelność nie była sprawiedliwym rozwiązaniem. Chciał umrzeć z tym przekonaniem. - Teraz jesteśmy tylko my - powiedział.

Ścisnęła mocniej jego dłoń. - Dobrze. Jest tylko teraz.

Lanier wiedział, że żona nie zostanie przy nim na zawsze. Kiedy będą mogli opuścić swoje mieszkanie, co może nastąpić w ciągu kilku miesięcy, znów zaczną działać i oddalą się od siebie, zamieszkają w różnych miejscach. Nie byli dobrze dobranym małżeństwem i trudno było tego nie dostrzec. On wybrał starzenie się, ona nie.

Z drugiej strony cieszył się, że zobaczy wielu ludzi, za którymi tęskni.

Tyle pytań pozostało bez odpowiedzi. "Co stało się z Patriotą?"

Wróciła do domu, zgubiła się w innym wszechświecie, czy zabłądziła i umarła w podróży?

Thistledown obiegał Ziemię w ciągu pięciu godzin i pięćdziesięciu minut. Taka orbita ustaliła się od czasu Odłączenia. W niektórych krajach, nawet mimo wielu lat edukacji otaczano go czią należną bogom. Trudno było zwalczyć te pierwotne odruchy ludzkiej psychiki.

Wiadomość, że obrońcy Ziemi mogą wkrótce odlecieć - tak brzmiała najczęściej powtarzana wersja - wywołała panikę w jednych krajach, a przyniosła ulgę innym. Wielbiciele Thistledown i jego mieszkańców sądzili, że kosmici odlecą, ponieważ czują obrzydzenie do Ziemi i jej grzechów.

W pewnym sensie mieli rację. Jednak oskarżając Ziemię, że nie potrafi wyzwolić się od swej przeszłości, należało pamiętać, że Hexamon popełnia dokładnie ten sam grzech.

Oczekując rychłego otwarcia Drogi i mając w pamięci fajerwerk Korzeniowskiego, Specjalny Komitet Nexus przystąpił do naprawiania głównych błędów popełnionych w kontaktach z Ziemią.

Nie zostało już wiele czasu, nikt też nie zamierzał wkładać w to zbyt dużo wysiłku. Hexamon był pełen entuzjazmu, nie spodziewano się wybuchu hysterii ani paniki w ciałach orbitalnych. Przybysze z kosmosu byli dumni ze swej inteligencji i przedsiębiorczości. Z dumną pracowali nad problemami, których inni nie potrafiliby rozwiązać. Wierzyli, że otwarcie Drogi przyniesie korzyść także Ziemiąniom, choć być może nie od razu.

Ostrzeżenia Mirskiego zostały niemal całkowicie zlekceważone i zapomniane. Czyż bóg nie zniknął bez śladu? Gdyby był rzeczywiście potężny, zmusiłby Hexamon do posłuszeństwa. Nawet Korzeniowski nie poświęcał temu problemowi wiele uwagi. Miał zbyt wiele pracy, zbyt wiele nacisków wewnętrznych i zewnętrznych, którym musiał się opierać.

Właśnie wynurzył się z tunelu w szóstej komorze, odziany w przydużą czerwoną togę, w której wyglądał jak wyrośnięte dziecko.

Kilka dni temu przywieziono z Axis Thoreau trzy statki kosmiczne i wciśnięto je w tunel średnicowy Thistledown. Ich długie kadłuby wisały w polu trakcyjnym i mijał je za każdym razem, gdy dokonywał inspekcji maszyn w szóstej komorze. Były to uzbrojone jednostki wojenne, które mogły się też przydać przy penetrowaniu Drogi.

Korzeniowski spojrział na szeroką dolinę szóstej komory i poczuł tęsknotę, której nie chciał ani analizować, ani stłumić. Struktura, dzięki której fragmenty jego osobowości zostały połączone, wciąż dawała o sobie znać. Nie protestował, choć wyczuwał, że coś jest z nim nie w porządku. Być może, powinien pójść do generalnego przeglądu. Na razie jednak nie przeszkadzało mu to pracować, a może nawet wzmagało jego inteligencję i zapał.

Życie senne Olmy'ego zmieniło się radykalnie od kiedy wchłonął jarta i stał się jego więźniem.

Jako homorf nie potrzebował snu, by wypoczywać. Porządkowanie doświadczeń i wspomnień następowało podczas świadomej pracy na jawie, wtedy też regenerowała się podświadoma część jego umysłu. Czynności te były wykonywane przez reprezentantów w obrębie implantu. Olmy mógł działać świadomie przez cały czas, a sen powierzał równoległej osobowości, która filtrowała i oczyszczała jego podświadomość.

Proces przebiegał bez zakłóceń przez stulecia.

Sny Olmy'ego były intensywne i tak realne, jak prawdziwe doznania na jawie. Czuł się w nich jak gość odwiedzający inne wszechświaty, w których wciąż zmieniają się prawa przyrody. Ale nie musiał tam bywać, jeśli nie chciał. Sny spełniały swoją funkcję, nawet jeśli osobiście nie brał w nich udziału. Ostatecznie co kilka lat, gdy treści senne były oczyszczone i skompresowane, magazynował je w osobistym implancie lub kasował. Wolał się ich pozbywać. Nie przepadał za swoimi snami i rzadko w nich uczestniczył, chyba że spodziewał się w nich znaleźć rozwiązanie bieżących problemów, z którymi zmagał się na jawie.

Teraz, gdy jart zajął całą wolną przestrzeń w implantach, także w implancie osobistym, Olmy musiał ponownie przyjąć swoją podświadomość. Umieścił ją w naturalnym dla niej miejscu - w pierwotnej osobowości.

Kiedyś mógł albo spać naturalnie, albo filtrować swoje doświadczenia nie zasypiając. Przed inwazją jarta wybierał to drugie. Oczyszczenie umysłu nie było kłopotliwe, a jako człowiek zdyscyplinowany, umiał poradzić sobie z nielicznymi niebezpieczeństwami tego procesu.

Obecnie jart mógł manipulować także procesami w organicznym umyśle Olmy'ego, całą jego świadomością i podświadomością. Często usypiał jego podstawową jaźń bez uprzedzenia i Olmy pograżał się przymusowo w świecie snów.

Gdy jart nie potrzebował kontaktować się z nim i zaprzestawał badań, Olmy musiał przemierzać senne krainy, jak bohater kiepskiego biochronu.

Świat snu wypełniały potwory. Podświadomość i wszystkie zachowania oparte na automatycznych reakcjach były w fatalnym stanie. Świadomość Olmy'ego była spokojna, ale jego podświadomość przeżywała przerażenie, panikę i bezradność.

Zmuszony do bezpośredniego uczestnictwa w swoich snach, Olmy dostrzegł defekty swojego charakteru. Poczul się jeszcze gorzej po tym odkryciu. Dlaczego nie leczył charakteru talsitem lub przy pomocy innej terapii? Gdyby był w pełni racjonalny, nie zdecydowałby się na tragiczny eksperyment z jartem... W snach bezustannie dopadało go pragnienie samobójstwa. Musiał walczyć z małymi potworkami podobnymi do owadów, które chciały go zjeść.

Czasem walczył o przetrwanie długo i zaciekle, a gdy jart budził go i umieszczał w realnym świecie, był u kresu sił.

Zastanawiał się niekiedy, czy jart dręczy go celowo, aby zemścić się za wszystkie lata spędzone w przymusowym śnie w lochu Thistledown.

Nie miał dowodów, że jartowie umieją być okrutni lub mściwi. Zapewne jart potrzebował całego umysłu, aby przetwarzać informacje lub poruszać się po świecie udając człowieka i, po prostu, pozbywał się niewygodnego współtowarzysza.

Kiedy Olmy nie spał i kontrolował swoje ciało, nie mógł wykonywać żadnego ruchu, który nie był zaaprobowany przez jarta.

Jak dotąd stwór nie wpadł w żadną z algorytmicznych pułapek, które mogłyby zabić ich obu.

Był zadowolony ze swego zwycięstwa. Czul się coraz bardziej bezpiecznie i pozwalał Olmy'emu na samodzielność. Przystawał kierować Olmy'm jak marionetką, zaczynał z nim współpracować, jak jeździec z koniem. Zaczął wyrażać swoje życzenia, zamiast realizować je bez powiadamiania Olmy'ego. "Musimy spotkać się z Korzeniowskim, zanim nastąpi otwarcie Drogi." - Najpierw otworzą połączenie próbne - wyjaśnił Olmy. - Lepiej poczekajmy, aż skończą się testy. Nie powinniśmy się pokazywać publicznie.

Jart zastanowił się chwilę. "Obaj korzystamy z »pożyczonego czasu«, prawda, współwykonawco? Musimy się spieszyć. Ryzyko rozpoznania jest mniejsze, niż ryzyko wpadnięcia w jedną z twoich pułapek. Kiedy Korzeniowski otworzy Drogę, może mieć trudności z jej zamknięciem.

Maszyny szóstej komory zostały zbadane i zatwierdzone, niektóre naprawiono lub wymieniono. Pracowało tu dziesięć tysięcy ludzi, siedemdziesiąt tysięcy duchów i niezliczona ilość robotów. Korzeniowski dowodził nimi wszystkimi od kilku tygodni. Właśnie przysłano wyniki kolejnego ważnego testu.

Ostatnie godziny przed próbnym otwarciem Korzeniowski spędzał w kulistym pomieszczeniu przymocowanym do ściany tunelu średnicowego. Był psychicznie i fizycznie wyczerpany. Nawet stworzenie dziesięciu reprezentantów nie pomogłoby mu dźwigać ciężaru pracy. Zdawał sobie sprawę z całej odpowiedzialności, jaka na nim spoczywa, i choć męczyło go to, dodawało sił i radości do pracy.

Kiedyś otwieranie Drogi było oparte na sprawności psychologicznej. Posługiwano się wówczas obojczykiem. Dlatego wymyślono zawily ceremoniał, który przypominał ludziom o niebezpieczeństwach i miał utrudnić zmęczonym i niesprawnym umysłom popełnienie błędu.

Teraz Korzeniowski, mając bardzo zmęczony umysł, miał posłużyć się maszynami szóstej

komory, a w gruncie rzeczy całym Thistledown, aby dokonać otwarcia ogromnej bramy do Drogi.

Zawinięty w czerwone szaty, odpoczywał w polu snu. Miał zamknięte oczy, a wokół unosiła się mała chmurka talsitu - ostatni oryginalny talsit, jaki zachował się w Hexamonie. Sesja nie potrwa wystarczająco długo, by oczyścić całkowicie myśli, ale uspokoi go nieco. Mgła wypełniła pole senne. Oddychał równo, przepuszczając drobne cząstki przez płuca i skórę, aby oczyściły, poprawiały, wygładzały.

- Ser Korzeniowski.

Otworzył oczy. Przez opary talsitu dostrzegł unoszącego się mężczyznę. Kula, w której przebywał, była zamknięta. Nikt nie mógł wejść nie spostrzeżony przez automatycznych strażników. Korzeniowski obudził się, po raz ostatni odetchnął cudowną substancją talsitu.

To był Olmy. Nie wyglądał dobrze. Był nieuczesany, jego oczy nie funkcjonowały poprawnie, zapewne widział nieostro. Wyglądał jak wybrakowany homorf I był przestraszony. Korzeniowski zaniepokoił się.

- Zaprosiłbym pana do środka. Nie trzeba było wchodzić jak złodziej.

- Nikt nie wie, że tu jestem.

- Dlaczego się pan ukrywa?

Olmy zadrzał. Korzeniowski spostrzegł, że nie miał przy sobie piktora.

- Przez długi czas byliśmy bliskimi współpracownikami, nawet przyjaciółmi.

Korzeniowski przeciągnął się i skrzyżował ramiona. Czuł się bardzo niezręcznie i dziwiło go to. Zawsze czuli się ze sobą swobodnie.

- Zawsze polegał pan na moim zdaniu. Ufał mi pan. I ja panu ufałem.

Inżynierowi ta rozmowa coraz mniej się podobała. Olmy był rozkojarzony, może nawet nie w pełni przytomny. - Tak.

- Mam nietypową prośbę. Hexamon na pewno by tego nie zaaprobował. Nie mogę wyjaśnić, dlaczego... Ale spodziewam się, że otwierając próbne połączenie, będzie pan miał wielkie problemy.

- Mój przyjacielu, spodziewam się problemów.

- Ale nie takich. Prowadziłem badania, zbierałem informacje na temat jartów. Myślę, że odkryłem sposób, by uniknąć tych problemów. Szczególnie, gdy w pełni otworzymy Drogę. Chciałbym prosić o przesłanie informacji do Drogi przy próbnym połączeniu.

- Wiadomość dla jartów?

Olmy skinął głową.

- Jakiego rodzaju wiadomość?

- Nie mogę teraz powiedzieć.

Korzeniowski skrzywił się. - Zaufanie ma swoje granice.

- To jest konieczne. Może nas uratować i oszczędzić nam niepotrzebnej wojny.

- Co dokładnie pan odkrył? Dlaczego to takie ważne?

Olmy potrząsnął głową.

- Nie mogę spełnić tak niezwykłej prośby bez dokładniejszych wyjaśnień.

- Czy kiedykolwiek prosiłem pana o coś?

- Nie.

- To może niewybaczalne, ale... jest mi pan coś winien.

- Bardzo niewybaczalne - zgodził się Korzeniowski. Przez chwilę miał ochotę wezwać straż. Potem zrezygnował, ale stał się jeszcze bardziej czujny.

- Musi pan uwierzyć, że to bardzo ważne i że nie mogę wyjaśnić więcej.

Korzeniowski przyjrzał się człowiekowi, który uratował jego życie i dzięki któremu mógł

zmarłychwstać. - Cieszy się pan w naszym społeczeństwie wyjątkowymi przywilejami. I rzeczywiście, nigdy z nich pan nie korzystał. Ani nie prosił mnie pan o nic. Co to za wiadomość?

Olmy podał mu notatnik. - Jest nagrana tutaj w kodzie jartów.

- Wiadomość bezpośrednio dla jartów? - Korzeniowski nie mógł sobie wyobrazić, że Olmy mógł stać się zdrajcą. Ale jego prośba była szokująca. - Ostrzeżenie?

- Doprowadzi nas do zawarcia pokoju.

- Chce pan bawić się w rozmowy z najgorszym wrogiem, jakiego kiedykolwiek mieliśmy. Czy wie o tym obrona Thistledown?

- Nikt o tym nie wie.

- Mam jedno pytanie. Czy to może zagrozić otwarciu Drogi?

- Uroczyste przysięgi wyszły już z mody. Mimo to, mogę przysiąc, że nie zagrozi to otwarciu.

Dzięki tej wiadomości może zapewnić mu sukces.

Korzeniowski przyjął notatnik, zastanawiając się, czy jest jakiś sposób, aby szybko przetłumaczyć wiadomość. Zapewne się to nie uda. - Prześlę to pod jednym warunkiem. Że wkrótce wyjaśni mi pan, o co tu chodzi. Co naprawdę pan odkrył.

Olmy skinął głową.

- Gdzie będę mógł pana znaleźć?

- Będę obecny przy otwarciu próbnego połączenia - powiedział Olmy. - Farren Siliom zaprosił mnie.

- Neogeszele będą nas wszystkich obserwować. Wolałbym uniknąć zbiegowiska.

- Ciężkie czasy dla nas wszystkich - przyznał Olmy.

Korzeniowski schował notatnik do kieszeni togi. Olmy podał mu rękę i opuścił kuliste pomieszczenie. "Czy on prześle naszą wiadomość?" zapytał jart, gdy opuścili tunel średnicowy.

- Tak. Niech cię diabli wezmą, jeśli wierzycie w diabły.

W głosie jarta brzmiało współczucie. - "Jesteśmy jak bracia, ale nie ufamy sobie."

- Ani trochę - potwierdził Olmy. "Nie mogę cię przekonać, że moja misja jest ważna dla nas wszystkich."

- Dotąd ci się nie udało. "Ludzie nie mają pojęcia, co znajdą, kiedy otworzą Drogę. To może nie być przyjemne."

- Przygotowują się na to. "Wasz upór jest zadziwiający. Nie mogę wyrzucić wam krzywdy. Otrzymaliście wiadomość od komendanta następcy. Twój przyjaciel przekaze to jartom. Nie będziemy już wrogami."

Ziemia

Kiedy nadszedł jego ostatni dzień na Ziemi, Lanier rąbał drewno na podpałkę. Była to bardziej zabawa niż rzeczywista potrzeba, ale praca fizyczna sprawiała mu przyjemność. Układał drewno na koźle, wbijał kliny, unosił z rozmachem siekiere. Czuł się jak dawny gospodarz.

Przyglądał się, jak Karen piecze chleb, a potem, wczesnym popołudniem, kosztował pierwszą kromkę.

- Dziś uwolnię się od moich małych pomocników. - Lanier wskazał na kalendarz. Dziś ostatnie zastawki powinny ulec rozkładowi.

- Powinieneś poprosić lekarzy o kolejne badanie - Karen spojrzała na niego swymi zielonozłotymi oczyma.

- Nie chcą usunąć mi implantu. Zanim tego nie zrobią, będę bojkotował tyranię medyczną Ras Mishineya.

Uśmiechnęła się. Nie chciała wywoływać kolejnej sprzeczki.

- Wspaniały chleb - pochwalił Lanier odkładając buty i przyglądając się swoim muskułom. - Cały świat raduje się od tego zapachu.

- Stary angielski przepis, udoskonalony przez Hunów - powiedziała Karen, wyjmując drugi bochenek z pieca. - Moja matka nazywała go chlebem czterech jedności. - Odłożyła bochenek na stojak. - Idziesz na spacer?

Skinął głową. - Muszę rozprostować kości i uspokoić się po pracy. Pójdiesz ze mną?

- Mam jeszcze cztery bochenki. - Pocałowała go w czoło. Łagodnie pogłaskała po głowie. - Idź. Przygotuję obiad zanim wrócisz.

Wybrał krótki szlak zaraz za domem. Zagłębił się w starym iglastym lesie, który przetrwał masowe wyręby w dwudziestym wieku. Wielkie paprocie i baldachimy z gałęzi skutecznie powstrzymywały słońce, więc cały las tonął w półmroku. Ptaki śpiewały w górze i szczebiotały w krzewach.

Po dwu kilometrach wędrówki poczuł, że prawa strona ciała wyraźnie osłabła. Przeszedł jeszcze kawałek i ogarnęły go mdłości. Usiadł spocony, nie mogąc opanować drżenia nóg. Po chwili leżał na wilgotnym mchu.

Prawa strona. Lewa połowa mózgu. Kolejny wylew w lewej półkuli.

- Przecież miałem moich małych pomocników. Powiniennem czuć się lepiej. To się nie mogło zdarzyć.

Cień padł na jego twarz. Nie wstając wykręcił głowę i ujrzał Pawła Mirskiego stojącego dwa metry obok niego.

- Garry, czy możesz pójść ze mną?

- Nie powinienem być chory. Moje zastawki...

- Być może nie działały dobrze.

Pociemniało mu w oczach. - Być może. Lekarze powinni je lepiej zamontować.

- Nic, co ludzkie, nie jest doskonałe. - Mirski mówił bardzo spokojnie. Nie zrobił nic, by mu pomóc. Lanier zostawił radio w domu.

Nie czuł teraz bólu. Był tylko czarny tunel i drzwi zatraskujące pamięć. - To już teraz, prawda? Dlatego tu jesteś?

- Będziesz zmagazynowany w implancie. Nie chcesz tego.

- Nie. Ale to nie powinno być teraz.

Mirski uklęknął przy nim i patrząc mu w oczy powiedział: - To jest teraz. Umierasz. Możesz umrzeć jak oni i wtedy dostaniesz nowe ciało. Albo jak ludzie dawniej. W takim razie chcę, abyś poszedł ze mną.

- Nie rozumiem... - Mówił z trudnością. Nie panował nad językiem. "To straszne. Było straszne wtedy i jest straszne teraz." - Karen.

Mirski ze smutkiem pokręcił głową. - Chodź ze mną. Czeką cię przygoda. Niesamowite prawdy. Musisz zdecydować szybko. "To nie w porządku." - Wezwij pomoc. Proszę.

- Nie mogę. Nie jestem naprawdę tutaj. Nie fizycznie tym razem.

- Proszę.

- Zdecyduj.

Lanier zamknął oczy, aby uniknąć tunelu, ale nie udało mu się. Przystawał wiedzieć, kim jest. - Dobrze - powiedział głosem tak cichym, że był to ledwie szept.

Ciepło przeniknęło do jego mózgu i poczuł nagłe szarpnięcie. Coś ostrego rozcinało jego myśli i przez chwilę nie było jaźni. Potem wszystko wróciło na swoje miejsce, ułożyło się ponownie w całość, ale na innym podkładzie. Jakby farbę odlepiono od starego płótna i przeniesiono na nowe. Nowe płótno nie było materialne, nie dawało oparcia, nie było ciałem ani mózgiem. Pozostał tylko nieuchwytny związek z Mirskim, który nie był już człowiekiem, ani nawet nie przypominał Mirskiego. Lanier nie widział już światła, ani nie słyszał słów.

- Zawsze się zastanawiałem, kim jesteś - powiedział nie poruszając ustami. - Nie jesteś jak ludzie.

- Już nie - potwierdził Mirski. - Zostawię coś dla Karen, aby nie straciła wszystkiego.

Ciało Laniera upadło na paproć i złamany pień drzewa. Oczy zostały półotwarte. Prawą rękę chwyciły konwulsje, ale po chwili znieruchomiła. Serce biło jeszcze przez kilka minut, a potem stanęło, a wraz z nim ustało oddychanie i klatka piersiowa przestała się poruszać.

Implant Laniera nie był pusty, ale Garry nie żył.

Thistledown

Siódma komora, zwrócona ku gwiazdom i ustawiona tyłem do słońca, Ziemi i księżycy, była pogrążona w mroku. Usunięto z niej rumowiska skalne, wygładzono krawędzie. Pozostawiono w niej pustkę i ciemność. Tylko cztery zestawy świateł, umieszczonych na zewnętrznym obwodzie, rozpraszały mrok.

W kapsule w tunelu średnicowym zajęli miejsce wysocy urzędnicy Hexamonu i zaproszeni goście. Byli tam oficjalni historycy Hexamonu, których Korzeniowski nie znał osobiście, naukowcy i inżynierowie, którzy przejmą obowiązki obsługi Drogi, gdy zostanie ona otwarta, prezydent i premier, dyrektor Thistledown i Judith Hoffman. Był także Olmy, który wyglądał teraz znacznie lepiej, niż podczas ostatniej rozmowy.

Wszyscy “Ceremonia tak wielka, jak gdyby to było całkowite otwarcie”, pomyślał Korzeniowski, przesuwając nieco środek kopuły. Cały czas posługiwał się urządzeniami, które funkcjonowały jak dawny obojczyk, choć były dużo większe. Cała dostępna maszyna stała się ogromnym obojczykiem. Kilka stuleci wcześniej dokonał już takiej operacji. Otworzył Drogę po jej skonstruowaniu i wysłał Hexamon w podróż, której końca nikt wtedy nie umiał przewidzieć.

Nie postanowił jeszcze, czy przekaze wiadomość, którą przyniósł mu Olmy. Przyjaźń i osobiste zobowiązania nie mogły być ważniejsze niż dobro całego kraju. Problemy pojedynczych ludzi nie wydawały się tak ważne, jeśli wziąć pod uwagę ogrom ciężającej na nim odpowiedzialności.

To prawda, że Olmy nigdy nie zrobił niczego, co mogłoby zaszkodzić Hexamonowi. Nie było osoby bardziej bohaterskiej i pełnej poświęcenia niż on.

Korzeniowski umocował pole trakcyjne, które go podtrzymywało i wolno zaczął poruszać kontrolnym obojczykiem. Węzły wokół czapy siódmej komory były do niego podłączone. Mógł też dysponować całą mocą maszyn w szóstej komorze. Miał za sobą kilka miesięcy prób i przygotowań. Trzymał urządzenie w dłoniach sprawnych i pewnych, a jego umysł pracował dziś wyjątkowo jasno i precyzyjnie.

Nadszedł odpowiedni czas. Goście ucichli i wyłączyli piktory.

Korzeniowski zamknął oczy i wsłuchał się w komunikaty obojczyka. Ponadprzestrzenna sonda, rodzaj matematycznych abstrakcji, którym tymczasowo nadano realny kształt, poruszała się do wewnątrz i na zewnątrz oraz w innych kierunkach, których ludzki umysł nie może objąć bez pomocy bardziej doskonałych przyrządów.

Przemierzała skupiska powiązanych półrzeczywistości, otaczających ludzki wszechświat i wieloformne twory wielkiego wszechświata w piątym wymiarze, poszukując pośród kłębowiska natury elementów sztucznych. Wyniki poszukiwań były natychmiast przekazywane do obojczyka Korzeniowskiego. Inżynier widział splątaną tkankę wszechświatów pozrastanych ze sobą w najdziwniejszych miejscach, które zderzały się i uciekały przed sobą we wszystkich możliwych kierunkach. Odległości w piątym wymiarze nieustannie się powiększały.

Czuł dziwny rodzaj ekstazy. Część jego osobowości, którą otrzymał od Patricii Vasquez, była jak spokojna powierzchnia głębokiego oceanu, na który pada deszcz. Nie reagowała, po prostu spokojnie przyjmowała doznania i pozwalała mu wykonywać samodzielnie skomplikowaną pracę.

Na chwilę zmysły połączyły się z obojczykiem. Nagle zrozumiał z niezwykłą jasnością transcendentną jedność pięciowymiarowego świata. Był w takim stanie zaledwie kilka razy w życiu,

dawno temu. Wszystkie teoretyczne rozważania były dziecinną igraszką w porównaniu z jasną wiedzą, bezpośrednim widzeniem, jak zbudowany jest świat.

Wykroczywszy poza pojęcia i doznania dostrzegł anomalie. Nieskończenie długą i poskręcaną, bardzo podobną do długiego robaka w wielu punktach, które powodowały geometryczne zamieszanie zwane stogiem. Linie dziwnie poskręcane w obrębie własnego wszechświata, rozciągające się jak płomień w kierunku pustej i nieokreślonej pustki - cień ostatecznego wszechświata, który powstanie i poniesie klęskę...

Droga.

Wewnątrz ociążałych, płynnych, choć nieruchomych zwojów Korzeniowski szukał zalepionego końca. Poszukiwanie mogło potrwać nawet stulecia, ale to go w tej chwili nie martwiło. Ostateczny cel pochłonął go całkowicie.

Zbadał konstrukcję Drogi jeszcze raz, poświęcając więcej uwagi praktycznym stronom poszukiwania. Różne cechy Drogi wydawały się teraz godne uwagi i dalszych badań. Odnalazł w niej wyjątkowo skomplikowane geometryczne stogi, cudowne skrety w miejscach, gdzie Droga dotykała czasoprzestrzennych anomalii innych wszechświatów i starała się umknąć rozerwania lub zniszczenia. Dzieło Korzeniowskiego żyło własnym życiem, starając się przedłużyć własne istnienie.

Nie udało mu się znaleźć ogólnej zasady czy wzorca, według których powstawały anomalie w Drodze. Nie były one dziełem potężnej inteligencji. Jeśli istnieli jacyś bogowie, nie mieli w tym swojego udziału. Ich działalności nie było widać w strukturze poszczególnych wszechświatów.

Obraz, który widział, przypominał raczej wielowymiarowe płótno, na którym różne inteligencje mogły stwarzać nowe światy, modelować stare, doskonalić swoje możliwości i stawać się bogami. Procesja światów bez końca i początku.

Nigdy nie będzie tu nudy ani pustki, ani samotności. To jest Wszystko. Znacznie więcej, niż potrzeba.

Niespodziewanie Inżynier dostrzegł to, czego szukał, zalepione zakończenie Drogi.

Przygotował obojczyk i uruchomił symulatory i projektory otaczające siódmą komorę. Słońce, Ziemia i księżyc odbijały światła, które wkrótce utworzyły wirującą aureolę wokół obwodu komory, odległe gwiazdy zamigotały.

Korzeniowski nie wykonał żadnego ruchu, nie użył siły, a jednak przyciągnął z bardzo daleka koniec Drogi i połączył go z polem projektorów. Skoncentrował uwagę na superprzestrzeni. Ekstaza wzmogła jego możliwości. Skutki nie były teraz ważne. Pochłonęła go sama czynność.

Ziemia

Nocne niebo nad Ziemią ponownie wypełniło się strumieniami światła, a gwiazdy zaczęły tańczyć. Karen szła przez ciemny las i co chwila nawoływała męża. Nie było go w domu od siedmiu godzin. Nie mogła wezwać pomocy, bo ich dom został pozbawiony energii. Nie było też łączności radiowej.

Chodziła wzdłuż szlaku świecąc elektryczną latarnią, korzystając ze światła, które powstawało w kosmosie i z trudem przenikało przez gęste gałęzie nad jej głową. - Garry! - Miała bolesne poczucie, że traci z nim kontakt na zawsze. Była pewna, że nie odnajdzie go żywego. Otarła twarz dłonią i zamrugła powiekami, by odpędzić narastające przerażenie.

Znów skierowała światło latarni na ścieżkę. Zawsze dochodziła do tego miejsca. Już trzykrotnie poszła dalej, ale nie znalazła żadnych świeżych śladów. Łzy na jej twarzy zaświeciły na czerwono, odbijając blask z nieba. Była zrozpaczona. - Garry!

Ślady kończyły się tutaj. Były pomieszane, nie można było stwierdzić, dokąd zmiierzają. Czy zaczął tu tańczyć? Obok szlaku gęste mchy i paprocie uniemożliwiały rozpoznanie śladów. Z gąszczu wystawał pień. Obeszła go już wielokrotnie, świecąc dokoła latarką.

Teraz przyjrzała mu się jeszcze raz. Dostrzegła coś nowego - oderwaną korę. Pochyliła się i zobaczyła połamane paprocie. Pod nimi leżało coś dużego.

Oddychając ciężko i nierówno zrobiła krok do przodu, potknęła się i upadła między paprocie. Opierając się na ramionach znieruchomiła, nie miała odwagi wyciągnąć ręki i odkryć to, czego i tak się spodziewała. Zaciskając wargi wyciągnęła rękę i odsunęła złamaną paproć. Potem oboma rękoma odsunęła cały ich pęk.

Na niebie rozbłysły niebieskozielone zimne światła, jaśniejsze niż jej latarnia. Leśne ostępy rozświetliły się i Karen dostrzegła wyraźnie ludzki kształt pod paprociami.

- Garry - powiedziała miękko. Ból wykrzywił jej twarz. Przez chwilę czuła, że leci w głąb studni. Dotknęła jego szyi. Była zimna, a krew nie pulsowała. Przyjrzała się nieruchomym półotwartym oczom. Jej mąż był martwy. Jego zimna skóra przerażała ją. Oddychała nierówno, a z jej ust zaczął się wydobywać urywany ptasi krzyk. Nie mogła wezwać pomocy. Eksperymenty na Thistledown spowodowały awarię komunikacji na Ziemi.

Była sama.

Odwróciła męża na brzuch i odpięła mu koszulę. Tylko raz w życiu wydobywała implant, ale miała za sobą wystarczająco dobry trening. Wyjęła narzędzia z kieszeni.

W pół drogi

Lanier nie czuł swego ciała. Nie czuł nic w ogóle. Mógł jednak widzieć, choć nie było to normalne widzenie. Nie potrzebował do tego oczu. Otaczało go światło i mógł odszukiwać obrazy.

Doświadczał obecności swego nauczyciela. To był Mirski. Istota, która powróciła jako Mirski i grała jego rolę. Połączył się z nią, poznał jej naturę i jej cechy, zaczął się do niej upodabniać, stopniowo odzyskując kontrolę nad sobą.

Nie posługując się słowami ani dźwiękami zadał kilka podstawowych pytań, które powstały jeszcze w jego fizycznym umyśle. Otrzymał na nie wstępne odpowiedzi. “Gdzie jesteśmy?” “Pomiędzy Ziemią a Thistledown.” “To nie wygląda jak Ziemia. Jęzory ognia...” “Nie spostrzegasz ich oczyma. Zostawiłeś je na Ziemi.” “Tak, tak...” Jego niecierpliwość zaowocowała wewnętrznym wstrząsem, rodzajem kary, którą sam sobie wymierzył. Wkrótce nauczy się panować nad tymi szczątkowymi emocjami. Skoro nie miał ciała, na nic nie mogły się już przydać, były kłopotliwym ciężarem. “Nie czuję bólu. I nie mam już ciała.” “Nie jest do niczego potrzebne.”

Lanier odebrał i przetworzył obraz Ziemi w dole. Nie wyglądała jak dawniej. Otaczały ją płomienie wylaniające się z ciemności, poskręcane i migotliwe... “Co to jest? Prawie nie widzę planety pomiędzy nimi.” “Wszyscy się gromadzą, istoty duże i małe. Patrz, co się dzieje z płomieniami.” “Zawijają się w supeł... Nie nadażam za nimi.” “Żniwa życia. Gromadzenie wspomnień, doświadczeń, wzorów inteligencji i doznań zmysłowych.” “Dusze?” “Nie dosłownie. Nie ma ektoplazmicznych dusz ani ciał. Jesteśmy delikatni i tymczasowi, jak więdnące kwiaty. Kiedy umieramy, wszechświat pustoszeje, traci kształty. Chyba, że jakiś wyższy byt zadba o nasze zmartwychwstanie.” “Kto to może zrobić?” “Umysł Ostateczny.” “Nasi potomkowie nas ocalą?” “Nie bezinteresownie. Badanie żywych istot jest przetwarzaniem wszechświata, przemianą informacji w wiedzę. Wszystkie doznania, myśli, wrażenia są gromadzone. Nie tylko w chwili śmierci, ale przez cały czas. Ta wiedza jest bardzo cenna. Może być jeszcze oczyszczona i udoskonalona, przesłana przez pory wszechświata, zanim umrze, do innych wszechświatów, które dopiero się mają narodzić. Wiedza wywiera wpływ na inne organizmy, jest jak ziarno, które wzrasta i tworzy nowe, doskonalsze życie. Wyprowadza nowe światy, gdy ich wszechświat się zestarzeje.” “Nic nie umiera?” “Wszystko umiera. Ale to, co w każdym z nas jest specyficzne, zostaje zachowane. Jeśli Umysł Ostateczny nie poniesie klęski. Rozumiesz teraz wagę mojej misji.”

Lanier przypomniał sobie wszystkie lata walki ze Śmiercią i bólem. Zobaczył je, jak obrazy w trójwymiarowym albumie. “Wszystko umiera...” Ostateczny Umysł spopielał galaktyki od początku czasu i stąd czerpał energię, by ocalić subtelne myśli i doznania każdej żyjącej istoty. Nie tylko ludzi, ale wszystkich istot w ogóle. Wszystkich bytów, które przemieniały informacje w wiedzę. Które uczyły się i obserwowały. Poznawały środowisko i zmieniały je. Wszystkie poziomo od mikrobów do całych planet. Zebrane i zakodowane, wybrane i “Uratowane.”

Rozkoszował się tą myślą. Badał ją i smakował. Odkrywał jej prawdziwe znaczenie. Nie zmartwychwstanie ciał. Nie zbawienie pojedynczych ludzi. Ale połączenie i przekroczenie całości. “To, co w nas wszystkich najlepsze.”

Pomyślał o swoim ojcu, który umarł z powodu wylewu na parkingu na Florydzie. O matce, które umarła na raka w szpitalu w Kansas. O przyjaciółach i krewnych, o współpracownikach i znajomych pochłoniętych przez Śmierć, której zabójczy oddech spopielił wiele istot w ciągu krótkiego okresu

jej panowania na Ziemi. Ich osiągnięcia, odwaga, ogłupienie i pomyłki, marzenia i myśli, wszystko zostało zebrane. Przeszedł po nich kombajn i starannie oddzielił ziarno od plew. Wszyscy prości ludzie, i ludzie inteligentni, szybkie ptaki na niebie, owce na polach, ryby i morskie potwory, owady i ludzie, ludzie, ludzie, zebrani z pola i zmagazynowani. Czy w ten sposób osiąga się nieśmiertelność? Ostateczny Umysł zapamięta, czym byłeś i co osiągnąłeś.

Nie tylko Ziemia, ale wszystkie inne światy w tej galaktyce i we wszystkich innych galaktykach są ogromnym, niezmiernym polem, na którym pracują kombajny Ostatecznego Umysłu. Nie było słów, by oddać ogrom tej pracy, jej przytłaczający rozmach. Na tym tle Ziemia, z jej problemami, była czymś tak małym, że wprost niedostrzegalnym. Mimo to Ostateczny Umysł nie zapomniał o niej, odnalazł ją w bezkresach wszechświata, ukształtował jej historię z niesłychaną delikatnością, skupił swą nieskończoną potęgę na jej niewyraźnej małości.

Nawet w obecnej formie Lanier nie mógł się na to zgodzić. Nie rozumiał tego. “Czy też jestem zebrany i zmagazynowany? Czy ty tym się zajmujesz teraz?” “Mamy inny cel i inną rolę.” “Czym jesteśmy? Duchem, energią?” “Jesteśmy jak strumień wykorzystujący ukryty kanał, w którym rozmawiają ze sobą cząstki materii i energii, mówią sobie o swoim położeniu i o swojej naturze. Ten kanał nie jest znany ludziom, ale wie o nim Ostateczny Umysł.” “Dokąd lecimy?” “Najpierw na Thistledown.”

Thistledown

Goście zgromadzeni w siódmej komorze stali za Korzeniowskim i obserwowali, jak przebiega próbne podłączenie do Drogi.

Przed nimi rozszerzał się krąg ciemności, ogarnął całą komorę, sięgnął jej krańców, przesłonił gwiazdy. Powidok słońca, Ziemi i księżyca malał w jego głębi.

Korzeniowski otworzył próbne połączenie. Punkt mlecznego światła zabłysnął w środku mroku, na wprost nich. Inżynier był pochłonięty pracą, skoncentrował całą uwagę na obojczyku. Odbierał jego abstrakcyjne komunikaty i nie chciał, by cokolwiek mogło mu przeszkodzić. Wyczuwał, co działo się w Drodze i badał to.

Próżnia. Pustka otaczała rozcięcie, które wykonali. Posłużył się światłem plazmowym. Jego częstotliwość zrównała się z częstotliwością światła w Drodze.

Stojący kilka metrów za nim prezydent usłyszał szept Korzeniowskiego: - To tutaj.

Inżynier przerwał na chwilę trans i wydał polecenie unoszącej się za nim konsoli, by wiadomość Olmy'ego została przekazana przez połączenie do Drogi.

- Czy wszystko... - zaczął prezydent.

Daleko przed nimi rozbłysł świetlny punkt. Obojczyk zadrżał w dłoni Korzeniowskiego. Drzenie rozeszło się po całym asteroidzie. Pojawiły się ostrzegawcze pikty informujące, że w szóstej komorze nastąpiły zakłócenia.

Korzeniowski sprawdził, czy nie było błędu w konstrukcji połączenia. Nie było.

Coś usiłowało przedostać się przez przejście od strony Drogi.

Skupił się na obojczyku. Jakaś potężna siła chciała wydostać się z Drogi, rozszerzyć przejście. Siła tak wielka, że Korzeniowski nigdy by nie uwierzył w jej istnienie.

- Kłopoty - powiadomił piktogramem prezydenta.

Chciał zamknąć przejście. Mleczny punkt pozostał, a nawet powiększył się. Nie mógł zmniejszyć przejścia. Mógłby je tylko powiększyć, ale to nie wydawało się rozsądne. Istoty z drugiej strony chciały dokończyć otwarcia i połączyć Drogę z Thistledown.

Korzeniowski powrócił do symulacji i zbadał nowo utworzone przejście z wielu różnych punktów widzenia. Poszukiwał słabości, które przynajmniej w teorii musiały istnieć. Mógłby je wykorzystać, by zdestabilizować połączenie i zamknąć je, zanim coś się przez nie przecisnie.

Zanim zdążył ją znaleźć, obrzydliwy jęzor energii wystrzelił ze świetlistego punktu i uderzył w pęcherz pola trakcyjnego ponad kanałem średnicowym. Wiązka pola trakcyjnego pękła, pęcherz zniknął, a w komorze zaczął wiać huraganowy wiatr. Pozostałe pola trakcyjne zaczęły migotać i pulsować.

Farren Siliom chwycił połę togi Korzeniowskiego. Jęzor energii sięgał w różnych kierunkach, smalił ściany asteroidu, siał popłoch pośród zgromadzonych gości. Starał się spalić czekające w pogotowiu bojowe jednostki kosmiczne. Jedna z nich wystartowała, wypadła z kolebki trakcyjnej i uderzyła w sferyczną kapsułę z gośćmi i Korzeniowskim. Niespodziewanie pchnięta kapsuła uderzyła z rozmachem w osmaloną ścianę.

Korzeniowski nie mógł oddychać, ale nie to było najgorsze. Zamknął oczy i w rozbudowanych jednostkach czasu implantowego zaczął szukać defektu, który musiał się gdzieś tu znajdować.

Farren Siliom wypuścił z ręki togę Inżyniera i rzucony podmuchem przeleciał obok niego.

Awaryjne pole trakcyjne rozciągnęło się w poprzek pęknięcia, jego linie naprężyły się próbując powstrzymać wypadających ludzi, maszyny i gruz. Prezydent wpadł w sieć pola i zastygł na niej nieruchomo.

Olmy zdążył uchwycić się słupa trakcyjnego i teraz tkwił przy nim w kurczowym uścisku, przyglądając się przelatującym obok ludziom. Otoczona polem Judith Hoffman toczyła się po podłodze. Wyciągnął w jej kierunku rękę. Złe funkcjonujące pole oparzyło go, ale zdołał ją złapać i po chwili nowe pole ogarnęło ich oboje.

Korzeniowski falował jak proporczyk na wietrze. W miejscu utrzymywało go tylko pole trakcyjne podłączone do obojczyka i konsoli. Tymczasem czuł, jak słabła jego naturalna świadomość. Natychmiast przekazał procesy myślowe do odpowiednich implantów. Wyczuł niestabilność w połączeniu z Drogą. Pojawiło się ono jak błysk w jego umyśle i całą siłą woli skupił się na nim, pragnąc je zbadać i zatrzymać, by nie zniknęło wśród chaosu danych. Defekt połączenia "pachniał" jak przypalona potrawa i pozostawił gorzki ślad w części umysłu odpowiedzialnej za doznania zmysłowe.

Wiatr przycichł trochę, ciśnienie w tunelu spadło niemal do poziomu próżni. Jęzor energii z Drogi był węższy, lecz nie słabszy. Najwidoczniej starał się celować w określone przedmioty. Olmy nie dostrzegł, by zaatakowani zostali ludzie. Przedmiotem inwazji stały się przede wszystkim urządzenia. Teraz jednak splątany strumień energii pienił się w pobliżu Inżyniera.

Korzeniowski czuł upał, ale ponieważ miał zaciśnięte oczy, nie widział płonących i rozpadających się krawędzi swojego ubrania. Coraz więcej pól trakcyjnych było zaangażowanych w obronę tunelu średnicowego. Pola awaryjne szybko tworzyły kule wokół zagrożonych ludzi, ale te wciąż pękały pod wpływem tryskającej z przejścia energii.

W tunelu wirowały kawałki maszyn i nieprzytomni ludzie. Wokół unosiły się dymy. Niezamocowana jednostka bojowa obijała się o ściany. Zdalnie sterowane roboty gromadziły się po bokach kanału, oczekując na instrukcje i koniec chaosu.

Korzeniowski skierował całą energię, jaką dysponowała szósta komora, w kierunku wykrytego defektu. Manipulując obojczykiem chciał otworzyć w tym miejscu pozorną bramę, która spowodowałaby rozerwanie połączenia z Drogą i wytworzyłaby fałdę blokując od wnętrza Drogi.

Przez chwilę zaświtała mu przerażająca myśl, że oto stanęli naprzeciw Ostatecznego Umysłu, o którym mówił Mirski. Jego intuicja była innego zdania.

Połączenie zakwitło na czerwono, jak wielka róża. Krwiste płatki wypełniły siódmą komorę. Korzeniowski zdążył jeszcze odebrać tę informację od obojczyka, gdy implant zasignalizował przepelnienie. Jeśli go nie wyłączy, implant, a wraz z nim część naturalnego umysłu, zostanie wymazana.

Wypuścił obojczyk z rąk, ale na szczęście praca została już wykonana.

Czerwień bladła i znikwała, ustępując czerni i gwiazdom. Jęzor energii kurczył się i po chwili znikł. Mleczny punkt po pewnym czasie znikł.

Wiatr przestał wiać. Pole trakcyjne zapełniło wszystkie luki, a wielkie pompy w głębi tunelu zaczęły tłoczyć powietrze, aby wypełnić powstałą próżnię.

Ile to trwało? Korzeniowski zapytał implant.

Dwadzieścia sekund. Tylko dwadzieścia sekund.

Olmy upewnił się, że nieprzytomna Hoffman nie była poważnie ranna. Potem polecił rozdzielić otaczające ich pole środowiskowe. Sam podążył w kierunku konsoli i Korzeniowskiego. Inżynier otoczył się osobistym polem awaryjnym i łapczywie chwycił w płuca rozrzedzone powietrze.

- Co się stało? - zapytał Olmy.

Jart w jego umyśle odpowiedział: "Automatyczna obrona."

- Właśnie chciałem cię o to zapytać - odparł Korzeniowski. - Twoja wiadomość... - Urwał i rozejrzał się wokół. - Ilu ludzi zginęło? Gdzie jest prezydent?

Olmy spojrział przez przezroczyste pole, które właśnie zalepiało północny wylot tunelu. Zobaczył kilka migoczących przedmiotów, które oddalały się od Thistledown po rozbieżnych trajektoriach. Pole trakcyjne otaczające Farrena Sili oma zawiodło. Roboty wyruszyły w przestrzeń, by go złapać i sprowadzić na asteroid.

- Gdzieś tam, w kosmosie - odpowiedział Olmy.

Korzeniowski był wyczerpany i zbolały. Usiadł, a właściwie zwałił się na podłogę. Przypominał przekłuty balon.

- Sądzę - zaczął go uspokajać Olmy - że większość ofiar to neogeszele. Wszyscy mają implanty.

- Katastrofa - Korzeniowski potrząsnął przygnębiony głową. - Czy przed tym przestrzegaliśmy Mirski?

- Nie sądzą, żeby o to chodziło - Olmy był odmiennego zdania.

- A więc jartowie.

Olmy wziął Korzeniowskiego za rękę i pomógł mu wstać. - Najprawdopodobniej - powiedział łagodnie. - Proszę pójść ze mną. - Jart nie przeszkadzał mu tym razem. Korzeniowski był równie ważny, jak Olmy.

Inżynier bełkotał coś nieskładnie pod nosem z wyczerpania. - Chcieli otworzyć całkowicie bramę. Chcieli mnie zmusić do tego. Chcieli nas zaatakować. Chcieli nas zniszczyć. Chcieli...

Olmy zapytał jarta, czy tego właśnie pragną. "Dopóki nie otrzymają komunikatu, jest to z pewnością ich cel."

Jęki i krzyki w tunelu stopniowo cichły, w miarę jak roboty medyczne wydobywały rannych i przenosiły ich w bezpieczne otoczenie. Olmy prowadził swego nauczyciela do luku. - Musimy porozmawiać - powiedział cicho. - Muszę coś wyjaśnić.

Nie miał pewności, czy sam to powiedział, czy też jego ustami przemówił jart. Czy to miało jednak jakieś znaczenie?

Wiadomość została przesłana. Nagłe zdarzenie mogło zniszczyć siódmą komorę, a może i cały asteroid. Bramę można było otworzyć, choć nie dało się jej utrzymać...

Pomyłka Olmy'ego zaczęła przynosić owoce.

Thistledown City

Inżynier stał przy mównicy w izbie posiedzeń Nexus. Premier Dris Sandys zajmował swoje zwykłe miejsce. Udało mu się uniknąć poważniejszych obrażeń. Sąsiednie miejsce prezydenta było puste.

Judith Hoffman siedziała wraz z pozostałymi ofiarami katastrofy na specjalnej ławce dla świadków, wyczerpana i posiniaczona. Reszta miejsc była pusta. Było to specjalne posiedzenie, zwołane przez premiera zgodnie z przepisami stanu wyjątkowego.

Olmy siedział obok Judith Hoffman. Jart był spokojny, choć czujny. Nie angażował się.

Premier domagał się, aby sprawozdanie o zabitych i rannych zostało przedstawione całemu parlamentowi.

- Prezydent - oświadczył sucho - podlega w tej chwili reinkarnacji. Łącznie jest siedmiu zabitych i dziewięciu poważnie rannych, w tym dwóch oficjalnych historyków, jeden senator i dyrektor Thistledown. Nie mieliśmy takich strat od czasu Odłączenia. Na szczęście wszyscy zabici mieli implanty i najprawdopodobniej przeżyją. Czy może pan wyjaśnić, co się stało, ser Korzeniowski?

Inżynier zerknął na Olmy'ego. Nie mieli jeszcze czasu na rozmowę. Obaj opuścili tunel w towarzystwie robotów medycznych i nie byli od tego czasu sami.

- Otworzyłem przejście próbne do Drogi. Coś usiłowało wydostać się stamtąd i przeszkadzało mi zamknąć przejście.

- Czy domyśla się pan, co to mogło być?

- Sądzę, że broń jartów.

Premier wbił w niego wzrok. - Czy to tylko domysł?

- Cierpliwi jartowie czekali na taką sytuację. Nie wiem, cóż innego mogłoby to być.

Premier zapytał, czy przedstawiciele sił obrony Thistledown zgadzają się z tą sugestią i uzyskał twierdzącą odpowiedź. Nic nie przemawiało przeciw tej tezie.

- Czy będzie można otworzyć inne przejście i upewnić się?

- Tak - oświadczył Korzeniowski. - Mogę otworzyć boczne przejście, odległe o sto kilometrów od końca Drogi. Jeśli podejmiemy odpowiednie środki ostrożności, będziemy mogli przeprowadzić rekonesans i zamknąć przejście, zanim ktoś się zorientuje, że jesteśmy w Drodze.

- Jakie jest ryzyko tej operacji?

- Znikome. Jednak aby nie narażać obywateli, będę nalegał na ewakuację mieszkańców Thistledown. Wszystkich z wyjątkiem niezbędnego personelu i sił obrony.

Premier położył na nim ciężkie spojrzenie. - To będzie kolosalna operacja.

- To jest konieczne - zgodził się naczelnik sił obrony. - Jeśli zamierzamy zdobyć przyczółki i odbić tereny w Drodze, musimy stworzyć strefę buforową między terenem walk i ludnością cywilną.

- Jak to ma wyglądać?

- Wszyscy cywile muszą być wysłani do ciał orbitalnych lub na Ziemię.

- Czy tylko ludzie?

- Nie. Wszyscy cywile, także rezydujący w pamięci miejskiej, a także najważniejsze dobra kultury. Thistledown musi pozostać strefą buforową. Niebezpieczeństwo całkowitej porażki jest niewielkie, jednak gdyby miało do tego dojść, musimy być przygotowani, by zniszczyć Thistledown i

w ten sposób zamknąć Drogę.

Hoffman spojrzała na Olmy'ego. Na jej twarzy malowało się zmęczenie i przygnębienie. - Otwarcie Drogi staje się kosztowną zabawą, ser Olmy - wymamrotała. - Nic wartościowego nie przychodzi bez wysiłków, prawda?

Olmy nie odpowiedział. Jakikolwiek komentarz byłby teraz bez większego znaczenia.

- Czy szósta komora została poważnie uszkodzona? - zapytał premier.

- Nie. Możemy pracować dalej - uspokoił go Korzeniowski.

- Trudno powiedzieć, że zostaliśmy zaskoczeni. Można się było tego spodziewać - powiedział poważnie Dris Sandys. Zapadło wymowne milczenie. Wszyscy odczytali wyrzut w głosie premiera. Prezydent i premier nie mieli wyboru, a zwolennicy otwarcia Drogi musieli teraz uświadomić sobie konsekwencje swoich decyzji. - W imieniu prezydenta i w oparciu o prawa stanu wyjątkowego rozkazuję ewakuować Thistledown oraz polecam ser Korzeniowskiemu i siłom obronnym przygotowanie planów dalszego badania Drogi.

Ziemia, Christchurch

Karen siedziała w poczekalni kliniki Christchurch. Była niewyspana i blada. Minęło trzydzieści godzin od kiedy odnalazła męża, a mimo to technicy nie powiedzieli jej nic o stanie implantu.

Krzesło stało na wprost okna wychodzącego na ulicę. Za nim kłębili się ludzie, wielu z nich było w uniformach Hexamonu, było także wielu Ziemian, gromadzących się wokół szpitala. Wiadomość o ewakuacji dotarła pół godziny temu. Karen niepokoiła się, że śmierć jej męża i jego ewentualne zmartwychwstanie nie będą dość ważne w obliczu znacznie większego kryzysu.

Na dłoniach, głównie pod paznokciami, miała wciąż zaschniętą krew, mimo że myła je dokładnie w szpitalnej łazience. Przyglądała im się uważnie, wszak była to krew jej męża. Potem zamknęła oczy. Nieprędko zapomni tę noc - musiała otworzyć mu szyję, wyłuskać implant, umieścić w odpowiedniej torebce i zatrzasnąć zamek. Potem niosła ciało do domu, potem jechała z nim po opustoszałych drogach do Twizel, wreszcie przybył prom i zabrał ją do Christchurch.

Niepotrzebne ciało zostało w Twizel.

Nie mogła jeszcze pojąć, co się naprawdę stało.

Spędzili ze sobą tyle lat, a jednocześnie tak niewiele. Żyli osobno. Tak niewielki kawałek życia był wspólny. "Ludzie są stworzeni, by cierpieć. Nie znamy odpowiedzi i nie dana jest nam pewność."

Technik - ale nie ten, który dał Lanierowi implant - stanął w drzwiach poczekalni i przyglądał się twarzom ludzi. Gdy napotkał jej wzrok, lekko zacisnął szczęki. Ten zawodowy grymas zwiastował problemy. Uniosła brwi i rozchyliła usta.

- Pani Lanier?

Skinęła lekko głową.

- Czy jest pani pewna, że implant należał do pani męża?

Karen spojrzała na niego zaskoczona. - Jestem pewna. Wyjęłam go osobiście.

Technik wyprostował ramiona i wyjrzał przez okno.

- Czy on nie żyje? - zapytała nagle.

- Implant nie zawiera pani męża. Jest tam zmagazynowana osobowość, ale żeńska. Nie mamy w dokumentach takiej osoby... Nie wiemy, kto to jest. Jednak jest kompletna i może być odtworzona.

- O czym pan mówi? - wykrzyknęła Karen.

- Jeśli implant należał do pani męża, nie rozumiem...

Karen zerwała się na równe nogi i krzyknęła przeraźliwie: - Co się stało?

Technik stał wyraźnie zakłopotany. - W implancie jest młoda kobieta. Ma jakieś dwadzieścia jeden lat. Była zmagazynowana dość dawno, może dwadzieścia lat temu. Nie wie, co się zdarzyło potem. Na pewno nie była zmagazynowana ostatnio. Jej kod...

- To niemożliwe. Gdzie jest mój mąż?

- Nie wiem. Czy zna pani kogoś o imieniu Andia?

- Jak?

- Andia. Tak brzmi imię tej kobiety.

- To była nasza córka - krew odpłynęła Karen z twarzy. Osunęła się na krzesło. - Co stało się z moim mężem.

- Przeprowadziliśmy tylko wstępne rozpoznanie. Jedyne osobowość w implancie nazywa się

Andia. Nie mam pojęcia, co stało się z pani mężem.

Karen machinalnie poruszała głową. - Jak to możliwe? Zginęła dwadzieścia lat temu...

Technik patrzył na nią bezradnie.

- Garry... założyli mu implant. - Wyprostowała się na krześle. To nie była rzeczywistość. Nawet w marzeniach czy koszmarach sennych nie myślała o tym. Odzyskać córkę za cenę męża, cóż za przewrotny podstęp. Ale czy] to podstęp? - Pokonał ich na ich własnym polu. - "Nie mógł zrobić tego sam." Spojrzała na technika, starając się nie stracić panowania nad sobą. W kończynach czuła mrowienie, jakby przepuszczano przez nie prąd eklektyczny. Poczwała, że jeśli będzie siedzieć, może za chwilę zemdleć. Ostrożnie wstała i zaczęła spacerować, krew powoli napływała do zaciśniętych naczyń.

- Czy mogę z nią porozmawiać?

- Przykro mi, ale to jeszcze niemożliwe. Musimy ją odtworzyć, a to trochę potrwa. Czy pani córka jest obywatelem Ziemi?

Karen poszła z technikiem do kartoteki i tam odpowiadała na jego pytania. Po pewnym czasie odszukano stare akta dotyczące córki. Porównano mapy osobowości wykonane przy zakładaniu implantu u Andii. Zgadzały się dokładnie.

- Przychodzi mi do głowy tylko jedno słowo: cud - powiedział technik. Najwidoczniej nie uwierzył w jej historię. Nie wyjmował implantu osobiście. - Muszę zorganizować oficjalne śledztwo.

Karen nie protestowała. Była zdrętwiała od stóp do głów. Mimo to nie poddawała się, chciała pozostać opanowana. Ogarniały ją przerażenie i współczucie, zdziwienie i nadzieja. "Straciłam Garry'ego i odnalazłam córkę." Mogła to wyjaśnić tylko w jeden sposób.

Nigdy nie wierzyła w siły tajemne i ponadludzkie. Ścisłe marksistowskie wychowanie wykluczało taką ewentualność. Pociecha, jaką daje religia, nie była dla niej dostępna. Mogła myśleć tylko o Mirskim i istotach, które reprezentował. "Jeśli jest z tobą, dbaj o niego, proszę", skierowała tę myśl do Rosjanina i jego potężnych mocodawców. "I dziękuję za córkę."

Czekała w małym pokoju przez godzinę, aż lekarze i technicy odszukają odpowiednie prawa i procedury oraz podejmą konieczne decyzje. Zasnęła na kilka minut, osuwając się w pustkę. Kiedy ją zbudzono, czuła się znacznie silniejsza.

- Będziemy przywracać ją do życia - zakomunikował technik. Ma do tego prawo. Ale to może potrwać. Będziemy bardzo zajęci przez najbliższe tygodnie, a może nawet miesiące. Klinika musi być w pogotowiu. Mogą się wydarzyć nagłe wypadki. Wszystkie promy muszą być stale do naszej dyspozycji. Także pojazdy naziemne. Jeśli chce pani odlecieć w ciągu najbliższych godzin, mogę jeszcze postarać się o prom dla pani.

Uniosła dłoń do góry. Nie miała nic do roboty w domu. - Wolę zostać tutaj, jeśli mogę się na coś przydać.

- Chyba tak - powiedział technik, wciąż nieco zakłopotany i niepewny. - Przejrzeliśmy także pani akta. Nikt z nas nie wie, co się właściwie stało. Pani córka zaginęła na morzu. To niemożliwe, by miała pani jej implant zamiast swojego męża.

Karen uśmiechnęła się smutno.

- Czy czuje się pani już dobrze?

Zastanowiła się przez chwilę. - Tak. Chciałabym tylko jak najszybciej zobaczyć córkę...

- Oczywiście. Proszę się zdrzemnąć w tej sali. Wezwiemy panią.

- Dziękuję. - Obejrzała salę, wybrała miejsce na stole oględzin i zaczęła przygotowywać posłanie. "Andia."

Thistledown City

Korzeniowski szedł przez park nazwany jego imieniem. Oglądał pamiątki wzniesione na własną cześć.

Miał się tu spotkać z Olmy'm, ale przyjechał godzinę wcześniej, by obejrzeć swoje dawne dzieło. Odwiedził je tylko raz od czasu, gdy przywrócono mu życie. W tej chwili nie miał zbyt wiele do roboty w maszynowni szóstej komory ani w tunelu średnicowym. Gdy tylko siły zbrojne zakończą swoje przygotowania, a ludność Thistledown będzie ewakuowana, otworzy kolejne przejście do Drogi, tym razem w bardziej ustronnym miejscu.

Park Korzeniowskiego zajmował sto akrów w Thistledown City. Cichy i pełen zieleni, składał się z automatycznie strzyżonych trawników, które można było zwijać, z kwiatnych ogródków i małych lasków, w których rosły dęby, buki i inne, bardziej egzotyczne rośliny. Przez wiele stuleci park nie stracił nic ze swojej świetności.

Korzeniowski zaprojektował ten park zanim został zamordowany, jeszcze przed otwarciem Drogi. Kierował się zasadami zarówno praktycznymi, jak i utopijnymi. Rośliny i zwierzęta, owady i mikroorganizmy były składnikami wyizolowanej doskonałości. Narzucił sobie jedno ograniczenie: wszystkie żywe organizmy będą naturalne i niezmodyfikowane. Utopijność polegała na tym, że niektóre gatunki zostały sztucznie odizolowane, zaś ekologię parku ograniczono do kilku podstawowych komplementarnych kombinacji.

W rezultacie w parku panował pokój.

Można go było odwiedzać w każdej porze roku. Klimat odzwierciedlał pory roku panujące w Anglii pod koniec osiemnastego wieku. Nie widać w nim było zniszczenia, wszystko rosło i dojrzewało. Automatyczni ogrodnicy niestrudzenie dbali o wygląd parku usuwając wszystkie gnijące, więdnięce i starzejące się rośliny. Owady i mikroorganizmy nie miały wiele do roboty.

Rośliny były strzyżone i modelowane według geometrii hilbertowskiej, a nie euklidesowej. Nie przypominały zwierząt ani figur geometrycznych, lecz wyrażały doskonałą biologię, rodzaj żywego nieba. Tak mógł widzieć raj Edenu angielski ogrodnik. Z pewnością tak widział go Konrad Korzeniowski.

Sam to zaprojektował. A teraz z trudem mógł powiedzieć, kim jest. Czy jest nadal tym Inżynierem, żywą historią, chodzącą legendą, człowiekiem szanowanym i podejrzewanym zarówno przez neogeszelów, jak i naderytów? Czy jest naturalnie urodzonym człowiekiem, dzieckiem ortodoksyjnych naderytów, matematykiem i odkrywcą? A może raczej naczyniem, w którym znalazł schronienie nieszczęśliwy duch Patricii Luisy Vasquez?

Nie miało to większego znaczenia. Był pyłkiem kurzu unoszonym przez wiatr. Cała przeszłość wydawała się dawno zapomnianym snem.

Wkrótce Hexamon będzie próbował powrócić do Drogi. Z dużym prawdopodobieństwem obecni lokatorzy Drogi będą starali się zniszczyć Thistledown. Jeśli się to powiedzie, wszyscy utoną w powodzi ognia.

Siły, potęgi, ambicje.

Z trudem przypominał sobie czasy, gdy pracował nad parkiem. Te wspomnienia nie były zbyt obficie reprezentowane we fragmentach osobowości, które uległy potem połączeniu.

Zabili go ortodoksyjni naderyci.

Jego rodzice niemal wyrzekli się go, gdyż popierał Wygnanie. "Kłopotliwa osoba."

Tak można to podsumować.

Wszedł do labiryntu z żywopłotu w środku parku. Krzaki sięgające do pasa tworzyły dziwne sploty i meandry, nie dające się opisać żadnymi równaniami. Niektóre krzywe były projekcją trójwymiarowych figur. Posiadacze implantów nie mieli trudności z rozszyfrowaniem labiryntu. Mogli wizualizować ścieżki i manipulować nimi. Bez implantu był dość skomplikowaną łamigłówką.

Kiedy go budował, miał nadzieję, że posiadacze implantów nie będą z niego korzystać... A jednak stało się inaczej. W ten sposób poznał nowy aspekt ludzkiej natury. Wyzwania i trudności nie są dla większości ludzi tak podniecające, jak łatwy sukces, nawet w Hexamonie.

W odległości stu metrów dostrzegł stojącego w labiryncie mężczyznę. Stał w samym środku i szukał drogi wyjścia. Korzeniowski podjął wyzwanie i zaczął iść do wewnątrz. Rozwikływanie łamigłówki było dla niego relaksem. Nie patrzył na mężczyznę, lecz starał się odtworzyć wzór, który projektował i uzupełnić brakujące ogniwa.

Dzieliło ich jeszcze kilka metrów niezbyt trudnego labiryntu centralnego, gdy podniósł wzrok i spojrzał prosto w oczy drugiemu spacerowiczowi. Przez chwilę poczuł się tak, jakby Odłączenie zdarzyło się dopiero co, a minione czterdzieści lat wyparowało. Przypomnił sobie pierwsze godziny po odzyskaniu życia.

Przed nim stał Ry Oyu, główny odźwierny Drogi w Nieskończonym Hexamonie. Jego obecność była równie nieprawdopodobna, jak pojawienie się Mirskiego. Obaj odlecieli w głąb Drogi wraz z siedzibą geszeli.

- Witam - powiedział odźwierny unosząc dłoń. Ukłonił się również komuś za plecami Korzeniowskiego. Widocznie nie byli sami, pomyślał, i niechętnie odwrócił się. Na skraju Labiryntu pojawił się Olmy.

- Czy to spisek? - roześmiał się nagle Inżynier. - Czy jesteście w jednej partii?

- Nie ma żadnego spisku. Z nikim się tu nie umawiałem. Ale to dobra okazja, abyśmy razem porozmawiali. Czy możemy spotkać ser Olmy'ego na zewnątrz? Labirynt to wspaniała zabawa, ale zbyt rozpraszająca. Tyle tu zagadek do rozwiązania.

- Dobrze - zgodził się Inżynier.

- Nie jest pan zaskoczony - zdziwił się Ry Oyu.

- Nic już mnie nie może zdziwić. - Korzeniowski zaczekał, aż Ry Oyu podejdzie do niego, i razem ruszyli w kierunku wyjścia. - Czy jest pan także bogiem z kresów czasu, który przepowiada koniec świata?

- Niczego nie przepowiem. Przykro mi, przybyłem tylko po to, by wykonać skomplikowane zadanie. Czy chce pan zadać mi jakieś pytania, aby ustalić moją tożsamość?

- Nie - Korzeniowski opędził się przed tą propozycją jak przed natrętną muchą. - Jest pan duchem z Bożonarodzeniowej Przeszłości. Najwyraźniej bogowie bardzo się nami interesują. - Zaśmiał się jeszcze raz, krótko i sucho.

- Więc wierzy pan, że to ja?

- Nie, aż tak daleko się nie posuwam - zaprzeczył Korzeniowski. - Jest pan tajemniczą kontynuacją Ry Oyu, której natura jest mi zupełnie nieznaną.

Dawny odźwierny wyraził za pomocą piktu swoje uznanie dla tak trafego sądu. Korzeniowski zauważył, że jego rozmówca nie nosi piktora, a pikty pojawiają się dosłownie z nikąd. "Zadziwiająca umiejętność."

- Mam pewną prośbę do panów, która może się wydać dziwna i trudna do spełnienia - oświadczył Ry Oyu.

- Raczej polecenie, jak sądzę - sprostował Korzeniowski.

- Chciałbym skorzystać z okazji, by przekonać panów o pewnej konieczności.

- Zgodziłem się z Mirskim - powiedział Korzeniowski czując niejasne poczucie winy.

„Przynajmniej część mnie tak postąpiła.” - Popierałem jego starania.

Ry Oyu uśmiechnął się z uznaniem. - Pracowaliście bardzo ciężko, by doprowadzić do otwarcia Drogi. - Nie brzmiało to jak oskarżenie, ale Korzeniowski był w takim stanie, że każdą wzmiankę o Drodze odczytywał jako wyrzut.

Inżynier jeszcze raz zasłonił się ręką. - Wykonuję obowiązki wobec Hexamonu.

- Żadnych innych pobudek?

Nie odpowiedział. Świadomie nie kierował się innymi motywami. Jeśli takie były, nie pozwalał im kierować swoją wolą.

- Ma pan w sobie kopię tajemnicy pewnej kobiety. Wiem, bo sam zajmowałem się jej transferem. Działa pan teraz dla niej, prawda?

- Jeśli tak pan to ujmuje...

- Tak.

- Myślę, że do pewnego stopnia działałem w jej imieniu, lecz to nie kłóci się z wypełnianiem przeze mnie obowiązków.

- Tajemnica nie jest całą osobowością. Gdy coś się nie uda podczas transferu, na przykład przekazane zostają także pragnienia czy podstawowe obsesje, powstająca osobowość nie jest zintegrowana.

Korzeniowski poczuł bezdenną rozpacz.

- To prawda - przyznał - coś mnie nawiedza, zmusza, popycha... - nie dokończył.

- Proszę się nie martwić. Mogę to naprawić. A przynajmniej spróbować.

Korzeniowski chciał się zapaść pod ziemię. Może powinien ustąpić i mianować na swoje stanowisko kogoś bardziej odpowiedzialnego, nie obciążonego sprzecznymi skłonnościami.

- Może pan używać jej inteligencji - powiedział Ry Oyu, gdy wyszli z labiryntu. Przesłał pozdrowienia Olmy'emu, który przyjął jego obecność bez komentarza.

- Nikt się nie dziwi, że przybyłem - zauważył cierpko odźwierny.

- Mamy sezon cudów - oświadczył Olmy, w którego głosie brzmiało niezwykle napięcie. Zachowywał się spokojnie, ale można było odgadnąć, że jest pełen niepokojów. Co go tym razem gryzie, zastanawiał się Korzeniowski.

- Czy macie do siebie zaufanie - zapytał Ry Oyu.

- Nie ufam nikomu - powiedział Olmy. - Ale nie sądzę, byśmy mogli mieć jakieś tajemnice przed Ostatecznym Umysłem.

- Nie byłbym tego całkiem pewien, ale na pewno potrzebujemy długiej rozmowy.

Korzeniowski nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Olmy jest równie nawiedzony jak on sam. - To jest całkiem dobre miejsce. Nie ma monitorów ani robotów. Możemy używać piktorów.

- Rozmowa byłaby zbyt kłopotliwa - zgodził się Ry Oyu. - Trzeba rozwikłać te wszystkie nonsensy. Mirski nie wszystko przedstawił dość wyraźnie... a może nawet popełnił poważny błąd. Proponuję, abyśmy rozwiązali nasze problemy ostatecznie. Choć nie rozwiąże to problemów Hexamonu. Ziemia i Hexamon będą musiały się nauczyć żyć razem. Czy obaj panowie chcecie słuchać?

- Jestem posłuszny - powiedział Olmy przez zaciśnięte gardło. - To wiadomość od komendanta następcy.

- A co to znaczy? - Korzeniowski spojrzał na niego zdumiony.

Usiedli na kamiennych ławkach otoczonych przez róże. - Nie tylko pan jest nawiedzony - powiedział spokojnie Ry Oyu. - Ser Olmy, najwyższy czas wszystko wyjaśnić. A potem moja propozycja.

Thistledown

Nic podobnego nie zdarzyło się od czasu Odłączenia. Cztery miliony mieszkańców Thistledown upuszczało pięć zamieszkałych komór asteroidu. Korzystano z wszelkich promów i innych pojazdów dostępnych w okolicy Ziemi i księżycy. Nawet dziesięć tysięcy promów różnej wielkości miało kłopot z przewiezieniem wszystkich tych ludzi. Ewakuacja postępowała wolno. Było wielu niezadowolonych, tworzyły się frakcje przeciwników wyjazdu. Czasami zaczynało ze sobą walczyć.

W ciągu ostatnich czterdziestu lat Thistledown stał się bastionem i centrum dowodzenia Hexamonu. Przejął wiele funkcji od ciał orbitalnych, które uchodziły za mniej bezpieczne i bardziej narażone na uszkodzenie. Przekazanie tych funkcji z powrotem do ciał orbitalnych i na Ziemię było niewyobrażalnym zadaniem, nawet gdy wziąć pod uwagę, że Hexamon był w stanie przekazywać góry danych w małych paczuszkach.

Olmy stał w tunelu średnicowym pierwszej komory otoczony polem środowiskowym i przyglądał się startującym promom, które formowały się w szyk bojowy. Cztery były zepsute i właśnie holowano je do doków naprawczych. Pozostały po nich cztery puste miejsca w starannie zaplanowanym układzie. Cztery z dziesięciu tysięcy... Technologia Hexamonu była wciąż cudownie skuteczna w pewnych sytuacjach.

Tymczasowy władca Olmy'ego przyglądał się tej operacji, nie komentując jej. Zgodnie z umową obaj pracowali teraz przy ewakuacji oraz przygotowywali się, by ukraść jeden ze statków bojowych.

Olmy wyznał swoje grzechy. Korzeniowski nigdy jeszcze nie patrzył na niego z takim bolesnym wyrzutem. Ale teraz granica między pomyłką czy klęską a posłuszeństwem wobec sił wyższych uległa zatarciu.

Olmy zrzucił część ciężaru z serca. Miał się jednak podjąć zadania znacznie bardziej ryzykownego. Gdyby nie kierował nim jart, zrobiłby zresztą to samo: sprzeciwiłby się przywódcom Hexamonu i decyzji mens publica.

Wielu uzna go niewątpliwie za zdrajcę, a nie tylko za pokonanego, głupiego żołnierza.

Korzeniowski rozpoczął przygotowania na dziewięć godzin przed planowanym otwarciem kolejnej bramy. Tym razem nie ubrał się w czerwoną togę. Zaniedbał ceremonię i pozostał w czarnym drelichu. Był mniej zobowiązujący i bardziej odpowiedni na czekające ich przygody - lub katastrofy. Gdy odczytał raporty otrzymane od robotów i swoich duchów, uspokoił się i pozwolił sobie na chwilę zadumy. Maszyny szóstej i siódmej komory były w doskonałym stanie.

Pamiętał dokładnie pierwsze lata po uruchomieniu Drogi. Czterokrotnie nastąpiły drobne destabilizacje, które za każdym razem mogły spowodować całkowitą katastrofę. Hexamon zmagał się wówczas nie tylko ze swoim dziełem, nad którym mógł utracić kontrolę, ale także musiał walczyć z jartami.

Początkowo obie strony stały długo naprzeciw siebie, nie wykonując żadnych ruchów. Ani jartowie, ani ludzie nie wiedzieli, czego mogą się po sobie spodziewać. Próby nawiązania łączności zakończyły się fiaskiem. Zaraz po pierwszej destabilizacji nastąpił atak jartów. Wówczas była to tylko wycieczka terenoznawcza połączona z drobnymi złośliwościami. Siódma komora została lekko uszkodzona. Korzeniowski żył w ciągłym lęku, że uszkodzenie ukrytego węzła projektora może spowodować zniszczenie Drogi przez powstanie zlepu lub fałdy na jej powierzchni.

Choć okazało się, że martwił się niepotrzebnie, zlepy i fałdy rzeczywiście mogą spowodować

zniszczenie Drogi. Już wkrótce, być może w ciągu dwudziestu czterech godzin, posłuży się właśnie tym zjawiskiem, by doprowadzić najpierw do dezintegracji Drogi, a potem do jej całkowitego zaniku. Poprawnie uformowana fałda będzie poruszać się wzdłuż Drogi, powodując powstanie skrętów, pętli i przetok. "Skręty" i "pętle" znaczą coś innego w piątym wymiarze niż w pierwszych czterech. Korzeniowski zbadał, jak niszczyielskie zmarszczki będą wyglądały z wewnątrz, a jak z zewnątrz Drogi.

Gdy Droga przetnie się w nieskończonej liczbie punktów w czasie i przestrzeni, oraz w mniejszej nieskończoności punktów w innych wszechświatach, każdy z tych punktów będzie ewitalny, czyli będzie trwać nieskończenie długo.

Każda otwarta brama ma skończenie długie istnienie, nie dłuższe niż czas trwania całej Drogi mierzony od wewnątrz. Żadna brama nie będzie istnieć dłużej niż Droga. Nie można było otworzyć nieskończenie wielu bram, choć było ich bardzo dużo. Droga nie umożliwiała dostępu do wszystkich możliwych punktów przecięcia.

Niszcząca zmarszczka będzie wykonywać swoją pracę przez lata, a może stulecia, zanim nastąpi całkowita zagłada Drogi. Znaczna jej część zaciśnie się jak akordeon po przejściu zmarszczki, a duże jej fragmenty zostaną skrócone dzięki przetokom, które uformują się spontanicznie. Powstaną ogromne pętle. Przetoki mogą się rozgałęziać i łączyć ze sobą.

Gdy zmarszczka zakończy dzieło zniszczenia, ocaleje tylko mały koniuszek Drogi połączony z "balonem" porzuconego wszechświata, o którym mówił Mirski.

Wszystko to, choć tak trudne do pojęcia nawet dla samego Inżyniera, było odzwierciedlone w odległych segmentach Drogi, który odwiedził Ry Oyu przed odłączeniem. Gdyby Ry Oyu i Patricia podejrzewali, że istnieje taka możliwość, na pewno odkryliby wszystkie jej konsekwencje.

Korzeniowski zakończył przyjmowanie raportów i zamknął się w kapsule badawczej w tunelu średnicowym. Zamknął oczy i pogrążył się w melancholijnych rozmyślaniach.

Nie zostawiał za sobą nikogo, a jednak zostawiał wszystkich. Nie miał potomstwa, ale cały Hexamon był jego tworem. Ponieważ już raz umarł, nie obawiał się tego tak bardzo. Bał się natomiast przekroczenia granic.

Kilka razy wtargnął na terytorium istot znacznie wyżej rozwiniętych. To znamienne, że nie posądzono go o złą wolę. Być może na tym właśnie polegała wyższość tych istot. Może zresztą emocjonalne reakcje i kłopotliwe sytuacje to uproszczenia, którymi posługują się tylko umysły bardzo ograniczone.

Teraz sprzeciwił się nakazowi Hexamonu, by umożliwić przekroczenie granic wyznaczonych człowiekowi. Czy Hexamon znajdzie dość sił i inteligencji, by móc żyć bez Drogi i bez nadziei na jej otwarcie?

Czy spróbują zbudować nową? Co ich wówczas zatrzyma?

Przeszukując wszechświaty przy pomocy obojczyka i innych urządzeń otwierających bramy ani Korzeniowski, ani nikt inny nie znaleźli w tym wszechświecie nic podobnego do Drogi. Mirski wspominał o podobnych tworcach w innych wszechświatach, choć zaznaczył, że w tym nie powstanie już nigdy następna Droga.

Korzeniowski zdawał sobie sprawę ze swych wyjątkowych umiejętności, nie mógł jednak wykluczyć, że ktoś mu kiedyś dorówna. Nie odkrył metody otwierania bram bez Drogi. Może innym się to uda i wtedy Droga nie będzie potrzebna. Wymiana między światami będzie się rozwijać, ale nie będzie Drogi. To mogło być wyjaśnienie, dlaczego nikt więcej nie zbuduje Drogi w tym wszechświecie.

Może się też zdarzyć, że właśnie mocodawcy Mirskiego i Ry Oyu z krańca czasu uniemożliwią

stworzenie kolejnej Drogi. Lecz dlaczego pozwolili na stworzenie tej jednej, skoro była tak kłopotliwa?

Jeśli postąpią zgodnie z planem Ry Oyu i powiedzie im się - ryzyko jest dość znaczne - być może Ostateczny Umysł, którego jart w głowie Olmy'ego nazywa komendantem następcą, wyjaśni im to osobiście.

Tajemnica Patricii Vasquez zachowywała się spokojnie w duszy Korzeniowskiego. Plan Ry Oyu uwzględniał także jej potrzeby.

Ziemia

Zanim przydzielono Karen obowiązki w Christchurch, zadbała o to, by umysł jej córki otrzymał staranną opiekę. Niestety w Nowej Zelandii nie dysponowano koniecznym sprzętem, by przywrócić ją do życia. Ewakuacja i związane z nią zamieszanie mogły utrudnić sprowadzenie sprzętu, więc możliwe, że będzie musiała poczekać jeszcze kilka tygodni, zanim zobaczy córkę i będzie mogła z nią porozmawiać. Mogła więc tylko pracować i ćwiczyć się w cierpliwości.

Do pewnego stopnia zamieszanie działa na jej korzyść. Nikt nie miał czasu interesować się zaginięciem jej męża, który był tak ważny dla Hexamonu. Nie było czasu na dochodzenie, ani nikt nie oskarżał jej o zaniedbanie. W innych okolicznościach senator Ras Mishiney na pewno zająłby się tą sprawą dokładnie. Karen starał się zniknąć w tłumie, nie zwracać na siebie uwagi i pracować z poświęceniem, co kiedyś mogło okazać się argumentem przemawiającym na jej korzyść. Zachowywała się jak wzorowa obywatelka.

Kiedy ciała orbitalne nie mogły już przyjąć więcej uchodźców, zaczęto budować osiedla w pobliżu głównych miast Ziemi. Idealny obóz powinien zawierać jakiś odpowiednik pamięci miejskiej i technologiczne udogodnienia, do których obywatele byli przyzwyczajeni. Na przykład, cieplarnie z kwiatami, wyobrażała sobie Karen, lub wyspecjalizowane owady w ulach...

Przydzielono ją do obozu tworzonoego w pobliżu Melbourne. Pośredniczyła między administratorami wywodzącymi się z Ziemi a urzędnikami z ciał orbitalnych. Dzień po dniu, w miarę postępu prac, łagodziła spory i wyjaśniała nieporozumienia, pomagała znajdować wspólne płaszczyzny i dbała, by urazy Ziemian nie pokrzyżowały planów Hexamonu. Gdy wracała do swojej jednoosobowej kapsuły noclegowej, śnili się jej Garry i Andia jako dziecko... i Paweł Mirski.

Kiedy nie spała, czasem szlochała, a czasem leżała na koi nieruchoma jak głaz i próbowała zrozumieć własne reakcje. Mimo uczuciowej i seksualnej separacji nigdy nie wątpiła, że jest w związku małżeńskim z Garrym. Polegała na nim i czuła spokój, bo wiedziała, że zawsze może się z nim skontaktować.

Była wdzięczna losowi, że pograżył ją w chaosie i narzucił pracę do wykonania. Podejrzewała, że gdyby byli ze sobą bliżej, łatwiej byłoby się jej pogodzić z jego odejściem. Ostatnio rozbudziła w sobie nadzieję, że za kilka miesięcy zblizną się do siebie, i teraz ta nadzieja paliła ją niemiłosiernie.

Świat zmieniał się wokół niej. W głębi serca cieszyła się z tego. Jaka szkoda, że nie ma przy niej Garry'ego, razem dokoniliby teraz cudów. I to w jakim stylu!

Pamięć rozpoczęła już przemianę złych wspomnień w dobre. Tuszowała potknięcia, podkreślała blaski. Początkowo sprzeciwiała się tym drobnym nieuczciwościom, ale potem poddała się, tym bardziej, że przynosiło to ulgę w cierpieniu.

Budowa obozu miała się skończyć za tydzień. Przybywały już pierwsze promy z uchodźcami.

Tuż po południu ostatniego dnia tygodnia Karen wdrapała się na wzgórze obok obozu. Miała ze sobą kanapki i butelkę piwa. Objęła spojrzeniem dawny teren parku. Setki hexamońskich maszyn, wielkości ciężarówek, ustawiały schrony dla nowo przybyłych. Za kilka dni powstanie tu samowystarczalne, wielofunkcyjne osiedle.

Na wschodzie hałdy zbędnych materiałów oczekiwały na przetworzenie. Wartościowe składniki zostaną ponownie użyte, bezwartościowe będą zniszczone. Oczyszczone minerały, celuloza i dodatkowe składniki odżywcze - potrzebne quasiorganicznym składnikom maszyn - były gromadzone z boku w sześciennych bryłach.

Osiedle na równinie w dole było prawie skończone. Przypominało miasta na Thistledown. Wszystkie budowle były jeszcze przezroczyście - kopuły, piramidy, gospodarstwa rolne, ośrodki życia kulturalnego i społecznego, przypominające odwrócone filizanki. Lada chwila zostaną pokryte organiczną farbą, tkankami wykańczającymi, kolorami i płaskorzeźbami. Wtedy wyposażą się wnętrza. Tylko nieliczne będą posiadać dekorujące projektory. Mieszkańcy Hexamonu będą musieli przyzwyczać się do skromniejszego, niż dotychczas, wystroju pomieszczeń.

Bez wątplenia będą się czuli pozbawieni podstawowych wygod, myślała Karen. Ich osiedla, mimo to, będą wyprzedzać miasta Ziemi o kilka stuleci.

Zmuszeni do życia wraz z Ziemiakami, być może zmobilizują siły i dokończą prace związane z Uzdrawieniem. Ziemi i Kosmiczny Hexamon może w końcu się porozumieją i nawiążą prawdziwą współpracę.

Oczywiście, pod warunkiem, że przybysze z nieba nie będą myśleć wyłącznie o powrocie na Thistledown. Wówczas nic się nie zmieni.

Taka ewentualność wydawała się Karen mało prawdopodobna. Bez względu na oficjalną propagandę, Karen czuła, że ewakuacja była dziełem Mirskiego i częścią znacznie szerszej zakrojonej plany Ostatecznego Umysłu.

Wciąż błagała Rosjanina, by dbał o jej męża. Niemal modliła się do niego. Rozmyślenia poświęcone temu dziwnemu bogu stały się codziennym rytuałem. Przynosiły jej niespodziewaną pociechę.

Jeśli wmieszały się w to siły ponadludzkie, było całkiem prawdopodobne, że Garry nie umarł całkiem i bez reszty. Nawet jeśli nigdy go nie zobaczy, nie porozmawia z nim... on będzie nadal gdzieś istnieć.

Wiatr przyniósł od obozu zapach świeżej zieleni - zapach wzrostu, dojrzewania, życia. Karen spojrzała w niebo z irytacją. Zaprażyła, by Thistledown został zniszczony.

Dopiero późno w nocy, gdy obudziła się z niespokojnego snu, zdała sobie sprawę, skąd w niej te okrutne, niszczycielskie pragnienia. Ale zanim wstała, by przygotować spotkanie ojców miasta Melbourne z nowo wybranymi kierownikami obozu, zdążyła o tym zapomnieć.

Pragnienie pozostało. "Musisz wiedzieć, gdzie jesteś. Nie możesz żyć w dwu światach."

Droga

W tych dziwnych chwilach, gdy Rita nie była przedmiotem badań i testów, ani nie była przesłuchiwana przez jartów, starała się zrozumieć, co właściwie powiedziała jej babka. Mogła myśleć w miarę swobodnie i czuła, że jej myśli należą do niej. Miała nadzieję, że nie jest to kolejne złudzenie. Jasno zdawała sobie sprawę, że Patrikia nie doceniła jartów. W ogóle nie poświęciła im zbyt wiele uwagi. Teraz Rita musiała odpowiedzieć na pytanie: Jakim operacjom poddawali ją jartowie? Wyglądało na to, że starają się trzymać osobno jej myśli i jej ciało. Nie miała poczucia swego realnego ciała. Czuła, że jej realne ciało nie należy do niej. Niektóre złudzenia, w których uczestniczyła, były bardzo przekonujące, ale nauczyła się nie ufać pozorom rzeczywistości.

- "Gdzie jestem?" Była z powrotem w Drodze, to wydawało się pewne. Odniosła wrażenie, że mimo spustoszeń, jakie widziała, zadanie jartów na Gai nie zostało zakończone. Inaczej nie trzymano by jej tutaj. Testy przebiegałyby sprawniej, gdyby umieszczono ją w jakimś innym miejscu i dano jej ciało. "Czy Typhon nadal prowadzi śledztwo?" Nie wiedziała. Być może nie miało to znaczenia. Jartowie byli tak plastyczni, że jeden mógł zastąpić drugiego w dowolnej sytuacji.

Testy, które przechodziła, pozostawiały ślady w jej pamięci. Mogła o nich myśleć, gdy od czasu do czasu zostawiano jej czas wolny.

Umieszczano ją w różnych sytuacjach pomiędzy sztucznymi ludźmi, którzy przypominali jej znajomych. Początkowo byli to tylko ludzie z Rodos. Czasem wydawało się jej, że są realni. Część jej psychiki angażowała się poważnie w powierzane jej role. Rzetelnie uczestniczyła w inscenizowanych przedstawieniach. Ale zawsze pozostawała jakaś jej część, która nie dała się nabrać i zachowywała sceptycyzm.

Wiele razy spotkała Patrikię. Niektóre sceny powtarzały się wielokrotnie. W ten sposób uruchamiano głębokie pokłady jej pamięci. Mogła odświeżyć wspomnienia, i w ten sposób jartowie dowiadywali się o niej więcej.

Wszystko to zmieniło się po pewnym czasie, choć wydawało się, że wszystko znajduje się poza czasem. Zaczęła prowadzić regularne życie, była studentką w Aleksandrei. Złudzenie trwało bez przerw.

Znów była w żeńskim akademiku, walczyła z politycznymi i społecznymi przeciwnościami, chciała być zaakceptowana, uczestniczyła w zajęciach z matematyki i inżynierii. Wkrótce miała zacząć studiować fizykę teoretyczną.

Demetrios był jej didaskalosem. Mała częśćka Rity, której udało się zachować dystans, zastanawiała się, czy wykorzystano osobowość prawdziwego Demetriosa, w jej partnerze było bowiem coś wyjątkowo przekonującego.

Sceneria była całkowicie realistyczna, więc Rita mogła pozwolić sobie na chwilę odpoczynku, znów była u siebie. W końcu straciła wszelki krytycyzm i całkowicie uległa złudzeniu. W ostatnim odruchu sceptycyzmu pomyślała: "A więc pokonali mnie."

Była w prawdziwej Aleksandrei, choć czasem nieco zdeformowanej.

Nie pamiętała o swojej podróży na step.

Była bardzo zdolną studentką, przekonywała innych do swojego zadania. Demetrios był nią bardzo zainteresowany. Bardziej, niż wynikało to z relacji nauczyciela do ucznia. Mieli coś wspólnego ze sobą, ale trudno jej było to nazwać.

Dni mijaly, zbliżala się aigipska zima, sucha i chłodna. Poszli razem pływać łódką po Mareotis. Demetrios wyznał, że nauczył ją prawie wszystkiego, co sam wiedział, poza mądrością polityczną. - Tego uczysz się wolno. - Nie zaprzeczyła. Uważała, że uczciwość jest lepsza, niż jakiegokolwiek polityczne manewry i próby przystosowania się do panujących układów.

- Ale nie w Aleksandrei - pouczył ją Demetrios. - To nie jest dobra metoda nawet dla wnuczki Patrikii. A może szczególnie dla niej.

Białe ibisy spacerowały w płytkiej przybrzeżnej wodzie między piaskowcami i granitami, które tworzyły od tysięcy lat brzegi jeziora. Rita siedziała w łódce i rozpaczliwie próbowała coś sobie przypomnieć. Bolała ją głowa. Zapewne ciążyła jej nadmierna uwaga didaskalosa. Nie miała nic przeciw niemu, ale miała ważniejszy cel przed sobą. Musiała spotkać królową. Kiedy to nastąpi?

- Wciąż czekam na audiencję u Kleopatry - powiedziała nagle bez związku z ich rozmową.

Demetrios uśmiechnął się. - Twój ojciec to załatwił?

- Tak sądzę. - Głowa bolała ją coraz bardziej.

- Chce pokonać bibliofylaksa.

- Nie wiem, czy to jest dla niego najważniejsze. Czekanie na audiencję każdemu musi zająć dużo czasu.

- To trochę trwa. Jest bardzo zajęta.

Rita dotknęła swoich policzków. Stawiały opór, ale były chyba zrobione z niczego.

- Wracamy do brzegu - zakomunikowała spokojnie. - Nie czuję się dobrze. - Prawdopodobnie wówczas długotrwałe złudzenie zaczęło się rozwiewać. Jartowie nie ingerowali, ale coś zaczynało się psuć w psychice Rity. Obrazy i uczucia wzbudziły ukryte myśli, które pragnęły przedostać się do świadomości.

Mijały kolejne dni. Rita studiowała, usiłowała spać spokojnie w nocy, choć było to trudne - sen w śnie, jak pustka w pustce.

Śniła jej się młoda dziewczyna dobijająca się do drzwi babki. Chciała wejść. Kim była ta dziewczyna? Dlaczego potrzebowała Patrikii, która była akurat bardzo zajęta i nie dla każdego miała czas? Dziewczynka płakała i chudła, nie chciała jeść. Pewnej nocy była już tylko łupinką owiniętą w cienki len i pachnącą ziołami. Stała oparta o drzwi, jak zwój sztywnej tkaniny i zaciskała szczęki. Następnej nocy nie było jej wcale, choć nadal rozlegało się pukanie do drzwi, puste i rozpaczliwe.

Patrikia nigdy nie wpuściła dziewczynki.

Natomiast Rita została w końcu dopuszczona do królowej. Przeszła przez jej prywatne mieszkanie, spostrzegając siedzącego w rogu pokoju Oresiasa. Czytał długi zwój papirusu i wyglądał jak starożytny uczony. Obok wisiał portret pogrzebowy Jamala Atty.

Rudy Kelt zaprowadził ją do osobistych pokojów królowej. Za grubymi ścianami z chłodnego kamienia znajdowała się mroczna sypialnia. Pokój pachniał kadzidłem i chorobą. Rita przyjrzała się Keltowi. Było coś uroczego i dostojnego w jego wyglądzie, ale wewnątrz wypełniał go strach. - Powinam znać też twoje imię.

- Proszę wejść - odpowiedział. Moje imię nie jest ważne. Królowa czeka.

Królowa była chora. Leżała na szerokim skórzanym łóżku, przykryta skórą egzotycznych zwierząt z Południowego Kontynentu. Złote lampki oliwne paliły się wokół niej. Włączone było też słabe światło elektryczne. Królowa była bardzo stara, chuda i siwa, ubrana w czarną suknię. Przedmioty w drewnianych pudełkach leżały rozrzucone wokół łóżka. Rita stanęła przy prawym jego rogu. Oczy obu kobiet spotkały się.

- Nie jesteś Kleopatry - powiedziała Rita.

Królowa w ogóle nie odpowiedziała. Patrzyła na nią tylko.

- Muszę rozmawiać z Kleopatram.

Rita odwróciła się i zobaczyła Lugotorixa - tak się nazywał - stojącego w drzwiach sypialni. - Jestem w niewłaściwym miejscu - powiedziała z wyrzutem.

- Nikt z nas nie jest we właściwym miejscu - odpowiedział Kelt. - Pamiętaj. Staram się być silny, aby pamiętać, ale to nie jest łatwe. Pamiętaj.

Rita zadrżała, lecz nie czuła głębi tego strachu.

Typhon wyłonił się z mroku. Nie miał żadnych obrażeń. Był nie mniej realny niż Lugotorix. Mądre oczy w jego myślącej twarzy wyglądały bardziej po ludzku. - Możesz sobie teraz przypomnieć.

Thistledown City

Tapi Ram Olmy szedł korytarzem budynku mieszkalnego sprzed stuleci. Zgodnie z instrukcją, jaką otrzymał od ojca, szukał projektanta piętra Sektora Olmy'ego w zespole Triadycznej Rodziny. Przeszedł przez drzwi i znalazł się w pomieszczeniu wykończonym w stylu dawnych jego mieszkańców. Często badał ten okres w życiu ojca. Choć triadyczna rodzina spędziła tu tylko trzy lata, ojciec zawsze wracał do tego miejsca. Mieszkał tutaj, gdy musiał opuścić Aleksandrię, miasto drugiej komory, w ostatnim okresie Wygnania.

Tapi wciąż był nowicjuszem w świecie trwałych kształtów poza pamięcią miejską i żłobkiem. Nie rozumiał zaangażowania ojca i jego zobowiązań ale szanował je. Tapi był pewien, że cokolwiek ojciec zrobi, będzie słuszne. Stał obok jedyne okna w pokoju, które znajdowało się na prawo od wejścia. Wszedł po cichu i czekał, aż ojciec go zauważy.

Gdy Olmy odwrócił się, jego wygląd nieco speszył Tapiego. Nie był już tak pełen wigoru. Być może nie odżywiał się regularnie. Schudł, zgarbił się. Patrzył na syna niewidzącymi oczyma.

- Cieszę się, że przyszedłeś.

Tapi wykorzystał wszystkie możliwości, by zorganizować swój przyjazd. Wszyscy członkowie sił zbrojnych pełnili bez przerwy służbę. Nie chciał jednak opowiadać o tym ojcu.

- Cieszę się, że mnie zaprosiłeś.

Olmy podszedł do niego. Skoncentrował na nim wzrok. Patrzył na niego z miłością, choć starał się nadać swym oględzinom pozory obiektywizmu. - Bardzo pięknie - pochwalił przyglądając się szczególnie wykończenia, które mógł naprawdę docenić tylko ktoś, kto sam projektował swoje ciało.

- Zrobiłeś to bardzo ładnie.

- Dziękuję.

- Jak rozumiem, pojechałeś z wiadomością do Garry'ego Laniera... zanim umarł.

Tapi skinął głową. - Żałuję, że nie mogłem pod nim służyć.

- To był wybitny człowiek. I bardzo niedobrze się stało.

Tapi słuchał pochyliwszy głowę.

- Chciałbym, abyś przekazał wyrazy mojej miłości matce. Nie mogę się z nią spotkać.

- Jest internowana - powiedział Tapi. - Nie mogę z nią teraz rozmawiać.

- Zobaczysz ją wcześniej, niż ja.

Tapi zacisnął usta - znak, że zaczynał się martwić.

- Nigdy już nie zobaczę ani ciebie, ani jej. Nie mogę wyjaśnić nic więcej.

- Już raz to mówiłeś, ojczu.

- Tym razem nie ma żadnych wątpliwości. To się już nie powtórzy.

- Pawłowi Mirskiemu udało się wrócić - Tapi chciał odpowiedzieć żartem na wyznanie ojca.

Olmy odpowiedział uśmiechem, który zmroził syna.

- Na to też nie możemy liczyć.

- Czy mogę cię o coś zapytać?

- Wolałbym nie - odpowiedział Olmy.

Tapi skinął głową.

- I tak nie mógłbym odpowiedzieć.

- Czy mogę ci jakoś pomóc.

Olmy znów się uśmiechnął, ale serdeczniej niż poprzednio. - Tak. Jesteś przydzielony do sił obronnych w siódmej komorze.

- Tak.

- Chciałbym się czegoś dowiedzieć. Moje badania nie przyniosły jeszcze ostatecznych rezultatów. Czy broń jest przygotowana do obrony tylko przeciw jartom i istotom innym, niż ludzie?

- Nie jest zaprogramowana do zwalczania ludzi. Nie będzie ich niszczyć.

- W żadnych okolicznościach?

- Możemy ją wycelować w ludzi ręcznie. Ale nie będzie chyba czasu na ręczne celowanie.

- Nie róbcie tego.

- Ser?

- Nie celujcie w żadnym wypadku w ludzi. Nie mogę powiedzieć nic więcej.

Tapi przełknął ślinę i spojrzał w podłogę. - Muszę cię o coś zapytać, ojcze. Nie wykonujesz poleceń Hexamonu, to jest jasne. - Podniósł wzrok i dotknął ramienia ojca. - Czy działasz dla dobra Hexamonu?

- Tak. Ostatecznie Hexamon na tym skorzysta.

Tapi cofnął się. - Nie będę pytał dalej. Postaram się zrobić to, o co prosisz. Ale jeśli okaże się, że... - Wyraźnie był zakłopotany całą sytuacją i zły.

Olmy zamknął oczy i uściśnął mu rękę.

- Jeśli będziesz mieć jakiegokolwiek wątpliwości, czy to jest dla dobra Hexamonu, wyceluj broń w kogo chcesz.

Twarz Tapiego była poważa. - Czy coś jeszcze, ser?

- Masz moje błogosławieństwo.

- Czy kiedykolwiek się dowiem?

- Jeśli to tylko będzie możliwe, powiadomię cię o wszystkim.

- Czy możesz umrzeć, ojcze?

Olmy potrząsnął głową. - Nie wiem.

- Co mam przekazać matce?

Olmy wręczył mu notatnik. - Daj jej to.

Tapi włożył blok do kieszeni i zrobił krok w stronę ojca. Zawahał się, a potem zarzucił mu rękę na szyję i objął go serdecznie. - Nie chcę, abyś odchodził na zawsze. - Nie powiedziałem ci tego ostatnim razem. - Olmy zobaczył w jego oczach łzy.

- Mój Boże - powiedział łagodnie. - Umiesz płakać.

- To nie jest zły wynalazek...

Olmy dotknął łez palcem. Był zdumiony i powiedział: - Ależ tak. Zawsze żałowałem, że mnie w to nie wyposażono.

Opuścili mieszkanie razem i Olmy zamknął drzwi. Rozstali się w korytarzu bez słowa. Poszli w przeciwnych kierunkach. "Twój syn jest bardzo do ciebie podobny", skomentował jart.

- Za bardzo - odpowiedział Olmy.

Siódma Komora

Tunel średnicowy był tym razem prawie pusty. Poza Korzeniowskim i dwoma obserwatorami sił obrony, w cielesnej postaci nie było w nim nikogo. Przed kapsułą trakcyjną umieszczono ekrany ochronne, które w przypadku jakiegokolwiek niebezpieczeństwa miały przesunąć się pomiędzy kapsułą i przejście do Drogi. Awaryjne zapory miały wówczas zdestabilizować połączenie, a projektor wycofałby z niego całą energię. Miało to doprowadzić do natychmiastowego odłączenia Thistledown od Drogi.

Mimo tych środków ostrożności Korzeniowski był pełen obaw. Co teraz zrobią jartowie? Może przypuszczą jeszcze gwałtowniejszy atak? Będą bardziej pomysłowi i pokonają wszystkie zabezpieczenia?

Czuł się jak przed partią szachów z arcymistrzem, a stawką było życie.

Jeśli przeciwnik otrzymał i odczytał wiadomość, którą wysłał jart Olmy'ego, wydarzenia mogły potoczyć się zupełnie inaczej. Nie można było na to liczyć. Ryzyko było zbyt wielkie. Strumień energii pojawił się w przejściu prawie natychmiast po jego otwarciu. Nie wiadomo, czy jakikolwiek sygnał zdołał się przedrzeć na drugą stronę. Albo czy ktokolwiek zdołał go odebrać.

Stanął przed konsolą i położył ręce na obojczyku. Przez chwilę wyteżał uwagę i koncentrował wszystkie siły swej psychiki. Zaczął go ogarniać trans superprzestrzeni. Po raz kolejny przeżył chwałę, chaos i dostojeństwo przeszukiwania Drogi.

Znalazł ją dużo łatwiej, niż za pierwszym razem. Zmysłowa symulacja przestrzeni, którą wytwarzał obojczyk, była znacznie uboższa niż świat zmysłowych doznań człowieka. Zanurzony w sztucznej przestrzeni Korzeniowski orbitował wokół segmentu Drogi, choć przecież nie było żadnego "na zewnątrz".

Szybko określił współrzędne nowego przejścia.

Obojczyk i maszyny szóstej komory dokonały koniecznej korekty.

Thistledown prawie nie istniał w tej chwili dla Inżyniera. Był jak dym, który zdążył się rozwiać. Jak sen, który dawno się już przestał śnić.

Na wprost stanowiska dowodzenia pojawił się świetlisty punkt. Był wyjątkowo jaskrawy, jak nowa gwiazda. Korzeniowski polecił automatom wysłanie sondy, która zbada najbliższe okolice otwartej bramy.

Żadna energia nie wybuchła. Nowa brama była stabilna i nikt nie dokonał na nią zamachu. Po chwili automaty przesłały mu obraz z wnętrza Drogi.

Najbliższe otoczenie nowej bramy było puste. Na przestrzeni setek kilometrów, na wschód i na zachód, nie było w niej nic. Zbadano sygnałami radarowymi południowy kierunek Drogi i kazało się, że zalepiony jej koniec, który Korzeniowski próbował otworzyć poprzednio, znajduje się w odległości tysiąca kilometrów. Na tym odcinku Drogi nie dostrzeżono żadnych obiektów.

W kierunku północnym radar nie wykrył niczego w odległości przynajmniej pięciuset tysięcy kilometrów.

Korzeniowski ponownie przekazał sygnał jarta. Odczekał kilka sekund i zaczął wysyłać sygnał bez przerwy. Nie było żadnej odpowiedzi.

Panująca cisza mogła być uznana za wystarczająco wymowną odpowiedź. W porównaniu z ich poprzednimi wyczynami, było to wyjątkowo serdeczne powitanie.

- Mamy przyczółek - Korzeniowski powiadomił piktorem obserwatorów sił obrony. - Droga jest pusta co najmniej do punktu 5.5.

Potem Inżynier usunął roboty z Drogi i uszczelnił bramę. Ustalono wcześniej, że w takiej sytuacji, gdy w Drodze nie będzie nieprzyjaciół, Inżynier ma dokonać pełnego otwarcia stałej bramy między siódmą komorą i Droga.

Siły obrony były gotowe do inwazji i ochrony interesów Hexamonu.

Korzeniowski odpoczywał przez kilka chwil, potem wyprostował się i przystąpił do ostatecznego otwierania Drogi.

Punkt świetlny rozkwitł we wszystkich kierunkach. Wypełnił próżnię na wprost siódmej komory gąszczem pogmatwanych kwiatów i płataniną linii, które prowadziły do półrealnych wszechświatów, zanurzonych w geometrii statusu. Następnie kwiaty pobladły i usunęły się na boki.

Wyraźnie widoczna stała się krawędź siódmej komory w kolorze spizu. W mgnieniu oka Droga wypełniła sobą całe pole widzenia.

Inżynier czekał przy obojczyku na potwierdzenie, że operacja zakończyła się sukcesem. Centralna jednostkowość Drogi, szczelina, wydłużała się, aby sprostać nowej sytuacji.

Inżynier wiedział dokładnie, jaką długość osiągnie szczelina. Powinna zatrzymać się dziewiętnaście centymetrów poza lokusem obojczyka i odepchnąć nieco pole trakcyjne kapsuły.

Czuł, jak się zbliża. Wyglądała jak dziwne, zakrzywione zwierciadło, które rośnie tuż przed nim. Obojczyk odbierał jej obecność jako ogromną, dynamicznie ograniczoną siłę. Wszystkie napięcia Drogi i wewnętrzne sprzeczności zawarte były w spokojnie zaciśniętym węźle. Jednostkowość była w pewnym sensie bardziej realna niż cała Droga, lecz tylko nieliczni ludzie mogli zrozumieć ten rodzaj rzeczywistości.

Szczelina odepchnęła pole trakcyjne kapsuły Olmy'ego, które uformowało wokół niej cienki jasnoblękitny krąg. Nieubłagany, groźny nawet w odczuciu Inżyniera, tępy koniec szczeliny przypominał niektóre koszmarnie wersje ludzkiego świata. Zgodnie z oczekiwaniami, koniuszek szczeliny znajdował się o wyciągnięcie ręki od obojczyka.

Korzeniowski zdjął ręce z obojczyka. Nie widział Ry Oyu, ale zdawał sobie sprawę z jego obecności podczas całej operacji. Siły obrony w siódmej komorze rozpoczęły przeszukiwanie Drogi, w której mogli ukrywać się jartowie.

- Połączenie jest trwałe - oświadczył Inżynier. - Droga została otwarta.

Droga

Kamień obiegał Ziemię tak, jak zawsze od czasu Odłączenia, jednak teraz jego północny biegun zwrócony był w kierunku kosmosu, zaś z Ziemi widoczny był biegun południowy. Wokół siódmej komory panował mrok. Nawet najmniejszy promień światła nie mógł tam dotrzeć i powrócić odbity. Pole trakcyjne otulało szczelnie to miejsce i chroniło je przed niepożądanymi zanieczyszczeniami, które mogłyby wtargnąć do miejsca złączenia z Drogą.

Wiadomości rozchodziły się szybko.

Nie obchodzono hucznie ponownego otwarcia Drogi. Fakt ten był przedmiotem trzeźwej refleksji, a nie okazją do zabaw. Obsesyjna namiętność Hexamonu została zaspokojona.

Przez dziesięciolecia byli pozbawieni dostępu do obszarów Drogi i dziś powszechne były obawy, co się tam mogło przez ten czas zdarzyć, czy choćby, ile czasu tam upłynęło według wewnętrznej rachuby.

Nowe ciało prezydenta nie było jeszcze gotowe, wciąż nad nim pracowano. Korzeniowski został zaproszony do apartamentów prezydenta w trzeciej komorze, które znajdowały się na szczycie najwyższego budynku, w kurtynowej strukturze komory. Wysokościowce wisiały w niej jak kryształy na pajęczynie. Pusta przestrzeń odbijała echo i lśniła nieograniczoną bielą niezagospodarowanego środowiska. Obraz prezydenta był wytworzony w osobnym fragmencie pamięci miejskiej Thistledown i przesłany do apartamentu.

- Dzień dobry, ser Korzeniowski - Farren Siliom powitał Inżyniera, stojącego o kilka kroków od niego ze skrzyżowanymi na piersi ramionami.

- Zadanie zostało wykonane, panie prezydencie.

- Tak mi mówiono. Wspaniałe przedsięwzięcie, zdaniem pana kolegów.

- Dziękuję.

- Czy może pan wyjaśnić, dlaczego tak wielki obszar Drogi jest pusty?

Korzeniowski potrząsnął głową. - Nie mogę, panie prezydencie. "To jest prawie kłamstwo."

- Czy to możliwe, że jartowie czekają na nas w zasadzce?

- Nie wiem, co zamierzają zrobić jartowie.

- Mamy chyba pewną wskazówkę. W każdym razie ja mam. W pamięci miejskiej odwiedzili mnie goście. Trzech.

Korzeniowski uniósł brwi, jednak nie spojrzał na prezydenta. Był skrajnie zmęczony i pragnął przede wszystkim usiąść. Za jego plecami uformowało się krzesło. - Proszę wybaczyć. Nie spałem od dawna, ani nie używałem talsitu. Jestem bardzo zmęczony.

- Oczywiście. W pamięci miejskiej nie można naprawdę śnić. Wszystkie złudzenia są starannie oddzielane od jawy i nie można ich pomylić. To nie mogło być złudzenie.

Korzeniowski założył nogę na nogę i czekał na ciąg dalszy.

- Odwiedził mnie Mirski. I Garry Lanier, który zmarł niedawno... Ras Mishiney mówi, że polecił założyć mu implant. Nie popieram tego, ale nie mam wpływu na Mishineya... mogę tylko sprawić, że nie awansuje wyżej, niż na ziemskiego senatora. Tak czy inaczej, implant nie przechował osobowości Laniera. Znalazł się tam ktoś inny - córka Laniera, która umarła dwadzieścia lat temu i nie została odnaleziona. Któż ją sprowadził?

Korzeniowski westchnął dwuznacznie.

- Był u mnie także Ry Oyu. Rozmawiał ze mną. Lanier i Mirski nie mówili dużo. Ale odźwierny przeraził mnie. Przypomni mi o obowiązkach wyższych, niż ziemskie zobowiązania. Przyjeliśmy je wraz z odpowiedzialnością za funkcjonowanie Drogi. Droga musi przynosić korzyść wszystkim użytkownikom. Powiedział, że wywoła pan zmarszczkę, która wkrótce zniszczy Drogę.

- Tak - przyznał Korzeniowski.

- Ci bogowie mogą pojawiać się, gdzie chcą. Lanier i Mirski odlecieli. Już ich nie spotkamy. Odźwierny jest wciąż z nami. Mówi, że jeszcze nie wykonał swojego zadania... Choć wkrótce je wykona, jeśli jest pan nadal przekonany do jego planu.

- Jestem.

- To wykracza poza bieżące cele polityczne. Obaj jesteśmy na eksponowanych stanowiskach. Mogę pokrzyżować pana plany. Albo mogę się nie wtrącać i w ten sposób pomóc panu.

- Tak, panie prezydencie.

- Czy jartowie przestali z nami walczyć?

- Istnieje taka możliwość.

- Nie zaatakują Thistledown? Są gotowi oddać Drogę, choć tyle dla nich znaczy?

- Nie wiem. Jart Olmy'ego... - Korzeniowski zatrzymał się. Chyba nie powiedział czegoś, o czym prezydent nie wiedział.

- Wiem o jarcie Olmy'ego, chociaż wydaje mi się, że teraz to Olmy należy do jarta, a nie odwrotnie.

- To on prawdopodobnie spowodował, że wycofali się z Drogi. Wysłałem wiadomość, że ludzie nawiązali bezpośrednią łączność z kimś, kogo oni nazywają komendantem następcą. Z Ostatecznym Umysłem Mirskiego.

- Tak mi powiedział Ry Oyu.

- Prawdopodobnie nie zaatakują nas, jeśli to się potwierdzi.

- Nie mogę sobie wyobrazić, że jartowie oddają coś dobrowolnie. Na pewno nie przywileje i możliwości, które wiążą się z Drogą. Czy ludzie byłiby tak wspaniałomyślni.

- Obaj nie myśleliśmy o sobie w ostatnim czasie. Wykonywaliśmy polecenia dla dobra Hexamonu.

- To był nasz obowiązek.

- Tak, panie prezydencie. Ale są wyższe obowiązki, jak pan sam wspomni.

- Czy wiadomo, co nas spotka, jeśli Hexamon będzie uparcie dążył do utrzymania Drogi?

- Nie.

- Czy to możliwe, że Ostateczny Umysł przekona jartów, że Droga musi być zamknięta i w tym celu należy zniszczyć Hexamon?

- Nie wiem. Na pewno nie można tego wykluczyć.

- Obawiam się, że to prawdopodobne. - Wizerunek prezydenta przybliżył się do Korzeniowskiego. - Znam hierarchię swoich obowiązków. Musimy zachować Hexamon, niezależnie od tego, co myśli mens publica. Przybysze z przyszłości byli bardzo uprzejmi, dokonali sympatycznych cudów, ale nie możemy nadużywać ich dobrej woli. Dysponują siłą, która może nas zniszczyć w mgnieniu oka.

Korzeniowski patrzył na swoje dłonie. - Bez wątpienia.

- Nie mam wyboru. Muszę rozkazać, by zniszczył pan Drogę. Czy Thistledown może zostać uratowany?

- Aby całkowicie zniszczyć Drogę i uniemożliwić budowę następnej, musimy zniszczyć szóstą komorę. Jeśli spróbujemy... - dokończył piktorem, przesyłając obraz odnowionej szóstej komory, sił

Hexamonu walczących między sobą, wojny domowej i wielkich zniszczeń, które nie dotknęły Hexamonu nawet w czasie Odłączenia. - Nie mam wyboru, jeśli chcemy zniszczyć Drogę i uratować Hexamon. Thistledown przygotował się na swoją własną śmierć.

Wizerunek prezydenta ściemniał. - Dlaczego - zapytał cicho - komuś przychodzi do głowy, aby przewodzić ludziom? Mogą nas uznać za największych zdrajców w historii Hexamonu... Lecz niech tak się stanie. Zadbam o to, by ostatnia faza ewakuacji przebiegła spokojnie. Pan ostrzeże siły obrony... Chyba nie muszą wiedzieć, co się wydarzy, ale też nie powinni zginąć, walcząc mężnie do ostatniej chwili.

- Ostrzeżę ich.

- Jutro otrzymam nowe ciało. Kiedy rozpocznie się zniszczenie?

- Nie wcześniej, niż za sześćdziesiąt godzin, panie prezydencie. Najpierw musimy ewakuować wszystkich obywateli.

- Zostawiam to w pańskich rękach. Będę szczęśliwy, ser Korzeniowski, gdy ten problem przestanie mnie wreszcie nękać. - Prezydent zniknął. Przez chwilę w powietrzu unosił się jeszcze pikt kończący rozmowę i wyrażający wdzięczność za służbę wykonaną dla Hexamonu.

Pomiędzy

Praca na Thistledown była już skończona. Teraz poruszali się ukrytym kanałem w stronę punktów pomiędzy światami. Lanier stracił poczucie czasu. Było to poniekąd zrozumiałe, skoro już umarł. Wciąż jednak mógł myśleć i pamiętać, a jego umysł pracował według matrycy, którą zainstalował mu Mirski. “Czy jestem martwy?”, zapytał. “Ależ oczywiście, że tak” “Ale nie zapadłem się w nicość.” “A chciałbyś? To nie jest szczególnie interesujące.” “Nie...” “Nasz czas dobiegł końca. Musimy dokonać wyboru... Jak wrócić do domu.”

Lanierowi chciało się śmiać. Powiadomił o tym Mirskiego. “To cudowne, prawda? Taka wolność. Możemy wybrać drogę, którą leciał Ry Oyu, albo całkiem inną, o wiele dłuższą i trudniejszą.”

I wyjaśnił Lanierowi, jak przebiega trasa, o której mówił, i jak jest długa.

Unosząc się w łagodnym i uspokajającym pomiedzy, Lanier wchłaniał informacje. Świat, w którym spędził życie, wydawał mu się bardzo odległy, Obie trasy Mirskiego były do przyjęcia... Ale druga z nich była wyjątkowa. Bardzo rzadko Lanier wyobrażał sobie rzeczy tak niesamowite. Całkowita wolność, podróż ponad wszelkie podróże... i, jak powtarzał Mirski, podróż z określonym celem. “Skończony Umysł potrzebuje wielu obserwatorów wzdłuż Drogi, którzy będą przysyłać raporty. Od początku aż do końca.” “Nie zaczniemy tutaj?” zapytał Lanier. “Nie. Wrócimy na sam początek. Jesteśmy tylko obserwatorami, nie aktorami. Szczególnie teraz, gdy osiągnęliśmy już nasz cel. Dane, które zbieramy, nie mają znaczenia w czasie, gdy je zbieramy.”

Myśli Laniera oczyściły się, wyraźnie uchwycił nagłe uczucia nostalgii i miłości pomieszane z silnym poczuciem obowiązku. “Nie wyzwoliłem się jeszcze od przeszłości.” Mirski nie zaprzeczył. “Czy nie powinniśmy się pożegnać. Bardzo krótko. Z tymi, których kochaliśmy.” “Po raz ostatni i na zawsze?” zapytał Lanier. “Na pewno na bardzo długo... ale może nie na zawsze.” “Teraz ty jesteś tajemniczy.” “To nasz przywilej. Przy takiej wolności! Z kim chciałbyś się pożegnać?” “Muszę znaleźć Karen.” “Ja poszukam Garabediana. Czy możemy się spotkać, powiedzmy za kilka sekund, i zacząć pracę?”

Lanier poczuł, że może się nadal śmiać. Wypełniała go lekkość, ale ciężar obowiązku i nostalgii ciągnął go w dół. “Dobrze. Za kilka sekund. Choć to strasznie długo.”

Popędzili w dół tajemnym kanałem przeznaczonym dla delikatnych komunikatów podatomowych cząstek, czasoprzestrzennym ukrytym obwodem.

Karen szła wraz z trzema ziemskimi senatorami przez świeżo odmalowane ulice obozu pod Melbourne. - Nazywają je obozami. Dla mnie są to raczej pałace - powiedziała senator z Południowej Australii. - Nasi wyborcy będą im wciąż tego zazdrościć.

Dyskusje trwały od samego rana i Karen była już nimi zmęczona. Zapowiadało się, że potrwać nieznosnie długo. Organizowano kolejne spotkania, trwały bezcelowe kłótnie, narastała świadomość, że ludzie nigdy nie wyzwolą się od dziedzictwa, które otrzymali od małych przodków.

Karen zatrzymała się czując, że drżą jej kolana. Wezbrały w niej emocje, ogarnęła ją miłość i boleść, i radość. Spędziła wiele lat z mężem, pracowali wspólnie, byli dwojgiem ludzi. Przypomniała sobie to wszystko i ogarnęło ją niespodziewane wzruszenie. “Rozgrzeszenie. Nie jesteśmy doskonali. Mogliśmy zrobić tylko tyle, ile zrobiliśmy.”

- Garry - wyszeptwała. Czowała jego obecność. Niemal oddychała nią. Łzy napłynęły jej do oczu.

Jakaś jej część ostrzegła: "Nie teraz. Dookoła są ludzie." Ale uczucia narastały. Bezwiednie wyciągnęła przed siebie ramiona, jak do odległego słońca.

Senator z Południowej Australii przyglądała się jej ze zdziwieniem.

- Czy dobrze się pani czuje? - zapytała.

- Czuję go. To naprawdę on. Nie tylko ja - zamknęła oczy, opuściła ręce i trzymała je sztywno wzdłuż ciała. - Czuję go.

- Niedawno straciła męża - wyjaśniła senator z południowych wysp Nowej Zelandii. - Jest bardzo wyczerpana.

Karen nie słyszała jej. Słuchała tylko znajomego głosu. "Zawsze będziemy jedną drużyną."

- Kocham cię - wyszeptała. "Nie odchodź. Gdzie jesteś? Czy to naprawdę ty?" Znów uniosła ramiona zachłystując się powietrzem. Nie otwierała oczu. Przez chwilę czuła dotyk jego palców na swojej dłoni. "Świat jest pełen niespodzianek", usłyszała jego słowa, a potem poczuła, że jej mąż oddala się i ginie w nieskończoności.

Otworzyła oczy i zdziwiona rozejrzała się wokół. - Mój mąż - powiedziała, nie mogąc opanować drżenia. - Garry.

Została odprowadzona do małego ogródka pomiędzy budynkami. - Nic mi nie jest - uspokajała. - Chciałabym usiąść. Otaczały ją drzewa, przystrzyżone trawniki i architektura Hexamonu. Przez moment wydało się jej, że jest na Thistledown, w mieście drugiej komory i za chwilę pozna Garry'ego Laniera, z którym ma wspólnie pracować. Wszystko zacznie się od początku...

Otrząsnęła się i głęboko odetchnęła. Miała czysty i spokojny umysł. Spotkanie nie było złudzeniem, na pewno Garry pojawił się z zewnątrz, choć nigdy nikogo o tym nie przekona. - Wszystko w porządku. Już mi przeszło.

Początek Drogi

Korzeniowski postanowił odbyć podróż sentymentalną. Zapragnął dotknąć powierzchni Drogi, zanim zacznie ją niszczyć. Była czymś więcej, niż tylko jego jedynym dzieckiem. Włożył w nią tak wiele siebie, że było to niemal samobójstwo.

Pojechał windą na powierzchnię siódmej komory, przygotował pole środowiskowe i czekał, aż drzwi rozsuną się i ukąż zachwycającą przestrzeń, jakby niekończący się sen.

Jeśli odliczyć czas, który spędził jako zbiór uspionych fragmentów osobowości, naprawdę żył tylko przez początkowe sto lat i ostatnie czterdzieści. W Hexamonie nie było to dużo. Był jeszcze młodzieńcem. Był z pewnością młodszy niż jego dzieło, niezależnie od szybkości upływu czasu w Drodze.

Pompy usunęły powietrze z kabiny windy. Otworzyły się drzwi i Inżynier spojrział w rozwartą paszczę bestii, która kiedyś połknęła jego, Hexamon, jartów i sporo innych cywilizacji. Umożliwiła rozwój handlu między odległymi światami, umieszczonymi w różnych czasach, a nawet w różnych wszechświatach.

Nagie skały i metalowe dno siódmej komory ciągnęły się przez prawie dziesięć kilometrów. Dalej zaczynała się Droga. Jej powierzchnie były w kolorze spżu i pulsowały życiem. Korzeniowski wiedział, że jeśli spojrzy z bliska na powierzchnię Drogi, zobaczy pulsujące czarne i czerwone punkty, świadectwo ciągłej czujności kosmicznego tworu. Czasoprzestrzeń żyła własnym rytmem, kusiła i wyzywała próżnię, by ta przebiła jej powierzchnię i wtargnęła w jej obręb.

Długa na pięćdziesiąt kilometrów spżowa rura sięgała w nieskończoność przed oczyma Korzeniowskiego. Sztuczne światło, jakim posługiwano się na asteroidzie, stapało się z bladą, żarzącą się wstęgą, która biegła w głąb Drogi. Przez chwilę poczuł zawroty głowy, jakby sam stał się częścią geodezyjnego opisu tej niemożliwej powierzchni.

Mały osobisty prom czekał już na niego. Wsiadł i pofrunął kilka metrów nad dnem komory ku jej granicy z Drogą. Zatrzymał się dopiero trzydzieści kilometrów od południowego skraju Thistledown.

Wysiadł z promu i zawisł kilka centymetrów nad nagą powierzchnią Drogi. Wyłączył pole ochronne i dotknął nogami powierzchni. Aby być jeszcze bliżej, zdjął buty. Jego stopy spoczęły na czymś, co nie było ani ciepłe, ani zimne, ani gładkie, ani porowate. Droga nie posiadała właściwości termicznych. Była z pewnością ciałem stałym i było to wszystko, co dało się o niej w tej chwili powiedzieć.

Korzeniowski ukląkł i położył dłoń na jej powierzchni. Potarł ją lekko.

Po chwili wstał. Bardzo wyraźnie wyczuwał teraz podstawę, na jakiej zrekonstruowano jego osobowość - Tajemnicę Patricii Vasquez. Miał wrażenie, że Patriota stoi za jego plecami i przygląda się wszystkiemu wraz z nim. "To także jej dzieło", pomyślał. "Nasze potomstwo, cudowne monstrum."

- Nic nie jest czyste, poza tobą - powiedział do Drogi. - Jesteś naszym wcześniakiem. Nie rozumiemy, co do nas mówisz. Pozwoliłaś nam śnić niesamowite sny. A teraz będę cię musiał zabić.

Stał w ciszy przez kilka minut na milczącej, nierealnej powierzchni, a potem wrócił do promu i do tunelu siódmej komory.

Droga

- Jesteśmy więźniami - powiedziała Rita do Demetriososa, gdy siedzieli w łódce unoszącej się na jeziorze. - Wszyscy. Królowa nie żyje. Jamal Atta też. Nie ma ich tutaj.

- Dobrze - powiedział Demetrios. - Zgadza się, że coś nie jest w porządku. Ale co to znaczy, że jesteśmy więźniami?

- To jest test. Eksperyment. Janowie.

- Nie znam tego słowa.

Rita dotknęła jego twarzy ręką. - Czujesz coś? Czujesz, że jesteśmy więźniami?

- Wierzę ci na słowo.

- Czy pamiętasz Kelta Lugotorixa?

Od brzegu nadleciał ibis i usiadł na wiosle łodzi. Otworzył długi dziób i powiedział: - Może sobie przypomnieć.

Rita zagłębiła się w swojej przeszłości, szukając ukrycia. Co może sobie przypomnieć? I dlaczego? Nie mogła nic zrobić. Nie miało sensu uciekać, skoro jej nogi nie były realne. Czasem spotykała się z matką w kamiennym domu koło Lindos i rozmawiały o błahych sprawach. Odpoczywały na słońcu, które nie było już tak ciepłe i jasne jak dawniej. Spędziła cały dzień w świątyni. Była sama, towarzyszył jej tylko własny cień, który wiernie przesuwiał się u jej stóp, gdy szła po żwirowej ścieżce do kamiennej budowli. Przyglądała mu się bez większego zainteresowania. Gdy stanęła, ramiona cienia uniosły się, choć jej ramiona zwisały spokojnie wzdłuż ciała. Zaczął nimi wymachiwać. Jego ramiona były coraz dłuższe, sięgały poza żywopłoty i kamienne murki. Gałęzie drzew poruszały się, gdy ich dotykał.

Z przeciwnej strony nadszedł czarnowłosy młodzieniec. Stał koło niej przez chwilę, przyglądając się długim ramionom cienia, które sięgały już do krawędzi wyspy, a nawet nieba i rozpędzonych chmur. Nie zdziwiło jej to. Młodzieniec powiedział: - Tracimy cię, Rito. Nie wolno ci się ukrywać. Jeśli nie powstrzymasz wspomnień, twoja jaźń rozpuści się w nich jak cukier w wodzie. Bardzo tego nie chcemy. Będziemy musieli cię zdezaktywować. Czy nie lepiej raczej myśleć?

- Nie - powiedziała Rita zdecydowanym głosem. - Wiem, co robię.

Uciekła przed młodzieńcem, ale we wspomnieniach, czy może w marzeniach, wybrała niewłaściwą drogę.

Wpadła do magazynu z koszmarami sennymi.

Zanim miała zostać zdezaktywowana, zobaczyła duchy wszystkich, których zabiła. Unosili się ponad morzem z krwistą wodą, mieli noże w dłoniach i pytanie na wargach: "Dlaczego otworzyłaś bramę?"

Zabiła Gaię.

Ale sama nie mogła umrzeć.

Jej psychika leżała przypięta, jak motyl do korka, zbadana i zakonserwowana przez monstrualnego badacza. Widziała korytarze, jeden nad drugim, ciągnące się przez miliony kilometrów, w których stały rzędy metalowych klatek pełne ludzi - mężczyzn i kobiet, dzieci i starców, przyszłych matek i żołnierzy. Wszyscy stali się przedmiotem szczegółowych studiów. Był to najbardziej realny obraz, jaki kiedykolwiek widziała. "Jestem z wami", powiedziała. "Nie mogę przed wami uciec."

Mimo to biegła. Pozbawiona ciała, ścigała swoją duszę w krainie wspomnień, po wszystkich drogach umysłu, pełna żalu i poczucia winy. Biegła coraz szybciej, aż nagle zaczęła się topić, jak masło na patelni i rozplýwać, jak woda z pękniętego naczynia. Woda wsiąkała i parowała. Nie należała do nikogo. I sama stawała się niczym.

Krótkie ciepło, a potem już nic.

Thistledown

Thistledown, zbudowany przed trzynastoma wiekami, mierzonymi w jego własnym czasie, był bez wątpienia największym pomnikiem myśli ludzkiej. Droga, którą wytworzyły umieszczone na nim maszyny, umocniła jeszcze jego pozycję. Zbudowano na nim dwa największe i najpiękniejsze miasta ludzkie, choć nigdy ich w pełni nie zasiedlono. Był uzbrojony w najpotężniejszą broń, jaką kiedykolwiek wymyślili ludzie. Powstały na nim różnorodne cywilizacje. Był centrum filozofii i religii całej ludzkości - tutaj powstał mit Dobrego Człowieka, który ilustrował niedoskonałe, lecz chwalebne dążenie do Sprawiedliwego Postępu, Gwiazdy, Losu i Pneumy. To świadectwo potęgi ludzkiego ducha i ludzkiej historii ochrzczono ulotną i pokorną nazwą Thistledown, która znaczyła "puch ostu".

Farren Siliom przyglądał się bogactwom asteroidu ze swego apartamentu. Nie będzie miał czasu, aby przyzwyczaić się do swego nowego ciała. Żałował, że tyle pracy pójdzie na marne, ale pragnął zginąć w fizycznym kształcie.

Jeśli Thistledown miał umrzeć, on umrze wraz z nim. Wolał to, niż wyjaśniać obywatelom, dlaczego kazał go zniszczyć.

Mimo pewnej melancholii - coś podobnego dostrzegł w twarzy Korzeniowskiego - nie czuł się zdrajcą. Kosmiczna historia na pewno odda mu sprawiedliwość i uzna za bohatera. Mimo to, nie czuł się bohaterem. Był tylko małym ogniwem w łańcuchu historii, o którego losie zdecydowała pycha polityków.

Potrafił realistycznie ocenić swoje miejsce w historii Thistledown, choć miał obawy, czy obywatele uznają to miejsce za zaszczytne. Bez konsultacji ze społeczeństwem, wykorzystując zajmowane przez siebie stanowisko prezydenta, rozkazał, a w każdym razie poparł zniszczenie asteroidu. Zrobił to w obliczu nieodpartych argumentów, choć sam ich do końca nie rozumiał. "Przekonali mnie Bogowie. A historycy i tak rzadko kochają przywódców."

Zostawił rodzinę na Ziemi, w obozie w południowowschodniej Azji. Miał dwoje dzieci, które urodziły się w naturalny sposób, zgodnie z postulatami moralnymi naderytów, choć wyposażył je w udogodnienia oferowane przez technologię Hexamonu - nie był ortodoksyjnym naderytą. Jego dzieci będą wychowywały się w klimacie ziemskim, z dala od wpływu stacji orbitalnych. Stacje te zapewne odseparują się od Ziemi, choć nie pozbawią jej pomocy. W ciągu następnego stulecia lub dwu, przestaną być zdolne do życia i zaczną obumierać - tu posłużył się porównaniem nawiązującym do ziemskiego życia, także życia Garry'ego Laniera - tak jak ogon owcy, związany sznurkiem, odpada od jej ciała. Kto mógł przewidzieć taki koniec w czasie entuzjazmu po Odłączeniu.

Ziemia będzie się rozwijać sama, choć nie bez silnego wsparcia. Któż wie, co się z nią stanie, gdy zakończy się Uzdrowienie? Wpływ Hexamonu będzie nadal silny.

Farren Siliom umieścił swoich reprezentantów we wszystkich komorach Thistledown. Mógł odbierać od nich wszystkich dane zmysłowe. W ten sposób w pełni przeżyje i doświadczy śmierci swojej i całego Thistledown - jeśli to nastąpi. Nie stracił jeszcze do końca nadziei, że historia potoczy się innym torem. "Thistledown istniał zawsze." Przynajmniej za jego pamięci.

Ogarnęła go fala wzruszenia. Zatęsknił za dawnymi czasami w Drodze i zawstydził się. Wtedy świat nie był tak niepojęty, choć być może nie był prostszy. Nie spodziewał się, że tak bardzo będzie tęsknił do dziwnego i napawającego lękiem tworu Korzeniowskiego.

Od czasu Odłączenia Hexamonu nie był całkiem pewien, gdzie jest jego miejsce. Nigdy nie znalazł drogi do domu.

Początek Drogi

Olmy wyciągnął rękę i dotknął końca szczeliny. Gdy naciskał ją pod pewnym kątem, wciągała palce do środka, gdy zmieniał kąt, wypychała je. Szczelinę wypełniała nieruchoma energia, powstała z transformacji czasu i przestrzeni. Energia ta kiedyś zaopatrywała Hexamon. Korzeniowski przyglądał się Olmy'emu ze swojej kapsuły.

- Czy może pan wsiąść do któregoś ze statków bojowych?

- Mogę uruchomić przynajmniej jeden z nich. Mój odcisk dłoni jest w nim wciąż zakodowany. - Wskazał pierwszą z dwu maszyn zaparkowanych w tunelu średnicowym za kapsułą. Trzeci pojazd, uszkodzony przez jartów w czasie pierwszej próby ponownego otwarcia Drogi, został już usunięty. - Polecieliśmy nim w głąb Drogi i poza jej koniec... podczas Odłączenia... z Patricią Vasquez i Garrym Lanierem. Odwieźliśmy przedstawicieli Timbl i innych światów... zostawiliśmy Patriotę, by szukała swojej bramy. - Zagłębili się w tunelu i odszukali drogę do wjazdu pierwszego statku.

- Nie pamiętam, czy to ten - zmartwił się Korzeniowski. - Są takie podobne.

Olmy dotknął ręką kolistego pola otoczonego kolorową linią tuż obok wjazdu, który po chwili otworzył się bezszelestnie. Wnętrze pachniało czystością i metalem, i jeszcze trudną do określenia wonią dawno nie używanego urządzenia. Światło padające z wjazdu wycięło na przeciwległej ścianie tunelu prostokąt. Obaj mężczyźni wsiedli bez słowa.

Olmy przekroczył wstęgi pól trakcyjnych i zajął miejsce w kabinie pilota, Korzeniowski usiadł w przezroczywej kabinie obserwatora na dziobie. Reszta statku za ich plecami - długi cylinder wypełniony nielicznymi okrągłymi kształtami - tonęła w półmroku. "Czy coś ogranicza twoją swobodę posługiwania się statkiem?" zapytał jart. "Nie sądzę", uspokoił go Olmy. Miał kiedyś uprawnienia nie mniejsze niż senatorowie Hexamonu, powiększone jeszcze z powodu powiązań z siłami zbrojnymi. Od tamtego czasu nikt nie próbował zmieniać jego statusu. Statek powinien posłusznie wykonywać wszystkie jego polecenia. Nie spodziewano się, że pośród ludzi uprzywilejowanych znajdzie się taki chuligan, mimo, że Olmy dopuszczał się już nieprawomyślnych czynów. Nikt nie spodziewał się chuligana, który ukradnie statek bojowy i odleci w głąb Drogi...

Dzięki wpływowemu poparciu ze strony prezydenta i niewielkiej pomocy czujnego Tapiego, który wciąż był gdzieś na Thistledown, udało im się osiągnąć cel.

Olmy umieścił dłoń w przestrzeni sterującej i wytworzył pole startowe wokół statku. W mrocznym tunelu pojawiły się zielone i fioletowe wstęgi, które otoczyły statek i rzucały poświatę na ściany z kamienia i metalu. Statek zaczął zbliżać się do kapsuły, oddzielającej tunel od Drogi.

Korzeniowski wydał piktorom polecenie, by kapsuła otworzyła się i przepuściła statek. Przebili ściany wielkiego pęcherza i zbliżyli się do szczeliny. Szczelina miała przejść przez środek statku i nadać mu kształt litery U. Gdy statek wejdzie do Drogi, otwarty koniec litery U zamknie się obejmując przedłużoną jednostkowość i zaciskając się na niej. Kontrolując kąt tego zacisku Olmy spowoduje, że szczelina nada statkowi pęd i kierunek.

- Mój reprezentant właśnie daje sygnał ostatecznej ewakuacji - powiedział Korzeniowski. - Fałda powstanie w Drodze za sześć godzin. Będziemy już daleko do tego czasu.

Olmy skinął głową. Tapi i inni przedstawiciele sił obrony mogą pozostawić na asteroidzie swoich reprezentantów, ale nie zostanie na nim nikt żywy.

- Czy jest pan zmęczony życiem, Inżynierze? - zapytał Olmy bez związku.

- Nie wiem. Na pewno zmęczony niepewnością co do własnej tożsamości.

Olmy zgodził się. - Abyśmy się dowiedzieli, kim jesteśmy - powiedział udając, że unosi w dłoni kieliszek. Uruchomił silnik i statek zaczął nabierać prędkości. Zagłębił się w kapsule jak w maśle, a potem ześlizgnął się wzdłuż świetlistej wstęgi w korytarz Drogi.

Thistledown

Ostatni archiwiści i archeologowie Hexamonu usuwali setki tysięcy swoich pospiesznie wytworzonych reprezentantów z drugiej i trzeciej komory, gdzie do ostatniej chwili magazynowali zasoby kultury Hexamonu. Z braku czasu inne komory zostały pominięte.

Zawartość pamięci miejskiej i bibliotek została zachowana. Natomiast pominięto ukryte magazyny informacji, prywatne skrytki, w których obywatele, nieufni wobec oficjalnych więzi z bibliotekami, gromadzili dane. Nikt nie wiedział, jak wielki fragment historii został w ten sposób na zawsze utracony.

Archiwiści rozpaczali, gdyż przed Odłączeniem było dość czasu, całe stulecia, by dokładnie badać i klasyfikować zasoby informacji, jednak nikt nie poświęcał temu uwagi. Nie przewidziano nagłego zakrętu historii.

Siły obrony wycofały się wraz z ostatnimi archiwistami. Pozostało tylko kilku samobójców i miłośników mocnych wrażeń oraz prezydent Farren Siliom, gotów odpokutować swoje decyzje, które zapewne nie mogły być inne.

Siedział, w pozbawionym mebli pokoju, na szczycie swego mieszkania w trzeciej komorze i skracał sobie czas wytwarzając piktogramem artystyczne wzory. Nikt jeszcze nie odkrył, że tutaj się schował. Oszczędził sobie i innym zakłopotania. Nikt nie powinien przeszkadzać obywatelowi, który wybrał drogę własnej zagłady.

Nic nie wskazywało na zbliżający się kataklizm. Thistledown funkcjonował bez zarzutu.

Droga

- Ustawiam przyspieszenie na jeden G dla pierwszych kilku minut - zakomunikował Olmy. Potem zapytał Jarta: "Czy wiesz, gdzie są twoi ludzie?" "Stacje jednostkowości są rozmieszczone w odstępach około pięciu milionów kilometrów na naszych terenach. Najpierw natkniemy się na stacje obrony szczelin i zapory obronne." "Więc nie powinniśmy poruszać się zbyt szybko?" "Nie szybciej niż z prędkością jednej pięćdziesiątej c. To jest maksymalna prędkość naszych statków. Wszystko, co porusza się szybciej, jest automatycznie niszczone." "Spodziewam się, że będziesz mógł zawiadomić przełożonych, że nie jesteśmy przeciwnikami?" "Kiedy nadejdzie czas, polecę ci wysłać odpowiedni komunikat."

Olmy, który korzystał w tej chwili z pewnej niezależności - a przynajmniej tak mu się wydawało - nie miał ochoty znów zostać zniewolony. Powiadomił o całej sytuacji Korzeniowskiego.

- Powinniśmy być w odległości miliona kilometrów od Thistledown, gdy powstanie fałda - odpowiedział Inżynier. Przesłał piktorem wyniki swoich obliczeń, z których Olmy zrozumiał przynajmniej, jakie będzie przyspieszenie fali niszczącej Drogę, prędkość konieczna, by przed nią uciec, i ile czasu zostanie im na końcu, by wykonać polecenia Jartów.

Czy do tego właśnie przygotowywał się przez ostatnie lata?

Sądził, że przygotowuje się do wojny. Tymczasem wyruszył w szaloną podróż w głąb Drogi, aby zaspokoić niejasne, na wpół religijne pragnienia Jarta, podrzuconego na Ziemię jak koń trojański. Nie powinien narzekać. Zyskał tyle, że jego pomyłka nie spowoduje zniszczenia cywilizacji Hexamonu. Jego własna ofiara była tak drobna w porównaniu z tą, jaką mógł ponieść cały Hexamon.

Na ekranie pojawił się powiększony obraz północnego bieguna Thistledown, który oddalał się za nimi. Nie było widać żadnych działań urządzeń obronnych. Tylko czujniki głębi Drogi i automatyczne pola oczyszczające były w pogotowiu.

W statku bojowym nie czuło się przyspieszenia - system amortyzujący działał sprawnie. Zaczęli przyspieszać do jednego G.

- A więc lecimy.

Korzeniowski nie mógł przestać myśleć, co stanie się w szóstej komorze. Kilka urządzeń kontrolnych miało się, zgodnie z jego planem, zepsuć w najbliższym czasie. Inne będą próbowały przejąć ich funkcje. Przez pewien czas będzie to możliwe, ale potem narastające napięcie doprowadzi do ich przeciążenia i szybkiego zniszczenia. Węzły projekcyjne wyłączą się na chwilę, by umożliwić robotom zrównoważenie przeciążeń. Gdy żadne naprawy nie zostaną dokonane, węzły ponownie zaczną działać, by uniknąć samozniszczenia, spowodowanego narastającą niestabilnością Drogi. Wtedy eksploduje cała szósta komora.

Kosmiczna fałda zacznie się kształtować w Drodze.

Gdy powstanie fałda. Droga zacznie umierać. Podstawowe stałe fizyczne zaczną się gwałtownie zmieniać. Materia znajdująca się w Drodze ulegnie anihilacji, zmieni się w promieniowanie, które nie występuje w normalnej czasoprzestrzeni. Promieniowanie zamieni się szybko w energię wysokiej częstotliwości, w cząstki podobne do protonów, które wyciekną przez fałdę i zaczną pojawiać się w okolicy Thistledown oraz w przypadkowych miejscach wszechświata, odległych o tysiące lat świetlnych od słońca. W normalnej przestrzeni staną się fotonami, widocznymi jako błękitna aura Czerenkowa.

Korzeniowski był bliski łez. W przeciwieństwie do Olmy'ego nigdy nie wyeliminował takich stanów emocjonalnych ze swojej osobowości. Czuł głęboki smutek, który sięgał do tych części psychiki, które zawdzięczał Patricii Vasquez. Ich wspólna Tajemnica czuła, co ma zostać zniszczone i jaką to miało wartość dla Inżyniera. Droga była częścią jego istnienia.

- Właśnie się zaczęło - oświadczył Olmy.

Ry Oyu wyłonił się z mroku za nimi i powiedział do Korzeniowskiego: "Pańska dzielność zasługuje na najwyższy szacunek."

Korzeniowski pochylił głowę.

Axis Euclid

Suli Ram Kikura nie była już więźniem Hexamonu. Mogła opuszczać swoje mieszkanie i czuć się znów wolnym człowiekiem. Mogła swobodnie rozmyślać nad chaosem, który zapanował kilka tygodni temu.

Miała niejasne przeczucie, że Olmy był w znacznym stopniu sprawcą tych wydarzeń. Może nawet wiedział dokładnie, co się działo. Nikt inny tego nie wiedział.

Była zła, rozdrażniona i przygnębiona, ale nad tymi odczuciami dominowało poczucie obowiązku. Przede wszystkim musi zdobyć pewność, że ewentualne zniszczenie Thistledown nie zagrazi ziemi. Nie знаła się na sprawach technicznych i nawet, używając całej mocy swego implantu, nie umiała odpowiedzieć na to pytanie.

Ogarnęła ją radość, że może się komunikować ze światem i nikt nie będzie jej podsłuchiwał. Zapragnęła połączyć się z Judith Hoffman.

Gdy wybrała numer ziemskiej rezydencji Hoffman w Południowej Afryce, zastała tam wiadomość dla siebie. Wiadomość przeznaczona była tylko dla nielicznych osób, które mogły zatelefonować, i Ram Kikura była jedną z nich. Hoffman była na Thistledown aż do ostatniej chwili. Pozostawiony przy telefonie reprezentant chciał ustalić termin spotkania. Możliwe było także zdalne połączenie, gdyż kanały komunikacyjne nie były zablokowane przez Hexamon.

Ram Kikura na ogół nie lubiła się narzucać, ale teraz nie wahała się ani przez chwilę. - Jeśli możesz otworzyć kanał, będę bardzo wdzięczna.

Reprezentant przygotował połączenie, wybrał odpowiedni kanał i po chwili Hoffman pojawiła się osobiście w pokoju Ram Kikury. Siedziała w białym fotelu wyczerpana i nieszczęśliwa.

- Suli! - wykrzyknęła Hoffman siląc się na uprzejmość i spokój. - To całkowita katastrofa. Straciliśmy dwie trzecie zasobów. Jeśli tak dalej pójdzie, stracimy wszystko...

- Czy wiesz, co się dzieje?

- Nikt tego nawet nie klasyfikuje. - Hoffman machała ręką i nie słuchała Ram Kikury. - Premier uchylił przepisy o zastrzonych środkach bezpieczeństwa.

- Wiem. Dlatego jestem wolna.

- Otwarcie Drogi to katastrofa. Mówią, że w Drodze powstaje niestabilność, ale nie wiem, jak Korzeniowski mógłby do tego dopuścić.

- Mirski? - podsunęła Ram Kikura.

Hoffman nerwowo tarła szyję dłonią. - Byliśmy ostrzeżeni.

Kolory jej podobizny zmieniły się. Z szeroko otwartymi oczyma przyglądała się przezroczytemu ekranowi za plecami Ram Kikury. Jej twarz wyrażała zdziwienie i niepokój. - Co się stało? - zapytała. Ram Kikura usłyszała kilka stłumionych głosów.

Wyjrzały przez okno w ciemność, która w ostatnim czasie otaczała bez przerwy północny biegun Thistledown. Ciemności już nie było. Niebo wypełniała błękitna poświata.

- Coś się dzieje - krzyknęła Hoffman. - Transmisja...

Jej wizerunek zbladł i zniknął z sykiem. Ram Kikura poprosiła o obraz otoczenia asteroidu. - Gdzie jest Thistledown? Chcę go zobaczyć w powiększeniu.

W pokoju pojawił się błękitny krąg. Był piękny i niepokojący. Nie przesłaniał gwiazd widocznych poza ziemią. - Thistledown - powtórzyła. - Chcę zobaczyć, gdzie jest Thistledown. -

Czerwona linia projektora wiła się jak wąż wokół białych przedmiotów wielkości ziaren fasoli i migotała. Obraz nie pochodził z Thistledown, ani ze statków w jego okolicy. Obraz napływał z całej przestrzeni, ze wszystkich kierunków.

Przedmioty podobne do fasoli rosły w oczach. - Powiększenie - rozkazała. - Wiedziała, że dziesiątki tysięcy obywateli w Axis Euclid wydawały to samo polecenie. Jej prywatny projektor migotał, gdy w okolicy włączały się inne wzmacniacze i przekaźniki.

Wreszcie pojawił się powiększony obraz Thistledown z widocznymi wyraźnie szczegółami. Asteroid, odwrócony północnym biegunem od Ziemi i innych stacji kosmicznych, otaczała błękitna korona. Ale i biegun teraz płonął. Koncentryczne kręgi, złożone z błyszczących punktów, tworzyły się za południowym biegunem i otaczały asteroid lśniąca aureolą.

Włączyły się silniki napędu Beckmanna, była tego pewna. Nie używano ich od czasu Odłączenia. Teraz Thistledown chciał oddalić się od Ziemi i innych stacji.

Dawniej była to tylko teoretyczna możliwość, teraz widzieli to na własne oczy - Thistledown przygotowywał się do własnej śmierci.

Podejrzała, że Olmy jest wciąż na Thistledown lub w jego pobliżu - może w Drodze.

Ram Kikura, podobnie jak Olmy, nie była wyposażona w możliwość płaczu. Siedziała w ciszy i przyglądała się obrazowi Thistledown odbieranemu przez czujniki zmysłowe Axis Euclid. "Jak długo?"

Blask wokół silników Beckmanna wzmagął się. Pióropusz mszczony materii, odbity od krateru bieguna południowego, tworzył nierówną szczotkę wyraźnie widoczną na nienaturalnie błękitnym tle. Wszystko to było niewiarygodne. Znow miała wrażenie, że ogląda pokaz ogni sztucznych stworzony ku uciechu znudzonych obywateli. Prawda tego obrazu była zbyt nieprawdopodobna. "To przykre", pomyślała, gdy jej implant walczył z nadmiarem wyzwolonych emocji, które musiał neutralizować. - Wiem, że on tam jest. I tam jest mój dom. Tam się urodziłam i wychowałam. Tam żyłam, gdy byliśmy w Drodze."

Nie mogła na to patrzeć, ale nie miała siły, by się ruszyć.

Jedyne, co mogła zrobić dla swojej przeszłości, to siedzieć i obserwować jej śmierć.

Ziemia

Setki i tysiące ludzi wyszły na ulicę, by obserwować niesamowite zjawiska na niebie. W Melbourne wybuchł szal religijny połączony z zamieszkami. Z balkonu pokoju hotelowego Karen słyszała krzyki ludzi, narastające jak pomruk fal przed sztormem. Po epizodzie podczas ewakuacji, gdy widziała zmarłego męża, kazano jej wziąć tydzień urlopu i odpocząć. Nie była z tego zadowolona, gdyż nie miała czym wypełnić sobie czasu.

Patrzyła spokojnie na ognie rozbłyskujące na niebie. Widziała już wiele cudów w życiu. Każdy kolejny robił mniejsze wrażenie. Po wydarzeniach ostatnich tygodni spodziewała się następnych. Podejrzała, że poświata na niebie pochodzi z Thistledown, ale sam asteroid był niewidoczny.

O północy zobaczyła ognisty pióropusz silników Beckmanna rozkwitający na niebie. Jego koniec wystawał zza horyzontu na północy i kończył się tuż nad nim. Musiał być ogromny, przynajmniej dziesięć tysięcy kilometrów długości, wnioskowała. Nie wiedziała, co to znaczy. Mógł to być sygnał, że Thistledown umiera. Ale naprawdę jego śmierć miała dopiero nastąpić.

Siedziała na leżaku na hotelowym balkonie i piła kawę. Melbourne było pięknie oświetlone, wieżowce odcinały się wyraźnie na tle nocnego nieba. Była zimno i mimo, że zawinęła się dokładnie w gruby sweter, drżała. Być może wypila za dużo kawy.

Czuła się ludzkim wrakiem. Może kiedyś odbuduje swoje siły i powróci do prac przy Uzdrawieniu, może stanie się w pełni sprawną ludzką istotą. Na razie kurtyna była opuszczona, a robotnicy zmieniali dekoracje. Czy, gdy znów zapłoną reflektory, pojawi się w ich świetle nowa Karen Farley Lanier, czy tylko odświeżona dawna Karen. Miała nadzieję, że nowe przedstawienie zakończy się większym sukcesem. Pomoże jej w tym Andia. Ale dopóki jej nie zobaczy, będzie równie nierealna, jak światła na dalekim niebie.

Pióropusz powiększał się z upływem czasu. Zdała sobie sprawę, że Ziemia się obraca i Thistledown wkrótce wzejdzie nad horyzontem - jeśli będzie jeszcze istniał.

Nie spotkała już więcej swojego męża. Czasem wątpiła, czy był to naprawdę on. Może uległa złudzeniu. Jednak wewnętrzny głos zapewniał ją, że się nie pomyliła.

To jedno wydarzenie mogło dodać jej sił. Jeśli siły, które reprezentował Mirski, uratowały jej męża lub umożliwiły mu jakiś inny rodzaj istnienia, może wszystkie rzeczy kiedyś się ułożą. Może jej życie, choć tak mało ważne w porównaniu z tysiącletkami i latami świetlnymi, ma jakiś sens i nie jest bezużyteczne. Może warto je kontynuować.

Choć nie w nieskończoność.

Garry głęboko zaszczerpił w niej przekonanie, że starość, śmierć i zmiana są naturalnymi zjawiskami, jeśli nie dla obywateli Hexamonu, to przynajmniej dla ludzi, którzy widzieli powolny proces ewolucji i rozwoju życia na przestrzeni wieków.

Pewnego dnia pozwoli sobie na starość i śmierć. Uśmiechnęła się na myśl, co powiedziałaaby Ram Kikura.

Początek fioletowej smugi wyłonił się zza horyzontu. Powinien się tam znajdować Thistledown, ale przypominało to raczej ognistą kulę wybuchającej petardy.

Punkt rozbłysł jak słońce i rozświetlił niebo nad Melbourne. Zrobiło się jasno jak w południe. Karen, która wciąż trzymała w ręku filiżankę z kawą, wykonała gwałtowny ruch, by osłonić oczy przed oślepiającym blaskiem. Uderzyła się boleśnie w ucho i wypuściła filiżankę, która rozbiła się o

betonową posadzkę.

Przeklinając po chińsku i po angielsku wstała z krzesła, przeszła przez szklane drzwi i zniknęła w łazience. W lustrze zobaczyła czerwonozielony obraz, przypominający negatyw. Mrugała oczyma, ale wciąż była zbyt oślepią, by widzieć wyraźnie.

Błyskowi nie towarzyszyła eksplozja, wszystko odbyło się w ciszy. Za oknem nie słyhać już było krzyków ludzi. Gdy znów zaczęła widzieć normalnie, wybiegła na balkon i spojrzała w niebo. Na tle głębokiego mroku żarzyła się jeszcze fioletowa smuga, ale bladła z każdą chwilą. U jej początku, tam, gdzie kiedyś był Thistledown, dogasał mały czerwony punkcik wielkości paznokcia.

Thistledown City

Farren Siliom poczuł dźwięk miażdżenia i zgniatania asteroidu zanim go usłyszał. Dotarł do niego przez kotwice i kable, na których zawieszono były budynki. Drżenie podłogi wywołało ból w kościach.

Reprezentant w szóstej komorze relacjonował:

Północny tunel średnicowy w siódmej komorze wyrzucał z siebie fontanny białego i zielonego światła. Jego blask wzrastał się, w miarę oddalania się od tunelu, i sięgał do najdalszych zakątków trzydziestokilometrowej komory. Na przeciwległym jej krańcu światło uderzało w północną czapę zamykającą komorę i rozpryskiwało się, wytwarzając lśniące fioletowoniebieskie i zielone kręgi.

Maszyny szóstej komory już nie pracowały. Reprezentant obserwował samą komorę. Podłoga zaczęła się wyrzyszczać, choć było to niewiarygodne. Hałas i wibracje nie wskazywały na działanie tak potężnych sił, by mogły zmienić strukturę przestrzenną komory. Stanowiska maszyn zamykały się i tworzyły bąble przypominające mydlane bańki. To również było niezrozumiałe.

Hałas narastał. Północna czapa pękła jak talerz przestrzelony karabinową kulą. Ze szczelin, które przecięły ją we wszystkich kierunkach, zaczęły tryskać roztopione skały i metal, tworząc spiralne kształty w przestrzeni pod wpływem nierównomiernej siły odśrodkowej, wywołanej gwałtownym obrotem asteroidu. W zwolnionym tempie, jak we śnie, szczyt komory walił się na jej podłogę. Reprezentant obserwował to przez chwilę, a potem kurz i dym przesłoniły mu komorę i transmisja urwała się. "Thistledown rozpada się", pomyślał Farren Siliom. "Fala zbliża się do mnie."

Reprezentant w piątej komorze obserwował góry i rzeki zniekształcone, jak w pękniętym, krzywym zwierciadle. Północna czapa drżała, ale nie było wycieku roztopionej lawy. Powietrze ochłodziło się gwałtownie i transmisja się skończyła.

Z czwartej komory przekazywany był łoskot, który w pełnym brzmieniu byłby ogłuszający - na szczęście reprezentant zastosował filtry ochronne. Drzewa rozpadały się na fragmenty, rzeki i jeziora były w stanie wrzenia, ziemia wznosiła się i opadała.

Ponieważ szósta komora została zniszczona, asteroid był pozbawiony grawitacyjnej amortyzacji. Każda gwałtowna zmiana jego orbity lub szybkości i kierunku obrotów musi spowodować zawalenie się miast w drugiej i trzeciej komorze. Były teraz bezbronne, jak domki z kart na wietrze.

Farren Siliom był świadkiem własnej śmierci kilka minut wcześniej, zanim rzeczywiście nastąpiła. Niestety, nie zobaczy ostatniego momentu zagłady Thistledown.

Droga

Korzeniowski zdawał sobie sprawę, że fałda już się utworzyła i pierwsze komory Thistledown zostały oderwane. Wyzwolone siły będą obracać asteroid, jak kawałek gliny na tarczy garncarza. W pewnym momencie nastąpi odwrócenie kierunku obrotów i fałda zacznie się przemieszczać w kierunku Drogi. Wtedy cały Thistledown zostanie zniszczony.

Widział rozwój wydarzeń z przeraźliwą jasnością. Jego implant co chwila kreował w umyśle obraz zagłady asteroidu. Poczucie winy zmuszało Inżyniera do obserwowania dzieła zniszczenia, które zapoczątkował i za które wziął odpowiedzialność... Był twórcą Drogi. Wystawił Hexamon na pokuszenia i terapokój.

Statek nieznacznie zadrżał. Olmy przyjrzał się najbliższym kilku tysiącom kilometrów i ich radarowej analizie. W oddali pojawiły się dziwne, kwadratowe obiekty unoszące się kilometr powyżej szczeliny. “Zbliżamy się do naszych stacji”, ostrzegł Jart. “Zacznij nadawać komunikaty.”

Olmy uruchomił szczęki hamujące, szczelina zaczęła lśnić na zielono. Zanim się zatrzymają, pokonają jeszcze około pięciu milionów kilometrów. Stacja Jartów znajdowała się prawdopodobnie w tej odległości.

- Spotkamy Jartów za około godzinę - powiadomił Inżyniera.

Jart przejął kontrolę nad Olmy'm i zaczął wysyłać komunikaty przez przekaźniki radiowe wysokiej częstotliwości.

Axis Euclid

Ram Kikura obserwowała Thistledown, obracający się raz w tę, raz w tamtą stronę. Przypominał ogromne wrzeciono, na które nawijała się nie tylko po to, by po chwili można ją było zrzucić. Jedna trzecia asteroidu od strony północnej już się stopiła. Płynna materia bez przerwy rozpryskiwała się w przestrzeni, tworząc wachlarz płonących czerwonych liści wokół pozostałej jeszcze części kosmicznego globu.

Prom, na którym znajdowała się Hoffman nie został zniszczony, jak się przed chwilą dowiedziała. Rozmowa została przerwana, ponieważ wszystkie kanały musiały być wolne, aby przesyłać oficjalne komunikaty Hexamonu. Zagłada Thistledown nie odbije się negatywnie na losie Ziemi i pozostałych stacji orbitalnych, jeśli pominąć kilku Ziemiaków, którzy przejściowo zostali oślepieni.

Ram Kikura wstała i zaczęła spacerować po mieszkaniu. Nie mogła oderwać oczu od obrazów transmitowanych z kosmosu. “Co dalej? Jak długo...”

Tuż obok Thistledown uformował się wielki lejek podobny do ogromnej trąbki jazzowej. Drżał jak meduza i mimo pewnego podobieństwa do Drogi, nie posiadał żadnej z jej istotnych cech. Był dziwnym tworem, nie podobnym do niczego we wszechświecie. Powstał nagle i zachowywał się jak czarna dziura, pochłaniająca energię i materię z ginącego asteroidu. Thistledown gwałtownie zaczął zbliżać się do rozchylonego krańca lejka.

Gwałtowne przyspieszenie, jakiemu został poddany asteroid, było dla niego zabójcze. Bryła skalna została rozcięta z chirurgiczną precyzją wzdłuż ścian oddzielających poszczególne komory. Jak gigantyczne ciastko, podzielone niewidzialnym nożem, rozpadł się na kilka części, które zderzając się ze sobą zmierzały do otworu lejka, jak do wielkiej paszczy zgłodniałego smoka.

Powietrze, woda, skały, ziemia, wszystko, co tylko znajdowało się na orbitalnym globie, rozmazało się na niebie jak farba, którą nieuważny malarz roztarł palcem na ścianie. Fragmenty miast, gór i lasów wirowały wokół, jak gwiazdny kurz. Wirując zagłębiały się w lejku, jak w gigantycznej rurze odpływowej, która miała je na zawsze usunąć z tego świata. Wszechświat stał się uboższy o biliony ton materii.

Nic jednak nie ginie w naturze. W całym kompleksie czasoprzestrzeni pojawią się niespodziewane wycieki energii. W najdalszych zakątkach wszechświata, bez uprzedzenia i bez widocznej przyczyny, tryskać będzie energia “znikąd”. Będą jednak tak rozrzucone w czasie i przestrzeni, że najprawdopodobniej nie zdarzą się w pobliżu żadnej gwiazdy ani, tym bardziej, planety. Przez tysiące, a może miliony lat małe strużki promieni gamma będą zagadką dla astronomów różnych cywilizacji. Czy któryś odkryje ich pochodzenie?

Prawdopodobnie nie.

Ram Kikura obserwowała obraz jeszcze przez kilka minut po zniknięciu Thistledown. Kosmiczny lejek, który stopniowo bladł i zanikał, był już tylko wirującą spiralą drobnych okruchów na tle głębokiego mroku, przesłaniającego gwiazdy.

Potem zamknął się jak drapieżny kwiat, który pochłonął zdobycz i zajął się jej trawieniem.

Rozpoczęło się długie samobójstwo Drogi.

Droga

Stacja jartów, do której się zbliżali, wyglądała jak ogromny czarny trójkąt wokół szczeliny. Jego krańce powitały ich tęczowymi błyskami. Korzeniowski i Ry Oyu przyglądali się Olmy'emu, który stojąc przy konsoli niezmiernie wysyłał sygnały. Jego jart dyrygował orkiestrą, a on starał się wydać właściwy dźwięk, aby uchronić pojazd przed zestrzeleniem przez siły obrony jartów.

- Bardzo dużo dzieje się w Drodze - zauważył Olmy. Korzeniowski patrzył na obrazy przesyłane przez zewnętrzne czujniki. Naliczył kilkanaście bram otwartych na przestrzeni dwustu kilometrów. Otwierano je w bliskim sąsiedztwie stacji. Spoglądając na Ry Oyu Inżynier sięgnął po obojczyk. - Jesteśmy niedaleko od geometrycznego stogu. Gdzieś tutaj Patriota Vasquez otwierała swoją bramę.

- Bramę na pewno zalepiła potem gwiazdna plazma - dodał Olmy.

- Musiał pozostać ślad... jartowie mogli ją odkryć - zastanawiał się Korzeniowski. - Czy tak?

Olmy zapytał swojego jarta. - To możliwe.

- Brama była nietypowa, więc mogła zwrócić ich uwagę. Nawet jeśli była już nieczynna. Patricia nie miała wiele czasu - rozmyślał głośno Korzeniowski. "Dostęp do świata zamieszkałego przez ludzi byłby bardzo cenny dla nadzoru komendantów", powiedział jart. Olmy zapytał Ry Oyu: - Czy ją znaleźli?

- Nie wiem - odparł skromnie Ry Oyu. - Niestety, nie znam odpowiedzi na wiele pytań. Nasze zadanie byłoby o wiele prostsze, gdyby było inaczej.

Korzeniowski przyglądał się Drodze i w miarę, jak się zbliżali do stacji, dostrzegał nowe szczegóły. Cztery bramy były otwarte, choć w ich pobliżu nic się nie działo.

Trójkąt przed nimi był coraz większy i wkrótce przesłonił im widok. Inżynier spodziewał się nagłych przeszkód w dalszym locie, może rozciągniętego pola trakcyjnego lub wyłączenia amortyzacji grawitacyjnej.

Statek przeniknął do wnętrza trójkąta, jak włócznia rzucona do jeziora pełnego czarnej mazi. Ogarnął ich mrok.

Jart Olmy'ego nie mógł już niczego wyjaśnić. Przez stulecia, gdy był uwięziony w podziemnym lochu na Thistledown, wiele się zmieniło w jego cywilizacji. Także kształt stacji był inny.

Ry Oyu zmaterializował się koło Korzeniowskiego. - Tutaj powinienem odnaleźć świat Patricii - powiedział. - Mam wobec niej pewne zobowiązanie, czy może raczej dług. Najpierw muszę skopiować jej Tajemnicę...

- Jak? - zapytał Korzeniowski. Nie mieli ze sobą koniecznego sprzętu.

- To dla mnie nie problem - odpowiedział Ry Oyu. - Proszę zamknąć oczy.

Odźwierny nawet go nie dotknął. Przez chwilę poczuł w głowie i w całym ciele przyjemne ciepło - odczucie przeciwne do mrowienia - i było po wszystkim. Inżynier otworzył oczy. Nic się nie zmieniło.

- To tylko kopia - uspokoił go Ry Oyu.

Ciemność przed dziobem ich statku nagle się rozproszyła i zobaczyli kilkaset kilometrów Drogi. Przegradzał ją czarny blask wypełniający cały jej przekrój - pełne pięćdziesiąt kilometrów. Ściany Drogi były w typowym dla niej kolorze mosiądzu. "Nie będziemy mogli lecieć dalej", uprzedził jart. "To bariera ochronna dla indywidualnych komendantów."

Olmy zaczął gwałtownie zwalniać - o kilkaset kilometrów na sekundę. "Recepcja?" zapytał

jarta. "Indywidualni komendanci nie podróżują na ogół tak daleko »na południe«."

Poruszali się już bardzo wolno, a czarny kształt zasłaniał prawie całkowicie widok od północy. Z jego środka wytrysnęło kilka zielonych linii, które uformowały pełne wdzięku łuki powitalne.

- Chyba nas dostrzeżono - powiedział Olmy.

Łuki były coraz większe i wkrótce zamknęły ich w eleganckiej klatce. Wzdłuż zielonych linii, z oddali, nadpłynęły przezroczyste kule półtorametrowej średnicy. W każdym znajdowała się ciemna zawieszona plama, przypominająca atrament rozpluwający się w wodzie.

- Pole trakcyjne lub coś podobnego - zawyrokował Korzeniowski. - Czy oni będą umieli się z nami komunikować?

- Nie znają żadnego z naszych języków... - powiedział z obawą Olmy.

Nad konsolą rozległ się głos: - Witamy przedstawicieli komendanta następcy. Zapraszamy do naszych pojazdów transportowych.

- To po angielsku - sucho skomentował Korzeniowski. Komunikat powtórzono po hiszpańsku, potem w języku podobnym do greckiego i następnym, podobnym do chińskiego. Inne języki nie były zrozumiałe. Gdy wyczerpano wszystkie możliwości, kule ustawiły się koncentrycznie wokół pojazdu.

Olmy poczuł, że jart znów przejął nad nim kontrolę. Wysiali kolejny komunikat przez radio. Potem jart poprowadził Olmy'ego na dziób statku i tam czekali na dalsze wypadki.

Jeden z zielonych łuków rozbłysł nagle i oślepiające światło wypełniło przód statku. Wirujące ognie otoczyły Olmy'ego wprawiając jego ciało w drżenie. Korzeniowski chciał do niego podejść, ale coś zatrzymało go w pół drogi. Olmy spojrzał na niego uśmiechając się blado. - Inspekcja. Mimo wszystko nie ufają nam.

- Zdał pan egzamin? - zapytał Korzeniowski.

- Chyba tak.

- Bardzo wyszukane - powiedział Ry Oyu. Korzeniowskiemu wydawało się, że dostrzegł w tym komentarzu ukrytą ironię.

- Proszę usunąć statek ze szczeliny - odezwał się głos po angielsku. Olmy podszedł do konsoli i wydał odpowiednie polecenia.

- Proszę zająć miejsce w pobliżu jednego z bąbli transportowych.

Wszyscy stanęli przy włączonym wyjściowym. Gdy został otwarty, najbliższy z bąbli powiększył się do około czterech metrów średnicy i przykleił do ściany statku obejmując sobą właz. Rozległ się cichy syk. Czarna zawieszona wewnątrz bąbla stała się podłogą.

- Jak nasze powozy - podsumował Korzeniowski wchodząc za Olmy'm do wnętrza bąbla. Zanurzili się w chłodnym powietrzu, które pachniało młodym piwem. Bąbel zamknął się wokół nich i popłynął wzdłuż zielonej linii, aż do czarnej przegrody. Zatrzymał się tuż przed nią. Szczelina w tej części Drogi miała nietypowy zgniętopomarańczowy odcień, gdyż jartowie używali jej do transmisji informacji.

Cztery linie otoczyły statek, którym przylecieli, i odprowadziły go ku ścianie Drogi. Olmy obserwował to z żalem - tracił ostatnią rzecz związaną z Hexamonem. Korzeniowski z miną sfinksa obserwował barierę, do której się zbliżali. Cechy Patricii były w tej chwili głęboko ukryte w jego osobowości.

Ry Oyu położył mu dłoń na ramieniu. - Gdy byliśmy młodzi, nazywaliśmy takie rzeczy przygodą.

- Gdy ja byłem młody, zawsze wolałem planować swoje posunięcia z wyprzedzeniem - odparł Korzeniowski.

Przegroda wchłonęła ich bąbel i znów otoczył ich mrok. Olmy chętnie usłyszałby, co o tym wszystkim ma do powiedzenia jego jart, ale ten zawzięcie milczał, choć ciągle był obecny w jego

umyśle, jak ziarnko piasku pod skorupą ostrzygi.

Wyłonili się po drugiej stronie zapory, zostawiając ostatecznie ludzki świat za sobą. Bąbel unosił się nad zieloną przestrzenią w dole, przypominającą las. Przed nimi wznosiła się kolejna, tym razem jasnozielona ściana. W górze nie było widać żadnego zwieńczenia przestrzeni.

- Spotkanie indywidualnych komendantów - poinformował głos w bąblu.

- Wspaniale - powiedział Korzeniowski zaciskając wargi. - A więc naprzód.

Zielona ściana rozstąpiła się, by przepuścić podróżnych. Olmy poczuł poruszenia jarta - zmieniał kształt, reorientował punkty komunikacji, sztywniał.

- To wielki dzień dla mojego zwycięskiego kolegi - powiedział Olmy. - Czas na sprawozdanie.

Poruszali się pomiędzy dwoma rzędami rzeźb przedstawiających abstrakcyjne, chromowane skorpiony. Długie ogony spadały na podłogę, ciała lśniły, abstrakcyjne nogi i pazury wznosiły się w oficjalnym pozdrowieniu. Pomiedzy nimi unosiły się pomarańczowe kule światła wielkości pięści.

- Co to takiego? - zapytał Korzeniowski.

- Nie wiem - odpowiedział Olmy. - Mój przewodnik uparcie milczy.

Korzeniowski zrobił zdziwioną minę. Tego się nie spodziewali. - Nawet architektura jest przytłaczająca. Po co tu przyjechaliśmy, do diabła.

Olmy mógł się tylko zgodzić. Zateśknił za dawnymi czasami, wypełnionymi badaniami i służbą dla Hexamonu. Nie czuł wówczas wewnętrznego niepokoju i lęku. To był okres spokoju, tak teraz pożądanego. Obawiał się nie śmierci, lecz czegoś nieznanego, trudnego do określenia, co mogło nadejść z przeciwnej niż życie strony. Bał się, że w oderwaniu od realnego świata zblednie, jak niemodna idea.

Zetknęli się już wprawdzie z dziwnością Mirskiego i Ry Oyu, ale oni przynajmniej byli ucharakteryzowani na ludzi. Jaką postać przyjmie Ry Oyu, by przekonać jartów?

Przed nimi pojawiło się półkole zbudowane z przezroczystych, cylindrycznych zbiorników wypełnionych zielonkawą wodą, dwa razy większych wzwyż niż wszere. Wewnątrz poruszały się spokojnie czarne membrany, podobne do zakonserwowanych chorągwi.

Nad podwyższeniem przed nimi unosiły się trzy niewątpliwie organiczne kształty - długie, wąskie, nieco większe od słoni, z kadłubami przewiązanymi czarnymi wstęgami, czy może flagami, które najpierw zasłaniały ich kształty, a potem ukazały je w całej pełni...

Indywidualni komendanci jartów byli, obdarzonymi ciałami, organizmami podobnymi pod względem budowy do przodków jartów. Wywodziły się zapewne ze świata sennych koszmarów. Byli żywi. Mieli długie cienkie czarne nogi i zbroje opięte na stożkowatych, zwężających się ku końcowi, tułowiach, które rozdwajały się na końcach. Każdy rozwidlony odcinek unosił się ku górze, odsłaniając głębokie blizny na spodniej stronie. Z pomarszczonej skóry na końcach tych odnóży wyrastały wstrętnie zakrzywione pazury. Nie było oczu, ani innych narządów zmysłów.

Stwory zachowywały pewne podobieństwo do ciała schwytanego jarta, pomyślał Olmy. Wyglądały dużo sprawniej, być może posunęły się dalej w ewolucji. Ciało, które odnalazł na Thistledown, mogło należeć do dalekiego przodka, równie niepodobnego do jartów, jak szympanś do człowieka.

Ile czasu upłynęło w Drodze od wojen z jartami? Dekady czy miliony lat? "Czy rozpoznajesz te istoty?" Olmy zapytał jarta. Po dłuższej chwili pojawiła się odpowiedź. "To nie są komendanci, których zna ten wykonawca."

Może to w ogóle nie są jartowie? "Należą do mojego rodzaju. Mają w sobie chwałę. Dokonali wielkiego postępu."

Czy cię rozpoznają? "Już rozpoznali tego wykonawcę. Pokornego sługę ich potęgi." Coś działało

się z jartem, czego nie mógł wyrazić język, jaki opracowali wspólnie z Olmy'm. Coś złowieszczonego, ponurego i podniosłego zarazem, noszącego znamiona krwiożerczej dumy, nie mającej odpowiednika wśród ludzkich emocji.

- Coś pana niepokoi? - zapytał Korzeniowski.

- Wszystko w porządku. To są jartowie.

- Ach tak, nasi gospodarze - zauważył kwaśno Korzeniowski.

Bąbel zatrzymał się w jednym rogu podwyższenia, pozostałe trzy zajęli jartowie. Materia, która osłaniała ich korpusy, wyparowała. Jartowie unieśli rozdwojone części tułowia, łącząc pazury na ich końcach. Olmy zadrżał, a Korzeniowski cofnął się mimowolnie.

- Są potworni - powiedział. Olmy nie zaprzeczył. Nie spotkał jeszcze inteligentnych stworów, które byłyby tak odrażające.

Ry Oyu stał spokojnie obok nich, nie okazując najmniejszego zaniepokojenia. "Z pewnością nie są najobrzydliwszymi inteligencjami we wszechświecie", pomyślał Korzeniowski. "Ostateczny Umysł będzie zapewne jeszcze gorszy." Spojrzał na Ry Oyu, który uśmiechnął się i skinął głową, jak gdyby słyszał i potwierdzał.

Rozwidlenia uniosły się jeszcze wyżej i przyjęły kształt litery V.

- Spotykamy się - powiedział głos w bąblu, a każdemu ze słuchających wydawało się, że dobiega znad prawego ramienia. - To wydarzenie jest niespodziewane. Czy jesteście jednym czy wieloma.

- Każdy z nas jest osobną istotą - wyjaśnił Ry Oyu.

- Kto reprezentuje komendanta następcę?

- Ja.

- Czy jest na to jakiś dowód?

- Chcą pisma z pieczętą - szepnął Ry Oyu. - Proszę.

Nie poruszył się, ale trzech komendantów lekko zadrżało, jakby powiał na nich chłodny wiatr. Ich górne fragmenty złączyły się.

Głos powiedział: - To świadectwo jest wystarczającym potwierdzeniem. Jaki plan chcecie przeprowadzić?

Korzeniowski zmarszczył czoło zakłopotany. Ry Oyu powiedział: - Proszę im powiedzieć, kim pan jest, co pan zrobił i co pan zamierza.

- Jestem Konrad Korzeniowski. To ja zaprojektowałem Drogę.

Komendanci nie zareagowali.

- Rozpoczęliśmy niszczenie Drogi...

- Komendanci są tego świadomi - powiedział głos.

- Przybyliśmy zakończyć naszą pracę... zabrać pewną osobę... - Było mu trudno wyrazić myśli jasno, by zrozumiały je istoty pozaludzkie. - Mam w sobie część osobowości innego człowieka, który pomógł mi projektować Drogę. Chcemy przywrócić tę osobowość do właściwego świata, w stogu geometrycznym... tam z tyłu. - Chciał pokazać kierunek, ale nie był pewien, skąd dokładnie przybyli. - Chcemy lecieć dalej i pomóc Ostatecznemu Umysłowi. - Co za naiwne brednie! Jak słabi ludzie mogliby pomóc Ostatecznemu Umysłowi?

- Komendanci uzyskali dostęp do świata zamieszkałego przez ludzi w tym rejonie i zmagazynowali go - powiedział głos. Przez kilka minut panowała cisza. - Nadzór zdaje sobie z tego sprawę. Nadzór nie stworzył Drogi. Czy macie jakąś wiedzę dotyczącą indywiduum Patnka Vaskayza lub Patricia Luisa Vasquez, wykonawcy obowiązku u ludzi lub kogoś o podobnym statusie?

Korzeniowski obliznął wyschnięte wargi i zamknął oczy, czując wewnątrz dziwny smak. - Tak.

Część tej osoby noszę w mojej duszy. Czy znaleźliście ją?

Głos zmienił brzmienie. Tym razem był kobiecy.

- Mówi nadzór komendantów. Posiadamy naturalnie spłodzonego żeńskiego potomka drugiego stopnia indywiduum Patricia Luisa Vasquez.

- Chyba ma na myśli wnuczkę Patricii - powiedział Ry Oyu. Olmy był tego samego zdania.

- Gdzie ją znaleźliście? - zapytał Korzeniowski, wpatrując się kwadratowymi błyszczącymi oczyma w jartów. - Gdzie znaleźliście tę kobietę?

Żeński głos odpowiedział: - Odkryliśmy świat, do którego indywiduum Patricia Luisa Vasquez trafiła, gdy opuściła Drogę. Świat ten został zmagazynowany. Zmagazynowany jest także jej potomek.

- A sama Patricia Vasquez?

- Indywiduum Patricia Luisa Vasquez nie żyje.

- Czy możemy rozmawiać z jej wnuczką? - zapytał Ry Oyu.

- To indywiduum zostało uszkodzone podczas dochodzenia.

Korzeniowski poczuł drżenie i narastającą rozpacz pomieszaną z paniką. Starał się panować nad wściekłością, także wściekłością ducha Patricii, który nigdy nie spotkał swojej wnuczki, nie wiedział nawet o jej istnieniu.

- Chcielibyśmy z nią rozmawiać, nawet jeśli jest uszkodzona - powiedział Ry Oyu. - Jeśli to jest możliwe.

Komendanci zawinęli się ponownie w długie czarne wstęgi. Korzeniowski odwrócił się załamany. Cóż za nieuwaga! Uszkodzić w czasie dochodzenia. Mimowolne okrucieństwo. Co stało się ze światem, gdzie znalazła się Patriota? Jak wyglądał, zanim jartowie go "zmagazynowali"? I jak wygląda teraz? Ry Oyu dotknął jego ramienia, a Olmy podszedł bliżej, na znak solidarności.

- Uszkodzone indywiduum jest bardzo cenne - powiedział żeński głos. - Uszkodzenie było nieumyślne.

- Porozmawiajmy z nią - powiedział Korzeniowski łamiącym się głosem.

Trzy potwory wycofały się. Zniknęły jakby za sprawą tajemniczej soczewki, która zniekształciła i usunęła ich obraz. Pojawiło się wnętrze domu, który mógł być dziełem człowieka, choć na pewno nie przypominał domu Patricii w Los Angeles w końcu dwudziestego pierwszego wieku.

Rita wyłoniła się z umęczonej wieczności, w której nie brakowało czasu, lecz nie był on uporządkowany linearnie, co powodowało nieustający chaos. Wspomnienia mieszały się w niezrozumiałym tańcu ze zwierzęcymi myślami i pragnieniami - bezcielesnym głodem, bezprzedmiotową tęsknotą, pożądaniem. Czasem następowały chwile jasności, gdy Rita zdawała sobie sprawę ze swego położenia. Buntowała się i wracała do wzburzonej wieczności.

W jednym z takich momentów poczuła się bohaterem, który zwodzi swoich prześladowców wciągnawszy ich podstępnie do wnętrza tajemniczej świątyni - labiryntu własnej psychiki. Kiedy indziej zdała sobie sprawę, że nie wydobędzie się z tego labiryntu sama, wrogowie będą trzymali ją w tym stanie w nieskończoność. Nie mogła wyobrazić sobie lepszej definicji Hadesu.

Czuła się gorzej niż cienie spragnione krwi i wina, które zgodnie z mitologią wypełniały Hades, wspominając tam prawdziwe życie na Ziemi. Tęskniła za napojem, który mógłby zmienić historię, cofnąć czas, dać jej jeszcze jedną szansę. Tęskniła za drzwiami do jakiegoś świata, który nie byłby tak zupełnie martwy i pochłonięty przygotowaniem do absurdalnego święta zmagazynowanej wiedzy.

Nie spotykała się już z Oresiasem ani z Demetriosem.

Nagle, w pewnej beczasowej chwili, ucieczka ustała, choć myśli Rity nadal były splątane. Doświadczała klarownej rzeczywistości. Była w domu babki na Rodos. Towarzyszył jej Typhon, niezmiennie w ludzkiej postaci.

Potem znów zaczęła uciekać, pogrążając się w chaotycznej wolności. Nagle dostrzegła trzy ludzkie postaci, których nigdy nie widziała. Nie przypominały jartów. Toczyły się jakieś rozmowy, bezgłośnie konwersacje jartów wyzute z ciała, abstrakcyjne i obrzydliwe.

Mimo wszystko, od czasu do czasu, docierały do niej jakieś informacje, słuchała i nie odrzucała ich.

Rozmawiano o jej babce.

Czyżby to naprawdę byli ludzie? Ludzie z Gai... lub... znów burza ogarnęła jej myśli pozbawiając je wszelkiego ładu. "Tajemnica babki."

Ostre i nieustępliwe wspomnienie. Sophe wyjaśnia, jak pożyczyła część swojej osobowości innemu człowiekowi... Magia i cuda Drogi.

Nie było już domu sophe, stała na kamiennych stopniach świątyni Athene Lindia. To było wspomnienie. Wyraźnie czuła wiatr na twarzy i we włosach, nad głową, pomiędzy potężnymi kolumnami, śpiewały ptaki.

Zawsze wracała do tego wspomnienia. Odnajdywała w nim spokój i samotność, wycofywała się do niego, chowała przed gonitwą myśli i odnajdywała swoją prawdziwą istotę. Kiedyś wyobrażała sobie, że jest Athene. Przybierała różne formy - mądrej kobiety, triumfatorki, władczyni burz, bogini węzów i sów, w hełmie ozdobionym złotymi monetami, patronki wielkiego i umęczonego miasta Hellenów. Dorastająca dziewczyna mogła stać się tym wszystkim w ciągu godziny i nie popełnić grzechu pychy - Athene rozumiała jej marzenia.

Athene rozumie i wybacza błędy, nawet jeśli doprowadziły do zagłady świata.

Rita zamknęła oczy i ponownie je otworzyła. Mówiono o Patricii. W ten sposób babka wymawiała czasami swoje imię.

- Została zmagazynowana w matrycy pamięci, bardzo podobnej do pamięci miejskiej - wyjaśnił Ry Oyu. - Uciekła w głąb siebie, podąża po sobie tylko znanych ścieżkach... Nie mogą jej schwytać. Przeciwstawia się im w jedyny dostępny jej sposób.

Obserwowali drżący i niestały obraz córki Patricii, umieszczony w domu ze wspomnień, jak manekin w muzeum, lub zwierzę w zoo. - Ser Olmy, jak usprawiedliwia to pański jart? - zapytał Korzeniowski.

- Jest zmartwiony, że tak ważna informacja została uszkodzona i stracona.

- Mam na myśli... "spakowanie" całego świata.

- W pewien sposób służą celom Ostatecznego Umysłu - powiedział Ry Oyu. - Chcą mu przekazać wszystko, co zgromadzili. Oczywiście, powinniśmy przerwać cierpienia tej kobiety... Czas na decyzje. Jartowie wiedzą, że Droga przestanie wkrótce istnieć. Uznają mnie za reprezentanta komendanta następcy. Chcą podarować mu wszystkie owoce swej pracy. Spełnią wszystkie moje prośby. Nadszedł czas, na który czekali, usprawiedliwienie wszystkich ofiar i wysiłków. Mogę zabrać Tajemnicę Patricii i psychikę jej córki do stogu geometrycznego i spróbować dać im trochę odetchnąć.

- Dlaczego? - zapytał Korzeniowski. Jego oczy zwęziły się jak u kota, a cechy Patricii znów doszły do głosu w jego psychice. - Dlaczego akurat ją? Dlaczego nie wskrzesić wszystkich światów zmagazynowanych przez jartów?

Ry Oyu zaprotestował. - Nie mam takiej mocy. Robię, co mogę, by wypełnić obietnicę. Dawno temu, gdy byłem tylko skromnym Odźwiernym Drogi - wyprężył dumnie pierś - nie nauczyłem Patricii, jak prawidłowo otwierać bramy. Chcę jej to zrekompensować, dając jeszcze jedną szansę. I jej wnuczce. Jest w tym pewną satysfakcją etyczna.

- Garry Lanier nie chciał przyjąć specjalnych przywilejów - zauważył Korzeniowski, na którego

twarzy malowały się teraz zmagania dwu osobowości. - Dlaczego mielibyśmy otrzymać... Patriota miałyby otrzymać specjalne względy?

Ry Oyu zastanowił się przez chwilę. - W imię mojej minionej duszy. Nie możemy naprawić wszystkich naszych błędów. Inżynier naprawia kłopoty, jakie wyrządziła Droga. Olmy cierpi z powodu ambicji i złudzenia nieomyślności. Mirski spłacił część swych długów. Proszę i mnie pozwolić naprawić część moich błędów.

Inżynier uspokoił się. - Niech tak będzie. Proszę ją zabrać do domu.

- A co panowie wybieracie? Ser Olmy, bez jarta... dokąd się pan uda? Ser Korzeniowski, wciąż z częścią osobowości Patricii, co dalej?

- Jestem bez niej niekompletny - powiedział Korzeniowski. - Myślę, że zostanie ze mną i będzie zadowolona wiedząc, że inna jej część wraca do domu. Chciałbym... zostać w Drodze i odbyć podróż do jej krańca, by stać się częścią Ostatecznego Umysłu.

Olmy zamyślił się. - To byłoby fascynujące, ale chyba nie jestem jeszcze gotów. Jeśli to prawda, co słyszeliśmy, i tak wszyscy tam dotrzemy, prędzej lub później.

- To prawda - potwierdził Ry Oyu.

- Bardzo niewielu ludzi zdaje sobie z tego sprawę - powiedział Olmy. - Jesteśmy uprzywilejowani. Wiem, dokąd chcę pojechać. Żywy i wraz z ciałem.

- Tak?

- Na Timbl. Do ojczyzny frantów. Mam tam wielu przyjaciół.

- Powinno wystarczyć czasu, by otworzyć bramę do Timbl - powiedział Ry Oyu.

- Czyż to nie jest praca dla Świętego Mikołaja? - zapytał Korzeniowski, a może Patricia, która lepiej znała ziemskie legendy.

Ry Oyu z uśmiechem zwrócił się ku pokojowi, w którym młoda kobieta zmagiała się ze swymi wspomnieniami. - Przekażę to wszystkim naszym gospodarzom. Będą dumni, że twórca Drogi będzie im towarzyszył w podróży do komendanta następcy.

Rita skupiła uwagę na siwym uśmiechniętym mężczyźnie o mądrej twarzy. Czowała się w jego obecności bezpieczna. Nie był gniewnym Zeusem, przypominał raczej spokojnego Aserapisa ze stodołami pełnymi zboża i psami Plutona, rytualnymi bykami i świętem zmartwychwstania.

Mężczyzna mówił o powrocie do domu.

- Czy wrócę na Gaię? - zapytała zdecydowanym głosem, pozbawionym jednak prawdziwego brzmienia.

- Teraz ponownie dokonamy świętej ceremonii małżeństwa - powiedział Ry Oyu. - Patricio, która jesteś we mnie, czy przyjmiesz wzory swojej wnuczki jako podstawę osobowości, z którą będziesz żyć, zanim znajdziemy dom, który utraciłaś?

Olmy spostrzegł, że wizerunek Rity zamigotał, okrzepł i zmienił kolor. Młoda kobieta nie spuszczała wzroku z Korzeniowskiego, który również przyglądał się jej z uwagą.

- Rito, czy uczynisz części swej jaźni temu oto cieniowi swojej babki, aby miała siłę, by wrócić do domu?

- Tak - powiedziała Rita.

Poczuła mieszające się prądy, jak tam, gdzie Morze Śródziemne miesza się z Oceanem Atlantyckim, przy słupach Herkulesowych.

Widziała gęste wody rzeczywistości, wiele światów podobnych do Gai, choć żaden nie był z nią identyczny. Siwowłosy mężczyzna, który mógł być Zeusem lub Aserapisem kazał jej wybrać jeden ze

światów, do którego jartowie nigdy nie dotarli, którego nie zniszczyli, w którym nie było wyprawy na stepy...

Zamknęła oczy.

- Czas się pożegnać - powiedział Ry Oyu. - Powierzam ser Korzeniowskiego komendantom jartów.

Korzeniowski oddał mu obojczyk i odwrócił się. Bąbel, w którym się znajdowali, podzielił się na dwa. W jednym został Inżynier, w drugim Olmy i Ry Oyu. Korzeniowski uniósł się i poszybował w kierunku czarnej bariery, za którą wkrótce zniknął.

Ry Oyu ważył w dłoniach obojczyk, rozpoznając od dawna nie używany instrument. - Ser Olmy, oni służą Ostatecznemu Umysłowi, choć zapewne popełniają błędy. Pragną gorąco zaprowadzić pana do dowolnej bramy, którą pan wybierze. Myślę, że możemy im ufać. Niestety, nikt nie wie, ile czasu upłynęło na Timbl.

- Zawsze jest pewne ryzyko.

- Dzięki temu życie jest interesujące - dodał Ry Oyu.

- Dziękuję.

- Ależ proszę. Odbiorą pańskiego wykonawcę obowiązku, gdy tylko zechce pan się z nim rozstać.

Olmy gotów był natychmiast pozbyć się tej kłopotliwej pamiątki swojej porażki. Otoczył go biały ogień. Jart zniknął z jego umysłu.

Przez chwilę zachwyciła go własna samotność. Chciał jak najszybciej polecieć na Timbl...

Pomyślał o Tapim i Ram Kikurze. To była kolejna porażka, mniej widowiskowa, choć zapewne bardziej bolesna.

- Życzę powodzenia, ser Olmy - pozdrowił go Ry Oyu. Ich bąbel znów się podzielił.

Ry Oyu zwrócił się do komendantów: - Chciałbym wrócić do stogu geometrycznego. Muszę otworzyć dwie bramy do dwu wszechświatów, bardzo podobnych do wszechświata ludzi.

Jego bąbel przebił barierę i wzdłuż szczeliny oddalił się w południowym kierunku Drogi.

Trzymając w ręku obojczyk Ry Oyu wydostał się przez podłogę bąbla na mosiężną powierzchnię Drogi.

Zamknął oczy i zaczął wypowiadać rytualne formuły, by przygotować umysł, choć w jego obecnej formie było to zupełnie zbyteczne.

- Unoszę ten obojczyk ku niezliczonym światom i sprowadzam światło, aby służyło wszystkim, którzy będą korzystać z tej bramy, tym którzy kierują i są kierowani, którzy tworzą i są tworzeni, którzy niosą światło i są nim oświetleni...

Powierzchnia Drogi ciemniała, w miarę jak zbliżała się śmiertelna fałda. To mogło skomplikować proces otwierania bram. Zostało bardzo mało czasu, najwyżej kilka godzin, a pracy było dużo.

Zakończył modlitwę: - Patrzcie ... oto otwieram nowy świat.

Nigdy dotychczas nie otwierał podwójnej bramy. Lecz mimo to, ta brama zostanie otwarta do dwu dokładnie wybranych światów.

Okrągłe wgłębienie zaczęło się tworzyć u jego stóp. Dzięki obojczykowi zobaczył pierwszy ze światów, wirujący pod spodem. Był podobny do Gai. Była w nim Patrikia, ale nie było inwazji jartów.

Odźwierny nie mógł sięgnąć daleko w głąb czasu. Obejrzał pobieżnie czas i przestrzeń, które były w jego zasięgu i zajął się identyfikowaniem Rity Vaskayza. Rity, która nigdy nie знаła jartów, która nigdy nie zorganizowała wyprawy na stepy...

Droga gwałtownie zamigotała i Ry Oyu zaniepokoił się, czy wystarczy mu czasu.

Dom

Rita szła przez zagajnik, w którym Berenika kazała jej szukać ojca. Spostrzegła Rhamona siedzącego smętnie pośród drzew oliwnych, opartego o sękaty pień. Twarz ukrył w dłoniach, by nikt nie widział, jaki jest nieszczęśliwy. Wciąż musiał walczyć z administracją Akademei i potrzebował otuchy.

- Tato - powiedziała i zachwiała się jak uderzona. Coś spadło na jej ramiona i przeniknęło do wnętrza. Zobaczyła inną siebie, wyczerpaną i obcą, zaplątaną w niezrozumiałe myśli... Ogarnęły ją wspomnienia najazdu, zniszczenia i śmierci. Zacisnęła oczy, złapała się za głowę i chciała krzyknąć. Chwytała powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg, przytłoczona nowym doświadczenia. Może zwariowała.

Potknęła się o korzeń i omal nie upadła.

Po chwili odzyskała równowagę. Wspomnienia oddzieliły się od niej, zostały ukryte. Poczowała się bezpieczniej.

- Rita? - zapytał ojciec przerywając rozmyślania. - Czy wszystko w porządku?

Wymyśliła coś na poczekaniu, by ukryć zmieszanie. - Nie czuję się najlepiej. Może jakaś choroba... z Aleksandrei.

Wróciła do domu na wakacje. Naprawdę w domu. To nie był sen. Ścisnęła swoje ramię - było z prawdziwego ciała. Wkoło były prawdziwe drzewa. Przed nią siedział prawdziwy ojciec. Wszystko inne, to senne wizje, koszmary.

- Prawie zemdlałam. Ale już wszystko w porządku. Może to babka coś ode mnie chciała.

- Babka bardzo by się teraz przydała - powiedziała poważnie Rhamon.

- Opowiedz, co się wydarzyło. - Rita usiadła przed nim zanurzając dłonie w suchej ziemi, rozkoszując się jej realnością. "Kiedyś to wszystko zrozumiem. Przyrzekam to sobie. Tych wizji i halucynacji wystarczyłoby na niejedno życie."

Dziedzictwo Sophie? Gdzie ona teraz jest? Co robi?

Droga rozpadała się. Stacja jartów oddaliła się, uciekając przed nadchodzącą falą zniszczenia. Ry Oyu pozbył się już swojej ludzkiej formy i unosił się samotnie nad powierzchnią Drogi, jak smuga światła. Badał alternatywne Ziemi, szukając Ziemi bez Śmierci, zagłębiając się w czasie i odnajdując odpowiedni moment.

Napięcie panujące w Drodze wywierało na niego wpływ także w niematerialnej formie, jaką przybrał. Ponownie zmienił postać, ukrył się w geometrii stosu. Wtedy okazało się, że brama zaczyna się rozpadać. Całą siłą swego umysłu walczył o jej utrzymanie, by móc wykonać ten ostatni, bynajmniej nie błahy, obowiązek...

Patricia Luisa Vasquez wysiadła z samochodu swego narzeczonego, Paula, trzymając w ręku torbę z zakupami. Kalifornijska zima nie była surowa, ale powietrze było chłodne. Słońce dogasało w szarych i żółtych chmurach na niebie. Patricia weszła na kamienną ścieżkę prowadzącą do domu jej rodziców.

Jak uderzona obuchem upadła na ziemię wypuszczając torbę z ręki. Miała sztywną szyję, a oczy wyszły jej z orbit.

- Patricia! - krzyknął Paul z samochodu.

Zesztywniała Patricia potoczyła się po ziemi. Z jej ust wydobywał się dziwny niezrozumiały bełkot.

Potem znieruchomiła leżąc na plecach.

- O Boże, o Boże - mamrotał Pałł pochylając się nad nią. Jedną rękę podłożył jej pod głowę, drugą machał, jakby odpędzając złe duchy. Zupełnie nie wiedział, co ma robić.

- Matka nie powinna się o tym dowiedzieć - wymamrotała Patricia przez zaciśnięte gardło.

- Nie wiedziałem, że masz epilepsję.

- Bo nie mam. Pomóż mi wstać. - Zaczęła zbierać rozrzucone zakupy. - Wszystko się rozsypało...

- Co się stało?

Uśmiechnęła się radośnie i triumfująco, ale po chwili uśmiech ustąpił miejsca niepewności. - Nie pytaj. Nie chcę kłamać. "Gdybym wiedziała, gdzie jestem", myślała, "wiedziałałabym też, kim jestem". Nic nie rozumiała. Pamiętała tylko kilkoro ludzi, którzy uparcie starali się jej pomóc i którym się w końcu udało. Była w domu, na chodniku pomiędzy domami w Long Beach i nazywała się Patricia Luisa Vasquez. Obok klęczał zaniepokojony Pałł, jej narzeczony, którego utratę opłakiwała, tak jak i on opłakiwał jej odejście...

Rozejrzała się dookoła. Ulica, domy, drzewa. Nie było śladów pożarów i zniszczeń, nie było dymów. Nie było Apokalipsy.

- Matka będzie szczęśliwa - wyszeptwała przez wyschnięte gardło. - Chyba miała objawienie. - Zarzuciła mu ręce na szyję i objęła go tak silnie, że aż krzyknął.

Gdy tak stali w uścisku, Patricia spojrzała swymi kocimi oczyma ku gwiazdom, które właśnie pojawiły się na niebie. "Nie ma Kamienia", pomyślała. "Cokolwiek to może znaczyć."

W Szczelinie

Korzeniowski, pełen złych przeczuć, poddał się “zmagazynowaniu”.

Doznał gwałtownego ochłodzenia i otoczyła go pustka. Stopił się z ogromem informacji zgromadzonych przez jartów. To było cudowne, porywające. Otoczyły go dane zgromadzone w tysiącach, dotyczące miliardów, bilionów istot, które żyły w różnych miejscach czasu i przestrzeni. Zgromadzone dość przypadkowo przez jartów, dane te były teraz przesyłane szczeliną na kraniec Drogi, gdzie miał je odebrać Ostateczny Umysł.

Droga plątała się coraz bardziej, zwijała się w sploty, wiązała w supły i rozpadała zjadając własne fragmenty. Umierała.

Czas bogów na Ziemi dobiegł końca.

Timbl

Olmy bardziej poczuł, niż zobaczył, jak brama zamykała się nad nim. Gdy postawił stopę na piasku, rozległ się trzask i wokół rozeszło się ciche jęknięcie. Potem nie była słycać nic, prócz wiatru.

Przez chwilę zatrwożył się, że zobaczy tylko kolejny świat podbity i “spakowany” przez jartów, czekający na transport do siedziby komendanta następcy. Na szczęście Timbl nigdy nie został podbity. Jartowie nie spieszyli się z otwieraniem tej bramy, a teraz było już za późno.

Olmy stał w oślepiającym blasku słońca na Timbl i śmiał się radośnie. Nie obawiał się zwiększonej dawki ultrafioletu, gdyż jego udoskonalona skóra była wystarczająco odporna. Cieszył się, widząc znajome strony. Nie był tu od dawna. Chyba niewiele się zmieniło. Timbl zawsze będzie dla niego domem.

Stał na szczycie pagórka. Na północ od niego znajdowało się lądowisko dla pojazdów Hexamonu. Mimo że nic już na nim nie lądowało, utrzymywano je w stanie gotowości - białe i lśniące. Tutaj znajdowała się główna brama na Timbl. Zamknięto ją na krótko przed Odłączeniem. Nie upłynęło tu wiele czasu.

Z pewnością na Timbl mieszkało “ielu obywateli H”xamonu. Zostali po zamknięciu bramy i mieli status uchodźców. Nie będzie mu brakowało ludzkiego towarzystwa. Ale najpierw powinien spotkać któregoś z miejscowych frantów. Aby uzyskać status mieszkańca, każdy gość musiał być osobiście powitany przez jednego z frantów.

Dawno temu, gdy Timbl był często pustoszone przez spadające odłamki komet, frantowie rozwinęli rzadką zdolność przekazywania swoich wspomnień i doświadczeń innym. W ten sposób każde wspomnienie, prędzej lub później trafiało do każdego franta. Wielu z nich nosiło w sobie wspomnienia wszystkich pozostałych, przynajmniej w ogólnym zarysie. Każdy frant, który wracał do domu, dzielił się wspomnieniami najpierw ze swoimi bliskimi, potem z sąsiadami i z odpowiednimi instytucjami.

Każdy dojrzały frant powinien wiedzieć coś o Olmy'm. Przed kilkoma dekadami pracował z nimi i wspomnienie o tym musiało się rozprzestrzenić. Każdy dorosły frant będzie jego przyjacielem.

Nie pragnął aż tak wiele, ale mógł się tego spodziewać.

Olmy zszedł ze wzgórza w kierunku wschodnim, pomiędzy żyzne pola pełne dojrzałych, żółtych i niebieskich roślin. Szedł do widocznego w oddali miasteczka, w którym centralne miejsce zajmował tradycyjny obelisk. Minął młodego franta, który przyglądał mu się z ciekawością. Był zbyt młody, aby go rozpoznać. Pierwszego dorosłego franta Olmy zobaczył na rynku, przed zamkniętym, z powodu poobiedniej przerwy, sklepem.

Wysoki i szczupły frant, o wąskiej twarzy i wylupiastych oczach siedział na kamiennej ławce, osłonięty odświętną folią. Przyglądał się Olmy'emu przez chwilę w milczeniu, po czym powiedział:

- Witam, ser Olmy. Co za niespodzianka!

- Witam - odparł Olmy.

Epilog

“Najpierw”, powiedział Olmy do swojego towarzysza, “zaczniemy od początku.” “A potem?” zapytał Lanier. “Będziemy poszukiwać interesujących nas punktów, aż dojdziemy do końca.” “A potem?”